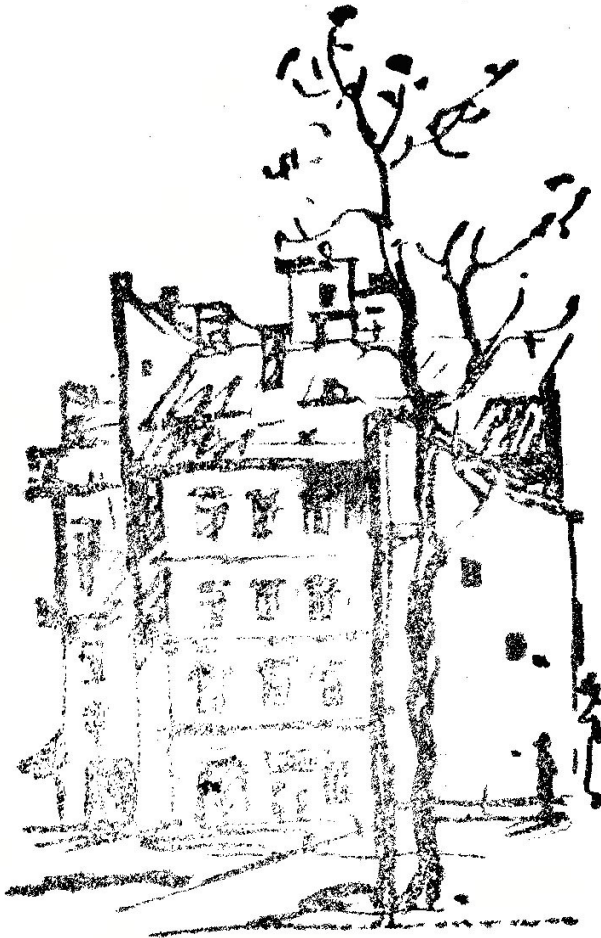


Pola Gojawiczyńska

Rajska jabłoń



TOM PIERWSZY



I

Nowa Kwiryna przyszła na świat jesienią dwudziestego drugiego roku. Stało się to na skutek pomyłki Romana, który zważył pewnej klientce żądającej pół funta cukru - funt, no, powiedzmy dla ścisłości, niecały funt. Klientka była ubogą dziewczyną o rozwichrzonej, bujnej blond fryzurze, i ta fryzura zasłoniła twarz Romana stojącego za ladą, tak że Kwiryna na próżno dawała mu znaki mitygujące. Cukier ów zdobyła tylko dzięki swej przedsiębiorczości po niesłychanych staraniach i zabiegach, umyśliła go więc zachować dla klienteli stałej i dobrze płacącej. Ale Roman nie tylko zdawał się o tym zapominać, on posuwał się nawet do tak niebywałego roztargnienia! Nigdy nie zwracała mu uwagi przy klientach, teraz jednak postanowiła zapobiec szkodzie.

– Czyś ty się nie pomylił, Romanie?

– Nie. Pół funta cukru.

W głosie jego zabrzmiało coś gniewnego, to uderzyło ją i powstrzymało dalsze pytanie. Spojrzała jeszcze raz na Romana, a potem na dziewczynę i zacisnęła usta. Zauważyła, że byli zmieszani. W tej chwili rozległy się uderzenia w sufit. To garbata ciotka dawała znać o posiłku. Roman powstał. Nie jadali razem południowego posiłku, a obiad odkładano na wieczór. Nieraz jednak przekomarzali się: kto pójdzie pierwszy? Dziś Roman powstał, rzekł:

– Zaraz wrócę – i wyszedł.

Słyszała trzask stopnia, odgłos drzwi na górze, a potem śpieszne dreptanie ciotki. Garbata ciotka nosiła pantofle na wysokich obcasach, aby się podwyższyć.

Na razie nic się nie stało. Kwiryna obiecała sobie powrócić do tej sprawy. Tego dnia odbywały się zapisy do szkoły na Nowolipkach i Kwiryna otworzyła obydwie połowy drzwi, aby uchronić szyby od strzaskania. Co chwila wpadał zadyszany berbeć łomocąc nowym obuwiem, z szyją uwięzioną w sztywnym kołnierzu nowej bluzy szkolnej, z ramionami ruchomymi niczym skrzydła wiatraka.

– Wody sodowej...

Kwiryna stojąc brzęczała szklankami:

– Z sokiem, bez? Z malinowym, cytrynowym?...

Dziewczynki wchodziły spokojnie, po dwie, trzy i dzieliły się jedną szklanką, ceremonijując.

– Proszę cię, skosztuj, ja i tak nie wypiję wszystkiego.

Liście akacji, gęsto przetkane złotem, pokryły skwer. Wsparci o żelazne sztachety czekali rodzice na wynik wstępnych egzaminów. Okna szkoły szeroko otwarte, całe pierwsze piętro nad sklepem panien Ziemskich, tchnęły jakąś głuchą ciszą mimo licznych głów dzieciennych sterczących nad pulpitemi. Ciągłe jeszcze napływały gromadki maruderów. Strzępy rozmów wpadały do sklepu i zdawały się tu gasnąć w ciszy. Matki, trzymając mocno w swych dłoniach dłonie dzieci, udzielają im zbawiennych rad, kładą im w głowy:

– Nie bój się, przecież cię w szkole nie zjedzą. Nie znasz tej nauczycielki, czy co? Ona mieszka w domu Majewskich... Ukłoń się, żebym ci nie potrzebowała o tym przypominać. Czytaj głośno i wyraźnie. Nie zrób mi wstydu. pamiętaj !...

Podniecone, roztaczają przed dziećmi – czy przed sobą? – oszłamiające perspektywy:

– To nie tak jak za moich czasów, teraz jak się tylko będziesz dobrze uczył, możesz zejść, dokąd zechcesz... Ho ho! Jeszcze ministrem zostaniesz!...

Pod sztachetami trysnął serdeczny śmiech. Wzniósłszy oczy dostrzegła jednak Kwiryna na twarzach oczekujących, mimo drwiny wstydliwie skrywaną nadzieję. Prawdę powiedziawszy, każdy myślał sobie: „Hm... dlaczegóżby nie? to jest możliwe... to nie jest nieprawdopodobieństwem”.

Panny Ziemskie, stojąc na stopniach sklepu, okazywały żywe zainteresowanie potomstwem swych klientek.

– Czy to jest Czesio? – dziwiły się. – No, no, nigdy bym go nie poznała w tym mundurku!... Zupełny młodzieniec!... – Chwaląc urodę, dobre wychowanie, wzrost i wagę lub ubolewając nad mizeractwem, skarbiły sobie względy matek, zyskując przy tym temat do rozmów wieczornych, po zamknięciu sklepu, kiedy to, siedząc we dwie w czyściutkim pokoiku za sklepem, wzbogacały i rozszerzały swe monotonne i samotne życie, życiem, troskami i nadziejami innych.

Kwiryna spenetrowała wystawę mydlarni. Znów zmieniły wystawę. Odkąd w wielu domach zaprowadzono wreszcie elektryczność, panny Ziemskie usunęły ogromny rezerwuar z naftą, zajmujący pierwsze miejsce w sklepie, i położyły nacisk na inne działy. Toteż wystawa stała się wystawą jakiegoś składu, a nie mydlarni. Kwiryna dostrzegła z dala obnażoną pannę na reklamie, z gołymi ramionami i udami, skutecznie wskazującą na konieczność pielęgnacji ciała i urody przez kupowanie kremów, pudrów, wody kolońskiej, soli kąpielowej, perfum. Kto by się tego był spodziewał po

pobożnych, zapiętych pod szyję pannach Ziemskich!

Ale poszły tylko za wskazaniem czasu.

Przemknęła z rozstargnieniem oczyma po świeżo odnowionym froncie cukierni Kaca. Na drugim rogu, *visa-vis*, otwarto niedawno nową owocarnię. To wszystko jeszcze było świeże, błyszczące i świetne, odcinało się jaskrawo od ochłapanych błotem kamienic i oderwało Kwiryneę na chwilę od jej rozmyślań. Wyszedłszy na chodnik, by spojrzeć na front domu, który za kilka dni będzie jej domem, dostrzegła w oknie pierwszego piętra garbatą ciotkę tkwiącą znów na swym posterunku ciekawskiej. Upudrowana, z włosami nastroszonymi, z złotym medalionikiem na szyi, niczym osoba żyjąca z własnych funduszy. Zobaczywszy Kwiryneę, cofnęła się, w głąb. Dobrze, że ma choć tyle poczucia, próżniak.

A więc Roman już wrócił?

Stał za ladą, nad rozłożoną gazetą. Kwiryna przypomniała sobie poranne zajście i minęła go bez słowa. Za chwilę zacznie się przedobiedni ruch w sklepie, a okazało się, że Romana teraz nie można spokojnie zostawiać samego. Weszła do mieszkania zadyszana i nakazała natychmiastowe podanie obiadu.

– Czy Kwiryńcia nie umyje rąk? Przygotowałam wodę.

To Roman zaprowadził zwyczaj mycia rąk przed i po jedzeniu, ale Kwiryna odsunęła ten wymysł od siebie dumnie, zarówno jak i umizgi ciotki. Zjadła obiad byle jak, nie patrząc co je, głośno, rozpryskując zupę i z brzękiem odsuwając talerze. Garbata ciotka zastrzygła uszami, jej nos wydłużył się i zaostrzył ciekawością, to zmusiło Kwiryneę do zapanowania nad sobą. Gdy zeszła na dół, środek sklepu, zapełniony ludźmi, brzęczał jakby pieśnią monotonną, podrywaną głosami spieszących się, niecierpliwych czy po prostu wesołych.

– Ósemkę masła! herbaty! kawy! cukru! sera szwajcarskiego! trzy śledzie!

– Kwiryna zajęła swe miejsce przy kasie i przyjmując należność, wydając resztę, zerkając na wagę, wyławiała wzrokiem z ciżby kogoś znaczniejszego, aby zabarwić swój głos odcieniem życzliwości i poszanowania. Roman za ladą dwoił się i troił w jej oczach. Zawsze tak, w ostatniej chwili wszyscy na raz pędzą do sklepu, kobiety, zabawiające się gawędą, przytomnieją przed samym obiadem.

– Skocz no do Kwiryny po mąkę! ach! zabrakło mi soli! cukru! octu! – Roman piął się na drabinki, wbiegał za przepierzenie, gdzie stały beczki, wyciągał ramiona, schylał się, dziękował, kłaniał, pytał o zdrowie, zmęczony, lecz panujący nad zmęczeniem z twarzą pobladałą, z chłopcącym kosmykiem włosów na czole. Wąty, szczupły. Wówczas, pomna wysiłków i kosztów, jakie włożyła w ratowanie go po rozlicznych chorobach niewoli, postanawiała wziąć pomoc do sklepu. To postanowienie bladło z chwilą, kiedy ruch w

sklepie ustawał. Jeszcze zawsze będzie na to czas.

Roman nie pomylił się już więcej.

Kwiryna znajduje w tym jakąś pociechę i odzyskuje spokój. O tej porze klientela zmienia się i dobre samopoczucie jej wzrasta przy wtórze zamówień, które świadczą o sutych obiadach, przekąskach i deserach. Żądano sardynek, orzechów, sera i najlepszych śledzi, statecznie i cicho wybierano wina. Służące z bogatych kupieckich domów prosiły o pierniki i miód, owoce i szproty. Ktoś nawet zapytał o kawior. Kawior?...

Kwiryna powinszowała sobie dobrego zaopatrzenia sklepu, takiego towaru nie ma w pobliżu. Wojny skończyły się, przetasowano karty i ona umiała przewidzieć, że karty będą przetasowane, a w dzielnicy zamieszkają ludzie nowi, nie ta dawniejsza biedota, co to ani umierać, ani żyć. Dawniejsza biedota też się zmieniła, ludzie zawsze posuwali się po trochu naprzód, ale wojna przyspieszyła bieg, uczyniono wielki skok. Podniosły się zarobki, osiągnęto posady nauczycielskie, urzędnicze i tak dalej, coraz wyżej. Ludzie też wygłodzili się pod każdym względem i teraz chcieli jeść, spożywać, apetyty mieli niezgorsze i na coraz to lepsze rzeczy. To było do przewidzenia.

Przez otwarte drzwi wtargnął gwar głosów, cichy plac ożywał się. W szkole ukończono zapisy i ukazały się osłupiałe matki w towarzystwie zabeczanych dzieciaków. Nie było już wolnych miejsc. Stara szkoła nie zdołała pomieścić wszystkich.

– Zdał, zdał! Wszystko umiał doskonale! Cóż z tego, kiedy nie ma miejsc!

Pokazywano sobie karteczki odsyłające dzieci do szkół na Dzielną, na Orlą, Leszno, Bóg wie dokąd. Ci, którzy mieszkali blisko szkoły, oburzali się.

– To ja mam szkołę pod nosem, a dzieciaka będę gnał tyli świat!

Mówiono też o dwóch zmianach, szkoła pójdzie na dwie zmiany, rano i po południu.

– Co za przewrót w domach!... Obiad na osóbk!

Nikt teraz nie wstępował do sklepu na sodową wodę. Kwiryna, stojąc we drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, przysłuchiwała się rozmowom. Oskarżano nauczycielkę, jak gdyby to ona winna była brakowi miejsc, a to, że mieszka w domu Majewskich, że jest swoja, nie było już zaletą, lecz wadą.

– Wiadoma rzecz – mówiono – że nie skończyła szkół, niedouczona, a przy tym córka szewca, nie umie sobie poradzić z władzami szkolnymi. – Kwiryna nie wiedziała, czy śmiać się, czy oburzać na głupotę i podłość ludzką. O, znała ich, znała i traktowała, jak na to zasługiwali, z góry, bez złudzeń.

Panny Ziemskie rozpyływały się we współczuciu i pocieszaniu: niezadługo będą budować nową szkołę na Nowolipkach, wielki gmach. Słyszały to od

samego kierownika, gdy kupował wodę kolońską. Ale czekaj tatka latka!

– Po coście tyle dzieci narodziły?! – krzyknął gruby głos spod akacji.

Tłuściutka i różowa pani Bauman, żona portiera ze szpitala ewangelickiego, ze zgorzeniem wzniosła ramiona. Bezwstydni! Oto do czego doszło! Kwiryra wybuchnęła śmiechem. Ale w tej chwili śmiech zamarł w jej gardle, dostrzegła dziewczynę, blondynkę, z chłopakiem trzymającym się jej boku. Miała oczy utkwione w sklep, ponad ramionami Kwiryny, zmieszana i uśmiechnięta. Kwiryra obejrzała się. Za jej plecami stał Roman z twarzą tak samo ożywioną.

– No i co? Przyjęty? – krzyknął. Dziewczyna skinęła głową i pociągnęła brata za rękaw.

Kwiryra patrzyła za nimi, szli w Mylną. Po czym wycofała się z drzwi sklepu.

Miała tylko krok do kasy, ale gdy tam zasiadła, usłyszała swój własny oddech, głośny ze zmęczenia. Przeczekała, aż to minie, potem spytała:

– Co to za dziewczyna? – Roman, za ladą już, odpowiedział:

– Dziewczyna?... nawet nie wiem.

– Nawet nie wiem! – krzyknęła Kwiryra szyderczo. – A że zaprowadziła brata do zapisu, to wiesz?

Otworzył szeroko oczy:

– Tego się łatwo było domyślić.

Chciała milczeć, naprawdę, nie chciała mówić dalej, ale już się zaczęło!

– Co cię to jednak obchodzi? – spytała i nie otrzymała odpowiedzi. Wtedy krzyknęła: – Cukier jej też przeważyłeś dziś rano!!

Wzruszył z gniewem ramionami i usunął się w bok, za słoje stojące na ladzie.

To była pierwsza ich sprzeczka i Kwiryne pociemniało w oczach: Zaledwie wczoraj, gdy leżeli w łózkach przed snem, powiedziała mu, że doszła wreszcie do ładu z Majewskimi i kupuje dom. Akt hipoteczny sporządzą w tym tygodniu, przypuszcza go do połowy domu. Połowa domu i połowa sklepu... A już dziś poczuł się w prawie! Kwiryra czuje gwałtowne zwekslowanie, dotąd obracała się w kole określonych myśli i kombinacji, ale teraz zmuszono ją do innego wysiłku. Ogarnęło ją oszołomienie. Co to za dziewczyna? Gdzie się zwąchali? Jak dawno? Czy jeszcze się z nią nie zeszedł, a tylko się do niej zaleca w ten głupi sposób? Kwiryra wstawiała nieraz o świcie i pędziła na dworzec Gdański, Wschodni, Główny, aby przyspieszyć ekspedycję towaru, i zostawiała Romana samego: Prześlepiła taką rzecz, pod samym nosem!... Usiłuje przypomnieć sobie twarz dziewczyny – smarkuła, ledwo rozwinięta, chuda jak patyczek, w jakiejś bluzczynie na płaskiej piersi. I mimo wzburzenia nie może się powstrzymać, aby nie policzyć szybko w myślach, ile takie chuchro potrzebuje, aby się

odgryźć. Potrzebuje więcej niż jakikolwiek inny człowiek.

Spojrzała ze wzgardą na męża. Stojąc przed półkami, Roman ustawia słoje konfitur dobierając gatunki, rozmiar i wielkość. I nagle, jakby zasłona zsunęła się z jej oczu, Kwiryra widzi drugą stronę tej sprawy, teraz dopiero czuje, że traci coś więcej niż jakieś tam pół funta cukru! Uczuwa przeszywający ból, nie może sobie dać rady z tym bólem szczególnym, tego jeszcze nie doświadczała nigdy – co to jest?! I zakryła twarz ręką, by nie wydać z siebie krzyku, głosu nieopanowanego, jakby po raz drugi, w bólu, przychodziła na świat.

Ale czy może sobie pozwolić na chwilę zapomnienia, czy może na chwilę odbiec myślą od sklepu? Oto zaczyna się przedwieczorny ruch, a środek sklepu znów rozbrzmiewa głosami. Ludzie tylko na to czyhają, na roztargnienie. Kwiryra przyjęła banknot i oprzytomniała. Zerknęła na twarz klienta, a potem na pieniądze. Naturalnie, fałszywe. I twarz, i pieniąż. Znów ją chciano nabrać.

Uważać, uważać, uważać! Patrzeć na ręce Romana, patrzeć na ręce kupujących. Ciągle, aż do późnego wieczora, gdy żaluzje zaskrzypią i Roman zasłoni ostatnie okno. I wtedy jednak ogarnia ją niepokój.

– Zamknąłeś dobrze?

– Tak, tak, bądź spokojna.

Właściwie żaluzje powinien zasuwac stróż, ale trzeba by mu za to oddzielnie płacić, i jeszcze pytanie, czy można mu zaufać. Gdy jednak dom prawnie przejdzie w ich ręce, stróż będzie to musiał robić bez dopłaty, a Roman go przypilnuje.

Zamknęli jeszcze małe, ciężkie drzwi od tyłu i jęli wstępować na schody. Słychać było, jak w mieszkaniu garbata ciotka drepce prędko z kuchni do pokoju. Stopnie zatrzeszczały pod ich krokami. Wówczas z góry otworzono drzwi i garbata ciotka wyszła im na spotkanie z lampką w dłoni i przypochlebnym uśmiechem na ustach.

– Chodźcie, chodźcie! Do stołu już nakryte, łóżka posłane. W piecyku też troszkę przepaliłam.

– Po co?!

– Dajże spokój, Kwiryno! – rzekł Roman.

Ilekróć występowała, miała ich przeciwko sobie: ciotkę i Romana. Dlaczego dotąd tego nie zauważyła? I odkąd to garbata ciotka zaczęła się pudrować, rurkować włosy i przypinać olbrzymie kokardy do stanika na piersiach? Kwiryra sięgnęła wstecz pamięcią i stwierdziła, że to się stało po chorobie Romana, gdy wstał już i łąził po domu, a ciotka dotrzymywała mu towarzystwa. Zawarli przymierze za jej plecami, a ona, głupia, była nawet zadowolona, że Roman ma z kim porozmawiać, gdy ona jest w sklepie. Jak oni się do siebie czują! „Proszę cioci...” „Bardzo się Roman dziś, zmęczył?”

Dlaczego nikt nie zapyta o zmęczenie Kwiryny? Przeszła do sypialni, by zdjąć serdak. Nie zapalała światła, z nie domkniętych drzwiczek piecyka padał czerwony blask. Swoją drogą, to miła rzecz taki piecyk. Jednakże mieszkanie jest duże, zima dopiero idzie i ogrzanie tych landar pochłonie wiele węgla. Wyprostowała się i jęknęła, od całodziennego siedzenia przy kasie bolały ją wszystkie kości. Zdjęła serdak i została w swetrze granatowym, zapiętym pod szyją. Chciała przyczesać włosy, lecz nie znalazła na komódce grzebienia. Szukała go na oknie, gdzie dostrzegła błysk zbitego lusterka. Szyby lśnią od światła ulicznej latarni. Czuby akacji rzucają cień aż na sufit. Gole, nie osłonięte okna występują ostro z ciemnych ścian. Z miejsca, na którym teraz stoi, pierwsze piętro front, trzy pokoje z kuchnią, Kwiryna patrzy wraz z swoim domem licznymi oknami w perspektywę Nowolipek. Ma już za sobą uliczkę Mylną, a dom, wysunięty naprzód, stoi na czele trójkąta kamienic. W tej chwili czuje się wrośnięta weń stopami mocno wspartymi o podłogę, ramieniem o mur, jest częścią jego nierozdzielną, to ona i dom patrzą oczyma okien. Świat przybliżył się, odkąd tu zamieszkała. Skwer i akacje. Żelazne, niskie sztachety. Jakże to inaczej wygląda, gdy się patrzy z okien pierwszego piętra, własnej kamienicy, a nie jako przechodzień z ulicy Mylnej. Dużo się zmieniło. Ale pod cukiernią Kaca tak samo drepcą dziewczyny.

Z kuchni dobiegły ją wesole głosy ciotki i Romana. Zawsze, gdy jej nie ma, rozmawiają takimi innymi, podniesionymi i ożywionymi głosami. Zawsze mają sobie wtedy coś do powiedzenia ciekawego. Kwiryna odnalazła grzebień i przyczesła włosy. Jej kroki głucho rozległy się w pustawym mieszkaniu. Ci tam zamilkli, gdy stanęła na progu. Ręka ciotki z drewnianą kopystką zawisała nad miską, Roman, czerwony od ognia, odwrócił się szybko.

– Zachciało mi się placków kartoflanych! – krzyknął.

Kwiryna ze złością odsunęła krzeselko i zasiadła do stołu. Znów wyjdzie dużo tłuszczu, mimo że na stole postawiono otwarte pudełko szprotów, ser i kielbasę. Garbata, ciotka rzuciła kopystkę, by nalać zupę na talerze. Oczywiście, lampa znów rozkręcona była do niemożliwości, dziwne, że szkło dotąd nie pękło. Kwiryna przykręciła lampę i zabrała się do zupy, jednak tak była rozgoryczona, że jedzenie wzięło jej w gardle. Roman, z talerzem placków i gazetą, zajął swe miejsce przy stole, ale ciotka, spłoszona, usunęła się z jedzeniem aż pod płytę. Roman próbuje zagaić rozmowę:

– To nie ma sensu tak późno jadać obiad... – drożna mu powinszować zrzeczności, Kwiryna wzrusza ramionami i wstaje. Naturalnie Roman chciałby, aby podczas największego ruchu zamykano sklep. Tak jak widział to u Niemców. Ona jednak nie straciła, dzięki Bogu, zdrowego rozsądku.

Żar w piecyku jeszcze nie wygasł, a rozesłane łóżka ciągną do spoczynku.

Roman nadszedł z lampą i gazetą. Rozbierając się, ze względu na nie osłonięte okna, przykuca wstydliwie między łóżkiem a komodą. Kwiryna nie zwraca uwagi na te głupstwa, ściga sweter przez głowę, jej pyszne ramiona, gołe, rysują się na tle szyb, obwiedzione linią światła. Olbrzymi, czarny warkocz uwolniony od szpilek padł głośno na plecy. Roman ułożywszy się odkręcił światło, by móc czytać. Wówczas wystąpiły z cienia sprzęty i mroczne kąty.

Sklep wtargnął aż tutaj, do pokoju. Wieńce grzybów rozwieszono na gwoździach, tu gdzie dawniej u Majewskich wisiały obrazy w złożonych ramach. Worki kasz i mąki pod ścianami, paki konserw i gromadki butelek. Kręgi suchych kielbas wieńczą dwa posążki gipsowe, jeszcze po rodzicach. A kulawa komódka dźwiga na sobie słoje marynat. Nie powinno się tu palić w piecach.

Jedną z przyczyn, dla których marzyła o wynajęciu mieszkania po Majewskich, była jego pańskość. Gdy przychodziła tu dobijać targu o sklep, rozkoszowała się atmosferą tak inną niż w ciupce za sklepem na Mylnej, gdzie zapachy kapusty, śledzi, warzyw wisiały gęsto w powietrzu. Siadywała w miękkim, starym fotelu o wygiętym grzbiecie i rozmawiając o interesach, patrzyła na swe odbicie w lustrze o złożonych ramach, wiszącym nad marmurową konsolą. Widziała swą twarz o dobrodusznym i skromnym uśmiechu, co pozwoliło Majewskim traktować ją jak „własną córkę” i iść na wszelkie ustępstwa. Wtedy właśnie myślała o tym, że urządzi sobie taki sam dom z bawialnią i sypialnią, a Roman, któremu ciągle było duszno, będzie miał wreszcie dużo powietrza. W myśli kupowała meble i rozmieszczała je w pokojach, ozdabiała ściany i okna. Ale później wszystko to wywietrzało jej z głowy, w owym czasie zaopatrzenie sklepu nastroczało duże trudności. Wyszło to zresztą tylko na dobre. Cóż Majewskim po fotelach i meblach, kiedy, przeniósłszy się na wieś, do domu z ogrodem, zadłużyli się właśnie u niej, u Kwiryny, po uszy? Instynkt kazał jej robić plany w grubych, zarysach: najpierw sklep Majewskich, potem mieszkanie, teraz dom, zdobywała to kolejno. Drobiazgi same wypadały z kręgu jej myśli, a jeśli przykro nastroczały się w toku dnia, głos wewnętrzny odpychał je: na to zawsze jeszcze będzie czas. Bywały okresy, że pieniądze za towar strugą płynęły do kasy, ale ona nie miała ufności do takiego pieniądza, jej fortuna musi mieć fundament murowany. Tułuby ciułały: złoto.

Roman zgasił światło. Nie słychać było żadnego szelestu, to znaczy, że leży, nie zasnął, z gazetą rozpostartą na koldrze. Teraz pozostała tylko ciemność w pokoju o pustych ścianach, gałęzie akacji rzucały nieruchomy cień na sufit oświetlany światłem ulicznej latarni. Leżeli nogami do okien, wyciągnięci na łóżkach rozdzielonych małą szafką nocną. Kwiryna zdrzemnęła się, jej sen trwał ledwo na przymknięcie powiek. Ale przez to

mgnienie wypłynęła przez okno na łóżku i bujała na straszliwej wysokości nad Mylną, Karmelicką i Nowolipkami. Dom zniknął z jej oczu i ogarnął ją strach, ponieważ pamiętała, że łóżko po rodzicach ma pod siennikiem cienkie deski, oczekiwała trzasku, jak uderzenia pioruna, kurczowo trzymała się poręczy łóżka. Koldra spadła w dół, niczym kamień, ulotniła się poduszka, wszystko przepadło. Kwiryna, z rozpostartymi ramionami, płynęła wyżej i wyżej wśród nieruchomych chmur i rozżarzonych ogni gwiazd, wśród wielkiej ciszy i bezruchu.

Ocknęła się z jękiem. Leżała na wznak, nogami do okien, oczy schwyły obraz skrawka pośpęnego nieba nad akacjami i czarne kominy niedalekich domów. Postanowiła zaraz rano przestawić inaczej łóżka. Ale martwa samotność, której zaznała we śnie, nie ciała się odpędzić, przejęła ją głębokim smutkiem, obcością. Ach, dlaczego pokłóciła się z Romanem, lepiej już o niczym nie wiedzieć, lepiej udawać, że się nie wie, niż ta złowroga obcość. Przecież to był swój człowiek, wybrała go sobie i gdyby nie dało się go uratować wtedy, gdy chorował, pozostałaby, na resztę życia sama. Sama, z garbatą ciotką. Przy tym i tak musi zacząć z nim rozmawiać, gdy pójdą do hipoteki, do rejenta, wstyd też przed Majewskimi. Rzuciła w stronę Romana przyciszzone pytanie.

– Śpisz?

– Nie, nie, nie śpię.

Nie spał? Kwiryna siadła na łóżku i oprzytomniała zupełnie. Nie spał? O czym myślał? W tej chwili nic tak nie chciała zdobyć, jak tylko określenie tego, co się z nią działo, jakąś nazwą, imieniem, jak gdyby to mogło rozwiązać wszystkie niepokój i całą tajemnicę.

– Romanie, co to za dziewczyna, powiedz mi! Ja dłużej tak nie wytrzymam! – I powtarzała w kółko. – Co to za dziewczyna, co to za dziewczyna – z akcentem lamentu, który ogarniał ją jak ogień.

Roman mruknął.

– To nie da zniesienia! – Wstał wlokąc koldrę i drżącymi rękoma ogarniając się nią, szedł ku drzwiom. Patrzyła z osłupieniem. Usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a potem przesuwanego sprzętu. Stała tam kanapka, wygnieciony grat, na którym ongiś sypiała w ciupce na Mylnej, gdy była młodziutką dziewczyną. A więc zatarasował ją drzwi?... Krew uderzyła jej do głowy. Głupiec. Głupiec. Przecież nie pobiegnie za nim. Tak źle jeszcze z nią nie jest.

II

Przez furmana, który przywoził mleko, dała Kwiryna znać Majewskim,

oznaczając dzień ich przyjazdu, ażeby zaś zadzwonić do rejenta, musiała udać się do apteki na Leszno, gdzie aparat telefoniczny mieścił się w osobnym pokoiku. Siedział tam akurat aptekarz nad gazetami, obok na biurku stała taca przykryta koronkową serwetką, syfon wody i butelka z sokiem. Ujrawszy Kwirynę, aptekarz krzyknął.

– Ładne rzeczy się dzieją! co?!

– Co się stało?

– To pani nic nie wie?

Założywszy okulary, jął odczytywać jakiś artykuł o wyborach. Kwiryna słuchała z odętymi wargami, niecierpliwie spoglądając na telefon. Aptekarz, jak przystało na człowieka statecznego, zawsze był kimś umiarkowanym, zachowawczym, a małżeństwo, dobrobyt i szczęście, jakie znalazł przy boku Amelki, wzmogło w nim chęć utrwalenia tego, oparcia na niewzruszonych fundamentach i otoczenia nimbem świętości. Wszelki niepokój świata traktował jako coś zagrażającego mu bezpośrednio. Kwiryna z ironią patrzyła, jak twarz jego w miarę odczytywanych słów czerwieniała z oburzenia i złości.

– Ci socjaliści!...

Natrafiała na chwilę, kiedy aptekarz chwycił oddech, aby zapytać.

– Jak tam interesy?

Aptekarz spojrział na nią z rozczarowaniem sponad szkieł i oblany zimną wodą, odpowiedział.

– Doskonale. Muszę przyjąć jeszcze jakiegoś młodego kolegę na zastępstwo.

– Przecież pan ma już tę pannę prowizorkę.

Ale aptekarz potrząsnął głową. Jest uwięziony pół dnia w aptece i często w najciekawszych momentach nie może wyruszyć na miasto.

– Czy pani wie, co się wczoraj działo, na przykład na uniwersytecie?

Kwiryna potrząsnęła głową.

– Czy to prawda, że telefony podrożały?

– Dziś wszystko jest możliwe – rzekł aptekarz.

– Miałam sobie już założyć aparat, ale wobec tego zaczekam. Czy pan pozwoli, że zadzwonię?

Aptekarz wycofał się, dyskretnie do apteki i Kwiryna uzyskała połączenie. Już przedtem omówiła sprawę z rejentem i temat przeżyła chwilę strasznego wahania, zanim ostatecznie wyjawiała rejentowi swą nową wolę. akt, kupna ma być sporządzony na jej imię wyłącznie. Odstąpiła od zamiaru podziału majątkowego.

Wbrew jej przewidywaniom rejent zdawał się pochwalać tę zmianę. To napełniło ją podejrzeniem, że wie coś o Romanie, że coś dostrzegł, że wszyscy już wiedzą, tylko ona nie wiedziała! Wdała się więc w dłuższą i

dypłomatyczną rozmowę, ale nie zdołała wydobyć z reagenta nic więcej prócz „wrażenia”. Reagent miał wrażenie, że Roman nie jest człowiekiem interesu, miał ponadto wrażenie, że szanowny małżonek jest nieufny, zamknięty w sobie i w ogóle niewyraźny.

Kwiryna potakiwała z bijącym sercem. tak, tak, tak. Czekala jeszcze, bo przecież taki kobieciarz jak reagent, obstawiony urzędniczkami i maszynistkami niczym Turek, musi znać się na ludziach. Ale reagenta obchodziła ta sprawa raczej od strony kobiecej i porzuciwszy Romana, jął wychwalać jej zmysł trzeźwości, szybką orientację itd. Kwiryna ze zdumieniem stwierdziła, że reagent jakby się do niej zaleca, i pomyślała z gorzką dumą w stronę Romana. „Widać, że nie jestem już taka ostatnia”. Po czym poczuła się tak dobrze i pewnie, że mogła stawić czoło nawet pańskim fumom Amelii.

– Czy Amelka jest na górze, u siebie?

Niestety, Amelka od rana przebywała w domu parafialnym, u księdza, na posiedzeniu komitetu pań. Aptekarz, w białym fartuchu, kręcąc jakąś miszkulancję w porcelanowej miseczce, rozwiódł zachwyty nad pracowitością i dobrym sercem swej żony.

– Przedwczoraj dopiero skończyła serwetę na ołtarz, a już wczoraj wieczorem własnoręcznie przykroiła sukienki dla biednych dzieci parafii.

Aptekarz bał się o jej oczy, ale widać było, że jest zadowolony z poczynań żony. Zapraszał Kwirynę na wieczór, co za miłe mają wieczory, kiedy jest wolny od dyżuru i gromadzą się we trójkę przy stole... Drzwi od sieni stuknęły, aptekarz spojrział spod szkieł i krzyknął.

– Otóż i mamusia!

Pani Raczyńska, w czarnym szewiotowym kostiumie, ubrana już do wyjścia, weszła z listem w ręku, poruszona czymś ogromnie.

– Na miłość boską, gdzie Amelka? List od Cechny!... list od Cechny!... – Miała jeszcze na tyle przytomności, że skierowała swe kroki do pokoiku, ale tam z miejsca rozsłochała się. – Moje dziecko! moje dziecko!...

Od iluż to lat nie wymawiało się imienia Cechny w tym domu, i teraz możność opowiadania o niej wprawiła panią Raczyńską w stan gorączkowego zupełnie podniecenia. Aptekarz po daremnym uspokajaniu słowami.

– No, mamusiu, nie wzruszać się, nie wzruszać... – wyszedł po walerianę. Kwiryna przygotowała szklanekę z wodą. Ale pani Raczyńska energicznym gestem odsunęła od siebie to wszystko.

– Czyście widzieli fotografię?

Drżącymi palcami wyciągnęła z koperty sztywny karton i ukazała fotografię amatorską, na której miły berbec w puszystej, białej szubce śmiał się całą buzią. Aptekarz, z szklami osadzonymi jak najlepiej, pochylił się, a potem wyprostował, przetaił szkła i zapytał.

– Co to jest? – Pani Raczyńska szepnęła rozdygotanymi wargami.

– Dziecko.

– Czy Cechna wyszła za mąż? – spytała z osłupieniem Kwiryra. Aptekarz niecierpliwie i z zakłopotaniem zabębnił palcami po biurku, a pani Raczyńska, zaczerwieniona po uszy, spojrzała na nią z wyrzutem.

– Naturalnie – rzekła – właśnie mi pisze...

I poprosiła zięcia, aby przeczytał list głośno i wyraźnie, bo ona z tego wszystkiego myśli zebrać nie może, a litery skaczą jej przed oczyma.

Aptekarz przeczytał, że Cechnie powodzi się doskonale, ma swój dom, męża i dziecko i bardzo żałuje, że okoliczności dotąd nie pozwoliły jej skomunikować się z rodziną. Ale teraz ma nadzieję, że wkrótce będzie mogła wpaść z mężem do Warszawy i uściskać wszystkich swoich.

– Niedobre dziecko!... – wyjąkała pani Raczyńska – jak ona mogła... tak długo.

Kwiryra spojrzała na kopertę. List był adresowany na Nowolipki.

A więc Cechna nic nie wie! Nie wie o małżeństwie Amelki, o przeprowadzce, nie wie, że małe kończą już pensję. Pani Raczyńska znów się rozplakała.

– Niczego więcej nie pragnę, tylko dożyć tej chwili, kiedy wszyscy zbierzemy się razem.

– Wyprawimy bal, mamusiu – rzekł aptekarz – ubijemy wołu.

Pani Raczyńska uczuła potrzebę modlitwy, wstała, by pierwsze kroki skierować do kościoła, do stóp ołtarza, podziękować za wszystkie łaski, jakie niebo jej zsyła.

– Ile ono może mieć? Jak wam się zdaje? – medytowała jeszcze nad fotografią. Ale ani Kwiryra, ani aptekarz nie znali się tak dalece na dzieciach, aby mogli określić wiek puszystej szubki.

– I pomyśleć – krzyknęła pani Raczyńska – że ona nawet nie pisze, czy to córka, czy syn – po prostu dziecko i już.

Aptekarz, wezwany do apteki, oddalił się. Wtedy pani Raczyńska objęła Kwirynę, aby uściskać ją z całej siły.

– Ach, moja droga, moja droga!... – Teraz dopiero przyjrzała się rzadkiemu gościowi i zapytała współczująco. – Co też u ciebie słychać? Tak zmizemiałaś!

Przez moment Kwiryra uczuła chęć oparcia czoła na ramieniu pani Raczyńskiej i zapłakania, zwierzenia się ze swych zmartwień. Zamiast tego rzekła.

– Kupuję dom od Majewskich, wie pani. Właśnie dzwoniłam do rejenta.

– O! – zawołała pani Raczyńska z odcieniem uszanowania – jaką ty masz głowę, Kwiryno!

Zaproponowała jej wspólną modlitwę u Panny Marii, może też odnajdą

tam Amelkę, Ale Kwiryra przypomniała sobie, iż Roman został sam w sklepie, i pożegnała się gorączkowo.

Dopiero teraz na ulicy, może ze względu na ostateczny telefon do rejenta, a może na widok atmosfery pogody i szczęścia w domu Amelki, zdała sobie Kwiryra sprawę, jak wielkie zmiany zaszły w jej życiu. Miała tylko Romana, a on zawiódł ją. Obdarowała go dobrem, przecież gdy go poznała, był chłopcem na praktyce w sklepie u kupca, a gdy wszedł w jej dom, nie miał na sobie nic prócz zawszonych łachmanów jeńca. Zawiódł ją, knuł coś za jej plecami, dla wszystkich zrobił się dobry i miły i nawet z garbatą ciotką miał coś zawsze do pogadania, a ona czuła się zbędna i obca w swoim własnym domu. Obca? O, nie. Ma ich w rękę. Ona jest w pozycji aptekarza, w roli dawcy, powinni koło niej skakać, tak jak Amelka i pani Raczyńska skaczą koło pana domu. A jeśli tego nie robią, to ona ich nauczy.

Wracała do sklepu z bronią w rękę, z biczem na Romana. Nie będzie podziału majątkowego. To otworzy usta Romanowi. Dowiedziawszy się o tym, pewnie nie umknie do drugiego pokoju. Tylko że role się zmieniają. Nie ona będzie pytała i prosiła, tylko on.

Ale Roman nie zwrócił uwagi na tę całą sprawę. Nadszedł oznaczony dzień, przyjechali Majewscy i Kwiryra udała się wraz z nimi na Hipoteczną, a Roman nie zainteresował się wcale, czemu został pominięty. Tak jak gdyby wypadło mu to z pamięci, jak gdyby połowa domu była groszem, po który nie warto się schylić. Kwiryra przyglądała mu się posępnie. To przechodziło jej pojęcie, żeby kto zapomniał o obiecanej połowie domu. Jednak on zdawał się właśnie zapomnieć na śmierć, na amen. Ręce jej po prostu opadły. Natknęła się na coś niezrozumiałego, ciemnego i skrytego w Romanie i nazwała to nieznanym imieniem dziewczyny, zaprzeczając sobie zaraz i wracając nieodparcie ku tej myśli.

Wieczorem, gdy już spoczywali, przy bladym świetle latarni ulicznej (łóżka jeszcze nie przestawione!), nagle zapytał.

– Jak właściwie jest z tym domem?

Kwiryra spostrzegła, że długo się nosił z pytaniem, i ogarnęło ją podniecające uczucie triumfu, ale odpowiedziała ostrożnie.

– O co ci chodzi? – Przygotowywała się do walnej rozprawy i zdumiało ją następne pytanie.

– Czyś kupiła za gotówkę? – Uniosła się na posłaniu, wsparta na łokciu, spojrzała na Romana. Latarnia użyczala na tyle światła, iż oczy jej odnalazły jego twarz, ale nie zdołały pochwytać rysów i odczytać wyrazu. Ten zagadkowy, piękny i młodzieńczy kształt na pościeli – to był Roman. Patrzyła na coś ciemnego, niezrozumiałego, obcego jej pojęciom – to był Roman. Doznała uczucia, jakby stała nad ciemną wodą, przed murem nie do przebycia, nad przeszkodą nie do wzięcia, wściekle, nieugaszone poczuła w

sobie rozdrażnienie. Wszystko, co w niej było władczego, żadnego posłuchu, ocknęło się nagle. Zniszczyć, poniżyć, owładnąć nim... Nie wiedząc prawie, co czyni, swymi mocnymi ramionami objęła Romana dławiąc go, dusząc, z pomrukiem niezrozumiałych gróźb i wściekłości, prośby i wzgardy.

Taki był mały przy niej. Słaby. Chuchro. Nic.

III

– Prędzej, prędzej! bo się spóźnimy!... – Aptekarz od rana popędzał Amelkę i panią Raczyńską, nie dał im ani ubrać się spokojnie, ani zjeść. Pani Raczyńska, z wypiekami na twarzy, biegła między oficynką, gdzie po ślubie Amelki ulokowano małe, a mieszkaniem aptekarzystwa na pierwszym piętrze. Jej chudoba była i tu, i tam.

– Gdzie mój żabot?! Dopiero co byłam w oficynie i znów muszę wracać! Już nóg nie czuję!

Amelka najspokojniej w świecie ubierała się w swej sypialni. Głęboko o czymś zamyślona. Ale, gdy usłyszała zniecierpliwiony głos aptekarza-męża, ręce jej zadrżały i puder posypał się na czarną suknię.

– Czyś już gotowa? Nareszcie!

Na ulicy wszyscy troje obrzucili się uważnym spojrzeniem. Aptekarz w futrze z fokami, pani Raczyńska w czarnym płaszczu z kołnierzem skunksowym, Amelka w karakułach. Zdenerwowanie minęło i poczuli się jakoś dobrze.

– Czy pojedziemy?

– Nie, przejdziemy się.

Tramwaje nie szły. Na ulicy panował senny spokój. Amelka ostrożnie stawiała stopy w cienkich pantofelkach. Udała, że przez zapomnienie nie wzięła kaloszy.

– Ach, zapomniałam kaloszy. – Ale aptekarz za nic w świecie nie chciał zawracać, a pani Raczyńska gniewnie zacisnęła usta. Wiedziała dobrze, że Amelka zrobiła to umyślnie, przez głupią elegancję. Chodnik zalegało błoto tak dalece, że aż chlupało pod nogami. Naturalnie, w takim dniu nikt nie myślał o sprzątaniu.

– A jednak właśnie dziś powinni uprzątnąć! – rzekła głośno pani Raczyńska.

Aptekarz ze względu na swoje przekonania polityczne nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej, że nie jest sprzątnięte, czy to źle, czy dobrze, że nie idą tramwaje? A więc przemilczał. Pozostawała kwestia, dokąd się udać wobec opóźnienia?

– Jak mama myśli, czy pod Belweder, czy na plac Zamkowy?

Pani Raczyńska była zdania, że jeśli już mają „coś widzieć”, to muszą iść w stronę Belwederu. Na placu Zamkowym kondukt ma tylko kilkanaście kroków do Zamku, skręci do bramy i już. Czy przez taką chwilę można będzie coś zobaczyć?

Aptekarz przyspieszył kroku, przecież to kawał drogi. Pani Raczyńska usiłowała dotrzymać mu towarzystwa, ale Amelia dreptała i zostawała w tyle. Przechodząc koło wystaw sklepowych, odnajdywała w szybach odbicie swojej postaci. Matka przychwyciła ją na tym i zmartwiona potrząsnęła głową. Ach, ta jej próżność, ta próżność!. Odkąd Amelka ma pieniądze na to, żeby się stroić, tonie w próżności. Mogłaby przynajmniej robić to tak, aby aptekarz się nie spostrzegł. Pozwoliwszy zięciowi iść naprzód, została w tyle, aby upomnieć Amelkę.

– Nie opóźniaj się, bo Filipa to drażni, idź razem z nim. – Amelka wyprostowała się i dopędziła męża.

Na Rymarskiej natknęli się na delegację Żydów w długich i uroczystych chałatach. Aptekarz zauważył ironicznie.

– Bez nich tam się nie obejdzie!...

Pani Raczyńska zwróciła uwagę na flagi, opuszczone i zdobne w kokardy z krepy. W sklepach wystawiono portrety zamordowanego prezydenta¹. Pani Raczyńska wpadła w podniosły nastrój i zaczęła szeptać wieczny odpoczynek. Ale aptekarz, gniewny i podniecony, zwrócił na nią swe spojrzenie i wargi jej przestały się ruszać.

– Inaczej nie mogło się to skończyć! – rzekł posępnie.

– Ale... dlaczego? – zapytała Amelka melodyjnie i bezmyślnie.

Aptekarz przystanął i wybałuszył na nią swe blade oczy. Amelka zmieszana się.

– Jak to dlaczego? Tyle razy ci tłumaczyłem, a ty znów nic nie wiesz? Wybrano go wbrew woli narodu, znieważono naród, przecież wybrali go Żydzi, komuniści i socjaliści....

Amelka przypomniała sobie gazety czytywane głośno przez aptekarza, sławo w słowo to samo. Chodząca gazeta. Skinęła głową, a aptekarz ruszył naprzód, rozgoryczony. Po raz pierwszy powziął podejrzenie co do wlepionego weń spojrzenia żony przez wszystkie te wieczory, gdy odczytywał głośno gazetę, a ona siedziała naprzeciw, zajęta, szyciem sukienek barchanowych dla biednych dzieci parafii, i słuchała z natężoną uwagą. A jeśli otworzyła usta, to tylko po to, aby wydać okrzyk zgrozy, przestrochu, oburzenia, co świadczyło, jak żywy brała udział w śledzeniu wypadków politycznych. A teraz najspokojniej w świecie zadaje takie pytanie!

¹ *Chodzi tu o pierwszego polskiego prezydenta Gabriela Narutowicza, który został zamordowany w 1822 roku przez fanatycznego reakcjonistę.*

Pani Raczyńska, której przerwano... „wieczny odpoczynek...”, odczuła coś w rodzaju buntu przeciwko zięciowi. Zawsze działała kojąco, dbała o spokój w swym domu: cicho i zgodnie – to było jej hasłem. Dała się jednak wciągnąć aptekarzowi w grę, kiedy jej powiedział, że wyrzucono krzyż z sali sejmowej. Tedy pani Raczyńska stanęła po stronie aptekarza, a wszystko, co się potem stało, było przez nią dokładnie przewidziane jako kara za grzechy, nic innego. Jednak co teraz robi sam aptekarz? Jak postępuje? Przecież kościół nakazuje modlitwy za zmarłych.

Musieli zwolnić kroku, chodniki płynęły falą ludzką w stronę Belwederu. Szmer kroków, odgłos posuwanych stóp, poza tym zupełne milczenie. Aptekarz chciał jak najprędzej dostać się do Alei i skręcił w przecznicę – była już zapełniona. Przypomniał sobie, że wczoraj w aptecce rozmawiał z pewnym przodownikiem policji, który miał tu gdzieś służbę, i uparł się, aby go odszukać. Amelka, idąc za mężem, z roztargnieniem wodziła oczyma po plakatach rozlepionych gęsto na murach.

– Obywatele, Polacy! Bracia Chłopi! Ludu pracujący! Towarzysze! Narodzie! Synowie i córki nasze!

Nic nie rozumiała, to prawda, to jej się w głowie pomieścić nie mogło. Zdawało się teraz, że cały naród żałuje, a przecież znaleźli się tacy, co zabili prezydenta. Aptekarz, jej mąż, usprawiedliwiał to zabójstwo, to jedno tylko zrozumiała z jego mętnych wywodów, a teraz idzie na pogrzeb. Dlaczego?

Czego chcą socjaliści, kto to są narodowcy? Mimo ciągłych wykładów męża nie mogła się zorientować w partiach politycznych. Przedtem to było zrozumiałe, występowano przeciw Rosji, a potem przeciw Niemcom, to było jasne. Miała dużo dobrej woli, chciała zrozumieć i wyjawiała swe wątpliwości aptekarzowi. Aż ręce załamał i zaniemował, przez co dał pani Raczyńskiej możliwość naprawienia niezręczności córki.

– Ależ, Amelciu, zawsze tak było! Nie, pamiętasz?! Jedni śpiewali „Boże coś Polskę”, a drudzy „Czerwony sztandar”.

Amelka zawstydzila się wówczas głęboko, a aptekarz odzyskawszy głos oświadczył, że jej nieświadomość uchodziła na Nowolipkach, ale jego żona musi być kobietą światłą.

Teraz nie odnalazł przodownika i rozgniewał się na swoje panie. Gdyby się tak nie guzdrały z ubieraniem, byłiby tu wcześniej, zanim nadpłynęły tłumy. Upatrzył sobie nawet doskonałe miejsce na rogu Bagateli.

– Tam widać wszystko jak na dłoni!... – Nagle przypomniał sobie, że znajomy przodownik miał służbę na Szopena, i jał się przeciskać w tę stronę.

Nie rozjaśniło się, dzień pozostał posepny, chmurny i cichy, niebo wisiało tuż nad ulicą, niby całun żałobny. Amelia, popychana i przynaglana przez męża, ujrzała nagle przed sobą drzewa Alei Ujazdowskich, nagie, czarne i nasiąknięte wilgocią. Wokół – milczący tłum z odkrytymi głowami zalegał

chodnik. Aptekarz, z wyciągniętą szyją, wspięty na palce, tkwił przed nią. Za sobą usłyszała głos matki, przyciszony, i pomyślała z niezadowoleniem. „Mama już z kimś zawarła znajomość”. Aptekarz odwrócił się i szepnął rozjaśniony.

– Są wszyscy, wszyscy! – Twarz jego przybrała wyraz zadowolenia. Dostrzegł twarze znane z fotografii, głośne nazwiska, przywódców. – Przyznam ci się – szepnął do ucha żonie – że byłem już niespokojny, czy to wypadało przyjść na ten pogrzeb, ale widzę, że dobrze zrobiłem.

Amelka niepewnie skinęła głową i ogarną ją niewytłumaczony wstyd. Na pogrzeb idzie się z żalu, z smutku, w żalobie, a nic przecież z tych uczuć nie było w aptekarzu. Ona poszła tylko za mężem. Pani Raczyńska, która często bywała na wyprowadzeniu zwłok ludzi zupełnie nieznajomych, zachowała się jak zwykle. Amelka dosłyszała jej głos.

– Czy zostawił rodzinę?

– Tak, syna i córkę – odpowiedziano. Pani Raczyńska dowiedziała się ponadto, że zmarły był uczonym, który zyskał sobie sławę i miłość ludzką za granicą, że wrócił do kraju, aby pracować dla swoich. To było zupełnie coś innego, niż mówił Filip, ale to pozwoliło pani Raczyńskiej z współczuciem odmówić modlitwy za zmarłych.

Sztandary spowinięte krepą, sukmany chłopów, zwarty blok stowarzyszeń robotniczych – przejęły aptekarza mimowolnym szacunkiem i podziwem. Ależ to prawdziwa żałoba! Teraz, gdy stał tu, nie mógł sobie zdać sprawy z swych uczuć. Nie wiedział, jaki przybrać wyraz twarzy, oblekł się w powagę. Z posępnego nieba osunęły się ciężko ogromne płaty śniegu. We mgle i mroku grudniowego południa zapalone latarnie drżały wątłym światłem. Głucha cisza stała się jeszcze głębsza, stłumiona i miękka od śniegu. Nagle od Belwederu nadpłynęły wysokie dźwięki trąb. Tłum drgnął, zwrócił głowy w tamtą stronę i zastygł.

Ukazało się duchowieństwo, długi szereg habitów zakonnych, z zapalonymi światłami. Trumna nadpłynęła z wysoka, okryta sztandarem. Głuchy łomot kopyt końskich padał nieodwołalnymi uderzeniami. Amelka ujrzała tuż za trumną młodzieńca, wzrok jego sunął po tłumie zalegającym chodnik. Syn.

– To syn – szeptano.

Zdawało się Amelce, że przez moment wzrok ten dotknął jej twarzy pytającym spojrzeniem, i zadrżała. Wzniosły się westchnienia. Wśród żałobnego tłumu zabielały wyciągane pospiesznie chustki. Pani Raczyńska nie mogła powstrzymać łez, płakała, nawet aptekarz był poruszony i przejęty. I pomyśleć, że można oddać życie za coś podobnego, za ten tłum wokół, rządzony najsprzeczniejszymi uczuciami, otepiały i nieświadomy?... Amelka wiedziała dobrze, co to jest fałsz, całe jej życie, jej młodość pierwsza

naznaczona została udawaniem uczuć, których nie doznawała. Wtedy musiała tak postępować, ale teraz czemu? Dlaczego przytakuje mężowi, skoro nie podziela jego nienawiści, wzdyga się na jego parskanie, nie cierpi, kiedy Filip mówi jak chodząca gazeta... Wystrzegąca się, aby źle nie myśleć o mężu, śmiertelnie się bała, aby nie zaczęło się to samo, co z panem Michałowskim, aby nie zaczęła z niego szydzić po cichu, wytrząsać się nad nim i naigrawać. Wówczas wszystko się popsuje. Teraz, kiedy jej było tak dobrze, pragnęła widzieć koło siebie tylko rozjaśnione, zadowolone twarze. Chciała widzieć Filipa mądrym i dobrym, i wyrozumiałym. Strzegła się uświadomienia sobie jego wad i śmieszności. Ale to się samo nastęrczało, tak jak dzisiaj, musiała o tym myśleć, gdy biegł tu ciekawy i rozgorączkowany, a teraz tracił na minie, ponieważ pogrzeb był wspaniały, a powszechna żałoba nie odpowiadała jego uczuciom.

Popychana przez następujące z przecznic delegacje, Amelka znalazła się w środku konduktu. Ulica płynęła teraz ścisłą, falującą rzeką za trumną okrytą sztandarem, lśniąca jak czerwona kropla stężała w mroku posępnego dnia. Huk dzwonów niósł się nisko nad głowami. Nic nie mogło wznieść się, wzlecieć, wyzwolić, niewymowny ciężar wisiał nad miastem. Amelka czuła to jak ucisk ze wszystkich stron, nacisk ludzi i posępnego nieba. Gęste i ogromne płaty padały prosto i ciężko, śnieg pokrył ulicę.

Usłyszała za sobą szept męża:

– Źle się stało. To był czyn niepoczytalnego człowieka, nikt temu nie jest winien. – Tak, tak, teraz się cofa. Znów zaczniesz rozwijać pod nią nowy punkt widzenia. Amelka westchnęła. Ciągłe w nią coś wklepywano, odkąd zapamiętać zdoła, panie z Sewerynowa swoje, matka swoje, a teraz aptekarz. Głowa ją rozboleła. Rozdrażniona i osowiała, patrzyła, jak trumna znika pod niskim sklepieniem bramy Zamku. Wokół niej ludzie odstępowali z twarzami tak samo osowiałymi, pełnymi zmęczenia i smutku.

Pani Raczyńska odnalazła się w sam czas, by rzec rażno:

– No, teraz śpieszmy na obiad. – Aptekarz, niepewny ciągle, zapragnął jakiejś ulgi, ciepła domu i zaproponował, by Amelka wstąpiła po małe i zaprosiła je na obiad: Zaszedł do Loursa, by zakupić pudło ciast, zadowolony, że znalazł dobre zakończenie dnia. Słyszał już rozgwar głosów przy stole, gdzie królowała, pani Raczyńska rozlewała zupę, a Amelka podawała talerze, najpierw, oczywiście, mężowi...

Ale małe słuchać nie chciały o wspólnym obiedzie. Rozpałyły właśnie ogień w kuchence i pitrasily jakąś ulubioną potrawę. W jasnych szlafroczkach kręciły się po pokoju umeblowanym sprzętami z dawnego mieszkania matki na Nowolipkach. Kanapę i miękkie fotele pokryto na nowo zielonym rypsem, stół pociągnięto politurą, łóżka zasłonięto parawanami. Naturalnie, czuć było gotowanie. Amelka przysiadła na kanapie w futrze i namawiała siostry, by się

ubrały. Nie mogła zrozumieć, że siostry wolą swoją ciupkę niż jej przestronną jadalnię, gdzie było tak czysto, wonnie, na stole stały kwiaty.

– Chcesz wiedzieć? – rzekła Helenka.

– On jest taki nudny, ten twój Filip – postawiła jasno sprawę młodsza, Fela. – Ciągle chce się przed kimś popisywać, po to nas zaprasza.

Zjawiła się pani Raczyńska z energicznym upomnieniem.

– No, dzieci, dzieci, czekamy na was! – I dodała: – Nie zapominajcie, jaki Filip jest dobry, zafundował dla was ciastka. A pogrzeb był wspaniały, ach, wspaniały! Spłakałam się...

IV

W dwóch kątach pokoju małżeństwo pogrzyżyło się całkowicie w załatwianiu swych spraw. Otworzywszy szafę w murze Ignacy wyciągnął z głębi stary plecak i wytrząsnął jego zawartość wprost na podłogę. Magdalena, podpisując szybko jakiś karteluszek, usłyszała hałas i rzekła z roz targnieniem:

– Ach, co ty wyprawiasz!... Czego właściwie szukasz?

Szukał fotografii do, pamiątkowej księgi legionów, ale pierwszą rzeczą, na którą się natknął, była czerwona wstążka, związana w kokardę, wygnieciona, spelzła i brudna: Leżała wśród pogiętych orzelków, maciejówki, odznak pułku, wystrzelonych naboju, srebrnych naramienników, fajeczki, pustego pudełka od papierosów z datą nakreśloną na wieczku atramentowym ołówkiem, fonografii, listów i kart pocztowych. Podjął ją, zaintrygowany, jednak na próżno szukał w pamięci, czerwona wstążka jakoś nie wiązała się z tym okresem czasu. Kiwając się na swych długich nogach, trochę zgarbiony, w rozpiętej kurtce domowej, Ignacy rzucił szereg głośnych pytań, patetycznie i drwiąco:

– Co znaczy ta pamiętna ongiś data? Cóż to za wystrzelony nabój? Czyjąż główkę zdołała ta czerwona kokarda?

– Cicho bądź!... – rzekła żona.

Podszedł na palcach i przymierzył wstążkę do włosów Magdaleny, rozmieszony kontrastem, jaki stanowiła z gładką jej fryzurą.

– Czy ty się wreszcie uspokoisz! Co cię dziś napadło?!... – Odwróciła się i kokarda spadła na biurko. Teraz trzymała ją w końcach palców, ostrożnie. Jej granatowe, mocne i pyszne oczy dostrzegły w zasuplanym węźle kilka włosów. Rzekła: – W każdym razie to nie są moje włosy. Za ciemne.

Ignacy roześmiał się.

– Po co, u licha, zachowałem to?

Magdalena odpowiedziała:

– Na dobrą o kimś pamięć. – Z miną eksperta orzekła, że kokarda musi

sięgać okresu przedwojennego, ponieważ w czasie wojny nie bawiono się w warkocze i kokardy. Po czym zgrabnie odrzuciła wstążkę. – Wynoś się, bo mi przeszkadzasz.

Weszła pokojówka, w białym fartuszkach i czepeczku, wymusztrowana, meldując:

– Proszę pani, przysłała ta pani...

Magdalena zarządziła:

– Poproś, żeby zaczekała, i podaj nam tu zaraz herbatę.

Ignacy, ciągle z wstążką w ręku, pochylił się nad rozrzuconymi okruchami dawnej chwały, a ponieważ było mu niewygodnie, siadł na podłodze. Żona uważała, że strasznie łatwo jest utracić powagę i znaczenie u służby, i poprosiła:

– Wstań, Ignacy, chociaż na chwilę, kiedy ona będzie podawać herbatę.

– Ani mi się śni.

Pogrążony w odczytywaniu listów, otrzymał herbatę na podłogę, wraz z talerzykiem ciasta i konfiturami. Magdalena, złożony swe papiery, zapragnęła rozmowy.

– Skończ z tym czytaniem, dobrze? Mam przykrą sprawę do załatwienia.

– Czy mam cię wyręczyć?

Parsknęła śmiechem.

– Nie, na miłość boską! – I opowiedziała, że jedna z członkiń zarządu, którego była przewodniczącą, poskarżyła się na sekretarkę, że ta bałamuci jej męża.

Ignacy wskazał na drzwi.

– To ta?

Magdalena skinęła głową.

– Uhm... Muszę się z nią rozmówić. Żądają jej wydalenia. Mówią, że ma fatalną opinię, że jest... no wiesz...

Siedząc na podłodze po turecku, Ignacy z powagą oznajmił, że wojna stworzyła nową kastę kobiet. Jest taka panienska na posadzie, trudzi się biedactwo, a potem okazuje się, że jej właściwe zajęcie jest zupełnie inne. Ale Magdalena uważała, że takie rzeczy nie mogą spadać na człowieka tak nagle jak cegła na głowę. Dotychczas było wszystko w najzupełniejszym porządku i raptem jakby się worek rozsypał.

– Gdyby się chociaż stroiła! – rzekła bezmyślnie Magdalena.

– Więc nie?

– Nie. Powiadam ci, nie wygląda na to. Coś w tym tkwi. I to przed walnym zebraniem, a ta dziewczyna pracuje doskonale. Zupełnie nie wiem, co robić...

Widać było jedno, że jest zdecydowana bronić całości swej pracy, bronić sekretarki. Miała za złe damie z zarządu, że bezwstydnie ujawnia swe

rozdźwięki małżeńskie i że żąda zadośćuczynienia tego rodzaju.

Ignacy, ubawiony, dołożył starań, aby zaognić sytuację. Dobra jest taka paniusia, co? A jeśli to nieprawda? Kobiety są podejrzliwe i mściwe. Z drugiej jednak strony dochodziły go słuchy itd. Trwało to chwilę, zanim Magdalena zorientowała się, że mąż naciąga ją po prostu, i naprawdę rozgniewana, powstała.

– Ach, te twoje żarty!...

Ignacy odnalazł wreszcie fotografię i wśród licznych malutkich i bladych twarzy poszukał siebie. Stał z boku, w mundurze, niedbale wsparty plecami o mur jakiejś przygodnej siedziby. Czy ta się nada do reprodukcji? Zgarnął manatki do plecaka i poszedł do gabinetu. Z przyległego pokoju dobiegł równy, spokojny głos żony. I nagle cała ta historia wydała mu się tak dalece niesmaczna, że obruszył się na nie domknięte drzwi.

Siadł cicho przy biurku, wyjął czysty arkusz z kasety i zaczął pisać: „Moi drodzy! Przysyłam...”

Magdalena mówiła w drugim pokoju:

– Przecież te rzeczy nigdy nie są całkowicie bezpodstawne, powinna pani uważać na swoje postępowanie. Pani X jest osobą zbyt poważną, aby...

Ignacy pomyślał: „Dlaczego tamta milczy?” Po prostu dlatego, że Magdalena mówi nieprzerwanie. Wydało mu się nieprzyzwoitością to niedopuszczenie do głosu oskarżonej. Magdalena zaczęła się denerwować:

– To jest dla mnie niesłychanie przykra sprawa, miałam do pani takie zaufanie...

A potem:

– Gotowa jestem jednak...

Ignacy usłyszał nagle blisko, tuż za drzwiami, cichy głos:

– Proszę panią o zwolnienie.

Magdalena krzyknęła:

– Jak to? Chce pani odejść?... – Opanowała się natychmiast i rzekła sucho: – Jak pani uważa. Ale decydując się na ten krok, sama pani wydaje na siebie wyrok.

Czy odpowie co? Ignacy nasłuchiwał chwilę. Nie. Więc napisał dalej:

– „...wam fotografię. Jest marna. Zwróćcie się jeszcze do Kozackiego, może on...”

Cichy głos zapytał za drzwiami:

– Komu mam przekazać sekretariat?

Ignacy, pomyślał: „Oto co się nazywa odebrać partnerowi kartę”. Jakoż Magdalena oznajmiła niepewnie a, grzecznie:

– Dam pani znać do biura. – Usłyszał stuk odsuwanego krzesła i zanim zdążył powstać, panie przeszły przez pokój. Skłonił się niezręcznie, choć na niego nie patrzono i nikt nie oczekiwał żadnych grzeczności. Nagle kobieta,

idąca przodem, wydała mu się znajomą. Ta pochylona trochę w bok głowa, lekkie, wahające się kroki... Znikła.

– To niesłychane! – rzekła Magdalena wracając. – Słyszałeś?

– Tak, słyszałem... – Tknięty jakąś myślą stał chwilę, nagle przedarł niedokończony list i zadecydował: – Zaniosę im sam.

– Ona jest winna! – z przekonaniem oznajmiła Magdalena – i ani słowa usprawiedliwienia, żadnych wyjaśnień, nie!... doprawdy! Nie, nie, jeśli miałam jakieś wątpliwości, to teraz...

Ale Ignacy nie słuchał już reszty. Wyszedł.

I zaraz za domem zobaczył ją wylaniającą się z za węgła narożnej willi. Musiała nie znać tej nowej dzielnicy i obeszła blok dookoła. Podniosła głowę, aby odczytać nazwę ulicy, i wtedy ujrzał jej twarz.

To była Bronka.

Cofnął się, przeczekał, a potem poszedł za nią w zapadającym szybko zmierzchu. Trzymała się drucianych siatek ogrodzeń, za którymi niskie krzewy spały jeszcze zimowym snem. Chwilami słyszał stuk jej wysokich obcasów w miejscach, gdzie wiatr zwiął śnieg i płyty chodnika ukazywały się obnażone. Szedł wolno, zatrzymywał się, ale ani jednej myśli, nic, prócz głuchego pociągu, prócz chęci wędrowania za nią pustymi ulicami. Przeszła plac i skręciła w Koszykową. Uczuł słabe zainteresowanie, gdy przechodzili koło dawnego jego domu rodzinnego. Ale przeszła bez żadnych oznak uwagi, krokiem równym i prędkim.

Weszła do narożnej cukierni i za chwilę ujrzał na białym tle firanki jej ciemny cień. Dwie głowy, naprzeciw siebie, przy małym stoliku. Ściśnięta staniczką pierś drżała w przyśpieszonym oddechu, lekko odęte, tak znane wargi snuły cienką nić dymu. Zupełne zatarcie się rysów sprawiło, iż ciemna maska tej twarzy stała się zagadkowa i odległa.

Odstąpił stąd i wpadł w pierwszy lepszy przechodzący właśnie tramwaj.

V

Strajk!... Prosto z odczytu o higienie zawodowej Ignacy wpadł do domu po niezbędne drobiazgi, aby tej jeszcze nocy udać się do Dąbrowy Górniczej. Odczyt urządzony staraniem stowarzyszenia społecznego, na czele którego stała Magdalena, wypadł nadzwyczajnie. Ignacy był zdumiony wielką liczbą osób na pozór nie mających nic wspólnego z tą dziedziną zagadnień. Co chwila słyszano przy wejściu na salę:

– A, pan generał!... Pan minister był łaskaw!

Ignacy wyszedł, a ostatnie słowa, które słyszał w szatni, były głosami Magdaleny, stojącej w górze wspinających schodów:

– Mój mąż opuścił odczyt, delegowany do Dąbrowy jako mediator² między związkami zawodowymi a dyrekcją. Grozi nam strajk węglowy...

Uniósł w oczach obraz świetnego zebrania i z uznaniem myślał o Magdalenie. To było coś nowego – ten pomysł – i patrzcie, wzięło ludzi, zainteresowało ich.

Sto pięćdziesiąt procent i sto dwadzieścia procent. Oczywiście sto pięćdziesiąt procent zwyżki żądali robotnicy. Ignacy miał poprzedniego dnia dwie konferencje w ministerstwie, dwa posiedzenia poza swym urzędowaniem, proszoną kolację i brydża. Był zmęczony. Osądził też, że zbyt późno zwrócono uwagę na ów zatarg i późno podjęto się roli rozjemcy. Potem, w rozmowach na miejscu, starał się chronić słabe i niebezpieczne punkty tej sprawy, kryć swe zmęczenie i niepokój. Uderzył w niezawodny tak często ton.

– Panowie – rzekł do przedstawicieli robotników – Strajk? tu?... W takiej chwili, gdy stan naszego posiadania węgla na Górnym Śląsku znajduje się w rękach kapitału niemieckiego, gdy...

Przerwano mu. Chudy, wysoki robotnik wpatrzył się w niego bladymi oczyma, odwrócił je i rzekł z niechęcią:

– Panie naczelniku, to już nie nasza rzecz. To już niech tam rząd...

– Tu kapitał niemiecki, tu francuski. Wsio ryba.

Dostał nauczkę, trzymajmy się zatem ściśle istoty zatargu. Delegat związku zawodowego usuwał się w cień, milczał, głos zabierali skąpo delegaci robotników kopalni. Ignacy tym razem nie usłyszał nic, co by mógł nazwać „frazesem klasowym”. Ci ludzie uporczywie wskazywali na jedno: na zwyżkę kosztów utrzymania. Żaden zarobek nie nadążył za fantastycznie skaczącymi wzwyż cenami artykułów pierwszej potrzeby. Uważali, że i tak późno chwycili się ostatecznej broni: strajku. Kiedy mieli wysunąć swe żądania jak nie teraz? Ostatni czas, prawie koniec kampanii w kopalniach i tylko patrzeć, jak zaczną się redukcje.

Dyrekcje słyszeć nie chciały o ustępstwach. Wielkie zyski przemysłu w czasie wojny brzmiały teraz jak: wielkie straty, wielkie zniszczenia, ruina. Obecny rząd nie dawał nadziei, by interesy przemysłu były brane pod uwagę. Wzrost świadczeń, nadmierne wymagania związków zawodowych i tak dalej, i tak dalej bez końca. Ignacy, spędziwszy niezliczoną ilość godzin na zupełnie bezpłodnej dyskusji, pod wieczór przeprowadził telefoniczną rozmowę z Warszawą. Polecono mu przeciągnąć pertraktacje i czekać.

Długo i samotnie włóczył się po okolicy, którą znał z czasów, gdy przekraczał granicę. Ubóstwo tych miejsc, ich szarość, nędza i szpetota napęlniały go melancholią. Nagle – posępny krajobraz przypomniał mu czerwoną kokardę z plecaka i teraz wiedział: należała do Bronki, łączyła się z

² *Mediator – pośrednik.*

nią. Kiedy to było, w jakich okolicznościach, tego już nie mógł sobie przypomnieć. Musiało to być bardzo dawno.

Błąkając się na odludziu, myślał o swym życiu, o związku z Magdaleną spotkaną w kołach niepodległościowych i ogarnął go spokój. Tamto – to był epizod. Cały ten okres znajomości z Mossakowskimi, miłość do Bronki – to był akord tylko, przejściowy okres młodości przed ustaleniem się, przed dojrzałością i statkiem życiowym. Nad całą tą sprawą, jak nad każdą romantycznością, wisiał cień smutku, bezbolesnego, wypranego już z wszelkich emocji. Ignacy nie myślał i nie wiedział, że tamto jakoś procentuje – te Nowolipki i Leszno, że miało znaczenie w przebiegu i ukształtowaniu się obecnego jego życia. Syn rzemieślnika, pośrednik między górą a młodzieżą chłopską i rzemieślniczą w POW, otrzymał stanowisko właśnie w Ministerstwie Pracy, a dla uspołecznionej Magdaleny jego pochodzenie było prawie tym, co w znacznej mierze zadecydowało o jej uczuciu. Świetnemu oficerowi, interesującemu ją mężczyźnie trzeba było jeszcze tego nimbu „samotnego przedzierania się przez życie”, aby mogła zań walczyć zaciekle ze swą ziemiańską rodziną.

Wrócił niespodziewanie po południu i nie zastał. Magdaleny w domu: Pokojowa poinformowała go, że pani jest na jakimś posiedzeniu. Wziąwszy kąpiel, zjadł, co mu dano i zaczął telefoniczne poszukiwania. Znalazł Magdalenę w Związku Kobiet, miała tam jeszcze zabawić jakąś godzinkę.

– Może wpadniesz po mnie?

Nie znosił już teraz samotności i zgodził się. Potem długo szukał owego biura w starej dzielnicy miasta, przemierzał schody i ganki, aby wreszcie znaleźć wejście we wnęce, za załomem potężnego muru. Wszedł do sali o sklepionym suficie pod którym światło zapalanej lampy słabo walczyło z gęstym mrokiem kątów, luków i załamań: W bladym jej kręgu, przy stole zarzuconym papierami, Magdalena i Bronka pracowały pochylone.

– Ach, to ty! Siądź, mój drogi, i poczekaj chwilę.

Wskazała mu miejsce tak, że znów mógł złożyć nieobowiązujący ukłon z oddali. Przeglądając jakieś czasopismo myślał, jak ma teraz postąpić? Czy powiedzieć Magdalenie o dawnej znajomości? Wtedy, oczywiście, zapyta, dlaczego mówi jej to dopiero teraz. Wówczas on powie, że, widząc ją po raz pierwszy, nie poznał. Nagle uprzytomnił sobie, że sama Bronka, pracując z Magdaleną, wiedziała na pewno, że jest jego żoną, i ani słowem nie zdradziła chęci odwołania się do przeszłości. I ogarnęło go zabawne i przykre rozczarowanie, apotem duma. Tak, w tym stanie rzeczy to nie jest dla dziewczyny przyjemne.

Czy Magdalena ma zwyczaj, przedstawiania go swoim pomocnikom?

Nie.

Przypomniał sobie jakąś maszynistkę nawiedzającą ich dom

niejednokrotnie. Nie znał nawet jej imienia.

Siedział i przysłuchiwał się głosowi Magdaleny oddającej Bronce papiery:

– Niech pani to zredaguje, moja złota. Pani to doskonale potrafi. Niech pani to przepisze, moja droga... A ten list, kochana pani, biorę ze sobą.

Moja droga, moja złota?... Czyżby sytuacja uległa zmianie? Podniósł głowę znad czasopisma i osłaniając się spojrzał na Bronkę. Miał ją na wprost siebie, pod lampą, która oświetlała ją dokładnie. Jakże się zmieniła! Ta twarz, ongiś tak wrażliwa w przyjmowaniu słowa, zmienna i czuła, i czysta, nosiła na sobie nieprzenikniony wyraz, całkowicie zamknięta i nie wydająca się ani jednym drgnieniem. Ostre rysy biegly od nosa do ust, zawartych tak, jakby już nigdy nie miały przemówić. Cóż to musiało być za słodkie życie, które ją przeistoczyło? Przy pięknej, jasnej twarzy Magdaleny wyglądała staro, ciemno i nikle. Powieki miała opuszczone. Tylko w czole, tu gdzieś między brwiami czy właśnie w tych przymkniętych oczach, tkwiło coś żywego i podniecającego. Ignacy przypomniał sobie paradne słowa Magdaleny, które go wówczas tak rozśmieszyły:

– „Gdyby się chociaż stroiła!”

I jego męskie znanstwo znalazło żołdackie słowo dla tego niedostrzegalnego uroku, za którym ciągnęli mężczyźni. Odwrócił oczy.

– Jak długo jeszcze, Magdaleno?

A potem, czując, że robi niewymowne głupstwo, wstał i zbliżył się do stołu, mrużąc oczy od światła. Usłyszał:

– Ignacy, to nasza nieoceniona sekretarka, panna Mossakowska...

Ujął dłoń Bronki i przeczekał sekundę, a ponieważ milczała, udał zdziwienie i rzekł:

– Ależ, my się chyba znamy?

Uśmiechnęła się blado, powiedziała:

– Tak – lecz zaraz, w sposób, którego nie oczekiwał od tamtej dawnej, wahającej się Bronki, uchyliła się od dalszej rozmowy.

– Czy będę jeszcze pani potrzebna?

Złożyła papiery, pożegnała się, wyszła unosząc swą skomplikowaną egzystencję, swe niejasne i niepewne sprawy, swoje nie wiadome nikomu życie.

– Nie jest pociągająca, co? – rzekła Magdalena. – Skąd ją znasz?

VI

O staroście mówiono, że pochodzi z prostej rodziny i że nie ma żadnego wykształcenia. Skąd to gadanie poszło między ludźmi, nie wiadomo, bo

pozornie wcale na to nie wyglądała. Gdy wchodziła na salę balową, wsparta na ramieniu męża, gdy zasiadała w pierwszych rzędach na paradnych przedstawieniach i uroczystych akademiach, gdy przewodniczyła na zebraniach, czyniła to wszystko swobodnie i z pewnością siebie. Wysoka i ponętnie zaokrąglona patrzyła otwarcie spojrzeniem swych mocnych, błękitnych oczu. Miała też fantazje, na jakie pozwolić sobie mogą w małym mieście tylko ludzie bardzo znaczni: trzymała do chrztu wszystkie nieślubne dzieci i podrzutki powiatu, takie miała dziwactwo. Jeśli jakiej dziewczynie zdarzył się wypadek, wędrowała do miasteczka i ciągnęła ku kuchennym schodom dworku. Kucharka Teodozja już z daleka otwierała drzwi, wołając z humorem: *A, zdrastwuj, zdrastwuj!...*

Gdyby tylko sama nie dawała powodów do owych dociekań, gdyby sama nie podsyciała ciekawości ludzkiej!... Kobiety siedziały u doktorostwa w bawialni, tuż przy oknach, wychodzących na główną ulicę miasteczka. Biły dzwony w cerkwi. Szedł orszak weselny. Kobiety, panie z towarzystwa, jęły wspominać swe śluby, druhny i orszaki weselne. Starościna rzekła wówczas ze śmiechem:

– Co do mnie, to spłynęłam z okna rodzinnego domu prosto w ramiona mego męża.

Panie, zdumione i zaskoczone, pytały:

– Jak to, jak to?

Żartowała chyba, mówiła w przenośni? Starościna potrząsnęła głową:

– Tak było, naprawdę. – Zaraz jednak potem zmieniła temat rozmowy. Ale uchyliła furtkę i ludzie wtargnęli przez nią.

Pewien przejezdny pułkownik, grubas, długo wpatrywał się w starościnę na proszonym obiedzie, aż spytał:

– Pani starościna z jakich stron naszego kraju pochodzi?... wolno wiedzieć?...

Pani odpowiedziała:

– Z Warszawy.

A starosta, który lubił czasem błysnąć przed ludźmi słowem, tak jak błyskał herbowym pierścieniem na palcu, dodał:

– Moja żona jest z domu Raczyńska.

Tedy pułkownik podjął rzecz:

– Z jakich to Raczyńskich?

Lecz zanim starosta otworzył usta, żona ubiegła go:

– Z tych... przystojnych – rzekła.

Wspaniale wyglądała w tej chwili, z twarzą ściągniętą śmiechem i błyszczącymi oczyma. Wspaniale wyglądała przy uroczystych aktach chrztu, w cerkwi czy w kościele, strojna w puszyste futro, z palcami upierścienionymi, tak jakby chciała użyczyć całego swego splendoru i

bogactwa nędznemu bękartowi, piszczącemu tłumoczkowi, który trzymała w swych objęciach. I podczas gdy prawdziwa matka płakała z żalu i wstydu, stojąc u progu zakrystii, gdy ojca w ogóle na oczy nie widziano, starościna swym dźwięcznym głosem nadawała imiona dzieciom zrodzonym w grzechu, które miały być bezimienne, nieznane, niewiadomych rodziców: Maria, Zofia, Tatiana, Olga, stosownie do wiary matki. Umiała wybrać ojca chrzestnego tak, aby to było z korzyścią dla noworodka. Był to okoliczny ziemianin, znany z szerokiego gestu, lekarz powiatowy, znany z swego serca i poświęcenia, bogaty rejent, wyższy oficer. Umiała rzucić swój dar dla noworodka takim gestem i w takiej chwili, aby wywołać dar jeszcze większy ze strony mężczyzny.

Co do jej wykształcenia, to sekretarz starostwa był świadkiem, jak starościna, zaszedłszy raz do gabinetu męża, spojrzała od niechcienia na pewien papier leżący na biurku i krzyknęła:

– Ach!

Starosta zapytał:

– Co się stało?

A ona na to:

– Ten podpis... mój Boże!... czy to nie dawna moja nauczycielka?...

Papier pochodził z gimnazjum z przyległego miasta wojewódzkiego, starosta więc odrzekł:

– Możliwe.

Chciał też zaraz połączyć się z gimnazjum telefonicznie, lecz starościna, zmieszana i poruszona, położyła dłoń na telefonie:

– Nie, nie, tak nie można, muszę do niej napisać, to może wcale nie ta sama osoba.

Jeśli jednak miała nauczycielkę, i to z gimnazjum, musiała otrzymać też jakieś wykształcenie.

Kucharka Teodozja, która służyła przedtem u ostatniego gubernatora, wrzeszczała na wszelkie gadania ludzkie ramionami: jej obecna pani ma akurat takie same fupy jak gubernatorowa.

Dom stał w ogromnym ogrodzie, zbudowany przed samą wojną przez bogatego mieszczanina, który zakupił leżące w tyle ulicy grunta, chcąc zabawić się w posiadacza ziemskiego. Drewniany, niski i szeroko rozsiadły, miał od frontu nieunikniony ganek, oszklony kolorowymi szybami, strojny w ażurowy czub drewnianych ozdób. Rząd kasztanów osłaniał go od drogi, a wysokie, jakiegoś nieznanego gatunku bujne malwy sięgały połowy okien. Wiezorami, gdy dom oświetlono ciepłym i złocistym światłem lamp naftowych, można było widzieć z ulicy ciemne pułapy z drzewa nad jasnymi ścianami. Od frontu mieściły się pokoje: gabinet, salon i gościnny, od ogrodu kupiało się życie bardziej osobiste. Obszerne izby pełne były sprzętów po

zbiegach, sprzętów, którymi nowa administracja obdarzała swych urzędników, napływających do miasta częstokroć z jedną tylko walizką. To nadawało wnętrzem pozór tymczasowości. Ale starościna dobrała meble jak najstarszanniej, a drobiazgi, jakimi kobiety tak chętnie moszczą swe gniazda rodzinne, nadały izbom odmienny charakter zadomowienia. Salon oświetlano tylko i tylko świecami, ściany gabinetu posiadały ornament ze starych rycin bez oprawy, wynalezionych w odwiecznej księgarni żydowskiej. Jadalnia otrzymała specjalnie dorobione półki z ciemnego drzewa, wypełnione jabłkami, kręgami słoneczników, a nawet małymi owocami dyni.

Odwiedzające starościnę panie wzruszały ramionami, zwykle były chować swe zapasy do spiżarni. Ale wprędce zauważyły cel tego pozornego bezładu, spostrzegły dekoracyjność i efekt tych barwnych płodów ziemi. To nie miało jeszcze wzorów, starościna kierowała się instynktem: unosiła w górę rzeczy, które jej się podobały, dość nieznanne, aby się stały cenne. Wiązki zeschnięj macierzanki, długie wiechy kłosów, liści, pędów, cały ten kram, rosnący w rowach przydrożnych, czepiał się ścian, drząc, srebrniejąc, płowiejąc, wydawał nieopisany zapach, dziki i przenikliwy. Częstokroć starosta natykał się w swych szufladach na kupkę zeschnięgo zieleń porzuconego przez żonę i uśmiechał się: była jak sroka znosząca do swej dziupli skradzione skarby. Kruszył zeschnię łodygi w palcach, wówczas nikły zapach przypominał mu woń jej włosów, jej rąk, jej ramion, i noc, kiedy ją spotkał, wałęsającą się w Alejach, przesyconą tym samym zapachem. Chwytał swą urzędową czapkę i wybiegał z biura, „wpadał na chwilę” do domu. Szukał jej. Ale była akurat w ogrodzie, schylona nad grzędami, ręce miała oblepione ziemią, a na czole kropelki potu. Z roztargnieniem uchylała się od pieśczoły.

– Chcesz jeść? Zadzwoń na Teodozję, muszę to skończyć.

Wybuchął śmiechem w napadzie dobrego humoru. Czyż mógł przypuścić, że dziewczyna, którą ongiś poznał w gabinecie dentyścym i która mu się tak podobała, którą spotkał i wziął sobie po prostu na kochankę burzliwego okresu wojny, stanie się zapobiegliwą gospodynią, żoną i matką? Śmiał się bez złośliwości: oto jakie los płała figle człowiekowi. Wystarczyło, aby trochę dłużej to trwało, wystarczyło teraz trochę nie zabrukowanej ziemi pod stopami, a ona już zapuściła korzenie.

A może sam dał temu początek? W jego opowiadaniach motyw sprzedanej, w sam raz przed rewolucją „utraconej”, ziemi i domu za kordonem przewijał się tym piękniej, tym tęskniej, że był wolny od goryczy straty materialnej.

– U nas w domu – mówił – u nas w ogrodzie – u nas w sadzie. Moja matka robiła to tak i tak. Moja matka tak mówiła, tak poruszała się, tak rozsądzała. – Słuchała chciwie: to kobieta tworzyła dom. A ona kiedyś chciała, ażeby uczynił to mężczyzna, dawała mężczyźnie władzę opiekuńczą,

sama była tak pieszczotliwa, oddana, przylegająca do drugiego człowieka. Zaczęła się uczyć szybko i po swojemu: stawiała nad robotnikami w ogrodzie, towarzyszyła krok w krok ogrodnikowi, podglądała sekret ich pracy, ich zabiegów i nigdy nie zadawała pytań zdradzających jej nieświadomość. I podczas gdy mąż parął się dość dorywczo i nieudolnie zaprowadzeniem administracji rozległego powiatu, pozostawiona sobie, budowała swój dom na zdrowych i mocnych fundamentach swojej pracy. Nawet cięża i wojna dwudziestego roku nie przerwała jej zajęć: gdy wojska ciągnęły z dalekich pozycji, widziano ją jeszcze w ogrodzie, brzemienną, mającą zlec lada dzień, jak zbierała do koszów wczesne jabłka. A pierwszą jej robotą po powrocie, zanim ziemia stwardniała, było wykopywanie krzaków agrestu: tego roku miał rdzę.

Ich dostatek rósł szybko: mieli swoje krowy, warzywa, owoce, drób, wędliny. Wydzierzawiono łąki za domem na paszę, a potem przyległe z boku pola na kartofle. Wydatki reprezentacyjne, fety, przyjęcia przejezdnych dygnitarzy, na które tak z początku narzekali, przestały im już dokuczać. Wkraczali wraz z całym miasteczkiem w okres spokoju, osiadania, dostatku i spoczynku. Skompletowano potrzebne urzędy, ludzie przestawali się czuć jak ptaki w przelocie. Ogrody i warzywniki kwitły i obradzały, z lasów dobiegał huk siekier. Niczego innego nie trzeba było w tych stronach, zapadłych i sennych, płaskich i dymiących wilgocią i mgłami. Niczego innego, jak tylko spojrzenia w ziemię, chodzenia koło ziemi.

VII

Dziecko. Oto ono. Leży i spoczywa. Z początku to jest nic, sama rozkosz z jego istnienia. Mało sprawia kłopotu, śpi, przebywa w jakimś innym świecie, śpi i rośnie, rozwija się jak roślina, śpiąc gromadzi w sobie siły.

Budzi się i kwili: trzeba je nakarmić lub przewinąć. Potem znów zasypia. Matka kładzie się obok, na łóżku, i spogląda nienasyconie. Żdźbło. Lecz gdy leży tak, obok jej ciała... czyż to możliwe, aby było to w niej, tak niedawno?... Jakie duże! Aby utworzyło nowy kształt z twego ciała, z twojej krwi, z ciebie? Tak, oto ono. Matka leży z dziećciem przy boku, nie chce jej się wstać i zająć innymi sprawami. Obydwoje nabierają sił. W ciszy i spokoju.

Dziecko potrzebuje ciszy. O, jakże się wzdraga na każdy hałas świata, każdy ruch życia. Ono jeszcze tkwi w swym bycie tajemnym. Oczy jego najchętniej zsuwają się pod czule, drżące schrony powiek, wyczuwa ciepło piersi i nawet sutki szuka po omacku. Cicha, cicho, o cicho!... – Nie budźcie mi dziecka – mówi matka – dziecko śpi. – I uczy wszystkich ciszy, kładzie

pieczęć milczenia na domu.

Z początku to jest nic: daje samą rozkosz. Uśmiech rodzi się pewnego dnia, dziecko śpi i uśmiecha się we śnie: o czymże myśli, jaki to błękit nasunął się pod zamknięte powieki? Nieba, anioły, niebiańska muzyka, nic ziemskiego nie ma w tym uśmiechu, źródło jego jest nie z tego świata... Potem oczy pozostają otwarte na dłużej. Matka jest tuż spoczywa obok, podtrzymuje głowę ręką i patrzy, pochylona. Dziecko wznosi spojrzenie w górę, szuka. Oczy ich spotykają się i nieruchomieją.

– To ty?

– Tak, to ja...

– To ty?

– To ja, mama. Mama.

Patrzą bez drgnienia, toną w sobie. O, cóż to za porozumienie, cóż to za rozmowa bezsłowna, jakie poznanie tajemnicze. Trwa to długo, zawiązuje się jeszcze jedna więź, mocniejsza niż więź cielesna.

Dotychczas byłaś ty tylko: ty, jeden człowiek. I cokolwiek uczyniłaś, jakie były twe myśli, twe postęпки, to dotyczyło tylko ciebie. Ale teraz jest was dwoje, związanych z sobą, nierozdzielnych. I podobnie jak pożywienie, które przyjmiesz, przenika weń, wywołuje pierwsze choroby i zaburzenia, podobnie jak twój płacz i cierpienie kwasi i zatruwa pokarm, nie jest że tak samo z twą myślą, z wszystkim, co w tobie jest? Strzeż się, strzeż się, pilnuj się bezustannie.

Ale kiedy się już doszło do tej myśli, nie podobna było zatrzymać się, nie było granicy. Następowało ciągle rozszerzanie się – rozszerzanie się i przenikanie. Dzieci praczki zachorowały i trzeba było zabronić, aby ta kobieta przychodziła do kuchni. Dobrze, ale przechodziło się koło jej chaty, stąpało się po wylanej za drzwi wodzie, a poza tym, czy możliwe było upilnować Teodozję, która była z praczką w przyjaźni? To mogła być szkarlatyna, to mógł być tyfus, panował właśnie tyfus. I starościna żądała doktora, na gwałt, posłała po lekarstwa, w końcu, przerażona i niepewna, stanęła na progu chaty. Tylko na progu, rozdarta między strachem zarażenia swego dziecka a namiętnym pragnieniem zduszenia choroby w zarodku. Ale to było do niczego, ci ludzie nie potrafili sobie dać rady, nie podobna było stać z daleka i patrzeć na nieudolne zabiegi praczki. Przewyciężyła bojaźń i weszła. W imię dziecka! dla dziecka! przez swe dziecko! Potem gdy kobiety wychwalały ją, gdy coś w rodzaju nimbu zawisło nad jej głową, uczuwała wstyd. Tak, tak, mogła to zrobić prościej. Dla nich samych, dla matki i dla tamtych dzieci.

Dziewczyna jakaś usiadła na schodkach kuchennych i płacze. Co to za jedna? Czemu płacze? Kucharka Teodozja zmarszczyła surowo brwi i rzekła:

– Zgrzeszyła, to i płacze.

Ale to ona siedzi na schodkach kuchennych i płacze, dawna Cechna. Płacze i oczekuje pomocy, kolejno przywiązuje swą nadzieję do Kwiryny, do, matki, do Henryka. Nikt jej nie pomógł, wszystko sprzysięgło się przeciw niej, sama musiała uznać, że mieć dziecko w tamtych warunkach było szaleństwem. Wszystko było trudne, wszystko było nie do przezwyciężenia. Potem przekonała się, że można przemóc swój los, że można sobą pokierować. O, jak wiele można uczynić, gdy się ma po temu wolę, gdy się ma o co zacześcić ręce i serce. Wyszła na ganek i znalazła słowa akurat potrzebne:

– Nie płacz, głupia. Chcesz donosić to dziecko? Ja ci pomogę.

Co za ślepotą, macierzyństwo nie było grzechem. Tęsknota za miejscem na ramieniu mężczyzny, wgłębieniem, gdzie spoczywała głowa, ta ciągła czułość, niewyczerpane, nie zasychające źródło, przerodziła się w triumfalne uczucie mocy, w tworzenie życia. To powinno być niezawisłe od wszelkiego głupstwa na świecie, to powinno mieć swoje ujście.

Studnia w dziedzińcu jest zanieczyszczona, któż dbał o studnie w czas wojny. Pojono konie z wiadra, a ludzie wędrowni przytykali spieczoną usta do jego brzegu. Studnia? Oczyszczi się. Przychodzą ludzie i czynią swoje. Ale tuż obok, we wszystkich tych podwórkach zarośniętych trawą, koło tych wszystkich domków zapadłych i troskliwie obielanych są studnie od lat nie czyszczone. I starościna podejrzewa, że na podobieństwo spraw ziemskich, tam, w głębi, biegną jakieś korytarze, przenikają się wzajemnie prądy podskórne. Nic nie stoi na uboczu, nic nie trwa oddzielnie, przed niczym nie można się odgradzić całkowicie.

– Słuchaj, Władku, jak jest właściwie z tymi studniami?...

– Ze studniami? – pyta zdumiony. Jest akurat w fazie organizowania samorządu, nie może zaprzętać się małymi sprawami.

– Do kogo to należy? Do doktora, do urzędu sanitarnego?

Starościna chodzi, rozpytuje się i dociera, gdzie trzeba, ze swoją nieświadomością i swoim zapałem. To już nie jest kochanka, skłonna paść w objęcia na każde zawołanie, nienasycona w pieszczotach. Mężczyzna czuje to i nawet nabiera pewnego szacunku. Ale gdzie jest szacunek, tam umiera pożądanie – nie mówmy o tym.

Wszystkie te matki, porzucone i zbezczeszczane, wszystkie te małe życia zabite w zarodku, wszystkie te żyjące i głodne, oskubane pisklęta z cienkimi szyjkami, o wielkich, chwiejnych głowach, wygiętych nóżkach, łyse, ziemiste... Zdawało się Cechnie, że jest przeszyta tysiącami boleści, tysiącami radości. Czuła, jak serce jej rozszerzało się aż do bólu, aż do stanu tak wielkiej miłości, że dom i pokój dziecinny nikły jej z oczu. Wychodziła z domu na długie godziny, które mknęły niepowstrzymanie. Niespokojna, wracała, by chwycić małą w ramiona. Wyrzucała sobie: opuszczam ją,

zaniedbuję swe dziecko. Ale czyż nie robiła wszystkiego dla dziecka, przez dziecko, w imię dziecka!...

To dziwne, że w końcu, poza tymi wszystkimi zabiegami o jego zdrowie, dobro i wygodę, najwyższą radość i uniesienie odnajdywała w oczach zwróconych na nią, zatopionych głęboko w jej oczach.

– To ty? Tak, to ja.

– To ti? to ti? – tak, to ja, mama, mama, mama.

VIII

Usłyszano przenikliwy krzyk pani:

– Nianiu! Nianiu! – i kucharka Teodozja pierwsza wbiegła do pokoju. Furman Iwaś, pożywiający się właśnie w kuchni, z kromką chleba podążył za nią. Niania przybiegła z dziedzińca, z sztukami mokrej bielizny przewieszanej przez ramię. Ujrzano dziecko z wyciągniętymi rękoma idące na własnych nóżkach przez pokój, podczas gdy przerażona matka zdawała się drzeć i lękać o każdy krok małej. Niania z otworzonymi ustami wpatrzyła się w stworzenie, które przed chwilą jeszcze nosiła w swych objęciach: chodzi! Nikt nie dostrzegł, kiedy zdążyło posiąść tę umiejętność, i teraz dziwiono się chórem:

– A cóż to za takie dziecko! Czy kto widział kiedy? Nie pełnie, a wprost idzie! Na czworakach wcale nawet nie popróbowało!...

– A kiedyż ty, kiedyż nauczyła się, aa?

Wszyscy przykucnęli i wabili je ku sobie:

– Do mnie, do mnie! Tu, tu, tu! Ot, co ja tobie dam, cukiereczka!

Ale mała ominęła wyciągnięte ramiona i podreptała swoją własną drogą. Zdobywała sobie sama pokój po pokoju w obszernym domu. Trzymając się framugi drzwi, przestępowała progi, a nogi stołowe na długo stały się niezawodnymi przyjaciółmi, które chwytala w objęcia, gdy krok stawał się chwiejny.

Teraz stawało się bardziej ludzkie, gdy nie spoczywało już ciągle przy boku matki. Skończyła się tajemna rozmowa oczu, najoczywistsze porozumienie. Stawało się bardziej ludzkie i stawało się złe, a kiedy zaczęło ranić, zraniło najpierw matkę.

Cechna doznała podwójnego bólu. Odczucia fizyczne splątały się z niejasnymi przecuciami duszy, nie mogła tak od razu tej sprawy ogarnąć. Pewnego dnia mała ścisnęła pierś matki wyrzynającym się, skrytym w dziąsle zębem. Matka krzyknęła z bólu. Puściło pierś, spojrzało bacznie spojrzeniem już świadomym i roześmiało się. To było niesamowite, przez chwilę, zanim nie przemówił rozsądek. Aha, dostaje zęby. A ostry krzyk matki i jej

zmieniona twarz wywołały ten efekt śmiechu. Na wszelki jednak wypadek Cechna wymierzyła klapsa w różowy tyłeczek i postarała się o korzeń fiolkowy.

Ale później wracało do swego, znów. Później często badało efekt swych wystąpień na twarzach dorosłych. W czasie spożywania kaszki nagle talerz z hukiem padał na podłogę, a krągłe oczka patrzyły z spokojną ciekawością na starszych. Co też powiedzą? Zjawisko gniewu doprowadzało dziecko do serdecznego śmiechu. Tak samo wybuchalo śmiechem, jeżeli ktoś się potknął i upadł, uderzył, skaleczył. Krzyk bólu wywoływał śmiech. Matka śledziła je w osłupieniu: w tym różowym ciałku, w tym anielstwie, w tych oczach czystych tkwił już zalążek zła i rozwijał się, i rósł, i potężniał?... Chwytała małe w objęcia i natychmiast następowało zjednoczenie, jakby tylko ciała posiadały zdolność kojenia, zdolność godzenia rozdźwięków. Ale już zsuwało się z kolan, już biegło, już odchodziło. Matka miała przed sobą nieznaną teren, na którym nie umiała się jeszcze poruszać, to nie był ogród, to nie była, ziemia, którą tak szybko opanowała. To nie jest roślina, tak jak nieraz mówiono, na którą wystarczyło chuchać i dmuchać, pielęgnować i miłować ją. Już wówczas matka zaczęła kapitulować przed siłami, które dochodziły do głosu szybciej, niż można je było ogarnąć i zapobiec, wymyślić jakieś metody postępowania. Najpierw odrzuciło powijaki i kołdrę, skopywało wszystko, co cisnęło, grzało i ochraniało nagie ciało. Tak samo później odrzuciło łyżkę. Łyżka służyła małej do bębnienia na stole hucznego uderzania w talerz, wywoływania fontann z rozpryskującej się zupy, wreszcie, w chwili gniewu, do puknięcia niańki w głowę. Do wszystkiego – tylko nie do jedzenia. Chciało jeść palcami, zaciskało usta przed łyżką, odwracało głowę, wymiotowało. Każdy posiłek kończył się płaczem, krzykami i głodem. Zaczynała się walka, och, przemóc tylko ten upór, zwalczyć go – a wszystko pójdzie łatwiej! Ale mała tak zmizerniała ze złości i niedojadania, że matka doszła do punktu, w którym się mówi: Ach, wszystko mi jedno, niech je palcami, nożem, dłonią, byle jadło. – I obiecywała sobie: potem, gdy będzie większe, potem, gdy zrozumie...

Tymczasem, kolejno, dziecko posiadało sztukę obrony i sztukę dręczenia, drapało i gryzło. Niewiadomym sposobem poznało, co to jest prawo własności, i strzegło przed rówieśnikami swych łopatek, kubelków i obrazków. Nie rusz, to moje, moje, moje! Zazdrość dotknęła je także: matka nie mogła ucałować obcego dziecka, aby nie wywołać namiętnego sprzeciwu małej.

Pewnego dnia zginęło i pół miasteczka stanęło na rogi, aby je odszukać. Trzeba było wyjść aż za ostatnie domy, aby zobaczyć mały, poruszający się punkt na ścieżce dalekiej i mokrej łąki. Gdy usłyszało nawoływanie i kroki pogoni, odwróciło się, a potem zaczęło uciekać pędem, bieć co tchu, naprzód.

Uciekało, uciekało. Dopiero później, leżąc z matką na szerokiej kanapie, wyznało z wyrzutem: szła przecież zdobyć śliczne kwiaty dla niej, dla matki.

– Czy kochasz mnie?

O, te rozbicia i te pojednania, w czasie których miłość przyrzekała sobie stwarzać cuda, przeistaczać, przerabiać, rodzić na nowo, od początku!... Cechna wiodła małą do ochronki, do sierot, i nakazywała dzielić się podwieczorkiem i słodyczami. Mała dostawała mleko i nawzajem hojną dłonią rozdawała wszystko, co ze sobą przyniosła. Ale to trwało tylko do chwili odejścia. Wtedy mała spoglądała na puste ręce i zawracała szybko od drzwi, aby odebrać to, co było jej. Matka, zawstydzona, usiłowała ją powstrzymać. Potem ukradkiem przygotowywała drugą paczkę.

– Masz, to twoje.

Krok naprzód i trzy kroki wstecz, oto co czyniła. Jakiejś jesieni Cechna wynalazła w mieście elementarz Falskiego i zaczęły się cudowne popołudnia. Ogień trzaskał na kominie w jadalni, można było sięść na podłodze, na grubej podlaskiej derce, i czytać. Cóż to był za elementarz. Matka zachwycała się jego łatwością, melodyjnością tekstów, skojarzeniem słów, które od razu dawały całość. To nie było mozolne dukanie be, ce, de, ee... Cechna czytała głośno:

– Ola. Ola i Ala. To las. Ola i Ala poszły do lasu.

Mała słuchała bacznie, leżąc brzuszkiem na derce, z oczyma wlepionymi w elementarz. Gdy zmęczona matka przystawała na chwilę, domagała się:

– Czytaj, czytaj dalej! – Niania próbowała panią wyręczyć, ale nie umiała czytać, a mała nie dała się oszukać. – Nie tak! nie tak! – Melodia i uszeregowanie słów tkwiło już w niej tak żywo, tak zostało przyswojone, że najmniejszy fałsz wywoływał wybuch. Niania chytrze wywodziła:

– No, to jak? No powiedźże, kiedy wiesz?...

I mała chwytła w gniewie za elementarz, aby wyrecytować nieomylnie wszystkie te dopiero co poznane objawienia.

Kiedy nauczyła się chodzić? Kiedy nauczyła się czytać? Nie do wiary, to wszystko stało się samo, matka nie pokazała jej właściwie ani jednej litery. I nabierała ufności: skoro zacznie odróżniać złe i dobre, wybierze dobre.

Mężczyzna, ojciec, trzymał się dotąd na uboczu, ale teraz wkroczył. Uznał wszystkie wady za zalety, to mu się podobało!...

– Nie daj się, córko! Ho, ho, zuch z ciebie, masz rację: co twoje, to twoje. – Bawiła go. Gdy krzyczała za głośno, gdy naprzykrzała się, otwierał drzwi i wyrzucał ją po prostu: – Marsz!

Cechna śledziła go, patrzyła, gdy szedł z małą, i serce jej uderzyło nagle i głośno. Ten sam ruch ręki, ten sam chód, to sama brzmienie głosu. Jaki on jest, jaki on jest, poza pocałunkami, poza tym wszystkim, co ich złączyło? Nagła, przesywająca myśl, że tu oto, w tym dziecku, rośnie ich dwoje,

połączonych... Coś ze mnie i coś z ciebie, dziedzictwo.

IX

Amelka przeszła przez korytarz, prowadzący do zakrystii, na palcach, było to przyzwyczajenie dzieciństwa, zawsze tędy przechodziły dzieci na palcach, przez uszanowanie dla przyległego prezbiterium, aby nie zakłócać ciszy krokami, które brzmiały pod pięknie sklepionym sufitem. Przemknęła wzdłuż ścian, na których z jednej strony czerniały pożółkłe portrety fundatorów i dobrodziejów, lśniły bladym złotem litery tablic nagrobnych, z drugiej – przez umieszczone wysoko, okratowane okna pasma słoneczne padały skośnie, a bezlistne gałęzie drzewek z ogrodu uderzały o szyby. Panował tu chłód. Ale wyszedłszy z apteki pachnącej lekami Amelka zachłysnęła się powietrzem łagodnym, które wtargnęło w nią przez wpełotwarte usta i przebiegło nagłym drżeniem ciała. Zupełna wiosna.

Minął ją zakrystian, pan Łapko, zgięty z uszanowaniem, szepcząc:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Amelka pochyliła głowę, wargi jej drgnęły słowami niedosłyszalnej odpowiedzi. Pan Łapko zawrócił nagle, zmieszany.

– Czy odbędzie się posiedzenie komitetu, proszę pani? Ksiądz proboszcz nic mi nie mówił, sala na górze jeszcze nie sprzątnięta.

Amelka uspokoiła go. Tylko ona została zaproszona na rozmowę z księdzem proboszczem.

Skrzyła na lewo, wspięła się na schodki pod oszklonym dachem, łączące dom parafialny z zakrystią. Gdzieś z głębi tego domu nadpływały zgłuszone tony, matowe i głębokie akordy fisharmonii. Amelka zastanowiła się: czy wypada iść wprost do mieszkania proboszcza? Po raz pierwszy spotkało ją to wyróżnienie, iż została zaproszona poza komitetem, i czuła się z tego tak dumna... Naturalnie, że do mieszkania! Usłyszała za sobą śpieszne kroki. To pan Łapko, zadyszany.

– Ksiądz proboszcz przeprasza, zatrzymano go w kancelarii. Ksiądz proboszcz prosi, aby pani poczekała w pokoju zebrani.

A więc nie. Amelka zataiła rozczarowanie, podziękowała kościelnemu i zatrzymała się przy oknie wychodzącym na ogród. Pan Łapko zniknął. Widać stąd było skopaną grzędę, porzuconą łopata błyszcząca w słońcu. Małe drzewka owocowe, szare, zdawały się, pęcznieć od soków i rósć w oczach z ciepła słonecznego. Amelka wzniosła twarz ku górze. Słońce ogrzało ją natychmiast. Stała, cała połyskliwa w swym brązowym kostiumie obłożonym suto futrem rudego lisa, pociągnięta jakby ciemnym ogniem od stóp, obutych w brązowy zamsz, poprzez złote włosy pod rudym filcem kapelusza.

Oddychała lekko. Wargi jej zaczerwieniły się. Od rana, zaraz po przebudzeniu, czuła w sobie coś rozbłysłego i złożyła to na karb dnia łącie wiosennego, choć to dopiero połowa lutego. Powieki nie mogą znieść słońca i drgają bezustannie. Oderwała się z żalem od okna. Dźwięki fisharmonii zbliżały się, to organista tak wściekle dudli swe pobożne wprawki. Amelka pchnęła drzwi.

To nie organista.

Pokój zebrany był pusty, krzesła i ławy odsunięto pod ściany. Tuż przy drzwiach złożono szczotki, ścierki i kubek z wodą. Okna szeroko otwarte. W kącie przy fisharmonii przysiadł, jakby na chwilę, młodzieniec w palcie i czapce studenckiej na głowie. Teka i zwitek bristolu leżały porzucone na podłodze. Zmieszana Amelka przeszła cicho w głąb sali, przesunęła się bezszelestnie, by zająć miejsce przy oknie, w fotelu. Patrzyła na zgięte niedbale plecy chłopca, widziała białe dłonie i długie palce poruszające się powoli i z niespodziewaną siłą przyciskające klawisze. Gdy tony przycichały, słychać było gruchanie gołębi spod dachu i głosy ludzi pracujących w ogrodzie. Lekki wiatr przywiał jakiś miły, zapach. Na ławach koło szklarni, na ścieżce, ustawiano rzędem doniczki z rozkwitłymi hiacyntami. Były jeszcze niskie, nie wyrosnięte i kryły się sztywno wśród zielonych mieczyków liści. Zakrystian Łapko kręcił się, pochylony nad kwiatami. Te białe – na ołtarz. Sześć sztuk.

Twarz kościelnego, blada i obrzękła, przykro odcinała się od świeżości kwiatów. Nogi, przyzwyczajone do niewzruszonego gruntu posadzki kościelnej zdawały się giąć na miękkiej ziemi.

– Te różowe – do mieszkania księdza proboszcza.

Zjawił się na widowni pan Gończyk, dźwigając swój towar, pobożne broszury i pisma, które rozprzedawał przed kościołem po nabożeństwach. Teraz składał je na przechowanie w domku ogrodnika. Zwichrzona jego broda sterczała ostro naprzód, spod daszka sportowej czapki wysuwała się bujna, trochę posiwiąta czupryna. Kamaszki, rozklapane ze starości, ślizgały się na ścieżce rozmięklej, a palto z fokowym kołnierzem ukazywało kłapcie waty spod podszewki.

– Panie Łapko, a to grzeje, co?

Amelka odpięła futrzany kołnierz i palce jej z rozkoszą dotknęły jedwabiu bluzki. Ulegała jakimś wstrętom przy dotknięciu nieprzyjemnego materiału, zęby jej zgrzytały i dłonie pokrywały się gęsią skórką. Jesienią, gdy szyła sukienki z barchanu dla biednych dzieci parafii, było to dla niej istną męczarnią, ale przetrwała się. Zaledwie skończyła tamtą robotę, trzeba myśleć o sukienkach letnich. Na szczęście, perkal nie jest tak nieprzyjemny.

Ileż tego będzie potrzeba? Po cichutku wyjęła notes z torebki. Dziesięć sukienek, bagatela! Aby zdążyć uszyć je na Wielkanoc, nie licząc fartuszków,

chusteczek i bielizny, będzie musiała także zaprząć do roboty młodsze siostry. I wyobraziła sobie pokój, gdzie się będą zbierać wieczorami, aby czytać i opowiadać sobie wszystkie zdarzenia dnia, i snuć projekty.

Ozwał się chór przyciszonych głosów, fisharmonia śpiewała teraz przyciszonymi głosami. Amelka – zdawało się, że lada chwila zaśnie, ukołysana. Osunęła się na oparcie fotela i przestała patrzeć i myśleć. Wiatr szeleścił między pasmami pociętej bibułki strojącej okna i wieńczącej obrazu. Kiedy głębia tonów przepelniała drżeniem powietrze, następowały spadki, ściszenia tak czułe, iż zastygła w zimnie przenikliwej ich czystości. Nie spoglądała już w stronę grającego, patrzyła w niebo. Marzyła sobie, że jest młodzianką dziewczyną. Nic nie było przedtem, ani chłopca, który odszedł do Kwiryny, ani pana Michałowskiego, ani żadnych sprytnych wybiegów urzędnika się w życiu. Siedziała w słońcu, chwytając nozdrzami nikły zapach hiacyntów, nucąc bezgłośnie wraz z fisharmonią. Któż to może być, ten młodzieniec? Pragnęła, aby to nie był nowy kandydat na pianistę ani też jakiś pobożny pupil księdza ze stowarzyszenia młodzieży. Drzwi stuknęły...

– To mój bratanek – rzekł ksiądz proboszcz od progu.

Amelka powstała z opuszczonymi powiekami, pobladła i piękna, cała ruda jak ciemna skra rozżarzona w górze świetlistą aureolą włosów.

„Jak ona się zmieniła” – pomyślał ksiądz. I przypisał to zmianie ubioru.

X

Amelkę bolała głowa tak uporczywie, że aptekarz po dwukrotnej dawce proszku swego własnego wyrobu, zalecił jej więcej ruchu na świeżym powietrzu. Dlaczegożby przeto nie miała korzystać ze spacerów w ogrodzie przykościelnym? Pani Raczyńska, ze względu na przypuszczalny przyjazd Cechny z dzieckiem, odwiedziła ogrodnika, zakupując parę doniczek kwiatów. Bystre jej oczy wypatrzyły trzcinowy fotel w szopie z narzędziami, a ściana domku zasłaniająca od wiatru i wystawiona na słońce wydała jej się w sam raz dogodna dla miłego odpoczynku. Tak więc Amelka nie potrzebowała się o nic troszczyć.

– Idź, Amelciu, posiedź sobie i pochodź, jeden jest tylko feler, że na probostwie ktoś się ćwiczy na fisharmonii i nie wiem, czy ci to nie zaszkodzi na głowę.

Aptekarzowa zeszła na dół, owinięta w ciepły granatowy płaszczyk, z głową lekko omotaną gazowym szalem. Wzięła z sobą szyćce, ale od ziemi ciągnęło jeszcze i nie można było długo siedzieć. Wstawała i chodziła ścieżkami, na których nowa trawa snuła swe delikatne, blade pasma. Drzewa były ciągle szare, gdy się patrzyło z bliska: Ale z daleka, z drugiego końca

ogrodu, widziało się na nich zieloną smugę, lekki nalot wiosny. Ziemia rozwarła ostrzem łopaty zawała się dymić. Grudki rozpadały się same, kruszyły się, poruszały, ulegając jakimś wstrząsam i nakazom tajemnym. Amelka przypatrywała się temu ściągniętymi brwiami. Czula spazmatyczny krzyk w sobie, w swym ciele, w nabrzmiałym gardle. Przyspieszyła kroku.

Dźwięk padał z otwartych okien probostwa. Amelka nie mogła się oprzeć chęci spacerowania po tej części ogródka, koło domu. Raptem tony umilkły. Andrzej, bratanek księdza, zobaczył ją i zszedł na dół. Dźwigał poduszki, którymi wymościł głąb trzciniowego fotela. Pytał:

– Jak się pani dziś czuje, czy głowa ciągle boli?

Czula się w tej chwili doskonale, oczy jej błyszczały, a dłonie nabrały mocy. Zaczęła szyc. Andrzej przysiadł na niskim klocek do rąbania drzewa, a potem wynalazł deseczkę, którą ulokował tak, aby mogła wesprzeć na niej stopy. W domu trzeba było zabiegać koło mężczyzn, krzątać się koło nich i służyć im. Amelka nigdy nie doświadczała tych drobnych usług męskich i teraz przyjmowała je jako coś wyjątkowego, coś nadzwyczajnego. Na probostwie Andrzej pomagał jej zdjąć płaszczyk, przysuwał krzesło, podawał herbatę, bułeczki, masło, poświęcał jej dużo uwagi. Cóż to była za różnica z aptekarzem, któremu trzeba było służyć, którego trzeba było słuchać. Amelka czuła się teraz jakoś więcej warta, wywyższona, piękniejsza i słabsza.

Milczeli. Za ścianą, w domku ogrodnika, brzęczały fajerki i błękitna smuga dymu płynęła z komina. Gołębie stękały głucho. Białe palce aptekarzowej ciągnęły z tkaniny długą nić. Nagle rzekła z namysłem:

– Dlaczego nie kolorowe?

– O czym pani mówi?

Myślała o sukienkach, które szyla. Były szare w czarne cętki i kwadraty, smutne.

– Czy koniecznie biedne dzieci parafii muszą chodzić tak, ubrane, aby każdy z góry poznał, że to są dzieci obdarowywane przez komitet?

Andrzej zapytał z ciekawością:

– Dlaczego pani to przyszło na myśl?

Amelka przegryzła nić zębami, jak to czynią proste szwaczki, i odrzekła z uśmiechem:

– Gdy byłam dzieckiem, niejedną łzę wylałam z powodu brzydkiej sukienki.

Andrzej wymierzył lekkiego klapsa w wzniesioną do ust dłoń:

– Czy tak się robi?... Dlaczego nie ma pani nożyczek?

Aptekarzowa poczerwieniała i Andrzej schwycił ją za rękę, całując i przeprasząc:

– Czy zabołało? Przepraszam, przepraszam, uderzyłem za mocno.

Był to jego zwykły gest, taki pocałunek składał zniecka na rękach matki

i innych kobiet z rodziny, a one uśmiechały się. Teraz widział, że ten sam gest wywarł na Amelii zupełnie inne wrażenie. Andrzej, pozornie swobodny, był w gruncie rzeczy nieśmiały i poczuł się zmieszany. Ba, kobiety w jego rodzinie, w zapadłym dworze, nie nosiły tak przezroczywych, jedwabnych pończoch, jakimi są obciążone smukłe nogi aptekarskiej. Andrzej miał je tuż przed oczami i Amelia zręcznie obciągnęła sukienkę.

– Niech mi pan nawlecze igłę.

Dłonie ich znów się spotkały i Andrzej nie mógł powstrzymać się od pochwał, ciągnęło go wprost nieprzeparcie, aby dotykać jej rąk, wszystko jedno pod jakim pozorem.

– Jakie piękne ma pani palce. Czy nie ukłuła się pani? nie? zmęczona? może już dość tej roboty?... – Nie mógł wiedzieć, że to są słowa dawno nie słyszane, że może nikt jej tego nie mówił, nikt przedtem tak nie przemawiał, że to są słowa obezwładniające. Amelka cofała rękę, aby za chwilę wynaleźć pozór do nowego zbliżenia. Potem ogarniało ich rozleniwienie, widzieli jak przez mgłę ogrodnika, pracującego w ogrodzie i kolportera pobożnych pism, który wałęsał się beczynnie, odpoczywając. Amelka próbowała jeszcze rozmawiać.

– Jak tam z pana staraniami?

Andrzeja który przyjechał do stolicy, aby załatwić formalności związane z wyjazdem na studia, machnęła niedbale ręką.

– Ach, wszystko mi jedno! mam czas!

Amelka westchnęła:

– Szkoda, że pan wyjeżdża.

Andrzej, zachwycony jej zalem, wyraził nadzieję, że to się pewnie przeciągnie w nieskończoność. W biurach nie śpieszą się. A poza tym, jeszcze nie wiadomo, czy matka nie zechce, by spędził lato na wsi, w kraju.

Amelka, smutnie zapatrzona w przestrzeń, rzekła:

– To musi być cudownie, jechać w świat, kiedy się zechce.

Andrzej podchwycił:

– A pani?

Amelka spoważniała i rzekła:

– Ach, ja! ja mam obowiązki, młodsze siostry, które się jeszcze uczą, dom. Nie ma co marzyć!

Znów uśmiechnęli się do siebie. W ogrodzie kolporter Gończy zmrużył znacząco oko i rzekł do ogrodnika:

– Zdaje mi się, że z tego coś będzie.

Także i gospodyni księdza, gdy tylko umilkły tony fisharmonii, nie mogła usiedzieć w kuchni, kręciła się po pokojach i wreszcie stanęła w otwartym oknie. Zauważyła brak poduszek na kanapie, oto gdzie są poduszki. Weszła do pokoju, gdzie ksiądz pracował, i rzekła:

- Nasz pan Andrzej jest galant, proszę księdza proboszcza, tak się koło tej aptekarzowej kręci, poduszki jej zaniósł. Jeszcze ludzie Bóg wie co pomyślą. Ksiądz, zaniepokojony, podszedł do okna i zawołał:
- Andrzeju!

XI

Na drugi dzień jął siać deszcz, a pod wieczór krople wody zamieniły się w płatki śniegu. A potem jeszcze jeden dzień, pełen ciszy i bieli, jeden po drugim, głuche dnie. Amelka chodziła od okna do okna, przystawała i patrzyła w zacichły świat. Zdawało jej się, że jest śmiertelnie chora, obezwładniona, uwięziona. Któregoś jednak wieczoru starannie zawiesiła swój brązowy kostium na ramiączku w szafie, a wyjęła futro. Kostium przygotowany był do wyjścia, zdawało jej się, że cała trudność leży właśnie w tym, żeby zmienić kostium na futro. I jęła się śpieszyć na gwałt. Schodząc wstąpiła do apteki, aby tak jak dawniej matce opowiedzieć się mężowi.

- Filipie, ja wychodzę na chwilę do proboszcza.
– Tylko wracaj prędko.
– Dlaczego?
– Dlatego, że mam wieczór wolny i nie chcę siedzieć sam w domu.

Amelka już miała powiedzieć:

– Przecież jest mama. – Zawahała się i wyszła stuknąwszy za mocno drzwiami. Cóż to za niewola, co za niewola. Ale ona nie myśli się z tym liczyć, da sobie radę: powie, że ją zatrzymano na herbacie.

Wróciła jednak zaraz.

Księdza nie było w domu, drzwi otworzyła gospodyni. Amelka chciała zapytać:

- A pan Andrzej?

Nim otworzyła usta, gospodyni zamknęła drzwi po prostu przed nosem. Amelka stała chwilę i usilnie starała się sobie przypomnieć, kto to już raz tak samo kiedyś stanowczo zamknął przed nią drzwi? Ach, garbata ciotka. Wówczas też zachodziła do Kwiryny tylko po to, aby zobaczyć pewnego chłopca, Romana.

Nagle rozgniewała się strasznie na siebie i prędko zbiegła na dół. Czy ciągle będzie wracać myślą w przeszłość? porównywać? wspominać? Teraz jest zupełnie inaczej, ma swój dom, stanowisko, męża i nie potrzebuje się martwić o dzień jutrzejszy. Czego szuka po ludziach, po obcych domach? Zawróciła prędko i wpadła do apteki akurat w chwili, gdy aptekarz przekazywał resztę recept swej pomocnicy.

- Jestem!

Zajęła się osobiście kolacją i nawet nie pragnęła obecności matki i sióstr. Na stale przy nakryciach ustawiła hiacynt biały i różowy, a potem zniknęła na chwilę, aby ukazać się w szlafroczku pełnym koronek, z lśniącą atlasową kokardą na piersi. Także i służąca otrzymała strojny fartuszek i czepeczek. Aptekarz mył ręce, wrócił i zdziwił się: cóż to za gala?!

Potem po kolacji przeszli do sypialni i aptekarz siadł w fotelu z nieodłączną gazetą, a Amelka własnoręcznie ścieliła łóżka. Nagle stanęła w pół drogi i zawróciwszy usiadła mężowi na kolanach. Odłożył gazetę. Ukryła twarz na jego piersi, uczył żyzne ciepło jej paliczków i usłyszał przyśpieszony oddech. Poklepał ją lekko po plecach.

– No, no, staruszeko, cóż? co powiesz?

Chwilę oczekiwał odpowiedzi, tak jakby w ogóle odpowiedź była tu potrzebna, ale Amelka milczała. Gładził ją cierpliwie i pieszczotliwie po lśniących i puszystych włosach, po ramionach, po plecach, czuł drzenie, jakie przebiega to ciało, i nieustannymi dotknięciami uspokajał ją, tak jak monotonnymi słowami usypia się niespokojne dziecko. Było mu błogo i przyjemnie. Zapadła cisza. Myślał, że Amelka zasnęła, i bał się poruszyć. Lampa, osłonięta błękitnym abażurem, oświetlała łagodnie pokój. Tuż obok, na kanapce, leżała porzucona sukienka żony, różowy atlasowy perok z podwiązkami i przejrzysty koronkowy staniczek. Delikatna woń perfum zdawała się dymić z tych szmatek. Muszę jej powiedzieć, żeby nie perfumowała się tak, idąc na probostwo.

Usłyszał lekkie westchnienie. Amelka wstała mówiąc:

– Kładźmy się, Filipie. Mama pewnie już nie przyjdzie. – A potem, w łóżku już, zapytała: – Ciekawa jestem, czy jutro się wypogodzi?

Aptekarz nie dosłyszał, o czym mówiła, i na wszelki wypadek mruknął uprzejmie:

– Uhm.

Rano grube poduchy śniegu leżały za oknem, a drzewa z przykościelnego ogrodu stały puszyste od śniegu. Amelkę obudził odgłos powszechnego czyszczenia chodników, szufle i łopaty puszczone w ruch, ale mimo to panowała jakaś głucha cisza, stłumienie. Pani Raczyńska weszła do pokoju zaczerwieniona od chłodu, ze słowami:

– Co się nie dzieje na tym świecie! Dopiero słońce, dopiero śnieg i zimno. Wstawaj, Amelciu, Filip lada chwila wpadnie na śniadanie, a nie lubi sam siedzieć przy stole. Przecież już nie śpisz, a wylegujesz się.

Głos matki, choć nikły, i te nudne, zawsze jednakowe słowa robiły swoje. Amelka wstała. Zjedli śniadanie w trójkę, pani Raczyńska nawet „była przy apetycie”, ponieważ wyszła do kościoła wczesnym rankiem, na czczo. Przystępowała do komunii świętej.

– Może Filip zjadłby coś solidniejszego?

Aptekarz, owszem, uważał to za dobry pomysł, bo obiadowe godziny miał zajęte w aptece, nie zaszkodzi pożywić się już teraz. Więc co? Befszytk? Zgoda na befszytk. I aptekarz jak zwykle zaczął wyliczać, jaki to ma być ten befszytk. Krwisty, z wierzchu mocno ścięty, z cebulką na obfitym maśle. Pani Raczyńska, choć знаła to wszystko na pamięć, nie omieszkła za każdym słowem zięcia kiwnąć głową potakująco. Amelka patrzyła na czerwoną, doskonale wymytą i ogoloną twarz męża. Jego mętne oczy pozostały nieruchome i blade, choć rozprawiał z ożywieniem o potrawach, na które miał apetyt i które by trzeba wprowadzić do menu domowego dla urozmaicenia. Matka z ciekawością słuchała wtrącając swoje uwagi co do przypraw. Właściwie aptekarz byłby wymarzonym mężem dla matki, czego mu więcej potrzeba?...

Co za nuda. Pomyślała ordynarnie: „Ciągłe o tym żarciu i żarciu. Zaledwie się skończy to przydługie śniadanie, trzeba będzie szykować tacę z obiadem na dół, do apteki”.

– A ty, Amelciu, co byś zjadła?

– Nic, dziękuję.

Wstała od stołu. Trzeba było jeszcze cmoknąć męża w policzek. Zrobiła to.

Dzień uchodził. W jaki sposób postępowała, że dotąd dni płynęły nie wiadomo kiedy i jak, i było dobrze? Natknęła się w szafie na zwód perkalu: sukienki sierot, nie dokończone i porzucone! Jak mogła o tym zapomnieć, przecież każdy ścieg zbliżał ją do probostwa. Znalazła powód, aby tam iść. Z furią zabrała się do roboty. Maszyna furczała ostro. Perkal sunął spod rąk na błyszczącym blacie. Ta robota koniecznie domagała się śpiewu i Amelia zaśpiewała starą piosenkę Marii Mossakowskiej:

Kochanek mnie porzucił
Już teemu wiecee lat –
Wyjechał zrozpaczony
W dalekie, obce strony,
W nieznany ruszył świat!
W nieznany ruszył świat!...

Słowa były akurat odpowiadające sytuacji, a melodia wtórowała niespokojnemu smutkowi, natarczywym pytaniom. Co on o niej myśli? czy myśli? Ile może mieć lat? Pewnie dwadzieścia. A ona – aż dwadzieścia osiem!... Ogarnęło ją zdumienie, obejrzała się za siebie, jakby chcąc zobaczyć uszłe lata, i na gwałt zaczęła sobie przypominać, kiedy te lata zbiegły? Wzięła ołówek, którym obrysowywała formy do kroju, i na małym papierowym karczku obliczyła, ponieważ zdawało jej się, że to

nierozumiałe, że się myli!... Zgadzało się.

Odechciało jej się nagle wizyty na probostwie. Skończyła robotę, zapakowała i odesłała przez Katarzynę.

– Komu mam oddać, proszę pani?

Pani odpowiedziała cierpliwie:

– Wszystko jedno, komu.

Pani Raczyńska weszła do pokoju, pobierała skrawki materiału i pochwaliła córkę za szycie sukienek.

– Co to ja chciałam powiedzieć?... Wyobraź sobie, że małe chcą grać w tenisa...

Amelka nie okazała żadnego zainteresowania i pani Raczyńska musiała ciągnąć dalej. Szkoła szkołą, ale prawdziwe stosunki zawiązuje się poza szkołą, właśnie wtedy gdy się dziewczynki bawią. Ale na to potrzeba pieniędzy.

– Tego, Amelciu, nie zaoszczędzę z życia, bo to za duża suma. Musisz chyba poprosić Filipa?

Amelka przykucnęła przy piecu, w którym akurat palono, i otworzyła drzwiczki.

– Co ci jest? – spytała matka. – Zamknij piec, bo się wypali i ciepło ucieknie. Co ci jest?...

Amelka wyszeptwała:

– Nie, nic mi nie jest. – I nagle, skuliwszy ramiona, zapłakała.

Pani Raczyńska przestraszyła się. Od niepamiętnych czasów nie widziała łez córki. A już tak było dobrze!...

– Słuchaj, Amelciu, jeśli się czujesz źle, idź do doktora, bo nie ma nic gorszego dla mężczyzny niż chora żona w domu. Filip tak doskonale się trzyma, a ty tu zaczniesz stękać i kwękać i życie mu obrzydysz. Przecież ja widzę, że od pewnego czasu ledwo się trzymasz na nogach.

Amelka zgodziła się apatycznie. Ale kiedy weszła do gabinetu lekarza, na Karmelickiej, rozłościła się w duchu na matkę. Nie wiedziała, co jej dolega, co ją boli? Co powiedzieć? I doktor musiał to wziąć na siebie.

Zakłopotał się, a potem zniecierpliwił, bo musiał tej pacjentce mówić takie rzeczy, jak:

– Niech pani zdejmie bluzkę, niech pani zsunie ramiączka koszuli. – Potem przypomniał sobie pobożną panią Raczyńską i sferę, z jakiej pochodzi aptekarzowa, i postanowił, że będzie pobłażliwy.

– Doktora nie trzeba się żenować. Przecież muszę panią osłuchać i opukać.

Ile lat, ile dzieci, czy było poranienie? Nie, nie, nie, Amelka zaprzeczała z powagą, jak to dobrze, że tych rzeczy nie widać, że to nie zostawia żadnego śladu w organizmie. Oddychała i kaszłała. Gdy słuchawka doktora zatrzymała

się dłużej z lewej strony piersi, zrozumiała, że tu może się kryć choroba, i serce jej uderzyło mocniej. Doktor odrzucił słuchawkę i gołym uchem przyłgął do ciała. Ponieważ drżała, ramię doktora mocnym chwytem objęło jej plecy.

Wyprostowany, doktor rzucił wesoło:

– A jak tam sprawy małżeńskie?

Zaczerwieniła się. Ta kobieta oblała się wprost czerwienią. Dwadzieścia osiem lat!... Obrażona, zapytała gniewnie:

– Co to ma do rzeczy? – Potem prędko, drżącymi palcami zapinając bluzkę pod samą szyję, wyjaśniła, że uczuwa ból z lewej strony, tam gdzie serce. Wszystkie kobiety ukazywały serce jako źródło swych chorób. Ubawiony doktor odwrócił głowę w stronę okna i rzekł:

– A czy słyszała pani o tak zwanym nerwie sympatycznym?

Złowrogie milczenie. Więc rzekł z powagą:

– Niechże pani poprosi męża, aby tu do mnie wpadł wieczorkiem.

Wracając Amelka myślała z nienawiścią o doktorze. Mądrała. Niby wszystko wie, ale żadne leki nie zdołają zapobiec temu, aby nie wybuchnąć płaczem i nie trząść się z zimna, nawet gdy się siedzi przy otwartym i rozpalonym piecu. Głupiec.

XII

– Sto pytań mam na końcu języka – monologowała głośno pani Raczyńska. Amelka otworzyła właśnie drzwi do kuchni i zdziwiona spytała:

– Do kogo mama mówi, mam?

Pani Raczyńska, zmieszana, odpowiedziała:

– Czy ja co mówiłam?...

Sto pytań miała na końcu języka, ale wolała nie pytać. Lepiej nie pytać. Bo cóż. Amelka zasięgała porady u doktora, właściwie ni z tego ni z owego leczy się Filip. Po kryjomu, cichcem przyjmuje jakieś pigułki. Taki zdrów mężczyzna!...

Lepiej nie pytać, dlaczego Filip się leczy i dlaczego na przykład Cechna po tym jednym liście umilkła zupełnie. Mogłoby się okazać Bóg wie co.

– Pojęcia nie mam – monologowała pani Raczyńska – co może być z Filipem. Ale z Cechną, domyślam się: mąż nie jest mężem, ojciec nie jest ojcem, dziecko nie jest dzieckiem – oh! co ja plotę!... co to, to nie!

W każdym razie lepiej o Cechnie w rozmowach nie wspominać, nie kusić losu. Filip nie powinien o niczym takim wiedzieć.

Teraz trzecia sprawa. Dlaczego bratanek księdza przesiaduje całymi dniami z Amelką, co oni z sobą mają? Wprawdzie bratanek księdza powinien

być ponad wszelkimi podejrzeniami, ale co znanadto, to znanadto. Przez parę dni jakoś nie było go widać, a tu naraz masz! Jest!... Trzeba mieć na tę sprawę oko ze względu na Filipa.

Katarzyna wyszła zmaglować bieliznę. Pani Raczyńska ustawiła trzy filiżanki na tacy i wniosła je wonne i dymiące do saloniku. Teraz jednak nie potrzebowała przeproszać, że nie ma nic do herbaty, bo okrągły stolik cały zastawiono ciasteczkami, konfiturami i owocami.

Siedzieli naprzeciw siebie i patrzyli na siebie, oto wszystko. Naturalnie, gdy tylko weszła, zaczęli na gwałt rozmawiać.

– Jak się pani czuje?

– Dobrze – o! dobrze!...

– Amelka jest zupełnie zdrowa – rzekła pani Raczyńska.

– Nie mogłem wcześniej przyjść, bo wyjeżdżałem.

– Wyjeżdżał pan?

– Tak. Matka wezwała mnie. Załatwiałem też sprawy wojskowe.

Amelka patrzyła oszołomionymi oczyma. Andrzej powstał nagle, zmieszany i pochylił się nad jej dłonią.

– Nie przywitałem się jeszcze z panią.

Pani Raczyńska rzekła:

– Jak to? Witaj się pan z córką w przedpokoju.

– Naprawdę?!

– Czy pan słodził herbatę? – zapytała starsza pani.

– Tak, dziękuję.

Zapadła cisza, podczas której każde z nich tkwiło nad swą filiżanką, wpatrując się zagadkowym wzrokiem w ciemny napój. Pani Raczyńska usadowiła się wygodnie w fotelu i spod oka lustrowała młodą parę. Bratanek księdza odstawił nagle filiżankę i rzekł jakimś szczególnym tonem:

–°Sliczną ma pani suknię, pani Amelio.

–°Co słyhać w naszym ogródku?

O czym oni rozmawiają? Jaki ogródek? Co ma suknia z ogródkiem? Pani Raczyńska przysięgłaby, że to są słowa umówione, i przerwała pośpiesznie porozumienie, podsuwając Andrzejowi ciastka:

–°Może pan jeść spokojnie, to domowego wypieku. – Andrzej ujął tackę i usłużył Amelce.

– Proszę, *Aimee*.

Co to znaczy? Czyżby mówili sobie po imieniu? To słowa brzmiało trochę jak imię Amelki, ale i przypominało lekcje francuskiego, gdy małe uczyły się słówek. Co to wtedy mówiła Felcia? „Najrozkoszniejsze słowo!” Pani Raczyńska spojrzała bystro na córkę. Amelka z rozchylonymi ustami, podana naprzód, patrzyła na Andrzeja czule i otwarcie. Pierś jej falowała w spokojnym oddechu. Pani Raczyńska poruszyła się nerwowo i znów chciała

zapropnować herbatę czy cytrynę, czy ciasteczka, ale zabrakło jej odwagi. Bo Andrzej patrzył na Amelkę tak samo otwarcie i czule. Cóż to za piękna para!... Trzeba przyznać, że wyglądają jak wymarzeni, jak z obrazka. I przez chwilę ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła, kładąc na gwałt to małżeństwo z aptekarzem. Ale kto by mógł przypuścić, że bratanek samego proboszcza, z takiej rodziny, z majątku, ze wsi, straci głowę dla Amelci? Bo on stracił głowę, to nie ulegało wątpliwości!

– Pani Amelio – rzekł nagle Andrzej zupełnie innym głosem – ja już wszystko załatwiłem.

– Załatwił pan?

– Tak. I dostałem odroczenie z wojska.

– Oo!

– Miałem trochę trudności. Ale w końcu... trzeba jechać.

– Mamo! – krzyknęła nagle Amelka błagalnie i rozpaczliwie. Pani Raczyńska zrozumiała, że ma wyjść z pokoju, ale udawa ślepa i głuchą, choć ręce jej się trzęsły ze wzburzenia. Prawda, że dawniej zostawiała Amelkę samą z chłopcami w ładnym pokoju na Nowolipkach – ale teraz – nie, nie! Ujrzała, że Amelka zbladła, a potem na jej twarzy ukazał się wyraz takiej determinacji, że nie było innej rady, tak przypomnieć jej o aptekarzu.

– Amelciu, czy Filip dostał podwieczorek?

Andrzej powstał. Amelka po dawnemu, ze wzgardą odęła usta. Potem rzekła:

– Co za piękny dzień! może przejdziemy się trochę? – Głos jej brzmiał niewinnie i odważnie i pani Raczyńska zrozumiała, że Amelka robi, co zechce, że wyjdą, że pójdą sobie... Wycofała się pośpiesznie z pokoju. Aby tylko Filip nie zobaczył ich wychodzących! Zeszła czym prędzej na dół, zając Filipa, gdyby przypadkiem stał w otwartych drzwiach apteki, jak to miał we zwyczaju. Ale już na schodach usłyszała głos aptekarza. A więc był w laboratorium.

– No, jak tam idzie, panie Gończyk?

– Wszystko dobrze, dziękuję panu, dziś rozprzedałem nawet broszury, interes idzie doskonale.

– Tak, tak, ludzie oprzytomnieli.

– Tylko żeby nie te nogi!...

Aptekarz doniosłym głosem przerwał:

– To trudno. Rodzaj pańskiego zajęcia sprowadza na pana te dolegliwości. Choroba zawodowa, Gdy ktoś przebywa niemal cały dzień na ulicy, bez względu na pogodę, stoi na bruku z nogami często mokrymi od wilgoci, musi się to odbić na zdrowiu. Dam panu tę maść do wcierania.

– Czy droga?

Pani Raczyńska chrząknęła i weszła pośpiesznie, ale znów nie zdążyła

temu zapobiec, bo aptekarz właśnie rzekł:

– Głupstwo, nic panu nie policzę.

Na ulicy Andrzej i Amelka milczeli. Gdy zostali sami, ogarnęło ich zakłopotanie. Blade światło przedwieczera lśniło nad oświetlanymi już tu i ówdzie sklepami. U wylotów ulic ciemniało głębią mocniejszą. Na skrzyżowaniach przeciągały lekkie smugi zapachów. Fiołki, bez, konwalie – kwiaty miasta na płaskich talerzach mokrych od wody, w koszach i na stoiskach, a ponad tym, wyżej, wątle gałęzie drzew drżały czule, jasne od światel latarni.

– Gdzie pójdziemy? – Nie znaleźli odpowiedzi i tymczasem ruszyli tylko przez jezdnię. Andrzej ujął łokieć Amelki, aby ją przeprowadzić wśród nawoływań dorożkarzy i natarczywych dzwonek tramwajowych. Utknęli nagle na środku u wylotu Leszna i Karmelickiej, i oto znaleźli się w błogim odosobnieniu, wśród parujących pysków końskich i wspaniale obojętnych źrenic zwierząt, wśród zamętu zbyt wielkiego, aby – para ludzi zabłąkanych – stanowili coś. Bruk drżał pod ich stopami, ognista skra przebiegła w górce przez skrzyżowane druty. Przez krótką chwilę, przyłgnięci do siebie z splecionymi kurczowo ramionami, w zgrozie i szczęściu ujrzeni całe swe szaleństwo, nie przeżyte.

Potem, na chodniku już pożegnali się natychmiast i niezręcznie.

To wszystko już było, tak było już kiedyś. W ten sposób patrzyła na chłopca, Romana, tak uśmiechała się spragniona, do pana Michałowskiego, a tak znów pełna skromnej, powściągliwości, zdobywała aptekarza. Ale teraz co robić, jak postępować z Andrzejem? Amelka wodziła palcami po ślicznych brwiach, dotykała powiek pociemniałych z tęsknoty. Uważnie i starannie naciągała jedwabne pończochy na wąskie stopy. Jej krótkie spódniczki i gładkie bluzki czyniły ją młodą dziewczyną, jej szlafroki i suknie domowe pieniały się falą koronek, szumiały drażniąco jedwabiem i doprowadzały do wybuchów miłości gadatliwego męża. Stała przed lustrem i zdawała się szukać, jakiejś nowej miny, nowego wyrazu twarzy, czegoś osobnego dla Andrzeja. Ale nic nie stawało się w życiu za dermo, nic nie ginęło. Płaciło się, pozostawały ślady głębokie i ponure. O, to jej ciało, lepkie od miękkich i uporczywych pocałunków męża, oślinione, ugładzone sennie, znaczone pręgą tajemnego macierzyństwa... Szydliła: „Teraz dopiero zaczynam myśleć, teraz, gdy mam lat dwadzieścia osiem!...”

Zaciskała usta, a twarz jej, pogodnie uśmiechnięta przed chwilą, znaczyła się nagle ostrymi strychulcami zmarszczek. Być prawdziwą!... Z wysiłkiem, cierpliwie, mozolnie tworzyła nie tylko nowy swój głos, słowa, gesty, tworzyła nowe pojęcia, nowe myśli. Ależ ona dotąd była nieodpowiedzialna za nic, co się z nią działo; czy wiedziała, co robi, wychodząc za aptekarza? Czy mogła mieć pojęcie? Cierpiała. I Andrzej patrząc na nią odnajdywał w

tej twarzy natężonej rys, który go zachwycił, jakby pierwszy akord do pieśni wstrząsającej. Amelka zauważyła to wrażenie. Ucieszona, marzyła, że ma przed sobą długą, długą drogę, którą przebędzie z Andrzejem. Zachwycającą drogę, pełną niespodzianek – spojrzeń tak jasnych i rozumiałych jak słowo. Przebacziała aptekarzowi, matce, życiu. Jeszcze nie jest za późno, jeszcze można wiele rzeczy odrobić, przeżyć inaczej, pełniej, rozumiałej, bez kłamstw.

Zwykle dom był pusty. Amelka mogła do woli wystawać przy oknach i patrzeć w stronę ogrodu przykościelnego. Ale właśnie dziś pani Raczyńska skłoniła małe, aby przyszły na górę zaskarbić sobie względy bogatej fabrykantowej powozów, członkini komitetu parafialnego, która miała być z wizytą u aptekarzowej. Dama ta nadeszła przed Andrzejem i z miejsca wszczęła rozmowę o kolorowych sukienkach sierot. Klika rzeczowych jej uwag i pytań tak dalece oszołomiło Amelkę, że nie umiała wytłumaczyć swego kroku.

– Nie należy w tych ludziach budzić próżności – rzekła dama – bo jej nie będą mogli zaspokoić.

Ostatecznie sieroty i tak zostały nazwane zaraz „kolorowymi sierotami aptekarzowej”.

Wszedł Andrzej uprzedzając o krótką chwilę księdza, który wstąpił do apteki. Całe towarzystwo, rozsiadłe szeroko w ulubionym przez Amelkę kącie bawialni, między owalnym lustrem, piękną staroświecką kanapą i krągłym stołem, umilkło. Amelka ujrzała Andrzeja w lustrze, gdy wchodził, w pięknym szarym garniturze, zupełnie innego, światowego młodzieńca, o nienagannej fryzurze. Nawet krok jego, gdy zmierzał w jej stronę, był inny, równy, pewny siebie i wymierzony doskonale. Ale wyraz jego twarzy sprawił, że Amelkę ogarnął strach. Z nagłą nienawiścią pomyślała o wszystkich siedzących w pokoju: „Jak trzeba, to nikogo nie ma, a teraz poschodzili się i siedzą...” Helcia, która siedziała obok niej, ustąpiła Andrzejowi miejsca i Amelka uczyła przyływ gorącej wdzięczności do siostry. Wkrótce potem usłyszała tuż nad uchem:

– Przychodzę się pożegnać.

Ksiądz który właśnie wszedł, przestraszył się wyglądu aptekarzowej. Jej oczy tkwiły w lustrze, gdzie odbicie twarzy Andrzeja matowiało i bladło, jak wtórny obraz na ekranie. Sądziła, że kryje doskonale swe uczucia, lecz wszyscy obecni widzieli jej sztywną postawę, jej błądliwość, nieruchome spojrzenie, jej skryty wysiłek. Fabrykantowa powozów pośpiesznie zagąjała rozmowę.

– Ach, więc wyjeżdża pan za granicę?

Rozwiodła się o swych przedwojennych podróżach, podczas gdy pani Raczyńska rozdzielala filiżanki, talerzyki i ciasta, truchlejąc wewnętrznie,

żeby tylko ta Amelka wytrzymała do końca. Co się z nią dzieje?! Przecież bratanek księdza już wyjeżdża i nie ma o czym mówić. Fabrykantowa – westchnęła, oznajmiając, że wojna i motoryzacja zrujnowała tę gałąź przemysłu, fabrykację powozów, więc nie ma mowy o wyjazdach za granicę.

– Nawet do ślubu jeździ się taksówkami, prawda, księżę proboszczu?

Ksiądz przytaknął i podziękował za herbatę. Mieli już tak mało czasu przez sobą.

– Widzi pani, ja jeżdżę jeszcze pocziwą dryndą... No, Andrzeju, to mi przypomina, że musimy się żegnać.

I nagle ulegając litości i poszanowaniu dla tego niewątpliwego męstwa, na które patrzył, myśląc o uczuciu, które nakazało tej nijakiej kobiecie zmagać się z sobą, zaproponował:

– A może odwieziemy go razem na stację, pani Amelio?

Chciał utwierdzić ją w dobrym, nagradzając, boć przecie i sama Opatrzność zsyła ludziom krótkie odetchnienia między jednym a drugim smutkiem. Ale potem, w dorozce już, pożałował swej słabości. Wysłano przodem kościelnego z bagażem, Andrzej siedział naprzeciw aptekarzowej, na małej ławeczce. Stopy ich stykały się, nieruchome głowy, odchylone, patrzyły z wysoka uważnymi oczyma. Ksiądz chciał uczynić z tego pożegnania wesołą przejażdżkę na dworzec i wszczął żartobliwą i głośną rozmowę. Ale nie dali się w to wciągnąć, odpychali to od siebie, nie chcieli, nie chcieli. Z nikłej sympatii, jak sądził, z przychyłnej skromności czynili rzecz wielką, spowijając ją w milczenie, ratując od pospolitości. Tego im, widać, było trzeba, tędy wiódł ich instynkt przedłużający na niewiadomy czas to, co miało zaraz zgasnąć.

W domu aptekarz spożywał obiad sam, przekomarzając się z Katarzyną na temat jej kulinarnych zdolności, pobitych całkowicie przez zdolności pani starszej, pani Raczyńskiej. Katarzyna, która otrzymywała częste wychodne do kościoła i miała teraz przynajmniej do kogo „usta otworzyć”, nie dała się jednak unieść ambicjom i odpowiadała bez animuszu. Aptekarz skończył obiad, a ponieważ miał wolne popołudnie, udał się do sypialni. Był pewien, że żona jeszcze nie wróciła, i zdziwił się ujrawszy ją siedzącą na łóżku, w kapeluszu i płaszczu, w rękawiczkach na splecionych dłoniach, jak obcą w tym intymnym pokoju. Otworzył trochę usta, bowiem nie słyszał dzwonka u drzwi.

– Miałam z sobą klucze.

Porzucił gazetę i rzekł:

– Wyglądasz jak dama na wizycie. – Przysiadł koło niej, na brzeżku. – Co pani powie, moja pani? – Raptem ten jej strój zapięty pod szyję, ta obcość zbudziły w nim niezrozumiałą chętkę. Objął ją i szepnął coś do ucha, ale potrząsnęła głową, odsunęła się. To go podnieciło, tego mu było potrzeba –

No, moja pani, po cóż tu pani przyszła do sypialni?... Co panią sprowadza?... – Mówił dysząc, mówił ciągle, nieprzerwanie, ucieszony niespodziewaną przygodą o tej porze dnia, w takich okolicznościach. Mówił, gdy zdejmował żakiet, rozpiął bluzkę i obnażał ramiona. O, to młode ciało, różowe od krwi, gorące od pragnienia...

A potem, poklepując ją po ramionach, ciągle zdumiony:

– A to dopiero! A to dopiero!

Wstała porządkując swe spódniczki. Nic nie czuła, ani wstrętu, ani rozkoszy, ani nienawiści, ani miłości. Więc tak już zostanie, więc tak już można żyć, można wytrzymać?...

– Słuchaj... – rzekła niepewnie – mama mówiła mi coś o małych... że małe chcą uczyć się grać, w tenisa... – ogarnął ją wstyd, jak nigdy, ale aptekarz, sapiąc jeszcze, zapytał tylko:

– Ile? – Odnajdywał sens w swoim starokawalerstwie dawnym, w gromadzeniu pieniędzy, w skapstwie: po to, aby móc teraz tak niedbale zapytać Amelcję: – Ile?

XIII

Krew się zażęgła między Romanem a Kwiryną od owej pamiętnej nocy, kiedy to wyciągnęła po niego rękę, kiedy to zwarła się z nim, pokonała i porzuciła oszołomionego, wyzbytego z sił, na wpół omdłego. Któż mógł przypuścić, iż z tej nienawiści i gniewu, i żalu zrodzi się ten płomień i porozumienie?

Gdy tylko zjedzą kolację, Kwiryna chwyta za lampę:

– Chodźmy już, Romanie! – ręce jej drżą, szkiełko brzęczy o klosz. Wychodzą i zamykają za sobą wszystkie drzwi na klucz. Oczy Kwiryny zrobiły się wielkie w zmizerowanej twarzy, jej czarne włosy lśniły rdzawo. Wyglądała jak drzewo osmalone ogniem. Garbata ciotka długo nadziwić się nie mogła tym przemianom, długo musiała śledzić i nasłuchiwać, i wyciągać Romana na słówka, nim zrozumiała. Ta bezwstydnica pożera go wprost, wyciąga zeń wszystkie siły. A nim tłusty schudnie, chudego diabli wezmą. Roman wyglądał jak cień.

Nie było już mowy o blondynce, mogła sobie przychodzić po zakupy i kręcić się koło sklepu. Kwiryna oczu nawet nie podniosła, by skontrolować Romana. To nie przeszkadzało, że przedtem dowiedziała się wszystkiego o tej dziewczynie: lepiej wiedzieć. Blondynka mieszka na Mylnej, akurat naprzeciw dawnego sklepu Kwiryny, na poddaszu. Jest sierotą, ma przy sobie małego brata. To repatrianci.

Kwiryna rzekła:

– Powinam być jej wdzięczna.

– Komu?

– Tej blondynce. Bo przez nią stało się to między nami... wiesz?

Roman długo patrzył na żonę, zanim spytał:

– Byłaś o nią zazdrosna?

– Tak.

Wtedy roześmiał się. Siedzieli na górze, w sypialni. Wszystko zostało tu po dawnemu, nawet łóżek jeszcze nie przestawiono: stały nogami do okien. Roman podszedł i pogładził Kwirynę z miłością po głowie:

– Byłaś o nią zazdrosna? Ach ty głuptasie!...

Kwiryna, z sercem ściśniętym z rozkoszy, żartowała:

– No, przyznaj się, przyznaj!

– Czy myślisz, że się do niej zalecałem?

Wzniosła ku niemu swe cygańskie piękne oczy:

– A może nie? – Roman zmieszał się a potem rzekł powoli:

– Mnie jej tylko żal było.

Nie poruszyła się, pozwoliła mu mówić i wtedy powiedział jej wszystko, wydał się. Żal mu było i dlatego przeważał jej cukier, a raz herbatę, parę lutów.

– Ludzie tak się mordują, wszystkiego im brak... – Musiała długo myśleć, żeby pojąć, o co mu chodzi, a wtedy po prostu zamarła. To było gorsze niż zdrada, to było gorsze od najgorszych jej przypuszczeń. Krzyknęła:

– Czyś ty zwariował?!

Za całą odpowiedź usłyszała:

– Byłem na wojnie, prawda? – Rozwarła szeroko oczy, a on ciągnął swoją mętną opowieść o wojnie, zawracał głowę tą zapomnianą wojną, której on właśnie nie mógł zapomnieć. Cóż to mówił doktor, gdy Roman chorował po powrocie z niewoli?... Że odniósł „pewien uraz psychiczny”. Wtedy śmiała się z tego: Roman po prostu był wygłodniały, zbiedzony, chory po tyfusie. Pilnowała, żeby brał lekarstwa, a ciotka z zegarkiem w rękę czuwała nad – godzinami posiłków. I na co się to zdało? Uraz psychiczny. I Kwiryna omal nie załamała rąk w ostatniej rozpaczy. Trzeba mieć do wszystkiego szczęście. Ktoś inny mógł otrzymać ranę w nogę, rękę, palec czy ucho, a akurat Roman musiał wynieść z wojny jakiś tajemniczy „uraz” i nie mógł się tego pozbyć przez tyle, tyle lat!... Słuchała, jak filozofował dalej, tak głupio, jakby nigdy nie przebywał u kupca na praktyce i nie uczęszczał na wieczorowe kursy handlowe. Mówił, jak w jego oczach wszystko się na tej wojnie sypało w gruzy, ludzie zapracowywali się przez całe życie aby potem wszystko stracić w jednej chwili. Nic nie było stałego, niewzruszonego. Pieniądz? majątek? dom? Dziś jest, jutro nie ma. Tylko ludzi szkoda.

– A mnie ci nie szkoda? – rzekła gorzko Kwiryna – jak tak dalej pójdzie,

to cały sklep rozdasz!...

Roman pochylił się i swawolnie ucałował odsłonięty kark żony:

– To co? to co? będziemy się dorabiać na nowo! Ty nawet to lubisz: dorabiać się. A niedługo już będziesz miała wszystkiego pod dostatkiem i co wówczas?

Tak może mówić tylko człowiek całkiem głupi. Kwiryra powiedziała dobitnie:

– Głupi jesteś. Czy ty masz pojęcie, jak z nami właściwie jest?

Wpakowała gotówkę ciężką w kupno domu i co się okazało? Komorne jest tak śmieszne, że nie ma o czym mówić, a tu ochrona lokatorów, a tu konieczny remont, marka spada na łeb na szyję i dochód z domu nie pokrywa wydatków. Kwiryra zamyśliła się:

– Jedyne ratunek to pozbyć się niektórych lokatorów i wziąć odstępną za mieszkania, oczywiście, w dolarach.

Roman krzyknął:

– Kwiryno! – takim głosem, aż w niej serce zadrżało. Ale rzekła nieuleknie:

– A co ty myślisz? czy po to kupiłam dom, żeby do niego dokładać?

Wtedy rzekł:

– Czy wiesz, co o tobie mówią?

– No co?

– Ludzie o tobie mówią, żeś wyzuła Majewskich z majątku, żeś kupiła dom za psi grosz, żeś tak przerachowała ich długi i pożyczki... – skrzywił się i położył rękę z lewej strony na piersi, ale Kwiryra nawet nie spostrzegła tego ruchu i powiedziała grubiańsko:

– Gdzieś mam ludzi i ich gadanie! Niech sobie gadają.

Umilkł i położył się na wznak na łóżko. Kwiryra ochłodziła z gniewnego uniesienia. Rzeczywiście, czy musiała mu wszystko mówić? Wyjęła szpilki z włosów i ziewnęła. Rozebrała się.

– No, Romanie, spać!

Leżał nieruchomo i nie odpowiadał. Wtedy wyciągnęła się na całą długość swego ciała i, zdjęta dreszczem, szepnęła:

– Chodź! słyszysz? Chodź do mnie!

Roman zbladł, zmieszał się, widziała, jak się z sobą zmagił, zanim rzekł:

– Daj mi spokój, ja nie mógłbym teraz dotknąć ciebie. Tak się nad wszystkim trzęsiesz, tak wszystko oczyma liczysz, że jak jem, to mi jedzenie w gardle więźnie... Dlaczego ciotka nie dostała dzisiaj kotleta?

Kwiryra spytała głucho:

– Jakiego kotleta? O jakim ty znów kotlecie mówisz? Czy ja się w to wtajemniczam? Czy wydzielam jej jedzenie?

Roman na to, urągliwie:

– Nie, ty nie wydzielasz, niewiniątko. Ty tylko mówisz: „Niech ciotka kupi ćwierć kilo mięsa, będzie dość”. Ty się nie wtajemniczasz, czy to będą dwa kotlety, czy trzy.

– No, no, już ty się nad ciotką nie rozpadaj, ona sobie nie da krzywdy zrobić, ona także nie zapomina o towarach w sklepie, tak jak ty. Coraz to coś uszczknie... – Myślała, że go tym powiedzeniem dosięgnie, ale Roman rzekł z całą naiwnością: – To ty ją skazujesz na suche jedzenie, ukradkiem!

To już „szczyt wszystkiego”! Kwiryra z wściekłością zbiła poduszkę, poruszając zleżale pierze, i już chciała powiedzieć: „To niech sobie kartofli ugotuje...”, ale opamiętała się. Trudno, trzeba go traktować jak chorego. Westchnęła, a potem rzekła cicho:

– Czy ty mylisz Romanie, że ja ciebie nie rozumiem? Doskonale cię rozumiem, bo ja sama byłam taka, dopóki się nie przekonałam, że nad ludźmi nie warto się rozpadać, bo sami są winni swojej biedzie. Miałam koleżanki szkolne, pamiętasz Franię, Bronkę i Cechnę, i Jankę? Ja się nie chwale, ale dużo im pomagałam, także ze sklepu wynosiłam, co się dało, po kryjomu przed rodzicami i dawałam im.

Roman podniósł głowę i mruknął:

– Tak? – a Kwiryra, zachęcona jego zainteresowaniem galopowała:

– Raz nawet sprawiłam Frani sukienkę, tak, nie żałowałam, bo wtedy chodziło o ustalenie jej losu.

Roman wstał ze swego łóżka i przysiadł na brzeżku łóżka Kwiryry.

– No? no?... – i Kwiryra, rozgrzana rozwiodła się szeroko o tym, jak to sprawiła suknię Frani na egzamin w szkole aplikacyjnej i nawet wpłaciła czesne. Suknia co prawda nie była nowa, a przeróbki dokonała za darmo Maria Mossakowska, ale o tym nie trzeba mówić Romanowi. Chodzi o sam fakt.

– Ale im się robić nie chciało, ciągle tylko marzyły o kawalerach, ubraniu. Żadna palcem nie ruszyła, żeby pracować i dorabiać się powolutku. Czy jestem temu winna?

– Co się z nimi stało?

Kwiryra wzruszyła ramionami.

– Co się stało? Łatwo się domyślić...

Westchnął i położył głowę na jej obnażonych piersiach. To ją strasznie wzruszyło, to było nowe, bliskie obcowanie. Wcale nie wiedziała, ile takich rzeczy kryje się we współżyciu z Romanem. Przesunęła dłoń po włosach męża, pogładziła go, jak się gładzi dziecko, a potem podsunęła ramiona pod jego barki i podciągnęła go ku sobie.

– Cóż ty tak leżysz niewygodnie, skurczony?

Ułożył się, ale wrócił do swego.

– Pamiętasz, Kwiryno, jak się wojna zaczęła, co mówili ludzie? Ludzie

mówili, że jest na świecie ciasno, przepełnienie i przeludnienie, a specjaliści, zajmujący się sprawami świata, od dawna przepowiadali wojnę, orzekli, że inaczej być nie może. Przepełnienie i przeludnienie. Gdy się to powiedziało na Nowolipkach z przyległościami, pamiętam, o takiej porze wypoczynku, gdy ludzie siedzieli przed bramami, na skwerze, na schodkach sklepów, to był nie lada jaki argument. Któż by tego nie rozumiał, mając na względzie swoje własne przepełnione domy rodzinne? Nie, do tego jeszcze nie doszli, by chcieć żyć kosztem swoich bliskich, ale czy ich się kto pytał? Wyższa konieczność i już. Byli tacy, co chwalili wojnę. Podorabiali się majątków, wyszli na ludzi...

Kwirynie oczy zabłyśły:

– A co, może nie? Przepraszam cię, Romanie – rzekła uroczycie – zapominasz, że z tej wojny wynikła Polska.

Roman na to: – że tak – ale on mówi „ogólnie”.

Ogólnie. Kwirynę ogarnia zniechęcenie. Takie „ogólne” gadanie to do niczego, to nie na jej głowę. Wolałaby mówić o swoich sprawach, na przykład o cenach, niestety, ceny trzeba prawie codziennie zmieniać, żeby nie stracić włożonego w towar kapitału. Naturalnie, co Romana to obchodzi?

– Czy za mało ludzi wybito? – pyta Roman dramatycznie – Weź na przykład taką oficynę w naszym domu. Jakem tam wszedł, to aż mi się słabo zrobiło. Po dziesięć osób w jednym pokoju.

– Nabrali sublokatorów! – krzyknęła Kwiryna – i zarabiają, a ty to nazywasz sprawiedliwością? Gniewasz się, że im podwyższam komorne. Prosiłam, żebyś odmówił meldunku, a ty swoje.

– Tego zrobić nie mogę, przepisy nie pozwalają, policja...

– Każdy ma coś do gadania, tylko ja nie. W moim własnym domu! Ale ja z tym zrobię porządek. Oficynę trzeba wyremontować gruntownie, zapaskudzili ją tak, że jeszcze runie. Powyrzucam ich – i już!

Roman, czy się przeląkł?... wyciągnął bowiem ramię, zgiął łokieć i wsunął pod głowę żony, co tak bardzo lubiła.

– Nic nie zrobisz, bo ja ci nie dam.

– Nie dasz? no, to jeszcze zobaczymy.

– Zobaczymy.

– Zobaczymy.

– Zobaczymy.

Zaczęli sobie wyrzucać to słówko, najpierw spokojnie, a potem przez zaciśnięte zęby, z gniewem i wściekłością, aż się znów zwarli ze sobą, a to, co odczuwali, uczyniło ich namiętność groźnym zmaganiem się, niszczycielską sprawą, w której jedno musi ulec, a drugie zwyciężyć. I jeszcze raz – pojednanie.

XIV

Dłoń Kwirynty zawściąga się i rozwiera. Są to ruchy instynktowne, nie ma nad tym żadnej władzy, są to odruchy ciała, które cierpi strasznie nad każdym objawem rozrzutności Romana. „Jakby mnie nożem krajał” – myśli wówczas.

Drzwi skrzypią, u progu staje dziad i mamrocze swe prośby.

– Cóż to, dziadku, pomyliło wam się? – mówi Kwirynta – daję w piątek. – Dziad zbiera się da odejścia, ale to długo trwa, nim taki dziad się namyśli i wyniesie za próg. Oczywiście, nie zamknął drzwi za sobą i stoi jeszcze na schodach. – Romanie, zamknij drzwi.

Roman wychodzi zza lady i tak skwapliwie wyprasza dziada, że aż się wysunął na ulicę. Potem, jakby nigdy nic, wraca. Ale Kwirynta już wie.

– Czyś ty mu, coś, dał?

– Nie.

Kłamię. Kłamię. Kwirynta, wzburzona do głębi, mówi jednak spokojnie:

– Nie trzeba ich rozpaskudzać, bo sobie rady nie damy. Tyś musiał już nieraz tak robić, boby ten dziad nie szedł tu jak w dym.

Roman zaczyna coś układać na ladzie, ręce mu się trzęsą tak, że stos blaszanek konserw leci w końcu na ziemię.

– Ludzie już od ciebie uciekają.

– Uciekają – rozdyma nozdrza Kwirynta – to i dobrze. Nie dbam o to. Kogo ludzie szanują, tego się i boją.

Ale jest dotknięta w samo serce, bo właśnie dziś weszła na schody, a kobiety, które tam plotkowały, zamilkły jak na komendę. Żadna nie raczyła powiedzieć dzień dobry. Także i dzieciaki, gdy pokaże się na podwórzu, przestają wrzeszczeć. Ona brała to za dowód uszanowania, a Roman tak sobie tłumaczy?... Jeśli chciał ją dotknąć śmiertelnie, no, to udało mu się. Kwirynta nie może odzyskać równowagi, straszy ją każde słówko klienta, podejrzliwie patrzy na ludzi. Ale w jakiejś chwili, gdy nikogo nie ma w sklepie, Roman wychodzi za przepierzenie i po chwili przywołuje ją głosem zimnym i surowym.

– Kwirynta, chodź no tu na chwilę, chodź!

Kwirynta idzie jak na ścięcie, zimny dreszcz ją przenika, Bóg wie co przychodzi jej do głowy, przez chwilę widzi za kontuarem zwałiste zarysy ciał tułubów, przesiąknięte krwią. Oni padli, bo też bronili swego. Jest pod wrażeniem nienawiści, serce jej tłucze się gwałtownie w piersi. „Jeszcze mnie kiedy ten Roman walnie czym i będzie po wszystkim”.

Za przepierzeniem Roman z twarzą poruszoną i bladą obejmuje ją porywczco, ściska, jakby ją chciał udusić, i szepce:

– Ja cię tak kocham, Kwirynto.

– To dlaczego mnie tak dręczysz?

Wcale nie chciał jej dręczyć. Nie mógł tylko znieść tych kwasów dookoła, tego trzęsienia się nad każdym groszem i każdym wydatkiem. Po co sobie tak życie zatruwać? On już tyle przeżył cierpień i smutków, że teraz chciałby zapomnieć i odpocząć.

– Mówię ci, że to nie warto, Kwiryno, nie warto, nie warto – przekonywał ją.

Dłoń Kwiryny zawściąga się i otwiera, liczy i chowa w skrytkach, a czasem roni okrucz – po drodze do bogactwa. Ale ilekroć palce zawierają się skąpo, Roman odchodzi do pustego pokoju i śpi na panieńskim wyrku Kwiryny. Znalazł broń na nią, odwet nieodparty. Mówi bezwstydnie, wprost w jej oczy:

– Dziś nawet bym dotknąć cię nie potrafił: żeby z sobą żyć, trzeba do siebie coś czuć.

Kwiryna gryzła palce z wściekłości, samotna, zawzięta i zrozpaczona. Wstała, by się napić wody, i zdybała w korytarzu garbatą ciotkę pod drzwiami.

– Co ciotka tu robi w nocy? Podśluhuje?

– Po co podsłuchiwać – rzecze hardo ciotka – ja i tak wiem, co się tu dzieje, myślałam tylko, że się Kwiryńci zrobiło słabo.

Raz ustąpiła, a teraz musi ustępować ciągle. Patrzy przez palce, jak rozdaje dzieciakom landrynki, jak przeważa, przemierza, udziela nawet kredytu.

– Jak myślisz, przeliczyć ten, dług, Romanie? marka ciągle spada.

– Dajże spokój, kto by tam przeliczał kilo mąki, zwariowałaś?...

Kiedy się ma takiego męża, kiedy się go kocha, nic innego nie pozostaje, tylko skrycie robić swoje, a udawać, że ją przekonał.

Trzeba było oddzielić noce i dnie, noce, o których nikt chyba na świecie nie miał pojęcia, gdy Roman przychodził sam, nie przywabiony, i kochał ją aż do rana. Ażeby móc pracować po tym wszystkim, Kwiryna wychodzi do pustej o tej porze kuchni i pod kranem puszcza prąd zimnej wody na głowę. Włosy jej schną prawie zaraz, suche, trzeszczące za dotknięciem paznokci i grzebienia. Ciotka wraca niespodziewanie i zastaje ją na środku kuchni z rozpuszczonymi włosami, obrzmiałe usta i wielkie oczy ledwie mieszczą się w jej zmizerniałej twarzy. Zdjął ją strach nad tą nieokielznaną naturą ludzką, nad tą nieprzytomnością. Bała się Kwiryny, ale rzekła z przestroga:

– Trzeba się zastanowić, tak nie można!...

Kwiryna jęknęła, opuściła ramiona i wyszła z kuchni. A potem, jakby nie mogła darować tego ostatniego słowa, zawróciła i rzeka zimno:

– Niech ciotka nie wtrąca się w nie swoje rzezy. Jeśli ciotka raz jeszcze pozwoli sobie na coś podobnego, to możemy się rozstać, nikt tu ciotki gwałtem nie zatrzymuje.

Zarabiać, dużo zarabiać. Tu już nie wystarczyło tkwić za kasą i liczyć na te marne zyski. W tajemnicy przed Romanem Kwiryndą rzuciła się na grube interesy, kupno dolarów i złota, sprzedaż dolarów i złota. Pierwszą okazję dał rejent, patrzył na swoją klientkę jak na obiecującą uczennicę, smakował ją.

Pod pozorem zamówienia towarów opuszczała sklep, aby przy tej okazji kupić w jednej chwili wagon mąki i sprzedać go z miejsca z grubym zyskiem w podejrzanym cukierce na Chmielnej. Miała teraz do czynienia z takimi ludźmi, że trzęsła głową nad głupotą i naiwnością Romana. To są szakale, gotowi w każdej chwili wydrzeć jej zysk, a nawet jej, własny kapitał, zatopić nóż w jej sercu... Czujna, małomówna i nie wydając ani na mgnienie swego strachu, użerała się z tymi typami i wracając do domu rozumiała wreszcie Romana. Dobrze, że taki jeden jest na świecie, to ma też swoją wartość.

Dom, kamienica, to zastało ciągle jeszcze oczkiem w jej głowie. Odnowiono front. Trzeba by założyć elektryczność, w mieszkaniach powinni to zrobić lokatorzy na swój koszt. Ale o tym, szczególnie w oficynie, mowy nie było! Ach, ta oficyna... Kwirynda ominęła ją chytrze przy remoncie, mówiła coś głośno o komisji, ale w rzeczywistości o żadną komisję nie zbiegała.

Można to było nazwać studiami psychologicznymi, te jej rozważania nad każdą klitką zamieszkałą przez „jej” lokatorów. Sięgała nie tylko do zarobków, sięgała do wydatków, do apetytów, usposobień, garnków, betów, ubrań i nadziei na przyszłość. Do dzieci.

Inżynier budowlany, pierwsze piętro, front, naprzeciw Kwiryndy, trzy pokuje z kuchnią, to sama solidność i akuratanność. Ale buduje na Mokotowie fabryczkę i niedługo wyniosą się z młodą żoną na swoje.

Na drugim – urzędnik z magistratu, wypłaca punktualnie, chorowity. Jeśli umrze, żona będzie miała emeryturę i chyba jakiś kapitał. Ta kobieta lubi się stroić. Naprzeciw – starsza panna od Hersego, z matką i młodszym bratem na uniwersytecie. Panna dobrze zarabia, a przed bratem piękna przyszłość. Tak, co do frontu Kwirynda może być spokojna, mieszkanie po techniku może sprzedać i dobrze zarobić.

W oficynie na prawo – jako tako. Szewc, ten, co ma córkę nauczycielkę, chciałby zmienić mieszkanie na większe, pozycja ich się zmieniła. Tak, ale szewc nie ma własnego warsztatu, co wart rzemieślnik bez warsztatu? A oni zaraz zaczęli jadać lepiej, ubierać się itd. A młodsza dziewczynka coraz wpada do sklepu po smakołyki. Skąd oni na to biorą, jak długo to potrwa? Kwirynda powiedziała głośno na ten temat parę słów, ktoś im doniósł i straciła klientów: szewcowa zaczęła się krępować gospodyni. Mogła hej przecież podwyższyć komorne.

Nauczycielka przyszła dowiedzieć się o mieszkanie po techniku. Bywają u niej koledzy, raz nawet zaszedł z wizytą pewien pan z kuratorium

szkolnego, a tu tylko jeden pokój na całą rodzinę. Kwiryna doskonale rozumie, że czasem takie sprawy decydują o losie człowieka, nie wiadomo na przykład, jakby się skończył flirt Amelki z aptekarzem, gdyby pani Raczyńska nie zachowała mieszkania i bawialni, gdzie Amelka mogła pod okiem matki przyjmować chłopców. Oczywiście, nauczycielka powinna mieć ten swój osobny pokój przy rodzinie. Ale czy stać ich będzie choćby na część odstępnego?

W dodatku ta gapa wygadała się, że latem musi przechodzić kurs nauczycielski.

– Jak to, pani się jeszcze uczy?

– Ależ tak, ona jeszcze nie ma pełnych świadectw.

– Nie mam wolnego mieszkania – mówi zimno Kwiryna.

Jak ci ludzie galopują, co oni sobie wyobrażają?... Prócz szewca mieszka drobny łaciarz, blacharz, majster mularski, biedota chrześcijańska i żydowska, wraz z całą kupą dzieciaków. Dzieciaków tych doliczyć się nie podobna. Żadna z tych rodzin nie ma stałego dochodu, żyje z dnia na dzień i czekają na łaskę boską, na robotę, a jak się trafi robota i pieniądz, to tracą głowy, szastają się, ubierają, tłusto jedzą. To tam ulokował swą litość Roman, to tam topnieje sklep Kwiryny. To nad nimi rozmyśla Roman, „że ich położenie jest bez wyjścia...”

– Choćby sobie ręce po łokcie urobili, to nie wybrną – mówi.

Przychodzi Amelka, aptekarzowa, i Kwiryna wskazuje ją Romanowi jako wzór zwycięskiego życia. Jej matka, pani Raczyńska, została z czworgiem dzieci, wdowa, i dała sobie radę.

– Tak – odpowiada Roman – ale cóż by z tego było, gdyby nie bogaty mąż?

Amelka jest ożywiona, mizerna, ale elegancka jak nigdy. Kwirynie aż oczy wyłażą, gdy spogląda na jej suknię z najlepszej wełny, popołudniową, na jej polakierowane paznokcie, zafryzowaną główkę, to się nazywa undulacja, torebkę, rękawiczkę, trzewik. No, no! Amelka nie daje jej przyjść do słowa, tylko szczebioce:

– Mam dziś wieczorem gości, co mi radzisz wziąć na przekąskę, Kwiryno?

– To już niech ci Roman doradzi – mówi wspaniałomyślnie Kwiryna.

Roman, jakby się uwziął, owszem, doradza, ale co chwila zwraca się do żony.

– Moja droga, ostre *anchois*³ do wódki? Ser? sardynki?...

Ma przy boku Amelkę, która weszła za ladę i gospodaruje wśród puszek, ale Roman każdym ruchem, każdym mrugnięciem oka składa hołd Kwirynie. Amelka zbliża się do kasy. Przysiada obok i nagle szepce niemal ze łzami:

³ *Anchois* (fr.) – małe rybki, rodzaj śledzi.

- Ach, jak wy się kochacie, Kwiryno!
- Tak – mówi Kwiryna wzruszona. – A ty?
- Ja?...

Wielu rzeczy Kwiryna nie rozumie, ale teraz rozumie Amelkę i współczuje jej z całego serca. Życ z mężczyzną bez miłości, niechby to nawet był własny mąż – to straszne. Zamyka nagle kasę na klucz, choć w sklepie jest tylko Roman, i pociąga Amelkę za przepierzenie. Następuje jedno z tych zwierzeń kobiecych, szeptanych na ucho.

- Jak to Amelciu, ty do aptekarza nic nie czujesz?
- Nic a nic.

Kwiryna wyobraża sobie, że Amelkę czeka jakiś straszny los i ściska ją mocno.

- Może się do niego przyzwyczaisz.
- Ja się już przyzwyczaiłam – mówił martwa Amelka. Chwilę milczy, a potem pyta: – A twój Roman?
- Roman mnie kocha mocno, mocno.

XV

Kurtyna zapadła wśród oklasków i natychmiast powstał szmer i poruszenie. Było to tylko jedno z tych przedstawień, na których nie szło o sztukę, tylko o widzów. Gala. Pierwsze rzędy krzeseł zamieniały ukłony pełne szacunku. W tyle szeptano:

- Patrz, tam, w łoży... Premier... ministrowa... dyrektor...

Magdalena czuła się w swoim żywiole: miała przyjaciół wszędzie. Ale Ignacy wśród tego wrogiego sobie obozu lawirował ku paniom, unikając mężczyzn. Miał je dwie z obu stron, wysmukłe, pachnące kobiety, dyskretnie obnażone, na tyle jednak, że gołe i żywe ciało użyczało sąsiadowi swego ciepła podniecającego. Rozmawiały lekko i ładnie, lecz Ignacy prawie nie słyszał słów, jego oczy zajęte były obserwowaniem tych powabnych powściągliwych gestów, poruszających się warg, za którymi błyskały białe i mocne zęby. Damy były wysoko postawione i Ignacy, odpowiadając z szacunkiem, zachował w swej postawie coś niedbale poufnego w wzniesieniu ramion, w wilczym wyciągnięciu głowy. Ta jego maniera irytowała Magdaleny i jednocześnie przepełniała ją jakimś drzeniem wewnętrznym. Damy straciły nagle chęć do rozmowy, a zleniwiałe usta stały się mimo to po stokroć bardziej wymowne.

- Co panu jest?... Tkwi pan tu nad nami niczym sęp.
- Wyjdźmy na papierosa...

Płomień zapalniczki oświetlił purpurowe, ukarminowane usta, ruchliwe

nozdrza wysnuły cienką smugę dymu. Ignacy, pochylony ciągle ku milczącym towarzyszkom, zdawał się nasłuchiwać.

– Nie mogę znaleźć tego pańskiego zbójckiego spojrzenia – rzekła nagle jedna z pań.

Ignacy roześmiał się. W pobliżu grupa posłów sejmowych rozprawiała zbyt głośno, wcale się nie krępując. Damy płynęły po schodach do palarni, pozostawiając ufnie swe łokcie w mocnych dłoniach Piędzickiego. Strzępy rozmów wlokły się za nimi.

– Reforma rolna...

– Bez odszkodowania?...

– To szaleństwo – rzekł ktoś uzupełniając inny temat rozmowy. – Jak się pani podoba Leszczyński?...

Żywo komentowano wymianę listów między marszałkiem a ministrem wojny. Damy, za piękne, aby interesować się sprawami polityki, spytały naiwnie, a propos czego wynikała ta historia?

– A propos ustawy o organizacji władz wojskowych – objaśnił tym samym stylem Ignacy.

– Ach, tak?

Magdalena, niespokojna o męża, zdołała się uwolnić z otaczającego ją kręgu wielbicielek i działaczek. Zbliżyła się.

– On jest zachwycający – rzekła. – prawda? Jak wam się podoba?...

– Rozumie styl Fredry.

Otyła dama w jedwabiach, stojąca obok, kiwnęła głową na powitanie i zgłosiła swe zastrzeżenia co do gry zespołu.

– Za moich czasów w dawnych „Rozmaitościach” można było zobaczyć prawdziwego Fredrę.

– Wszystko, co dawne, było lepsze, prawda? – roześmiała się Magdalena.

– Kamiński, Frenkiel, Trapszo...

– Tak, tak.

– Jesteśmy zaproszeni na kolację – oznajmiła Magdalena. Ignacy przecząco potrząsnął głową. Magdalena miała dziś swój piękny dzień, poza tym głębokie przekonanie o konieczności podtrzymywania stosunków. Jej czarna suknia, przecięta w pasie smugą czerwieni, ujawniała spod zakręconych fał drobne stopy w czerwonych pantofelkach. To było śmiałe. Uśmiechnęła się do męża. – Pójdę sama, dobrze?...

Rozległ się dzwonek. Dama z prawej strony, wsparta na ramieniu Ignacego, wspięła się lekko na palce, wzniosła twarz, aby szepnąć tuż przy jego twarzy:

– Mój mąż ma dziś ważną konferencję, nie mógł mi towarzyszyć. Czy pan mnie odwiezie?

Za całą odpowiedź skłonił się głęboko i dziękczynnie. Kobieta, którą

ledwie znał, czyniła mu awans, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. A nigdy jeszcze nie doznał tak żywo dziwnego uczucia rozbitcia, niezadowolenia i niechęci. Zdawało mu się, że nad całą tą salą wisi duszny opar, że nie podobna oddychać swobodnie, jest grząsko, niebezpiecznie i ślisko, trzeba uważać na słowa, na myśli, nie podobna dać ujścia swemu niehumorowi i ironii. Magdalena idzie na kolację. On odwozi tę damę do domu i niewątpliwie znajdzie się w kropce, cokolwiek bądź się zdarzy. Biedne kobiecátko... Dalej, o ile chodzi o sprawy publiczne... Utknął nagle, spotkawszy się oczyma z oczami Bronki. Szła naprzeciw, w towarzystwie wysokiego i grubego jegomościa, doskonale zadowolonego. Ignacy zawahał się przez moment, ale ten moment wahania wystarczył. Gdy się następnie uklonił, nie odpowiedziano mu ukłonem. Bronka przeszła nie odwracając głowy, nie udając bynajmniej, że go nie widzi. Natomiast Magdalena żywym skinieniem głowy pozdrowiła jej towarzysza, nie zauważwszy swej sekretarki.

– Kto jest ten pan?

– To Tiess, przemysłowiec. Pomógł mi w ratowaniu finansów pewnego stowarzyszenia.

Ignacy usiadł na swym miejscu z niejasnym uczuciem przykrości i niezadowolenia z siebie. „Dawniej nigdy bym sobie na coś podobnego nie pozwolił” myślał. Upokarzanie ludzi nie leżało w najmniejszym stopniu w jego charakterze. Ależ to był tylko odruch. Tak, skąd się jednak wziął ten odruch? Uczuł żywą pretensję do wszystkiego, co go w życiu teraz otaczało, nawet do Magdaleny.

Odwiózł damę do domu, traktując ją z ubliżającym szacunkiem, zabójczo powściągliwy. Czuł jej oczy zwrócone ku sobie w aucie, a potem, jak się szybko dostosowała do narzuconej sobie roli, i głos jej chłódł od zdawkowej uprzejmości. Pożegnał ją u drzwi willi za miastem.

Nazajutrz wracając z ministerstwa, zaszedł jeszcze raz do Magdaleny do biura. Pamiętał, że z lewej strony sali, w kącie jest wgłębienie z biurkiem i małym oknem, umieszczonym i zakratowanym. Tam, nie wiadomo czemu, usadowił Bronkę. I wyobrażał sobie, jak pracowała przy świetle nagiej żarówki w tym kącie, ciemnym nawet za dnia, wznosząc twarz w górę, do okna, za którym nie było nieba, tylko stary prawie zielony z wilgoci mur.

Chciał naprawić to, co stało się wczoraj. Winien to był dawnej przyjaźni łączącej go z rodziną Mossakowskich.

Magdaleny nie zastał w biurze, a przy biurku pod zakratowanym oknem ujrzał kogoś zupełnie obcego, panienkę z gładko zaczesaną głową, w angielskiej bluzce z krawacikiem, kogoś zupełnie beznadziejnego, jedną z tych młodych, o których Magdalena twierdziła, że „do nich należy przyszłość”. A więc Bronka odeszła? Poruszony, zapytał o adres dawnej

sekretarki i panienka przerzuciła alfabetyczny katalog, aby mu następnie oznajmić, że nie znalazła tam panny Mossakowskiej prawdopodobnie dlatego, że była to pracownica płatna, a katalog zawiera nazwiska członkiń.

Wyszedł. Przypomniał sobie, że już raz tak jej poszukiwał, ujrzał wniesione ramiona pani Raczyńskiej, gdy mówiła:

– Niech się pan nie pyta! Na złą zesłała drogę!...

Jak było naprawdę? Jak jest? Znów legitymował się przed sobą dawną przyjaźnią z Mietkiem Mossakowskim, to go jakoś usprawiedliwiało. Zaszedł do biura adresowego i wypełnił kartę. Gdy wypisywał nazwisko Bronisławy Mossakowskiej, doznał nagle dramatycznego uczucia, że poszukuje kogoś zagubionego, kogoś straconego na zawsze i zapisanego w innych, jakichś zaświatowych rejestrach. Potem, gdy oczekiwał na zwrot kartki, zdumiał się, iż koło tej całej sprawy i osoby Bronki, tak nikłej, zaczyna snuć jakiś wyraz patetyczny.

Zwrócono mu kartkę – miejsce pobytu nieznanne.

– Jak się skończyła ta historia z twoją sekretarką a moją znajomą? – zapytał swobodnie przy obiedzie. Niespodziewanie Magdalena „wzruszyła się na temat swojej pomocnicy”. Głównie dlatego, że osoba przyjęta na jej miejsce okazała się tępakiem niegramatycznie piszącym i bez żadnego pojęcia o sztuce przyzwoitego redagowania protokołów z posiedzeń zarządu. A posiada języki, maturę i jakieś kursy!

Udał głębokie współczucie i doprowadził do tego, że spytała z wahaniem:

– Słuchaj, może byś ty się o nią dowiedział? Mówisz, że znasz ją od dziecka, a może ona nie ma żadnej pracy? To nawet nieładnie, że nic o niej nie wiemy. Może jej coś potrzeba, może...

Przerwał jej pospiesznie:

– Dobrze, dobrze. Daj mi tylko jej adres.

Mieszkała na Mokotowie, na tak zwanym dolnym Mokotowie, daleko od miasta i linii komunikacyjnej. Zrobił pewnego dnia spacer, szedł Alejami, zapach drzew w szczególny sposób przypomniawszy mu opustoszałe wsie podczas wojny, pełne zapachu lata. Przeżywał wtedy dziwną, przejmującą swą miłość, miłość do Bronki, pisywał listy, których nie mógł wysłać. Teraz szedł ulicą ostro spadającą w dół, za parkanem zieleniły się ogrody i gałęzie drzew zwisały dobroczynnie nad chodnikiem ulicy, użyczając swego uroku i chłodu. Ludzie wracali z pracy z blaszankami i zawiniątkami, niektórzy nawet tato niósł dziecko na ramieniu, a drobna niewiastka dreptała pośpiesznie obok, upominając:

– Józiu, a nie upuść mi go.

Odgłos kroków, ten powrót po trudach pracy, zapach warzonej stawy, obficie kwitnące kwiaty w oknach, to wszystko miało jakiś prosty sens, podczas gdy jego terażniejsza praca w ministerstwie nie miała sensu. Jej

początek zaczynał się gdzieś w górze, u szczytów władzy, a koniec topił się w samym życiu, zawsze innym niż przepis, prawo i zawarunkowanie...

Drewniaki „tubylców” wypierane przez zbytłowne wille, budki z wodą sodową i studnie uliczne. Jak się tu ułożyło współżycie? Nastąpi na pewno przenikanie się warstw, i to jest dobre.

Gdzie znajdzie Bronkę? w jakim otoczeniu? czy jest sama?

Dom, w którym mieszka, wygląda jak ostatni wyraz nowoczesności. Białe i duże okna odsłaniają wnętrza przewiewne i skąpo umeblowane. Przeszedł przez dziedziniec tonący w kwiatach, zamknięty ścianami dzikiego wina i róż. Co za sielanka. Mnóstwo kotów wylegiwało się w zachodzącym słońcu na trawniku, stopniach schodów, parapetach okien. Zapukał do drzwi czerwonych i nieprzyjemnie lśniących. Długo czekał w zupełnej ciszy.

Nagle usłyszał kroki i otworzono drzwi bez sakramentalnego zapytania: „Kto tam?” W przedpokoju, za progiem, stała Bronka. Kogo oczekiwała? Milcząc patrzyła chwilę. Potem rzekła:

– Proszę.

Musiła wstać dopiero co, tapczan zachował jeszcze wgłębienie ciała, a rozwarta książka leżała na podłodze. Nieliczne sprzęty zarzucane poduszkami, ubraniami i gazetami dawały pojęcie o wewnętrznym rozprzężeniu mieszkanki. Wszystko tu było jakby porzucone w pół drogi, odsunięte, zaniechane. Festony ciemnej pajęczyny zwisały w kątach u sufitu. Maszyna do pisania, rozrzucona kalka i papier zalegały okrągły stolik. Koło lustra dymił zapachem mocnym rozwarty flakon perfum.

Uczyniła ręką gest zapraszający.

– Niech pan siądzie.

– Moja żona – rzekł – jest o panią niespokojna...

Przerwała mu w sposób nieprzyjemny, mówiąc:

– Wzruszyła się na mój temat, tak? Niech się pan tym nie przejmuje.

Puścił to mimo uszu, teraz dopiero jednak spostrzegając, że Magdalena ma swoje uświęcone zwroty, znane już obcym.

– Chciała wiedzieć, czy pani ma pracę?

Podniosła powieki i spojrzała wprost burymi, okrągłymi oczyma.

– O, tak. Taką pracę zawsze się znajdzie. Jest mnóstwo stowarzyszeń. Niech pan uspokoi żonę.

Żadnego drgnięcia głosu, żadnego gestu, żadnego odwołania się do przeszłości. Ta zimna, zgaszona, milcząca twarz stała się nagle przerażająca. Zapytał:

– Co się stało z rodziną pani? Czy były jakieś wiadomości?

Skinęła głową.

– Matka umarła. Siostry powychodziły tam za mąż. A Mietek... Mietek zginął bez wieści.

Siedzieli milcząc, z opuszczanymi głowami. Ignacy rzekł przerywanym głosem:

– Chciałbym wyjaśnić... że wtedy, po powrocie, poszukiwałem cię. Byłem na Nowolipkach.

Wzniosła ostrzegawczo dłoń w górę i krzyknęła:

– Nie!... – Potem spokojnie już: – Nie trzeba o tym mówić. O takich rzeczach się nie mówi. To było już tak dawno.

Czuł, że wszystko, co może powiedzieć, na nic się tu nie zda. To życie zdawało się być przeznaczone, rozdarte do gruntu. To było coś gorszego niż zabawianie się z mężczyznami w miłość, to byłoby weselsze, zrozumialsze, tym można by wzgardzić, przejść obok i nie czuć się winnym jakąś nieokreśloną winą. Ale to złowogie rozbitcie...

Tarła palcami grzbiet dłoni, twarz jej zszarzała od nie ukrywanego zmęczenia i niecierpliwości. Tak, jakby nagle zgasała.

Czy ma odejść?

Wstał zmieszany i oczekiwał na jakieś słowo czy ruch ręki, na coś, co pozwoliłoby mu odejść bez poczucia tego ciężaru, spokojniej. Siedziała nieruchomo. Skłonił się i wyszedł.

Kroki jego zadźwięczały na flizach⁴ wąskiego chodnika. Wonny i barwny dziedziniec opustoszał. Koty, które wyruszyły już na łów, padały miękko i glucho z drzew, czółgały się, podskakiwały. Ogromny księżyc wisiał nad drzewami. Ignacy pchnął furtkę, zgrzytnęła przeciagle i żałośnie.

XVI

Leży na tapczanie i czeka nocy. Nie może spać. Nad miastem ciągle jeszcze płonie luna świateł i odbłask ponuro pada aż tu, na dolny Mokotów. W końcu jednak musi przyjść ciemność. Ze wszystkich rzeczy łaknie się teraz tylko snu i ciemności.

Można też chodzić od okna do okna. Okna na ukwiecony dziedziniec pełen kotów. Okno na cudzy plac i drewniaki o dachach z czarnej papy.

Drewniak z prawej już śpi, matka poukładała dzieci do snu, widać to było przez okno. Wystawiła balię na placyk i nakazała myć się od głów do stóp. Chłopcy mieli tylko opaskę koło bioder, a dziewczęta kostiumy kąpielowe, tak spędzili dzień na placyku przed domem. W rozwartej szopie przybudówki wietrzyła się pościel. Ta rodzina rzemieślnicza mogłaby dostać nagrodę na jakimś konkursie porządnego życia.

Ale obok w drugim drewniaku za parkanem, grają jeszcze na gramofonie. „Ostatni list” i „Tango augustowskie”. A potem słyhać będzie podniesione

⁴ Fliza – płyta kamienna.

głosy, ohydne słowa, odgłos, uderzeń, wreszcie krzyk:

– O Jezu, Jezu, Jezu!... za cóż ty mnie bijesz, za co?!

Dzieci płaczą.

Kto zasiał w sercu człowieczym burzę? Kto mu dał ciszę i spokój? Komu układać hymn dziękczynny i komu zlorzeczyć?

Przyszedł tu Ignacy. Przysłała go jego żona, Magdalena. Ponieważ ona ma tak zwany charakter i nie chce nosić z sobą żadnej winy. Prawdopodobnie chcą ją podźwignąć, dopomóc, przygarnąć czy jak tam to między sobą nazywają w swoim języku społecznikowskim.

Co wie o życiu Magdalena? Co wie o życiu Ignacy? Dwie godziny urzędowania w Związku, trzy godziny w Opiece, dwie w Rodzinie, to daje niezależność. Potem, po południu, posiedzenia, obowiązkowe spacerunki po świetlicach, „przystaniach” czy „gniazdach”. To daje niezależność.

– Czy panie nie uważają, że to jest za małe wynagrodzenie?

– Ależ to tylko dwie godziny pracy dziennie, przez trzy dni w tygodniu.

Ta zawiła matematyka kończyła się zresztą bardzo prosto, robiły się trzy godziny, potem co dzień, a potem jeszcze dochodzą różne prace nadprogramowe. Ci, co uprawiają filantropię, uprawiają też swoisty wyzysk. Mówiło się pionkom, że koszty administracyjne nie mogą pochłonąć budżetu.

Ciężka praca, jeśli się przy tym myśli, nie trzeba myśleć, to uniemożliwia człowiekowi jaką taką egzystencję. Należy myśleć tylko – odtąd dotąd – dalej ani kroku. Ciężka praca, jeśli się nie wierzy bez reszty w celowość tego wszystkiego.

Trzeba było ponadto stać się pewnego rodzaju znakomitością w tym zawodzie sekretarki stowarzyszeń społecznych, aby się utrzymać na powierzchni, bez świadectw z ukończenia szkoły, bez języków i bez stosunków, w tych czasach, kiedy panny z najlepszych domów, z językami i stosunkami, zmuszone były „ze względów materialnych” jąć się pracy. Trzeba było poznać wszystkie tajemnice tego świata, adoracje i nienawiści, skryte zresztą pod pozorami najlepszego współzycia, różnice polityczne i sojusze, stanowiska mężów i pozycje w świecie towarzyskim, zasięg i wagę wpływów. Trzeba było tkwić w samej kuchni, od tyłu, i widzieć, jak to się wysmażało, jakiego materiału użyto, na przykład, do odezwy do społeczeństwa, do wzmianek w gazetach, do listu prywatnego do premiera. Trzeba było poznać tę małość pod pozorami szlachetności, fałsz pod oznakami szczerości, pychę, dumę i wyniosłość pod oznakami braterstwa. Trzeba było wiedzieć, że dama zajmująca pięciopokojowy apartament w Alejach bierze cichy, lecz znaczny procent od urządzanych imprez, i trzeba było wiedzieć, że ta druga aczkolwiek oficjalnie nie bierze procentu, ale ma zwyczaj nieoddawania wpływów osiągniętych z sprzedaży znaczka czy biletów wstępu na bal, czy haftów i robótek – i trzeba być z nią ostrożnie, ale

nie dać jej tego odczuć, bo „ma wpływy”.

Należało też odróżnić i oddzielić górę i dół, klasę oświecaną i czarny ugór, który uprawiano, zwyczajnych członków-naiwniaków, którzy wierzyli, że w jedności siła i że tkwiąc tu przysługują się ojczyźnie. Otrzymywali tu pewnego rodzaju „wyrobienie się” i przy szczęśliwych okolicznościach awansowali wyżej. Tu bowiem w dalszym ciągu szafowało się wpływami, stypendiami, posadami i zapomogami, tu był jeszcze ciągle wylot dla wielu istnień, dla tych z Nowolipek, tak chwiejnie osadzanych w gruncie życia, nawet gdy to stał się grunt ojczysty, gdzie: rola i strzecha każdemu obywatelowi. Tędy szła droga.

Wzajemna potrzeba: ciemna masa, która służyła za grunt do uprawy dla klasy oświeconej, za szczeble do wyniesienia się, za rezonans dla głosu. Prości ludzie przychodzili tu i „otrzymywali szkołę”, a żaden cios noża na rozprawach przedmieścia nie dorównywał niczym tym sztychom, jakie zadawali sobie ludzie kulturalni, świadomi lepszych i skuteczniejszych środków uśmiercania.

A przecież – cóż robiono innego, podąwszy od filantropijnych dam, a skończywszy na politykach na wielki kamień – cóż robiono innego – jak nie urabiano człowieka? Urabiano politycznie, społecznie, kulturalnie?...

Tak jak gdyby to było możliwe!...

Człowiek musi się stwarzać sam, dźwigać sam, uczyć sam. Nic istotnego nie można dla człowieka zrobić z zewnątrz, to będzie tylko nalot, to będzie twoje, a nie moje. Ale tu jeszcze wierzono w te rzeczy.

Ten świat cuchnął. Bronka ze zdumieniem i pasją śledziła rozmiar i postępy rozkładu. Rozkładał się i trzymał wodze, cuchnął i nauczał – konał i miał pretensję do stwarzania nowej społeczności. To nieoficjalne przedstawicielstwo narodu, ten wykładnik usłużny każdego rządu. Rola tej klasy, rola tak zwanej inteligencji była skończona od wewnątrz, ale na zewnątrz zdawała się nie mieć końca.

Babrać się w tym kilka godzin z rządu, co dnia, to stawało się nieraz torturą. Nadszedł czas, że trzeba się było zastanowić poważnie i cynicznie nad pytaniem: czy nie lepiej było żyć jak przedtem? Z jakimś bubkiem, który urządził to wszystko? Ale na dłuższy dystans to okazało się też nie do zniesienia. Pantofelki i futerko, suknia i co dzień zapewnione jedzenie, i tak zwane bezpieczne jutro – to trzeba było poznać, aby odrzucić. Mieć to, aby odejść. Posiadać, aby się wyrzec. Wszystko to przeżyte było potrzebne, było potrzebne!...

Ignacy należy do tamtego świata, wszedł tam poprzez ożenek. Ocierała się oń, niewidzialna, z daleka, przypatrywała się i – kto jest kto? – zadawała sobie żartobliwe pytanie. Zdjął swą czapkę legionisty, tak jak się zdejmuje piękną młodość, tak jak się odchodzi od romantyczności. Cóż innego robił

teraz, jak nie to samo, co ona ongiś, głupia? Karierę. Ale ona już miała to poza sobą.

Zdjął swą czapkę legionisty, obracał się w gronie kobiet z wielkiej rodzimej finansjery, całował z szacunkiem ich ręce i – wiedziała o tym – pocieszał je po męsku, gdy były „nieszczęśliwe”. Mówił, tak samo jak Magdalena, obojętnym ludziom „drogi panie”, „droga pani”, miał w repertuarze te same zwroty i frazesy i tak samo przykładał wagę do różnych nieistotnych spraw. Zdjął swą czapkę legionisty, ach, po cóż było stać pod parkanem na grochowskiej szosie i płakać, że nie dotrzymało się wiary, miłości czystemu życiu?

Pobudował dom, willę na kolonii, ponieważ ludzie z majątków, z kresów, źle znosili mieszkania w domach czynszowych. Willę z suterenami, gdzie oczywiście ulokowano służbę. I ta Magdalena, która prawdopodobnie nieraz wygłaszała zdania o wpływie sutereny na zdrowie i psychikę ludzką!... No, no, „ich” suterena jest „widną, słoneczną i suchą” suterena.

Zaczyna się... Drewniak z lewej już wrze:

– ...O Jezu, nie bij mnie! nie bij, nie bij?

– Nikt z wielkiego domu naprzeciw nie ruszy się, aby poskromić tego bydlaka, ludzie przywykli. Trzeba zacisnąć zęby i przeczekać to, ...jeszcze trochę, jeszcze trochę.

Dzieci płaczą. Wreszcie zapada cisza.

Bronka wyciąga się jak długa, sięga ręką do ściany i skręca kontakt. Ze wszystkich rzeczy łaknie się teraz tylko snu i ciemności.

Co za oszukaństwo, nie ma ciemności. To się tylko tak zdawało, że za oknami stoi ciemność. Okropna szarość wisi nad światem, kontury domów zarysowują się czarno, w oknach stoi cisza i mrok. I cóż to za światło – coś, czego nie podobna nazwać światem, co nie jest już mrokiem. Siność. Sine niebo, sine, ciężkie, nabrzmiałe czymś powietrze. Czarna pod tą szarością, milcząca ziemia, ciemne domy.

Wizja świata w tym oświetleniu złowieszczym. Wizja ludzi spoczywających w swych schronach przyziemnych, śpiących z otwartymi osiami, z głuchymi oczodołami pod powieką, z twarzami zwróconymi ku niebu, od którego odgradza ich tyle a tyle pieter, papa, żelazo, beton, cegła, wapno, drzewo. Te halucynacje zamknięte w czaszkach, sprzęgnięte z ciałem, podległe ciągle i zawsze jednemu prawom głodu i miłości. Ciemny zamysł o życiu, które jest głodem i miłością, czymś raczej zwierzęcym, niczym więcej.

Ale ona wyszeptwała się już, wydała bez reszty. Leży z pustymi ramionami, dłonie ma puste. Wszystkie ognie wypaliły się, wygasł nieśmiertelny interes życia: głód i miłość.

XVII

To się stało najważniejsze. Może dlatego, że nie przeżyte do końca? Światło płonie w tamtych oknach. Ignacy pchnął zdecydowanym ruchem furtkę, wchodzi na schody i puka.

Kłapka w środku drzwi, „oko judasza” zostało lekko poruszone. Wewnątrz ktoś waha się, czuje się czyjeś wahanie. Potem drzwi ustępują.

– Niech pan wejdzie.

Głos ten sam, lekko podniecony w ciemności przedpokoju. Ignacy pyta z pozorną swobodą:

– Dlaczego tu tak ciemno?

– Nie ma żarówki.

– Aha.

Zdejmuje palto powoli, ociągając się, podczas gdy Bronka pyta zdawkowo:

– Napije się pan herbaty?... – I zaraz potem, ze śmiechem: – Niech pan nie mówi „tak”, sprawiłoby mi to kłopot.

Wpada w jej ton, znajduje się dowcipnie w sytuacji i zapytuje:

– Czy można zajrzeć do kuchni?

Oczywiście, zaniedbała zgłoszenia do gazowni, choć znajduje się tu cała instalacja.

– Jak sobie pani radzi?

– Hm... rozpalam ogień. Ale to jest dość uciążliwe.

Ignacy podsuwa w górę rękawy marynarki i bierze się do dzieła. Nauczył się tego w wojsku, ale już wyszedł z wprawy, niesporo mu idzie. Bronka siedzi na wysokim taborecie kuchennym wśród rozstawionych naczyń, pieczywa, paczek, papierów i ściereczek. Jest tak nieomal jak w kuchni na Nowolipkach. O Boże, jak w kuchni na Nowolipkach!... Stoi tu nawet łóżko, paradnie zasłane, ogień trzaska pod blachą, a czajnik zaczyna szumieć piosenkę dawno nie słyszaną, piosenkę domu, wnętrza i zaciszości. Zdaje się, że lada chwila skrzypną drzwi, wejdzie starsza pani Mossakowska i powie z uciechą:

– Aa, to Ignas, witamy!

I jeszcze coś – to przedwieczere, kiedy siedzieli razem w kuchni po jego powrocie do kraju – to chyba wtedy zaczęło się coś między nimi?... kiedy gładzi jej dłonie, pocieszając w niewiadomych, w dziewczynskich smutkach, a zespół Mietka brzęczał w pokoju. Usłyszał nagle głęboki gros wiolonczeli, „najprawdziwszy głos człowieczy”, i straszny żal ścisnął mu serce.

– Coś ty z sobą zrobiła! – rzekł w niespodziewanym wzburzeniu – coś ty zrobiła!...

Nawet nie drgnęła, siedziała z pochyloną głową, czubek jej małej stopy

zawisł nieruchomo nad podłogą, Podeszedł i podjął jej twarz do góry. Była bladą, tylko krągłe oczy patrzyły wprost z jakąś błyszczącą skrą w głębi, a wargi przybrały znany już wyraz upartego milczenia. Zdawało się Ignacemu w tej chwili, że zapłacze z bólu, i żeby się zmóc, zacisnął z całej mocy palce na jej ramionach. Miękkie, uległe, jakby bezwładne ciało z stalową sprężyną oporu wewnątrz, stalowy pręt rozprostowujący się nieubłaganie. Nic mu nie powie! Nigdy nie będzie wiedział naprawdę, jak to z nią było.

Pokrywa czajnika zabrzęczała nagle i gwałtownie. Ignacy odetchnął, zaczerpnął powietrza i rzekł:

– Cóż będzie z herbatą? – Wstała natychmiast, jakby rada tej zmianie, i przygotowała filiżanki. To go wzruszyło. Schwycił jej dłoń w przelocie. – Przebacz – mruknął i ucałował drobne palce. Patrzył z wysoka na zbiedzoną twarz, miłe czoło z lekko zapadłymi skrońmi i cień w kątach oczu. Objął ją i przygarnął ku sobie, dźwignął w górę. Uczuł, że uchyla twarz, że uchyla uporczywie, kryje ją. Nagła myśl przeszła go: – Wtedy, wówczas, niewinna, nie broniła się wcale. Ale wtedy kochała...

To się nie da przerobić, tak już będzie. Oto spartaczone istnienie. Poszukał ust, wargi miała gorzkie i suche, było mu tak, jakby zakosztował trucizny, a zarazem jakby skosztował samego życia. Trzymał ją w uścisku i nigdy jeszcze nie doznawał takiego strasznego pragnienia szczęścia i spełnienia. Ciemność napływała na twarze, które stawały się surowe, blade i obce. Mruknął:

– Bronka...? – To była kobieta jego krwi, miał ją we krwi, mimo wszystko. Dotknął jej ust. O, to zwielokrotnienie, to pomnożenie w nieskończoność, rozszerzanie się i przenikanie, w nieskończoność – może w wieczność?...

Ocknął się w głębokim mroku, chwilę leżał nieruchomo. Spojrzał na przegub dłoni. Błyszczące wskazówki szwajcarskiego zegarka wskazywały drugą godzinę nocy. Nie uprzedził Magdaleny, że wróci tak późno.

Nie chciał zapalać światła. Poszukał po omacku dłońmi koło siebie, powiódł palcami po nieruchomym cieple, leżącym na wznak, znalazł ręce podłożone pod głowę.

– Trzeba mi iść.

Cisza.

Już oswoił się z mrokiem i widział ciemny kształt na białym tle pościeli.

– Pożegnaj się ze mną... Nic mi nie powiesz?

Milczenie, milczenie, milczenie.

Pomyślał, że trudno jej mówić teraz. Schylił się, ucałował jej czoło. Zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł. Noc była ciepła i cicha. Na dziedzińcu kot z pomrukiem otarł się o jego nogi. Obejrzał się za siebie. W tamtych oknach jeszcze panowała ciemność. Zapukał do okienka przy furtce, brzęknął

sutym napiwkiem i poszedł na przełaj, przez pola, w górę miasta.

XVIII

Gdy już rozmyślał nad tym, jak te sprawy ułożyć i urządzić, okazało się, że nie ma co urządzić i nad czym rozmyślać. Przyszedł i zastał czerwone drzwi zamknięte na amen, nikt nań nie zerknął z otworu „judasza”. Wrócił jeszcze raz i jeszcze raz – nie było jej. Zostawił kartkę z numerem telefonu w biurze. Cisza. Wtedy zrozumiał, że ona to życie miała już jakoś urządzone po swojemu, że właściwie jakby się „nic nie stało” i teraz oto swą nieobecnością wyznaczyła mu pewne miejsce, dość niewyraźne i dość dalekie.

Długo chodził po wąskim, pokruszonym chodniku tej ulicy, przeszkadzając kobietom obarczonym wiadrami wody. Na razie nie mógł nawet zorientować się, dlaczego dźwigają tę wodę aż z ulicy? Brały wodę z pompy koło rynsztoka, ze zgrzytem unosiły i zniżyły żelazne ramię, płaciły jakieś grosze skurczonemu człeczynie siedzącemu pod parkanem i kołyszając się, stękając, rozlewając, odchodziły do sąsiednich drewniaków, het, w głąb ulicy.

– Cóż to, nie macie wody w domach? – zapytał jakiejś kobieciny.

Roześmiała się ukazując poźółkłe zęby i odpowiedziała rażno:

– A no, jak pan widzi, nawet za wodę trza płacić. Teraz to nic, ale zimą!...

Tak, psiakrew, kiedy się ma liczną rodzinę, można to bez przesady nazwać krwawą wodą. Pewne bulgotanie, warkot jakiejś maszynerii i dokuczliwe zapachy na uroczym dziedzińcu domu Bronki dawały znać, że zainstalowano tu miejscową kanalizację. Ale drewniaki nie posiadały nawet i tych urządzeń.

Wreszcie powlókł się do miasta. Ani przez chwilę nie pomyślał, że w późnym powrocie Bronki mógł grać rolę jakiś pan Tiess, przemysłowiec, ten sam, który ratował społeczny budżet Magdaleny i zabawiał się prowadzeniem sekretarek do teatru. Instykt mężczyzny mówił mu, że tu nie ma ani mężczyzny, ani nawet tej niezliczonej hordy „koleżanek”, którymi tak lubiły się otaczać kobiety po wojnie, przyjaciółek od pracy, od zabawy, od zwierzeń i sekretów. Trzeba być ostatnim głupcem, aby być tam i nie zauważyć, nie odczuć tego zupełnego osamotnienia, tej niedbałości, mrukliwej manieri rozmowy i tego czegoś nieuchwytnego, co sprawia, że człowiek nie myśli o tego rodzaju bzdurstwach. Ale, w takim razie gdzie przebywa? co robi? kim był pan Tiess? Pan Tiess mógł być przechodniem, czymś w rodzaju łącznika z życiem, bo człowiek żaden nie wytrzymałby zupełnego milczenia. Czy jednak on sam, Ignacy, nie stał się też przechodniem i łącznikiem?

Tej nocy nie spał.

Obudził się z pierwszego snu w jakimś pokoju oblanym światłem, nie poznał, że to jest jego własny pokój, i nie mógł zrozumieć, skąd się bierze to piekielne, dziwaczne światło. Szło od strony okien górą i siało swój blask na cały pokój. Naturalnie, latarnia uliczna. Stała tuż pod samym oknem i, widać, akurat dziś włączono ją do sieci.

Jęknął ze złości. Otworzyły się drzwi i weszła Magdalena w jakimś zwiewnym, pachnącym nocnym stroju, oburącz dźwigając coś przed sobą. Wyrzeszczył oczy. Magdalena tak całkowicie wypadła z jego myśli, jakby jej nigdy nie było.

Przeprosiła go, że przez parę dni nie mogła się nim zająć.

– Przepraszam, Ignasiu, byłam zapracowana, a ty wracałeś tak późno do domu. – Ustawiła misę z owocami na stoliku przy łóżku. – Organizuję lotne oddziały higieny na peryferiach, wiesz, i zanim to wszystko wprawię w ruch...

Długo tarł twarz i czochrał włosy, zanim oprzytomniał i zapytał odruchowo:

– A czy mają tam przynajmniej wodę?

Tego, naturalnie, Magdalena nie wiedziała. Zresztą, najważniejszą rzeczą jest: nie dać się pochłonać drobiazgom.

– Uważasz to za drobiazg?

Magdalena usadowiła się w nogach jego łóżka, w kucki, ulokowała misę z owocami między nim a sobą, po czym rzekła:

– W pewnym sensie, tak, to drobiazg. Gdybym wiedziała z góry, że tam nie ma wody, gdybym zaczęła zastanawiać się nad celowością pracy moich lotnych oddziałów i brakiem wody, na pewno ręce by mi opadły. Tymczasem, gdy nauczę tamtych ludzi myć się, szorować, kąpać, oczyszczać wnętrza, pracować, to w końcu zaczną się wielkim głosem domagać wody i miarodajne czynniki muszą...

Ignacy śmiał się.

– Z czego się śmiejesz. Ignasiu? Wy też tam, w ministerstwie, naprzód tworzyacie przepisy, a potem żądacie ulepszeń w fabrykach. – Magdalena dźwignęła się i potrząsnęła głową, włosy jej rozsypały się, wyglądała teraz jak archanioł wieszczący dobrą nowinę. – Ja stworzę przepis na czystość i zmuszę władze miejskie, by przeprowadzono wodę! – Ignacy śmiał się na dobre.

To było coś nowego, dotychczas uznawał prawie bezapelacyjnie pracę Magdaleny.

– Cóż to za zwątpienie, Ignasiu? – Ale on zignorował pytanie i całą poprzednią rozmowę.

– Aha, aha, byłbym zapomniał... Twoja dawna sekretarka, panna Mossakowska, kazała ci podziękować za pamięć i odrzuciła wszelkie nasze

awanse z mina *grandezzy*.⁵ Twierdzi – koloryzował – że jest dość stowarzyszeń, które przyjęłyby ją z otwartymi rękoma.

– Niestety! – jęknęła Magdalena – ona mówi prawdę.

– Ileście jej płaciły?

Wymieniła sumę równającą się tygodniowym wydatkom Ignacego na tytoń i to sprawiło, że opuściła go wszelka przyzwoitość.

– Muszę ci powiedzieć – rzekł kwaśno – że pretensje tej baby o męża były całkowicie nie na miejscu. I przykro mi, że się mieszasz do takich spraw. Byłem tam, widziałem i...

Przerwała mu.

– Słuchaj, Ig – rzekła dobitnie – nie wymyśliłeś nic nowego. Zawsze się tak zaczynało, że przychodził mąż po żonę do Związku i potem wracał pod byle jakim pretekstem. Od tego poszły te całe awantury i historie. Ale, co do mnie – ona jest ostatnią osobą ostatnią osobą, o którą mogłabym być zazdrosna.

Zsunęła się zręcznie z łóżka i z więzią winogron wzniesionych wysoko, nad ustami, uszła...

Nazajutrz, właśnie gdy miał w gabinecie raporty dwóch inspektorów pracy, zabrzmiał telefon. To Bronka.

– Jeśli pan nie ma nic lepszego do roboty, będę dziś w domu.

– Co pani robiła przez te wszystkie dni? – zapytał, siłąc się na obojętność w obliczu patrzących na niego mężczyzn.

– Co robiłam?. Nic ważnego – odpowiedziała, i zaraz: – A więc, do widzenia.

Zjadł obiad na mieście, co mu się rzadko zdarzało i co już było pełną oznaką wykojenia. Czuł jakiś niepokój i niezadowolenie, pił. Miał przed sobą zachmurzony horyzont – w domu z powodu wczorajszej rozmowy z Magdaleną, w biurze, ponieważ tam już namyślali się, co zrobić z takim psiakrewskim piłsudczykiem – i tę jakąś niejasną sytuację z Bronką. Wziął taksówkę i jadąc układał sobie mniej więcej praktyczną część rozmowy, aby mieć to już poza sobą.

– Powiem jej, że...

Znów leżała na tapczanie, znów ani śladu ludzkiego życia, jedzenia, krzątania się i tych wszystkich oznak codziennego dnia. Ale wydała się jakaś weselsza, bardziej chętna, zrozumialsza. Od razu przyciągnął ją ku sobie.

– Co byś powiedziała – rzekł – na zmianę mieszkania?

Spojrzała z dołu, uważnie i zapytała:

– Co to ma znaczyć? – Zaczął jej klarować spokojnie, ale po kilku słowach zmieszał się i potem, gdy wspomniął tę rozmowę, czuł jeszcze jej smak nieprzyjemny. Zdołała już wysliznąć się z jego ramion, siedziała na

⁵ *Z miną grandezzy – tu: z wyniosłą miną.*

brzeżku tapczanu i jakimiś gestami wymownymi dała mu znać, że chce zapalić.

Nie, nie chce żadnej zmiany, wytłumaczyła mu to niedbale i bez przekonania, że już próbowała, że wszędzie jest mniej więcej jednakowo, że nie warto: Kilku słowy i gestami naszkicowała mu domy i ludzi, gdzie dawniej odnajmowała pokój „przy rodzinie”. Ożywiła się, odrzucała coś od siebie leniwymi ruchami rąk, nabrała w tej chwili jakiegoś nieodpartego uroku. Wyglądała jak czarownica odprawiająca swe czary i na to się musieli łapać tacy solidni mężczyźni, w rodzaju Tiessa. Jej nagie palce, nie zdobne w trofea, jakimi kobiety tak chętnie dokumentują cenę swej wartości, przywabiały nawet w tych odzegnujących się gestach, a mądre wargi czyniły słowa tak uroczyzi, iż przestawało się chwytać ich sens, aby nie stracić tych drgnień wymowniejszych niż słowo. Czy była tak prosta, czy tak wyrafinowana? Ignacy rzekł z namysłem:

– Nie, nie, to byłoby krępujące. Myślę o jakimś oddzielnym mieszkanku w śródmieściu.

Wtedy spoważniała. Powiedziała niechętnie:

– Tak jak jest, jest mi dobrze. Zostaw mnie. Ja już nie chcę próbować, daj mi spokój.

– No, no, podnieś się, dźwignij! – rzekł, jak się mówi do dziecka.

Rzuciła niedopałek papierosa i zapytała z nieopisanym akcentem:

– A co mi za to dasz?

Czuł, że stoi w jakimś kręgu magicznym, i zaraz, na gorąco, odpowiedział:

– Pogadam w domu o rozwodzie... – Przerwał, bo spojrzała na niego zdumionym i drwiącym spojrzeniem, patrzyła długo, aż wyjaśniła z trudem:

– Nie, to nie to!. Chcę wiedzieć, jak długo... jak długo będziesz do mnie „przychodzić”... jak długo dasz się – kochać?

Nie – mówili dwoma obcymi językami, mówili jak cudzoziemcy. Przez moment Ignacy myślał o życiu jak o dżungli pełnej ciemności. Wstał i machnął ręką. Ale oto, leżąc, wyciągnęła do niego ramiona, bez słowa. Przyjęła go w nie tak blisko, jakby do samego serca. Oczy odnalazły się i już nie zechciały, nie mogły się rozstać. Znów to bolesne przenikanie się, to uczucie, iż serce ściska się boleśnie ze szczęścia. Wszystko staje się zrozumiałe, gest, spojrzenie, ruch głowy, dotknięcie ręki – pełne jest nieopisanej łaski. Najprawdziwsze prawdy, ogromne i jedyne prawdy, w oczach wzniesionych ku sobie, w splątanych ramionach, w tętnie krwi. Oddycha się jak po wielkim płaczu. Uzyskuje się jakąś straszliwą dal. Wielką samotność. Wielki, ogromny smutek. Wie się.

Tak, tak, jest dobrze. Tak jak jest. Zgoda, zgoda, zgoda. Niech tak zostanie...

Cóż to było? Jakiś niespotykany instykt miłości, jakieś ślepe wzniesienie się i lot w mroku. Ignacy przychodzi i odchodzi, wpada na chwilę i przeżywa życie zawarte w tej chwili. Przychodzi i zastaje drzwi zamknięte, przychodzi i zastaje wyciągnięte ramiona. Nic z tego, co ludzie nazywają „zjednoczeniem się, zespoleniem w jedno”. Nic z tych wywnętrzań się bez reszty. Jakieś napięcie, jakaś szalona wewnętrzna praca serca, o której się nic nie wie. Chwyta jej ślady w zmarszczkach twarzy, w nagłych zamroczeniach oczu, w myśli tak wysilanej, że kładzie się jak coś żywego na czole. Sądzi, że coś ją zabolalo, pyta:

– Cierpisz? – I kładzie współczującą dłoń na głowę. Sądzi, że coś ją uszczęśliwiło, pyta: – Dobrze ci?...

Efekt przychodzi później. Ignacy zdąża do domu i odnajduje w swych krokach, ruchach i słowach pewność, nieomyślność i zdecydowanie. Wie już, jak zachować się wobec Magdaleny, jak przejść przez jadalnię, pozdrowić i zamienić parę niezbędnych słów. Zdąża do biura.

– Bądź ostrożny! – mówi zawsze Magdalena, ale Bronka nie mówi nic, nie pyta o nic. – Bądź ostrożny!... – Sens tych słów, te wilcze doły, zasadzki i pułapki urzędowania wśród ludzi nie ufających sobie za grosz, czyhających na siebie jak zwierzęta, to wszystko, co uczyniło go już trochę niezdecydowanym, układnym i milczącym, staje się nagle śmieszne. Ależ to jest śmieszne. Znajduje postawę, jaką należy przybrać w tym zagnatwanym i zamglonym obrazie, wobec góry z socjalistycznym ministrem i endeckim rządem. W ślad za tym jawią się rozstrzygnięcia spraw, dotąd tak trudnych, nie przygotowanych do dotknięcia, odłożonych (do jakichś, niewiadomych w terminie) „ad acta”. Gest, z jakim, wchodząc do biura, odpowiada na pozdrowienia, pchnięcie drzwi, pierwsze słowa – są już inne i ludzie to czują. Biedacy, teraz oni zapewne powtarzają sobie jako hasło: „Bądź ostrożny!” Dranie, teraz oni zapewne rozmyślają o zasadzkach, dołach i pułapkach tkwiących w takim zachowaniu się Ignacego Piędzickiego.

Tego dnia wychodzi z ministerstwa z poczuciem, iż wiele dokonał, choć właściwie postąpił tylko krok, krok naprzód.

XIX

Zamieniono listy między gimnazjum wojewódzkim a miasteczkiem powiatowym. „Imię jest mi dobrze znane, ale nazwisko nie – pisała dawna pani ze szkoły.

– Cechno Raczyńska, czy to ty?”

Dawna Cechna Raczyńska odpowiedziała i natychmiast otrzymała drugi list. „Jakże się cieszę! Masz męża, dom, dziecko – to wielkie szczęście i

wielka odpowiedzialność. Pamiętaj, dziecko drogie, by dom twój stał się ciepłym ogniskiem kultury polskiej. Czy pamiętasz Słowackiego: „Postawcie polską myśl nad poduszkami...”

Cechna przeczytała list i rozplakała się.

– Musisz być porządnym człowiekiem!... – rzekła w stronę śpiącego dziecka. Potem przeszła na palcach przez wszystkie pokoje, barwne, ciche i wonne, wyjrzała na ogród i uczyła straszną dumę. Dopiero ten list ukazał jej jasno, co zrobiła, czego dokonała przez ten krótki czas.

Zaszała do kuchni i wydała rozkazy. Kucharce, pokojowej i woźnicy.

– Przyjedzie do mnie walny gość.

Kucharka rzekła:

– Musi wojewoda?

Ale pani roześmiała się i powiedziała, że jeszcze ważniejszy, drogi gość:

– Moja nauczycielka ze szkoły.

Sam starosta wydał dyspozycje co do koni. Zajechał powóz i pani udała się na stację. O tej porze dzwony w obydwu cerkwiach odezwały się głębokimi głosami, a dziewczęta, wyszorowane, w białych chustach zawiązanych pod brodę, z czerwoną peonią, miętą lub nawet różą w splecionych palcach, zdążyły na wieczorne nabożeństwo. Środkiem jezdni leniwie wędrowały krowy wracające z pastwisk i niejedna, zdjęta fantazją nie do pojęcia, wkraczała nagle a poważnie na chodnik. Rozlegały się piski:

– Ach, paskudna! poszła stąd!

Lipy przy gankach wzdłuż całej ulicy kwitły jak powariowane, tak że stały całe złote od drobnego a obfitego kwiecia.

Spacerowali także i urzędnicy, i panny z biur, żołnierze z kadry i oficerowie zdążali śpiesznie z brzękiem ostróg.

W domu starosta sztafirował się na ostatni guzik i pokojowa miała z tego powodu ciężki los. Spodziewano się, że gość będzie poważną już osobą, ale kiedy powóz zajechał przed ganek, z stopni żywo zeszała pani chyba wcale nie starsza niż sama starościna.

– Prawdziwa pani z pań – orzekła kucharka przypatrująca się zza płotu. Miała matową cerę, a jej błyszczące, czarne oczy patrzyły tak poważnie, że starosta skłonił się nisko, jak nikomu innemu. Wyciągnęła bardzo białą rękę na powitanie i zapytała Zaraz:

– Gdzie dziecko? pokażcie mi je jak najprędzej!

Dziecko spało.

Starościna poprowadziła gościa do sypialni i stara niania, która tam tkwiła, usłyszała szept:

– Jakie śliczne! Cechno! jakie śliczne!...

Obydwie panie ukłękły obok łóżka i objęły się ramionami. Niania wyszła na palcach, ostrożnie zamknęła drzwi. W stołowym, przy nakrytym już stole,

gospodarował starosta między butelkami.

– Zapal świece – rzekł. Potem poprawił włosy, dotknął kołnierzyka i niania wyszła prędko, w strachu, aby znów nie usłyszeć czegoś o tych kołnierzach ciągle i ciągle jeszcze źle prasowanych.

Mała Zuzanna obudziła się, w całym domu słyszeć się dały podniesione głosy i śmiechy. Ucichły. Zadzwoniono, by podawać wieczerzę. Dyrektorka weszła pierwsza, wiodąc za rękę Zuzannę, oczarowaną i cichutką. Mała nie spuszczała z niej oczu. Starościna zaśmiała się:

– Patrzcie, i ona uległa temu urokowi.

Starosta zagaił rozmowę:

– Jak się ułożyły stosunki w pani pracy? Czy pani zadowolona z pobytu na kresach?...

Dyrektorka gimnazjum odpowiedziała, że ma jedną z najpiękniejszych szkół w kraju, ale, oczywiście, są też i różne braki. Starosta na to z niedbałym ruchem ręki:

– Pogadam z wojewodą, to się zrobi. Jak pani z nim jest?

Dyrektorka, z nieopisanym uśmiechem, że:

– Na należyty dystansie.

Starosta roześmiał się lekceważąco i palnął:

– To osioł.

– Pss – syknęła Cechna. Zacerwieniła się i rzekła: – Nie, to porządny człowiek.

– Znam go! – powiedział starosta. – Ach, ci panowie z centrali!... Siedzą i wydają swe rozporządzenia z którymi nie wiadomo co począć... – Potem obiecał dyrektorce, że wstawi odpowiednią sumę do budżetu samorządu, aby przyjść z pomocą gimnazjum.

– Dziękujemy i za obecny okres – rzekła dyrektorka. Ale starosta machnął ręką i oznajmił:

– To głupstwo! Teraz każę uchwalić sumę trzy razy większą.

– Czy członkowie sejmiku będą również tak hojni?

– Muszą – rzekł sucho starosta. – Sejmik jest nie po to, żeby dyskutować, tylko żeby jednogłośnie uchwalać.

Wstał i przeprosił panie. Ma jeszcze jedną ważną konferencję.

– Tak późno? – rzekła żona. – Zostań. Odłóż to do jutra. – Starosta roześmiał się i z naciskiem oświadczył, że „to” nie może być odłożone do jutra.

Gdy wyszedł, dyrektorka zwróciła się zaraz do małej.

– Czy znasz „Żółty wiersz”? – Sprzątnięto ze stołu i cała trojka wpakowała się na tapczan. Zgaszono świece, tylko jeden pięcioramienny świecznik oświetlał pokój. Ziola u pułapu rzucały fantastyczne cienie. Cierpki ich zapach zmieszany z zapachem owoców i kwiatków, nappełnił pokój.

– Nie! – szeptała Zuzanna. – A ty? powiedz!!!

I dyrektorka, wyprostowana, z rękoma złożonymi na kolanach wypowiedziała wiersz uroczyście, głosem przyciszonym, niczym nieśmiała uczennica na popisie. Mała słuchała z szeroko otwartymi oczyma. Cechna, wpol leżąc, rozmarzona, przypominała sobie szkolne lekcje deklamacji.

Na łące rośnie żółty jaskier,
Po ścieżce chodzi złoty paw,
O, połóż się na suchym brzegu
Pośrodku traw...
W studziencie leży złoty kubek,
Na dnie zalega złoty żwir.⁶

Gdy skończyła, mała szepnęła z błagalnie wzniesionymi dłońmi:

– Jeszcze, jeszcze!...

Dyrektorka powtórzyła wiersz. W przerwach słychać było ćwierkanie świerszczy i daleki rechot żab z mokrych łąk. Słowa padały coraz ciszej i coraz wolniej. Mała, zmęczona tylu wrażeniami, zasnęła, akurat gdy anioł po raz trzeci rozsiewał „cieniutki złoty kurz”. Z tym ułożono ją w łóżku.

– No, a teraz opowiadaj – rzekła dawna pani ze szkoły – opowiadaj! Wiesz, że byłam w Rosji, musieliśmy poddać się ewakuacji ze względu na stanowisko mego męża. Straciłam z wami kontakt. Jak się to stało, Cechno, gdzie poznałaś twego męża? Taka jestem ciekawa tego wszystkiego...

Cechna zaczerwieniła się. Są rzeczy, o których nie można mówić, jakże opowie tej siedzącej przed sobą doskonałości, tej prawości, o wariackich pragnieniach, a potem o klęsce. Jakże powie o Henryku i o tamtym dziecku? Zdawało jej się w tej chwili, że po raz drugi przyszła na świat, że życie jej poczęło się od objęcia tego domu, od urodzenia tego dziecka. Nie umiała już kłamać, nie mogła. I siedząc obok, objęta ramionami, opowiedziała o swej ucieczce z domu i spotkaniu mężczyzny, który miał się stać jej mężem, ojcem Zuzanny. Mówiła o wędrowkach z miasta do miasta, przez cały czas wojny, o tych wszystkich obcych mieszkaniach, hotelach, zajazdach, gdzie się zatrzymywali, gdy byli jeszcze z sobą nie związani. Dyrektorka słuchała i starała się zapanować nad swą twarzą, twarz jej musi pozostać niewzruszona.

– Kiedy to było?...

Drgnęła. Ach, tak niedawno! Ach, w takich okolicznościach!... Pewne zwroty, słowa i zachowanie się starosty dały jej dużo do myślenia. Ten piękny dom zbudowany został na piasku...

– Powinnaś pamiętać – rzekła nieopanowanie – że są ludzie, którzy rosną i starzeją się, ale nie dojrzewają nigdy. Nigdy nie stają się dojrzałymi...

⁶ *Ilakowiczówna – Rymy dziecięce.*

Nagle, gdy to wypowiedziała, ogarnęła ją niewymowna litość i strach. Jej serce, nieznużone w miłości, znalazło punkt pocrzepiający, oparcie niezawodne. Dziecko. Dom. Uścisk ramion stał się tak mocny, że aż bolesny.

– Dokonałaś wielkich rzeczy, Cechno, stworzyłaś sobie taki dom w czasach, gdy domy ulegały rozbiciu. Byłaś słabym, miłym i czułym dzieckiem, a stałaś się taką silną kobietą. („Ona jeszcze nic nie wie, ona patrzy na tego człowieka niewidzącymi oczyma”). Skąd ty to wszystko wiesz? Gdzie się nauczyłaś? Jak doszłaś? – Cechna, leżąc w tych mocnych objęciach, czuła niezachwianą więź między pewnym rokiem szkolnym, gdy siedząc w ławce wpatrywała się w swoją panią, gdy słuchała, gdy łowiła najmniejszy objaw jej zadowolenia, każdy zdziwiony i zgorszony ruch brwi. Ziarno, rzucone ongiś, wschodziło, wzeszło.

– Ach wyjąkała – pani nas tak kochała!...

Ułożyły się do snu w pokojach sąsiadujących z sobą, pozostawiając drzwi otwarte. Zegar w jadalni podał godzinę pierwszą, drugą.

– Śpij już, śpij!

– Dobranoc drogie dziecko.

Ale Cechna chciała jeszcze wiedzieć o gimnazjum, zanim przyjedzie je obejrzyć.

– Ależ – rzekła dyrektorka śmiejąc się – to proste, wiesz, przecież ja zawsze mam jakiś dalszy ciąg. Wy się, wcale nie kończycie, moje Cechny.

– A kajet? Kajet z nazwiskami?

– Tak, tak, jest!

Starościna, z pluskiem bosych stóp, zjawia się znowu już w długiej nocnej koszuli przybiegła aby raz jeszcze powiedzieć dobranoc. Tamta siedzi na krawędzi łóżka z rozpuszczonymi włosami, z małym loczkiem na matowym czole tak gładkim, jakby to było czoło iście dziewczęce.

– Jakaś ty młoda! – rzekła starościna z uciechą, tykając ją, swoją dawną panią. – A rosyjski mąż?

Dyrektorka zaśmiała się srebrzyście.

– Rosyjski mąż jest zawsze tak czarujący, że muszę mu dotrzymać kroku w wyglądzie, wiesz? – Zamyśliła się i szczególny uśmiech ściągnął jej twarz.

– Wszystko się wyrównuje – rzekła. – Nic nie przepada! Czy pamiętasz, jak musiał mnie osłaniać przed rosyjskimi inspektorami? Nasze lekcje polskiego? Teraz ja go osłaniam nieraz przed władzami kuratorium: jest dyrektorem szkoły białoruskiej...

Było już szaro, gdy huknęły frontowe drzwi. Obydwie spały mocno. Ale dyrektorka, przyzwyczajona do czujności w internacie zamieszkałym przez sześćdziesiąt dziewcząt, obudziła się i od razu usiadła na łóżku. Liliowy świt poranka napelnił pokój. Okna na ogród stoją otworem. W głębi domu głos męski zamamrotał coś niezrozumiale, potem zagwizdał piosenkę i urwał. Coś

upadło na podłogę. „To but?” – pomyślała. Przeczekała, aż upadnie drugi. Chwilę nasłuchiwała, czy nie obudziło się dziecko? Po czym ułożyła się z powrotem na wznak, z wyrazem głębokiej troski na twarzy. Nie mogła już zasnąć.

XX

Sprzątano już ostatek kartofli na wydzierzawionym polu, kopaczek było znacznie mniej niż w początkach sprzętu, same znajomki. Chodziło już nie o pośpiech, ale o to, by tym, które potrzebują, dać większy zarobek. Z początku starościna obawiała się deszczu: Teraz pogoda ustaliła się, można nie naglić z robotą.

Same znajomki. Niania, kucharka i Zuzanna niecierpliwie oczekiwały pory podwieczorku, aby wreszcie ruszyć w drogę z koszyczkami pełnymi chleba, sera i jabłek. Cały dom, obejście wypełniał zapach siana. W sadzie pod drzewami stały już kosze pełne jabłek. A jedna, słoneczna ściana domu uwieczniona zastała sznurami suszących się grzybów. W tę porę zbiorów, plonów i dostatków napadły starościnę pewne niepokoje i wątpliwości.

Wczoraj na przyjęciu u rejenta spędziła czas na przyjemnej, długiej rozmowie z doktorem. Nagle ów zapytał niespodziewanie:

– Proszę mi wybaczyć, jak to się stało, że poślubiła pani swego męża? – Była w tak dobrym humorze, iż roześmiała się i rzekła:

– Ależ, zupełnie prosto... – W tej chwili zorientowała się jednak, że w pytaniu doktora zawierało się coś obraźliwego czy niechętnego dla starosty, i zażądała, by się wytłumaczył. Wówczas rozpląnął się w przeprosinach i wyjaśnieniach. Miał na myśli tylko to, że starosta był zupełnie inny, zupełnie różny od niej. Ale właśnie z takich kontrastów składają się podobno najlepsze małżeństwa – powiedział w końcu.

Krawiec, który szył jej kostium, zaczął jakoś podejrzanie unosić się nad jej urodą, jej rozumem i znaczeniem w mieście. Żydek, który kręcił głową, cmokał i wydawał się czymś zupełnie zaskoczony.

– Mieć taką żonę, taką żonę!... – Starościna jednym słowem osadziła go na miejscu. Jednak jego entuzjazm wydał się jej bardzo podejrzany.

Nic się nie ostawało oczom ludzkim w pewnym, znajomym już i niewzruszonym kształcie. Mężczyzna, za którym się idzie, ma te właśnie usta, ten uśmiech, oczy i wzięcie się, jedyne. Mówi przekonująco, które sprawiają, że mu się wierzy. Cechna już dawno wie, że ten sam mężczyzna jest próżny, zarozumiały, trochę kłamliwy, wymagający i egoista. Ale jest to świadomość ukryta, nie dopuszczana do głosu, do podsumowania. Teraz zaczynają to samo widzieć inni. Uczuwa niepokój.

„Jaka jest istota nieporozumienia między wami? pisze dawna pani ze szkoły. – Zastanów się nad tym. Pamiętaj, że nie ma nic gorszego niż niechęcią zaprawiony krytyczny stosunek do najbliższej osoby”.

A później, w tydzień potem: „Pozwól sobie powiedzieć po prostu, że przerastasz go inteligencją, rozumem, charakterem i sercem. Różnicie się tak znacznie, że po pierwszej u was bytności ogarnął mnie lęk”.

Nagle wszystko staje się jasne. Pewnego dnia, szukając czegoś w biurku, od razu, zaraz z wierzchu natknęła się na ten list: brulion? zwierzenie? próbę listu? Czy jej zatrzymały się na jakimś słowie bezmyślnie, a potem już przeczytała prędko, łączywie, od góry do dołu, od początku do końca. Co, to jest? Jeszcze raz, uważniej, powoli. Ale tym mniej rozumiała, tym silniej ovladnęło ją jakieś szczególne otępienie. Co to jest? Co on tu pisze? Do kogo?

„Nigdy nie kochałem swojej żony, moje małżeństwo to przypadek. Kiedy powiedziała mi o dziecku, nie miałem dość pieniędzy, aby...” Opuściła się ostrożnie na brzezek kanapy, z listem w ręku. Krew uderzyła jej do głowy i nagle, w wzburzeniu, wszystko stało się jasne, przeraźliwie jasne. Krzyknęła:

– Zuzanna! Zuzanna! – tak jakby dziecku groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. I przez cały ten czas, odczytując ów listy gryząc do krwi wargi, zmagając się, myślała tylko o dziecku. „Dziecko przypadku!” Ogarnia ją zgroza. To żywe ciało, ta suma męki i rozkoszy, ten mały człowiek dojrzewający do straszliwego życia – to przypadek.

Natęża myśl. A może to tylko prawda? Pamięta, że, wydawali wówczas całą pensję na bieżące wydatki i zadłużyli się stołując się w restauracjach. Wtedy właśnie wzięła się za gospodarowanie. Ale serce ukazuje jej także inny bieg rzeczy, wydobywa jakieś słowa oddania, podziwu i zachęty. Co jest prawdą? Co to się z nimi stało? Zabrała się znów do odczytywania listu. Jeszcze raz, jeszcze raz. Zsunęła się w jakieś gorące słowa skierowane do tamtej, innej kobiety, jakieś zapewnienia i nadzieje „lepszego przyszłości”. Wszystko byłoby dobrze, żeby mogła oderwać się od tego listu, musi zaraz, w tej chwili coś zrobić! Wstała. Podłoga rybko uciekła spod jej stóp, a okna obróciły się wkoło i stały się bardzo liczne, pełne ściany okien. Zaciśnęła ręce i zsunęła się z powrotem na kanapę.

O nic nie potrzebowała pytać. Wiedziała. Zaczęły się mnożyć zdarzenia, poszlaki, współczujące spojrzenia ludzi. Wiedziała tak nieodparcie, że byłaby ostatnim głupcem, żądając jakichkolwiek wyjaśnień, wszczynając rozmowę. Ale w nocy, gdy cały dom śpi już głęboko, słyhać krzyk. Gwałtowny i gniewny krzyk, trzask czegoś upadającego, koniec świata. Niania zrywa się pierwsza, budzi kucharkę i nasłuchują.

– Musi dowiedziała się! – wzdycha kucharka.

Z jękiem powstaje i szuka dokoła przyodziewku.

– Zaraz nastawię samowarek, ugotuję herbatki...

Ale niańka czujnym uchem wśród głosów wyławia głos dziecka i, tak jak stoi, w długiej, zgrzebnej koszuli, biegnie tam. Widzi kobietę i mężczyznę, całkowicie ubranych, trzęsących się z wściekłości, łączących się, wygrażających, podczas gdy dziecko płąta się u ich stóp, obejmuje ich nogi, daremnie chcąc zwrócić na siebie uwagę, płacze i prosi:

– Ach, mamusiu, mamusiu, ach, tatku, tatku!...

Chwyta dziecko w imię Boga i unosi je, krzycząc, do kuchni. Kucharka już dmucha w samowar co sił, jakby od tego zależało zbawienie świata. Zobaczywszy dziecko, smarknęła i zawodzi:

– O sierota ty, sierotka, zapomnieli o tobie.

Wasył, przyłożywszy ze dworu twarz do szyby, usiłuje wypatrzeć, co się stało tam, wewnątrz. Konie w stajni niespokojnie łupią kopytami.

Nagle, trzęsąc się, nasłuchując, Zuzanna wyrывa się niańce.

– Puść mnie! Moja mama! moja mama!...

Nie wiadomo, czy usłyszano ten krzyk? Zapada cisza w pokojach. Drzwi otwierają się, wchodzi pani, dysząc, ujmuje dziecko. Cóż uczyniła, cóż uczyniła? Dlaczego nie zapanowała nad sobą! Czemu nie mogła powstrzymać się! Dom runął. Dom jej dziecka runął.

Siedzi w pokoiku za kuchnią. Jest znów dawną Cechną, opuszczoną i odrzuconą, okłamana i niepewna. Wszystko jej odebrano. Przez krótki czas, przez mgnienie, czuła się silną, twórczą, coś wartą, potrzebną w życiu. Ale znów staje u progu i nie posiada nic. Pierwsze słowa, jakie wymawia, przejmują ją drżeniem. Ma znów pokorny, niepewny, szukający czyjśgłos potakiwania głos.

XXI

Na mieście już gadano. I starosta, ochłonawszy, mógł wreszcie wejść do pokoju żony, by oświadczyć z miną oskarżyciela, że oczekuje od niej co najmniej lojalności.

– Mój prestiż nie może być narażony przez tego rodzaju awantury. Mam wrogów, którzy tylko na to czekają, by mi podstawić stołka. Sądzę, że i w twoim interesie nie leży, by nas stąd ruszano.

Mówiąc to, oczekiwał znów wybuchu, ale usłyszał niepewny głos:

– Chcesz powiedzieć, że ja będę temu winna, co?

To był głos dawnej Cechny, z tych czasów gdy się poznali, gdy nie miała nikogo i była całkowicie zdana na jego łaskę i niełaskę, i trzymała go się kurczowo. Teraz pragnął tylko ująć cało: utrzymać istniejący stan rzeczy, obydwie kobiety. Zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju dom i taka żona

przydają mu znaczenia, ale ani myślał o wyrzeczeniu się czegokolwiek. Uznał, że jak na dziś, ten pokorny głos żony to dość. Wyszedł i krzyknął, by zaprzęgano konie. W roli obrażonego miał prawo nie jadać i nie przesiadywać w domu.

Cechna leżała w kłębek na tapczanie i usiłowała jakoś dojść z sobą do ładu. Czuła w sobie jakieś miejsce niepokojące i omijała je, bała się dotknąć. Rozmyślała o tamtej, o tej drugiej kobiecie. Była to jedna z tych młodych nauczycielek, dość już zdławiona przez życie, aby nie wziąć odwetu, gdy się nadarzała taka okazja jak „sam” starosta. Cechna nie mogła wykrzesać z siebie ani trochę nienawiści, żalu do niej czy pretensji. Więc cóż to było, ten wybuch?... Może tylko zraniona aż do krwi miłość własna? Przez wszystkie te lata wzbierała na sile, na poczuciu swej wartości, na znaczeniu, a teraz znów stoi u progu. Czuje jakiś dojmujący brak, ale jakże to możliwe, aby czuć się nagle nic wartą z powodu postępu drugiego człowieka? Jest tak, jakby ją podcięto, postawiono na dawnym miejscu. Ale teraz nie potrafiłaby otworzyć okna i uciec w mrok, w świat.

Musi powziąć jakieś postanowienie. Co robić? dokąd iść?... I nagle dotyka tego miejsca niepokojącego, to jest po prostu strach. Strach przed życiem, przed szukaniem sobie nowego punktu, o który się można zaczepić. Spogląda z osłupieniem na pokój, który tak niedawno urządziła, wyzbywszy się starych gratów. Jasna sosna kryta samodziałem w delikatny spłowiwały wzór. Ciemne garnki zapełnione błękitnym ostem... Jak to, ma odejść? Porzucić to?...

Co robić, co robić? Iść znów ciemnymi ulicami między obcych ludzi, mijać ich ciepłe domy, ich miłość wspartą o siebie, ich przywiązanie i wiarę. Raz spróbowała nie być tym kimś z ubocza, kogo się bierze i odrzuca, i zapłaciła gorzko! ach, zapłaciła gorzko! Dostaje znów pustą formę, którą ma wypełnić treścią, bolesny surowiec, który musi przerobić od początku. Jaki ma temu nadać kształt?

Pytania, pytania i ani jednej odpowiedzi. Jednak po południu opuszcza wreszcie swój pokój. Wdać ją w ogrodzie błędzącą między drzewami, które oddały już swój owoc, a teraz tracą liście. Przez otwarte okna kuchni wypływa smutna i szeroka nuta białoruskiej pieśni. Jest w niej pokora, poddanie się, uległość ciemnemu i niezrozumiałemu losowi. Nie można tego wytrzymać, nie można słuchać. Cechna zagląda przez okno. To niania, trzymając na kolanach umorusaną Zuzannę, zawodzi.

– Dlaczego siedzicie w kuchni?

I niania odpowiada żwawo:

– Znaczy się, że już można?

Twarz starościny pokrywa się rumieńcem. Widzi, że przez te wszystkie dni cały dom przycupnął w granicach kuchni i też jakby oczekiwał jakiegoś

rozstrzygnięcia. Jedzono, myto i ubierano się chyłkiem, mówiono przyciszonymi głosami. Teraz niania zabiera się do roboty, nalewa przede wszystkim wody w ogromną misę i zaprasza Zuzannę. Dziecko nie patrzy na matkę, garnie się do niani, niezawodnej nigdy.

– No, dawaj, dawaaaj, umyjemy uszki. Uszki i rączki, i buziaka... – I zaczyna się ta błoga paplanina, w której celują obydwie.

W jadalni, w kącie na podłodze, zwalono stosy płócien, przyniesione akurat przed tym zdarzeniem, które zakłóciło zwykły bieg prac domowych. Cechna przykłęka i palce jej bezwiednie próbują cienkość i gatunek płótna. Czuje, że to będzie tylko pretekst, ale jest rada z tego. Ma jakąś niejasną nadzieję, że wszystko, co się nastęrcza oczom i dłoniom, pomoże jej. Nagle załamuje ręce:

– Jakim sposobem, na miłość boską?... Czy to coś znaczy naprawdę?

Ale oto zmoęła się i rozłożyła pierwszy zwój. Znajduje wielki urok w tym wątku tkanym na wiejskim warsztacie, pełnym zgrubień, supłów i urozmaiceń. Płótno zachowało jeszcze charakterystyczny zapach chaty, woń potu, chleba i kartofli. Cechna rozwija zwój i medytuje: Obrus? serwetki? ręczniki? Już widzi czarną i cieniutką nić, białoruskie krzyżyki tworzące bogaty szlak. I nagle splywa na nią olśnienie: tu, w tej izbie pousadza dziewczęta, które nie mają co robić w długie zimowe wieczory. Nakupi się płótna, dużo, dużo płócien... Tak, musi sobie stworzyć nowe zainteresowania, wypełnić dzień i tydzień, miesiące i lata. Nie zdaje sobie sprawy, że ucieka się do wypróbowanego, starego środka zawiedzionej kobiety, do tak zwanej pracy społecznej pojętej jako zapełnienie pustki, która się nagle wytworzyła. Akurat tego dnia odbywa się posiedzenie stowarzyszenia kobiet. Dlaczego by miała nie iść? To, co ją spotkało, jest rzeczą najzupełniej osobistą i nie powinno zaciążyć nad pracą, do której się zobowiązała.

I oto ujrzano starościnę przechodzącą główną ulicą miasta. Jest tak samo starannie ubrana, ale jakże zmieniona! Ruch głowy, gdy odpowiada na ukłony, jest jakiś niepewny, spłoszony i wahający się, na twarzy widnieje wyraz skrywanej udręki. Przyśpiesza kroku, biegnie prawie, z opuszczonymi powiekami, aby wpaść bez tchu na ganek domu, w którym mieści się stowarzyszenie. Przybierając najbardziej opanowany i obojętny wyraz twarzy, wchodzi do sali wypełnionej po brzegi i gwarnej. Nagle zapada cisza, wszystkie oczy kierują się na nią, spojrzenia współczucia, ciekawości i pożałowania. Ach, to jest gorsze niż wszystko inne, czuje się jak żebraczka, obnażyła swe rany i wystawiła je na ogólny widok... Pozornie opanowana, otwiera posiedzenie, ale w połowie jakiegoś zdania głos jej załamuje się. Przygryzła do krwi usta, pochyliła się nad rozłożonymi papierami i chwilę trwała tak, aby potem nagle powstać i wyjść. Nie, nie, to na nic!

Pozostaje ciche, zamknięte domowe życie. Życie w domu, z którego

uleciało wszystko ciepło, w którym zgasły wszystkie barwy.

– Pan nie wróci na noc oznajmia kucharka.

Znów się czuje chęć do krzyku, do przekleństw i zlorzeczeń. Zdawało jej się, że ten człowiek stał się jej obojętnym, nawet nienawistnym, a teraz czuje, że to boli, boli aż do krwi.

Z przyległego pokoju dobiega cienki głos Zuzanny:

– „Liściu, liściu jesienny, dokąd lecisz, liściu? Porwał cię wiatr, liściu. Dokąd lecisz?”

Głos jej nagle zgrubiał i ścichł. Teraz mruczała: „W błoto. Na ziemię. Do rynsztoka. Na śmietnik!” Cechna otworzyła gwałtownie drzwi. Mała siedziała na swym łóżeczku, w koszuli, z głową nakrytą skrajem prześcieradła, kiwając się śpiewała. Jej dzieciństwo minęło. Nie ma miejsca w tym domu dla dziecka. Ukazała tragiczne, wylęknione oczy, zarzuciła matce ręce na szyję, by spytać nagle:

– Mamo, już nic? Już nic nie będzie? Już nie będziesz krzyczeć?

Przez te wszystkie dni jadała w kuchni, kucharka litowała się:

– Bidne ditia, sirotka.

A rano na spacerze pewna pani zatrzymała ją, by spytać, jak się ma mamusia? Potem wyjęła chustkę, otarła głośno nos i rzekła:

– Bądź dobra dla mamusi, twoja mamusia jest nieszczęśliwa.

Zsunąwszy się na kolana przy łóżku, z dzieckiem w objęciach, Cechna przyrzeka gwałtownie i nierozumnie.

– Nie, nie, moje złoto. Śpij spokojnie... – Chce jakoś wytłumaczyć małej tamtą okropną scenę, powiedzieć coś w rodzaju: – Mama wtedy była chora, widzisz, teraz jest zdrowa – tak jak się zwykle kłamie i skrywa porachunki dorosłych przed dziećmi, ale porzuca ten zamiar. Jeśli Zuzanna instynktem wyczuwa istotę tej awantury, niech tak zostanie.

Rozbiera się i kładzie obok, koło małej. Deszcz bębni o szyby. Zgasła światło. Ale nie mogła zasnąć. Przez te kilka dni wszystko zmieniło się tak, jakby ktoś złośliwie odwrócił suknię i pokazał podszewkę rzeczy. Nawet zajęcie się jej podrzutkami i nieślubnymi matkami uzyskało nową wersję: na mieście mówiono, że naprawiała tylko to, co jej mąż, starosta, zepsuł.

XXII

Wreszcie przychodzi to najgorsze. pragnienie utwierdzenia się, utwierdzenia w drugim człowieku, młodociane i głupie pragnienie miłości. Kurczowe wyciągnięcie rąk do jakiejś drugiej – silniejszej, bogatszej istoty. Bogatszej miłością. Bogatszej pragnieniem, instynktem życia.

Któręś nocy wchodzi do tamtego pokoju, a mężczyzna chętnie przyjmuje

zgode. Cechna ma wrażenie, że jej serce krwawi, chce zrobić wszystko, wszystko, aby załatać to rozbitcie, aby ocaleć. Wyciąga ramiona i ten gest, dotąd jakby jej przyrodzony, ma w sobie coś okropnego, sponiewieranego i żalostnego. Ale w chwilę później doświadcza uczucia najzupełniej fizycznych mdłości. Zaciska zęby, pot występuje na jej czoło. Nie, ciało wzdryga się przed tym pojednaniem złowieszczym, w którym nie padło ani słowo przebaczenia, ani słowo miłości. Przemóc się, przemóc, przemóc. Napęczniałe jej gniewne i okrutne usta przyjmują i oddają pocałunki twarde jak kamień... Potem odsuwa się ku ścianie i w milczeniu przeżywa swe pierwsze, najstraszliwsze upokorzenie. Nie znalazła utwierdzenia, leży na samym dnie, poniżona. Czegoż bo w końcu chciała? Kłamstwa. Nie. Miłości. Miłości. Miłości. Po to rzuciła raz jeszcze swe ciało. Każdej nocy, która zsuwała się teraz na ziemię, która zsuwała na dom litosną ciemność. Ale rodziła tylko plugawą bliskość, nieopisaną poufność i współnictwo w czymś ohydny, zgodę na świństwo.

Ocknęła się któregoś ranka. W piecu paliło się z hukiem, wyschnięte polana trzaskały. W pokoju, za zamkniętymi okiennicami, panował szary mrok. Cechna usłyszała trzask drzwi kuchennych, a potem, jak ktoś człapał ciężko koło domu. Otwarto okiennice.

Ukazał się ogród, martwy, pokryty grubym, pierwszym śniegiem. Wielkie milczenie objęło ziemię. Czarne kikuty drzew sterczały nieruchomo.

Akurat nadszedł list. Tym razem to był Kasprowicz. Dawna pani ze szkoły cytowała Kasprowicza. Cechna głuchymi, osłepłymi jakby oczyma czytała.

„Nikt cię nie kochał? A ty, czyjeś serce tak umiłował, abys mógł zapomnieć...”

To nie miało tu żadnego zastosowania. Nie można – było w niczym tych słów przystosować do ostatnich przeżyć. Do nocy wypełnionych brudem po wręby. Cechna zmięła te słowa, zgmiotła kartkę i rzuciła z rozmachem w otwarte drzwiczki pieca.

XXIII

Roman wynalazł coś nowego. chciałby żyć po ludzku.

– A jak ty żyjesz? – pyta Kwiryna. – Czego ci brak?

Właściwie, nie powinna się wdawać z nim w dysputy, bo w końcu musi mu przyznać rację, a racja Romana... to nowy wydatek.

– Ty to nazywasz ludzkim życiem? – odpowiada z goryczą. I ukazuje z ironicznym uśmiechem paki z towarem, zalegające mieszkanie, grzyby, ryby i wędliny. – Ledwie człowiek wyjdzie z jednego sklepu, już ma drugi na

pogotowiu, w domu. Siedzi się jak w norze. Czy my gdzie chodzimy? Czy my co widzimy poza handlem? Ja już sam nie wiem, czy sklep dla nas, czy my dla sklepu. Żyjemy jak odludki.

Kwiryna kiwa głową.

– Tylko poczekaj, tylko poczekaj! Już ja się tym zajmę! – Zamiarem jej było przecież urządzać się elegancko i wygodnie. Jeśli tego dotychczas nie zrobiła, to nie przez skąpstwo, lecz po prostu z braku czasu. Te interesy! jeden się kończy, drugi się zaraz następuje. Ale, oczywiście, Roman nie ma o tym najsłabszego pojęcia.

– Ja już nawet oglądałam meble w jednym magazynie – mówi Kwiryna.

Roman gorąco odmawia. Czy to wiadomo, co się bierze z magazynu? Grunt to drzewo. Ładna niespodzianka, gdy ci meble zaczną pękać. Drzewo musi być gwarantowane, suche. Kwiryna wzdycha:

– Ach, żeby to żył stary Mossakowski! Co on za meble robi!...

A Roman jakby tylko na to czekał.

– Mam takiego znajomego stolarza, właśnie wczoraj tu był i tak żeśmy się zgodali, bardzo sympatyczny człowiek...

Tu cię boli. Kwiryna z góry nie ma najmniejszego zaufania do człowieka, którego zachwala Roman, musi to być jakiś bankrut, który chce złapać trochę pieniędzy. Ale to dobry znak, że Roman zapomniał o urazie psychicznym i myśli o dobrze urządzonym mieszkaniu. Kwiryna przypomina sobie, że właściwie Roman ma jakichś krewnych i wcale z nimi nie żyje, bo może się krępował. No więc, owszem, mogą zacząć używać różnych wygod za swoje pieniądze.

Idą do tego stolarza... i co się okazuje? Roman prowadzi Kwirynę na Chłodną, w znane miejsce, akurat tam, gdzie był dawniej warsztat i domek Piędzickich.

– Przecież to warsztat Piędzickiego!!!

– A widzisz! – odpowiada Roman z triumfem – on odkupił warsztat od Piędzickich i jeszcze ma stare drzewo sprzed wojny. – To napawa Kwirynę otuchą. – On dostawia robotę do pierwszorzędnym magazynów.

– Dobrze, dobrze, zobaczymy.

Wchodzą do oficynki, majster wychodzi naprzeciw, rzeczywiście sympatyczny człowiek, starszy wiekiem. Witają się z Romanem jak przyjaciele. Kwiryna pyta od razu z miejsca.

– Czy ja się mylę, Czy ten warsztat i dom należał kiedyś do Piędzickich?

Potem mówi też o Mossakowskich, po prostu dlatego, żeby majster wiedział o tych znajomościach stolarskich i nie próbował jej oszukać. Okazuje się, że znał i Mossakowskich, i wyzwalał się na czeladnika u starego Piędzickiego.

– To byli stolarze – mówi – całą gębą majstrowie cechowi.

– Jak interesy?

Majster macha ręką. O wielkich interesach nie ma mowy, odkąd zamknięto rynek rosyjski, a z kresów sypią antyki, po prostu za psi pieniądz.

– Ale mam tu niezłe sztuki, obstalowane, może państwo pozwolą.

Rozkłada rysunki. Kwiryra mało co widzi z tych rysunków, za to Roman orientuje się znakomicie.

– Łóżka niskie?

– Tak, to najmodniejsze.

– Lustro, widzę, zupełnie okrągłe?

Kwiryra wołałaby po prostu stare meble, takie jakie były u Majewskich, ale Roman nie widzi powodu, ażeby nie mieli urządzić się nowocześnie.

– Przy sposobności odnowimy mieszkanie.

Kwiryra bąka.

– Czy mamy tak decydować łapu-capu? Trzeba się namyślić.

Stolarz popiera ją, chciałby obejrzeć pokoje. Teraz Kwiryra nabiera do niego zaufania i ostatecznie umawia się na jeszcze jedno spotkanie.

Już jest wciągnięta na dobre w plany Romana. Wracają do domu, śpieszą na górę, zapalają światła i już meblują swoje mieszkanie. Tu stanie bieliźniarka, tu łóżka, bokiem do okien, wysunięte trochę na pokój, tu...

– Dlaczego bokiem? – pyta Roman.

Kwiryra nie chce powiedzieć.

– No, bo tak, i już. – Roman nalega. – Co masz na myśli?

Wreszcie wydostaje z niej prawdę. Ludzie wystrzegają się ustawiania łóżek nogami do okien, bo wtedy ktoś się może wynieść.

– Wynieść?

Nic nie rozumie. Więc po długich ceremoniach Kwiryra wyjaśnia.

– Wynieść na tamten świat.

Roman wybucha śmiechem.

– Boisz się tego?

– Nie dla siebie, tylko dla ciebie – odpowiada Kwiryra.

Ogarnia ich wielkie wzruszenie, obejmują się mocno, są sobie wdzięczni za ten strach i za miłość. Roman szepce.

– Ja już się przyzwyczailem tak spać.

Myślą o swoich nocach miłosnych, kiedy się budzą w ciemności i widzą czuby akacji na skwerze, a ponad nimi szerokie, szerokie niebo.

– No, więc dobrze, jak sobie chcesz... – Kwiryra w tej chwili nie boi się niczego i nikogo. Nawet samego diabła.

– Wypuścimy się gdzieś na miasto?

– Do kina?

– Nie. Jak już mamy bawić się, to z szykiem.

Garbata ciotka gotuje coraz gorzej, po prostu przez złość, że Kwiryra

dobrze żyje z Romanem. Kwiryra od czasu do czasu zje coś na mieście przy przymusowym poczęstunku z tymi kombinatorami, którzy z nią handlują, ale Roman skazany jest tylko na pitraszenie ciotki, choć na pewno nieraz czuje chętkę na coś smacznego. Można by to zrobić i w domu, jednak jak ciotka zacznie wyliczać, co do takiego smacznego dania trzeba dodatków, Kwiryrynie odechciewa się wszystkiego.

– Co, na dwie osoby?...

– Na trzy – poprawia Roman.

– Niech będzie na trzy – mówi Kwiryra ale to się nie opłaci! tyle kramu!

Wybierają się po prostu do restauracji, a jeśli garbata, ciotka ma nadzieję, że ją wezmą ze sobą, no to się rozczaruje. Wprawdzie Roman bąknął coś o tym, ale Kwiryra zgromiła go.

– Dajże pokój! z jej kalectwem!

Dała mu do zrozumienia, że to jest pewnego rodzaju niedelikatność. Jednak ciotka żywi jakąś nadzieję, bo jest usłużna jak nigdy.

– Którą suknię Kwiryńcia włoży?... – Głupie pytanie.

– Tę z trenem i brylantami – odpowiada ironicznie Kwiryra. Ma tylko jedną suknię do wyjścia.

– Jak ci się wydaje? – pyta Romana. Roman przygląda się z namysłem i orzeka, że suknia jest dosyć sobie, urozmaicona.

– Urozmaicona?

– No, tak. – I wskazuje na koronkę, strojącą przód i rękawy, podbite w dodatku jedwabiem.

W końcu przychodzi do kłótni, naturalnie znów o ciotkę, zawsze o ciotkę.

– Dlaczego ty do niej tak szorstko mówisz, czy naprawdę nie możesz być dla niej miłsza?

– Nie chcę wiedzieć – odpowiada znacząco Kwiryra – czemu ty za nią tak obstajesz ciągle. Ale jak mamy iść, to chodźmy.

Kwiryra proponuje od razu Lijewskiego, a Roman restaurację w hotelu Saskim, na pierwszy raz, żeby zobaczyć w ogóle, jak to wygląda.

– My nic nie wiemy, wcale nie bywamy między ludźmi!

– No dobrze, dobrze, przecież już idziemy! – mówi ze złością Kwiryra. – Wygląda tak, jakbym cię więziła w domu.

Naturalnie, po takiej rozmowie wchodzi trochę poirytowani do szatni i zdejmują okrycia. Kwiryra mówi z pogardą.

– Co za gwałt!

Mówi tak, żeby ukryć zmieszanie. Nie spodziewała się takiego szyku, tak hucznej zabawy. Muzyka grzmi dziko, a przez otwarte drzwi do sali widać lśniące nakrycia stolików, wydekoltowane kobiety, kwiaty i baloniki. W środku, na malutkim kręgu wolego miejsca, suną pary objęte ramionami, mężczyźni i kobiety przyłgnięci do siebie jak jedno ciało. Kwiryrynie krew

uderza do twarzy, chciałaby się wycofać, ale Roman dotyka jej ramienia i popycha lekko. Obejmuje komendę i z pomocą kelnera zdobywa stolik. Gdy się już usadowili, Kwiryna doznaje sprzecznych uczuć. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jej suknia jest nieodpowiednia, ciężka, niezgrabna i uboga, a zarazem gorszy się, że kobiety poubierane są w suknie podobne do koszulek, u góry wycięte, u dołu do kolan. Jest zadowolona, że Roman umie się znaleźć, i złości się. „Skąd on to wie? Gdzie się nauczył? Czy w tej «strasznej» niewoli, czy na tej «okropnej» wojnie?” – myśli z ironią. Podczas jej rozmyślań Roman zdążył już coś zamówić, a teraz wyciągnął srebrną papierośnicę, którą mu podarowała w rocznicę ślubu, i zapala papierosa.

– Co ty, znów wracasz do palenia?

– Niezupełnie – odpowiada Roman.

– Wiesz, że ci to szkodzi – gderze Kwiryna.

– Jeśli po to wyszliśmy z domu – mówi Roman z goryczą – abyś prowadziła takie rozmówki, to możemy wracać.

Siedzą w ponurym milczeniu i w chwilę potem, gdy Kwiryna podnosi oczy, widzi w lustrze naprzeciw ciemno ubraną parę, nabzdyczoną, a twarzami czerwonymi i lśniącymi, siedzących sztywno i niezręcznie.

Tak, to oni. Wyglądają jak chłopcy z podwarszawskiej wsi. Akurat kelner przydźwigał tacę pełną przekąsek i koniak.

– Zamówiłeś koniak? – pyta Kwiryna.

Usta Romana drżą, ma taki wystraszony wyraz twarzy, że Kwirynie robi się żal. Na miłość boską, kiedy ona wreszcie opanuje się i będzie władać sobą chociaż na tyle, aby nie gadać głupstw i nie dręczyć Romana!...

– Doskonale, właśnie miałam zamiar napić się czegoś, nalewaj.

– Już nalane – odpowiada Roman – nie widzisz?

Rzeczywiście, kelner ich obsłużył, przyglądając się spod oka tej dziwnej parze. Akurat też przestano grać, muzyka umilkła, ludzie wrócili na swe miejsca i Kwirynie się zdaje, że wszyscy im się przypatrują i robią uwagi na ich temat. Widzi swe ręce, czerwone, spracowane i zaniebane, trzymające w niezręczny jakiś sposób nóż i widelec. Roman jest delikatniejszy i wygląda lepiej. Rozgniewana, Kwiryna zabiera się gwałtownie do jedzenia, jakby tylko tym zaprzątnięta. Tak, nie dość jest zarabiać pieniądze, trzeba też umieć żyć. Zaniedbała się, zbrzydła, w domu chodzi w serdaku, zamiast kupić sobie elegancki sweter, i w ogóle – jest nie do ludzi.

– Pani pozwoli? – pyta kelner z półmiskiem w rękę.

– Proszę....

To się nazywa być obsłużonym, nie tak jak w domu, gdzie ciotka ciska nakrycia na stół byle jak. Kwiryna, ośmielona już trochę, rozgląda się. Jej bystre oczy widzą już teraz to, czego nie dostrzegały poprzednio, olśnione ogólnym blaskiem. Może jej suknia jest nieelegancka, ale materiał – to

prawdziwa angielska wełna, a te tu wszystkie jedwabie, cekiny, blaszki, koraliki – to po prostu ńędzne szmaty. Słyszysz też, że dama przy sąsiednim stoliku wdzięczy się do mężczyzn w taki sposób, na jaki Kwirynd nigdy by się nie zdobyła w stosunku nawet do własnego męża, nawet gdyby chodziło o śmierć i życie! A ta, przy drugim stoliku, po każdym tańcu zaczyna tę samą historię: zostawiła swe dziecko zamknięte w numerze na klucz, a sama tu tańczy z drzeniem serca. Takie tam nabieranie, dobrze, że Roman nie słyszysz. Nagle oczy Kwirynd stają się okrągłe ze zdumienia, przechyla się i szeptem do Romana.

– Patrz! Tam, w kącie! Amelcia z aptekarzem!

Aptekarz i Amelka siedzą tak samo osowiali i milczący. W pozyciu ich zdarza się podobna historia. Przez całe lato Amelka chorowała, a teraz oto dostaje napadów płaczu. Lekarz twierdzi, że jest zupełnie zdrowa, i zaleca aptekarzowi, aby żona „rozerwała się” trochę. Poszli więc do teatru, a z teatru na kolację. Amelka ożywiła się, aptekarz z troskliwością asystował przy ubieraniu i śmiał się, że żona ubiera się od stóp do głów. Włożyła jedwabną bieliznę, pończoszki z naturalnego jedwabiu i czarną przesłiczną suknię, przy której jej skóra i złote włosy wyglądały olśniewająco. W teatrze dawano jedną z tych powojennych sztuk, gdzie słowo miłość powtarzało się sto razy w różnych odmianach. Humor Amelki się ulotnił, popadła w jakieś niewesołe zamyślenie.

– O czym tak rozmyślasz? – spytał mąż, gdy już siedzieli w restauracji.

Wzniosła na niego swe błękitne oczy i odpowiedziała szczerze.

– Myślę, kiedy ostatni raz tańczyłam?

– No i? przypomniałaś sobie?

Zmarszczka namysłu ukazała się na gładkim czole Amelki.

– To było... tak, tak, to było na Bielanach, dawno, przed wojną... – Zacerwieniła się i pomyślała. – „Z panem Michałowskim”. Aptekarz poprawił kołnierzyk, który mu dokuczał, i rzekł:

– Niestety, nie mogę ci służyć, w moim wieku... – Oczekiwał zaprzeczenia, ale Amelka rzekła tylko.

– Ja nawet nie wiem, czy potrafiłabym tańczyć tango. Nigdy nie tańczyłam tanga... – A potem, z dreszczem. – Co za dziwna i piękna melodia.

Aptekarz, naturalnie, nie podzielał jej zdania. Powiedział, jak chodząca gazeta.

– Barbarzyńska melodia, niemoralne tańce – i odsunął od siebie tę sprawę. Na drugi raz wybierze restaurację bez muzyki i bez tańców, będzie można trochę porozmawiać.

Od dawna Amelka zauważyła Kwirynd i Romana, ale z początku nie myślała nawet o przywitaniu. Jak ta Kwirynd nie ma za grosz gustu!... W końcu jednak – to głupio siedzieć tak we dwoje, a Roman prezentuje się

przyzwicie i ma w sobie coś pociągającego.

– Filipie, patrz, Kwiryra! Może ich zaprosić do naszego stolika? Wyglądają tak nieswojo...

Aptekarz, oczywiście, zgadza się natychmiast. Omijając tańczące pary staje przed Kwiryra.

– W imieniu żony przychodzę państwa prosić...

Roman podejmuje się zlikwidować niepotrzebny już stolik i Kwiryra nieznacznie wsuwa mu swą portmonetkę do ręki. Amelka wita się z rozczuleniem.

– Ach, Kwiryno, jak to dobrze, że cię spotykam!... – Jak tylko Kwiryra usiadła, pochyła się i szepce. – Będziesz musiała sprawić sobie nową suknię, dam ci krawcową.

– Nie, dziękuję – odpowiada Kwiryra – w naszym domu mieszka starsza panna od Hersego. Ale ja nigdy nie mam czasu dla siebie, teraz na przykład wzięłam się za mieszkanie. Sprawiam meble.

– Oho!... Jakie?

Kwiryra marszczy brwi, a potem mówi jak w natchnieniu.

– Mahoń i palisander.

Nagle powstaje Roman i skłania się przed Amelcją.

– Ależ, panie Romanie, ja nie znam nowych tańców.

– Ja też nie – mówi Roman niedbale – jednak spróbujmy. – Ma tak komiczną minę, że wszyscy wybuchają śmiechem, a Kwiryra zachęca życzliwie.

– Spróbuj, Amelciu, co ci to szkodzi, przecież dawniej świetnie tańczyłaś... – Wreszcie Amelka oddaje aptekarzowi torebkę i rękawiczki i powstaje z miną, jakby się rzuciła z mostu do wody.

Z początku idzie im kiepsko, to widać.

– Czy pani lubi muzykę? – Amelka zasepia się na wspomnienie Andrzeja, a potem mówi z uniesieniem.

– Ach, tak, tak!

– No, to słuchajmy muzyki, a reszta sama się zrobi.

Amelka dopiero teraz spostrzegła, że z jej otoczenia Roman jest najinteligentniejszy. Milknie i stara się wpaść w takt melodii. Nogi ich zaczynają się posuwać rozumniej i jakoś łatwiej, a potem w ogóle zapomina się o trudnościach.

Jak to dziwnie i strasznie spoczywać znów w męskich objęciach, w ramionach, które nie są ramionami Filipa. Amelka unosi powieki i widzi tuż koło swej twarzy twarz Romana. Jest nieco od niej wyższy i gdy patrzy, patrzy z góry. Ma twarz wygoloną, a jego wąskie usta są czyste i poważne, wyglądają tak, jakby nie dotykały nigdy jeszcze ust kobiety. Amelkę przebiega dreszcz. To nie jest Andrzej, a ona drży. To nie jest Andrzej, a ona

uczuwa pragnienie. „Teraz będę ciągle tak dygotać przy każdym mężczyźnie” – przemyka przez głowę myśl niedorzeczna. Ale czuje, że jest w tym jakaś prawda, jakiś lek na, jej płacze i niepokoję, i przytula się do Romana. A on, jakby wszystko rozumiał i wszystko wiedział, przygarnia ją do siebie mocno.

Przy stoliku aptekarz i Kwiryra zagadali się o interesach. Taki porządny człowiek jak aptekarz nie może zrozumieć, że Kwiryra paskuje, i dziwi się trochę rozkwitowi jej dobrobytu. Ale znalazł nagle przyczynę i ucieszył się.

– Co, polepszyło nam się, pani Kwiryno?... Znajduje pani znaczną poprawę, prawda? Tak, tak, stały pieniądz, to wszystko. A kto ustabilizował pieniądz? Właśnie rząd narodowy. – Po czym zaczyna narzekać na Kasę Chorych, te wymysły socjalistów zrujnują kraj.

– Przecież pan też więcej sprzedaje, co pan chce?

– Owszem, ale ani zakładają swoje apteki.

Kwiryra współczuje aptekarzowi, bo to mu zabierze klientów, ale osobiście ani, ją to ziębi, ani grzeje, bo nie płaci żadnych składek, tylko, za dozorcę.

– Jak to, a służąca?...

– Nie trzymam służącej, gospodarstwem zajmuje się swój człowiek, ciotka.

– Nie płaci jej pani pensji?

– Nie.

– No, to w porządku.

– Niech pani patrzy! tańczą doskonale!

Aptekarz założył szkła i przyglądał się Amelci. Kwiryne ani w głowie zazdrość, tylko dziwi się, skąd Roman nauczył się tych tańców i jaka ją jeszcze niespodzianka czeka z jego strony. Właśnie muzyka milknie i Amelka wraca na swe miejsce u boku męża. Kwiryra patrzy na Romana i widzi, że zaszło coś nowego. Jest dotknięty i zdziwiony tak żywo, że gdy tylko usiadł, mówi.

– Czy wiesz, kogo tu spotkałem?

– No, kogo?

– Blondynkę z Mylnej, pamiętasz?

Kwiryra zaniemówiła na chwilę ze zdumienia.

– Może ci się przywidziało, cóż ona by tu robiła?

– Spójrz tylko – mówi Roman – tam, na lewo, trzeci stolik.

Amelka, pudrując nos, dopytuje się, o czym mowa? Blondynka siedzi przy stoliku z starszym, grubym panem, ale siedzi tak jakoś bokiem, niedbale, twarzą zwróconą w ich stronę, i ogromnymi oczami patrzy na Romana. Patrzy otwarcie i bezwstydnie, wcale się nie krępuje ani swego towarzysza, ani Kwiryny. Ma na sobie lśniąca niebieską suknię, przybraną kwiatami, perły na szyi, nogi odsłonięte do kolan, w jedwabnych pantofelkach. Jest umalowana i

wygląda lepiej, nie tak żółto jak wówczas, gdy przychodziła do sklepu. Kwiryra wybucha śmiechem.

– No cóż, zrobiła karierę, a ty się tak litowałeś!

Amelka z trzaskiem zamyka puderniczkę.

– O kim mówicie? O tej w niebieskiej sukni? To fordanserka. Ona tu tańczy z mężczyznami, którzy jej za to płacą.

– Za to i za coś jeszcze innego – aptekarz przyrymka oko i mruga na Romana.

– Świństwo – mówi Roman – to była taka porządna dziewczyna, z lepszego domu. Mówiłem Kwirynie, żeby jej pomóc...

Zaczyna się, denerwować, nic sobie nie robi z osłupiałej twarzy żony, z ciekawości Amelki i aptekarza.

– Prosiłem Kwiryne, opowiadałem, co to za bieda, ale Kwiryra dałaby się w kawalki pokroić za pół funta cukru.

– Romanie!

– Przepraszam cię, ale tak jest! Gdybyśmy wtedy cokolwiek zrobili, dziewczyna nie poszłaby na ulicę.

Kwiryna prostuje się i pyta surowo.

– A co ciebie to obchodzi?

Amelka próbuje zagadać sytuację.

– Czy wiesz, Kwiryno, zapomniałam ci powiedzieć, że mamy wiadomości od Cechny, przyjedzie na pewno z mężem i dzieckiem...

– Tak? Wyobrażam sobie, jak pani Raczyńska się cieszy – odpowiada wzburzona Kwiryra. Ale w Romana jakby diabeł wstąpił, bo nagle oświadcza.

– Jeżeli każdy może z nią tańczyć, to i ja zatańczę.

Kwiryna zaciska ręce.

– Nie zrobisz tego!

Aptekarz śmieje się.

– Niech pan da spokój, ona już jest zajęta!

Roman powstaje, wyjmując z kieszeni portmonetkę, którą mu niebacznie powierzyła Kwiryra, sprawdza jej zawartość i odchodzi. Kwiryra, Amelka i aptekarz patrzą za nim, zaskoczeni i ciekawi. Roman staje przed blondynką i prosi o taniec.

– Ta pani jest ze mną – mówi podniesionym głosem grubas.

– Nic mnie to nie obchodzi – woła Roman.

Muzyka ma już doświadczenie, zaczyna grać jakieś grzmiące *shimmy*, blondynka powstaje i składa dłoń na ramieniu Romana. Przy stolikach rozlegają się oklaski.

Kwiryna zrywa się i uchodzi. Opędza się Amelce.

– Zostaw mnie, zostaw!... – Co za wstyd przed aptekarzami! Przypomina

sobie, że tak niedawno jeszcze mówiła Amelce. „Roman kocha mnie namiętnie, namiętnie”.

Jak przez mgłę widzi Romana drepcącego na środku sali, z kosmykiem włosów opadających na czoło, z blondynką przyciśniętą do piersi. To jest ostatnie, co widzi, z tym wypada za drzwi. Jest głęboka noc, w wąskiej i pustej uliczce słabo drgają latarnie. Nareszcie może się wyplakać. Potykając się Kwiryna zdąża Kozia w stronę Miodowej. Na rogu spacerują dziewczyny.

– A to ryczy – mówi któraś – Co ci się stało?

– Facet ją rzucił.

W domu garbata ciotka otwiera drzwi i głądzi o jakimś tynku.

– To Roman nie wrócił? – pyta przerywając swe opowiadanie. Ale jedno spojrzenie na twarz Kwiryny wystarcza. Ciotka wycofuje się pośpiesznie do kuchni. Upływa długa chwila, ciotka już znów zasypia, gdy wchodzi Kwiryna.

– O jakim tynku ciocia mówiła?

Okazuje się, że w oficynie u blacharza oberwał się kawał tynku tuż nad łóżkiem. Co za szczęście, że dzieci w domu nie było!...

– Gdzie się podziały? – pyta bezmyślnie Kwiryna.

– Akurat blacharzowa zaprowadziła je do rodziny, bo, powiada, nic w domu do jedzenia nie ma, wraca, a tu na łóżku pełno gruzu. Jezus Maria, żeby godzinę temu!... Już miała ułożyć je spać, ale coś ją tknęło, żeby je zabrać i iść, bo rano nie mieli nic na śniadanie. Żeby je była pokładła spać...

– No to co? – przerywa Kwiryna to opowiadanie „dokoła Wojciechu” – mniej by nieszczęścia było na świecie...

Ciotka, – która już siedziała na łóżku, układa się gwałtownie z powrotem” naciąga kołdrę po szyję i resztę nocy spędza na rozmyślaniach, żeby się zabrać z tego domu i iść, nie żyć z takim potworem pod jednym dachem. Ale dokąd?

XXIV

Kwiryna przejawia ożywianą działalność. Trzeba coś zrobić z tą dziurą u blacharzów. Zaczyna od lokatora inżyniera, udaje się po poradę. Otwiera jej drzwi żona, ładna kobietka w strojnym szlafrocжку.

– Męża nie ma w domu. Od świtu jest na budowie.

Miło jest tu posiedzieć, w tym. mieszkaniu pełnym kwiatów, o oknach strojnych w biel firanek, czyściutkim i wymuskany gniazdku, ci państwo niedawno się pobraли. Inżynierowa zaprasza Kwirynę i nawet chce częstować herbatą.

– Może pani mi powie, o co chodzi, to powtórzę mężowi, on nieraz

niespodziewanie wpada do domu.

Kwiryna opowiada o wypadku, jaki się zdarzył, a inżynierowa oddycha z ulgą. Myślała, że chodzi o termin przeprowadzki, a mieszkanie na Mokotowie jeszcze nie gotowe, cały wysiłek i kapitał mąż jej skierował na fabrykę. Kwiryna oczywiście rozumie to. dobrze, bo i ona, najpierw i przede wszystkim myślała o handlu, o tym, co daje chleb. Przy tym wcale nie śpieszno jej pozbyć się takich lokatorów, choć na mieszkanie ma wielu amatorów. Inżynierową przerywa.

– Jak tylko mąż wróci, zaraz do pani zajdzie.

Rzeczywiście, jeszcze przed południem inżynier zjawia się jak na zawołanie. Z przyjemnością będzie służyć radą, a nawet, jak zajdzie potrzeba, może przeprowadzić niezbędny remont, bo ma robotników na budowie. Kwiryna zaciska usta, mówi.

– To jeszcze zobaczymy – i prowadzi inżyniera do oficynki.

Inżynier nie jest młodzieńcem, to człowiek doświadczony w swym fachu, ale Kwiryna spodziewa się od niego także znawstwa życia. Ten człowiek nie wie, że w tej chwili zdaje egzamin przed gospodynią. No, a więc?

Błacharzowa odsunęła sprząty w drugi kąt izby, a z lewej, na wprost drzwi widnieje ta dziura w suficie, na wylot, na strych. Oczywiście, korytarz jest pełen bab, które znikają z chwilą, gdy ujrzały gospodynię. Błacharzowa próbuje opowiedzieć swoją epopeję o dzieciach, ale Kwiryna dotyka jej wrzuszonyj twarzy ciężkim wzrokiem i mówi.

– Myśmy tu nie przyszli na gawędy.

Żywi nie litość, lecz pogardę dla tej matki, która nie potrafi obronić swych małych, siedzi tu i biadoli, zamiast nając się do prania czy do jakiegokolwiek roboty. Ona ma prawo tak osądzać ludzi, czy miłość jej nie ocaliła i nie wyrwała Romana z czeluści wojny, głodu i chorób?

Nie trudno zorientować się w całej tej sprawie, że dach po prostu zacieka. Na suficie widnieją rozległe zatoki, a belki na strychu na pewno przegniły. Kwiryna udaje całkowitą nieświadomość tego stanu rzeczy, choć wiedziała, że tak się skończy, i czekała na to niewinne ostrzeżenie. No więc, czy tylko dziura w dachu i dziura w suficie?...

Inżynier zabiera się do solidnych oględzin, od fundamentów do stropu, i okazuje się, że najwięcej, niepokoi go ta ściana, przy której stało łóżko błacharzów. W miarę oględzin kręci głową i poważnieje, a w końcu wyjawia swe zdanie. Oficyna, Bogiem a prawdą, nie nadaje się do żadnego remontu, tylko do rozbiórki. Oczy Kwiryny błysnęły w mroku sionki, ale zataiła swą radość. Zgodzili się z inżynierem, że oficyna jest właściwie starym domem, do którego dobudowano front i boki o wiele później. W dzisiejszych czasach i w tym handlowym punkcie miasta właściwie szkoda jest placu i miejsca na taką rudere, można by wyciągnąć ze trzy piętra. Kwiryna wściekła jest, że

mieszkanie jej nie urządzone, że nie ma gdzie zaprosić inżyniera na rozmowę, w której by ją pouczył, co ma zrobić i gdzie się udać, aby uzyskać przymusową eksmisję lokatorów. Trudno, robi to w sionce, bo w sklepie, przy Romanie, też nie może wszczynać takich spraw. Myśli złośliwie, że mu oto szykuje niespodziankę, podczas gdy inżynier poucza ją, co i jak ma zrobić.

Teraz, gdy trzyma już całą oficynkę w swojej garści, może zająć się domem i sobą. Żadnych rozmów z Romanem, od owego wieczoru w restauracji Saskiej nie przemówili do siebie ani słowa. Roman śpi znów na wyrku w pustym pokoju, a ciotka, wniebowzięta, kręci się koło niego i dogadza mu. Kwiryra ze wzgardą myśli o swojej naiwności – cóż to za uraz psychiczny, on się po prostu kocha w tej dziewce, jest o nią zazdrosny, dba o nią. Nie będzie się pojedynkować z Romanem o taką miłość, nie, jeszcze do reszty nie zwariowała. Sięga po inną broń i wieczorkiem udaje się do panny, od Hersego, Starsza panna zmęczona jest bardzo zbliżającym się karnawalem, ale Kwiryra nie zajmie jej dużo czasu. Chodzi też o poradę. Nic nie wie, co się teraz nosi, na przykład do restauracji, na wieczór? na wizytę w domu? Kręci i kołuje, aż starsza panna domyśla się, o co chodzi. Jest uczciwą osobą i jedyne, co może zaproponować, to żeby pani gospodyni przysłała do magazynu i wybrała sobie niezbędne suknie, a ona weźmie to na swoje konto i uzyska rabat przysługujący pracownikom firmy. Kwiryra dziękuje jej z wylaniem.

Na drugi dzień jest u stolarza na Chłodnej, potem w kawiarni z handełesami, potem u fryzjera. Ale i Roman zdradza też ożywioną działalność: zmienił wystawy w sklepie, sprowadził towar, sporządził wykaz wpływów za ostatnie dni, niczym najęty subiekt. Kwiryra wyraźnie okazuje, że jej to nic nie obchodzi, zostawiła sklep Romanowi jakby na stracenie.

Właśnie siedzi na górcie w sypialni i poprawia włosy, przeglądając się w stłuczonym lusterku, gdy wchodzi Roman. Kwiryra zastyga wewnątrz, tak bardzo jest zależna od tego Romana, że wystarczy, aby stanął z bliska, a wszystko w niej zatrzymuje się, staje, oczekuje. Ale na pozór jakby nigdy nic, Kwiryra poprawia zaondulowane pukle włosów i patrzy tylko w lusterko. Jest pewna, że Roman chce zbliżenia i skorzysta z okazji, by powiedzieć – Jak pięknie ci w tym uczesaniu... – Zamiast tego cóż jednak słyszy?... Blondynka poszła na ulicę, blacharzowa oddała dzieci z domu....Co, już i o tym wie?! Kwiryra wstaje, patrzy na Romana i z okrucieństwem oznajmia:

– Co zrobić? Trudno, pogodziłam się już z tym, że mam męża wariata.

Zachodzi do blacharzów.

– Gdzie pani stary?

Łatwo zgadnąć, że sterczy przy sztachetach na skwerku i z innymi mądralami narzeka na złe czasy.

– To istna ironia losu – mówi Kwiryra – żeby nad mieszkaniem blacharza dach przeciekał, a on palcem nie ruszył. – Blacharzowa tłumaczy potulnie, że jakżeby śmiał bez wiedzy pani gospodyni, że przecież chodziła i opowiadała się z tym dachem, ale Kwiryra już nie słucha. – Niech no go pani zawoła! – poleca.

Teraz, kiedy ma zagrożoną ścianę, może choć prowizorycznie naprawić dach. I podczas gdy blacharz, kręcąc niedbale czapkę w rękę, usiłuje przeniknąć, jak gospodyni postąpi z zapłatą, Kwiryra myśli chytrze. „Co mi tam dach, mam ścianę!...” Będzie wojować tą ścianą. Po czym wspaniałomyślnie oznajmia.

– Dam wam na blachę, a choć jesteście mi winni za komorne, nie strączę wam, a zapłacę za robotę gotówką.

Ci ludzie są tak zbiedzeni, że rzucają się do jej rąk. Szkoda, że Roman tego nie widzi.

Blondynka nie zrobiła kariery, nie ma co. Gdy pędzi do tramwaju z Mylnej na róg Karmelickiej, gubiąc swoje płytkie pantofelki na wysokich obcasach, zadyszana, zziajana i zapędzona, Kwiryra z łatwością może sobie odtworzyć jej dzień: jak po nieprzespanej nocy wstaje rankiem i szykuje brata do szkoły, potem sprząta i pitraśi obiad, zmywa, pewnie robi i małą przepierkę, i zreparować coś trzeba, i sobie garderobę wyszykować. A tu już i wieczór. Kwiryra widzi ją z zawiniątkiem pod pachą, z włosami krótko obciętymi, rozwianymi wokół małego kapelusika, chudą jak trzcinka... Nie zrobiła kariery. Rozmaici mężczyźni mogli ją obszcypywać i przyciskać do siebie, i gadać świństwa za swoje parę groszy, a ona musiała z nimi tańczyć, śmiać się i udawać zachwyconą. Nikt po nią nie zajeżdża autem ani dorozką tak jak po Marię Prymas, nie te czasy! Pędzi, zadyszana. Ma tylko tyle, żeby nie zdychać z głodu i opłacić komorne.

Za to blacharzowa, jak tylko złapała te parę złotych od gospodyni, zaraz zajrzała do sklepu po zakupy. Nie mogła ukryć swojej radości przed Romanem, który ważył i pakował zawzięcie, i zdawał się wcale nie słuchać. Ale gdy blacharzowa rzuciła okiem na paczkę i spytała z niepokojem.

– Co mi pan tu daje?... chciałam tylko aby mąki i cukru, i herbaty...

Roman roześmiał się jak swawolny chłopiec i mruknął. Psst! – W domu blacharzowa przekonała się, że dodał jej kawałek masła i karmelków dla dzieci. No, no!...

Jak na skrzydłach pędzi po swoje wyplakane, wymarzone dzieci. Chłopak i starsza dziewczynka, oddani do ciotki, która służy, wrócili sami do domu, nie czekając, aż ich ktoś zawoła. Znudzilo im się sterczeć w cudzej kuchni i słuchać ciotczyńnych peror. Ale najmłodsza, sześć latek, Antosia przebywała u stryja bogacza, który nie dość że sam był ślusarzem na stałej pracy w fabryce, jeszcze żona jego dostała filię piekarni na Sosnowej. Szmat drogi, ale

blacharzowa szła tam jakby na swoje wesele i wyobrażała sobie, jak to Antosia siedzi w kąciку i tęskni, a może popłakuje za matką i za domem?

Zastała ją akurat przy śniadaniu, ślusarz już wyszedł do roboty. Antosia spojrzała na matkę i jakby się przestraszyła, wielkie to na niej zrobiło wrażenie. Siedziała przy stole, na krzeselku, nakrycie miała przed sobą jak dorosły człowiek, a nawet jakiś nowy fartuszek na sobie, w różowe paseczki.

– No, Antosiu, zabieraj się.

Antosia, nieporuszona, spuściła głowę, a potem podniosła ją i spojrzała na matkę tak jakoś spode łba.

– No, a może ty chcesz zostać? – spytała żartobliwie blacharzowa, sama swoim uszom nie wierząc, skąd to jej się wzięło. Dziecko spojrzało na nią z uśmiechem, potem na stryjenkę i rzekło.

– A stryjenka uszyła mi fartuszek i jeszcze koszulkę szyje.

Stryjenka nie wtrącała się wcale do rozmowy, ale patrzyła pilnie na Antosię. Nie miała swoich dzieci. Teraz wstała i powiedziała niby to obojętnie.

– A może mi ją bratowa zostawi?

Blacharzowa na to:

– Nie mam dzieci do oddania.

Stryjenka zbliżyła się do Antosi, położyła jej rękę na głowie i rzekła:

– No, to idź, Antosiu, z mamą.

Fartuszek z niej zdjęła.

Wyszły z tego pachnącego chlebem rajy i milczały w drodze. Antosia nagle obejrzała się skrycie za siebie, w tamtą stronę, skąd uchodziły. Blacharzowa rzekła ze zgrzyotą.

– A nie żal ci mamy? – Antosia westchnęła i dreptała bez słowa. – Ty byś się mamy wyparła?...

Nagle blacharżową ogarnął taki niewypowiedziany smutek, że łzy popłynęły jej z oczu, chociaż to było na ulicy. Szła do domu, a obok dreptało jej dziecko i ciągle oglądało się za siebie, jakby chciało zawrócić. Było zupełnie jak nie to samo, jak urzeczone.

W kamienicy zastały gwałt: komisja. Szczególniej izdebka blacharżów wzbudzała zainteresowanie. Naturalnie, ludzie czując, co się święci, wylegli na podwórze, szli trop w trop za wędrującym urzędem i nie spuszczaali oczu z ich warg, aby wyłowić każde słówko. Nie można powiedzieć, aby blacharzowa z powrotem Antosi wybrała się w porę, sprowadza dziecko, a tu im grozi wyrzucenie z mieszkania, z jedyne go kąta na świecie – dokąd? gdzieś na psie budy, w pole.

Podniosła ręce do twarzy i zapłakała. Za nią szewcowa. Ale mężczyźni, mniej skłonni do płaczu, wypowiedzieli swoje racje, dlaczego oficyna nie została wyremontowana wtedy, gdy się remontowało front? Czy gospodyni

czekała, aż ich tu wygniecie jak szczury, czy też żeby ich wyrzucono na ulicę w samą zimę? Inżynier-lokator, który najwięcej obstawał przy remoncie, zaczął się chwiać. Uszli na stronę z technikiem z komisji i coś tam szeptali, szli na plac za domem, do przyległego składu węgla, i obmacywali ścianę uważnymi oczyma, jakby jej dotykali dłońmi raz koło razu. W końcu kiwnęli głowami. Ścianę można zabezpieczyć, podstemplować.

Kwiryna pośpiesznie wycofała się z tłumu. Dziwna rzecz, że w tej chwili nie myślała o oficynie, a o tym, że inżynier nie dokończy fabryki, nie dokończy domu i niczego w życiu nie dokona.

XXV

Wiec. Nad estradą ostry snop światła sieje blask biały i olśniewający. Sala, oświetlona górą, ukazuje piękne i proste sztukaterie, łuki wzniosłe sklepionej wysokości, podczas gdy dół tonie w gęstym półmroku. Czarna, bezimienna masa zalega parter. Wielka twarz tłumu zwrócona w stronę prezydium, gdzie kilku mężczyzn spokojnych i jakby sennych odprawia nad białymi płachtami papieru tajemnicze misterium władztwa. Szelest kart, dyskretne wciągnięcie ręki w stronę karafki z wodą, nagły, samotny stuk ołówka, wszystko to było prawie nieruchomością wobec szybkiego, drżenia palców notującej protokolantki. Przemawiał znakomity pisarz i głos jego padał ciężko, wyraźnie i jasno w wielką przestrzeń sali. „Walcząc o prawa polityczne ludu wskazaliśmy drogę wyjścia z tego położenia politycznego, w jakim kraj się znajduje”. Ktoś dotknął z boku ramienia Bronki.

– Niech pani odpocznie, to nie improwizacja, dostaniemy odbitkę maszynową.

Bronka, która notowała raczej z chęci zaprzątnięcia uwagi niż z istotnej potrzeby, uśmiechnęła się niby dziękczynnie i posłusznie zamknęła pióro, aby za chwilę żałować tego gestu.

Siedziała na wzniesieniu, twarzą zwrócona w nabrzmiałą ciemność i ciszę sali, ale gdy nie pisała, a patrzyła, mogła już rozróżnić twarze ludzi, schwytać uchem utajone i ogromne westchnienie tłumu. Nawet przy zupełnym braku chęci do wspomnień nietrudno było dostrzec wiotki, przemykający cień matki, cień ojca. Mógłby to być o ten... siedzący z boku koło estrady, z wysuniętą brodą, z uważnym, nasepionym czołem, z spojrzeniem chciwym i pytającym. Krawat ma przekrzywiony, śpieszył się po fajerancie. Co, znów szuka, jeszcze szuka, wiecznie? Umarł i zmartwychpowstał, taki sam, poszukujący, ten sam! Co do matki, to czarny szal jedwabny spływa z jej głowy na wątle ramiona, nie osłaniając wzdętego brzucha, na którym spoczywały dłonie ciemne i spracowane. To był punkt centralny tej słabej i

drobnej postaci, ów brzuch wzdęty, ponieważ rodził i przez długi szereg dni, lat był wsparciem dla nieskończonej ilości wielkich garów dźwiganych z płyty kuchennej, gdy ramiona nie mogły podoląć ich ciężarowi, kręgosłup wysuwał się naprzód, a ciało szukało miejsca bezpiecznego w sobie, źródła siły. Czy dowiedziała się już ta, w kole oświeconych, że mogłaby nie rodzić, nie niańczyć, a tym samym nie dźwigać tylu garów, nie mieć tylu gąb do wyżywienia, nie mieć pierworodnego, ukochanego Mietka, najmłodszej Bronki, pięknej Marii i buntowniczej Janki, tego akordu składającego się na pełnię jej ubogiego życia?

Tu siedzi Mietek, wsłuchany w muzykę przyszłości, jaką dla niego jest niewątpliwie ta mowa znakomitego pisarza – a ten, z ustami w półotwartymi, z okiem przymrużonym łobuzersko, czyż to nie dziobaty Janek, terminator? Wygląda, jakby nie chciał dać się nabrać. Setki znajomych z tamtego brzegu, oddzielonych od niej rampą. Żalodne widma, te same, zawsze te same w nowym porządku rzeczy. Żalodne widma, dla których ciągle jeszcze trwa nieustanny kryzys, inaczej nie wyszliby z domów na wiec. Siedzą milcząc. Mowa jest o nich, ale milczą. Niepodobieństwem jest przypuścić nawet, aby ktokolwiek z nich otworzył usta i przemówił w tej sali. Zresztą, to było niepotrzebne, ci w górze wiedzieli lepiej, czego potrzeba ludziom pracy, światowi pracy.

Ktoś szepnął obok nagłaco.

– Rezolucje.

Bronka szybko sięgnęła do teczki i podała wąskie skrawki zadrukowanego papieru. Wszystko już było gotowe, ułożone, znane. Wypoczęty, świeży głos odczytał rezolucje. Milczenie. Oklaski. Milczenie.

– Jednogłośnie.

Na dolnym Mokotowie ciągle jeszcze nie było wody, a raczej było jej za dużo, tuż koło piwnic, koło fundamentów. Ludzie nocowali na polach, w jamach i dołach, pod gołymi krzaczkami. Ale ci na widowni wbrew swemu życiu nędzemu mieli na tyle przyzwoitości, iż nie wytaczali swych bied w obliczu „wielkich” zagadnień. Za to góra, intelektualiści, adwokaci, ekonomiści, pisarze, poeci, syci, obsiadli i światli, z całą swobodą i stanowczością popełniali tę nieprzyzwoitość, iż przemawiali w imieniu ludu.

Ten sam głos, głos niejako prywatny, szepnął z boku.

– Noo, doskonale, zbliżamy się do szczęśliwego końca. Można by teraz pomyśleć o jakimś godziwym zakończeniu wieczoru...?

Bronka uśmiechnęła się blado i nie podjęła propozycji. Miała rendez-vous z pewną malarką w kawiarni, gdzie kwestowano na więźniów politycznych. Zresztą ten bubek uważa, że to dla niej przyjemność wpaść z jednej gadaniny w drugą, jeszcze bardziej cyniczną niż ta na pokaz, z estrady. Zjeść kolację w gronie rozżartych polityką mężczyzn, zablagowanych na amen, to ci frajda.

Koło niej już tworzyły się grupy i dobierały pary. Stypa czy bankiet triumfalny? Za szeroko otwartymi drzwiami sali oczekiwali już ludzie, a długi ich szereg ciągnął się w dół, przez schody. Teraz dopiero zaczynała się rzecz istotna, ta sama, co na terenie Magdaleny. Prośby. Sekrety. Interesy. Z daleka czyni to wrażenie skomlenia, przeciągłego i błagalnego jęku. U szczytu schodów tkwił jeszcze otoczony asystą mówca, znakomity pilarz i poseł socjalistyczny. Mówiono. – Towarzyszu – i Bronka składając swe manatki myślała drwiąco i mściwie. „Jakiż on ci towarzysz, głupcze!...” Chodziło o jakąś eksmisję, o jakieś chore dzieci, których nie wysłano na kolonię, o jakieś rugi partyjne w fabryce – i o zgrozo! – o też samą, co na prawicy, ciepłą odzież na zimę, wpisy do szkoły, całe buty i... i... obiady. Ten sam tok współżycia, te same środki kaptowania, ta sama forma dawania i brania.

– Odwołajcie się do Sądu Pracy. – Zwróćcie się do sekretariatu.

– Pomówię z waszym delegatem fabrycznym.

Słowa padały tak stanowczo i ważne, że już same przez się dodawały otuchy i ludzie z lepszym sercem odstępowali na bok, wracali do domów. Bronka, zwarta w sobie, z oczyma niewidzącymi, przemknęła przez schody. Była już spóźniona. Dopadła tramwaju, który przeniósł ją i wyrzucił zadyszana na drugi brzeg, tak samo tonący w światłach.

– Halo, tu!

Malarka podniesioną ręką dawała jej znaki. Wokół zasyczano. Na niewielkim wzniesieniu młoda, smukła dziewczyna w aureoli rozsypanych blond włosów recytowała swój utwór. Kelnerzy uwijali się bezszelestnie, kobiety, objuczone, futrami i klejnotami, zalegały obficie małe powierzchnie stolików. Ich ogromne ramiona, potężne uda opięte krótkimi sukniami nie mieściły się w cieniu nie poddawały zręcznym manewrom. Litościwie pierzaste palmy, rozstawione w sali, kryły swym cieniem zwaliste ruiny.

Powstań, proletariuszu...

Bracie...

Bronka uczuła nagły skurcz gardła i, wściekła na siebie za to wzruszenie, przystanęła z boku. Ale malarka gestami przynaglała i torowała drogę.

– Siadaj, moja miła. Teraz nie możemy rozmawiać, za chwilę.

– Pół czarnej.

Bronka zamieniła ukłony. Poeta Zaniwski, jakaś młoda panna, pani Lisocka, żona dygnitarza z Zagłębia, tak zwana „czerwona dama”, niestrudzona pracownica „na niwie”, i tak dalej, pan w binoklach... Zaniwski, w nieposzlakowanym stroju, szepnął z aprobatą w stronę podium, tak głośno, aby go słyszano.

– Świetne, świetne!

Wśród oklasków recytatorka zesła z estrady, na której zjawiła się teraz głośna autorka z rękopisem w dłoni, wydekoltowana, obciśnięta wspaniałą suknią z *velours-chiffonu*. Jej uklon, uśmiech, sposób, w jaki obrzuciła wzrokiem publiczność, mówił o dużej znajomości rzeczy. Za nią chyłkiem i pośpiesznie wniesiono krzeselko.

– Dlaczego nie dwa? – rzekł ktoś złośliwie. Ona lubi siadywać na dwóch stołkach.

– Jezu! A po cóż ten strój?

Grzmiące oklaski powitalne pokryły te słowa. Złośliwiec powstał i, pochylony w ukłonie, oklaskiwał najzawzięciej. Słuchano pierwszych słów niczym pierwszych taktów muzyki, z uwagą, zanim spostrzeżono melodię znaną i ograną. Zresztą każdy chciał mówić o sobie, a przynajmniej o rzeczach i sprawach w pewien okrężny sposób osobistych.

Malarka szepnęła.

– Teraz można – i przysunęła swe krzeselko ku Bronce.

Wędrując tego lata po kraju, powzięła zamiar stworzenia małej placówki, w stolicy, gdzie artystyczne rzemiosło wsi znalazłoby punkt zbytu.

– Pani wie, że ja jako rzecz zarobkową uprawiam dekorację i urządzenie wnętrz, w poszukiwaniu materiału natrafiłam na nie wyzyskane i nie skażone jeszcze piękności. Żadne tam paski łowickie i krakowskie!... Zwiewne cuda na tiulu, ceramika, lichtarze kute z żelaza, tkaniny tak subtelne w barwie, jakby poddane patynie czasu. Można to utrzymać i można to zepsuć, to są cechy i wartości wrodzone, Kurpie i Polesie.

Pragnęła tę imprezę oprzeć o jakąś organizację społeczną, o nazwiska, o ludzi. Mówiła cicho i Lisocka biedziła się, co za sprawę obgaduje ten żywy i awanturniczy talent ze znanym jej skądinąd tym „odpryskiem zgniłego drobnomieszczaństwa”, jak ochrzciła Mossakowską.

– Co pani myśli? Pani zna ten gatunek ludzi, czy może mi pani wskazać kobiety z sensem, wie pani, z którymi można od razu dojść do ładu? Dla mnie wszelka gadanina to śmierć.

– Zaraz, zaraz. Zastanowię się.

Lisocka, zwrócona w stronę panów, już szkicowała projekt zespołu artystów, przeciągający na dalszą metę „ten dzisiejszy tak pięknie zapowiadający się wieczór”. Chodzi o utworzenie zwartego frontu wspólnie z światem pracy, aby nie byli osamotnieni w swej walce.

– Zorganizowanie ludzi poczuwających się psychicznie do czynnego zaangażowania po stronie proletariatu. Tylko to uczuciowe, psychiczne nastawienie da nam gwarancję.

– A talent? – rzucił Zaniwski.

Jednak panu w binoklach, który okazał się znakomitym krytykiem, podobał się ten projekt.

– Najwyższy czas – rzekł – aby talent zaczął służyć istotnym wartościom społecznym. Aby nasza literatura odeszła od biurka, od fikcji, bladeści i bezpłciowości artystycznej i stała się warsztatem badań społecznych. Należy wejść w życie, w lud miejski i wiejski, w społeczność, dotąd prawie przez literata dzisiejszego nie tknięty. Należy stanąć po stronie wszelkiej nędzy społecznej, wszelkiego masowego cierpienia za nie popełnione winy.

Naciśnięto jego guzik i zapalił się. Od dawna już powieść, która nie mówiła a społeczności, nie mogła liczyć na jego pochlebną ocenę. Ten rybak czuł się doskonale na mętnych wodach opowieści, gdzie brak talentu pokrywano głęboką troską o społeczność. Czuł się w społeczności niczym złodziejasek w gęstym tłumie, gdzie łatwiej o łup. Chwalił społeczność.

Bronkę rozboleła głowa. I pomyśleć, że ta Lisocka, ta wspaniała rewolucjonistka, rzucała kiedyś bomby!...

– Co pani chce, teraz rzuca głupstwa! – szepnęła malarka. – Ona już przy wielkich męzowskich dochodach, aucie i sobolach nawet nie odczuwa zakłamania.

– Co do mnie – rzekła głośno – to mam podwójne kwalifikacje, aby wejść do tego rodzaju zespołu. Kwalifikacje, że tak powiem, wyjątkowe, ponieważ wszelkie usługi domowe koło sutej osoby spełniam sama, a jeśli chodzi o stronę techniczną mego zawodu, to często staję do warsztatu z współpracownikami, rzemieślnikami, o czym mogą zaświadczyć moje ręce. Nikt nie może posądzić mnie o gadanie frazesów. Położyła ręce na stole brutalnie. – Oto moja legitymacja. – Zaniwski z komicznym nabożeństwem pochylił się i ucałował je.

– Coś o tym wierzy – rzekł.

Lisocka z dziwnym uśmiechem potwierdziła.

– Pani nie trzeba agitować. – Malarka leciała na tęgie bary i prostotę, tak mówiono. Jakiś przystojny młodzieniec przechodząc uklonił się czołobitnie i młoda panna, dotychczas milcząca, zainteresowała się nim.

– Czy jest z kobietą?

– Ależ to pederasta.

– Cóż więc robić? – rzekła z roztargnieniem malarka. Nastąpił dyskretny wybuch śmiechu. Głośna autorka już dawno zesza z estrady. W sali zapanował gwar. Puszczono w ruch wentylatory, ale natarczywy terkot maszynarii nie zagłuszał terkotu rozmów.

– Przeżyłam niesamowity dzień – rzekła Lisocka – wczoraj, od rana.

I opowiedziała, że spędziła niezliczoną ilość godzin w pościgu autem za swymi dziećmi bawiącymi na wycieczce w górach, ponieważ stara niania miała w nocy zły sen, przyszła i powiedziała pani, że dzieciom coś się musiało stać, że „otrzymała znak”.

– Wsiadłam w auto i po prostu szalałam z przerażenia, zanim nie

odnalazłam dzieci, całych i zdrowych.

Bronka roześmiała się i postawiła „czerwoną damę” koło starej pani Mossakowskiej. Tylko że tamta nie miała tak różnych wartości „na wynos” i do domowego użytku. Młoda panna zakasowała jednak Lisocką, ponieważ poprzednią noc spędziła w areszcie. Zabrano ją wprost z wiecu komunizującej młodzieży.

– Pan powinien o tym napisać! – rzekła do Zaniwskiego. – Spędziłam noc w areszcie razem z prostytutkami i różnymi mętami. – Powtórzyła z oburzeniem. – Z prostytutkami i złodziejami! Cóż to jest?

– Czy wszystkich zwolniono?

– Nie, zatrzymano ludzi, którzy rozwinęli transparent i wzniesli okrzyk. Komitet organizacyjny wyszedł cało, byliśmy dobrze urządzeni i nie mieli dowodów w ręku.

Bronka wstała.

– No i co? – spytała malarka nawiązując do swego projektu. Bronka obiecała zadzwonić do niej, pożegnała się i wyszła wśród buczących dźwięków orkiestry, przygotowującej się do zwykłego, wieczornego dansingu. Zapadła już gęsta ciemność i z dołu od Mokotowa, Czerniakowa, Siekierek szedł zimy, porywisty wiatr. Bezgwiezdne niebo zawisło nad samą ziemią.

– W prawo czy w lewo? – dobiegło zza węgła żartobliwe pytanie.

To Tiess.

Odrzekła bez zapału.

– Przed siebie – i wyciągnęła na powitanie rękę.

XXVI

Pozostawała ulica i chęć wałęsania się, to się stało nałogiem Bronki. Ulicami, miastem, gdzie stare tropy krzyżują się z nowymi. Można było zgubić swą samotność w wielkim morzu, gdzie wszystkie fale są jednakie, giną, zacierają się w jedno. Niesie się swoje wnętrze okaleczając, nikt o tym nie wie. Gdy się nie ma już nic do dania, gdy się już nie chce brać, nawiązuje się związki iście mistyczne. Życie samo podsuwa litościwy lek. Nie można istnieć w ciągłym przeczeniu.

Związek z latarnią drżącą w cichym zaułku, z lśniącem kręgiem światła na bruku. Związek z księżycem miejskim, bladym i omglonym. Z kamienicami o przesmutnych obliczach, z żalonymi drzewami o zwarzonych liściach, z dymnym wnętrzem kawiarni. Z człowiekiem, o którym nic nie było wiadomo, tylko, że szedł i dźwigał ciężar. Że szedł głęboko smutny, o czymś zamyślony. Że szedł i uśmiechał się zyczliwie. Że powłóczył ciężko nogami.

Ale biegł też prędko, jak na skrzydłach, na spotkanie. Był samotny, szedł i jego wargi poruszały się, mówił do siebie i gestykułował. Stał przed witryną sklepu i patrzył łapczywie, Kroczył z książką przygarbiętą szczególnym ruchem do piersi. Wiódł swe dzieci przez ruchliwą ulicę i wskazywał im drogę, i ostrzegał wesoło.

– Uwaga, uwaga!

Odzykiwał swą wielkość – człowiek niewiadomy. Rósł w oczach. Oddawała jemu i sobie z powrotem wartość utraconą. Jest na pewno kimś przechodzień. Ma jakąś wiarę, zмага się z swym losem, dąży swoimi drogami ku swojej doskonałości. Cierpi po drodze, wybiera i odrzuca. O, nosi w sobie zarodki wielkości, zostawcie go tylko w spokoju!...

Rodziły się znaki porozumiewawcze niczym świetne sygnały, błysk rozpoznania przy spotkaniu. Potem przyszły słowa najzwyczajniejsze. Papierosiarz w budce, gazeciarz, sklepikarka, panna ze składu aptecznego, czarno ubrana, o pięknych, widzących oczach dziennikarka, pies Dżek, który punktualnie o jednej godzinie naszczekiwał pod oknem na przywitanie. Dozorca, który wciąż coś czynił, malował, przybijał, uprzętał lub tkwił nad kwiatami dziedzińca. I jabłoń w pośrodku trawnika, ogromna jabłoń, ostatek dawnego sadu, jabłoń niesamowita w rodzeniu, źródło najdłuższych kontemplacji, dawczyni równowagi, namiętne i ciemne słowo rozkoszy, ofiarowane ziemi.

Ta droga, przez ukwiecony i cichy dziedziniec na szeroką ulicę pełną odprysków ścieżek, splątanych śladów w górę do miasta. Miasto otwierało się szeroko, ofiarowywało się w swym gwałcie i ciszy, w swej nędzy i wspaniałym wyrazie miłości. Ciągłe spotkania, omijania się, kontakt niezliczonych ramion, zbliżenia i ustępstwa. Ale gdy tak kluczyła ulicami, wędrowała codziennymi drogami, nogi niosły się same w jedną stronę, w jedno miejsce. Przemykając oczyma po domach, ludziach i sklepach, Bronka dumiała. „Jak tam teraz jest na Nowolipkach? Czy pozna? Czy pamięta na tyle, aby trafić nieomylnie?” Opierała się tej głuchej chęci, uchylała się, omijała. Głosy miasta, sygnały aut, dzwonki tramwajów i krzyk gazeciarzy stawały się jednym głosem nawołującym i nieprzewyciężonym. A więc, powrót...

Na Lesznie fabryki powozów, szyldy te same co dawnej. W kawiarni z tamtych czasów – pan z brodą, rozłożoną na piersi jak ogromny wachlarz, wychodzi zza lady i obdarza gościa głębokim i godnym ukłonem.

Czerwone, aksamitne meble, lustra za bufetem, wypchany ptak nad drzwiami do garderoby i zegar w szafce. Wszystko tak samo. Czas jakby stanął w oparach kawy, wśród makartowskich zakurzonych bukietów. Tylko ciastka utraciły swój dawny, upragniony smak. Bronka myślała sennie. „Po co ja tu przyszłam?...” Potem zapłaciła, przyjęła z zażenowaniem jeszcze jeden

wersalski ukłon i wyszła.

Stamtąd był tylko krok i, drżąc wewnątrznie, uczyniła ten krok.

Czy to ten dom, czy tamten, dalej? Z którego to balkonu wołała Regina? Bronka weszła do bramy i ogarnęła ją rozpacz. Nic nie pamięta, nic nie wie! Nagle podmurówka w bramie, występ muru szeroki na tyle, że dzieci tam siadywały, na co znów tak gniewała się stróżka, Prymasiakowa... To tu! Podąża w głąb podwórza, serce już nie tętni, ale wali – nie ma drewniaka w głębi, z kasztanami przy sionce, kasztany wycięto! Stoi tu murowana oficynka, niby taka sama, a inna. Po tej stronie, gdzie mieścił się warsztat, jest teraz jakaś fabryczka, ponure, okopcone ściany, bez śladu życia. Taka sama przejrzysta ze starości i kurzu firaneczka w oknie, nad płytą kuchenną na murku ćmi się mała lampka ze zbitym szkiełkiem, kopci. Dwa dalsze okna są ciemne, ale drugi i ostatni pokój jest oświetlony także małą lampką, podczas gdy ogromna świąteczna lampa wisi w pośrodku sufitu, widać tylko dla ozdoby, osłonięta kawałkiem muślinu od much i kurzu. Hm... dawniej co wieczór zapalano duże lampy w pokojach nad rodzinnymi stołami, choć dużo wychodziło nafty. A także nie ma tych premii Sztuk Pięknych na ścianach, a jakieś parszywe oleodruki. Czyżby się cofnięto?...

W głębi zapewne stoi łóżko, nie widać go. Ale widać szafę tak samo ustawioną, pełną figlasów ozdobnych, „triumo” i słupek z kwiatem nazwanym „szerokie liście”. Ten kwiat nie kwitnie.

Ściany przeważnie koloru zielonego w esy-floresy, palmy, ptaki, kwiaty. To ulubiony kolor tu, zielony czy żeby wydało się weselej? Ponure nieporozumienie, te ściany są złe, gryzą. A zapchany po wręby pokój jest tak samo norą, gdzie się usycha z tęsknoty „za światem”. Jak się to ma do propagandy „celowo urządzonego wnętrza”, przeprowadzanej przez organizacje pod batutą pań Piędzickich? Bronka zachichotała. Ta propaganda została przeprowadzona z pomocą najdroższego pisma stolicy, a co się tu teraz czyta, na Nowolipkach?

Podejrzewam, że nic się nie czyta lub bezpłatną bibułę komunistyczną.

Ludzie powymierali, ci dawni. Schli z tęsknoty w dalekiej Rosji za tymi tu kątami. Janina pisała ogromnymi, niewprawnymi literami, naiwnymi słowy. „Ja mieszkam teraz na wsi, mam swój dom, mam młodego, przystojnego męża, nie znam żadnych niedostatków. Mamy konia wyjezdny, jesienią daliśmy 800 rub., od rodu jemu tylko trzy lata... No, czuję się bardzo nieszczęśliwa, zdrowie mam popsute z tej tęsknoty, tak daleko od swego rodzinnego kraju. O Boże mój, jak ja strasznie tęsknię, o święta moja Polsko”. Jak się mają te sprawy, mistyczne mimo młodego konia i młodego męża, do prelekcji utalentowanych poetów w kawiarni?

Z bramy wyszedł dozorca i spytał.

– Czego pani tu uważa?

Bronka mruknęła coś, wyciągniętą ręką dotknęła ściany domu i odeszła z tego miejsca. Żelazny wodociąg ciurkał głośno.

Sąsiedzi drewniak na drugiej stronie, tu mieszkał chyba, Fiszel? Oklejona czerwonym papierem klitka, z rozbebeszonym łóżem, gdzie mężczyzna i kobieta w milczeniu oddają się przedwstępnym zabiegom miłości. Wyglądają jak zanurzeni w krwi i ogniu. A mieszkanie od frontu, parter, dawne mieszkanie Raczyńskich wygląda jak nawiedzone przez gości całego świata. Nad rozłożonymi na stołach szmatami, formami z papieru, szkieletami z trzciny i drzewa gromada ludzka z pochylonymi grzbietami pracuje w złowróżbnym milczeniu. Nie ma mowy o paradnym pokoju z miękkimi meblami, wszystko zapełnione po wręby. Tu się już nie tęskni, nie wdycha i nie walczy, i nie uprawia dewocji w tym „domu”, bezkształtnym jarmarku cuchnącej szmatami, pracy, tu się nie ma swoich kątów i swego posłania. Tu się zdycha beznadziejnie. Jak się to ma do deklamacji o nowym człowieku?...

Ulice wciągają w głąb. Nagle kończy się jaki taki chodnik, nogi potykają się, grzęzną, ślizgają. To Smocza. Ogromne, cztero, pięciopiętrowe domy, zapełnione ponad, zdawałoby się, swą możność. Zapada głęboki wieczór, oświetlane wnętrza mieszkań wydają się oczom jak na dłoni, tu, z ulicy. Strzępy firanek, żalobne łąchy w oknach, nie przeszkadzają widzieć. Nagie żarówki u sufitu sączą światło mętne i żółte na straszliwe wnętrza, spiętrzone, poupychane sprzęty, bogactwo, legitymację pracy, na gołe pręty żelaznych łóżek, świadectwo bezrobocia, które wynosi ostatnią poduszkę na Kercelak. Sufity nie są wolne, sufity poobwieszane gęsto i dziwacznie – czym?

Na rogu Pawiej, w drewniaku, za czerwoną satynową kotarą, w małej, ohydnej budzie coś się dzieje. Seans śmiechu – głoszą afisze – duet tancerzy wejście dla młodzieży 10 groszy, dla starszych 15. Jak to się ma do propagandowych przedstawień w śródmieściu, świecących pustkami na widowni? Tłumy na ulicy, nikt nie siedzi w domu, domy nie mieszczą ludzi, tam się tylko śpi i pracuje, przykuty do stołka do warsztatu. Tłum tych, co nie posiadają forsy na seans śmiechu, zalega ulicę. Niemowlęta pełzają po trotuarach, matki stoją u bram. Dzieciaczyska wiszą u okien sklepów z owocami, nędznych klitek z wodą sodową, sokiem malinowym. Wre jeszcze robota u szewców, w sklepikach z przepierzeniem tekturowym. Tu stołek, warsztat, o krok łóżko i żelazny piecyk, i deski miast stołu. Mieszkanie.

I nie podobna stąd odejść! I nie podobna oderwać nóg od tego straszliwego bruku, oczu od okien! Bronka błądzi i kołuje, idzie w głąb i zawraca, aby nagle utknąć na rogu Karmelickiej, pod cukiernią Kaca, pod latarnią. Na tym miejscu ongiś rozstawiała się, kogoś zęgnęła, a potem, kroczyła, szczęśliwa, ku domowi...

Spostrzegła się w tej chwili. Umówiła się z Ignasem i zapomniała. Miała

na niego oczekiwać w domu, u siebie, i wyszła. Leniwie dźwignęła rękę i potarła twarz. Miała uczucie, jakby zgubiła Ignacego w tym tłumie. Rozwlokła pamięć o nim na ulicach, między ludźmi, po bruku. Może to i lepiej...

XXVII

Energia i nowy fason Piędzickiego wydały wreszcie owoce, władza zdecydowała się wreszcie siupnąć go z centrali, niech się tu nie pęta. Postanowiono go jednak oszczędzić ze względu na małżonkę, panią Magdaleny, i jej to zawdzięczać należy, że nie siupnięto go całkowicie. Dostał pomniejszą rangę inspektora pracy na prowincji, z nadzieją, że fabrykanci go i tak wykończą.

Układy o zmianę gabinetu toczyły się w atmosferze niesłychanego bałaganu i cynizmu, łączono najnieprawdopodobniejsze nazwiska polityczne i klecono sojusze. Mimo jednak tego bałaganu i chwiejnego gruntu pod nogami nie omieszkano przenieść kilku szarż wyższych a niewygodnych do prowincjonalnych garnizonów i wydać zarządzenia o odebraniu broni wszystkim organizacjom przysposobienia wojskowego. Aczkolwiek Magdalena postarała się pewnymi posunięciami towarzyskimi uczynić sympatie Ignacego bezbarwnymi na zewnątrz, jednak w tej chwili okazało się, że on ani myśli korzystać z takiego parawanu i bez ogródek wypowiada wszędzie swoje zdanie. Nie znalazł oddźwięku. Wszystko wokół było dokładnie zastraszone, zaszczipowane i tajemnicze. W tym nastroju jechał do Bronki jak do oazy spokoju i prawdy. Tu nie było żadnych rachub i niewyraźnych kombinacji. Taksówka przemknęła przed Aleje i ostrym pędem skoczyła w dół, skręciła na łagodnym wirażu, aby zastygnąć przed domem.

Koty pochowały się przed zinnem i brak mu było zwykłej eskorty, miauczącego pochodu, aksamitnie ciągnącego się za nim aż do drzwi. Rozpięte wino umierało na białej ścianie. Jabłoń spała. W sąsiedniej willi ktoś grał na fortepianie, ale to tylko akcentowało ciszę drogocennymi krolami tonów.

Wszedł na schody i natknął się na mężczyznę schodzącego z góry. W tej chwili trzasnęły na piętrze drzwi. Panowie ustąpili sobie z drogi. Ignacy pomyślał. „Skąd ja znam tego gościa?”. Nagle owładnęło nim jakieś nieodparte podejrzenie, ogromnymi susami pomknął w górę i gwałtownie zadzwonił. Otworzono mu natychmiast. Bronka stała w przedpokoju, mocując się z na wpół ściągniętą suknią. Ignacy uspokoił się raczej na sam jej widok, z powodu jej obecności w domu. Z głową uwięzioną w suknu szamotała się rozpaczliwie, palce jej drżały z niecierpliwości.

– Przepraszam...

Rzucił palto gdzie bądź i przeszedł za nią do pokoju. Ujrzał ją w błękitnawym blasku ostro szeleszczącego dessous, z włosami rozburzonymi. Po raz pierwszy widział jej obnażone ramiona, ciemne i drobne. Dawała mu swą miłość zawsze ubrana i zapięta pod szyję, w odurzającym milczeniu, a jej skąpe słowa nie były bynajmniej słowami pieszczot. Wodził za nią oczyma, zaskoczony tą nagłą swobodą, z jaką mu się ukazywała obnażona. Znów powróciło podejrzenie, usiłował zapanować nad sobą, był zbyt wzburzony, aby zdać sobie sprawę, czy chce całej prawdy. Mówił sobie. „To niemożliwe! niemożliwe!...” Śledził ją w milczeniu, jak błądziła po mieszkaniu, szukając czegoś we wnętrzu szafy, w przedpokoju, w łazience. To go nawet rozbawiło, szuka szlafroka, ale oczywiście i ta prosta sprawa jest dla niej trudna.

– Czemu to wczoraj nie zastałem cię w domu?

– Zapomniałam, naprawdę!

– Gdzie byłaś?

– Na Nowolipkach.

– Odwiedzałaś tam kogo?

– Nie, nie! Kogoż by? Tak sobie, łąziłam.

Zaniechała poszukiwań, zrezygnowana przysiadła na brzegu tapczanu i poprosiła o papierosa. Projekty Ignacego o przeniesieniu, wyjeździe jakimś z nią układzie – nagle odsunęły się na dalszy plan rozmowy, a tuż zaraz i przede wszystkim tkwiła sprawa mężczyzny schodzącego z piętra. I pomyśleć, że jej zaufa! Że zawierzył swemu „instyktowi męskiemu!” Przypomniał sobie z ironią, jak kruszył o nią kapie z Magdaleną. Zgniótł stanowczym gestem papierosa, nakazał sobie cierpliwość i spokój i zapytał.

– Spotkałem na schodach kogoś znajomego?...

Oczekiwał po prostu zaprzeczenia, najwygodniejszego, ale odpowiedziała zaraz.

– To Tiess. – I, jak gdyby nie chcąc mu pozostawić i żadnej wątpliwości, dodała. – Tak, widziałeś go ze mną w teatrze.

– Był tu, u ciebie?

– Odprowadził mnie.

Ta jej straszliwa i, pozorna szczerłość!... Cierpliwości, cierpliwości, nie znał jej przecież wcale. Znał niewinną dziewczynę, która poszła za nim bez wahania, znał milczącą kochankę, którą zdobył sobie z powrotem tak, łatwo. Może zechce mówić, może wreszcie powie coś o sobie?

– Słuchaj – rzekł – jak z nami właściwie, jest, co ty myślisz?

Spojrzała na niego z niechęcią, w oczach jej błysnęło wyraźnie. „Mój Boże... znów?” Nie znosiła wyjaśnień i czuła nieprzewyciężony wstręt do układania spraw wewnątrz i zewnątrz. Mogła mu powiedzieć o sobie wszystko i właściwie nic, jak tu ubrać w słowa taką prawdę o sobie?...

Zapytała jeszcze:

– A ty, Ignasiu, chciałbyś, aby jak między nami było?...

Przypomniał sobie nastrój, z jakim tu jechał, ów nieodparty związek Bronki z najpiękniejszym okresem jego młodości, i on właśnie znalazł potrzebne słowa. Chciał, aby żyli, z sobą w miłości, aby się nie pętał między nimi jakiś pan Tiess, aby stworzyli swoje osobne życie.

Stworzyć życie... Wargi jej skrzywiły się szczególnie.

– Jak myślisz, skąd ma to się we mnie brać? Skąd się bierze, że człowiek jest taki lub inny?

Teraz nie pragnął już, aby mówiła – niech lepiej milczy! Tak dziwnie wyglądała ta twarz widziana z boku, zdawało mu się, że patrzy na kogoś obcego, że przyszedł tu z ulicy za jakąś kobietą zupełnie nieznaną. Wyglądała staro i znużenie, z twarzą pochyloną nisko, z bruzdą koło ust, na czole, koło oczu. Stworzyć życie... Myślała z zazdrością i ironią, że on może jeszcze w ten sposób czuć, tak mówić. Zniecierpliwiona, z swą, wiedzą o życiu, dojrzała, z swą świadomością o rozkładzie i nieuchronnym końcu – śmierci. O największym strachu ludzkim, strachu przed samotnością. O związkach zrodzonych z pożądań i obaw. To było prawdą, którą usilnie starano się zaklepać wszelkimi akcesoriami, szło za człowiekiem trop w trop od kolebki do dnia ostatniego. Lepiej nie dochodzić takiej prawdy w związkach ludzkich. Myślała. „Jestem mu w pewien sposób potrzebna”. I walczyła z sobą przez chwilę, przez krótką chwilę, w której żarliwa miłość spłotła się z chęcią niszczenia.

– Moje noce – rzekła – nie były samotne, ale dni, tak. A to coś znaczy, o, to znaczy dużo...

Zaciągnęła się głęboko i chciwie, wzniosła oczy i spojrzała spoza zwiewnej zasłony dymu. Ignacy przeraził się. Twarz jego tężała pod tym spojrzeniem, oczy nieruchomiały tak samo jak jej oczy. Bronił się, nie chciał, ulec, teraz nie może ulec, nie, nie! Teraz, gdy już wiedział... Ale szybko zsuwali się w ciemność, pełną głuchych westchnień, twardych, kamiennych objęć. Jeśli istniało zapomnienie, to tu. Drobne usta zadrzały pod jego wargami, gołe ramiona palącym węzłem objęły barki. Jakieś jej poruszenie, chytre i świadome, zdjęło go dreszczem. Przemknęła obrzydła myśl o doświadczeniu, jakie stało się jej udziałem. Odpędził to. Miał wrażenie, że w tej chwili może ją odnaleźć lub zgubić, szukał w tym ciele, którym zawładnął, upragnionego wyrazu, czuł, że to w niej istnieje. Tracił ją i odnajdywał w tych ciemnościach czułości i wstępu, usta wymykały mu się spod ust, rozwarte oczy gasły, nieruchomiała, aby nagle wypełnić sobą jego ramiona. Z ciałem stężałym z bólu, warczał:

– Bronka... Bronka... Bronka...

W jakiej głębi, na jakim szczycie mieli osiągnąć swe porozumienie?...

Ocknął się z głową u jej stóp, w śmiertelnym zimnie i niedosycie. Nieład pokoju, porozwłócone suknie, festony pajęczyny i przejmujący chłód nagich ścian ujawniły mu się nagle w innym świetle, w świetle jego zawodu i gniewu. To była kobieta z duszą dziewczki!... Wszystko rwało się w tych bezwstydnym dłoniach, wszystko się psuło, wszystko wędło... Nie patrząc na nią ruszył do przedpokoju i wyszedł nie mogąc się opanować na tyle, aby nie huknąć drzwiami. Skończone.

Teraz – odbywał się pewnego rodzaju powrót, powrót do domu, powrót do uregulowanego, uporządkowanego życia. Magdalena stanęła na wysokości zadania. Przeszła zbyt dobrą szkołę życia, zbyt surową stosowano do niej regułę wychowawczą, aby nie potrafiła opanować sytuacji. Jej dłonie zostały ukształtowane nie do niszczenia, a do odbudowy, a tak zwane dobre ułożenie czymże było, jak nie doskonałym opanowaniem uczuć? Ignacy bywał teraz rzadkim gościem w domu i niespodziewany odgłos jego kroków wywołał całe zamieszanie. Zamknął się w swym gabinecie, to coś znaczyło? Magdalena zostawiła mu godzinę czasu, zadając sobie pytania, czy chce rozmowy? Czula, że nie, ale nie mogła sobie zdać sprawy, czy na rozmowę za późno, czy za wcześnie. Poślubiając Ignacego, poślubiła nie tylko ukochanego mężczyznę, ale jakby i pewną swoją ideę. Czyżby miała ponieść porażkę zupełną, klęskę na całej linii? Tu już nie chodziło o jakiś nic nie znaczący epizod miłosny, to trzeba by rozważyć gruntownie. I Magdalena, która nigdy nic nie odkładała na później, odłożyła na później tę „zasadniczą” rozmowę. I weszła do pokoju męża, aby zapytać po prostu, co zjadłby na kolację?

W następstwie tego zbawienego systemu wychowawczego, jakiemu poddano jego żonę w latach dzieciństwa, Ignacy przeżył godziny niesamowitego fałszu. Stała obok, wsparta o biurko, wonna, strojna w jakąś suknię, której nie znał, z włosami odgarniętymi z czoła. Ignacy przechylił się swoim dawnym niedbałym gestem i ucałował dłoń żony. To wypadło dość blado, lekko i powierzchownie, ale Magdalena nadała akcent temu gestowi. Położyła drugą dłoń na głowie siedzącego w fotelu męża. Ignacy zmarszczył się, uczył przejmujący ból i, nie wiadomo kiedy, czoło jego przyłgnęło do ciepłych ud stojącej przed nim kobiety. Magdalena, biorąc to za skruchę, za opamiętanie, za powrót i prośbę o przebaczenie, przygarnęła go do siebie. Był jeszcze pełen tamtej, Bronki, lżył ją i nienawidził, i pragnął, a oto pozwalał, aby druga koila rany zadane jego miłości. Przyjął to z zaciśniętymi zębami, zmógł się, szukał jakichś słów i rzekł niespodziewanie.

– Miałem zatarg w ministerstwie i otrzymałem przeniesienie...

Magdalena szepnęła:

– A widzisz! – tonem jasno mówiącym, że stało się to dlatego, ponieważ ona nie czuwała nad jego postępowaniem i sprawami. Westchnął ze zniecierpliwieniem i rzekł jeszcze.

– Będę musiał często wyjeżdżać.

Ale oczy Magdaleny błysnęły i odpowiedziała niedbale.

– Nie martw się, ja to załatwię... Teraz nie pora na wyjazdy!...

Bo Magdalena nic sobie nie robiła z niepewnej sytuacji politycznej, a robota społeczna, którą rozsunęła poprzez wszystkie partie i obozy, jej związki rodzinne i towarzyskie uczyniły ją tak pewną w tym chaosie jak nigdy.

XXVIII

Fotel stał przy oknie w wykuszu i Amelka spoczywała tam całymi godzinami. Otaczały ją sztywne rododendrony i fikusy odsunięte trochę na bok, a biel koronkowej firanki stanowiło tło dla jej bledziutkiej twarzy. Pani Raczyńska weszła i spojrzała, wyglądała jak śmierć na katafalku.

– Jak się czujesz?

– Mnie nic nie boli, tylko mi się w głowie kręci – jęknęła Amelka.

Pani Raczyńska uspokoiła ją:

– To osłabienie, nic więcej. Pamiętaj, Amelciu, już raz tak chorowałaś, wtedy, co to przychodził poczciwy pan Michałowski i tak się troszczył o ciebie...

Amelka spojrzała na matkę z uwagą i rzekła ironicznie.

– Niech mama będzie spokojna, to nie to samo.

– Co mówisz?

– Nic.

Wobec tego pani Raczyńska przystąpiła do rzeczy.

– Myślałam, że mi pomożesz w gospodarstwie, bo to i święta, i lada chwila Cechna przyjedzie. Ja nie mówię już o grubej robocie, ale żebyś rzuciła okiem, jak to wszystko wygląda. Zawsze taki starosta – to musi być figura. Cechny można się nie krępować, ale starosta!

– Wstanę, mamó. Tylko czekam na zastrzyk.

Pani Raczyńska ucieszyła się i zeszła do apteki, aby przynaglić Filipa. Co ten Filip tak się guzdrze? Okazało się, że Filip dyskutuje w najlepsze z nowoprzyjętym prowizorem, naturalnie o sprawach publicznych. Ledwie przebolewał sprawę spadku złotego, jeszcze nie bardzo zdawał sobie sprawę, że od lipca złoty leci w dół, a tu prowizor mówi mu o jakimś sojuszu narodowców z socjalistami!

– Nie, panie! tu mi włosy wyrosną! – krzyczał aptekarz i wysuwał odwróconą rękę. – Nigdy, panie! nigdy! To niegodne kłamstwa, zmierzające do skompromitowania naszego obozu.

Prowizor na to spokojnie.

– Zobacz pan.

Pani Raczyńska wsunęła swoje.

– Filipie, jak tam z tym zastrzykiem?

Ale okazało się, że Filip po prostu zwleka z pójściem na górę, bo nie ma odwagi dokonać zastrzyku.

– Mamo, nie mogę, nie mogę, Amelka tak się denerwuje przy zabiegu, że mi się ręce trzęsą. Wczoraj omal nie złamałem igły. Trzeba poszukać felcerki. Amelcia będzie się więcej krępować.

Pani Raczyńska tak była podminowana przyjazdem Cechny, że rzekła z wyrzutem.

– Ja nie wiem, czy Filip jest mężczyzną, czy nie? Powinien Filip być bardziej stanowczy...

Prowizor uśmiechnął się i zaofiarował swe usługi. Aptekarz dziękował mu z wylaniem.

– Jeśli koledze to nie zrobi różnicy.

Prowizor wzruszył ramionami i rzekł.

– Żadnej.

Zmienił kitel i poprosił panią Raczyńską o przygotowanie wody. Aptekarz wyjął pudełeczko ze szprycą, spirytus i zastrzyki.

– Niech jej tam kolega przemówi do rozumu, temu smarkaczowi!

Ale prowizor po prostu nie wdał się w żadne gawędy. Wszedł do pokoju, przedstawił się Amelce i przystąpił do dzieła. Jego obejście, ruchy i milczenie zaraz natchnęły panią Raczyńską dziwną ufnością. Prawdziwy mężczyzna, poważny, młody i elegancki człowiek.

– Pani pozwoli ramię.

Amelka, wściekła na matkę, na Filipa, na tego obcego i nieprzyjemnego człowieka, wyciągnęła rękę i drżącymi palcami odsunęła wysoko koronkowy rękaw szlafroka. Rozeszła się woń spirytusu. Prowizor już miał zagłębić igłę, gdy Amelia, drżąc, krzyknęła.

– Nie, nie, zaraz!

Mruknął.

– No, no! spokojnie! – przytrzymał mocną ręką jej ramię i nacisnął szprycę. Amelka uczuła nieznaczne uklucie, przymknęła oczy, chciała krzyknąć, gdy w tejże samej chwili uścisk zelżał.

– To już?!

– Wstydz się, Amelciu! – rzekła pani Raczyńska – o, tyle głupstwo tyle hałasu.

Prowizor, składając manatki, obrzucił spojrzeniem aptekarzową.

– Cóż pani tak się poobstawiała tymi fikusami? – rzekł swoim nieprzyjemnym głosem. – Trzeba się ruszać, chodzić, zająć czymś i mniej myśleć o sobie.

Krew uderzyła do twarzy Amelki.

– Jestem osłabiona – rzekła sucho.

Pani Raczyńska pomyślała sobie, że chyba ozłoci tego człowieka. Cechna przyjeżdża, a tu choroba w domu. Prowizor, zbierając się do wyjścia, rzekł jeszcze.

– Zbliża się pani do okresu, kiedy kobieta musi walczyć z tego rodzaju przypadłościami organizmu.

Pani Raczyńska nie bardzo rozumiała, o co chodzi, ale rozplynęła się w podziękowaniach, odprowadzając prowizora do przedpokoju.

– Może pan pozwoli do nas kiedy na obiad, prosimy bardzo.

„Zbliża się pani do okresu” – to wystarczyło, aby Amelka wstała. I ona, tak jak matka, nie wiedziała o co chodzi, ale już czuła mętnie jakąś aluzję zawstydzającą i dotyczącą jej pożycia małżeńskiego. Dziwna rzecz, gdy wychodziła za aptekarza, nikt jej nie mówił ani o miłości, ani o różnicy lat, wszyscy zachwycali się tylko, że taką karierę robi. A teraz jakby się uwzięli. Amelka wstydziła się tych półsłówek jak nieszczęścia, jak utajonej choroby. Ilekroć napomknięto o jej niedomaganiach, ogarniał ją wstyd i strach. To powinno zostać ukryte, to był jej sekret, tajemnica. Wstała prędko i obeszała dom, a pani Raczyńska rychło pożałowała tego nagłego wyzdrowienia córki. Amelce nic się nie podobało.

– Co mama myśli, że oni będą sypiać w bawialni na kanapach? Mama o niczym pojęcia nie ma. – Z miejsca poprzewracała wszystko do góry nogami, ale trzeba przyznać, że pod wieczór całe mieszkanie zastało urządzone i elegancko, i wygodnie dla gości. Filip miał spać w stołowym.

– Czy tylko się nie obrazi?

– To już moja rzecz.

Pod wieczór siostry, Helcia i Felcia, przywiozły choinkę i własnoręcznie wciągnęły na górę. Pootwierano drzwi i zapach ciasta rozniósł się po pokojach. Zimne i wonne drzewo stało w jadalni i tajało dużymi kroplami wody. Pani Raczyńska, rozpromieniona, udała, że się złości.

– Całą podłogę na nic mi zniszczą! Wynoście mi to zaraz na balkon!

Amelka zaproponowała.

– Weźmiemy się do zabawek, co? – Helcia skoczyła do oficynki, by przynieść pudła z cackami zbieranymi przez wiele, wiele lat, z roku na rok od gwiazdki do gwiazdki.

– Ach, moje dzieci, nawet gdy jeść nie było co w domu, zawsze wam choinkę wyszykowałam na święta! – zawołała pani Raczyńska,

Amelka gorączkowo zarządziła podawanie kolacji. Przyszedł aptekarz, po cichu, przygotowany na ciszę i ciemność z powodu słabego zdrowia żony. Tymczasem wpadł w rozweselone głosy i twarze kobiece, musiał prędko łykać kolację, po czym zasiadł ze słuchawkami na kanapie. Pani Raczyńska podłożyła mu poduszczkę pod głowę, aby twardy kant nie dawał mu się we

znaki. Pośrodku pokoju, przy stole, siostry rozpakowywały pudła, wydzierając sobie cacka z rąk, z okrzykami zdumienia i zachwytu.

– Ach, patrzcie, paw! Baletnica, baletnica!...

– Ostrożnie, ostrożnie, ostrożnie!

Z kuchni, zwabiona krzykami, przyczłapała Katarzyna.

– A to dopiero? Pani bawi się jak dziecko!...

Były tam żółto-czerwone szkliste jabłka i gruszki, czerwone wiśnie, puszyste, choć pogniecione baletnice. Siatki cięte z bibułki, z złożonymi orzechami wewnątrz. Aniolki z aureolą złota koło kędziorków. Czarodziejskie latarnie z kolorowego papieru. A w oddzielnej paczce troskliwie przechowano coś dużego i lekkiego. Pani Raczyńska odwinęła poźółkle gazety i założyła okulary. To szopka.

– Wiecie, dzieci, że to jeszcze nieboszczyk wasz ojciec kleił?!
Tekturowe postacie pokrzywiły się, podklejały, zielone palmy zgięły pierzaste głowy, tiul koło żłóbka poźółkl zupełnie. Teraz dla odmiany Fela skoczyła do oficynki po kolorowy papier, bibułę, słomkę. Jakie szczęście, że miały to wszystko z godzin prac ręcznych na pensji! – Sklepy już pozamykane.

Amelka cięła wąskie paski papieru na łańcuch. Nagle spytała męża.

– Jak on się nazywa, ten nowy twój pomocnik?

Ale aptekarz, ze słuchawkami na uszach, tonął właśnie, jak zwykł był mówić, „w eterze” – i uśmiechnął się tylko głupio. Potem rzekł.

– Tak, tak, to piękne. Piękne i zadziwiające!...

Pani Raczyńska przyszła mu z pomocą.

– Filip myśli, że ty pytasz o muzykę i ten wynalazek... jakże tam? radio... Rzeczywiście, że do podziwu, żeby raptem chwytać żywe głosy i z czego? z powietrza... Dlaczego ja gołym uchem nie słyszę? – rozwiódła swe zdumienia pani Raczyńska. Amelka nie dowiedziała się nazwiska prowizora, bo sama też zajęła się właśnie dobieraniem kolorów.

– Czy czerwony i ciemnozielony pasują do siebie?

– Naturalnie – rzekła Hela. – Trzymaj się zasady, żeby jasne przeplatać z ciemnymi.

Jasne z ciemnymi! Amelka roześmiała się, może i w życiu tak samo? Katarzyna, która nie odstępowała nigdy od swoich zwyczajów, wniosła na tacy herbatę i konfitury.

– Trudno, są goście! – rzekła i bez ceremonii odsunęła na bok papiery. Ale i to nie zepsuło miłego nastroju Amelki. Spytała.

– Katarzyno, czy kolędy można wcześniej śpiewać? – i, nie czekając odpowiedzi, swoim niskim, piersiowym głosem wywiodła.

Bóg się rodzi,

Moc truchleje...

Siostry pomogły jej. Aptekarz zmuszany był w końcu zdjąć słuchawki z uszu. Herbata i konfitury lśniły rubinowo na nie osłoniętym stole. Pani Raczyńska własnoręcznie przysunęła fotel.

– Tu, Filipie! Proszę!

Jakże mu dogadzają. Co za błogi wieczór. Aptekarz zebrał się w sobie i nieomal basem wywiódł.

Wzgardzony, okryty chwałą...

Wtem zabrzmiał dzwonek z przedpokoju. Wszyscy zerwali się na równe nogi, zaskoczeni. Tylko Katarzyna nie straciła głowy i podreptała do drzwi.

– Proszę pani, ksiądz proboszcz, ksiądz proboszcz!

Ksiądz przyszedł, aby osobiście obdarzyć ten dom opłatkiem, a także powtórzyć pozdrowienia i życzenia od swego bratanka, Andrzeja. Zasiadłszy w fotelu wydobył list.

– Miło mi, że Andrzej zachował we wdzięcznej pamięci życzliwość, jaką go państwo darzyli. Pisze mi tu właśnie... – i przeczytał. „Usilnie proszę księdza o przekazanie serdecznych życzeń świątecznych i noworocznych pani Amelii”.

Tylko tyle. Ale Amelia z oczyma pełnymi łez szepnęła.

– Dziękuję księdzu, o, dziękuję!

W nocy, właśnie gdy cały dom śpi snem kamiennym i nikt się niczego nie spodziewa, znów dzwonek. Tym razem zrywa się pani Raczyńska, która spała akurat w stołowym. Jest tak rozespana, że długą chwilę patrzy na wysoką, elegancką kobietę i dziewczynkę, stojące u progu.

– Co to? Do kogo?

– Mama!

– Jezus, Maria, Cechna! Amelciu, Filipie! Cechna! – Powtarza w kółko. – Cechna, Amelciu, Filipie – kręci się po przedpokoju, płacze, zanim nie zostaje objęta i przyciśnięta do wonnego futra córki. Zuzanna stoi z boku, zapomniana i niezadowolona, po czym otrzymuje swoją porcję łez i pocałunków od Amelii.

– Ależ to cała panna!

– Jaka duża!

Pani Raczyńska mówi do niej.

– Moje bóstwo... aniołku! – Amelka mityguje ją, jak może.

– Ależ mamu, dziecko jest zmęczone... – Filip w sypialni ubiera się pośpiesznie, by opróżnić łóżko dla gości.

Dopiero gdy je rozebrano i usadzono, gdy Katarzyna wniosła herbatę,

szukając jeszcze kogoś oczyma, pani Raczyńska przeraziła się. Poczekała, aż Katarzyna wyjdzie, a potem plasnęła wesoło w dłonie.

– A to dobre!... Zapomnialiśmy o mężu!... a gdzie mąż? !

Cechna również wesoło odpowiedziała, że starostę zatrzymały ważne sprawy i że przyjedzie jutro, przed samą wilią.

XXIX

W trzeci dzień świąt przyniesiono z poczty dużą paczkę. Starosta nie przyjechał, to prawda, ale dbał o żonę, pamiętał o niej i przysłał dary z domu. Rozbito paczkę w kuchni. Wielki *baumkuchen*⁷ utkany wokół bibułą, kilka sztuk pieczonego ptactwa i w oddzielnej drewnianej skrzyneczce owoce suche w cukrze, dla Zuzanki. Pani Raczyńska, która przez te trzy dni nosiła dramat i drzazgę w sercu, oczekując daremnie przyjazdu starosty, teraz odetchnęła. Zawsze lubiła podarki, więc rzekła.

– To musi być wspaniały człowiek.

Cechna, stojąc nad rozwartą paczką, przypomniała sobie kuchnię w dalekim swoim domu. Gdy wypiekano ciasta, przyjmowano kobietę do pomocy. Na płycie kuchennej Teodozja wznosiła istne rusztowania z cegieł, ogromny sękacz wolno okręcał się nad ogniem, „na szpikulcu”, jak mówiła Zuzanna... Ile śmiechu, gwaru i niepokoju... Cechna wykręciła się raptem na pięcie, podjęła oburącz paczkę z owocami i wyszła z kuchni. W sypialni Amelki, oddając małej, przesyłkę, rzekła te zadziwiające słowa.

– Masz, to od Teodozji. – Nawet niepodejrziwa Amelka zdziwiła się, czemu nie od ojca?

W kuchni pani Raczyńska wyjaśniła Katarzynie. Wszystko to przygotowano u zięcia, w majątku... Święta spędzono wesoło mimo braku starosty. Tak że nie można było powiedzieć, aby Cechna była w zbyt błyszczącym humorze. Ale dom był pełen, Fela i Helenka dowcipkowały jak za dawnych czasów, gdy stół był pusty i dodawano sobie otuchy żarcikami na temat starannego nakrycia przy kartoflach z solą. Filip zachwycał się jadłem, wszystko mu smakowało, przyrzadził wódki własnoręcznie. Podejmowano gości. prowizor, pan Jan Cichocki, przychodził co dnia, zaproszony na święta przez Filipa ze względu na to, że był samotny i nie miał w stolicy rodziny. Pani Raczyńska już powzięła pewne plany i zamiary. Bo cóż? Pensja pensją, wykształcenie wykształceniem, ale prawdziwe szczęście dla kobiety to dobre zamążpójście. Czyż nie ma jeszcze dwóch córek?...

Indyk przysłany przez starostę był wspaniały. kručze i białe mięso, a nadzienie prawdziwie wykwiłtne: migdały i rodzynki. Pani Raczyńska,

⁷ *Baumkuchen* (niem.) – sękacz.

drepcąc przez te wszystkie dni szybko po domu, kroїła, szykowała i nosiła półmiski i talerze z jadem, bez końca. Cechna gniewała się o to bardzo. Jak tylko zobaczy.

– Dziewczynki! – woła do młodszych – dlaczego nie wyręcicie mamy? W tej chwili proszę zająć się nakryciem do stołu!... – Głos jej brzmi energicznie, rozkazująco i poważnie, ach, jak ona się zmieniła, jak się zmieniła nie do poznania!

Naturalnie, Fela i Helenka usiłują się wymówić, tak samo akurat jak Amelka i Cechna, gdy były małe.

– Doskonale może to zrobić i Katarzyna...

Ale Cechna nie ustępuje ani na krok. Panny muszą wstać od książek i radia i zająć się gospodarstwem.

– Ja mam u siebie kilkoro służby, a nigdy nie siedzę beczynnie – oznajmia Cechna.

Amelia uważa, że to jest przesada, a zresztą.

– Czy nie znasz mamy? Mama tak przywykła do krzątania się, że nie może bez tego żyć.

Pani Raczyńska przeżyła przykrą chwilę, gdy Cechna zadała jej kilka pytań, jakby chcąc się wtajemniczyć zupełnie w obecną sytuację. Dotychczas, jeśli jej te sprawy przychodziły do głowy, pani Raczyńska zęgnęła się krzyżem świętym i zaraz czuła, że jakoś to będzie, i starała się za nadto nie myśleć. Ale Cechna uprzytomniła jej bezlitośnie i wyraźnie, zadała drażliwe pytania. Jak długo jeszcze młodsze siostry zamierzają się uczyć? Kto daje na ich potrzeby? Kto płaci pensję? Aha, a na pomoce szkolne? Co, także aptekarz? Pani Raczyńska zdenerwowała się tą rozmową, mętnie bąknęła coś o zniżkach i zwolnieniach w wpisie na pensji, aż wreszcie przyznała, że dokazuje istnych cudów bohaterstwa, aby utrzymać córki i nie dać się we znaki aptekarzowi. Całe szczęście, że dużo rzeczy można było wziąć na raty, po trochu oszczędzać na gospodarstwie i spłacać...

Starościna siedziała nieruchomo, zamyślona. Potem skinęła głową kilkakrotnie.

– Tak, tak, a więc ciągle to samo!...

Pani Raczyńska przeraziła się.

– Jak to, to samo?

Cechna mówiła tak, jakby im wszystkim, a jej w szczególności, nieuchronnie groziła ruina. W ogóle musiała co chwila spoglądać na pierścionki córki, biżuterię, suknie i futro, aby upewnić się o jej szczęściu i powodzeniu. Tak jest, istotnie, z tych przedmiotów tylko czerpała otuchę, zachwianą szczególnym rachowaniem córki. Ale wątpliwości ulotniły się nagle. Po tej rozmowie Cechna wstała, poszperała w swej walizce i wręczyła matce zwitek banknotów.

– Powinam była wcześniej pomyśleć o tym – rzekła.

Ale pani Raczyńska uspokoiła ją.

– Bogu dziękuję, że tobie się powodziło przez te wszystkie lata. Nie rób sobie wyrzutów. – Przyjęła pieniądze i schowała je zaraz – Amelia i aptekarz nie potrzebują o tym wiedzieć. – Mogliby pomyśleć, że uskarżam się na jakieś braki w ich domu.

Ciągle jeszcze trwały święta, na górze, w mieszkaniu. Kobiety, pozostawione sobie, rozkładały swe suknie, bieliznę, hafty, oglądały fotografie rodzinne, naradzały się, a herbata, orzechy i strucle świąteczne nie schodziły ze stołu. W bawialni ciągle jeszcze stała choinka. Jeśli aptekarz miał wieczorem dyżur, nadchodził prowizor i panie prosiły go, aby zapalił świece na samym szczycie pod aniołem. Śpiewano kolędy. Wkrótce Zuzanna, wśród ogólnego śmiechu, z determinacją wdrapywałą się na kolana pana Jana na drzemkę. Pani Raczyńska tłumaczyła.

– Tęskni pewnie do tatusia, co? – Cechna uśmiechała się blado.

Pani Raczyńska, siedząc z boku, skrycie przypatrywała się córce. Ogarniał ją jakiś respekt wobec tej twarzy poważnej i pełnej uroku, błyszczących, wypielęgowanych włosów, które się same falowały, wobec jej wzięcia się towarzyskiego. Ale także Cechna bywała i niespokojna, głęboko o czymś rozmyślająca, wychodziła często na miasto i przepadała na całe godziny. Onieśmiała ją.

Pan Cichocki, prowizor, chcąc się widocznie zrewanżować za przyjęcia świąteczne, przyniósł pewnego popołudnia bilety, zapraszając panie do teatru. Aptekarz chciał też iść i zgodził na ten wieczór zastępcę do apteki. Siostry, w czarnych wieczorowych sukniach, tak pięknie podkreślających złoto ich włosów i białość cery, wzbudziły zainteresowanie parteru. Amelię drażnił aptekarz, wcale już jej nie imponował jego wygląd, ze śmiechem przypominała sobie, że on jej to udzielał pierwszych rad przy obmyślaniu sukien, radził też, by pudrowała szyję, która nieco zzółkła. Ach, był dla niej ongiś szczytem nieosiągalnym, przecież jej marzenia nie sięgały wyżej jak do stanowiska jago cichej kochanki i „zabezpieczonego bytu” w postaci magazynu z kapeluszami!...

Teraz wydał jej się staroświecki ze swym brzuszkiem, w odświętnym garniturze.

Grano „Kochanków”, głośną sztukę o kazirodczej miłości. Aptekarz próbował bąkać jakieś porównania, sięgając do króla Edypa, ale obydwie kobiety nie słuchały go, niecierpliwiły się, nie wiedziały nic o Edypie i prosiły, aby ucichł. Podniecone, wyciągały szyję, zapomniały się, otwierały usta. Po tyloletnim pobycie na prowincji, gdzie trudno o dobry teatr i śmiałą sztukę, Cechna, oszołomiona, gubiła się. Wystarczyło kilka dni i kilka drobnych pociągnięć, poprawek w sukniach, zmiany fryzury i nowego

kapelusza, aby uczynić jej zewnętrzną sylwetkę zupełnie i modnie współczesną. Ale teraz uczyła się zacofana, stara i śmieszna z swoimi pretensjami do zdradzającego ją męża. Miłość!... tak, to wszystko rozgrzesza i wszystko tłumaczy, oni, obydwójce, nie mieli nawet tego na swe usprawiedliwienie.

Aptekarz, niezadowolony z wyboru sztuki, wpadł w przygnębienie. Akurat, przy nerwowym usposobieniu Amelki trzeba jej słuchać coś podobnego!... Gotowa porównywać, wyciągać wnioski, a choćby – marzyć. Istotnie, Amelka chwytała natężonym uchem echa swej przygody z Andrzejem. aktor grający tę rolę przypominał go zupełnie. Aptekarz kręcił się niespokojnie, chrząkał i mruczał, wreszcie zaczął wysnuwać wróżby dla swego małżeństwa z tego pojedynku męża z kochankiem, młodości z wiekiem dojrzałym, szaleństwa – z wszystkimi przykazaniami boskimi, kościelnymi i ludzkimi. Koniec ściał go z nóg.

Tylko Cichocki pozostał nieporuszony i podkpiwał sobie lekko z oszołomienia pań.

Pani Raczyńska przygotowała w domu kolację, ale wszyscy paczuli ochotę przewietrzenia się w jakimś lokalu. Cichocki zapraszał. Zasiedli w kącie eleganckiej sali, przy okrągłym stole, na którym płonęły ocienione jedwabnymi abażurkami świece. Rychło spostrzegli, że starościna stała się celem spojrzeń męskich. Piła.

Cóż miała przed sobą? Kilkakrotnie zabierała się do pakowania waliz i w połowie roboty zatrząskiwała wieko.

– Na wyjazd będzie zawsze czas – pocieszała się. Chwaliła sobie ten wieczór, teatr, wino... Cóż, ostatecznie może mieć jeszcze parę lat dobrego, wesołego życia, potrafi żyć inaczej, teraz, kiedy już trochę zmądrzała. I widziała siebie tańczącą i śpiewającą na skraju przepaści, podczas gdy w dole błakało się porzucane dziecko, Zuzanna.

W tej chwili wzruszyła swymi pięknymi ramionami i wytrzeźwiała. Co za melodramat. A jednak – to tak łatwo mogłoby się stać naprawdę...

Nazajutrz otrzymała list. Pani Raczyńska zapukała do drzwi i wsunęła przez szparę, wołając.

– Pewnie od męża, od pana starosty!

Niestety, to był anonim. Życzliwa osoba pisała: „Niech pani wraca, bo miejsce pani zostanie zajęte na zawsze. To zupełnie pewne, przystawiono parę cegieł pod okno sypialni pani starościny od strony ogrodu i to wystarczyło, aby widzieć wszystko jak na dłoni. Gdy pani starościna wróci, zobaczy cegły pod oknami na dowód prawdy”.

Wybuchnęła śmiechem, ale zdusiła w sobie ten śmiech tak wyraźnie podszyty płaczem. Cóż dotychczas zrobiła? Szarpała się w niezrozumiałych odruchach, ulegała ciemnym popędom zazdrości, bólu, żądz. Czy to warto?

Czy naprawdę zależało jej na tym wszystkim? Czy nie kłamała sobie? A samej sobie kłamać nie wolno. Długo potrwa, zanim ułoży jako tako warunki nowego życia. Ale zacząć musi dziś.

Wstała, przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie matka krążyła niespokojnie, niby to okurzając meble.

– Mamo rzekła dobitnie – ja już nie wrócę do męża, ale – dodała uspokajająco i pośpiesznie – nie zostaną też i tutaj, u Amelki.

Pani Raczyńska zbladła i uniósłszy ramiona w górę, trzepocząc nimi jak człowiek tonący, wyszła bez słowa z pokoju, z mieszkania, do oficynki...

Cechna wróciła do swoich jak list ze złym adresem, który nigdzie nie dotarł. Pewnego dnia zajrzała do walizki, do przegródki z pieniędzmi i znalazła tam tylko kilka banknotów. Przeraziła się, a potem uspokoiła, miała jeszcze pierścienie na palcach, biżuterię, futra. Zabiegała też o coś, bo całe poranki, do obiadu, spędzała na mieście i wracała w gorszym lub lepszym humorze, z czego można było wnioskować, czy jej sprawy poszły dobrze, czy źle tego dnia. Ostatecznie, mogła jeszcze liczyć na przesyłki starosty. Pani Raczyńska zobaczyła na własne oczy pierwszy przekaz pieniężny i poweselała. Naturalnie, starosta w końcu zmusi żonę do powrotu, choćby ze względu na dziecko. Kto by się wyrzekł takiego mądrego dziecka!...

Po nowym roku Cechna zapisała Zuzannę do pierwszorzędnej szkoły i pani Raczyńska znów odetchnęła, przy tej okazji okazało się, że metryka chrztu jest w porządku. Ciotki: Fela i Helcia, wstępowały po małą do szkoły i wówczas krzyczano w przedpokoju.

– Zuza Meysztor, przyszli po ciebie!... – Ale listy męża do żony stawały się coraz rzadsze, a pewnego dnia Cechna ukazała się w jadalni zapłakana. Starostę przenieśli gdzie indziej. Przy czym Cechna wspominała nie tyle męża, ile stary dom.

– A meble? – rzekła pani Raczyńska. – Czy starosta da sobie radę z pakowaniem?

Okazało się, że meble mieli rządowe. A więc tak – jakby nic nie zostało z tych lat. I pewnego dnia Bronka ujrzała w swym biurze kobietę wyróżniającą się ubiorem, przystojną i elegancką, z listem polecającym w dłoni, o wyrazie twarzy już trochę spłoszonym i niepewnym. Petentka.

Weszła właśnie do pokoju biurowego i przystanęła. Twarz siedzącej za biurkiem sekretarki wydała jej się znajoma. Młoda i energiczna woźna zwróciła się do przybyłej z pytaniem.

– Pani do kogo? – nie czekając odpowiedzi, zręcznie usadowiła interesantkę na drugim planie. – Po kolei, proszę pani, po kolei, pani sekretarka jest teraz zajęta.

Jakoż Bronka urzędowała osaczona ze wszystkich stron przez kobiety o rozwartych torebkach wypchanych dokumentami, adresami i listami

polecającymi. Na biurku jej tkwił sztywny karton z napisem. „Posad nie udzielamy”. Nad biurkiem ogromny plakat. „Stowarzyszenie nie prowadzi biura pośrednictwa pracy”. Na drzwiach, a nawet na bramie umieszczono odpowiednie ostrzeżenia. Ale prócz zwykłej i licznej rzeszy poszukiwaczy zdarzały się osoby, dla których trzeba było mieć pewne względy, i te osoby obdarzano listami polecającymi. Do takich bez wątpienia należała dawna starościna, „nasza dzielna pracownica na kresach, niestrudzona i ofiarna”. To nie znaczy, że zamierzano coś dla niej zrobić. Owszem, dowiedziawszy się o zmianie w jej losie, stowarzyszone kobiety ofiarowały swojej dawnej towarzysze, bezpłatne bony na obiady dla inteligencji... nie? Miejsce dla dziecka w schronisku dla sierot... nie? Broszury do komisowej rozprzedaży – też nie? Z jakimś szczególnym zamięłowaniem preparowano tu z ludzi żebraków, zamiast stawiać na nogi – obalano. Cechna broniła się rozpaczliwie. W tych wędrówkach po biurach zyskiwała wyraźne poczucie rzeczywistości, obraz swego losu: może liczyć tylko na siebie. Dom Amelii, gdzie cztery kobiety żyją kosztem obcego, nie kochanego mężczyzny. Jej własny dom, w który włożyła tyle miłości i pracy i który dobrowolnie opuściła. Mąż, który już nie jest mężem, szczupły zasób pieniędzy. Wielkie ceny mieszkań i drożyzna środków żywności. I dziecko, które w swej dumie i odwadze chciała wychować tak, aby nie zaznało strasznych doświadczeń matki. Ale gdzie było miejsce dla dziecka? Uszła ze swego domu, ponieważ to nie było miejsce, gdzie można by wychować dziecko. Przez cały czas pobytu u Amelii błędziła z wyraźnym poczuciem, że błądzi, tu też nie było miejsc dla Zuzanny. Usłyszała pewnego razu, jak Amelka mówiła do małej:

– Idź na dół, Zuzo, i poproś pana Jana, żeby przyszedł na górę, żeby przyszedł koniecznie.

Czy przeznaczeniem Zuzanny był ten bezwolny udział w miłosnej grze dorosłych?... Marzyła: „Gdybym miała swój kąpiel!” Chwilami poddawała się miłym złudzeniom, wchodziła w bramę jakiejś kamienicy i oglądała mieszkanie, gniazdo, które ludzie chcieli przehandlować. Gromadziła w myślach środki na „odstępne” i stygła w rozpacz. To było nieosiągalne, najmniejsza ciupka dla niej i dla Zuzanny była nieosiągalna. A potem – nie miała nawet najkonieczniejszych sprzętów, wszystko trzeba było kupić od nowa. Błądząc po biurach stowarzyszeń społecznych, przechodziła przez pokoje zawałone gratami, przez puste kuchnie, przez korytarze pełne walizek i tobołków członkiń, którym tu pozwolono złożyć swe manatki, ale nie przenocować, boć ostatecznie biuro nie było przytułkiem. Zaproszona na jakiś wieczór świetlicowy, aż zatknęła się gęstym fetorem nie mytych ciał tych dziewcząt i kobiet, które tu gromadzono dla wspólnej pracy i zabawy.

Lokal posiadał łazienkę, ale nikomu nie przyszło do głowy, aby udostępnić kąpiel tym pupilom.

Z tym wszystkim Cechna straciła też poczucie swego celu i ogarniał ją strach i zdumienie.

– Po co ja to wszystko zrobiłam! Dlaczego wyjechałam? O co mi idzie? – Wyciągnęła swe dziecko z dobrych warunków bytu dla jakichś urojonych wartości. Wokół niej ciągle, co dzień, rozstawano się, zdradzano, przebaczano, porzucane dzieci pętały się po obcych domach. To było takie zwyczajne, takie proste, walczono o kąt, o strawę, o zaopatrzenie – ale nie o jakąś tam miłość. W świetle tolerancji, pobłażania i wyrozumiałości dla spraw tego rodzaju jak zdrada, zaciętość Cechny wydała się jej samej śmieszna. Śmieszna i samolubna.

W pokoju, w którym czekała, prócz kobiet, tak samo jak ona obdarowanych listami polecającymi, siedziało jeszcze grono pań i z urywków rozmowy Cechna wywnioskowała, iż omawiano tam jakieś przedsięwzięcie o charakterze dochodowym. Cechna poznała Bronkę. Bure, okrągłe oczy patrzyły obojętnie i poważnie, ale Cechna z nową energią zaciskając dłonie postanawiała. „Ona musi mi pomóc! Ona mnie zrozumie! Ale jak tu rozmawiać przy wszystkich?” W tej chwili zwrócono się do niej:

– Proszę pani!... – Cechna drgnęła, powstała i zbliżyła się do stołu.

– Czy pani mnie poznaje?

– Ależ tak. Dawna Cechna Raczyńska. Co cię tu sprowadza?

Wysłuchiwała. uśmiechając się współczująco i niepewnie, wyglądało tak, jakby za chwilę miała powiedzieć.

– Nic dla ciebie nie mogę zrobić... – Ale nagle oczy jej zatrzymały się na obradującej grupie kobiet i odetchnęła z ulgą. Tu należał się jej pewien rewanż za pośrednictwo przy kleceniach imprezy z rękodzielcami wsi. Szeptała.

– Siądź sobie z boku i poczekaj.

Cechna wróciła do domu rozpromieniona.

– Czy wie mama, kogo spotkałam? Bronkę Mossakowską.

Amelcia krzyknęła.

– Co ty mówisz!...

Ale pani Raczyńska nie wydała się zachwycona. Dopiero, kiedy Cechna z odrobiną przesady rozwiódła się nad stanowiskiem, jakie zajmuje Bronka, stanowiskiem, które pozwoliło jej w tym niefortunnym czasie wynaleźć pracę dla dawnej koleżanki, pani Raczyńska rzekła:

– Zawsze myślałam, że ona wydobędzie się ze złego towarzystwa, bo matka wychowała ją bogobojnie, a to się zawsze w człowieku odezwie. – Amelia ożywiła się i zaproponowała, aby zadzwonić do Kwiryny i urządzić spotkanie. Siostry zeszły do telefonu, do apteki. Ale Kwiryna prosiła, aby odłożyć ten projekt na później.

– Urządzam się, czekam z dnia na dzień na meble. Nic nie robię na łapucapu. Jak już się mamy spotkać po tylu latach, to trzeba to porządnie zrobić.

- Meblujesz się? – zapytała Cechna. – A co zrobisz ze starymi meblami?
– Kwirynę aż zatknęło ze zdumienia, ale zorientowała się szybko i rzekła:
– Przyjdź najpierw i zobacz, a potem pogadamy. Do widzenia, bo klient czeka.

XXX

Po bardzo ciężkiej zimie, gdy troszeczkę na wiosnę przygrzało, zdawało się ludziom, że cały świat roztapia się i płynie. Akurat właśnie takiego słonecznego ranka zajechały wozy przed dom Kwiryny. Panny Ziemskie obydwie stanęły jak na zawołanie we drzwiach mydlarni.

– Co to może być? Jak ci się zdaje? Pewnie się ktoś nowy sprowadza.

Żona portiera ze szpitala ewangelickiego, pani Bauman, która akurat przechodziła tędy i przystanąła, uczyniła uwagę, że to niemożliwe, bo nikt się nie wyprowadzał, wie o tym dobrze. Dopiero szewcowa rzekła gorzko.

– Gospodyni się mebluje...

Miała w domu pranie i źle obliczyła, zabrakło jej mydła.

– Pani Ziemska kochana, niech mi pani da mydła na kredyt. Córka po szkole będzie wychodzić, to wstąpi i odda...

Jak ktoś rozpoczął pranie, stanął do balii i zabrakło mu mydła, nie mówiąc już o tym, że nie może sobie pozwolić na zgodzenie praczki na stare lata, to może rozgoryczyć, nie? A tu ludzie meble sobie sprowadzają.

Gdy wyszła, starsza panna Ziemska rzekła:

– Popisuje się ciągle tą swoją córką, nauczycielką, a wszędzie mają pełno długów.

Ale młodsza panna Ziemska, dobra dusza, odpowiedziała zaraz:

– Moja Emilko, jedna osoba nie może zapracować na cały dom.

Pani Bauman szepnęła z namysłem.

– Patrę, patrę i nie mogę rozeznąć, co to za drzewo?...

Akurat tragarze dźwigali wspaniałe lustro, a skrzydła łóżek stały oparte o mur. Rzeczywiście, coś nadzwyczajnego. Panna Ziemska, starsza, rzekła ze zdumieniem.

– Czy to nie drzewo różane?

Sypialnia z drzewa różanego, lśniąca i jasna! Taborecik, kryty różowym jedwabiem! Pani Bauman nie mogła już wytrzymać.

– Żeby prostej, kobiecie po tylu latach małżeństwa zachciało się takiej sypialni. Na co im taka sypialnia?

Panna Ziemska szepnęła:

– Mówią, że ona tego biednego Romana zamordowuje swoimi zachciankami. Ale skąd ludzie takie rzeczy mogą wiedzieć?

Kwiryna wyszła ze sklepu i przynagliła tragarzy.

– No, moi panowie, pośpieszcie się, dostaniecie na piwo. Nie można barykadować przejścia. Wnoście od razu na górę, od razu na górę!... – Rozkazywała jak najgłośniej, zerkając na wystawę sklepu, ciekawa, czy Roman wyjrzał i jakie wrażenie zrobiły na nim tak wspaniałe meble?... Albowiem od owej kłótni w restauracji stosunki między nimi nie mogły się jakoś naprawić, choć blondynka zniknęła z horyzontu, wyprowadziła się z Mylnej. Wprawdzie w czasie świąt doszło między nimi do zbliżenia, ale Kwiryna wspomina to z wielką niechęcią. Potem nie było żadnej rozmowy, Roman jakby się wstydził i unikał jej zupełnie jawnie. Do późna przesiadywał z ciotką, głuchy na jej niespokojne westchnienia.

Kwiryna mówiła stalując niebie.

– Urządzam się i wszystko inne mało mnie obchodzi.

Jednak w głębi duszy żywiła nadzieję, że po umeblovaniu mieszkania zaczną nowe życie. Wyobrażała sobie, że gdy się zacznie rozstawiać sprzęty, urządzać, namyślać, Roman nie wytrzyma, aby nie wziąć w tym udziału. A potem – miękkość łóżek, błysk jedwabiu, polor drzewa, całe to rozleniwiające piękno też wywrze wpływ na ten charakter ciągle czymś zmartwiony. Nie bacząc, że to ulica, Kwiryna z czułością dotknęła błyszczącego drzewa. To jest nie sypialnia a wprost marzenie! – Fotel i foteliki pokryto różowym, grubym jedwabiem, a mały okrągły stoliczek ma za szkłem delikatną koronkę.

– Paskowała całą wojnę, to teraz może sobie pozwolić!...

Kwiryna odwróciła się gwałtownie, postąpiła parę kroków i stanęła twarzą w twarz z wychodzącą z bramy lokatorką. Tamta zaczerwieniła się po uszy, stchórzyła i mruknęła.

– Dobry dzień, pani gospodyni!

Kwiryna odpowiedziała spokojnie.

– Dzień dobry!

Tragarze wnieśli już sypialnię, a teraz wyładowywali salon. Może by po prostu posłać Romana na górę pod pozorem, żeby przypilnował tragarzy? Weszła do sklepu i ujrzała, że układał plasterki boczku na grubych pajdach chleba.

– Co to jest?... – zapytała.

– Zakąska dla tragarzy – rzekł – chyba ich poczęstujesz, co? W najbardziejnym domu mają ten zwyczaj.

– Dobrze już, dobrze! Lepiej byś jednak poszedł...

Przerwał jej głuchy huk, a potem wrzask, nagły krzyk i tupot nóg biegnących przez bramę ludzi. Nie rzekli ani słowa, ale oboje rzucili się do drzwi. Kwiryna pomyślała przez mgnienie: „Tragarze spadli z meblami ze schodów!...” Ale już serce jej przeszła myśl okropna. Wypadła, ze sklepu, a

potem zawróciła dysząc, aby zamknąć kasę i drzwi. Już wiedziała! Zewsząd biegli ludzie krzycząc.

– Dom się zawalił! ściana! mur! ratunku!... – Wpadła na podwórze i oszołomiona spojrzała na oficynę: stała w całości od strychu do suterenu! Tytko z boku... Kwiryra zorientowała się natychmiast i wybiegła jęcząc, pędziła dookoła. Zagrożona ściana dotykała placu, na którym mieścił się skład węgla, i w drodze Kwiryra ochłonęła. Uspokoili się. Ale jeden rzut oka wystarczył, Kwiryra wściekle krzyknęła.

– Nie wchodzić! Nie wchodzić na schody! Nie łązić tam!...

Albowiem ściana wyduła się łagodnie, sypnęła murem na przybudówkę z węglem i obnażyła mieszkanie blacharzów, nic więcej. Pod niebezpiecznie wygiętym dachem stało akurat łóżko rozbebeszone, a na łóżku dziecko.

Kwiryra, węglarz i tragarz, kupa ludzi patrzyła z zapartym oddechem na wiszący dach, bojąc się poruszyć. Antosia siedziała w koszulinie, wpołostnięta podniesionym ramieniem – chyba oniemiała z przerażenia... bo ani pisku nie wydała. Pierwszy ruszył się węglarz.

– Trzeba by zejść ze schodów ostrożnie i zwabić ją do drzwi. Dziecko lekkie...

Ale Kwiryra krzyknęła:

– Niech ręka boska broni!... – Myśl jej pracowała szybko. Wszyscy ludzie z oficynki umknęli, a jeśli tu nigdzie nie widać blacharzowej, to jasne, że drzwi w tym zawalonym mieszkaniu są po prostu zamknięte na klucz! Poszła sobie gdzieś i zamknęła na klucz śpiące dziecko! Szarpać? Odrywać zamek, kiedy tu każdy ruch może grozić runięciem?

– Czego wy tu stoicie! Ruszcie się! Niech, który przypilnuje, żeby w Młyną ulicę nie wjeżdżały fury!...

Teraz wszyscy zaczęli.

– Po pogotowie! Po straży ogniową!...

Antosia opuściła wzniesione ramię i ujrzano ogromne oczy dziecka, patrzące z przestrachem.

– Siedź Nie ruszaj się! dlaboga nie ruszaj się! – zakrzyczano.

Teraz dopiero dziecko uprzytomniało i przerażiło się na dobre. Zapłakało.

– Boję się, boję! Mamo! Boję się!...

Kwiryra rozejrzała się wokół z rozpaczą. Nagle oczy jej rozbłysły: ujrzała drabinę w karcie placu. Nie czas był teraz na namysły, biegnąc w tamtą stronę myślała tylko: „Jak to dobrze, że schudłam! Jak to dobrze!” Zjawił się Roman, nareszcie zorientował się, gdzie, tkwi sens tej całej sprawy, przybiegł tu i patrzył z przerażeniem na wywaloną ścianę. Węglarz zapytał:

– Co pani gospodyni chce zrobić?

Roman zastąpił jej drogę. Ale odtrąciła go brutalnie i stanowczo, krzyknęła:

– Niech mi się nikt nie rusza! Nie ruszać się! – i oparła ostrożnie drabinę o kant przybudówki.

Zrozumieli, o co chodzi, i zawołali.

– Co pani robi! Zaraz przyjedzie straż! Niech pani zläzi!

Roman jęczał.

– Kwiryno! Kwiryno!...

Już wstępowała na stopnie, odwróciła się i pogroziła ściśniętą pięścią.

– Nie straszyc dziecka!... – Tak ich sterroryzowała, że rzeczywiście nie śmieli się ruszyć. Ludzie patrzyli z zapartym oddechem, jak pięła się wolno ku górze. Antosia spoglądała bystrymi oczkami, siedząc bez ruchu. Usłyszano głos Kwiryny, mówiła raźnie i spokojnie:

– Zaraz cię wezmę stamtąd, Antosiu, już, już!... Ty jesteś mądre dziecko, co?...

Bała się wstąpić na brzeg muru, zatrzymała się, i teraz nastąpił ów moment. kiedy jedno z tych dwojga musiało dać decydujący krok naprzód. Kwiryna, stojąc na szczycie drabiny nie mającej już żadnego oparcia, sterczącej wysoko ponad dachem przybudówki, wyciągnęła ramiona.

– Chodź tu! – zawołała cicho i prędko. – Chodź tu, Antosiu! Nie bój się!...

– Dziecko zsunęło nóżki na podłogę i szybkimi lekkimi krokami przebiegło przestrzeń dzielącą je od Kwiryny.

– Weź mnie za szyję.

Teraz dopiero, gdy zstępowały, widać było, jak nogi Kwiryny drżą, trzęsą się na stopniach drabiny. Śmiertelnie błada, oglądała się za każdym krokiem w dół. Roman podskoczył. Wszyscy naraz zaczęli mówić, rozprawiać, potrząsać ramionami. Nie wiadomo, skąd wziął się nagle przerażony inżynier. Patrzył na dach wsparty jeszcze na dwóch bocznych ścianach i powtarzał w kółko.

– Ależ to jest wbrew prawom fizycznym! Wbrew prawom fizycznym!

Roman wziął dziecko z rąk Kwiryny. Antosia tak mocno i kurczowo zacisnęła zaraz ręce koło jego szyi, że mowy nie było, aby ją kobiety mogły od niego oderwać. Któraś, liतोściwa, narzuciła na nią tylko nędzną chuścinę. Kwiryna podniesionym głosem powtarzała:

– Gdzie blacharzowa? szukajcie blacharzowej! Niech się zajmie dzieckiem.

Już ochłonęła i ogarniał ją gniew.

– Trzeba zabezpieczyć dach – rzekł inżynier – bo runie.

Kwiryna odwróciła się gwałtownie.

– Co, znów pan chce zabezpieczać – rzekła szydyczko. – Mało panu jeszcze?

Inżynier, zmieszany, powtarzał ciągle.

– To jest wbrew prawom fizycznym, widzi pani przecież sama.

– Gdzieś mam pańskie prawa fizyczne! – wrzasnęła Kwiryra. – Więcej sobie głowy zawracać nie dam!...

Zobaczyła, że Roman uchodzi z placu z dzieckiem w objęciach, i chciała iść za nim, ale ludzie zastąpili jej drogę.

– No i co będzie teraz?

– Co ma być! Szukajcie sobie innych mieszkań.

Teraz, jak spod ziemi zjawili się wszyscy, blacharz i zapłakana blacharzowa, szewc, szewcowa, nauczycielka, dorozkarze, cała oficyna w komplecie.

– To tak? A tak!

– Pani byś chciała, aby nas tu wydusiło jak szczurów, jak robactwo! Całą kamienicę odnawiała, a oficynki nie kazała ruszać. Niech się wali!...

Kwiryra powołała inżyniera na świadka.

– Czy nie mówiłam, że oficynę trzeba rozebrać, bo będzie nieszczęście?

Inżynier kiwnął głową, a ludzie wokół szydzieli.

– Tak, żeby nas wyrzucić z mieszkań, co? Ale się nie udało i teraz się nie uda! My tu mamy mularzy, znają się na tym, nie bój się pani.

Kwiryra zbladła z wściekłości.

– Przez waszą głupotę omal życia nie straciłam!... – Nagle, gdy się tak spierali o tę oficynę, o mieszkania, o drański charakter gospodyni. – rozległ się ogłuszający trzask i huk, dach runął, pociągając za sobą ściany, mieszkanie blacharzów i cała ta część domu znikła, zamieniając się w kupę gruzów z sterzącymi kikutami węglów. Prawa fizyczne rozstrzygnęły o losie lokatorów oficynki.

Na górze, na nowym łóżku i nowym materacu leżał na wznak Roman z głową odchyloną. Krew rzuciła mu się nosem, wszedł do kuchni, usadowił Antosię na łóżku ciotki i, zacerpnąwszy wody w garść, tamował krew. Ciotka uprosiła go, aby się położył, tak osłabł, że dał się namówić. Kwiryra weszła i popatrzyła w milczeniu. Potem spytała:

– Co ci jest?

Nie odpowiedział. Skierowała swe ciężkie kroki do kuchni.

– Co to za dziecko? – Garbata ciotka akurat wkładała na Antosię swój flanelowy kaftanik nocny i rozpromieniona odpowiedziała. – Roman mi kazał.

Kwiryra na to:

– Niech mi ciotka w tej chwili odniesie dziecko matce. Jeszcze tego brakowało, żebym w swoim własnym domu musiała znosić tych podleców, co mi nie dadzą spokojnie przejść przez bramę! Niech tylko ciotka spróbuje uchylić drzwi dla jednego, to się tu wszyscy wparują.

Na podwórzu urzędowała już komisja i policja. Usuwano ostrożnie graty ludzkie z nie zawalonej części domu. Grzebano w gruzach. Płakano.

Wydziwiano nad mnóstwem robactwa, szczególnie pluskiew, którymi kompletnie naszpikowany był gruby mur.

– Może i dobrze, że się to zawaliło – rzekł przodownik policji – bo by was te robaki żywcem tu zjadły.

– I co z nami będzie, panie? – zapytał ponuro blacharz.

Przodownik wzruszył ramionami.

– Pójdziecie do baraków.

Blacharzowa otworzyła usta, ale żaden dźwięk nie wydostał się z zbiegających warg.

– Trzeba będzie tę Antosię oddać z domu, trudno.

Ktoś rzekł.

– Do baraków na nowe pluskwy, tam ich też nie brak.

Na górze Kwiryra stała nad łóżkiem nad Romanem i wylizowała nieubłaganie.

– To moja wina, że oficyna runęła. Przestrzegalam, ale teraz wszystko na mnie. To moja wina, że blacharz nie ma roboty. To moja wina, że lokatorzy nie mają pieniędzy na mieszkanie. Że nie mają co do gęby włożyć. Że mi zazdroszczą każdego kęsa, że w swoim własnym domu mam wrogów...

Garbata ciotka chwyciła ją za ręce, za suknię i błagała.

– Kwiryńciu, na miłosierdzie Boskie, przecież on ledwo żyje, Kwiryńciu, to go zabij!...

Ale Kwiryra opędzała się i ciągnęła dalej. Roman leżał wyciągnięty, śmiertelnie blady, z zamkniętymi oczyma. Smuzka krwi sączyła się wolno przez brodę i wsiąkała w koszulę. Kwiryra wylizowała nieubłaganie.

– To moja wina, że złoty spada, na łeb, że ten zasrany rząd tak rządzi, że jest bezrobocie, nie buduje się nic!! – Pchnęła ciotkę, aż się zatoczyła pod ścianę, i krzyknęła nagle ochryłym i dzikim głosem: – Niech ciotka wynosi się, czy ciotka nie rozumie, że to nie chodzi o pieniądze. To sprawa między mną a Romanem, o śmierć i życie!

XXXI

Bronka ocknęła się z głębokiego snu, w jakimś strasznym popłochu, lodowato zimna, zrozpaczona. Leżała twarzą w poduszce, z lewej strony czuła dokuczliwy ucisk. Potem oprzytomniała jako tako i przyjęła to wszystko z humorem. Gdy ktoś ma zwyczaj zasypiania w ten sposób, musi być przygotowany na najgorsze, na przykład na śmierć z uduszenia. A więc podsunęła w górę poduszki i spoczęła równo, na wznak, ale to wcale nie wyjaśniło sytuacji. Czuła perlisty, zimny pot na czole, nie mogła schwytać oddechu. W końcu usiadła, wsparta plecami o ścianę, i to jej zrobiło dobrze.

A więc przesiadła tak do rana, drzemiąc i przytomniejąc w obliczu wielkich zmian i przeobrażeń nieba. Widziała, jak gwiazdy zbladły śmiertelnie i umarły. Do pokoju wszedł brząsk różowawy, niebo splonęło lekko nad dachami z czarnej papy i luna stanęła w oknie. Nieliczne odgłosy życia zbudziły się, ludzie idą do swych zajęć do miasta. I zgasły, dom opustoszał.

Pies Dżek stawiał się o właściwej porze i szcęknał krótko. Pewnego razu rzuciła mu przez okno kawałek mięsa i odtąd nie minął dzień bez powitalnego obrzędu. Nie może wiedzieć, że zasłała, i upominając się jest w swoim prawie. Bronka wstała z tapczanu, by poszukać resztek jedzenia, otworzyła okno i rzuciła to jak bądź, przed siebie. Pies ją węszyć w trawie, rozgarniając nosem wysokie źdźbła. Zwykle rzucano mu smakowity kąsek ze wszystkimi względami, był wymownie teraz zgorzony, jedno sterzące ucho opadło i stało się wiotkie od smutku, drugie nie traciło nadziei. Wreszcie znalazł, zjadł, i, merdając ogonem, spojrział oczekująco w górę.

– Nic już nie ma – rzekła głośno Bronka. Naturalnie, że rozumieli się doskonale, ale nie odchodził, czekał jeszcze. Bronka z udaną obojętnością zamknęła okno. Po tym wysiłku uczuła znów gwałtowne osłabienie i, trzymając się ścian, wróciła na tapczan. Ciekawa była, czy pies poszedł sobie, czy też jeszcze czeka z łbem wzniesionym i nadzieją. Oto najlepszy dowód, że nie należy brać na siebie żadnych zobowiązań i do niczego, i nikogo, nie przywiązywać się. Jest chora i troszczy się o obcego psa, podczas gdy o nią nikt się nie zatroszczy. Rozczuliła się nad sobą i zapłakała, otarła łzy i stwierdziła ze zdumieniem, że mną naprawdę jest niedobrze.

Teraz nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać. Czekać?... na co? na kogo?... Przy tej okazji uprzytomniła sobie, że jest zupełnie sama, że nikt nie przyjdzie, nikt nie zapyta i nikt nie pomoże. Od dawna już nie przychodziła nawet „kobieta do posług”. Nie można też sobie było wyobrazić, aby na przykład zajrzał ktoś z biura. A potem, te pytania!... Dlaczego pani nie wezwie lekarza? dlaczego nie ma gazu? telefonu? posługaczki? przyjaciół? Dlaczego to? dlaczego tamto? dlaczego? dlaczego? dlaczego? Bronka wzruszyła ramionami i odpowiedziała głośno czterem pustym ścianom.

– Nie wiem.

Zegar cyka uspokajająco. Dobre i to.

Nie, dużo spraw ciemnych. Po co ta rozmowa o Tiessie, po co było o tym Ignacemu mówić. Straciła go. Była jak ten robociarz z zadłużoną i nędzną tygodniówką. Idzie do szynku i przepija ją. Bo nic innego z niej nie będzie, nie starczy na porządne życie i nie starczy na śmierć. Nie mogła się oprzeć chęci zranienia go, dlaczego? Miała jeszcze w sobie taką uczciwość inną, a nie miała już instynktu życia, a on miał ten instynkt. Po cóż ciągnąć go za sobą?... Po cichu, w sobie, miała do niego także gluhe i rozliczne pretensje.

O co? O wszystko. O całe złe życie, w którym tkwiła. O ludzi. O smutne ulice i straszne mieszkania. O bezrobocie, o całą tę truciznę, jaką wchłaniała w siebie w biurze. Miała właśnie podświadomą pretensję nie do kogo innego, tylko do niego, miała go na oczach, był przecież jednym z zarządzających życie, brał w tym udział. Ocierał się o ludzi wszystko mogących. Rozprawiali o tym. Mówili. Pisali. O coś się strasznie żarli. Nauczali. Ale wszystko to było taką samą robotą jak lotne kolumny czystości Magdaleny Piędzickiej na peryferiach, gdzie nie było wody. Na gwałt, namiętnie rzucono się na uświadamianie i oświecanie mas, nie troszcząc się o to, że za oświatą idzie pragnienie nieuniknione, wyższego poziomu życia codziennego. Ale: „Oświata ludu dokona cudu” – i basta. Bronka miała przeraźliwie jasne widzenie tej rzeczy, tej konstrukcji wznoszonej w pustce. Nikt nie zdawał się myśleć o daniu ludziom podstaw i możliwości naturalnego, samodzielnego rozwoju, o opracowaniu tych ram, w których każdy obywatel będzie mógł żyć bez tych straszliwych zahamowań, jakie ciągle istniały w warstwie nieuprzywilejowanej. Nikt nie myślał o sprawiedliwej zasadzie równego startu.

Nie mogła się oprzeć krzywym uśmiechom, patrząc na Ignacego. Tak, życie samo w sobie nosi zarodek rozkładu, ale ktoś, kto wierzy w życie niezniszczalne, niechże mu nada pewien sens. Czy Ignacy da się stłamsić przygodom między kiecuszkami dwóch kobiet, czy osiągnął pełnię w tym istnieniu między pozytywnym, uregulowanym, jasnym życiem Magdaleny a niedbałym i pustym Bronki?... Czy zlepi z tych kontrastów swoją prawdę, czy utonie w nich? Była na wskroś kobietą i podświadomie pragnęła, by jej samiec był męski nie tylko w pewnej, dość ograniczonej dziedzinie życia. Ta skomplikowana, wewnętrzna jej żądza nadawała ich stosunkom cechę podniecenia i bólu.

Straciła go. Straciła go tak dosłownie, że gdy się spotkali, żadnemu z nich nie przychodziło do głowy machinalne, zdawkowe pozdrowienie. Patrzyli na siebie z daleka, Ignacy ze zdumieniem, że za tą nikłą kobietą mógł tak szaleć, Bronka z nieukrywaną ciekawością, jakby pytając: no i co dalej?... Jej głuche pretensje nie zdawały się wygasnąć...

Nie przespana noc dała o sobie znać. Bronka zdrzemnęła się siedząc, a potem opadła lekko na posłanie, z zaciśniętymi kurczowo dłońmi, wzdragając się od katastrof przeżywanych we śnie. W tym stanie półświadomości zyskiwała śmieszną i poważną wiedzę o człowieku, o sobie, o swoim cielesnym bezsilnym. Odrząciła wszystkie ręce, a teraz pragnęła trzymać czyjąś rękę w swej dłoni. W bólu wyciągała szyję, dysząc, wyciągała szyję z rezygnacją i poddaniem pod ogromny nóż losu, tak jakby ta rezygnacja miała oszczędzić jej cierpień. Niech się już stanie, niech się już stanie! I, nie, nie, nie, poddawała się i jęczała, walczyła tylko samym faktem, że jest jeszcze, że

trwa.

O jakiejś porze znów ocknienie. Podwórce, przyległe domy, trawniki i jabłń leżą teraz w jakimś wielkim oddaleniu, w głębi, w otchłani. Skądże się wziął ów dystans niezwykły? Nieruchome obłoki stoją na niebie, na wprost okna, niczym dekoracja teatralna, zanim powoli, powoli nie zagarnął ich mrok. Wtedy z kolei zapaliły się gwiazdy, zawisł sierp księżycy... Zegar umilkł nie nakręcony. Trzeba się przygotować do jeszcze jednej niespokojnej nocy.

– Ale właśnie zapukano. – To ze składu aptecznego rzekł kobiecy głos za drzwiami. – Pani zamówiła wczoraj krople i nie wzięła. – Bronka otworzyła drzwi, panna Aniela weszła i bez pauzy ciągnęła dalej. – Zaraz sobie pomyślałam, że pani coś musiało przeszkodzić, i jak tylko zamknęłam skład, wyrwałam się i jestem. – Przyjrzała się swej klientce i rzekła. – To serce. Dawno poznałam to po pani niskim głosie.

Oświadczyła, że może zostać i zrobić, co potrzeba. Zamyśliła się.

– Muszę iść chyba do domu po maszynkę.

Bronka prosiła o ogień.

– Ależ to będzie dłużej trwać!

Ale Bronka nieomal z płaczem upierała się przy ogniu. Panna Aniela zrozumiała i zgodziła się. No, już dobrze, dobrze, zapalimy ogień.

– Gaz – rzekła Bronka – przypomina odgrzewane obiady i samotność. A także zapach gazu w kuchni mówi o zawiedzionej miłości i śmierci. Uczepiła się tego tematu, ognia, płomienia, trzaskającego drzewa, iskier, zapachu. Panna Aniela przyjrzała jej się podejrzliwie.

– Niech się pani kładzie i leży spokojnie. Zaraz będzie herbata.

Ułożona na łóżku w kuchni, Bronka nie przestawała mówić.

– Zmywanie już nie wchodzi w zakres miłosiernego pani uczynku – rzekła.

Panna Aniela odpowiedziała wyniośle.

– Niech chora będzie cicho!

Wybuchnęły śmiechem, aż łzy i niepokojące drgnienia przebiegły przez twarz Bronki. Panna Aniela odwróciła się dyskretnie do płyty, a potem szepnęła.

– Niech pani tylko rzeknie słówko, a dam mu znać.

– Komu?

– Temu facetowi, który nieraz panią odwoził.

Bronka potrząsnęła głową.

– Nie? A ten drugi, taki przystojny, wysoki? Nie? A to dopiero! Dawniej to kilka razy dziennie przemierzał tę drogę do pani. Ale jak potrzeba, to ich nigdy nie ma.

Bronka przymknęła oczy. Panna Aniela zapytała.

– Zaśnie pani? Niech pani się niczym nie przejmuję. Ja wpadnę na chwilę do domu i zaraz wrócę.

Ale gdy wróciła po godzinie z bułkami, wędliną i pomarańczami, zastała drzwi zamknięte. Chora poczuła się widać lepiej i wyszła. A szkoda. Panna Aniela zawiodła się, chciała przecież opowiedzieć też o sobie. I niepotrzebnie rozpalalo się ogień.

XXXII

– Tędy pani nie przejdzie – rzekł policjant – cofnąć się, cofnąć! odstąpić!
– Od rana ludzie z dołu, z Czerniakowa, Siekierok, dolnego Mokotowa gromadzili się na rogach ulic w pobliżu Belwederu i to w końcu zmusiło policję do zamknięcia przejścia. Bronka bezradnie upierała się.

– Ależ ja muszę przedostać się do biura.

– Nic pani nie musi. Niech pani odejdzie stąd i już!

Odepchnięto ją, ale natychmiast wróciła na dawne miejsce, z trudem opanowując wzburzenie.

– Niech pan mi powie, co za sens zamykać tę ulicę?

Patrzyła przez ramię policjanta w pustą, uroczą o tej porze przestrzeń Alei Ujazdowskich, w wysoki szpaler kwitnących kasztanów.

– Nie będę o tym z panią dyskutować, bo nie ja wydaję rozkazy. Gdybym wydawał rozkazy, moglibyśmy się spierać, czy jest sens, czy nie ma.

Ktoś rzekł głośno.

– Mają pietra, nie wie pani?

Młodzieniec stający naprzeciw Bronki, jednak już po drugiej stronie kordonu, w cyklistówce głęboko nasuniętej na oczy, z rękami w kieszeniach marynarki zapiętej na agrafkę, mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Puść pan tę panią – rzekł do policjanta. – Co jest?

Policjant odwrócił się i natarł na tłum, który czuł ciągle za plecami.

– Rozejść się, powiedziałem! odstąpić!

Młodzieniec w marynarce perorował.

– Co u Boga Ojca, stać nie wolno? Kobiet się już boją, czy co. Puść pan tę panią, mówię! – Nie wyjmując rąk z kieszeni udał zgrabnie, że go pchnięto, i wpadł na policjanta.

Bronka błyskawicznie przemknęła koło niego. Rozległ się ostry gwizd świstawki policyjnej. Ale młodzieniec w marynarce rzucił się w bok i ulotnił jak kamfora, a Bronkę wchłonął tłum. Teraz jednak policja energicznie zabrała się do dzieła i mały odcinek ulicy został oczyszczony.

Biegła prawie, nie oglądając się za siebie, ale potem zwolniła kroku. Ciska, wózki z oszołomionymi powietrzem niemowlętami suną bezszelestnie.

Jest zupełnie spokojnie, tylko wewnątrz głucha myśl o Ignacym, żywe poczucie jego obecności od rana. Nagle z zabudowań wojskowych wysunął się oddział żołnierzy i Bronka znów przyśpieszyła kroku. Ożywiony ruch na placu Trzech Krzyży, grupy ludzi na rogach.

– Panie, co to się stało?

– Nie wiem. Ludzie stoją i nie wiedzą sami po co? Już czuć nastrój podniecenia w tej niepewności.

Przed bramą biura, jak nigdy, dozorczyńni z synem, woźni, przechodnie. Na górze cisza. Nawet petentki z listami polecającymi zawiodły, a woźna chodzi od okna do okna, wyglądając.

– Proszę pani, coś się szykuje!...

Bronka otworzyła biurko, wyjęła papiery, spróbowała coś robić... Ale wreszcie, zdecydowana, wrzuciła je z powrotem do wnętrza szuflady.

– Ja na chwilę wyjdę!...

Błądziła po mieście, ulicami, chwytając strzępy rozmów.

– Wojsko idzie na Warszawę...

– Jakie?...

Policja następowała ludziom na pięty, rozbijając większe gromadki, gęste patrole krążyły po mieście. Samochody ciężarowe, naładowane żołnierzami, z hukiem przemknęły przez jezdnię. Nagle sformował się pochód i okrzyki jak race wystrzeliły w powietrze. W głębi Nowego Świata zakotłowało się „Jakaś manifestacja” – pomyślała Bronka i zawróciła do biura. Przez godzinę próbowała pracować i podczas gdy przepisywała jakiś list, czuła w sobie wielkie napięcie myśli i uczuć w jakimś zupełnie innym kierunku. Telefon milczał. Nawet woźna ulotniła się bez uprzedzenia. W pewnej chwili zniecierpliwione ręce znów rzuciły papiery do szuflady, biuro zostało zamknięte.

Na mieście już było wiadomo, co zaszło. Ulotki krążyły z rąk do rąk.

– Marszałek idzie na Warszawę! Marszałek stoi w Grochowie!

– Nie, na Pradze!

Bronka rzuciła się w stronę Zjazdu. Przepychając się w gęstym tłumie, utykając, nasłuchując, myślała. „Ignacy, Ignacy!...” Wśród tłumy widziało się mężczyzn w dawnych mundurach legionowych, bez odznak, pochody młodzieży akademickiej, energicznie rozpraszane, formowały się od nowa.

Jakiś człek, stojąc na skraju chodnika, mówił urągliwie.

– Póki był potrzebny, to był dobry, bo się bali. A teraz mu wszystko odjęli, życie mu zatruli... Co za naród taki!...

Ktoś rzekł:

– A bo i prawda, co za naród! W innych krajach, choćby i w takich Czechach, choćby i ten Masaryk, to go wynoszą pod niebo i jest niedotykalny. A u nas, to aby ugryźć, aby dźgnąć, aby powalić!...

– Naród? – dziwił się jegomość o zamyślonych oczach – czy naród ma tu co do gadania?... Halte pysk i basta. To wcale nie naród, to oni gadają za naród, ci, ci...

Bronka wpadła do pierwszego z brzegu sklepu i bez słowa schwyciła tubę telefonu. Za chwilę może być za późno! za późno! Żeby tylko zastała go w domu!... Chwila, kiedy stała wśród worków i pak sklepu kolonialnego, z słuchawką w dłoni, z oczyma utkwionymi bezmyślnie w etykiety na butelkach win, wśród dźwięku pieniędzy, zamówień kupujących i gwaru napływającego z ulicy, wydała jej się wiekiem. Usłyszała niecierpliwy głos.

– Halo! – i rzekła bez tchu.

– Ignasiu, chcę się z tobą widzieć, zaraz, tylko na chwilę!

Po tamtej stronie odpowiedziano prędko.

– Mam bardzo mało czasu! gdzie jesteś?

– Na Krakowskim.

Chwila milczenia, a potem:

– Słuchaj, jak tam jest? czy puszczają na Pragę?

Straciła głowę i odpowiedziała:

– Nie! tak! ja nie wiem!...

Wtedy rzucił adres narożnej cukierenki na Zjeździe.

– Idź tam i czekaj! Czekaj, aż przyjdę!...

Już zapadał lekki zmierzch. Tramwaje stanęły. Tłum gęstniał tak, że trudno było przejść chodnikiem. Mała weranda cukierni, wypełniona po brzegi, wrzała od głosów. Przyległa salka, pusta, rozbrzmiewała dźwiękami radia. Aż tu dobiegał zmieszany gwar głosów. Na werandzie ktoś informował głośno.

– Wojska rządowe obsadziły most od strony Warszawy. Nie można już dostać się na Pragę.

Głos niewieści, cienki i skłopotany, zapytał:

– Co to będzie, mój Boże? jak ja się dostanę na kolejkę?

– Kolejki stoją!

– Skąd pan wie?

– Skąd wiem? a stąd, że jestem kolejarzem... – Niski, krępy człowiek, z czapką zsuniętą z czoła, klasnął w ręce i półgłosem obwieścił: – Jak trzeba będzie, to wszystko zatrzymamy i szlus!...

Bronka siedziała nieruchomo przy stoliku nad nie dopitą kawą, aż granatowy zmierzch stanął w otwartych drzwiach. Od ażurowej kraty werandy snuł się cichutki i wstydlivy szept małej sprzedawczyni.

– Fiołki świeże, pachnące, fiołki... niech pani kupi, niech pan kupi, proszę pana!

Radio zawodziło.

Kwitną bzy w naszej dawnej alei.
Księżyc wszedł.

To wszystko było jakieś nierzeczywiste, nierealne zupełnie.

Bronka ujrzała Ignacego we drzwiach.

– Chciałam cię tylko zobaczyć, zobaczyć.

Trudno im było mówić. Panienska w białym fartuchu przyniosła filiżankę czarnej kawy. Ignacy mruknął.

– Zaraz zapłacę, proszę pani.

Radio wyrzucało z siebie błagalne, krótkie okrzyki, nikłe słowa na tle szumnego akompaniamentu muzyki. Ignacy spojrział na Bronkę, jak zmierzniała! Wyciągnęła ramię szybkim ruchem i położyła skurczoną dłoń na stole. Pokrył ją swoją dłonią.

– Ignasiu – szepnęła – Ignasiu, Ignasiu!

Oczy miała pełne łez. Mruknął:

– No dobrze już, dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Wstał.

– Musimy to wszystko ułożyć, słyszysz? Tak nie wolno żyć.

I wydało się, iż ten tłum za balustradą, okrzyki, strzępy rozmów i oni sami mają w sobie jeden wspólny wyraz, pragnienie oczyszczenia, tęsknotę do doskonałości...

Nagły gwałtowny huk wstrząsnął powietrzem. Znaleźli się na ulicy, wśród pierzchającego tłumu, i natychmiast stracili się z oczu. Gesty suchy trzask strzałów niósł się z dołu. Bronka, odrzucona w Miodową, stanęła za załomem muru. Popłoch trwał chwilę, po czym ludzie pchani ciekawością, gorączką, chęcią uczestniczenia w tym, co się stawało, znów napełnili ulicę. Dał się słyszeć sygnał karetki pogotowia. Wśród ciągłego przepychania się policji, straży, strzelców, podawano sobie z ust do ust ostatnie wiadomości.

– Biją się na Powiślu!

– Na Zjeździe!

– Są już w mieście!

Ostry grzechot karabinów maszynowych niósł się coraz bliżej. Tłum ocierał się o bojowe szeregi żołnierskie, wycofujące się w Senatorską. Wyrastki, kobiety, dzieci, robociarze, stateczni mężczyźni płatali się tuż pod samą linią obstrzału, przedzierali się chyłkiem, forsowali zaułki, aby dostać się na plac.

– Marszałek jest w komendzie miasta! – rzekł ktoś ogromnym głosem. Tłum rzucił się w tamtą stronę. Oddział policji znów zamknął ulicę.

Na rogu Miodowej, w ciżbie, Bronka usłyszała znajomy głos.

– Panie rejencie, nie widział pan gdzie mojego męża, mojego męża, Romana?...

Bronka spojrzała w tamtym kierunku i krzyknęła co sił:

– Kwiryńska!

– Bronka!

Objęły się drżącymi ramionami i uściśniły. Rejent, stojąc pod murem, co chwila umacniając binokle, z podziwem rozglądał się naokoło siebie.

– Romana? jakiego Romana? nie! – Po czym powtarzał. – Co za nadzwyczajna, niefrasobliwa pogarda dla niebezpieczeństwa. Ci ludzie przecież łażą pod kulami.

– A pan?...

Kwiryńska wróciła do swego.

– Wyszedł rano i przepadł. Wyszedł zamówić towar. Co się z nim mogło stać? Chodzę po szpitalach, po ulicy... – Nagle z akcentem rozpaczy zwróciła się do Bronki. – Chodź ze mną na miłość boską, będziemy czekać w domu. Ja sama nie mogę wysiedzieć.

Idąc ogromnymi krokami naprzód, ku zdziwieniu Bronki monologowała głośno:

– Żeby im się tylko udało, niech się to raz skończy, bo już wytrzymać nie można. We własnym domu człowiek nie ma spokoju, może wreszcie coś się zmieni, czy jak. Może wreszcie nastąpi jakiś ład, tak dalej być nie może!...

I Bronka, drepcząc obok, miała to samo poczucie jakiegoś innego, lepszego życia, jakiejś ulgi.

TOM DRUGI



I

– Nie zatrzymuj Cechny – rzekła pani Raczyńska do Amelki – bo może ona ma jakieś swoje plany?...

Amelka spojrzała na matkę zdziwiona.

– Co mama ma na myśli?

Pani Raczyńska znacząco zakłopotana się i zmieniła temat rozmowy. Albowiem w głowie jej się pomieścić nie mogło, aby Cechna, jako matka, i siebie, i dziecko skazywała na najgorszy los, musi mieć jakieś tajemnicze powody, dla których wyprowadza się od Amelki, tak mało zarabiając.

– Ach, mammo! – machnęła ręką Amelka. – Mama ciągle ma jakieś widoki i coś w odwodzie... – Ale nie protestowała i nie zatrzymywała siostry, a nawet w kuchni przy Katarzynie powiedziała głośno, że nareszcie w domu zapanuje jaki taki spokój i ład. – Wszędzie ta pościel porozkładana, wiecznie stół nakryty!... – Amelka znów chodziła rozdrażniona, w dokuczliwym i zrzędzącym nastroju. Mówiła.. – Ten Filip jest idealny, że to wszystko znosi!... – I nalegała na matkę. – Kiedy wreszcie Hela i Felcia zaczną pracować? – Pani Raczyńska nie spodziewała się takiego braku serca u Amelki, ale Cechna energicznie poparła siostrę i nawet – o dziwo, ledwo sama dostała posadę, zaczęła się kręcić za pracą dla sióstr. I rzeczywiście wystarała się – i znów przez Bronkę.

Pani Raczyńska, gdy się o tym dowiedziała, aż otworzyła usta.

– Co ta Bronka taka się zrobiła ważna? – Okazało się, że Felcia została skierowana przez Bronkę w kilka miejsc, a gdy tam nic nie udało się zrobić, posłano ją do pewnego pana, który obdarzył Felcię listem polecającym. Ten pan to był nie kto inny, tylko dawny Ignasz Piędzicki. Felcia nie mogła go pamiętać, bo w tym czasie, gdy zaglądał na Nowolipki, była malutkim dzieckiem, ale gdy tylko wymówiła nazwisko swego dobroczyńcy, trzy głosy kobiece krzyknęły jak na komendę. – Ach! i umilkły. Pani Raczyńska zatonała w wspomnieniach i rozgrzana wydobyła z pamięci ów dzień.

– Kiedy to aptekarz oświadczył się o Amelkę, pamiętasz, Amelciu, tego dnia właśnie robiłyśmy porządki w domu? Trzepałam meble w ogródku Mossakowskich, a tu zjawia się jakiś oficer w mundurze, wcale go nie poznałam... – I pani Raczyńska opowiedziała całą tę romantyczną historię, ukrywając oczywiście swą rolę informatorską, bo chociaż to, co powiedziała

wówczas o Bronce, było prawdą, ale teraz nie należy o tym wspominać.

– Co komu przeznaczone, to go nie minie! – rzekła uroczyście. – Zobaczycie, oni się w końcu pobiorą!

– Nie, mamu – odpowiedziała Cechna – nie pobiorą się, bo Piędzicki jest żonaty.

– Taak? – Amelia rozgniewała się nagle. – Mama przeżyła tyle lat w najgorszych warunkach, a ciągle się mamie zdaje, że w życiu to jak w bajce... Mogłabym coś o tym powiedzieć!...

Pani Raczyńska wpatrzyła się uważnie w wzburzoną twarz córki i rzekła ostrzegawczo.

– Ej, Amelciu, ej! nie kuś losu, bo cię Pan Bóg ukarze!... Jak komu za dobrze, to mu zaraz rogi rosną.

Jednak naprawdę, rzeczywistość jest gorsza niż najgorsze przypuszczenia, nie mówiąc już o marzeniach, powiedziała sobie pani Raczyńska zaraz na drugi dzień po tej rozmowie. Poszła obejrzeć nowe mieszkanie Cechny i aż ręce załamała. Teraz zrozumiała jasno, że Cechna naprawdę chce żyć sama z Zuzanną, że nie ma nikogo innego w odwodzie, ale do czego to ją doprowadzi? Zmarnuje dziecko! Takie dziecko, które ma pańskie nawyki i przyzwyczajenia, jest dumne, żąda wszystkiego, co najlepsze, i które przez to tak się babce podobało jak żadne z jej rodzonych dzieci.

Pokój – bo to był tylko jeden pokój z płytą kuchenną – znajdował się na drugim i ostatnim piętrze domu mieszkalnego przy jakiejś nieczynnej fabryce, na krańcu przedmieścia. Zlew i wodociąg w sionce, ubikacja na dziedzińcu. Jedyne okno, bez słońca, wychodzi na ulicę przetrzętą węzłową linią szyn tramwajowych, wybrukowaną kocimi łbami. Straszny hałas, straszny huk, stare sprzęty Kwiryny, poustawiane byle jak, drżą i szcękają od ciągłych wstrząsów. Pani Raczyńska spróbowała perswazji.

– Czy Zuzanna nie mogłaby zostać u Amelki, póki ty się jakoś inaczej nie urządzisz?

– Ja już się urządziłam – odpowiedziała Cechna i głęboko obraziła matkę mówiąc bez ogródek, że bieda i niewygoda będą w skutkach mniej złe dla Zuzanny niż powrót do ojca czy pobyt w domu Amelki. Pani Raczyńska, z purpurowymi plackami na policzkach, zapytała.

– Dlaczego to? – Cechna odpowiedziała sucho. – Nie będę mamie tego tłumaczyć, bo się nie zrozumiemy.

Tak, na Cechnie znów trzeba położyć krzyż, po raz drugi i ostatni. Pani Raczyńska zajęła się wyprawianiem Felci na posadę. To ją pocieszyło, pocieszający widok: dwie walizy, nowe i przywoite, z sukniami i bielizną, worek z szarego płótna z pościelą i nesecer z drobiazgami. Zupełnie coś innego niż ongiś wyjazd Cechny na posadę. Amelka przyszła pomagać matce, ale zamiast także się ucieszyć, rzekła z podziwem i złością.

– Ależ mama umie się zakręcić koło interesu! Wyobrażam sobie, ile to kosztowało!... – Boć ostatecznie wszystko to szło z jednego źródła – od aptekarza.

Amelka pozostała sama. W pięknym szlafroku przesiadywała w swoim ulubionym kącie w bawialni i trzeba przyznać, że gdziekolwiek usadowiła się na dłużej, zaraz tworzyła koło siebie przyjemne tło, nastrój zadomowienia i ciepła. Rozwarta książka, wazon z kwiatami, patera pełna owoców lub orzeszków, ciepły i miękki szal na poręczu fotela, tak ją zastawali domownicy przychodzący ze dworu, z kuchni, z apteki. tak oczekiwała. Sama sobie nie zdawała sprawy z tego, że oczekuje, nagle tylko odczuwała niespokojne poruszenie serca i pytała. „Na co ja tak czekam?” Nasłuchiwała kroków na schodach. Ale teraz, gdy była samotna, gdy nikt się nie kręcił po pokoju, nic także nie układało się według jej tajemnych myśli. Prowizor ani zajrzał. Od matki można się było dowiedzieć, że Filip zatrzymał go po dyżurze, że sobie siedzą i gadają. Naturalnie, Filip!

Amelka zasłabła. Mogła teraz łatwo doprowadzać się do takiego stanu, że ręce i nogi lodowaciały, a serce zamierało, i już sama nie wiedziała, czy jest naprawdę tak chora, czy udaje? Pani Raczyńska pobiegła na dół, do apteki. Zjawił się prowizor w białym kitlu, ze szprycą w pogotowiu, i w mileczeniu wykonał zabieg. Ale potem odwrócił się do pani Raczyńskiej i rzekł:

– Niech nas pani zostawi samych. – Powiedział to tak poważnie i stanowczo, że pani Raczyńska natychmiast opuściła pokój. Prowizor zamknął za nią drzwi, usiadł na brzegu łóżka, spojrział na chorą i mruknął surowo:

– Co pani wyrabia! Żeby kobieta w pani wieku nie umiała się jakoś urządzić!

Amelka szepnęła:

– O czym pan mówi?

– Pani wie, o czym ja mówię, niechże pani choć przede mną nie udaje, bo to zupełnie niepotrzebne. Wzrosła pani w sferze gorszej niż ciemne chłopstwo na wsi, chłop przynajmniej ma nie stępiony instynkt. Pani matka – prowizor machnął ręką – dość na nią spojrzeć! Pani mąż to mętny nudziarz, unikat wśród farmaceutów, którzy na ogół są klasą najbardziej postępową... – Amelia uczuła męską dłoń na swoich plecach, leżała bowiem odwrócona i słuchała. – U was mówiło się tylko o grzechu, cnocie i karze. Nic o ciele. Wyszła pani za mąż z biedy. Dla matki, dla sióstr. No i dla siebie... Założę się, że niemalą rolę odegrały w tym te właśnie koroneczki okrywające pani plecy... Ale nie opłaciły się, co?

Ach, to był szatan, szatan! Amelka, przywykła do skrywania uczuć, do zasypywania swych burz, wstrętów i pragnień grzecznymi słowy, modlitwą, a wreszcie chorobą, przeraziła się tej szczerości. Ogarnął ją lęk przed tym człowiekiem, a potem rozczarowanie. nie współczuł jej, myślał o niej w ten

okropny sposób, że się sprzedała „za koroneczki”. Dwie łzy spłynęły po jej policzkach. Nienawidziła w tej chwili prowizora z całego serca. Nagle usłyszała.

– Jest pani także pewnego rodzaju ofiarą ustroju społecznego – i zdawało jej się, że to aptekarz mówi. Wszyscy oni jednakowi! wszyscy jednakowi!

– Niech pani posłucha, pani Amelio. Czy pani wie, co zastryknąłem? Wcale nie kamforę, a po prostu arszenik, niewinny środek. A pani zaraz się czuje lepiej, prawda? Niech pani skończy z tymi sugestiami, z tymi atakami, bo więcej tu nie przyjdę. Ma pani najzupełniejsze prawo nie odmawiać sobie innych przyjemności życia. Jeszcze rok, dwa – i po wszystkim. Niech pani sobie weźmie kochanka.

Właśnie kiedy oczekiwał okrzyku obrazy i gniewu, Amelka usiadła na łóżku i rzekła drwiąco.

– Jaki pan mądry! To wcale nie jest tak łatwe, jak się panu zdaje! – Zaskoczyła go tak bardzo, aż na jego ciemnej, szorstkiej twarzy odmalowało się zdumienie.

– Nie jestem mężczyzną – mówiła Amelka spokojnie – nie mogę wyjść na ulicę i skinąć ręką. Tak, tak, jestem wychowana w ciemnych przesądach, chciałoby się przy tym wszystkim trochę uczucia!... – Nagle opuścił ją spokój, podniosła głos z gniewem, z wzdargą. – Chiałoby się żyć bardziej po ludzku...

– Widzę, że cała burza skrupi się na mnie.

Odwróciła się i machnęła ręką.

– Mówię to tylko dlatego, żeby mi pan tak ciągle nie imponował. Nie trzeba. Niech się pan wynosi!

Gdy wyszedł, nastawiła radio. Nie dało się zaraz schwytać czystej melodii i zgrzyt, pisk, huk i jęk gdzieś wypowiedanych w świecie słów wzburzył ją niespodziewanie. „Jeszcze rok, dwa – i po wszystkim”. To prawda. Jej piękne ręce żółkną, policzki obwisają, koło oczu snuje się cieniutka sieć zmarszczek. To prawda, niczego już nie zazna prócz mdłej, starczej czułości męża, prócz jego dotknięć, od których serce nie bije, a zastyga jakimś niewypowiedzianym znużeniem... Nagle, manipulując przy skrzynce, natrafiła na jakiś punkt w świecie, gdzie po prostu grano, grano coś błęgiego i rozmarzającego. Ciało... Nie, to nie wszystko, oddała się przeciw temu pierwszemu i w jego ramionach przeżyła pierwszy dreszcz i pierwsze zaspokojenie. Ale ciągle i ciągle czuje w sobie jakiś brak dojmujący, tak samo jakby pieśni, której słucha, odjęto ów ton głęboki i niski, nadający jej ten akcent pełny, urok napędzający łzy do oczu, ściskający serce spazmem tęsknoty, ciało wielkim westchnieniem. Odjęto jej to, co każdy człowiek musi mieć, aby żyć, obrabowano ją z miłości! Cień doznań przemknął koło niej wraz z Andrzejem, przy Andrzeju czuła się inaczej: pięknie, dobrze i młodo,

ujrzała świat i życie w innym oświeceniu. O, te fiołki na ulicy, drzewa w ogródku przykościelnym, błysk słońca, zapachy, barwy!... Poznała, co to jest zatonać spojrzeniem w czyichś oczach, wisieć spojrzeniem u czyichś warg, wzdychać jednym westchnieniem do nieosiągalnego raju miłości. Łzy nagle przebiegły jej policzki, otarła je prędko. Ach, ta piekielna skrzynka, to radio, przy którym aptekarz zasypiał lub zapadał w błogostan z uśmieszkiem na twarzy, a jego oczy mętniały od przyjemności, jakiej doznawał. Jakże to być może, że to, co ją napełniało wzburzeniem, usypiało jej męża? Nie słyszał tych krzyków, wołania świata, namiętnego, gwałtownego belkotu, wszystkiego, co ją poruszało do głębi, do dna.

Drzwi wejściowe szczęknęły. To Filip. Natychmiast w głębi korytarzyka dało się słyszeć dreptanie pani Raczyńskiej. Amelka prędko chwyciła książkę.

– Co to Filip tak wcześniej wrócił? Przecież Filip ma dyżur, a kolacja jeszcze nie gotowa. – Aptekarz wszedł do stołowego i skierował się wprost do bufetu, do syfonu z wodą.

– Zirytowałem się, że nie daj Boże! Ależ to jest po prostu bolszewik!

– Kto?

– Prowizor.

Amelia wstała i przeszła do jadalni. Aptekarzowi trzęsły się ze złości ręce i woda z syfonu pociekła na lśniący blat kredensu. Pani Raczyńska chwyciła za ściereczkę.

– Co Filip mówi! A ja go miałam za takiego porządnego człowieka!

– Wygadał się! – rzekł aptekarz. – Ja trochę podejrzewałem, że on coś w sobie kryje, aż wygadał się!

Posprzeczali się z prowizorem o napis nad drzwiami do laboratorium. *Omnia cum Deo, nihil sine Eo*⁸. O napis i obrazek. Prowizor rzekł.

– Tu przecież nie kapliczka, ale apteka. Po takie leki pacjenci mogą iść naprzeciw, do kościoła...

– Od słowa do słowa, okazało się, że to ateista⁹, diabli go wiedzą, może mason? Dziękuję, mieć takiego na karku, w aptece! – rzekł aptekarz – przecież ja się boję do niego ust otworzyć!

– To go oddał – rzekła niespodziewanie Amelka. Przecież ślubu z nim nie brałaś. On do nas nie pasuje jakoś... – Serce jej zabiło, bo w tej chwili dopiero uświadomiła sobie, że prowizor pomógł jej w czymś, w jakimś poznaniu samej siebie. Jest szorstki, nie można spodziewać się od niego miłych rzeczy, ale przynajmniej nie kręci, nie fałszuje i nie zawraca jej głowy. Już pożalowała swoich słów, ale właśnie aptekarz odpowiedział. – Co ty mówisz! Oddać takiego znakomitego pracownika! Ja sam nie wiem... bo

⁸ *Omnia cum Deo, nihil sine Eo (lac.) – wszystko z Bogiem, nic bez Niego.*

⁹ *Ateista – niewierzący w Boga.*

z jednej strony mam dla niego szacunek... z drugiej...

Amelka uśmiechnęła się wzgardliwie i rzekła.

– No, to go sobie trzymaj, tylko niech się nie fatyguje z tymi zastrzykami.

Po co wy taki gwałt robicie koło mnie, czy ja was o to proszę?!

Ale tego samego dnia prowizor, wychodząc z apteki, wstąpił na górę i zupełnie zwyczajnie, przy pani Raczyńskiej, powiedział:

– Co pani robi dziś wieczorem? Pójdziemy do kina?

To było w nim też godne podziwu, że nic nie robił chyłkiem, że wszystko stawało się tak proste. Nawet pani Raczyńska nie miała żadnych podejrzeń.

– Idź, Amelciu, rozerwij się trochę, a nie tak ciągle z łóżka na kanapę, z kanapy na łóżko.

W kinie siedzieli obok siebie w milczeniu, nie dotykając się nawet rąbkiem ubrań. Pomimo że nie rozmawiali, Amelia nie bardzo wiedziała, co się dzieje na ekranie. Przy wyjściu prowizor ujął ją pod rękę.

– Zapraszam panią na herbatę do siebie.

– Dobrze! – rzekła Amelka – ale musi mi pan obiecać...

Puścił jej ramię i rzekł:

– To śmieszne. Niech pani da spokój. Jesteśmy ludźmi dorosłymi.

Może to i lepiej iść tak w milczeniu, nie udawać wreszcie, nie grać komedii zaskoczenia i wzdragania się. Amelka podniosła głowę. Może to i uczciwiej... Szli przez jakąś ulicę, wspięli się na schody, weszli do obcego mieszkania. Okno w tym pokoju było zasłonięte, Amelka stanęła w półmroku przy drzwiach. Czowała w sobie śmiertelne zimno i pragnienie, zdawało jej się, że porzuca w tej chwili na zawsze tamto życie, nie będzie już nigdy aptekarza ani szaf z ubraniami, ani domu, wszystkich tych spraw i rzeczy, o których utrzymanie tak drżała. Jest tylko dwoje ludzi, poszukujących się w ciemności – oto ręce spotkały drugie ręce – podtrzymujących się, wspartych o siebie w głuchym milczeniu, obcych a rozumiających sobie.

II

Zuzanna przyszła do nowego mieszkania po raz pierwszy prosto ze szkoły, w pięknym mundurku uczennicy.

– Czy mamy tu mieszkać? – zapytała ze zdumieniem. Ogarnęła oczyma małe wnętrze o bielonych ścianach, stare meble Kwiryny, które Roman miłosiernie odnowił jakimś błyszczącym płynem poleconym mu przez panny Ziemskie jako uniwersalny środek, pakę do węgla, przykrytą deskami, służącą także za umywalkę, lampkę u sufitu, z blaszaną umbrelką¹⁰. Nie zapytała o nic więcej, ale sposób, w jaki usiadła na zasłanym już łóżku, twarzą do okna, nie

¹⁰ *Umbrella – abażur.*

patrzając na matkę, powiedział Cechnie jasno, że Zuzanna nie aprobeuje tego wszystkiego i że zacznie uprawiać taką właśnie milczącą manifestację wobec wysiłków matki. Te wysiłki były przecież dla niej niezrozumiałe, będzie się czuć pokrzywdzona. Cechna, krzątając się, ni stąd, ni zowąd zaczęła opowiadać o pewnej kanapie, nadzwyczajną historię o kanapie, która zaważyła na losach pewnej dziewczyny.

– Podobna do tej, jaka stoi u babci, wiesz? Gdy kanapa była nowa, stała w najlepszym pokoju, w najlepszym miejscu i nie siadano na niej, aby nie zniszczyć pluszowego pokrycia. Gdy któreś z dzieci zajrzało tylko do tego pokoju, matka biegła aż z kuchni, żeby zapowiedzieć: „Nie wolno dotykać kanapy!” Okurzano ją co dzień i trzepano co tydzień. A gdy wypadła przeprowadzka, przede wszystkim szukano w nowym mieszkaniu miejsca dla kanapy. Ojciec rodziny zmarł i trzeba było wziąć mniejsze mieszkanie, ale co będzie z kanapą? Rodzina pozostała w dawnym mieszkaniu, kanapa na swoim miejscu, a pani domu często twierdziła, że inaczej być nie może, bo co zrobić z pluszowymi rodzinnymi meblami? Krzywym okiem patrzyła, gdy goście kręcili się siedząc na kanapie, ponieważ kręcąc się wycierali plusz więcej, niż gdyby siedzieli spokojnie. Głośno ubolewała. „Co pani taka nerwowa?!” Goście zaklinali się, że wcale nie są nerwowi i czują się dobrze ze zdrowiem, ale to nic nie pomagało, raz na zawsze zastali ocenieni jako ludzie niespokojni i nerwowi, wszystko z powodu kanapy.

Zuzanna śmiała się, rozbawiona.

Wodziła oczami za krzątającą się, ożywioną, gestykującą matką.

– Co do mnie – stwierdziła Cechna to postanowiłam nie przywiązywać wagi do tych rzeczy. Człowiek musi być wolny. Pomieszkamy tu trochę, a jak nam będzie źle, to wyprowadzimy się gdzie indziej. A jak nam stanie na drodze, jakaś kanapa, to sprzedamy ją i basta.

Zuzanna wyprostowała się. Tak, przecież to śmieszne, żeby człowiek krępował się kanapą. Oznajmiła.

– Mnie jest też wszystko jedno! – Zawahała się i rzekła z pewną goryczą. – Najwyżej nie będę mogła zaprosić do siebie koleżanek.

Matka odpowiedziała żywo.

– Naturalnie, jeśli to są dziewczynki, które odwiedzać cię zechcą dla mieszkania czy mebli, ale nie dla ciebie samej, to cóż ci po przyjaźni takich koleżanek?

Zuzanna z ociąganiem się potwierdziła.

– Obejdę się bez takiej przyjaźni... – Ale głos jej zadrżał, a potem zapanowało znów milczenie, pełne dezaprobaty. Cechna myślała. „Cóż jej mam powiedzieć? czym pocieszyć? co obiecać?” Nic nie wolno obiecywać. Z rozdartym, zrozpaczonym sercem przyjęła stłumione siąkanie nosem w chustkę, którym Zuzanna usiłowała zamaskować łzy.

Tej pierwszej nocy na nowym mieszkaniu Cechna nie spała. Jest samotna w swoich zamysłach, nikt nie może jej zrozumieć. Naprzeciw na łóżku leży cichutko jej dziecko, nie śpi, nie słycać oddechu. Leży odwrócone do ściany, pełne milczącego protestu i obcości. Tramwaje, zjeżdżając do remizy w wściekłym pędzie, mijają dom. W knajpie na rogu jeszcze się bawią i stłumione dźwięki harmonii dobiegają aż tu. Czarny krzyż ramy okiennej leży na suficie. Jak niegdyś – i jakże inaczej. Za ścianą słycać czyjeś ciężkie westchnienia. Cechna, spoczywając w ciemności, zastanawiała się nad taką dziwną sprawą. wszystko, co zrobiła, zrobiła dla dobra dziecka, a to jednak sprowadzało się tylko do tego nędznego kąta, do tej pozornej krzywdy Zuzanny! Czowała, że robi rzecz jedynie słuszną, a przecież ciągle wewnątrz, w sobie, czowała przerażenie. Życie jej rozwalilo się, ponieważ źle była przygotowana do tej sprawy, jedynej i poważnej. Wszystkie nieszczęścia, jakie ją spotkały, wynikały z nie przygotowania do życia jej samej i tych, z którymi ją zetknął los. Gdyby jej mąż dojrzał do życia, ich rozstanie się nie byłoby czymś tak niszczycielskim. Jak wychować człowieka? Jak wychować Zuzannę? Na człowieku opiera się świat, na człowieku spoczywa życie. I Cechna czuje, że musi „wymyślić” coś sama, coś wypływającego z nich, a co pomoże Zuzannie opowiedzieć się, wybrać i ukształtować znów samą siebie. Czowała się jak ów zręczny kuglarz, który demonstruje młodocianym widzom szereg sztuczek i obrazów, zmuszając do zastanawiania się nad zjawiskami, przyczynami i skutkami. Nie chce na kredyt szacunku dziecka, nie dba o autorytet matki i osoby dorosłej. To są uczucia umówione. Musi stanąć z Zuzanną na jednym poziomie i iść razem. Musi uczynić sobie z niej towarzyszkę, po prostu choćby i dlatego, że samotnie nie udźwignie ciężaru.

Od tego dnia, od tej nie przespanej nocy, Cechna staje się okazowym typem „matki pracującej”. Zuzanna potrzebuje jeszcze opieki, ale rozstają się rano, w pół drogi do szkoły, rozstają się po raz drugi po południu, gdy Cechna musi spotkać się z malarką, aby odebrać zlecenia. Rozdarta troską o samotnie wędrujące do szkoły dziecko, z myślą, co zrobić prędko na obiad podczas krótkiej przerwy w sklepie, przedstawiała obraz kobiety zapędzonej, oszołomionej, pracownicy zdolnej tylko do wypełniania rozkazów. Przeżywa wszystkie męczarnie i lęki matki zmuszonej do porzucenia ślepych małych w środku drogi zgiełkowej. I zarysowuje się przed nią jakaś linia złowieszcza wielkiej samotności, jakieś powszechne niezrozumienie warunków jej bytu i doli.

Mimo to uczy Zuzannę zasad obcowania ze społecznością, oto lekcja przy rannym tramwaju. „Nie pchaj się, choć jest późno. Ustępuj starszym miejsca. Uwważaj, abyś nie potraçała kogoś przy wysiadaniu”. Zuzanna, potraćana wielokroć, odpychana niezliczone razy, przeczekująca nieskończone chwile na skraju chodnika przy gwarnej jezdni, myślała o matce z ironią i

szczególnością, miłosną litością. A Cechna, patrząc na nią z daleka, gdy ten mały okruczność ginął jej z oczu, chciałaby, wiedząc, że to się na nic nie zda, błagać przechodniów, ulice, tramwaje, auta i konie o łaskę przychylności dla niedoświadczonego i bezbronny wędrowca.

Szła do sklepu. „Przedmioty Piękne” przetrwały już okres próbny w mieszkaniu prywatnym i szykowały się do wypłynięcia na szersze wody, do sklepu w śródmieściu.

– Co słychać w twoich dwóch P? – pytała Zuzanna.

– Nnic – odpowiadała przeciągle Cechna. Rola jej w pracy przedsiębiorstwa była nieokreślona, coś w rodzaju wyreki dla malarki, która zastrzegła sobie tylko ogólne kierownictwo. Cechna nie ogarniała całości ani nawet pewnych fragmentów tej pracy. Jeszcze szukano drogi. Stworzono poradnię mody, podejmowano się urządzania wieczorów, imprez artystycznych, przyjęć, jeszcze szukano, co ma stać się luksusem, co będzie dochodem? Swoje wynagrodzenie, sześćdziesiąt złotych miesięcznie, Cechna otrzymywała z rąk malarki i z jej osobistych funduszy. Odrywana od jednego zajęcia do drugiego, od sklepu do pomocy przy urządzaniu wnętrz, miała możliwość uchylecia furtki do tego świata, gdzie nie oszczędzając kosztów, trudów i fadygi, tworzą domy ludzi bogatych. Piekło handlowego i fabrycznego przedmieścia, mały pokój na poddaszu, brud, nędza – zetknęły się z luksusem, choć malarka twierdziła, że „u nas nie ma ludzi prawdziwie bogatych”. Cechna stała u skraju tego samego rozgoryczenia i nienawiści, której uległa Bronka, nienawiści wypływającej z ostrych kontrastów. Ale tuż obok, pod jej łokciem, tkwiła Zuzanna i nieustanna miłość stała się nieustannym stanem łaski. Życie jest niezrozumiałe i złe, ale warto żyć, aby było lepsze, zrozumialsze dla tej, co kroczy obok.

III

Jeśli można zacząć wszystko od początku, od nowa, to ona uczyni to. Spróbuj. Było to tak, jakby wchodząc w świat weszła na nową ścieżkę. Przyszło jej to na myśl w chwili, kiedy po raz drugi czytała książki znane już na Nowolipkach. Zupełnie inne wrażenie! Prawdę mówiąc, wówczas przerzucała je tylko, szukając ładnych scen, idąc tropami miłości czy innego interesującego zdarzenia. Ludzie byli jacyś niepełni i widziani z jednej strony. Ach, straciła wiele – dzieło ludzkie uszło jej uwagi! Dzieło ludzkie – to zarówno może być czyjeś życie jak i obraz, wiersz, książka, muzyka.

Ale gdy się jest głodnym, nie wybiera się, ale zaspokaja swój głód czymkolwiek.

Bronka stanęła na skraju chodnika i wkroczyła na jezdnię, oglądając się

na prawo i lewo. Przed chwilą panował wściekły gwałt na Nowym Świecie, a oto zaskoczyła ją nagle dziwna przerwa w ruchu, martwa cisza. Gdzieś tam, w głębi ulicy, dyszą pyski końskie, czerwienieją tramwaje, błyszczą ślepią reflektorów aut, ona wstąpiła w lukę. Światła reklam przestają drżeć i nieruchomieją krwawe ich znaki, ludzie zamarli przed wystawami sklepów, ktoś nawet ostał się tak z ramieniem podniesionym do klamki... Na środku cichej jezdni ogarnął ją niesamowity strach, skoczyła naprzód i pchnęła drzwi kawiarni. Godzina piąta, spadł śnieg. Ignacego jeszcze nie ma.

Tych strachów musi się także pozbyć.

Odczuwa przyjemność znalezienia się w ciepłym, oświetlonym i gwarnym wnętrzu. Naprzeciw ma lustro i zerknęła na siebie. To nie jest przywidzenie: bruzdy na twarzy zniknęły. Można się z tego śmiać, ale to jest miłość, to jest Ignacy, można to nazwać jednym imieniem, imieniem uczucia i imieniem człowieka, gdy przyjdzie, powie mu o tym.

Skrzypce wywiodły swój śpiew wysoki i rozległy, są tony muzyczne, które mają właściwość rozszerzania piersi człowieczej, rozległości, szerokości, cały świat się tu zmieści. Co za szczęście, że nie wszędzie zainstalowano radio. Sztuka potrzebuje krwi, ciała, czującej ręki! Fotografia nie jest obrazem.

– Jestem za bezpośredniością – szepnęła Bronka tonem deklamacji. Kelner zbliżył się i nachylił.

– Słucham?

– Pół czarnej.

– Ciasteczko?

– Dziękuję...

Trzeba było jednak wziąć „ciasteczko”. Jeśli on ma procent od konsumpcji, to marne widoki. Kelner powrócił i Bronka rzekła.

– I trzy ciastka.

Tak, śpiewają, śpiewają! A ten człek gruby i krągły, z wrażliwymi, wylupiastymi oczyma, skrzypek, daje swą treść, to, co w nim jest najlepsze. Jego twarz kamienieje w osłupieniu nad tonem, dźwiękiem, wyrazem, sam nie wiedział, że to w nim jest. Jegomość naprzeciw skinął na kelnera.

– Hej, panie! niech mi się pan dowie od skrzypka, co to za kawałek?!

A to głupiec. Mówić i pisać o poezji, pisać o muzyce, o obrazie! Sztuka i miłość to jedno. O tym się nie gada, to się czuje i robi, tworzy się. Co za cynizm! – ale tak jest! Ignacy się spóźnia.

Wchodzi młoda dziewczyna, z szykiem. Rozgląda się niedbale – nikt na nią nie czeka? Stary, nieruchomy kelner rusza ze swego miejsca i znika za portierą, a mina dziewczyny bardzo zrzedła, po prostu z każdym krokiem gubi elegancję i pewność siebie, aż wreszcie lokuje się pokornie przy stoliku koło portiery. Stary kelner powraca i stawia przed nią garnuszek z jedzeniem,

hałaśliwie i demonstracyjnie. Aha, przychodzi pożywić się tu. Czy to jego córka, czy kochanka? Nie, córka. W jego spojrzeniach i obejściu Bronka poznaje ten specyficzny rodzaj uczucia rodzicielskiego, miłość i złość, to samo ma Cechna w stosunku do Zuzanny. Człowiek gniewa się na drugiego człowieka za to, że jest tak inny, choć bliski.

Nie, Ignacy już nie przyjdzie! Stracony wieczór, choć nie można go nazwać całkowicie straconym. Ten śliczny chłopak tam, w środku sali. Natura wysiliła się na tę piękność, taki kształt głowy, nosa, rozległego czoła i szczupłej, długiej ręki. A jednak – to jest do kupienia! Sposób, w jaki wodzi oczyma za kobietami, za starszymi, wystrojonymi paniami... To piękne mięso jest na sprzedaż, proszę!

W tej samej chwili Ignacy nieopatrznie wszczął ważną rozmowę z Magdaleną. Spojrzał na zegarek i osądził, że ma dość czasu do spotkania z Bronką. Nie przewidywał żadnych trudności, ponieważ ilekroć była mowa o dramatycznych perypetiach rozwodowych ich przyjaciół, Magdalena nie mogła zrozumieć kobiet, które nie mają dość ambicji, żeby odejść. I szczerze nie wyobrażała sobie pożycia dwojga ludzi, gdy już ich nic nie łączy. Teraz pierwsze uczucie, jakiego doznała, było uczuciem krwawej obelgi z najmniej spodziewanej strony. Wszystko od dzieciństwa do dnia dzisiejszego składało się na to wewnętrzne przekonanie o swej wartości. A tu – porzuca ją się w ten sposób! Bojąc się jakiegoś nieopanowanego odruchu wstała, zbliżyła się do okna i pozostała już tak, odwrócona, nie ukazując twarzy. Imię Bronki padło po raz pierwszy otwarcie między nimi. I, ciągle jeszcze milcząc, Magdalena uczuła w sobie nieprzewyciężony opór przed zgodą na oddanie Ignacego tej dziewczynie, która mu zniszczy życie. Co on mówi? Że ma w stosunku do tamtej zobowiązania? Jakie zobowiązania? Trzeba być ślepym, aby nie rozumieć, że to nie odejście Ignacego „zmarowało” tamtej życie. Ona była po prostu zbyt niedbała, zbyt wiarołomna z natury, aby co innego zrobić z swym życiem – jak je zmarnować. To samo stanie się z Ignacym. I to właśnie teraz, kiedy wszystko tak doskonale się zapowiada, gdy koło niego zaczynają się skupiać ludzie, a jego akcje idą w górę, choć on nic w tym kierunku nie robi i o niczym nie wie. I nagle wyobraziła sobie jasno wrażenie, jakie odejście męża wyrwie w jej świecie. To było wprost niezrozumiałe. Rozwiedzono się, ponieważ mężczyznom, którzy szli w górę, potrzeba było kobiet młodych, reprezentacyjnych, pięknych i wtartych w towarzystwo. Ona posiada wszystkie te walory, a Ignacy rzuca ją dla jakiejś podejrzananej dziewczyny. Być w ten sposób upokorzona! Jej rodzina! jej matka, ongiś tak przeciwna temu małżeństwu! Jej matka, która jest właśnie tak chora!... Nie, to się nie może stać! Należy uratować Ignacego wbrew niemu. I w tej chwili, kiedy Magdalena pomyślała o uratowaniu człowieka, gdy wyobraziła sobie tę pewnego rodzaju misję, sprawę można było uważać za przesądzoną. Ona to

zrobi.

– Dobrze – rzekła spokojnie – nie będę ci stawiać przeszkód, ale...

Ignacy nachmurzył się, spojrzął na zegarek i przerwał.

– Umyślnie nie wysuwam spraw materialnych, bo to nie gra roli. Jestem gotów...

Pomyślała. „Oczywiście, teraz, gdy jest zupełnie niezależny przez spadek po rodzicach!” Ignacy powstał. Śpieszy się, śpieszy się do tamtej!... Nawet sprawa, którą omawiają, nie wydaje mu się dość ważna, aby opóźnić widzenie tamtej. Krew uderzyła jej do głowy. Magdalena odwróciła się, spojrziała prosto w twarz męża. I nagle wzburzenie, duma, wszystkie niegodne obliczenia i zamiary opadły z niej, pozostała tylko twarz mężczyzny, jego oczy, znane jej, wilcze wyciągnięcie głowy, zarys trochę ironicznych warg, długie, niecierpliwie i namiętne ręce. Magdalena zadrżała pod naciskiem nowych, groźnych uczuć. Przemknęła myśl. „Będę teraz za nim szaleć... teraz, kiedy go tracę”. Ale nic nie przedostało się na zewnątrz, głosem przerywanym szepnęła.

– Moja matka... moja matka jest bardzo chora. Niewiele już jej się od życia należy. Chciałam cię prosić, abyś nie kładł tej ciężkiej sprawy na jej ostatnie dni.

Ignacy zbladł. Przypomniawszy sobie niedawną śmierć rodziców i to poczucie niemożności odkupienia żadnych wobec nich win, wynagrodzenia smutków, strat i obojętności przy tym nieodwołalnym końcu. Teraz tylko jednego pragnął: aby ta rozmowa nie miała miejsca. Przypomniawszy sobie wszystkie starania i troski Magdaleny w czasie krótkiej choroby jego staruszków i głęboko zawstydzony prosił ją, aby zapomniawszy o tej rozmowie. Dopóki to będzie potrzebne, on dołoży starań, aby echo ich osobistych przeżyć nie wydostało się na zewnątrz. Mówiąc to myślał o sobie z ironią. „Nawet największe jego wyrzeczenia w tym kierunku nie zmienią faktu, że oto on za chwilę odejdzie do Bronki, Magdalena zostanie tu sama, właśnie teraz, gdy potrzebuje pomocy i oparcia”. Marszcząc się zapytał:

– Jedziesz tam dziś?

– Nie, jutro.

– Pojadę z tobą.

Szepnęła:

– Dziękuję ci – i wyszła z pokoju.

Ignacy westchnął. Rozwarta walizka przy szafie przypomniawszy mu, że dziś zamierzał przenieść się do hotelu. Trącił ją końcem stopy, podniesione wieko opadło z głuchym odgłosem. No, trudno... Co powie Bronce?

Dostrzegł ją zaraz w końcu natłoczonej sali i z trudem utorował sobie drogę. Przeciągły śpiew skrzypiec złączył ich spojrzenia. Może w tym tkwił cały urok ich uczucia, że się spotykali ukradkiem i witali wciąż od nowa,

nigdy siebie nie dość pewni?... Jaka przeistoczona! Jej krągłe oczy zajęły pół policzków, usta uśmiechają się skrytym uśmiechem.

– Co się stało?

Opowiedział jej przyczynę swego opóźnienia. Twarz jej drgnęła. Lecz opanowała się natychmiast, aby powiedzieć bezosobiście i sucho.

– Nie można mieć wszystkiego, wiesz?

To go rozdrażniło.

– Ale dlaczego, do diabła, dlaczego to ciągle na ciebie pada, te przeszkody?

Błysk zadrgał w jej oczach.

– No, widzisz, widzisz – rzekła z rozbrajającą zgodą – ja temu nie jestem wreszcie winna. Widzisz sam, jak to jest!

– Ty sobie żartujesz?!

– Skądże? Cóż, nie mam szczęścia! – Bębniła palcami niespokojnie po stole, cała jej twarz była czymś niebezpiecznie podminowana. Czym? Śmiechem czy rozpaczą? Nagle wyjęła z torebki chusteczkę i dotknęła nią ust.

– Co ci jest?

– Nic. Zapłać i chodźmy stąd. Daj mu napiwek, daj mu napiwek koniecznie.

Krzuszyła się, śmiała się! To zakrawało na histerię i Ignacy starał się zapobiec wybuchowi.

– Opanuj się, Broniu, co się z tobą dzieje!

– Ja się śmieję – stęknęła odetchnawszy głęboko – z siebie, z ciebie, z nas, ze wszystkiego. Bo cóż? Pajęczyny wymiecione, telefon – telefon założony i gaz też. Nawet klucze od drzwi masz, prawda?

Ukazała mu tymi słowy wewnątrz uporządkowanego mieszkania, na co kładł nacisk taki, jakby to było co najmniej ich uporządkowane życie.

– Ależ to tylko ulega zwłoce!

Szepnęła z swą straszną szczerością.

– Czekać na czyjaś śmierć?!

Lecz Ignacy poprawił:

– Czemu nie na wyzdrowienie, czemu myślisz o najgorszym?

W tej chwili przypomniał sobie słowa Magdaleny. „Niewiele już jej się od życia należy”. I zmienił temat.

– Co jest z tym kelnerem?

Dlaczego kładła nacisk na napiwek? Płacąc przyjrzał się gładkiej, wygolonej starczej twarzy, zdolny widzieć teraz, przy Bronce, ciągle ludzi z przeszłości, ale ta twarz nic mu nie mówiła. Prawda, ona miała znajomych – nieznajomych w różnych punktach miasta i nie wiadomo jakim sposobem wiedziała o nich różne rzeczy. I teraz rzekła:

– To jest jego córka, wiesz? Ta przy portierze, w kącie.
– Przystojna dziewczyna – rzekł Ignacy.
– Ona jest jak dojrzałe jabłko. Siedzi tu i czeka, i pragnie, pomimo straży ojca. Ktoś, kto po nią sięgnie, nie utrudzi się zbyttnio.

Wyszła pierwsza i, zanim odebrał palto z szatni, ułokowała się w taksówce. Puknęła zgiętym palcem i przywołała go ruchem ręki.

– Pojedziemy do siebie, dobrze? – Nagle rozjaśniona, wsparła ramię i wsunęła dłoń pod jego pachę. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie takiego przyjęcia swej rozwodowej rewelacji.

– Znam jedną pannę – rzekła. – Nazywa się Aniela i pracuje w składzie aptecznym. Dziesięć lat temu przeżyła pewną przygodę miłosną i rozstanie i do dziś dnia pozostała samotna. Ze mną los obszedł się łaskawiej. A ty chcesz, Ignacy, żebym koniecznie rozpaczła?

– Chcesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwa?

– Właśnie! Tak, tak, tak. Jestem szczęśliwa... Co ty na to? – Ukradkiem sięgnęła po jego dłoń i ułożyła ją sobie na przechylonej w tył twarzy. – Och – jęknęła – och! mój drogi! mój drogi! to aż boli! Ty nic nie wiesz!

– O czym nie wiem? – dowiadywał się ostrożnie.

Nie wiedział wcale, że te przeszkody wzbudziły w niej pragnienie uwięzienia go, zatrzymania w swych ramionach, wchłonięcia w siebie. Wyjaśniła mu to przez zaciśnięte zęby, rozplamiona.

Tak więc wszystkie projekty odeszły na razie w cień, i na zewnątrz sprawa przedstawiała się tak, że miał dwa domy, żonę i kochankę, to była dosyć pospolite w tym czasie. Pajęczyny jednak zostały wymiecione, telefon założony, tak że mógł porozumieć się z Bronką nawet podczas objazdu, gdy bawił na prowincji. Zawsze teraz była w domu i w końcu myśl, że ona siedzi tam, daleko od miasta, na dolnym Mokotowie, i oczekuje – sprawiała mu przykrość. Widział ją skurczoną na tapczanie, osamotnioną i beczynną, ponieważ rzuciła popołudniowe godziny pracy. Dzwonił i pytał.

– Co robisz? – Odpowiadała niezdecydowanie.

– Nnic.

Wówczas doradzał jej z drugiego krańca województwa.

– Idź do miasta! Rozerwij się. – Po jakimś czasie dopiero zauważył, że ona wcale się nie nudzi, że jest czymś strasznie pochłonięta, że gdy przyjeżdża, musi ją gwałtem ściągać na ziemię z niewiadomych światów. Rozejrzał się. Przybyła nowa półka w mieszkaniu, pełna książek, a nad tapczanem kilka dobrych reprodukcji. I, jakby szukając tajemnych śladów wędrówki Bronki, Ignacy przyjrzał im się uważnie, Cały błękitny, uroczy obrazek Renoira¹¹, na którym czarujące kobiety ubiegłego stulecia tańczyły pod rozkwitłymi drzewami i lampionami w „ogródku” w towarzystwie

¹¹ *Renoir (1841-1919) – wybitny francuski malarz i grafik.*

brodatych panów. Van Gogh, Gauguin¹²... Ooo?!

– Moja droga – rzekł z udaną żartobliwością jaka cegła ma spaść na moją głowę?

Spojrzała na niego i przytuliła się do rękawa wiszącej marynarki, szepnęła głosem pełnym winy.

– Jak to dobrze, żeś przyjechał! wyda... wydałam wszystkie pieniądze i myślałam już, że umrę z głodu.

Roześmiał się. To już wiedział, że pieniądze przeciekają przez jej palce. Napiwek szoferowi, napiwek w kawiarni, napiwek dozorczy, listonoszowi, posługaczce. Robiła to z jakimi uporem, zdawało się, iż chce czemuś zapobiec, rozjaśnić jakąś ciemną koło człowieka sprawę, tak samo jak „rozjaśniała sytuację” przypinając do swej czarnej sukni biały goździk. Teraz nie zdziwił się już, gdy pewnego wieczoru wśród ulewnego deszczu pędziła na gwałt do miasta na koncert. Podczas gdy on obmyślał, jakie by tu stworzyć jej środowisko, ludzi i rozrywki, ona już obracała się w nowym swoim świecie, ludzie wcale nie byli jej potrzebni. Jednakże dobrze byłoby, aby gdzieś wrosła, zatrzymała się i zadowowiła.

Poświęcił trochę czasu i starań, znalazł dom dość postępowy na to, aby sobie pozwolić na przyjęcie jego... jego protegowanej.

Myślał, że robi Bronce przyjemność, dając jej dowód tej swojej troskliwości. I wówczas zdumiony patrzył, jak, uprzejma i ożywiona przy wejściu, milkła coraz uporczywiej w czasie wizyty, bladła, szarzała, gasła po prostu. Nudziła się nie zadając sobie trudu zamaskowania tej nudy. Oglądano jakieś ryciny i okrzyki. „Ach! co za dynamika!” – zarówno jak określenia ludzi. „Co to za miły człowiek, jaka to urocza osoba, cóż to za czarujący charakter” – wypowiedane owym specyficznie zdawkowym tonem – zdawały się ją obrażać i uśmiercać wszystkie dobre wrażenia w samym zarodku. Poziewania, tym tragiczniejsze, że skryte niezbyt zręcznie, wykrzywiły jej twarz. Gdy rozmowa zeszała na Freuda, Bronka powstała. Rozstano się oschle. Już w bramie niecierpliwie żądała taksówki, a w taksówce okazało się, że „wszystko ją rozboleło”. I że spotkała już trzy lata temu panią domu i jej gości na jakimś zebraniu, rozprawiających o Freudzie.

– Trzy lata temu! – krzyknęła ze złością.

Ignacy porzucił swe próby i poszedł za nią. Sam nie wiedział, że ożywił się jejżywieniem i raz jeszcze przemierzał świat obok tej bezpośredniości, z jaką Bronka przyjmowała nowe wrażenia. W ciemności sali czuł uścisk jej drobnych palców na ramieniu i wówczas wiedział, że zbliża się coś cennego. Z początku był to tylko „Taniec węgierski” Brahmsa, a potem powstańcze „Preludium” Szopenowskie i wielki, ponad wszystko wielki Beethoven.

¹² *Van Gogh (1853-1890) – wybitny malarz holenderski, Gauguin (1848-1903) – wybitny malarz francuski.*

Łzy spływały po jej policzkach. Ocierała je szybko i skrycie, wierzchem dłoni, podczas gdy on siedział nieporuszenie obok, udając, że tego nie dostrzega. Tylko silniejsze przyciśnięcie ramieniem jej palców do miejsca, gdzie biło serce, dawało jej odczuć bliskość i wspólność przeżywania. Zdawało im się, że nie ma smutku, którego by razem nie mogli przenieść, i nie ma zgryzoty, by jej razem nie dźwignęli.

W czwartki Magdalena przyjmowała. Przyjmowała mimo choroby matki, ponieważ nawet te, naprawdę zresztą wykwintne i kulturalne, przyjęcia uważała za pewien rodzaj służby społecznej. Ignacy opuścił Bronkę, aby stanąć u boku żony i witać gości. Nie bez uśmiechu przyjął kilka zawiedzionych spojrzeń i zdumionych okrzyków. Tak, Magdalena miała rację, nie należy dawać żeru tym ludziom. Prawie był jej wdzięczny – dzięki tej ugodzie rozstaną się jak przyjaciele i nikt nie będzie miał powodu do współczującej gadaniny.

Stojąc w progu salonu, ogarnął okiem towarzystwo i ze zdziwieniem stwierdził, że orientacja Magdaleny jakby się skryształizowała. Daremnie szukał prawicy. Dostrzegł pewien subtelny przedział między zebranymi. Wybitny polityk lewicy, otoczony przyjaciółmi, zajmował kąt przy oknie, podczas gdy uważany za rządowca w towarzystwie dam uplasował się tuż przy wejściu. Ignacy zatrzymał Magdalenę.

– Moja droga, co to ma znaczyć?

– Ach, ty nie wiesz? Oni są strasznie zawiedzeni! – W kilku słowach wprowadziła prowincjonalistę w tok wypadków niedostrzegalnych dla zwykłych śmiertelników. – Po maju liczyli na pewne koncesje dla partii i...

– Czy wiecie, że poseł Siwski wycofał się z partii? Nie ma zresztą dnia, aby stronnictwa ludowe nie traciły członków, ilościowo i jakościowo.

– Opozycja została rozbita, nie, ma opozycji.

– Ale – podchwycił ktoś – zarysowuje się inna...

Siwowłosa profesor literatury wolałby, aby te zerwania polityczne odbyły się przed majem. Sytuacja byłaby jaśniejsza. Nigdy nie wiadomo, z jakimi charakterami ma się do czynienia. Ale obok stojący dyrektor departamentu któregoś z ministerstw wzruszył niedostrzegalnie ramionami.

– To się okaże przy nadchodzących wyborach.

– ...partia udzielając rządowi poparcia powzięła pewne zobowiązania w stosunku do swych członków. Te zobowiązania powinny być respektowane.

– Zerwać z systemem partyjnym!... – Ignacy gotów był przyklasnąć mówcy, ale dama w czerni, stojąca obok, na chwilę zagarnęła całą jego uwagę. Gdy zwrócił się w poprzednim kierunku, mówca twierdził, że jedynym ratunkiem byłoby stworzenie organizacji, skupiającej w sobie wszystko, co w kraju jest czynnego i twórczego, organizacji, która...

„Dobryś sobie!?” – pomyślał i odwrócił się, zniechęcony, znów do damy

w czerni.

– Władza – szepnęła bliżej nie znana dama – ma w sobie coś obezwładniającego. Czy nie uważa pan?

Spojrzał na nią z zastanowieniem. Miała różę u piersi, miękko zarysowane usta i dziewczęce, gładkie czoło. To coś nowego.

– Dotychczas – odpowiedział – utarło się potoczne powiedzenie, że władza to siła.

Roześmiała się.

– Niech pan mnie poprowadzi do kolacji, dobrze? – Ciągnęła dalej. – Władza? Człowiek władzy ciągle musi z czegoś rezygnować na rzecz...

– Ach, ja nie rezygnuję! – przerwał jej Ignacy z żartobliwym zapałem.

Magdalena śmiejąc się rzuciła w przejściu.

– Owszem, bo jest tylko angielski bufet.

Otwarto drzwi do stołowego i na chwilę angielski bufet zjednoczył zwolenników rządu i opozycję. Podawano sobie kieliszki i widelce, podsuwano półmiski i tace wraz z oświadczeniami, iż od dawna już nie było tak ożywianego „sezonu”. Zdobywając wymyślną sałatkę na talerzyk swej damy Ignacy dostrzegł grupę młodych ludzi otaczających Magdalenę. Sama poezja.

– Ależ to cały Parnas¹³!...

Dawny kamrat z legionów, obecny wojewoda, zatrzymał go w przejściu.

– No, stary, co słyhać w twoim resorcie?

Ignacy stwierdził wzrost zatrudnienia w przemyśle, co podziało na zwyczaj płac, szczególnie w przemyśle budowlanym i górnictwie.

– A u pana, ekscelencjo?! Jak tam poddani?

– Idź do diabła, mój drogi! Mamy na karku wybory.

Rósł wesóły gwar. Szeptano o nowym ugrupowaniu. Ktoś powińszował Magdalenie.

– Urocza gospodyni nawet nie przypuszcza, że w jej salopie, względnie stołowym, powstaje załazek... – Magdalena nagle spowaźniała, cofnęła się w głąb, pociągając rozmówcę.

– Mam nadzieję, że kiedy się to urodzi, zaprosicie mnie na chrzestną.

– Jak to się ma nazywać?

– Obóz Walki i Pracy.

Profesor literatury rozwiódł się nad znaczeniem haseł w nazwach i w ogólności. Hasła od niepamiętnych czasów mają wpływ na masy. Dlatego nieobojętną jest ich forma. Musi to być – coś...

– ...bez wątpienia, kraj wkracza w okres prosperity. Dzięki lustrom, umiejętnie rozmieszczonym, Ignacy ujrzał w pewnej chwili siebie,

¹³ *Parnas – nazw góry w Grecji, według wierzeń starożytnych siedziba muz, w przenośni – świat poetów.*

ożywionego, pochylonego nad obnażonymi ramionami kobiet. I zdawało mu się, że zatoczył wielki krąg, znaczony boleścią, gniewem i nadzieją, po czym stanął na dawnym swym miejscu, uspokojony. Odpędził tę myśl od siebie. – Ależ !.o tylko prowizorium. Nie ma powodu, ażebym się dlatego dziś nudził.

IV

Kwiryna z niecierpliwością oczekiwała godziny piątej. Pośrednik nastęrczył jej lokatorów na ostatnie wolne trzypokojowe mieszkanie. Nie dostanie za to nic, figę – za pośrednictwo płacą ci, co poszukują mieszkania. Trzeba by już raz z tym skończyć. Wieczorem ma gości i chciałaby trochę wolnego czasu i spokoju. A tu tymczasem uderzają na nią poty: obmyśla cenę, waha się. Czteryście? trzysta pięćdziesiąt? Dodaje i odejmuje pięćdziesiątkę, mówi z dumą: Ja nie biorę odstępnego! Ale... ale czynsz za dwa lata z góry i wysokie komorne.

Nowo wzniesiona oficyna jest budynkiem luksusowym i zakasowała front. Wyrzeliła nad nim o dwa piętra. Z czasem front stanie się obiektem do zburzenia.

Prawo o ochronie lokatorów nie dosięgnie Kwiryny w nowej oficynie. Lichwa? Na chwilę zrobiło jej się gorąco. Wstała od kasy, potrzebowała na gwałt, aby coś spowodowało rozstrzygnięcie.

– Romanie, zastąp mnie. Panno Marto, proszę zapalić światła na wystawach.

Panna sklepowa posłusznie skoczyła do kontaktów. Roman do kasy. Kwiryna wyszła.

Kapało z rymem i ciężka kropla odwilży padła na jej czoło, wzdrygnęła się. W bramie stróż na jej widok powstał z ławki i zdjął czapkę. Przeszła w milczeniu. Okna odbudowanej oficyny lśniły już światłami, zza firanek widać było wnętrza, nad którymi Roman nie będzie już mógł łamać rąk. Wnętrza jasne, ładnie umeblowane, wcale nie natłoczone ludźmi. Ależ czterysta, ani grosza mniej.

Weszła na schody lśniące czystością. Kazała je zaciągnąć, co było prawdziwym dobrodziejstwem dla dozorczyń, nie potrzebowała ich co sobota szorować wystarczyło wytrzeć. Przy tej sposobności okazało się, że ludzie z jakim takim pojęciem, gdy dostaną rzecz porządną, potrafią ją uszanować. Schody pod wieczór nie były znów tak bardzo zdeptane. Kwiryna obejrzała dokładnie: żarówki okurzone, zabezpieczone drucianą siatką przed złodziejem. Spluwaczki w kątach. Wycieraczki przybite do progów, na parapetach okien donice z roślinami, cały ów intymny „komfort”, czyniący z oficyny raczej dom prywatny niż czynszowy. Komfort, którego by próżno

szukać nawet w oficynach domów śródmieścia!... Potem pewnym już krokiem otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Coś w niej krzyknęło: czterysta! Trzy pokoje, rozkładowe. Ile trudu ją to na przykład kosztowało, aby pokoje nie szły w amfiladzie. Ażeby uzyskać potrzebną głębię, musiała poświęcić kawałek podwórza. Tym sposobem uzyskano ów wygodny rozkład. Pokoiki nieduże, ale śliczne, okna i drzwi lśnią bielą, ściany pastelowymi kolorami. Skontrolowała łazienkę, kuchnię, spiżarnię – a może czterysta pięćdziesiąt?!

Z schodów dobiegła głośna rozmowa i kroki. Poszukiwano gospodyni. Kwiryna, po cichutku zamknęła drzwi i na palcach podążyła na górne piętro. Nie trzeba, aby ją tu zastano, w pustym mieszkaniu. I zeszła, z miną roztargnioną, jakby nigdy nic.

– Co się stało? Co tu tak głośno? Aa, witam, państwa!

Od razu dała do zrozumienia nowym lokatorom, że napisy na klatce wejściowej: „Wycierać nogi”, „Zachować ciszę”, „Nie pluć na podłogę!” – obowiązują naprawdę. Wprowadziła ich do mieszkania, odprowadziwszy dozorcę, nie potrzebowała świadków. Już poprzednio zasięgnęła informacji o tym reflektancie, to handlowiec, solidna firma. Musiał chyba mieć pieniądze?

Jego żona zachwycona jest mieszkaniem i nie może tego ukryć. Ale Kwiryna nie zwraca uwagi na kobiety, to jej sojuszniczki, jeśli chodzi o gniazda domowe. Decyduje mężczyzna. Kwiryna lakonicznie wymieniła sumę.

– Oo! – krzyknął handlowiec – przecież to...

Kwiryna recytowała z naciskiem.

– Rozkład, łazienka, wszystkie wygody i instalacje. – Po czym, nie zachwalając więcej swego towaru, pozostawiła ich samych, niech się naradzają swobodnie. – Znajdą mnie państwo w moim mieszkaniu, pierwsze piętro, front.

To był dopiero wstęp, gdy się zgodzą na cenę, Kwiryna wyciągnie umowę. To arcydzieło, którego autorem jest rejent, zawierało wszystkie obostrzenia i pułapki dla lokatorów, całą korzyść i bezpieczeństwo dla gospodyni.

W kuchni ciotka, rozczzerwieniona od gorącej płyty kuchennej, gderwała ostro na służącą. Kwiryna pomyślała z humorem, że ciotka oddaje dziewczynie to samo, co otrzymuje od niej, Kwiryny. Jej usposobienie zmieniło się na lepsze: nie kwasi złości w sobie, może ją oddać. Teraz otworzyła piecyk.

– Niech Kwiryńcia obejrzy indyka. Co za indyk!

Indyk, obłożony kasztanami, dymił apetycznie. Jednak Kwiryna poskapiała pochwały. Zapytała tylko:

– Czy ryba zastygnie?

– Tak, ta. Niech się Kwiryńcia nie przejmuj, wszystko będzie gotowe!

– Ja myślę! – rzekła Kwiryna – jest was dwie w kuchni!

Zadzwoniono do drzwi. To handlowiec z żoną. Kwiryna z uśmiechem poprosiła ich do stołowego, gdzie na brzeżku stołu podpisano umowę.

– Nie zatrzymuję państwa, bo oczekuję gości.

Zeszła do sklepu i zwolniła Romana.

– Idź na górę i przebierz się, tylko patrzeć, jak się zaczną schodzić.

Roman usłuchał natychmiast, aż ją to zdziwiło i uderzyło. Krzyknęła za nim.

– Przyślij mi tu ciotkę z koszykiem! – Trzeba było też przeliczyć dzienny utarg. – Panno Marto, niech się pani zbiera powolutku. Zamykamy punktualnie. Mamy, dziś gości.

Co robić z gotówką? Od półtora roku gotówka napływa i napływa, pieniądze nie powinny leżeć bez ruchu, to nawet grzech. Głęboka zmarszczka przecięła czoło Kwiryny, a oczy jej stały się tak natężone w spojrzeniu, że panna Marta jęła się krzątać gorliwie. Jakaś klientka spytała płaczkliwie.

– Czy to masło aby świeże, panienko? Czy ono świeże?

Kwiryna ocknęła się.

– Tu nie targ! – rzekła. – Co pani wacha? Deserowe masło w opakowaniu?! W sklepie!? Panno Marto, zamykamy.

Na górce Roman, jakiś rozpromieniony i zmieszany, kręcił, się przy nakrywaniu stołu.

– Słuchaj, Kwiryno, jeśli będziecie same, to może ja wam będę przeszkadzać?

Aha, chce wyjść. I dokąd? Kwiryna odrzekła sucho:

– Nie, będzie i rejent.

– Rejent?

– Tak, zaprosiłam go, bo... – nachyliła się i szepnęła: – Rejentowi wpadła w oko Cechna, może co z tego będzie? To bogaty człowiek.

Roman aż otworzył usta.

– Nie, Kwiryno! – rzekł z podziwem – to dobra myśl! Że też na to wpadłaś!

Kwiryna błysnęła pięknymi, smolistymi oczami.

– A widzisz! – Po czym spytała. – Jaką suknię mam włożyć?

W sypialni doszło do czułości, aż musiała go mitygować. Ciotka akurat weszła, aby się o coś zapytać i wycofała się pośpiesznie. W kuchni nauczała dziewczynę:

– Żebyś mi nigdy nie wchodziła bez pukania! Pukaj i czekaj? Ciągłe się z sobą całują, jak Boga kocham, tyle lat, a jakby się wczoraj pobrali. Ale nie zawsze tak było, o, nie!

Dzwonek. Juuż? Ciotka pośpiesznie gderiała:

– Włóż fartuch! Nie ten, biały! Ładnie wyglądasz z tą nie umytą szyją!...

Kwiryna, przechodząc obok drzwi kuchennych, rzekła do Romana.

– Czy słyszysz, co ta ciotka wyprawia z dziewczyną? Musisz jej zwrócić uwagę. – Śmiała się w duszy, bo poszczuła tych troje na siebie i będzie miała spokój.

Amelia, ponieważ mieszkała blisko, przyszła pierwsza.

– Jak to dobrze, że dziś mam wieczór wolny!

– Ciekawa jestem, co ty w ogóle robisz, że masz wieczory zajęte – odpaliła Kwiryna.

Amelia uśmiechnęła się.

– Panie Romanie, niech mi pan pomoże zdjąć buty.

Roman przyklęknął jak przed świętością i wsparł stopę Amelii o swe kalano. Jest w najlepszym garniturze! Ach, ta Amelka! Kwiryna szturchnęła służącą, ale za późno.

– Gapisz się, a pan musi gościom usługiwać!

Amelia, w jedwabnej sukni koloru beż, weszła do bawialni i wydała okrzyk zachwytu. Palila się tylko jedna lampka przyćmiona abażurem z koronki, a przez nie domknięte drzwiczki pieca padała na dywan smuga ciepłego ognia. Zapach perfum (Kwiryna skropiła się obficie), kwiatów i owoców napełnił pokój, a błysk luster i mebli nadał mu wyraz wykwintu i zaciszności. Amelka zasiadła na fotelu i koniuszkiem stopy uchyliła drzwiczki pieca.

– W domu nigdy sobie na to pozwolić nie mogę, bo mama narzeka, że piec ostygnie. Panie Romku, niech mi pan przyniesie moją torebkę z przedpokoju.

Potem prosiła o popielniczkę, o zapalki i całkowicie zaprzątnęła sobą Romana, ale w taki jakiś szczególny sposób, jakby jej wcale nie zależało na samym Romanie, a po prostu żeby się ktoś koło niej kręcił. Kwiryna przyglądała jej się spod oka. Na szczęście znów dzwonek. To rejent.

– Moje uszanowanie pięknej gospodyni, moje uszanowanie.

Błaznował niby, ale z prawdziwą elegancją wręczył Kwirynie sporą wiązkę mimozy, prosząc, aby przyjęła „te skromne kwiatki południa od swego prawdziwego przyjaciela”. Kwiryna odczuła żywą przyjemność, że stało się to przy Amelce.

Nadeszła Cechna, zmęczona całodniową pracą. W nadziei, że spędzą wieczór same, zostawiła Zuzannę u babki. Kwiryna zaciągnęła ją do sypialni.

– Idziesz prosto ze sklepu? Popraw się trochę, masz tu puder...

Zajęła się nią skwapliwie i Cechna przejęta jej dobrocią, objęła ją mocno.

– Cóż, Kwiryno, znów nas poczęstujesz landrynkami...

– Jakimi landrynkami? Zaraz będzie kolacja. Jak myślisz, czy Bronka przyjdzie?

Właśnie zapukano. Bronka ubrała się na ten wieczór w wełnianą

sukieneczkę, chyba dlatego, że wyglądała w niej tak młodo. Kwiryra podejrzliwie spojrzała na jej pończochy: naturalnie, oczko puściło.

– Słuchaj, Kwiryno, nie przypatruj mi się tak krytycznie, bo myślę, że brak mi jakiegoś guzika.

– Guzika? Nie, ale oczko ci puściło w pończosze.

– Taak? – Bronka pośliniła palec i wyciągnąwszy nogę zwilżyła przezroczywą pończochę, dwanaście złotych para.

– Ach! – rzekła Kwiryra – ja widzę, Broniu, żeś ty się nic nie zmieniła. Chodź do sypialni, dam ci igłę z nitką, szkoda takich drogich pończoch.

Bronce nie chciało się zawracać sobie głowy pończochami.

„Lekko przyszło, lekko poszło” – pomyślała Kwiryra.

Z bawialni dobiegał ożywiany głos Amelii.

– Nasz prowizor mówi, że... ależ nie! pan Cichocki!

Amelka z Romanem w jednym kącie, rejent przy Cechnie. Kwiryra wrzuszyła gniewnie ramionami. Cechna słuchała komplementów rejenta z roztargnieniem, po prostu puszczała je mimo uszu. – Założę się, że myśli o Zuzannie.

– Późno już, proszę od razu do, stołu.

Przeszli do jadalni i ukazała się służąca w białym, nakrochmalonym fartuchu, niosąc ostrożnie półmisek. Garbata ciotka dreptała za nią, musztrując z przejęciem.

– Nie z tej strony! Z tamtej! Uważaj na suknię! Jak podajesz? Nachyl się!

– A to szturpak! – rzekła Kwiryra. I zawstydzona, rozgniewała się na dobre. Rejent wybuchnął hucznym śmiechem. Podobała mu się Cechna, ale prawdziwie szczerą była tutaj tylko Kwiryra.

Zapanowało milczenie, które przerywała gospodyni zapraszając, podsuwając półmiski, szczególnie Cechnie, co było niedelikatnością.

– Jaka ona mizerna! Ona się zapracowuje! – Bronka próbowała ożywić towarzystwo.

– Jak to, Kwiryno, czy nie dostaniemy placków kartoflanych?

Ciotka wybałuszyła oczy, powiedziano jej, że przyjęcie ma być eleganckie. Kwiryra obrazila się.

– Dlaczego mam dawać gościom placki? Chyba żartujesz?

Tak, jeśli któraś z nich przypuszczała, że to będzie dawny wieczór, z plackami na oleju, kartoflami z popielnika, pestkami zrumienionymi na blasze, no, to się zawiodła. Kwiryra ma za duże poczucie rzeczywistości, aby urządzać teatr. Po co? Wszystko się tak zmieniło! Amelia zapragnęła nagle zadzwonić do apteki i zdecydowała się nawet zejść do sklepu, od tyłu. Kwiryra towarzyszyła jej, zła na te pomysły. Stała nad nią nieubłaganie, w ciemnym korytarzyku za sklepem, i słuchała.

– Ach, to pan, panie Janie? Czy Filip jest na gorze? Długo pan będzie w

aptece? – A wreszcie. – Postaram się wrócić wcześniej, jeszcze się zobaczymy!

Kwiryna powstrzymała – się od uwag. Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Wróciły milcząc. Kwiryna dosłyszała słowa rejenta.

– Pani jest za delikatna na taką pracę, pani potrzebuje opieki, musi ktoś dbać o panią. – No, przynajmniej ta sprawa się udaje. Żeby tylko Cechna nie była głupia!

Bronka, nie zadając sobie trudu, aby rozmawiać, spoglądała na zegarek.

W kuchni, szykując kawę, ciotka głośno zwierzała się służącej.

– Pamiętam je, jak były takie małe, młodsze od ciebie. Jestem w tym domu, odkąd moja najstarsza siostra, matka Kwiryny, została tak okrutnie zamordowana. Pozostawiła majątek, może i mnie by się coś należało? Ale ja się nie skarzę!...

Dziewczyna, zachwycona resztkami wina i uczty, i tą poufałością, trajkotała.

– Nic nie powiem! Pani jest rodzoną ciotką pani, po co pani tak haruje?

– Ach, ty głupia! – rzekła ciotka wyniośle – ja tylko zarządzam. Nieś tę kawę do salonu!

W tej samej chwili za oknem zabrzmiał urwany sygnał taksówki. Bronka powstała i zaczęła się żegnać. Kwiryna zaprotestowała.

– Co znowu? Już?!

Oczywiście, ktoś po nią przyjechał, umówiła się.

– To Piędzicki. – oznajmiła Bronka otwarcie. – Pamiętacie go pewnie?

Kwiryna, do głębi urażona, nie zatrzymywała jej. W bawialni, przy kawie, rejent zainteresował się „Przedmiotami Pięknymi”.

– Jakim kapitałem rozporządzacie?

Cechna nie wiedziała dokładnie, lecz Kwiryna już słyszała na mieście, że ta dziwna placówka utrzymuje się dzięki poparciu bogatych dam i stowarzyszeń.

– Rzuć to, mówię ci, póki czas! Z takiego dziadowania nic nie wyjdzie. Jeśli nie nabierzesz rozmachu, nie dasz sobie rady.

Amelia wycedziła:

– Daj spokój, Kwiryno, przecież Cechna sama tego chciała. Mogła pracować u nas. Filip musiał przyjąć kasjerkę i jeszcze jednego pomocnika.

Ale Kwiryna nie słuchała już, teraz dopiero dostrzegła, że Romana nie ma w bawialni. – Gdzie się podział?

Wyszła do kuchni i spytała.

– Gdzie pan?

Dziewczyna widziała go, jak wynosił palto z szafy w sypialni. A więc wyszedł? Chciał wyjść zaraz po sklepie i wyszedł! Kwiryna wróciła do gości. Tu już pośpiesznie dopijano kawę.

– Odwiozę panią – rzekł rejent do Cechny. Broniła się.

– Ależ ja muszę jeszcze wstąpić do mamy po Zuzannę!

Rejent nie ustępował.

– Doskonale, to wstąpimy razem.

Kwiryna postanowiła: Muszę rozmówić się z Cechną, bo wszystko popsuje.

Gdy goście wyszli, krzyknęła zaraz w przedpokoju.

– Niech dziewczyna ściele łóżka!

Ziewając udała się do sypialni. Nie, ciotka nie zobaczy jej zmartwionej twarzy, wyrosła już z tego. Popędzała służącą.

– Prędej, prędej, bo ledwo się trzymam na nogach. – Po czym usiadła wygodnie przed lustrem w szlafroku i rozczesła gęste włosy.

Nadeszła ciotka, zaintrygowana nieobecnością Romana, ale Kwiryna odprawiła ją.

– Rachunek zrobimy jutro! Dobranoc? – Kładąc się do łóżka, przypomniała sobie o pieniądzech, które otrzymała od nowych lokatorów. Otworzyła boczną szufladkę w toalecie i jeden rzut oka wystarczył. Ktoś ruszał pudełko z nićmi, gdzie schowała w pośpiechu banknoty. Wyjęła je i przeliczyła. Ruchy jej rąk stały się powolne, jakby lunatyczne, bo nim skończyła liczyć, już wiedziała, że brakuje. Pierwszy raz to się zdarzyło, aby zapomniała zamknąć szufladę na klucz. I proszę. Brakowało półtora tysiąca złotych.

V

W wolne popołudnie Cechna i Zuzanna wybrały się na spacer „za miasto”, ponieważ dzielnica nie posiadała ogrodu. Ulica wylotem swym mierzyła prosto w pole, gdzie nędzne zagony kartofli stykały się z nasypem i węzłem szyn kolejowych. Ponure, czarne znaki sygnałów, zwrotnic, żurawi wyciągały krótkie, okaleczone ramiona nad zaśmieconą ziemią, pełną odpadków i papierów wyrzucanych z okien wagonów. Bezustanny przelot pociągów wstrząsał ziemią, a dymy parowozów i fabryk ciągnęły nad nią czarnymi pasmami. Stały tu jeszcze rozkrzyżowane na słupach reklamy, jaskrawe i obrzydłe strupy miejskiego nalotu, zwrócone obliczami do toru. Płyn do opalania, aspiryna, pasta do butów, czekolada Wedla i Gumm?... zachwalały swą jedyność i jakość nad żółkłą trawą, gdzie podczas niedziel i południ fabrycznych ludzie rozkładali swe zmęczenie, miłość, chorobę i zabawę.

Nieopisany smutek tych miejsc nasuwał myśl o śmietniku, o splugawionym krańcu życia. Cechna spójrzała na małą. Zuzanna stała

nieruchomo, z otępionymi oczyma, smukła i blada, w wyrośniętym już palczeczku, i Cechnie wydało się, że te długie nóżki załamują się lada chwila w kolanach, by paść na żalną ziemię. Przeszywający ból. Nie było przecież jej zamiarem ubożyć tak dzieciństwo Zuzanny. Poruszona pochyliła się i zaszeptwała gwałtownie.

– Zuza! powiedz, może ty pójdziesz na jakiś czas do ciotki Amelki, co?

Było to zwykle pytanie, ale Zuzanna zrozumiała ukryty jego sens. Jej cienkie paluszki schwyły palce matki i splotyły się mocno. Opowiedziała się, wybrała, to było zwycięstwo, gorzkie i smutne, ale zwycięstwo.

Ongiś, w dalekim miasteczku, w dobrobycie i weselu, zdradzała Zuzanna dużo zaborczości, egoizmu i instynktu posiadania. Teraz jakby stopniała w sobie. Cechna, obmyślając jej rozrywki, mówiła:

– Dziś urządzamy szaleństwo, Zuzanno, idziemy do kina!

Wesołe i podniecone, zasiadały w ciemnej sali w oczekiwaniu niebywałej uczty. Ale okrutność filmu, dramatyczne perypetie bohaterów spychały je z powrotem w smutek życia. Oschła Zuzanna nie mogła się powstrzymać od naiwnego okrzyku protestu w czasie akcji, co rozśmieszało przepelnioną salę. Gdy zabłyśły światła, odwracała od matki twarz gniewną i zalaną łzami, wstydząc się swego wzruszenia. Krzyczała wniebogłosy na ulicy, gdy mały, zziąjany piesek biegł za tramwajem, w którym jego pan rozczulająco uśmiechał się zza szyby. Życie wielkiego miasta niosło ku niej co krok swe prawdy, obnażało rany ubóstwa, wysuwało kikuty schorzeń i twarde łokcie chamstwa. Zuzanna zdawała się topnieć, blednąć, rozpluwać w swych wadach nie przez żadną tam pracę doskonalenia siebie, ale z samej słabości, na widok wszechmocnego zła stworzonego przez dorosłych. Cechna dostrzegła to z niepokojem. Tego przecież też nie chciała, bo uczucie niosło w sobie posmak jej dzieciństwa, Nowolipek, gdzie w strachu przed życiem wszystkie wysiłki sprowadzały się do chęci przymknięcia oczu i przywarcia do drogiego człowieka, wszystko jedno, jaki to był człowiek. Tego przecież nie chciała dla Zuzanny.

Szkoła Zuzanny była świetną szkołą i, bez wątpienia, wybierając ją Cechna miała na myśli swą dawną „panią” dyrektorkę. Oby Zuzanna w swej drodze spotkała kogoś takiego! Także i jej dawne związki przyjaźni z koleżankami, landrynki Kwiryny, chleb i ciepło domu Mossakowskich miały w sobie coś krzepiącego, nieomal do tej pory przetrwały i pozostały jak symbol pocieszającego współżycia.

Dziecko doznało dobrego przyjęcia, jego inteligencja, sposób myślenia i formułowanie tych myśli, żywość nosiły cechę oryginalności i zostały odpowiednio ocenione. Naturalnie i tu istniały notatniki wychowawcze i w pewnym notatniku przy imieniu Zuzanny zostało zanotowane. „Dziecko b. trudne, ale zdolne”. Ta notatka o trudnym charakterze uczennicy nie była

jednak wstępem do specjalnej nad nią pieczy i pracy. Nawet ta świetna szkoła nie zajmowała się indywidualnościami. Dążono do urobienia typu dziecka grzecznego, posłusznego, inteligentnego i uspołecznionego, co zresztą w większości wypadków pokrywało się z formami dobrego ułożenia. Zewnętrznie ułożenie Zuzanny było dość dalekie od poprawności - pewnego dnia Cechna została wezwana do szkoły, zasiadła naprzeciw przełożonej, aby dowiedzieć się innej prawdy o Zuzannie. O Zuzannie takiej, jaką widziano ją tu, w szkole. Jest to Zuzanna krnąbrna, nieposłuszna, wzgardliwa i pyszna w stosunkach koleżeńskich, wymagająca ciągłych usług. Cechna, oszołomiona, gotowa była wyznać. „Nie znam własnego dziecka”. Ale zaraz, zawstydzona tą zdradą w stosunku do Zuzanny, poprosiła o fakty, o coś konkretnego. Fakty?... Przełożona z pewnym wahaniem udzieliła tych wyjaśnień i wtedy fakty sprowadziły się raczej do gestów, nieopanowanych odruchów złego lub dobrego humoru, do głosu, wzruszeń ramionami, gadatliwości, wszystkiego wreszcie, co wyodrębniało ją w sposób przykry z grona koleżanek.... Poza tym Zuzanna mija się z prawdą...

– Kłamie?!

– Tak – odpowiedziała stanowczym głosem przełożona. Cicho i delikatnie ciągnęła dalej. – Wiadomo mi przecież, że pani boryka się z bardzo trudnymi warunkami życia. Tymczasem Zuzanna opowiada tu koleżankom takie rzeczy!... na przykład... o służącej... Pani przecież nie trzyma służącej, prawda?

Cechna ze zdumieniem spojrzała na przełożoną i machinalnie szepnęła:

– Nie. – Krwawy rumieniec wystąpił na jej twarzy. Co u licha napadło Zuzannę? Czyżby się wstydziła?... Nagle odetchnęła głośno i omal nie wybuchnęła śmiechem. Przypomniała sobie opowiadana Zuzanny o koleżankach. Jedna z nich, zapraszając Zuzannę do siebie, rzekła, bynajmniej nie w formie żartu.

– Powiedz portierowi na dole, że idziesz do jaśnie wielmożnych państwa Morańskich.

W wypracowaniach na temat „Jak spędziłam dzień?” pisały. „Wstawszy rano, z pomocą pokojowej zrobiłam toaletę ranną”. Po feriach świątecznych opowiadania szkolne pękały od wrażeń z podróży samolotem do Gdańska, o choince w Zakopanem, o wakacjach nad morzem, prezentach, szykach, kinderbalach¹⁴; Zuzanna, siedząc w pokoiku nad zeszytem, kręciła z zakłopotaniem pióro w palcach.

– Co ja mam napisać, mam?

– Pisz prawdę – odpowiedziała Cechna. – Przecież to nieważne, co będzie napisane, tylko jak będzie napisane... – I wrażenia Zuzanny zawarły się wreszcie w kilku zaledwie liniijkach dzieciennego pisma.

¹⁴ *kinderbal* (z niem.) – bal dziecięcy.

Małe snobki zburzyły dzieło matki. Cechna z, uwagą spojrziała na przełożoną. Miała przed sobą kobietę godną najwyższego szacunku za długoletnią działalność pedagogiczną i wychowawczą, szkoła nosi markę najlepszej szkoły stolicy, a jednak z Zuzanną postąpiono powierzchownie. To, co matka zrozumiała w lot, te niedostrzegalne powody „mijania się z prawdą” nie znalazłyby tu uznania. Skromna sytuacja materialna powinna nosić na sobie znamię pokory i wdzięczności, to już należało niejako da tradycji.

– Pani przecież nie trzyma służącej, prawda?

Cechna spojrziała na swe ręce, chciała wyjawić coś z tych swych myśli, już otworzyła usta, ale opanowała się. Jeśli na tych wyżynach panuje taka aura, nie ma się o co rozbijać. W rozgoryczeniu dostrzegła, iż poniosła klęskę ze swoim dążeniem do kształtowania charakteru. Czy dobrze robi obcinając Zuzannie wszelkie pazury? Czymże się będzie bronić? Jaki będzie świat, w którym Zuzanna ma żyć? Wśród jakich ludzi? Równość, równość, równość! A oto tu kształci się i przygotowuje do życia nowe pokolenie małych snobów, zdolnych do upokarzania, niezdolnych w współżyciu przez swą zarozumiałość, odgrodzonych murem nie do przebycia od tej wielkiej reszty, której służąca nie kąpie i pokojowa nie ubiera.

Czyżby wylot w świat stawał się możliwy tylko przez mężczyznę?... Ale po co odchodzić od Nowolipek, tam nie jest tak źle, jakby się zdawało. I przypomniała sobie wieczór u Kwiryny, owe nieśmiertelne „landrynki” dzieciństwa, które teraz przybrały postać reagenta, wiele historii z koleżankami szkolnymi, świadczących o wielkiej delikatności ich uczuć. I, olśniona tym odkryciem, Cechna zawróciła.

W tym czasie Zuzanna uległa rozmaitym eksperymentom doświadczalnym. Matka odebrała ją z doskonałej szkoły prywatnej i oddała do publicznej szkoły powszechnej, gdzie Zuzanna nie potrzebowała się uczyć, bo „już to umiała”. Wreszcie wylądowała w gimnazjum państwowym, zakosztowała upajającego smaku władzy nad pewną grupką wiernych, goryczy i rozczarowania detronizacji, aby w końcu, utemperowana, stać się jedną z tych czterdziestu, utonąć w masie.

VI

– Mrozik umiarkowany! – rzekła pani Raczyńska. Weszła do sypialni wprost ze dworu, nie zdejmując okrycia, pod czarną woalką twarz jej, zaróżowiona od zimna i płaczu, jaśniała dobrym wyglądem. Amelia spytała z łagodną wymówką.

– Cóż to, mama płakała?...

– Byłam na Powązkach.

Amelia, układając bieliznę z premia, zadumała się nad uczuciem matki dla ojca, którego tak słabo pamiętała. Ciągle jeszcze chodzi na grób, porządkuje, omiata... Ale tym razem to nie ten nieboszczyk wzruszył panią Raczyńską do łez. Odwinąwszy poję okrycia, przysiadła na brzegu łóżka i rozłożyła z zachwytem ręce.

– Na jaką uroczystość natrafiłam! Anibyś się spodziewała! Chyba pół Warszawy zebrało się z tej okazji. No, może przesadzam, ale było wspaniale i rozczulająco! To rocznica, wiesz, tego Niewiadomskiego, co to zabił prezydenta. Pamiętasz chyba, byliśmy z Filipem na pogrzebie?... Tylko nie wiem, jaka to rocznica?...

Zastanowiła się na chwilę, rozprostowując palcami haft falbany przy poszewce, ale myśl jej wróciła do grobu, zarzuconego kwiatami, błyszczącego od drżących światła świec. Uszy jej zdawały się łowić echo pieśni śpiewanej przez zebranych.

– Ach, zapomniałam! Pięknie śpiewali, dawno już nie słyszałam tak pięknego śpiewu. Słakałam się.

Pani Raczyńska westchnęła i wyjęła chusteczkę z torebki.

– No, mamó, mamó!... kto widział tak się przejmować! – powiedziała Amelka, od pewnego czasu pobłażliwa dla matki, dla Filipa, dla Katarzyny.

– Muszę powiedzieć Katarzynie, że to do niczego – rzekła pani Raczyńska. – Czy tak się prasuje haft? Jeszcze trzy takie prania, a poszewka będzie na nic.

Wyglądziła zaprasowane fałdki i powstała.

– Coś ci miałam powiedzieć i z tego wszystkiego zapomniałam!... Aha! Chodzi o Helcię.

Helcia chciała zdawać na dentystrykę i pani Raczyńska cieszyła się z tak dobrego wyboru fachu, bo to fach popłatny. Zawczasu marzyła, że Filip da na urządzenie gabinetu, Helcia będzie pracować na swoim. Ale okazało się, że dentystryka jest zapchana, naturalnie takich było więcej, którzy zwrócili uwagę na popłatny fach. Mowy nie było o dostaniu się na dentystrykę.

– Ona chce zdawać, Amelciu, do takiej szkoły rolnej.

Amelka na wół rozgniewała się.

– Co ma wspólnego dentystryka z rolnictwem? Cóż to za głupstwa! Nie, mamó, niech mi mama da spokój

– Ależ poczekaj – rzekła pani Raczyńska.

– Czy Helcia ma majątek ziemski, czy będzie uprawiać rolnictwo w doniczce?...

Pani Raczyńska upadła na duchu, ale nie dała za wygraną. I, zadumana, szepnęła:

– Z tymi rzeczami nic nigdy nie można wiedzieć z góry. Czy to wiadomo?

Helcia może kogoś poznać, wyjść za mąż, nawet taka Zuzanna, choć to młode, ale mądre, zaraz powiedziała, że Helcia może wyjść za mąż na wieś i wtedy z tą nauką – jak znalazł.

– Mama buja w obłokach.

– Ja ci nie wypominam, Amelciu, ale żeby nie twoje bujanie w obłokach, może nie byłabyś aptekarzową. Cóż to zresztą nadzwyczajnego? Czy nie przychodził tu pan Andrzej, bratanek księdza, który ma majątek ziemski? Co prawda, panu Andrzejowi ktoś inny wpadł w oko, ale może się znajdzie taki, któremu właśnie spodoba się tylko Helcia.

Amelia spojrzała oszołomionymi oczyma. Teraz lepiej jest mieć matkę za sobą.

– Dobrze, pomówię z Filipem. Ostatecznie Helcia musi coś zrobić.

– Powiedz Filipowi, że Helcia w przyszłości stokrotnie mu jego dobroć odplaci.

Ach, jak matka lubi się upokarzać! Amelia zmarszczyła brwi i spytała.

– Czy mama nie wie, jak Filip ułożył nowe dyżury z tym pomocnikiem? Chyba nie będą siedzieć w aptece w trójkę?

– Ach, grypa szaleje, ludzie mrą jak muchy – rzekła pani Raczyńska. – Owszem, wiem. Pan Jan ma dyżurować sam, a Filip z tym nowym, bo chce go dopilnować.

– Wszystko się pokręciło – szepnęła machinalnie Amelia.

– Co się pokręciło? Filip zaraz przyjdzie na obiad. Co prawda, po obiedzie znów wróci na dół, bo panu Janowi wypadł dziś nocny dyżur i przyjdzie dopiero koło dziesiątej.

Amelia odwróciła się i nagle objęła matkę za szyję. Parni Raczyńska aż się przestraszyła.

– Co ci się stało, Amelciu?

– Nic... Mama wszystko wie! Bez mamy nie dałabym sobie rady.

Nowa sukienka, granatowa, wisiała na ramiączku. Amelka zdjęła szlafrok i przebrała się. Zapuściła dłuższe włosy, ponieważ Jan życzył sobie tego. Teraz widziała w lustrze swą twarz, podcienione oczy, rozchylone wargi, gładki policzek. Zaróżowione ucho lśniło jak kwiat wśród jasnych pukli włosów. Czerwony, szeroki pasek z miękkiej skóry pięknie przystrajał ciemny materiał sukni. Zajrzała do jadalni. Katarzyna nakryła już do stołu.

– Co dziś na obiad, Katarzyno?

– Pani wygląda jak panienka – rzekła z pretensją w głosie Katarzyna.

Na stole kuchennym zapasy włoszczyzny przyniesione z piwnicy tajały z zimna, dając zapach orzeźwiający i ostry. Rozpieczętowany słój konfitur, świeży placek, wyrzucony dopiero co z blachy...

– Nie, Katarzyno, Katarzyna psuje nas!

– Co mam robić? Pani wcale nie zajmuje się domem.

Głos jej zabrzmiał nie skrywaną naganą, Amelia spojrzała na służącą i nagle przestraszyła się tej twarzy białej i surowej. Katarzyna w ciemnej sukni i błękitnym fartuchu, z broszką pod brodą, gdzie Miłość, Wiara i Nadzieja spletały swe znaki w enigmatyczny¹⁵ kłęb, onieśmieliła ją. Para buchająca spod pokryw, czerwona blacha kuchni, gorące uszy garnków i rondli nie naruszyły spokoju i godności tej wzorowej sługi, która służyła przedtem na bogatej plebanii, zanim trafiła do aptekarza. Jan mówił o niej, że to jest twarz ascetyczna.

– Niech Katarzyna pozwoli, zrobię dla pana sałatkę.

Zdjęła z gwoździa fartuch i przepasawszy nim biodra, stanęła przy stole. Katarzyna, pojednana, wyłowiła z rosółu gorące warzywa.

– A może pani chce tuku na chleb?

Amelia plasnęła dłońmi.

– Ach, jak ja to lubię!

Spojrzała z taką wdzięcznością, aż to zmieszało Katarzynę. Jej ręce uformowały zgrabną kanapkę z razowego chleba. Gęsty szpik błyszczał złocistą poźlotą.

– Proszę pani.

Filip, który miał zwyczaj zaglądania do garnków przed obiadem, wszedł do kuchni. To ucieszyło Katarzynę, jej pan jest smakoszem i potrafi ocenić jej pracę.

– Co ty tu robisz? – Resztką kanapki wzbudziła w nim szalony apetyt i Amelia odjęła ją sobie od ust, aby wsunąć przysmak w otwarte usta męża. Aptekarz objął ją wpół i, żując jeszcze, powiódł do jadalni.

– Co to, nowa suknia? Pokaż się!

Amelia wyciągnęła ramiona w górę, smukła i zwinna okręciła się na palcach.

– Jesteś co dzień młodsza!

– Ach, bo mi jest tak dobrze, Filipie, tak dobrze... z tobą!

– Co, naprawdę? – spytał niby niedowierzająco. Amelka objęła go i zakołysała. – Jesteś taki miły, taki dobry, taki oddany. – Aptekarz, wzruszony, chrząkając, zdjął szkła i przetarł je, można by przypuszczać, że i szkła omgliło wzruszenie.

– Siadajmy! Siadaj, Filipie!

Białe jej ręce zwinnie krzątały się nad zastawą stołową, podczas gdy mąż rozmyślał, czyby nie zostać w domu? Ale po zjedzeniu zawieszistej zupy uczuł się dość ciężko, przypomniał sobie fotel w pokoiku za apteką, plik gazet, pomocnika i kasjerkę, klientów zmartwionych chorobami, których mógł pouczać i pocieszać. I rzekł.

– Jaka szkoda, że muszę zejść zaraz po obiedzie do apteki.

¹⁵ *Enigmatyczny – zagadkowy.*

– Ależ nie przejmuj się, odpocznij.

– Nie, nie, obowiązek przede wszystkim.

Zeszła z nim na dół, aby zadzwonić do Kwiryny i zapowiedzieć swe odwiedziny. Ale potem, gdy ubrana już, opuściła bramę, minęła Karmelicką i szybko przywołała taksówkę. Nie umawiała się dziś z Janem, ale on na pewno czeka na nią. Uczucie to było jak wielka huśtawka, nigdy nic nie wiadomo! Jan, taki mądry i oschły – był teraz tym, który pragnął częstych spotkań.

– Która godzina?

Jan nie odpowiedział i, wyciągnawszy rękę, Amelia poszukała w ciemności jego głowy. Palce natrafiły na ściągnięte brwi i przemknęły po twarzy. Uspokojona. Szczęśliwa. Przeniknięta pewnością niezachwianą. Jak jej się nie chce stąd ruszać!

– Janku, czy nie czas już na nas?

Westchnął, usiadł na tapczanie. Po omacku odnalazł kontakt i włączył światło. Rozburzone włosy Amelii zasypały poduszkę. Ukazała się, różowa, z twarzą obmytą przez rozkosz, z oczyma znużonymi, lecz uśmiechniętymi laskawie. I poskarżyła się.

– Ach, wracać teraz do domu!

Spojrzał na zegarek i mruknął.

– Wpół do dziesiątej. – Potem odwrócił ją, objął i dźwignął ku sobie. – Ja muszę iść, ale ty możesz zostać. – Potrząsnęła głową

– Filip zaraz przyjdzie na górę. – I, chcąc mu okazać, że to odejście nie przychodzi jej łatwo, ciągnęła dalej. – Filip przyjdzie na górę... siądziemy do kolacji... nastawi radio... jak co dzień, co wieczór!

Powiedział powoli.

– Ja mówię o zupełnym pozostaniu. Właściwie po cóż byś miała wracać? Te rzeczy można ułożyć.

Amelia spojrzała na niego zdumiona. O tym nigdy nie pomyślała! Tak stracić głowę! Nagle wstała prędko.

– Podaj mi szlafrok, mój drogi.

Stukając cicho obcasami pantofelków, krzątała się po pokoju. Nagle przystanęła. Jej oczy ogarnęły wnętrze, ubogie i zimne, tapczan kryty ciemnym rypsem, szafę o nie domykających się drzwiach, umywalkę w kącie, stół i krzeselka. Tylko jej osobiste rzeczy, porozrzucane, kładły weselszą i zbyt kowną nutę w tę oschłość. Jan milczał. Nie, nie powinna robić tego przeglądu, on jest tak przenikliwy. Bąknęła.

– Nie. Nie mogę odejść tak, bez słowa. To stary człowiek, musiałabym go jakoś przygotować... a mama! Ach! Zresztą – ty też nie mówisz na serio...

Wzruszył ramionami.

– Rozumiem, pani chciałaby mieć wszystko, zachować i koroneczki, i miłość.

– Nie mów tak!

Amelka szepnęła te słowa głosem zadąsanym i pieszczotliwym, ubierając się dalej. Nic sobie nie robiła z jego ironii, czuła, że i tak go nie straci. I, stojąc prawie obnażona w swej przezroczyściej bieliźnie, szcztokowała włosy, wcale nie zażenowana. Tak niedawno jeszcze byłyby to nie do pomyślenia, wstyd opadł z niej.

– Jesteś taki... taki postępowy, a...

– Postęp to nie znaczy, żebym mógł spokojnie siedzieć w aptece, podczas gdy ty, tam, na górze... z mężem...

Amelia wyciągnęła żywo ręce.

– Mogę ci przysiąc na wszystko, że mnie z nim nic nie łączy... – Tak, mogła przysiąc z czystym sumieniem, w obliczu tych nowych przeżyć, tamto z Filipem – to było nic...

Ale rozumiała Jana. Zbliżyła się, smutna i znużona, i wsparłszy czoło o jego czoło, zatonęła spojrzeniem w jego oczach. Uczuła szybkie pulsowanie krwi i chwiejąc się przyłgnęła do tego ciała, które użyczyło jej życia. Rzekła, jakby z samej głębi siebie.

– Ja też się męczę, czy ty tego nie widzisz? Po sto razy zbiegam na dół do apteki, aby ciebie zobaczyć. Siedzę na górze, ale myślę tylko o tobie, bez ustanku. – Dotknęła wargami jego ucha, szepcząc: – Gdy Filip zaśnie, zejść na dół.

– Uważaj na siebie.

Powiedział to z czułością, przeciągnął ręką po jej gładko zaczesanej głowie. Jak spiskowcy obejrzeni się za siebie.

– Czy wszystko masz?

– Tak, tak.

– Twoje fiołki!

– Zostaw je!

Wyszli razem, przeplótszy ramiona, kiście dłoni, palce. Koło Karmelickiej Jan zwolnił kroku.

– Czy pójdziesz pierwsza?

Teraz poczuła żal i westchnęła.

– Co tam! Pewno nikogo nie spotkamy. Tak dobrze iść razem. Słuchaj, nie trzymaj zapalanej dużej lampy w dyżurce, dobrze?

Żegnali się w pustej i słabo oświetlonej bramie. Naprzeciw, we wnęce murów kościelnych, ktoś stał przed żalobnymi kartami klepsydr. Amelia szepnęła uspokajająco.

– To kolporter pan, Gończyk.

– O tej porze? Ależ on kompletnie zidiociał!

Policzki Amelii pałały.

– Ach, to okropne, czuję, jak gdybym płonęła!

Jan dotknął jej twarzy zimną dłonią.

– Moje biedactwo... Przyjdiesz?

– Tak.

Spódniczki jej zaszeleściły na schodach. Zadyszana, z bijącym sercem, wpadła do przedpokoju. A jeśli Filip zostawił aptekę pomocnikowi i jest już w domu? Nie, on jest taki obowiązkowy.

Katarzyna uchyliła drzwi od kuchni.

– Pan był na gorze i pytał o panią.

Krzyknęła z gniewem.

– Dobrze, dobrze! – W popłochu zrzuciła z siebie suknię, kapelusz, bieliznę. Lada chwila Filip wejdzie! Gdyby Jan miał tyle rozumu, aby zatrzymać go jeszcze na dole... Go powiedzieć? Że była u Kwiryny?... A jeśli dzwonił tam? O głupia, głupia, głupia! Mogła przecież powiedzieć, że idzie do Cechny, Cechna nie ma telefonu. Ułożyła się jak do snu i przymknęła oczy, udawała sen, podczas gdy jej twarz drżała od uczuć. Wtedy wstała i zanurzyła ręce w mielnicę napełnionej wodą. Podniecenie opadło. Usłyszała kroki Filipa na dole, stuk drzwi. Prędko zgasiła światło.

– Śpisz?

Nie odpowiedziała. Nic nie wiedział, uzyskała tę pewność z brzmienia jego głosu. Oddychała równo, jak uśpiona. Przeszedł do jadalni, aby „coś przekąsić przed snem”. Uczuła głód, od obiadu nic nie jadła. Jan także musi być głodny. Czeka tam na nią! I pod wpływem tych drobnych, ale dotkliwych przykrości propozycja Jana nabrała powabu. Ach, gdyby tak można żyć z nim nie kryjąc się! Jakby to było miło dzielić z nim dzień, posiłki, wypoczynek, oczekiwania powrotu, rozrywki. Ale rzecz dziwna, wyobraźnia nie ukazywała jej Jana tam, w jego pokoiku na Kruczej, gdzie trzeba było zachowywać się dyskretnie i cicho. Widziała go tu, w domu nad apteką. I pomyślała. – „Ależ ja się za bardzo krępuję! Można to urządzić...” – Wyrzucała sobie ten popłoch, ostatecznie mogła się nie kłaść, zjeść spokojnie kolację i nawet zanieść coś do jedzenia na dół, udając, że nie wie o dyżurze Jana, a niesie to dla męża. Filip brzękał nakryciem w jadalni, zajadał smacznie, wcale się nie krępując. Marudził. Westchnęła i już nie udawała, że śpi, zrezygnowana. Usłyszała szelest gazety. Ach, mój Boże, to nie ma końca, będzie musiała wstać. i...! Z gniewem usiadła na łóżku.

– Kto tam jest w jadalni? To ty, Filipie? Obudziłeś mnie!

Narzuciła szlafrok i, mrużąc oczy od światła, udając rozkoszne zadąsanie, namawiała aptekarza, by się już wreszcie położył. Ale dostrzegła mętne oczy męża, niepewne ruchy jego rąk, ukradkowe spojrzenia i uśmiech. „Jeszcze i to!” – pomyślała. Westchnęła. Podeszedszy do męża, objęła go. Jan tam czekał, na dole, widziała go w pokoiku za apteką, palącego papierosy, jeden za drugim. I wzmocniła swój uścisk, pieszczoty jej stały się ostre przez swą

zimną żarliwość i z góry planowany zamysł. Nagle usłyszała dziwny dźwięk, przeraziło ją to, zacichła. To aptekarz gruchał, rozkliwiony i zdyszany. Zataczając się, pchał ją przed sobą, do sypialni...

Nie, już nie zejdzie na dół. Leżała martwa, wyciągnięta na wznak, bezmyślna. Nie, nie podobna teraz zejść do Jana. Nie potrafiłaby skłamać, grać komedię. Stłumiony świst przerwał ciszę. To aptekarz chrapał. Zasnął zaraz, wyczerpany.

Zerwała się bezszelestnie, ogarnęła szlafrok, wsunęła bose stopy w pantofle i wionęła jak cień do przedpokoju. Nasłuchując sięgnęła po futro. Zamek szczerknął cicho. Drzwi skrzyknęły. Lekki trzask stopni schodów był jak wielki huk. Otworzyła drzwi. Jan leżał na wąskiej kanapce, ubrany, nawet nie tak dużo wypalił papierosów. Leżał z oczyma utkwionymi w drzwi, uśmiechał się zimno i ironicznie. I, niezdolna podejść bliżej, osunęła się na krzesło przy drzwiach, kryjąc przed tym spojrzeniem twarz w dłoniach.

Na górze, w kuchni, obudziła się Katarzyna. Pod kościołem kolporter Gończyk przerwał męczącą naukę czytania na klepsydrach i ogłoszeniach kościelnych. Zegar na wieży wybił północ.

– Dwunasta godzina... godzina duchów – rzekł pan Gończyk do siebie.

Usiadł na stopniach schodów, wyjął bułkę z kieszeni i zaczął zajadać. Dwie czerwone latarnie płonęły po obu stronach świętego posągu. Ujrzał też smugę światła z pokoiku aptecznego, zasłona nie była szczelna. Dla urozmaicenia przeszedł na drugą stronę, zmrużył jedno oko i wycelował w szparę. Pewnej nocy aptekarz usłyszał kroki pod oknem, wyjrzał i zaprosił go do wnętrza. Inteligentny człowiek, dużo się od niego można dowiedzieć. Ale dziś – na wprost okna na, krzeselku siedziała kobieta. To aptekarzowa, co ona tu robi? Spod futra wysuwały się bose stopy w lekkich pantofelkach z pomponem i fałdy czegoś białego, po prostu bielizna damska. Nikogo więcej nie było widać. Oho, ona płacze.

Pan Gończyk pociągnął nosem, broda jego wysunęła się tak, że widział ją na cieniu. Przeszedł na drugą stronę okna i zajrzał. Na kanapce leżał na wznak prowizor z rękami pod głową, patrzył w sufit. Ho, ho! Chyba nie będą siedzieć tak długo z daleka od siebie? Spacerował pod oknem i czekał. Ale ilekroć zajrzał, nic się nie zmieniło. Dopiero dużo później ujrzał prowizora stojącego koło krzesła płaczącej aptekarzowej. No, zaczyna się... Położył rękę na jej ramieniu?! I znów nic.

Pan Gończyk powrócił na drugą stronę. Mury kościoła ziały wilgocią. Gdzieś od Żelaznej zaturkotała samotna drynda. Stał przed klepsydrami i, wodząc palcem po czarnych literach, czytał. Śp. We-ro-ro-ni-ka – aha, to ta

ze Smoczej, co leży w kaplicy na lewo! Dalej mu nie szło, nazwiska nie mógł odczytać. Reszta jednak poszła gładko, mógł się domyślić, to było jednakowe na wszystkich klepsydrach. Po długich i ciężkich cierpieniach, zm..., to znaczy zmarła. Potem dzień narodzin i dzień zgonu, to wszystko.

Od nowej linii zaczynało się o wyprowadzeniu zwłok. Tego nie potrzebował czytać, wiedział od zakrystiana Łapko, że pogrzeb będzie jutro. Nagle w rozpaczy zacisnął pięści i uderzył się w pierś. Nie powinien się domyślać, nie powinien wiedzieć od Łapki – powinien był czytać, czytać! I zabrał się do ślabizówki od początku.

Biała pierwsza.

VII

– Czy ta możliwe wyczynić tyle hałasu li tylko samymi nogami?! – krzyknęła Zuzanna.

Odtańczywszy szalonego dżiga, oddawszy hołd demonowi ruchu, rzuciła się na twardą kanapkę z książką w rękę, z torebką cukierków w drugiej. Albowiem co do tych dwóch rzeczy miała ustaloną opinię. Nie ma nic lepszego niż wyhasać się po długim siedzeniu nad lekcjami i nie ma nic lepszego jak wieczór w domu, z książką i cukierkami, gdy matka nie wychodzi na miasto za interesami, a siedzi tuż, przy stole, na który lampa rzuca świetlisty krąg.

– Dobrze, że na dole nikt nie mieszka – rzekła Cechna.

Wróciła dopiero co z małej podróży na wieś i rozłożyła przed sobą poząłki tiul, wpatrzona weń bezmyślnie. Znalazła to w pewnej chałupie w zapadłej wiosce kurpiowskiej, gdzie gospodyni, otwarłszy skrzynię, ukazała paniom z miasta swoje bogactwo. fantastyczne kubraczki bogato haftowane koralikami, cekinami, zwyczajną barwną tasiemką, włóczką, nicią jedwabną, skórą. Tiulowe czepce kobiet, czepce, do trumny, „śmiertelne”. Małe czepczyki urodzinowe, na chrzest. Cienkie koszule zdobne w szydełkową koronkę ręczną. Serwety. Przejrzyste kryzy. Nawet derki na konie były piękne. Ale nic z tego nie było na sprzedaż, tylko parę metrów tiulu pracowicie pozszywanego, z którego nic jeszcze nie sporządzono. I Cechna, starannie kopiując kubraki, łykała ślinkę na ów tiul, zanim się zdecydowała na kupno. Teraz nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego to zrobiła i po co jej ten tiul?

– Mamo, czy będę miała choinkę?

To pytanie, które natarczywie zadawała ongiś swojej matce, pani Raczyńskiej! Świat mógł iść olbrzymimi krokami naprzód, burzyć domy, przesady i symbole, zaprowadzać wspólne kuchnie i wspólnotę gospodarstw,

ale dzieci będą nadal pytać. „Czy urządzimy choinkę? czy będzie wigilia?”
Cechna odpowiedziała głosem stanowczym.

– Tak.

Ten tiul, poźółkły, pozszywany lśniącą nicią, nadawał się raczej za szkło gablotki muzealnej. Subtelny ścieg spletał się w wzór nie do odcyfrowania, zamazany i bezbarwny.

– Mam nadzieję, że mi kupisz pantofle?

Cechna zastanowiła się. Już od dawna opór jej skruszał, obiecywała, aby potem nie móc obietnic dotrzymać. Pantofle? Za co? I dlaczego pantofle? Przecież jest zima.

– Nikt nie nosi teraz bucików. Wszystkie dziewczynki w gimnazjum mają pantofelki i boty – rzekła bystrze Zuzanna. I wytoczyła niezbite argumenty za botami. – To się zdejmuję prędko, a ja godzinami muszę sznurować buciki. Spóźniam się, wychodzę ostatnia.

– Dobrze już, dobrze! – zawołała matka z gniewem. Ten gniew wynikał z troski. Pantofelki! Boty! Fartuch szkolny! Zuzanna drze w strzępy dwa fartuchy rocznie. Nie ma sukienki świątecznej! Pończoch! Dołożywszy do tego komorne i wpis, dług w sklepiku i wydatki na święta – Cechna poczuła niepokój i czarną noc w oczach. Zmiała tiul i rzuciła na łóżko, zniechęcona. Wyrzucone pieniądze.

Odsunąwszy fajerki, dorzuciła drewno na ogień, zasypując je miałkim, „tym tańszym” węglem. Nagle spyła łagodnie.

– Hm... Zuzanno, co myślisz o rejencie?

– Jakim rejencie? Ach, ten... co mi zafundował czekoladki! To fajara!

Krew uderzyła Cechnie do głowy. Znow chciała zrobić głupstwo, „oprzec się o kogoś” – i to z powodu pantofli i botów. Na szczęście Zuzanna posiada bystry umysł. Cechna roześmiała się nieszczerze.

– Może przygrzać kartofli na kolację? Dla ciebie jest trochę szynki.

– Znow kartofle! Wiesz, jeśli już mają być kartofle, to wołę w łupinach i z popielnika.

– Tak na poczekaniu? Nie wiem, czy się upieką.

– Spróbuj, spróbuj! ty zawsze wymyślasz jakieś trudności! – zagrzewała do dzieła Zuzanna. – Nasyp żaru na wierzch!

Cechna przykucnęła przy popielniku. Zapanowała cisza.

– „*Roland uderzył mieczem o krzemień – rozległ się głos zaczytanej Zuzanny. – Walił nim więcej, niżbym zdołał powiedzieć. Miecz zgrzyta, nie pryska ani się nie łamie. Odskakuje ku niebu. Kiedy hrabia widzi, że go nie złamie, żałuje go w duszy bardzo łagodnie. «Ha! Durendal, jakiś ty piękny i święty!... Twoja złota galka pełna jest relikwii: ząb świętego Piotra, krew*

świętego Bazylego...»¹⁶ – Zuzanna poczyna mruczeć.

- Co to jest, Zuzanno?
- „Pieśń o Rolandzie” z mojej czytanki szkolnej.
- Zacznij od początku, dobrze? Czytaj głośno! Za moich czasów nie było tak pięknych rzeczy w czytankach.

„...i włosy wielebneho świętego Denisa, strzęp szaty Najświętszej Panny. Nie godzi się, aby poganie cię posiadli. Obyś nigdy nie dostał się w ręce tchórza!”

Oczy Cechny dostrzegają nagle nieszczęsny tiul. Rzucony na łóżko, padł na tkaninę o intensywnej barwie turkus. Nagle ożył. Uzyskał tło i błysnął cenną pozlota kości słoniowej. Lśniąca nić wzoru pobiegła swoją wyrazistą linią, linią naiwnego piękna. Snuje się jak tok bajki, w tym jest coś z dawnych opowiadań.

– „...Tobą zdobyłem tyle szerokich ziem, które dzierży Karol, cesarz siwobrody: przez ciebie jest potężny i bogaty...”

Co z tym zrobić? To musi żyć dalej. Cechna otwiera szufladę, chwytą stary zeszyt Zuzanny i ołówkiem szkicuje. Przebacz, Panie Boże, tiul i miecz Durendal, to straszne i śmieszne podkładać takie ilustracje pod słowa rapsodu rycerskiego. „Tyle szerokich ziem”, pantofle i boty, i choinka... Nie, to nie wszystko...

- Gdzie masz gumkę?
- W teczce, mamol!

– „Roland czuje, że śmierć go bierze całego: z głowy zstępuje do serca. Biegnie rycerz pędem na szczyt góry, położył się na zielonej murawie, twarzą do ziemi. Pod siebie kładzie swój miecz i róg. Ku Hiszpanii obrócił twarz”.

Tak, dzieło dobiega końca. Ale strofy nie obniżają swego napięcia ani poziomu, zarówno doskonałe w początku swym i zmierzchu. Zuzanna jest dziełem nie dokończonym. „Obyś nigdy nie dostał się w ręce tchórza! Oby nie posiadli cię poganie...” – Czy stan ma być wysoko czy nisko? Ależ ta suknia wymaga stylu. Co to jest styl? Jaki to ma być styl? O Boże, nic nie umiem, nic nie wiem...

– „Wiele rzeczy przychodzi mu na pamięć: tyle ziem, które zdobył dzielny

¹⁶ Tłumaczenie Boya.

rycerz, i słodka Francja, i krewniacy, i Karol Wielki, jego pan. Placze i wzdycha, nie może się wstrzymać. Ale nie chce przepomnieć samego siebie, bije się w piersi...

Styl to musi być coś wynikającego z samego ducha rzeczy. Tak jak rytm tych słów wynika z opowieści bohaterskiej. Co jest w tym strzępie tytułu? Gałązka choiny. Mróz na szybach. Puszyste pióra ptasie. Łeb fantastycznego zwierza z ziejącą paszczą. Rozszczępiony kwiat lilii...

Zuzanna powstała, aby odczytać końcowe strofy. Ma już na tyle smaku, aby nie czytać z „przejęciem”. Czyta z powagą.

– „Ofiarował Bogu swą prawą rękawicę, święty Gabriel wziął ją z jego dłoni. Opuścił głowę na ramię, doszedł, ze złożonymi rękami, swego końca. Bóg zsyła mu swego Anioła Cherubina i świętego Michała Opiekuna, z nimi przyszedł i święty Gabriel. Niosą duszę hrabiego do rajy...”

Oby mogła odejść tak kiedyś, ze złożonymi rękami doszedłszy końca. Z sercem spokojnym o swą miłość pozostawioną ludziom i ziemi.

VIII

Jaki ten Roman nieskomplikowany. Tysiąc pięćset złotych ulotniło się jak kamfora, a on ma minę niewiniątka. Kwiryra nie pisnęła ani słówka, czeka. Ktokolwiek z tych trojga wziął, wyda się powolutku. Dziewczyna, a nawet ciotka nie wytrzymają, ażeby sobie nie kupić czegoś zbytkownego. A jeśli Roman...

Nie trzeba było czekać długo. W kilka dni potem wraca z miasta zdenerwowany i klnie kogoś, kto wymyślił... baraki.

– To istne piekło! – Kwiryra przetłumaczyła to sobie zaraz po swojemu: ściągnął pieniądze i zaniósł blacharzom na kupno mieszkania. A kiedy znów pewnego wieczoru zaczął narzekać na ludzi. – Co to za ludzie! Nie warto się nad nimi litować! – i okazywał Kwiryynie niezwykłą tkliwość, też wiedziała, czemu to zawdzięcza: blacharz pieniądze wziął, ale z baraków nie wyniósł się.

Coś jej mówi, że to są ostatnie sprawki Romana, i w cichości ducha poświęca tę stratę. Wypuszcza tylko jedną strzałę.

– Co robić z pieniędzmi? Gotówka ulatnia się czasem jak kamfora. A nawet gdy leży w banku, co za pociecha? Gotówka nie może leżeć, to nawet grzech.

– Słuchaj Romek, ty przecież chodziłeś na kursy handlowe, więc co

myślisz?

– Bo ja wiem? A ty co zamierzasz?

Pytanie za pytanie, na to go tylko stać. Kwiryra opina szlafrok, jak zwykle, gdy wpada w natchnienie, wtedy przeszkadza jej nawet najwygodniejsze ubranie. Siedzą w fotelach w bawialni i grają w loteryjkę. Ostatecznie to jest najlepsze spędzenie wieczoru, Kwiryra przepada za loteryjką. Przyjmowanie gości jakoś się nie zawsze udaje, jest i kosztowne, i męczące, szczególnie dla Romana. Roman jest wyraźnie pod wieczór zmęczony. Ciągną drewniane gałki na zmianę. Grają o pieniądze.

– Dziewięć! – mówi Kwiryra. – Czy zauważyłeś, Romanie, że Amelka ciągle wtrąca do rozmowy prowizora? Piętnaście!

– Mam – odpowiada Roman i zakrywa numer. – No to co z tego?

– Jak to, co z tego?... Pięćdziesiąt! Czy po to się wychodzi za męża, aby ciągle mówić o innym mężczyźnie?!

– Paradne! Czy ma ciągle mówić o mężu?

– Uwważaj! – odpowiada Kwiryra – masz ten numer i nie zakryłeś. Czy naprawdę nie możesz grać i rozmawiać?... – Ciągnąc dalej numery Kwiryra nie przestaje roztrząsać życia swych dawnych koleżanek. Amelia myśli o prowizorze, Bronka romansuje z żonatym. Kwiryra ma wątpliwości, czy powinna zapraszać Bronkę. – Pięć... Odebrała innej kobiecie męża, a ja wiem, jak to smakuje.

– Jeszcze ci nikt mnie nie odebrał.

– No, no! Gdybyś tylko mógł... Kto wie!

– Zdaje mi się, Kwiryno, że ty źle obliczasz. Ty umiesz obliczać tylko cyfry, ale uczuć ludzkich...

– Dość – mówi Kwiryra – zakryłam całą kartkę, możesz sprawdzić! – Zagarnia pieniądze, oddaje Romanowi woreczek z gałkami i odpowiada z ironią. – Tylko nie tak górnio! Wiem, o kim mówisz. O Cechnie. Że ze swatania rejenta nic nie wyszło. To wcale nie dlatego, mój drogi. Ja ci zaraz powiem o uczuciach ludzkich: już nie ciągnie do mężczyzn. Cała wlała w swoje dziecko.

– Dwa – obwieszcza Roman i wylicza pośpiesznie. – dwadzieścia, trzydzieści pięć, czternaście!...

Ale Kwiryra bynajmniej nie ceni loteryjki bez rozmowy. Zresztą i loteryjka, i rozmowa mają znaczenie czysto powierzchowne. Przez cały ten czas Kwiryra kombinuje i wcale jej to nie przeszkadza, że musi uważać i rozmawiać. Nie, to nawet pomaga.

– Co się tak śpieszysz? Nie zdążę nakrywać.

Sięga do talerza z bakaliami, który stoi obok na stolyczku. Potrzeba jej czegoś słodkiego w ustach, gdy myśl pracuje.

– Zadzwoń, niech nam da herbaty.

– Gramy czy nie gramy?! – gniewa się Roman.
– Gramy, ale herbatę też możemy wypić. Co ty się tak zataczasz na nogach?

– Nie wiem. Zasiedziałem się widać i w głowie mi się kręci.

– To z żołądka.

Zanim ciotka podała herbatę, Kwiryna obrała jabłko.

– Zjedz, to ci dobrze zrobi, a na noc dostaniesz śliwek. Boli cię co?...

Taka troskliwość nie może człowieka nie ująć, Roman patrzy na żonę z rozczerwienieniem i zachwytem. Smoliste jej czarne oczy lśnią rozmarzająco, zamyśliła się o czymś, wargi uśmiechają się łagodnie. Jaka ona wciąż ładna i pociągająca... Nagle Roman krzywi się i odwraca oczy. Ona w ten sposób i w tej chwili układa interesy! I rzeczywiście.

– Na Lesznie, naprzeciw apteki, jest sklep do sprzedania. Dobry punkt.

– ?...

– Jeśli się sprowadza towar do jednego sklepu, można sprowadzać do dwóch, trzech, czterech...

– Myślisz o filiach?

– Tak!

Popijając herbatę Kwiryna oświadcza, że już jej się to wszystko znudziło. Sklep? Cóż to jest? Kilo. Pół kila. Ćwierć kila... Przedrzeźnia żądania klientów i obroty w swoim „sklepiku”. Roman patrzy na swą nienasyconą pod każdym względem żonę i znajduje w jej projekcie jeden dobry punkt.

– Kogo tam posadzisz?

Kwiryna odpowiada bez namysłu.

– Pannę Martę, sklepową. – Po to właśnie przyjechała ją do sklepu, aby ją wyszkolić i przyjrzeć się, jaki to człowiek. A więc nosiła się z tym projektem od dawna! Roman zagryza wargi i wypowiada swe zdanie o panie Marcie. Owszem, ona jest obrotna i pracowita, ale na Leszno nie nadje się.

– Dlaczego?

– Bo jest ordynarna i nie zawsze grzeczna dla klientów, a tam jest lepsza klientela. Tam trzeba kogoś inteligentniejszego. Ja ci poradzę: weź tę nauczycielkę z naszego domu.

– Nauczycielkę?!

– Jest zredukowana.

Co za przewrotność! Romana ogarnia wzburzenie, nie wierzy, aby Kwiryna o tym nie wiedziała. Wie, tylko udaje.

– Patrzcie państwo! To ona już nie jest na posadzie! Co ty mówisz? I za cóż ją wyleli?

– Nie wyleli, tylko zwolnili z „powodu braku kwalifikacji”.

– Wykolejona istota, niedouczonek! – mruczy Kwiryna. – Ładna historia! Przecież ani zalegają z komornym.

– No, więc widzisz – mówi Roman – Z twojej strony będzie to czysty interes, jak jej dasz pracę! Zarobi i zapłaci.

– I będzie mi wszystko wynosić ze sklepu do domu.

– Robisz z niej złodzieja! Z góry!

– Ja wiem, co mówię. Przecież u nich nikt nie pracuje, tylko „pobiera nauki”. Ta młodsza, zamiast iść do jakiegoś zajęcia, spaceruje w mundurku jak pensjonarka.

– Uspokój się! Nie wytykaj jej tego mundurka, bo już nie chodzi do szkoły.

– Oo? – dziwi się z przekąsem Kwiryra – drugi niedouczek!

Roman na to z irytacją.

– To nie jej wina? Gdybyś czytała gazety, nie tylko o kursie dolara, dowiedziałabyś się, że tego roku dzieci ze szkół powszechnych nie pozdawały egzaminu do gimnazjów. Ale ty widzisz tylko koniec własnego nosa.

– Nie, ja wszystko przewiduję z góry! A czy nie mówiłam, że „oni” galopują? Nie przypominasz sobie, jak to jednego roku przy zapisach do szkoły żartowali niby, że swoje dzieci na ministrów wykierują? Nie, z tych projektów na ministrów nic nie będzie, to tępaki!

Roman krzyczał ze złością i rozpaczą.

– To nie ich wina! To nie ich wina!!! Zrozumże! Okazało się, że programy w szkole nie zostały jeszcze uzgodnione. Przez tyle lat! Tyle lat zmarnowanych!

Kwiryra chciała też wybuchnąć, ale zmytygowała się.

– No, gramy. Ty ciągniesz!

Roman odchrząknął, sięgnął po gałkę i rzekł cicho.

– Dziesięć.

Ten cichy jego głos strasznie wzruszył Kwirynę. Rzekła łagodnie.

– Zmieszaj gałki, bo ciągle się powtarzają te same numery. I dlatego ty nie wygrywasz.

– Nie – rzekł Roman ponuro. – Takie już moje szczęście!

– Ach, bo ty nie umiesz ciągnąć! Daj mi woreczek!

I zerknęła na karty Romana, aby zobaczyć, jakie ma numery. Teraz wyciągała gałki akurat dla niego. Zakrywał, ożywiony tą zmianą fortuny.

– Dwadzieścia trzy – oznajmiła Kwiryra. – Wiesz, interes inżyniera idzie dobrze. A ja już myślałam, że on do niczego nie dojdzie. Oszukałam się w sensie dodatnim... Siódemka, zakrywaj. Domu mieszkalnego, co prawda, nie wykończył, ciągle siedzą w tych trzech pokoikach u nas, ale jeżdżą już autem. Byłam tam, fabryka wykończona, tylko nie otynkowana, no i kanalizacji jeszcze nie ma. Ale to nie z powodu braku pieniędzy, tylko braku czasu. Ciągle ma zamówienia rządowe na budowy... Trzydzieści!... Nie ma co:

ruszyło się, ludzie robią interesy. – Nagle przerwała i plasnęła w ręce. – Ależ, Romanie, wygrałeś!

Udała śmiertelnie zmartwioną i Roman ją pocieszać. Ni z tego, ni z owego znaleźli się na małej, różowej kanapce. Kwiryna szeptała swym niskim głosem.

– Co do tych sklepów, myślę, że to się opłaci, ale łącznie z czymś takim... na większą skalę. Sam handel, w nie, o już mnie nie zadowala. Jakaś wytwórnia, przetwórnia – bo ja wiem? Jakiś warsztat pracy. – Marmolada, konfitury, warzywa, szproty, ryby, masło – z pierwszych źródeł – w opakowaniach naszej firmy. Da się zarobek ludziom.

Roman słucha i wzdycha, i całym sercem jest przy tych projektach, ale nie może się powstrzymać.

– Nie rób tylko z tego zaraz jakiegoś posłannictwa. Tobie chodzi o twój zarobek, przede wszystkim!

Kwiryna machnęła ręką.

– No, niech ci będzie! Chodźmy spać!

Już zasypiali, gdy krzyknęła.

– Ależ one się urządziły!

Roman ocknął się i zapytał.

– Kto?

– Amelia. Cechna. Bronka! Ależ się urządziły! One ciągle jeszcze wiszą w powietrzu!

IX

Ściśnięte palce rozwarły się i gruby zeszyt ilustrowanego pisma padł na podłogę, otwarty na stronicy, którą oglądała tak długo. Bronka zsunęła się na brzeg tapczanu i spojrzała jeszcze raz. Na fotografii Magdalena Piędzicka prezentowała „najpiękniejszą toaletę sezonu” zaprojektowaną i wykonaną przez panią Czesławę Meyszor. Stała na małym podium, ukazując na cel dobroczynny – smukłe nogi i biodra pod obcisłym jedwabiem spodu, na którym to tle tiul z gospodarskiej skrzyni kurpiowskiej rozsnuwał swą zwiewną i mroźną baśń. Ukazywała obnażone ramiona, piękne dłonie splecione gestem zadumy, zamyśłone, szeroko otwarte oczy. Miała za sobą tkaninę z „Przedmiotów Pięknych”, „projektowaną przez znakomitego malarza” – przed sobą głowy widzów z pierwszych rzędów krzeseł. Gruby napis nad fotografią. „I nagroda”. Mniejszy napis. „Pani M. P. ze sfer towarzyskich i politycznych stolicy...” Po czym, maczkiem, opis wieczoru z wypomnieniem „znanych osobistości”, które swą obecnością zaszczyciły tę ze wszech miar udaną imprezę, dochód z której... itd.

Dwa mniejsze zdjęcia dawały dwa fragmenty wieczoru. Na jednym z nich Ignacy we fraku wiódł dwie damy, „pierwszą i drugą nagrodę”. Nagrody owe, w postaci „kosztownej kasety kosmetycznej, daru znanej firmy”, i bransolety, „daru znanego z filantropii jubilera”, sprzedane doraźnie na owym wieczorze przez uroczę właścicielki, wybitnie zasilily dochód... Ciemna twarz Ignacego wyraziście odcinała się od bieli gorsu, nieposzlakowany przedziałek i gładkość włosów czynily go obcym. Obcym, eleganckim, interesującym, odległym.

Na drugim zdjęciu wytworne i rozbawione grono zajęło stolik w łoży. Bronka poczuła raczej, niż poznała Cechnę naprzeciw Magdaleny. Zanedto znała istotnie dobre cechy charakteru pani Piędzickiej i jej prawdziwy, duchowy płytki wykwint, aby się zdziwić. Magdalena dbała o opinię i uznanie osób „wybijających się”, a zarazem życzyła im dobrze i zaprosiła projektodawczynię swej toalety do stolika. Bronka nieomal widziała gest, z jakim Magdalena to uczyniła, słyszała głos, przeczuwała jej słowa.

Ziewnęła i podciągnęła nogi pod szlafrok, ponieważ zmarzły. Wbrew poziewaniom twarz jej miała wyraz napięcia, a brązowe oczy, napelnione światłem, stały się nieomal żółte i przejrzyste. Zdawała się drzemać, zwrócona do wąskiego skrawka nieba ponad dachami z czarnej papy. Nie oczekiwała Ignacego. Karnawał trwa. To, łącznie z jego zajęciami zawodowymi i reprezentacją małżeńską, zabiera wszystek czas. Zachował się, jak przystało na człowieka, który bardzo pragnął i otrzymał, a teraz ma ów ton pewnego siebie posiadacza. Bronka ma na tyle przenikliwości, iż nie wierzy w chorobę matki Magdaleny. To nie jest powodem zwłoki. Zanedto dobrze zna chwytły tamtego świata, etykietalne podejścia i niewidoczne uśmiercania. Czyż mało razy usuwano ją za pomocą takich właśnie posunięć, ploteczek, omijania prawdy? Przedtem odchodziła bez słowa, nie broniąc się, nie odczuwając żadnej ku temu potrzeby. Mówiła sobie, że niczego innego nie spodziewała się od „tych ludzi”. Ale teraz...

Jeśli ma coś zrobić, to musi działać tak, jak działa człowiek, któremu na czymś naprawdę zależy... Podosyca swą leniwą wolę, swe nikłe poczucie humoru, swój żaden dowcip. Dopiero gdzieś, na samym dole, leżą pokłady pewnej nienawiści, także zbyt wątłej, aby to się miało zatlić i wybuchnąć ogniem. Nienawiści do tamtego świata niszczycielskiego. Tak, trzeba czegoś pragnąć namiętnie, bez skrupułów, bez odwracania się i poniechań, Ignacy... taki, jakim był wówczas, na Nowolipkach, zainteresowany sprawami „ich życia, warsztatu, domu, z swą tak bezinteresowną przyjaźnią dla biednego Mietka, z szacunkiem dla matki, pochylający się do jej rąk przesyconych zapachem gotowania. Świat, w który odchodził, te tajemnicze zbiórki i wyjazdy – nie odrywały go całkowicie od nich. Przyjeżdżał i wracał, pędził na Nowolipki i wołał.

– Pani Mossakowska, to ja! – Ignacy, ten sam, który ją wziął w pierwszy uścisk męskich ramion, a mówił przez zaciśnięte zęby. – Broń się! Nie daj się! – Ten sam, co pisał w pierwszym liście. – Niech Ci Bóg da siłę woli.

To jest warte gry! Wygrać nie rozwód, wygrać Ignacego przeciwko niemu samemu. Nie tego kruszejącego pod wpływem Magdaleny i życia, lecz dawnego „Ignasia”. To jest warte gry!

Powstała i przeszła do przedpokoju. Niech Magdalena pocierpi, trzeba, aby człowiek cierpiał „troszeczkę”. Da Ignacemu pogładową lekcję położenia, w jakie się uwikłał w drodze do ułożenia sobie i jej życia. Uzyskawszy połączenie telefoniczne, długo pertraktowała o przywołanie jakiejś panny Zosi – „z pracowni na parterze”.

Ciosy, ciosy, ciosy! Szybkie i dotkliwe, jeden za drugim, Magdalena nie mogła domyślić się, jaka ręka je zadaje. Pojętna uczennica, Bronka, użyła tego samego sposobu, jakiego tylekroć użyto w stosunku do niej. Kwestionowała czystość czyjejś intencji, sens czyjejś pracy. To było mniej ordynarne niż ciosy zadawane jej. Ale dotkliwsze, dotkliwsze! W kilka dni po rozmowie telefonicznej jedna z pupilek świetlicy zadała pani Magdalenie Piędzickiej, utrudzonej montowaniem programu wieczorów świetlicowych, niespodziewane pytanie.

– Po co pani to wszystko robi?

Ton tego pytania był taki, że Magdalenie krew uderzyła do twarzy. Wokół stały dziewczęta i wyraz tych oczu, wzniesionych, na nią, był chciwy i wrogi. Magdalena odczuła tę wrogość, nigdy dotychczas nie odczuwaną, i opanowała się natychmiast. Serce jej biło.

– Dla tego samego powodu, dla którego i pani tu pracuje.

Tamta roześmiała się.

– O nie, proszę pani! Ja tu przychodzę, bo ciągle czegoś potrzebuję. Nie mam pracy i kręcę się tu po świetlicy, i przypochlebiam się paniom, bo mi się zdaje, że jak się dobrze zasłużę, to panie ze świetlicy wynajdą mi jakieś zajęcie. Skończyłam szkołę i nie wiem, co z sobą robić. Przychodzę, bo muszę, bo w domu ciasno. Ale pani przecież niczego nie potrzebuje, mogłaby pani przyjemniej spędzać czas.

Magdalena zbladła, zacisnęła usta i pochyliła się nad zeszytem. Potem, gdy została sama z kierowniczką świetlicy, zażądała informacji o dziewczynce, która zaczęła ową rozmowę. Była to córka szewca z rogu Mylnej, ojciec stary i słabowity, brat uczy się w szkole technicznej, siostra jest zredukowaną nauczycielką. W świetle tych danych uraza Magdaleny stopniała. Przez moment zastanowiła się nad szewską rodziną, która widocznie miała w swej przeszłości okres wzlotu. Syn kształcił się na technika, córka na nauczycielkę, a młodsza chodziła także do szkoły... I, wyjąwszy prędko notesik, zapisała swym spiczastym wyraźnym piśmem.

„Zająć się urządzeniem Zosi P...”

– Musimy wnieść na zarząd jakiś projekt zatrudnienia tej młodzieży – rzekła do kierowniczk. Cóż my im w gruncie rzeczy damy? Trochę zabawy...

Kierowniczk, absolwentka Wszecnicy, podniosła brwi do góry.

– Ależ, proszę pani, a wykłady?...

Magdalenie błysnęły oczy: tak, wykłady mogłyby stać, się pewnym pomostem zbliżającym obie strony. Trzeba by się tym zająć bliżej i dostosować je do okoliczności. I wciągając rękawiczki, śpiesząc się, poprosiła jeszcze o program wykładów.

Dopiero wychodząc uprzytomniła sobie, że tego rodzaju rozmowa z dziewczętami jeszcze tydzień temu byłaby nie do pomyślenia. Opiekunka świetlicy, pani Piędzicka, stała ponad wszystkim, jej wejście było witane ciszą, a gdy zwróciła się do dziewcząt, odpowiadały jej same tylko uśmiechy.

– Tak, proszę pani! Nie, proszę pani! – a co najwyżej. – Ach, jaka pani dobra!

Coś się zmieniło. Miała jeszcze w uszach niby szczery, a w istocie zuchwały głos córki szewca i czuła wszystkie te spojrzenia drwiące i niechętne. Co to ma znaczyć? Wieczorem tego samego dnia Magdalena powróciła do myśli o tym, ale już inaczej. – „Przywidziało mi się, wyolbrzymiłam sama znaczenie tego głupstwa”.

Jednak najbliższe dni niosły w sobie znów to samo. Cios za ciosem, szybko, dotkliwie i niespodziewanie. Magdalena asystowała na owym wykładzie, traktującym o wniesieniu przez dziewczęta pewnych wartości do domów rodzinnych. Rozpięte na ścianach plansze do wykładu ukazywały wnętrza mieszkań robotniczych za granicą i „u nas”. Stojąc przed nimi z trzcinką w dłoniach, gruba prelegentka wskazywała powaby jednych i szpetotę drugich wnętrz i za pomocą tej właśnie trzcinki usuwała z warszawskich mieszkań szpetne kubły ze śmieciami przy kuchniach, bieliznę suszącą się w izbach, straszne garnki-żeleźniaki na stołach jadalnych, rozwieszała firanki i stawiała kwiaty w oknach, powtarzając:

– Te właśnie malutkie zmiany pozwolą nam... Takie na pozór nic nie znaczące przedmioty umilą nam... – I po kilkakroć z naciskiem oświadczała. – To nic nie kosztuje! Tylko trochę pracy i dobrych chęci, a na tym wam nie zbywa, co?

Nagle usłyszano szloch tym okropniejszy, że zdławiony, zduszony, rozpaczliwie powstrzymywany, i wszystkie głowy zwróciły się w jedną stronę. To płakała Mania-czyścioszka, przewana tak z powodu swego zamilowania do porządku i czystości. Właśnie ona... Z osłupieniem patrzano na jej żółte, gładko zaczesane włosy, twarz ukrytą w czerwonych, popękanych rękach, drgające ramiona. Magdalena powstała prędko z

krzesółka i precyzyjnie się do niej. Jej dłonie dotknęły drgających ramion i przejęte przesunęły się nawet po tłustych włosach.

– No, co się stało? Co ci jest? Słabo?

Tamta podniosła nieco głowę i wyszlochała z rozpaczą taką, jaką może czuć tylko szesnastoletnie serce.

– Żeby pani wiedziała... żeby pani wiedziała!

Nie, tego istotnie Magdalena nie mogła wiedzieć, że ta dziewczyna mieszka w izbie, gdzie dziesięcioro ludzi żyje razem i śpi pokotem, że stacza bohaterskie walki z brudem, nędzą i niechęcią otoczenia, hoduje kwiaty właśnie nie w doniczkach, bo to kosztuje, ale w dziurawych emaliowanych naczyniach zdobytych na śmietniku. I że załamała się patrząc na piękne mieszkania „zagranicznych” robotników.

– To histeria – szepnęła Magdalena do kierowniczkę świetlicy. – Czy pani nie ma gdzie pod ręką waleriany?

Ale nazajutrz rano pierwszy telefon jaki otrzymała, nappełnił ją takim zniechęceniem, że stojąca opodal pokojowa usłyszała panią mówiącą samą do siebie. Ręce mi opadają!

– Co się stało, proszę pani?

– Ach, nic!...

Jednak ponieważ nie było nikogo innego, komu by mogła naraz oddać swe wzburzenie i żal, powiedziała.

– Pamiętasz to „Gniazdo” na Woli, gdzie wozilaś raz stare książki? Wyobraź sobie, że ci chłopcy wczoraj wieczorem ukradli, co się dało, porabiali i spalili sprzęty i uciekli.

– Co za łobuzy! – krzyknęła pokojowa – doprawdy, proszę pani, nie warto się trudzić dla takich!...

Kiedy Bronka umówiła się z Ignacym w pewnej cukierni, nikt nie mógł podejrzewać, że umyślnie wybrała cukiernię, w której akurat odbywa się wenta. Sama przyszła wcześniej i ulokowała się w kącie sali. Stamtąd widziała w lustrze złoty węzeł włosów Magdaleny, wysuwający się spod lekkiego, wieczorowego kapelusika, jej proste plecy i chwilami – łagodny owal policzka, z boku. Widziała ogromne drzwi wejściowe, ku którym właśnie zwrócona była Magdalena, i jej wyciągniętą, z bukietem sztucznych fiołków, rękę. Kwestująca kołysała się lekko na wysokich obcasach. Grano, jeden po drugim, walce Straussa i obie kobiety na swój sposób poddały się nastrojowi. Magdalena wspomniała pierwsze dni swego małżeństwa, obce miasto, w którym ich zbudził w głęboką noc taki właśnie walc grany w restauracji na dole, oczarowane spojrzenie Ignacego. Bronka

miała za sobą tylko wspomnienie owej majówki przedwojennej i odruchowo odsuwała je w cień. Ale ta muzyka, lekka i niefrasobliwa, napęliła ją nagle zalem.

– Ach, czemu nigdy nie byłam naprawdę młoda, dlaczego nie cieszyłam się życiem całą duszą! Czemu nigdy nie śmiałam się z głębi szczęśliwego serca!

Lustrzane drzwi błysnęły i odsłoniły Ignacego. Bronka widziała, jak Magdalena zastygła naprzeciw wchodzącego męża z wyciągniętym ramieniem, z bukiecikiem fiołków w palcach. To trwało krótką chwilę, po czym Magdalena podała się naprzód i ślicznym ruchem zaofiarowała mu bukiecik fiołków, odsłaniając jednocześnie tacę z datkami. Sądziła, że przyszedł dla niej! Bronka śmiała się. No, co dalej, co dalej?... Zmieszany Ignacy brzęknął srebrem i został natychmiast zaanektowany przez znudzone damy siedzące przy tacy. Stamtąd, rozmawiając, ogarnął okiem salę. Dostrzegł Bronkę i teraz czekał sposobnej chwili, by się wycofać. Ale Magdalena odeszła od drzwi, zapagnęła odpoczynku i z westchnieniem ulgi opuściła się na miękki fotelik.

– Mój drogi, przywołaj kelnera, chcę pić.

Co za nieznośna sytuacja! Gdyby nie obecność dam, odszedłby zaraz, ale nie sposób było przy nich upokorzyć Magdaleny. Oczywiście wysłedziłyby zaraz, że umówił się tu z dawną jej sekretarką. Spojrzał ukradkiem w kąt kawiarni i struchlał na widok pobladłej i uśmiechniętej twarzy Bronki. Teraz już nie mógł pozostać. Powstał.

– Nie jestem sam, przepraszam.

Magdalena odwróciła się nagle.

– A z kim jesteś? Ach, ze swoją towarzyszką młodości, panną Mossakowską?... Zaprosz ją tu do nas, będzie weselej...

Można jej było powinszować zręczności, jeśli chciała odwrócić podejrzenia, uczyniła to w tej chwili. I jeszcze coś, coś, co zrozumiał od razu: dała mu swe sankcje, swój patronat, osłoniła go. Poczul ulgę i poczul dla niej wdzięczność, odetchnął.

Jednak gdy szedł w stronę Bronki, opadło go znów zakłopotanie. Nie miała twarzy niechętnej i rozgniewanej, przeciwnie – dostrzegł lekkie, drwiący uśmieszek, badawcze i spokojne oczy, tę minę bezstronnego obserwatora trwającego w oczekiwaniu – co dalej? I to budziło właśnie niepokój. Ucałował solennie jej rękę, poprosił o kawę i zajął miejsce naprzeciw niej, rad, że ma za plecami resztę kawiarni. W tej samej chwili przekłęte lustra, rozmieszczone najrozmaiciej, odbiły wyraźny obraz tego trójkąta połączonego niewidzialną nicią. Ręce poruszały się nerwowo, głowy odwracały się, spojrzenia zahaczały się i rozbiegały zaraz, podczas gdy twarze ogarniało coraz większe upokorzenie. Bronka nuciała cicho. Schwycił

kilka jej spojrzeń w stronę sąsiedniego stolika, gdzie jakiś wygolony jegomość nie zdejmował z niej nieruchomych oczu. Naturalnie, teraz się zacznie odgrywać! Ona nigdy i w żadnej sytuacji nie uzna się za pokonaną, nosi w zanadru broń: swoją zupełną niezależność i swoją bezsilę.

– Magdalena zaprosiła cię do swojego stolika.

– O!... to ładnie z jej strony!

Jak ona to powiedziała! Niestety, on czuł coraz większe skrępowanie i zakłopotanie. Jak długo trzeba będzie tu siedzieć, aby te dwie kobiety nie stanęły naprzeciw sobie? Błagał w duchu Magdalенę, aby odeszła od drzwi, zajęła się swymi towarzyszkami, aby wreszcie wyszła stąd! Potem obruszył się na swoją niesprawiedliwość. Ona była stroną poszkodowaną, mimo to okazała dużo dobrej woli. Rzekł:

– A więc i ty postąp ładnie, podejdź tam choć na chwilę i przywitaj się.

Spojrzała na niego spod oka.

– Nie chce mi się, mój drogi...

Wtedy rozgniewał się.

– Dlaczego? Nie widzę powodu, dla którego miałybyście publicznie urządzać manifestację nieprzyjacielską. To śmieszne. Ostatecznie, to sprawa wychowania, to sprawa kultury osobistej, nie róbże z siebie nieokrzesanego dzikusa... Zaraz potem wyjdziemy.

Wzruszyła ramionami i powtórzyła.

– Wyjdziemy? Wyjdiesz razem ze mną?... – Rozdrażniła go tym pytaniem, uprzytomnił sobie, jak to będzie wyglądać w rzeczywistości. Ciągnęła dalej.

– Cokolwiek bądź teraz zrobisz, wszystko będzie śmieszne i wszystko będzie złe. Czy wyjdiesz ze mną, czy pozostaniesz z Magdalенą, czy ja wyjdę sama... Ależ to fałsz. Magdalena nie może czuć do mnie żadnych uczuć przyjaznych, bo jej zabrałam ciebie! Ja mam dla niej tylko niechęć, i mamy udawać? Ty nazywasz to „kulturą”? Mój drogi, ty jesteś gotów do wszelkich ustępstw, we wszystkich kierunkach.

– Dajże spokój! Robisz z błahaego spotkania wielką historię.

Wiedział już, że mu niczego w tej chwili nie ułatwi, że będą tu tkwić bez końca. Jej upór dał mu do myślenia, mruknął.

– Gotów jestem przypuszczać, żeś to wszystko zainscenizowała...

W tej chwili pożałował tych słów, ona jest po prostu za leniwa na takie rzeczy. Spojrzała na niego jasnymi oczami.

– Ależ tak!

– Wiedziałaś o tej wencie?!

– Tak.

Oburzył się.

– Gdybyś wiedziała, jak ciężki okres ma teraz Magdalena, ile

nieprzyjemności przytrafiła jej się w tych dniach...

Przerwała mu śmiejąc się.

– Wiem! przecież to też ja... też ja...

Musiało być coś w jego wzroku, bo przerwała nagle i jakby zgasła w swym uniesieniu.

– Nie potrzebowałam trudzić się bardzo i nie mogłam przewidzieć wszystkiego. Wystarczyła jedna rozmowa. Wasi pupile mają dość. Oto cały sens niepowodzeń społecznych Magdaleny... – ziewnęła. To ziewnięcie nie było wcale udane i Ignacy wiedział, że wpada teraz w nastrój „wszystko mi jedno”. Nagle powstała.

– No, do widzenia, Ignasiu.

Stuknęła na kelnera, ale nie dała się tym powstrzymać. Patrzył uważnie, jak przeszła koło Magdaleny z zupełną obojętnością, nie kłaniając się. Było coś w tym obelżywego dla nich, żalostnego dla niej. I szepnął sobie, jakby coś wspominając:

– Ty idź pierwsza, ja wyjdę za tobą.

X

Przez rozsunięte skrzydła lustrzanych drzwi Ignacy mógł widzieć Bronkę krzątającą się przed snem. Cała tamta połowa mieszkania tonęła w mroku, tylko lampka przy tapczanie rzucała słaby krąg światła. Bronka ukazywała się i niknęła. Słyszał stuk jej pantofelków, bliżej, dalej, tuż. Wówczas podnosił głowę znad swej pisaniny. Stała przy oknie, z oczyma wzniesionymi nieco w górę, tam gdzie ponad dachami z czarnej papy lśniła gwiazda. Szedł ostry zapach ziemi z ciemności, latarnia nad drzwiami wejściowymi oświetlała najbliższe krzewy, pokryte bladymi listkami wiosny. Dalej, pachnąca ciemność ogrodu żyła tajemniczymi drgnieniami roślin i zwierząt, przycichłych i oszołomionych.

Kroki odeszły w głąb. Podczas gdy Ignacy mozolił się nad sytuacją w przemyśle budowlanym, któremu w najbardziej obiecującym sezonie groził strajk, Bronka odprawiła swe wieczorne nabożeństwo, chodząc od okna do okna. Pożegnanie ze światem przed snem. Jeszcze jedno spojrzenie przed rozstaniem. Usłyszał stuk okna, ciche cmoknięcie, a potem równie ciche, ale oszalałe z nadmiaru psiego uczucia skomlenie. Uśmiechnął się. Bronka rzekła w ciemność głosem grubym i surowym.

– No, no, uspokój się, co to znów takiego?...

Lekkie, nierówne kroki utknęły w przedpokoju. Cisza. Co ona tam porabia? Jego raport dobiegał końca stronicy. Wstał i na palcach podszedł do drzwi. Siedziała na kufrze, przyglądając się kolekcji okryć męskich na

wieszaku i rozwartej, na wpół opróżnionej walizce.

– Myślisz, gdzie to ulokować?

Potrząsnęła głową. Nie, syciła się po prostu obecnością tych rzeczy. Ukazała mu wzruszone oczy i nieśmiały uśmiech, jakby za coś przepraszały. Usiadł kolo niej na kufrze, teraz wyglądali jak ludzie powracający z długiej podróży do starego mieszkania, wypatrujący kątów, gdzie by się tu można ulokować. Bronka szepnęła.

– Będzie ci tu ciasno.

Albowiem dziś właśnie zabrał walizkę i w drodze na dolny Mokotów kupił tapczan, polecając odesłać go pod wskazany adres. Oto konsekwencje pewnego spotkania w kawiarni; Bronka, nic właściwie nie czyniąc, potrafiła mu obrzydzić „prowizorium”. Odtąd dawny dom będzie służyć tylko do reprezentacji, w czwartki. Ignacy przyznał w duchu, że sam fakt przewiezienia walizki dziwnie wszystko wokół wyprostował.

Teraz objąwszy Bronkę stanął między rozsuniętymi drzwiami, które dawały dwa wnętrza o dwu oknach, stolikach i tapczanach naprzeciw siebie. Jeszcze przez chwilę przemknęła myśl. „Kto tu dawniej rezydował przed nim?” Ale zaraz skrzywił się komicznie – ta pretensja, według Bronki, byłaby znów nieistotna. Ona nie tkwiła w przeszłości ani nie wybiegała w przyszłość, żyła dniem dzisiejszym, Jedyna istotna przeszłość to były jej wspomnienia dzieciństwa. A to właśnie łączyło ich.

Uścisnął ją.

– No, kładź się. Ja muszę jeszcze popracować.

Rozstali się. Bronka powróciła na palcach, aby przymknąć drzwi, Ignacy siedział już bokiem przy stole, zagłębiony w papiery, i mruknął.

– Zostaw, to mi nie przeszkadza, przeciwnie! będę mógł cię zobaczyć...

Te słowa napełniły ją wielkim zmieszaniem i wielką słodyczą. Nie przywykła do takiego obcowania, do takiej bliskości. Nagle zjawiły się łzy, i ażeby je otrzeć i opanować, wyszła do kuchni. Odtąd będzie żyć – widziana bezustannie, biada! Wróciła szybko do siebie i ułożyła się do snu, niespokojna. Teraz dopiero zrozumiała, że nigdy dotychczas nie oddała się Ignacemu całkowicie, duszą i myślą, zawsze nastawiona na zerwanie, gotowa do odlotu, do nieuniknionego odejścia i śmierci tej miłości czy tylko przygody? Nie chciała już zawierzać losowi i ludziom. A teraz?... Rozbrojona, pokonana, rozwarta, zdana na jego łaskę i niełaskę! Może ponieść klęskę przy wszystkich pozorach zwycięstwa. Nagle, z właściwą sobie zmiennością, poczuła dumę. Nagięła go ku sobie. Przyszedł do niej, przyjął wszystko, co było nią. Jej tryb życia, jej mieszkanie, a co najważniejsze – jej ocenę Magdaleny, jej ocenę życia i prawdy! Co do przeprowadzki, to nie wątpiła, że Ignacy wyniósł się bez żadnych dalszych rozmów w domu. Jeszcze jedno przemilczenie! Zachichotała.

– O co chodzi? – zapytał półgłosem Ignacy.

– O nic. Zasypiam! – odpowiedziała sucho. Widział jej twarz wśród ciemnych pasm włosów, lekko zapadłe miłe skronie i wydłużone policzki z cieniem od przymkniętych powiek. Za tą głową, wciśniętą w poduszki, niebo odgrodzone lśniącą taflą szyby uzyskiwało coraz ciemniejszą i większą głębię. Biel ramy okiennej i czerń nocy, cisza i krąg światła małej lampki, i ta zagadkowa kobieca twarz, którą wyobrażał sobie, że zna tak dobrze, może to wszystko, co człowiekowi potrzebne do szczęścia? Zdawała się zasypiać. Nagle dzwignęła głowę i wsparła ją na dłoni. Wydłużone policzki zaokrągliły się, a zwarte szczęki dały ów skrót, wyraz na wpeł zwierzęcy, na wpeł dziecinny.

– Aha, zapomniałam. Szukano tu dzisiaj ciebie.

Ignacy zdziwił się. Już tu trafili! Potem, siłąc się na obojętność, ażeby nie okazać, że go to nieprzyjemnie zaskoczyło, zapytał:

– Któż to taki?

Ożywiona, określiła mu starszego, wykwintnego para z teką pełną papierów i dwóch młodzieńców ze Związku Młodej Demokracji. Paradne! Czego oni mogli chcieć? I zastanowił się nad tym, że coraz częściej jacyś obcy ludzie szukają z nim kontaktu. Nagle przypomniał sobie, że mu już o tym mówiono w domu i w biurze, a nawet Magdalena zreferowała mu sprawę, ponieważ pośrednio wiązało się to z propagandą jej lnu. Starszy pan jest autorem interesującego projektu walki z bezrobociem. Projektu opartego o handel i wytwórczość regionalną, łącznie z osiedleniem bezrobotnych na kresach wschodnich. Połowa inteligentów i połowa proletariuszy – oto komórka.

– *Merci* – rzekła Bronka.

Inteligencja nie zdała egzaminu ze swej roli przodującej. Ignacy spostrzegł się: ona mówiła o inteligencji jak dzikus, który, zetknąwszy się z cywilizacją, miał nieszczęście zetknąć się z najgorszymi jej stronami. Mówiła też w ten sposób, jak sfery katolicko-kościelne o masonach, przypisując im tajemniczą a złowrogą władzę.

...kilka procesów polityczno-społecznych ostatnimi czasy miało tę wielką zaletę, że odsłoniły niejako publicznie cały ten schorzały, ognisty, kaleki organizm klanu.¹⁷ Tylko inteligencja mogła stworzyć taki proces Brzozowskiego i zadać mu taki cios. Bronka miała pod ręką tysiąc i sto przykładów i Ignacy dziwił się, ponieważ mówiła o ludziach osobiście mu znanych z najlepszej strony – w najgorszy sposób. Była jakby tym drugim widzem, od kulis, nikt się jej nie krępował. Ale konfrontacja tych dwóch opinii miała w sobie jakąś prawdę. Krzyknęła drwiąco:

– Ta spółka kresowa wyda ładnych bękartów!

¹⁷ *Klan – przemożność. grupa ludzi związana wspólnym pochodzeniem i wspólnymi interesami.*

Między innymi prosty człowiek dowie się od inteligenta o kilku rodzajach zbroczeń erotycznych, środkach podniecających i środkach oziębiających, a także, że większość jego walk i zmagani to zapory śmiechu warte. Inteligenckość – to coś specyficznego, to nawet czasem postępowość, to nawet kultura, to nawet tolerancja i wszystkie ponętne zalety, wypływające jednakże nie z wielkich charakterów – ale z braku charakteru. Prostak powinien po sto razy i ze wszystkich stron dobrze obejrzeć hasła swoich inteligenckich przewodników i swoich rodzimych mężów zaufania, zanim je przyjmie. Oni pożarli swe własne ciało i szukają nowej pożywki dla żalosnych resztek. A więc „zasilić kadry narodu młodą umysłowością, świeżą krwią, młodą, świeżą, nie znużoną inteligencją”! Po okresach gwałtownej miłości zjawia się hasło. „Nie wysferzać”... Jest w tym i pewne oprzytomnienie tych z dołu. Cośmy zyskali? Jest i pragnienie ocalenia prawdziwych wartości, i chęć zatrzymania gruntu pod nogami. Wydaje się to zdrowe. Ale rzecz dostaje się na łamy dzienników, na wiece, na dyskusję. No i proszę: jeszcze jedno pokolenie niepodległej Polski nie opuściło szkół, a już się mówi o nadmiarze wykształconych proletariuszy. Już się zadaje pytania, z nieskrywaną pretensją. „Dlaczego synowie chłopscy i rzemieślniczy «pchają się» do wyższych uczelni? Czemu kierują się «na panów», adwokatów, doktorów, księży, gdy nie znajdą pracy? Dlaczego natomiast nie kształcą się w dziedzinie gospodarki samorządu wiejskiego, spółdzielczej, roli swej?” W miasteczkach co prawda siedzi po kilku potajemnych doradców prawnych i nieźle obrośli w pierze, po wsiach leczą babki i machory, wszystkie „nowe” fuchy w samorządzie i wszystkie „cywilizacje” wiejskie są całkowicie uzależnione od ekonomicznego stanu wsi – ale to wszystko nie są kontrargumenty.

Już się mówi o powrocie synów chłopskich w opłotki wsi i powrocie synów rzemieślniczych do warsztatów. Brawo! To też jest zdrowe, wykształcony rolnik i wykształcony rzemieślnik to jest ktoś. Ale dyskusja inteligencka zatacza coraz szersze kręgi i teraz mówi się, czy w ogóle to pierwsze pokolenie świeżej inteligencji może być inteligencją i czy może wnieść jakieś wartości do życia zbiorowego? Dalej i dalej, dyskusja toczy się i obrasta w zadziwiające rewelacje. Pewien profesor na zebraniu młodzieży wiejskiej wypowiedział bez ogródek swe zdanie. „Umysł wymaga uprawy i dyscypliny pokoleń”, w ich żyłach płynie jeszcze krew bitych pańszczyźnianych chłopów, to pozostawia na charakterze człowieka ślady pokory i niewolnictwa. Nie są wolni z ducha, nie stworzą nowych wartości, nie mogą być przewodnikami żadnej gromady. Ten przynajmniej był szczerzy. Lecz tu nie chodzi ani o to, ani o owo, ale po prostu o utrzymanie niepisanych przywilejów w obrębie klanu. Ukształcony syn chłopski niech sobie idzie na sekretarza gminy, to dla niego w sam raz, niech się nie wysferza, bo to

niezdrowo... Oto jak ich obrobiono delikatnie pod pozorem troski o dobro kraju i przyszłość ludu. Ależ owszem, należy się wysferzać, i to na gwałt, ale nie po to, aby wejść do innej znów sfery, ale wejść w społeczność. Pewna znów pani...

– Ach, ty Szwejku! – krzyknął Ignacy od swego biurka. Zapadła cisza... – No i co znów z tą panią?

– Ta dama – podjęła z humorem Bronka – na zebraniu w sprawie lektury dla świeżo nawróconych na oświatę dorosłych analfabetów oznajmiła, że „dla nich trzeba pisać tak jak dla dzieci”. Zaobserwowała bowiem, że ordynans w znajomym domu czyta książki dziesięcioletniego siostrzeńca domu i obydwaj są równie zainteresowani i zachwyceni. Co za prostota, ten sam poziom. To duże dzieci... Wieczne pióra panów referentów ministerstwa oświaty poszły w ruch, na jednym i drugim zebraniu notowano gorliwie. Jeżeli, z tych dyskusji elity bierze się choć trochę materiału do praktycznych zajęć przy biurkach, to...

– Gadasz wszeteczeństwa! – rzekł ponuro Ignacy. Złożył już swe papiery, jego uwagi „o zagadnieniu ołowicy zawodowej, najbardziej rozpowszechnionym zatruciu zawodowym”, ustąpiły teraz miejsca temu szczególnemu wypadkowi zatrucia, jaki miał przed oczyma. Droga Bronki z dołu do góry to był dość typowy szlak wykołajeńców. Złożył swe papiery, przeszedł na Bronczyną stronę pokoju i przysiadł na brzeżku tapczanu. Objąwszy swą dziwną kochankę, przyciągnął ją ku sobie. Zsunęła się, złożyła głowę na jego kolanach. Wszystko to, co mówiła, mówiła bez namiętności, ale wolałby ją widzieć bardziej opanowaną i mniej zaangażowaną uczuciowo i mniej wzgardliwą. Przecież nie będą mogli żyć ciągle na uboczu! Ale w tej chwili uwaga jego została skierowana w inną stronę. Znalazł jakieś małe zadarcia naskórka na jej twarzy i wodził delikatnie palcami po policzkach. Roześmiał się z odwagi, z jaką wysuwała, nie kryjąc, braki swej urody. Zaczęła już wiosenne wędrowki po mieście i zmieniała skórę jak wąż. Na czole, kościach paliczkowych i nosie skóra schodziła znacząc drogę słońca, wiatru i deszczu, świadcząc też o niepożytej zdolności odradzania się tego organizmu, tak na pozór wątłego. Schwyciła jego badawcze spojrzenie i sprytnie wydekłamaowała stylem molierowskich komedii:

– Azaliż mój Ignatio kocha mnie za nos mój? za nogę? za ucho?

Była pełna mądrości zebranych za dnia i podczas kiedy Ignacy wynajdywał coraz to inne właściwości łepetyny, którą trzymał na kolanach, opowiadała mu „różne rzeczy” o ludziach i sprawach, co równie dobrze mogło być przyczynkami i oświeceniem polityki, ekonomii i „dziedziny pracy”, którą właśnie uprawiał. Nastawił ucha. Skąd ona to wszystko wie, jaką magię odkrywczą stosuje do jednego zasłyszanego słowa, ruchu, uśmiechu, zmarszczki? Zbierała wiadomości i urabiała sobie sądy przed

wystawami sklepów, na ulicy, w czytelnicy, w tramwajach i poczekalniach biur, nawet tablice modlitw na ołtarzach kościelnych, z marginesami pełnymi napisów ołówkiem, użyczały jej wiedzy o życiu. „Daj Boże, abym potrafiła wychować swe dziecko” widniało z jednej strony, podczas gdy w dole dziecinna dłoń nakreśliła kulfonami. „Daj Boże, aby tato nie pił i był dobrym dla nas sierot”. To przypominało Bronce lata dziecinne, kiedy także skłonna była powierzać Bogu swe kłopoty dotyczące stopni Mietka, posłuszeństw Janki, niehumorów i uciezek ojca. I ogarnął ją smutek, stokroć gorszy od tamtych smutków, którym czas odebrał bolesne zabarwienie.

Słyszała rozmowę eleganckiej panny w sklepie z czekoladą, która zarabiała osiemdziesiąt złotych miesięcznie, ale musiała być porządnie ubrana i jeszcze z tego pomagać rodzinie. Zakochana para z parku nie mogła się pobrać, ponieważ nie mieli gdzie mieszkać. Kwiryna płaci swojej ekspedientce dwadzieścia złotych i obiad za przepierzeniem w sklepie. Pewna dziewczynka, która ukończyła szkołę powszechną i przeszła przez różne kursy dokształcające, dostała pracę w fabryce przedmiotów z gumy i tnie gumę za złoty siedemdziesiąt dziennie od siódmej rano do siódmej wieczorem. Co to za zarobki, cóż to za poziom życia, cóż to za rozmach!

– O czym myślisz? – zapytał Ignacy.

– Czy ministrowie nigdy nie chodzą na piechotę?

Uważała, że w tym tkwi całe zło, auto i pośpiech, utarty szlak między sejmem, prezydium, domem i ministerstwem. Ignacy roześmiał się. Właśnie zamierzał kupić auto.

– Ależ poczekaj – szepnęła z tanią złośliwością dostaniesz wkrótce rządowe!

W trosce o jej charakter odpowiedział z wyrzutem.

– Nie mów tak, ciebie przecież stać na coś innego...

Leżeli wyciągnięci, objąwszy się ramionami jak dwoje kochanków smutnych z wielkiej miłości. Miał nadzieję, gdy tak biegała przez pewien czas na koncerty i wystawy, że zawarła pewne przymierze ze światem... Ale nie, i to było na nic. Wzruszyła lekko ramionami.

– W takich warunkach sztuka przestaje być złączana z życiem, a staje się ucieczką od życia.

Wtedy krzyknął z naiwną rozpaczą.

– Co też ty teraz będziesz robić!

Roześmiała się.

– Będę cię kochać, to wszystko.

Hm... to niezłe zajęcie. Ale był niezadowolony, nie wierzył, zdążył poznać tę naturę tak rychło rozczerowaną. Widział już jej wyciągniętą i znużoną twarz w ową godzinę miłości, gdy się już „ma dość”. Lecz Bronka, z twarzą wtuloną pod jego ramię, wiedziała, że ona z nich dwojga będzie

płakać ostatnia. Ona zostanie skwitowana – przez niego? przez życie? przez porządek rzeczy? Nosiła w sobie nieomylny rachunek i w przeczuciu przyszłej klęski wzniosła się, dźwignęła na posłaniu, aby poszukać wargami jego oczu i ust wspaniałym namaszczeniem pocałunków.

XI

Zdaniem Amelii stało się tylko: milczeć, wystrzegać się rozmowy, nie dać się wciągnąć w rozwlekłą gawędę, w jakiej celował mąż. Inaczej to się nigdy nie skończy. Aptekarz, w szlafroku, domowych pantoflach, z gazetą w rękę, przy nastawionym radiu wyglądał, jakby już nigdy nie miał wyjść z domu. Co się stało z jego dyżurami z aptece?... Bała się zapytać, nie była pewna swego głosu. Kto jest teraz w aptece, Jan czy ten drugi? gdzie jest Jan? Nie, nie trzeba pytać, aby nie zwracać uwagi. Radio śpiewało.

„O dziewiątej... minut pięć...”

Nagle ujrzała mały i ciemny pokój, różowy abazur, fiołki w szklance, zasłonięte okno... I podczas gdy niski, głęboki głos męski wysnuwał się z piekielnej skrzynki, odbywała w myślach znaną drogę gwarnymi ulicami, które zmierzch i noc czyniły tak pięknymi. Ujrzała schody, które przebywała biegnąc z szumem sukni, zapach perfum, błysk oczu Jana, gdy otwierał drzwi, pierwszy uścisk. A ponad wszystkim smak rozkoszy, łyż na gorących policzkach i przeszywający spazm w piersiach. Żałuj, żałuj, żałuj!

Weszła pani Raczyńska, w kapeluszu, w kostiumie, trochę zmieszana, ponieważ nie spodziewała się obecności córki i zięcia w domu. Paczka, ukryta w głębi kredensu, była powodem, dla którego w ogóle wstąpiła do tego domu, w którym nie miała już co robić. Szła do Cechny. To zadziwiające, jak pani Raczyńska w porę, w lot przeczuła czyjeś powodzenie i jak ciągnie w tamtą stronę. Odkąd o Cechnie umieszczono wzmianki w gazecie, pani Raczyńska spędza całe dnie u młodszej córki w pokoiku na poddaszu. Żałowała tylko, że nie wymieniono panińskiego nazwiska Cechny, nikt nie wie, o kogo chodzi. Nawet Kwiryna nie zorientowała się i przegapiła pierwszą wzmiankę. Dopiero gdy pani Raczyńska pokazała jej fotografię z balu, wyciętą z pisma ilustrowanego.

– Ach, nigdy nie zapomnę jej miny! Aż mi się śmiać i płakać chciało! Pocziwa Kwiryna była tak przejęta, jakby sama znalazła jakieś szczęście! Zadzwoniła do Cechny zaraz i udzieliła jej dużo dobrych rad.

Bo, niestety, Cechna potrzebuje dobrej i praktycznej rady. Nie umie wykorzystać swego powodzenia, nie wzięła nawet służącej i mieszka nadal na

poddaszu.

– Przyjeżdżają po nią autami, a ona nawet nie może zaprosić gości na górę, muszą czekać pod bramą.

Patrzyła z zakłopotaniem na kredens. Czy będzie, zmuszona wyjąć paczkę mimo wszystko? Gotowi jednak myśleć, że tam jest Bóg wie co, a to tylko konfitury dla Zuzanny.

Amelka zazdrościła siostrze. Teraz dopiero zrozumiała, do czego zdążyła Cechna odsuwając się od nich wszystkich.

– Jest wolna – rzekła – i może robić, co jej się podoba.

Spojrzały na siebie z matką i zrozumiały się w lot. Jeśli ty mi pomożesz – mówiły oczy Amelii – to i ja także. – Pani Raczyńska zawołała.

– Jak to, Filipie, Filip nie zjeździe już do apteki?

– Mam zamiar użyć nareszcie życia! – odpowiedział aptekarz. – Należy mi się, nie?

Czuł się źle, był przepracowany. Rozdzielił dyżury między dwóch zastępców, a sobie zostawił wolną rękę. Amelia zbladła. Pani Raczyńska roześmiała się i śmiało sięgnęła do kredensu po paczkę.

– Ależ Filip zanudzi się na śmierć! Filip jest taki towarzyski! – Ale aptekarz z miną filuterną oświadczył, że on i Amelia wystarczają sobie w zupełności.

No, niech sobie Amelia radzi. Pani Raczyńska miała już swoją paczkę, śpieszyła się, rzekła.

– Do widzenia!...

Już na schodach zdjęło ją jakieś złe przeczucie, znała Amelkę: jej nie trzeba doprowadzać do ostateczności. Zawróciła:

– Amelciu, pozwól no na chwileczkę!... – W ciemnej sieni szepnęła z przymusem, bo rozum mówił jej, że robi głupstwo. – Wiem dobrze, że się nudzisz, ale bądź spokojna i nie sprzeciwiaj się Filipowi. – Po czym, czując na sobie przyśpieszony i gorący oddech córki dodała. – Wstąpię na dół i poproszę pana Jana, żeby was odwiedził, nie będziecie sami!

Amelka wionęła do mieszkania, nucąc. Natknęła się na aptekarza, który stał tuż za drzwiami. Przekrzykując radio, zawołał.

– Pewnie mama prosiła cię o pieniądze, co?! – On, taki dawniej szczodry, w ostatnich dniach sam robił rachunki z Katarzyną. Nie zwróciła na to uwagi, rada była, że zdjął z niej ten nudny obowiązek, a po prawdzie uważała, że po tylu latach pracy można Katarzynie zaufać. Ale to nie chodziło o Katarzynę, on kontrolował panią Raczyńską! Zrozumiała to w jednej chwili i zaraz błysnęła myśl.

A jeśli to sprawka Katarzyny? Jeśli Katarzyna zwróciła mu uwagę na rozbieżność między wydatkami a rachunkami matki? I czy tylko do rachunków ograniczyła służąca swe spostrzeżenia? Ta myśl tak ją przeraziła,

że nie odpowiedział, wpadła do sypialni i pełna złości na Filipa, obrażyła matkę, gniewu na zdradliwą Katarzynę, rozsiała tumany pudru, aby przystroić się na przyjęcie kochanka. W tej chwili zaczęła za nią kroki męża. Co, już?! Czy naprawdę nie może pozostać ani chwili sama?... Odwróciła się od lustra, z twarzą białą, w której błękitne oczy wydały się teraz niemal czarne, a wzniesiona dłoń z puszką niosła w sobie rozmach uderzenia. Ale głos już był po dawnemu pieszczotliwy i słodki.

– Filipie, ty nie możesz być sam, mama ma rację, nudzisz się!

Zaprotestował. Chciał tylko, aby posłuchała piosenki.

– On ma złą dykcję – rzekł. – Czy ty co rozumiesz? – I otworzył drzwi. Zdejmując pośpiesznie szlafrok Amelka nasłuchiwała. Potem, z granatową sukienką w ramionach, w krótkiej koszulce, powtarzana za każdą prześpiewaną zwrotką.

*– Kilka łez
w smutnych oczach zostanie,
gorących kilka łez,
tak się kończy kochanie...
Tak przecież zawsze jest.*

Kiwnął głową, patrząc na nią spoza szkieł upartym spojrzeniem, szczególnie, przeraźliwym, białym wzrokiem, choć na ustach miał rozbawiony uśmiech. Tak, tak, to święta prawda! – I zanucił fałszywie. „Tak przecież zawsze jest, gdy kończy się kochanie!”... Po czym urwał, aby zapytać:

– Cóż to? Przebierasz się? Po co?

Odwróciła się do lustra i odpowiedziała.

– Czy mam ciągle chodzić w szlafroku?

Cofnął się do stołowego, a potem wrócił.

– Jeśli ktoś siedział cały dzień w szlafroku, to śmieszne przebierać się na noc!...

– Nudny jesteś!

Jan nie nadchodził. Amelka niespokojnie krążyła po mieszkaniu. Co to znaczy? Czy nie było go w aptece? Czy nie chce przyjść? Czy nie może? Przypomniła sobie jego zazdrość o aptekarza i wstała, aby wyjść do kuchni. Zapominając o ostrożności, zamierzała prosić Katarzynę o usługę. Niech się dzieje, co chce, kupi jej potem jakiś prezent, zjedna ją! Dochodziła już do drzwi, gdy wstrzymała ją głos męża.

– Jeśli chodzi o kolację, to rozmówiłem się już z Katarzyną. Zamówiłem papu, że palce lizać. Zrazy z grzybami, karaski z obiadu i kompot.

Zacisnęła ręce. Skóra jej płonęła suchym ogniem, oczy błyszczały. Czuła

się jak więzień. I wyobraziła sobie ten dzień, kiedy już nie zmieni szlafroka na suknię, tylko włoży domowe pantofle, tak samo jak Filip, i usiądzie z drugiej strony stołu, nad talerzem pełnymjadła, tak samo jak Filip. Jan znudzony przeszkodami, znękanym zazdrością, odejście od niej. Dobrze!

Teraz nastąpiła ta ostateczność, o której myślała pani Raczyńska. Amelka powstała z swego miejsca, złożyła robotę i rzekła sucho.

– Schodzę do telefonu.

Nie zatrzymał jej. Zawołał tylko z humorem.

– Miała to być niespodzianka, ale ci powiem: jutro założą nam aparat w domu!

Aparat w domu! Tego jeszcze brakowało! Poczwała na sobie niewidzialne nici, jakby ją osnuto wokół siatką, i wzburzona zbiegła na dół. Jan jej poradził! Musi zaraz opowiedzieć mu wszystko! Gdy otworzyła drzwi, spojrzano na nią ze zdziwieniem. kasjerka i Jan stali naprzeciw siebie z bloczkami i kwitami w rękach i jednocześnie odwrócili głowy. Bez słowa przeszła do pokoiku. Z miejsca przy biurku widać było kasę, ta dziewczyna patrzyła, wcale się nie krępując, na Amelię. Ktoś wszedł do apteki. Amelia udała, że dzwoni, że nie uzyskała połączenia.

– Oliwy zielonej z terpentyną, do smarowania.

– Za ile?

Zirytowana, Amelka pchnęła końcem stopy drzwi, które przymknęły się z trzaskiem. Natychmiast zjawił się Jan.

– Co się stało?

– Nie będę mogła wyjść. Musisz przyjść na górę, na kolację! Czy mama ci nic nie mówiła?

Zmarszczył brwi i odpowiedział:

– Wiesz, że tego nie lubię.

Błagała go, by przyszedł, czy nie może ponieść dla niej tej ofiary? Ona nie znieśie tego wieczoru z mężem sam na sam! Jan spojrział na nieosłonięte okno, na oszklone drzwi, przez które widać było kasjerkę, i westchnął.

– W końcu i tak będę musiał odejść, a wy zostaniecie razem.

– Nie mów tak!

Załamywała ręce, wzburzona, te przeszkody wydały jej się nagle groźne. Jan pogłaskał jej dłonie.

– Uspokój się, uspokój. Jakaś ty gorąca, biedactwo... – Jej cierpienia cielesne wzruszały go więcej niż prośby. I nagle ustąpił. – Dobrze, przyjdę.

Nie miała pojęcia, że ten wieczór będzie tak ciężki. Spędziła parę godzin między dwoma mężczyznami, z których jeden gadał bezustannie, a drugi milczał ponuro. Niezadowolona i chmurna Katarzyna usługiwała ospale, bezustannie stercząc przy kredensie. Amelka musiała uważać na siebie, aby nie narazić się mężowi, a także, by nie zasmucać Jana. Wszyscy udawali, że

są zajęci jedzeniem, tylko aptekarz przechwalał się głośno, iż „cieszy się wilczym apetytem”. W końcu zażądał owoców, sera i czarnej kawy. Amelka opierała się.

– Po czarnej kawie nie będziesz mógł zasnąć.

Wtedy uśmiechnął się obrzydliwie.

– To doskonale! – krzyknął z udaną uciechą.

Jan wstał i przeprosił, że wyjdzie zaraz po kolacji. Jest zmęczony.

W przedpokoju zrozpaczona Amelia próbowała umówić się z nim na jutro, ale drzwi od kuchni były uchylone, a gdy je zamknęła, w drzwiach jadalni ukazał się aptekarz. Uważał, że w przedpokoju wieje i Amelia może się zakatarzyć. Stał, póki drzwi wejściowe nie zatrzasnęły się za prowizorem. Potem krzyknął:

– Do łóżka, mamusiu, do łóżka!

Zaczął ją nazywać „mamusią”, „staruszką” i czynił to uparcie przy prowizorze. Chciał ją ośmieszyć. W sypialni Amelia ogarnięta tchórzostwem i złością, płakała skrywając łzy przed nim. Zdawał się rzeczywiście nie widzieć jej zdenerwowania i łez, a potem, jakby chcąc ją pocieszyć, rzekł:

– Zaprosiłem go na niedzielny obiad.

Amelka nie wiedziała, czy mąż jest taki dobry, czy taki podły. Czy domyśla się jej romansu, czy o niczym nie wie? Czy podejrzewa tyłko?

XII

– Idę do krawcowej, do fryzjera, po sprawunki, do dentystki – to się stało codziennym chlebem Amelii. Nie potrzebowała myśleć długo, miała klasyczne wzory pretekstów wyjścia z domu. Za każdym razem aptekarz chrząkał.

– Hm... hm...

Jan czekał na nią w pobliskiej cukierce. Wpadali na chwilę „do siebie” po to, aby mówić... o aptekarzu... Jego postępowanie było zastanawiające. Zdawał się o niczym nie wiedzieć, nigdy nie zwrócił Amelii uwagi wprost, nigdy nie wydał, o co mu chodzi, ale robił jej trudności. To mogło wypływać także z chęci dłuższego obcowania z żoną. Amelka uspokajała siebie i Jana.

– Ależ tak, on nie może być sam! – I aby go ukarać, uparcie milczała albo odpowiadała monosylabami.

Nasłuchiwała po dawnemu oddechu śpiącego, męża i z bijącym sercem biegła na dół, by w pokoiku za apteką zamienić bodaj jeden rozpaczliwy uścisk. Raz, wchodząc niespodzianie do apteki po pieniądze, usłyszała, jak kasjerka mówiła do drugiego pomocnika.

– Ta kobieta straciła głowę! – ale nawet przez myśl jej nie przeszło, że to

o niej mowa. Katarzyna, ubogie babki pod kościołem, kolporter Gończyk i zakrystian Łapko, wreszcie ogrodnik, panny ze sklepu i z cukierni wadzili za nią oczyma, gdy przechodziła ulicą, strojna i obca, gdy wsiadała pośpiesznie do taksówki, gdy wracała dziwnie piękna, z wielkim pękiem fiołków między splecionymi palcami. Rozzuchwalała się, gdy ucisk Filipa słabł, i przycichała, gdy mąż stawał się zręcznym i wymagającym. Pewnej nocy zaszło coś, co rozbiło jej spotkanie z Janem.

Właśnie zbiegła do apteki i ledwo zdążyła przysiąść na brzegu kanapki, gdy tylne drzwi skrzypnęły. Porwali się z miejsc. Wszystko przepadło! Nagle Jan pchnął ją brutalnie za szafę apteczną, w kąt, rzuciwszy za nią grubą, puszystą chustkę, jaką była okryta. Rozległ się suchy trzask i smuga światła z latarki elektrycznej przemknęła po ciemnej aptece. W ciszy zaczęły pantofle. Jan udał przebudzonego, zawołał.

– Kto tam? ach, to pan? czy pan zasnął?

Aptekarz wszedł po weronał, nie mógł spać. Nie chciał zapalać elektryczności, ażeby go nie zobaczył „ktoś” z ulicy. Jan roześmiał się swobodnie.

– Ktoś? kto taki?

– Ach, kolego, czy to można wiedzieć? – odpowiedział tajemniczo aptekarz.

Jan, znęcony zwrotem „kolego” i tym tonem poufnym, zaczął odradzać aptekarzowi użycie weronału. Zalecał raczej niewinne środki roślinne na uspokojenie nerwów, jak na przykład kwiat pomarańczowy. Oczywiście, trzeba to przygotować wcześniej z wieczora, a nie czekać nie spanej nocy.

– Muszę powiedzieć o tym Katarzynie, a najlepiej pani Amelii – zaryzykował fałszywie Jan. Amelia po raz pierwszy usłyszała taką intonację jego głosu i zadrzała w swym kącie. Aptekarz krzyknął.

– Ach, niech pan nie mówi nic Amelci, zmartwiłaby się! Ona i tak ma jakieś kłopoty rodzinne, gdy zasną, wymyka się do matki.

Jan ciągnął głosem dla jej ucha straszliwie zmienionym.

– Rozrywki, dłuższe przechadzki na świeżym powietrzu, wczesna i lekka kolacja.

Amelia uczuła drobne a dokuczliwe ściśnienie serca, przypomniała sobie, gdy i jej dawał „zbawienne rady”. Myślała o sobie dawnej, pełnej najlepszej woli, gdy wychodziła za aptekarza, walczącej z sobą, gdy zakochała się w Andrzeju. Co za upadek od dnia, w którym Jan rzekł. „Niech pani sobie weźmie kochanka!” Ciemność, mrok, kłamstwo, przekradanie się i strach, zanik reszty dumy i ambicji, tak jakby samo uprzytomnienie podkładu jej cierpień „czysto fizjologicznych” zniszczyło ją, skruszyło, starło. A jednak... Jednak nie mogła żyć bez tego, nie mogła wyrzec się rozkoszy raz poznanej, nie mogła nie być kobietą, nie mogła...

W aptece Jan nagle ziewnął i aptekarz odpowiedział mu ziewnięciem. Roześmieli się, Czasem wystarczy wyjść z łóżka, a sen powraca.

– Dobranoc!

Ody wyszedł, Jan pomógł Amelii wydostać się z kryjówki. Jej biały szlafrok pokrył się kurzem i pajęczyną, kosmyki włosów wysunęły się na szyję, krew uciekła z twarzy. Patrzyli na siebie.

– Co to było? Czy przyszedł umyślnie? Czy to przestroga?

Jan rzekł spokojnie.

– On ci ufa.

Co za wyrzut w tym głosie. Amelka stała z opuszczoną głową, jakby wyczekując na wyrok. Jan obrył ją chustką. Potem pchnął lekko w stronę drzwi.

– Idź już, idź! Na razie musimy przestać się widywać!

Patrzyła na niego przerażonymi oczyma, oczekiwała, że powie: Albo... albo odejdziesz do mnie, ale Jan rzekł:

– Nie zostawię cię samej, będę przychodził, jak dawniej, na górę. Nie trzeba z tego wszystkiego robić dramatu, bierzmy to zwyczajnie. Nic się właściwie nie stało.

Jak dawniej. W niedzielę zasiadła Amelia do stołu między dwoma mężczyznami, zajętymi sobą i tylko sobą. Usadowiła się tak, aby móc patrzeć na Jana. Nagle wszystko w niej i dokoła niej ucichło. Katarzyna, odmieniona, cicho i z godnością podawała półmiski. Aptekarz gościnnie częstował, Jan dziękował, jadł, smakowało mu. Wszyscy zdawali się wyrażać zgodę na taki stan rzeczy. To było do przyjęcia. Amelia, która marzyła o tęsknocie, co upiększa tę dobrowolną rozłąkę, o spojrzeńiach, o delikatnych względach, uczyła się wytracona z równowagi, zmacona i niespokojna. Coś jej się w tym nie podobało. Więcej niż nie podobało obrażało. Mimo woli spychali ją obaj gdzieś w dół, odebrali łaknieniu jej ciała sens i godność.

Wróciwszy z kościoła, aptekarz przewertował grubą gazetę niedzielną i teraz wszczął dyskusję o włoskim ruchu narodowym, jak mu tam?... faszyzmie. Prowizor chętnie podjął ten temat. Aczkolwiek panowie byli zupełnie przeciwnych przekonań, a może właśnie dlatego, rozprawiali z ożywieniem, ale bez rozdrażnienia. Amelka posmutniała. Nie słuchała, co mówią, chwyciła tylko pojedyncze siewa i myślała: „Wszystko to błaga!” Po raz pierwszy ogarnęła jednym określeniem i aptekarza, i Jana i zdumiała się. Właściwie byli do siebie podobni, gdy tak gadali z zapalem, nie zwracając na nią uwagi. Obydwoj byli gotowi zawsze odejść od miłości, gdy mieli pod ręką coś nowego. Miłość! – Oto była z nią sama. Ale gdy zostawała z nią sama, miłość przestawała być miłością, rozwiewała się, nie było jej. Czy po to przeszła przez drzwi grzechu, aby odnaleźć pustkę i po tamtej stronie?... Zacisnęła pięści, aż zbladły wątle palce... I odepchnęła te myśli.

Radio grało. Amelka wstała od stołu, by pomóc Katarzynie, która miała „wychodne”. Musiała sprawdzić w kuchni, co jest na podwieczorek, na kolację, i znalazła w tym pewną rozrywkę, troszcząc się o ulubioną sałatkę Filipa i o zimny rozbef, który lubił Jan. Gdy wróciła do pokoju, ujrzała ich siedzących przed warcabami. Spróbowała uczestniczyć w tej grze, stanęła za krzesłkiem Jana, ale odwrócił się i rzekł ze swoją szorstką prawdomównością.

– Pani mi przeszkadza.

Przegrywał. Aptekarz, postukując drewnianymi krążkami, zartował na oklepiany temat powodzenia w miłości i powodzenia w grze. Filuternie a tajemniczo zawołał:

– Cień kasjerki unosi się nad tą przegraną!

Kasjerki? Dlaczego kasjerki? Amelia uczuła znużenie i smutek, opuściła mężczyzn i przeszła do sypialni. Nie zastanawiała się nad słowami męża, Filip lubił pleść byle co. Leżąc na łóżku, patrzyła na letnie, niedzielne niebo za oknami. Ulica, tak hałaśliwa w dzień powszedni, teraz wydała się opustoszała i cicha. Jak głupio spędzali czas, zamknięci w domu, związani dziwnym węzłem. Ale ani aptekarz, ani Jan nie decydowali się wyjść na miasto ze względu na niedzielne tłumy. Leżąc tak Amelka właściwie czekała, że zainteresują się jej nieobecnością, że Jan zajrzy tu. Godziny upływały. Amelka wspomniała czas, gdy wędrowała z pokoju do pokoju, z kanapy na fotel, wyzbyta sił, zdenerwowana, nudna i zrzędna, wszystkie te dni bez uśmiechu, bez celu, bez żadnej radości i nadziei... Wstrząsnęła się. Nie, warto było cierpieć, aby czuć, że się żyje!

– Przynajmniej czułam, że żyję! – powtarzała sobie.

Wstała, poprawiła włosy przed lustrem i sięgnęła po puder. Nagle dostrzegła na twarzy dwie ciemne, dziwne smugi.

– Gdzież to się zdążyłam usmarować? – Potarła palcem, lecz to nie pomogło. Wówczas sięgnęła po małe, ręczne lustro i przyjrzała się bacznie. Ta szarość to były głębokie bruzdy od nosa do ust, to był cień policzków. Patrzyła z przerażeniem. To stało się w ciągu tych kilku dni szarpiącej niepewności, płaczu, złości i tęsknoty. Wzdrygnęła się i prędko otworzyła pudełko z kremem. Dużo kremu i dużo pudru, zanim nie rozmówi się z Janem.

Ta rozmowa wypadła w tydzień później. Choć Filip schodził już do apteki, Amelia nie skorzystała z okazji. Pozostała w domu, aby zupełnie uspić uwagę męża. Zręcznymi rozmowami dowiedziała się o godzinie zmiany dyżuru, wyszła wcześniej i spotkała Jana na ulicy. Ale gdy weszli w Rymarską, zamiast w stronę domu, pociągnął ją w stronę ogrodu. Chciał łyknąć powietrza, a i jej to dobrze zrobi. Amelka biernie zgodziła się. Czekala, że zacznie sam mówić, że coś obmyślił i ułożył, że coś

zadecydował. Długo namyślał się nad wyborem stolika w kawiarni, a potem niemniej długo nad wyborem kawy i ciast. Wreszcie, gdy kelner odszedł, Jan oznajmił jej, że w końcu lipca otrzyma urlop i że drugi kolega z apteki zamierza się ożenić. Amelka spojrzała na niego oszołomiona. Wyjeżdża! Uczuła nagle brak tchu, brak powietrza, jakby on był tym życiem i tym powietrzem uchodzącym.

– Co się ze mną stanie? Co ze mną będzie?

Nakrył dłonią jej dłoń leżącą na zimnym marmurze stolika i opowiedział, że opadły go skrupuły co do postępowania ich z aptekarzem. To biedny człowiek, który ją kocha, właściwie posiada więcej zalet niż wad. Jan czuł się skrzepowany jego ufnością i względami. Amelia rzekła z ironią:

– Za późno! Czemuś wcześniej tak nie myślał?

– Dlaczegoś nalegała, abym bywał u was w domu?

Kładł nacisk na to, tak jak gdyby uwiedzenie żony mężowi, którego zna, z którym się żyje, było dopiero sprawą niegodną. Przypomniał jej rozmowę, kiedy proponował wyjście z tej sytuacji, chciał wówczas, aby – pozostała u niego.

– A teraz chcesz mnie porzucić?

Głos jej schrypił, oczy patrzyły jakimś ślepym, matowym nalotem. Jan jest w porządku. Aptekarz jest w porządku. Tylko ona nie, tylko ona! Ach, ci porządni ludzie! Uczuła się nagle czymś wzniesiona wyżej, lepsza, prawdziwsza od nich. I z łagodnym uśmiechem smutku westchnęła.

– A więc wszystko skończone!

Nadspodziewanie Jan nie skorzystał z okazji, o co go podejrzewała. Rozgniewał się. Kto mówi o jakimś rozstaniu czy porzuceniu, on jej tylko zawierzył swoje nastroje w związku z aptekarzem! A potem te ciągle niby niewinne aluzje aptekarza, to go zastanawia. Co to ma znaczyć?

Amelia odetchnęła. Rozumiała Jana, przecież i ona płakała pewnej nocy w pokoiku za apteką, ponieważ przedtem musiała ulec mężowi. Tak, życie we troje jest okropne. Skrzywiła się.

– Za dużo o nim myślimy, ciągle, tylko on i on! Spotykamy się tylko po to, aby mówić o nim! To śmieszne! – I zaczęła żartować, że aptekarz mógłby być cieniem, ach nie! – mgłą, która się rozwieje, zniknie, przepłynie bez śladu. Ale niestety, on był i zajmował tak dużo miejsca w ich miłości.

XIII

Kwiryna siedziała nasepiona, z odętymi wargami, czarne jej oczy z powątpiewaniem wpatrywały się w twarz lekarza. Gdy skończył, rzekła z rozdrażnieniem i pretensją.

– Ja nie rozumiem, panie doktorze! Przedtem mówiono o jakimś urazie psychicznym, co miało mieć związek z usposobieniem męża, a nie jego zdrowiem, a teraz okazuje się, że on jest najzwyczajniej chory, po prostu chory. Gdyby mi tak powiedziano od razu...

Lekarz przerwał jej.

– Uraz psychiczny? Ja nie jestem lekarzem chorób nerwowych, zresztą zostawmy jego duszę i umysł i zajmijmy się ciałem. Otóż, proszę pani, mąż cierpi na złośliwą anemię.

– Myślałam, że na anemię chorują tylko dzieci – rzekła nieubłaganie Kwiryra.

Lekarz znów jej przerwał.

– Na złośliwą, złośliwą anemię – rzekł z naciskiem – to jest choroba krwi, ciężka i przewlekła. No, ale zabierzemy się do niego... – I tu ją wyliczać, co Roman ma jeść.

Kwiryra słuchała bez przekonania. Od pierwszej chwili, gdy kazano zrobić analizę krwi, odnosiła się do lekarzy bez przekonania i na to nic nie mogła poradzić.

– Czy Roman jest chory na jakąś „brzydką” chorobę? – zapytała. Ależ nie, wytłumaczono jej cierpliwie, że nie tylko w tych wypadkach bada się krew. Teraz znów z tą dietą. Przecież Roman je tak mało, że jeśli jeszcze w dodatku zastosuje się dietę, to co z tego człowieka pozostanie? Skóra i kości.

– Niech no pani posłucha – rzekł lekarz. – Ja mówię, odpowiednia dieta... To nie znaczy wcale, żeby jadł mało, tylko żeby jadł rzeczy odpowiednie. A więc: owoce, jarzyny i środek najważniejszy a najnowszy. wątróbka. Ta wątróbka ma być tak ugotowana...

Kwiryra przerwała.

– Chwileczkę, panie doktorze, zaraz zawołam tu osobę, która zajmuje się gospodarstwem w domu. Boję się, że mogę coś zapomnieć albo nie tak jak trzeba, powtórzyć... – I zadzwoniła na ciotkę dwa razy.

Ciotka weszła z zabeczanymi oczami i Kwiryra odwróciła się, aby na nią nie patrzeć. Czego ta idiotka płacze? No, ale przynajmniej będzie się miało pewność, że dopilnuje i diety, i Romana. Kwiryra była święcie przekonana, że z tą chorobą Romana jest to samo, co z urazem psychicznym, i za nic w świecie nie dopuszczała do siebie wątpliwości. Nagle, z błyskiem w oczach, spytała:

– Czy ma leżeć?

– Nnie. Jeśli tylko będzie czuł ochotę do chodzenia, nie trzeba mu tego bronić.

Garbata ciotka chlipnęła. „Jeśli będzie miał ochotę”. To wyglądało tak, jakby doktor wątpił, czy Roman będzie mógł chodzić. Ale Kwiryra nie zwróciła uwagi na te subtelności i zastrzeżenia, a sam fakt, że Roman nie

potrzebował leżeć, ucieszył ją. Nie jest widocznie tak ciężko chory. I w ogóle, cała ta choroba!

– Pierwszy raz słyszę o takiej chorobie!

Roman jednak nie po raz pierwszy musiał słyszeć o tej chorobie, bo wół siedząc na wysoko zasłanym łóżku, w pięknej, ciemnobłękitnej piżamie, żartował sobie:

– Pewnego dnia czerwone ciałka krwi znikną z moich żył bez wypowiedzenia, nawet moja ukochana małżonka nic o tym wiedzieć nie będzie. Wtedy nastąpi generalna kłapa.

Garbata ciotka jęknęła:

– Ach, Romciu, co Romciu wygaduje?... – i naturalnie chlipnęła.

– Ciotka chyba zwariowała – rzekła Kwiryra. – Czy Romanowi nawet żartować nie wolno? Niech ciotka zajmie się tą... wątróbką. Wątróbka! Boże święty, pamiętam, jak siostry Mossakowskie miały anemię, matka gotowała im grochówkę, bardzo tłustą. A tobie lekarz zabronił tłuszczów. Wątróbka!

– To nie jest takie głupie, Kwiryno.

Ciotka zajęła się wątrobą. Kwiryra zasiadła przy chorym. Od piwnego czasu wszystko się zmieniło, trzeba było powierzyć sklepy obcym ludziom, a sobie zachować tylko ogólny nadzór nad interesami. Kwiryra chwaliła to sobie.

– Tyle lat przesiedzieć w kasie, przyjmując groszaki... to zmarnowane lata!

Roman żartował w dalszym ciągu.

– Czy prędko przeniesiemy się w Aleje Ujazdowskie? – Kwiryra odpowiadała żartobliwie. – W ciągu tego miesiąca... Ach, nie, trzeba przeprowadzić remont!

Remont przypomniawszy jej parterowe mieszkanie od frontu, oddane po zawaleniu się oficynki szewcowi. Musiała je po prostu odkupywać, swoje własne mieszkanie! Musiała dać szewcom w zamian piękne mieszkanie na parterze w nowej oficynie. Na gotówkę to wyniesie... Roman zachichotał.

– Nie, Kwiryno jak sobie przypomnę twoją rozmowę z doktorem!

– To nie takie łatwe, jak ci się zdaje – odpowiedziała już z roztargnieniem. Myślała o interesach. Jednak ta zamiana była konieczna, bo wybiło się przejście i połączyło tę połowę parteru ze sklepem. Kwiryra odbyła parę konferencji z rejentem i parę podróży: jedną do Gdyni, drugą na wieś do ogromnego majątku. Tu zakontraktowała ryby, tam owoce. Opakowania blaszane z własną firmą zamówiła w fabryce na Woli. Uruchomiło się wytwórnię konserw z czterema pracownikami, śmiech powiedzieć, to było prawie nic, a różnica jej w zysku bardzo znaczna. I gdy tak stała w pośrodku „swej wytwórni” – ogarniając wzrokiem wnętrza dwóch izb z kuchnią i wielkimi kotłami, cztery stoły, kupę blaszanek, przyrząd do

zamykania wieczek – otworzył się przed nią świat. I pomyśleć, że latami nie ruszała się z domu, że często miesiącami nie wydalala się poza obręb ulicy Mylnej, że jak pies w budzie tkwiła w swej kasie! Nic dziwnego, że Roman po powrocie z niewoli miał różne napady, bo to naprawdę można dostać melancholii w takiej stojącej wodzie. Niby żartem, a w istocie z gniewem krzyknęła „swoim pracownikiem”.

– Prędej, panowie, prędej, prędej, ruszać się! – Dziewczęta, nakładaczki, pracowały sprawniej, nerwowo i mężczyźni nie nadążali zakładać wieczek... „Trzeba będzie wziąć oddzielny personel do kuchni” – pomyślała Kwiryra.

Skosztowała marmolady i skrzywiła się. Nie żeby to było całkiem złe, ale nie miało tego smaku jak marmolada sporządzona w domu. Siedząc potem w głębokiej zadumie naprzeciw Romana, który wstał już, żeby rozprostować nogi, rzekła niespodziewanie:

– Moja matka miała rację.

Roman spojrział na nią, zdziwiony: nigdy prawie nie wspominali rodziców.

– Z czym miała rację?

– Z kapustą.

Matka sama kwasiała kapustę na sprzedaż i ludzie odchwalić się nie mogli tej kapusty. Matka przypisywała to temu, że kapusta była dobrze udeptana i nie psuła się. Miała rację i nie miała racji. Przyrządzali starannie kapustę i w tym tkwił cały sens.

– Ta kapusta, którą sprzedajemy u siebie, z mechanicznej przetwórni, nie ma najmniejszego smaku. Dziwię się, jak ludzie to jedzą! Ale nie ma smaku nie dlatego, że jest mechanicznie przetwarzana, tylko że nie fatygują się doprawiać ją dodatkami. Zwykle niechlujstwo i tyle!

Roman bawił się doskonale. Co za logika w tej Kwiryri, co za głowa!...

– Śmieję się, śmieję! Ale ja już wiem, na czym ma stać moja wytwórnia. Nie ilość, tylko jakość. Muszę mieć swoją specjalność.

Przypomniała sobie, że jej klienci wyróżniali wędlinę z pewnego majątku. Dlaczego? Dlatego, że ta wędlina wyróżniała się dobrocią, ktoś ją starannie przyrządzał. Matka kładła do kapusty całe ziarenka pieprzu, liść bobkowy, trochę marchewki i rajskie jabłuszka. Pewien adwokat, którego poznała u reagenta, chodził aż na Piwną do sklepiku po osmażane śledzie, ponieważ jego kucharka nie potrafiła tak tych śledzi przyrządzać jak sklepiczarka. Kwiryra nie myślała ani wyłącznie o kapuście, ani o śledziach, myślała o tysiącu innych potraw. Ale do tego trzeba jej jeszcze chemika.

– Na co ci chemik?

– Pierwsze próby – rzekła uroczyście Kwiryra mogę przeprowadzić sama z ciotką, w swojej własnej kuchni. Ale chemik musi mnie pouczyć, co robić,

żeby z jednej strony żywność się nie psuła, a z drugiej nie traciła smaku.

Podczas gdy Roman łykał ślinkę na te wszystkie smakołyki, Kwiryra, zagłębiona w fotelu, z ramionami skrzyżowanymi, widziała już nie tylko „swoje” sklepy zapełnione „swoim towarem”, ale i swój towar we wszystkich sklepach miasta, ba, całego kraju! Roman wydziwić się nie mógł, jak ona przystępowała do rzeczy: żadnego na pozór planu, żadnego kosztorysu, żadnej bliżej określonej sumy, a jednak w końcu wszystko zgadzało się jak w doskonałym rachunku. Miała „natchnienie”.

Zmęczony, powrócił do łóżka, a potem uczuł głód i poprosił o jedzenie. Ciotka, rozpromieniona swą rolą, przyniosła ową wątróbkę, własnoręcznie przyrządzoną. Niosąc ją, powtarzała w kółko:

– Ja sama, Romciu, sama to zrobiłam, tak jak doktor zalecił!

Roman, krzywiąc się zjadł ledwie obgotowaną wątróbkę, po czym opadł na poduszki. Można by pomyśleć, że teraz dopiero ta choroba zasmuciła go. A przecież nigdy nie był smakoszem i jeżeli wymyślał jakieś potrawy, to raczej po to, aby dogodzić domownikom, nie sobie. Pod wieczór ogarniał go niepokój. Chciał zejść do sklepu, chciał zobaczyć, co słychać w wytwórni.

– Przecież dopiero co wstawiałeś i wróciłeś do łóżka – rzekła zdławionym głosem Kwiryra. Wreszcie poprosił, aby odsunięto rolety z okna. Kwiryra uczyniła to, ale gdy wzrok Romana wybiegł w dal, za okno, ponad czubami akacji, przestraszyła się czemuś. Nagle widmo wielkich zakładów przetwórczych zbladło w jej wyobraźni, ogarnęło ją nigdy nie doświadczane zniechęcenie i strach. Żeby to ukryć, wyszła prędko do stołowego.

– Co Roman tam widzi, Romku? – usłyszała głos ciotki. – Co Roman tak patrzy?

– Tak sobie! – odpowiedział wesoło Roman. A potem zapytał. – Czy Kwiryra zeszła do sklepu?

– Nie wiem – rzekła ciotka – ale pewnie zeszła, bo ona bez sklepu żyć nie może.

Na to Roman westchnął krótko i ściszył głos. Ciotka piskliwie odżegnywała się od czegoś.

– Ale co też Roman! co też Roman!

– Niech ciotka przyrzeknie, że w razie czego nie opuści nigdy Kwiryny!

Kwirynę zdjął taki gniew, że aż zdławiło ją w gardle. Przeszła na palcach do kuchni, wysłała służącą na dół do sklepu i krzyknęła:

– Ciociu!

– Jak mi ciotka jeszcze raz zacznie taką rozmowę z Romanem, to może ciotka od razu pożegnać się z naszym domem! Ciotka zdrowego doprowadzi do choroby tą swoją przestraszoną miną i płaczem!

Ciotce od razu łyzy obeschły na policzkach i zakłęła się na wszystkie świętości, że „już nie będzie”. Kwiryra wróciła do sypialni.

– No cóż? Może zagramy w loteryjkę! – krzyknął wesoło Roman.

Ależ on jest zupełnie zdrow, tylko osłabiony, zawracanie głowy z jakimiś ciałkami krwi! Targował się o stawkę, chciał, by grali o większą sumę, na przykład o dziesięć złotych. Kwiryna zgodziła się, a potem pożałowała tego, ponieważ przegrywała. Uważała to za złośliwość ze strony Romana, że nie omieszkał nigdy zdenerwować ją takimi głupstwami.

– Czy ty przypadkiem nie szwindlujesz? – żartowała z odcieniem złości.

Ale Roman bynajmniej nie żartował, zamierzał ograć ją, aby wyzbyła się swego skapstwa, choć w loteryjce. Wiedział już, że dałaby sobie utoczyć krwi dla niego, ale te przegrane dziesięć złotych długo będą w niej pokutować. Wtedy pomyślała. „Czy nie jestem szlachetniejsza od Romana?” Poprzednim razem, gdy przegrywał, fałszowała numery, aby mu tylko zrobić przyjemność.

XIV

Dźwignąwszy się na łokciu, Roman spojrział na boży świat. Ruchliwy róg karmelickiej pod cukiernią, pełen był ludzi, zwykłych gapiów, którzy przystawali na chwilę, jakby w głębokim namyśle, i ruszali dalej. Sprzedawcy chwyтали tu swoich przygodnych klientów, kumoszki ciekawe nowiny z przyległych domów. Widział jeszcze ostatnie akacje skwerku, pod którymi pstrzył się kolorowymi okładzinami pism kiosk. Z hukiem przebiegały tramwaje, Roman widział je krótką chwilę, gdy mijały przecnicę Nowolipia. Gwar wzmagął się i cichł. Zapadł zmierzch, niebo stało się granatowe.

Ciotka, siedząca pod ścianą i szydełkująca zawzięcie, usiłowała zawiązać rozmowę, ale Roman odpowiadał niechętnie. Brzuch miał cały rozboleły, niesmaczny język i wargi jakby obrzmiałe. Ciotka powstała, aby zająć się jedzeniem.

– Może Roman trochę podrzemie? Kwiryna powinna zaraz wrócić – rzekła ciotka i dodała z przekąsem. – Chyba po nocy tego placu kupować nie będzie?

Gdy wyszła, Roman zsunął się na poduszki. Ujrzał skrawek nieba nad samym oknem i nagle w zapadającym zmierzchu doznał błogiej ulgi, zupełnego odetchnienia. Mógł sobie z góry powiedzieć, że wszystkie plany, jakie tu snuła Kwiryna przy jego łóżku, zostaną zrealizowane, że ona rzuci się na oślep w tę robotę. Targowała przyległy plac węglarza, lecz gdy się dowiedziała, że w tym punkcie miasta nie dostanie pozwolenia na uruchomienie fabryki przetwórczej, natychmiast odstąpiła od kupna. Odbywała niezliczone wędrowki za miasto i niezliczone konferencje z pośrednikami. Nie próbował już narzucać jej „swoich” ludzi, na nic to się nie zdało, mimo to podniecał ją do działania. Chciał, aby miała roboty jak

najwięcej, ale gdy nadchodziła z miasta, pełna energii i nowych pomysłów, myślał ze zniechęceniem. „Po co to wszystko? po co?”

Czuł raczej, niż widział, że zapłonęły światła latarni. Usiadł na łóżku. W nagłej ciszy ulicy ukazała się ogromna dziewczyna, w chustce narzuconej na ramiona, przeszła przez jezdnię kołysząc biodrami i stanęła pod latarnią. Jej twarz zdawała się patrzeć wprost w okno wielkimi plamami podczernionych oczu. Roman nagle ujrzał tysiące rzeczy, których dotąd nie dostrzegał, i tysiące myśli przebiegło przez jego głowę. Czuł się wyswobodzony z niewidocznych więzów, z domu, z Kwiryny, z sypialni z różanego drzewa. Krew, ta jego rozrzedzona krew, uderzyła mu do piersi. Czuł się wesóły i wolny. Dziewczyna pod latarnią stała nieruchomo i patrzyła wciąż w tę stronę, w okno. Miał ochotę machnąć ku niej ręką. Dojrzał świat, miasto z niezliczonymi domami i ulicami, zarojone ludźmi, których nie znał i których pewnie nigdy nie pozna. Czułość i szczególne poczucie braterstwa, i ciekawość jakby wzniosła jego serce. Chciałby porozmawiać, ale nie z ciotką ani z Kwiryną, ani z nikim ze sklepu. Wstał, spuścił nogi, czuł się zupełnie dobrze. Naszła go zaduma i chwileczkę posiedział tak, na brzegu łóżka. Już go tu nie było, już szedł ulicami, w ciepłym zmierzchu, sam, z szczególnym, rozpierającym uczuciem w piersi. Ciotka, która weszła z wątróbką z rusztu, zastała go już ubranego, przed lustrem, i osłupiała patrzyła, jak ze starannością robił przedziałek we włosach. Załamała ręce.

– Co to? Roman wstał?

– Uhm – mruknął i nie siadając pochylił się nad tacą z jedzeniem. Gdy dziobnął widelcem pierwszy kąsek, ciotka otrząsnęła się z wrażenia i zbiegła na dół, do sklepu, po ratunek. Może Kwiryna już wróciła?

Roman porzucił niesmaczną wątróbkę, umył ręce, wyjął czystą chusteczkę z bielizniarki i skropił ją wodą kolońską. W ostatnich miesiącach prowadził rachunki Kwiryny, przyjmował komorne i dokonywał wypłat. Wsunął więc do nowiutkiego portfela kilka setek i szepnął.

– No, gotów! Teraz tylko płaszcz, kapelusz, rękawiczki... – Gdy znalazł się w bramie, tak wystrojony, wesóło jak nigdy, dozorca zerwał się na nogi.

– To pan gospodarz już zdrów?!

– Nic mi nie było – odpowiedział i, poszperawszy w kieszeni obdarował go ni z tego, ni z owego pięćdziesiątką. Stanowczym krokiem przemierzył bramę, wstąpił do sklepu, zajrzał do pracowni i krzyknął:

– Dobranoc! Dlaczego nie zamykacie? Chcecie płacić karę? – wyszedł lekko i szybko na ulicę.

Ciotka minęła się z nim, biegła na górę po schodach, monologując:

– Co ja powiem Kwirynie? Niech mi Romcio tego nie robi, bo co ja powiem Kwirynie?

Na ulicy zlustrował wystawę panien Ziemińskich. Przedstawiała się ubogo i

szaro, co to znaczy? Czyżby panny Ziemskie nie szły już z prądem czasu? Wszedł do ich bramy i cofnął się. Po co? Mógł sobie wyobrazić, jak siostry siedziały w swym pokoju po zamknięciu sklepu, na miękkich fotelach, między poduszkami w czerwone róże, pieskami z włóczki, baletnicami z organdy.

– Pragnę innych wrażeń! – rzekł w nim patetycznie obcy, gruby głos.

Roman, idąc ulicą jak we śnie, znalazł się na rogu, pod cukiernią, twarzą w twarz z ogromną dziewczyną. Chciał jej powiedzieć „chodź”, ale, nie wiedział, jak to zrobić, jak się zachować w takiej sytuacji. Na szczęście dziewczyna sama ruszyła z miejsca i przechodząc, dziwnym, zręcznym ruchem otarła się o niego. Usłyszał szept.

– Pójdiesz, kotku?... – Roman stanął jak wryty, patrząc, jak oddalała się z rozkołysanymi biodrami. Kotku? Jak śmiesznie zabrzmiałyby te słowa w ustach Kwiryny! Nie mógł sobie tego wyobrazić. Łaknął czułych słów. Pragnął słów jak nieznanej pieśczoły. Zupełnie zapomniał o ogromnej dziewczynie, zawrócił i poszedł Karmelicką do Leszna. Myślał o Kwirynie, o dziwnym stworze rządzonej ślepym instynktem posiadania, o niemych ustach i mocnych ramionach, o oczach czarnych jak głęboka noc. Wśród zapuszczonych żaluzji sklepowych ujrzy jedną jasno oświetloną witrynę. Aha, to cukiernia. Pchnął drzwi i wszedł tam. Ukazał się jegomość z patriarchalną brodą i powitał go ukłonem, kelner ruszył spod ściany. Ogromny zegar cykał głośno i sennie, wypchany ptak nad bufetem, z rozwiniętymi skrzydłami, zastygł w tym martwym locie. Roman ulokował się na czerwonej, aksamitnej kanapce, zażądał kawy i dzienników. Potem przypomniał sobie, że nie ma papierosów i poprosił o papierosy. Obok siedziała młoda para, dalej jakiś samotny pan, zagłębiony w studiowaniu kuriera, na wprost, w pierwszym pokoju, samotna pani ze znajomą twarzą. Przyjrzał się jej z daleka i zdecydował, że to panna Mossakowska. Skąd tu się wzięła i dlaczego sama? Zanim namyślił się, czy wypada dojść do niej, powstała, zapłaciła i wyszła. Sama, to smutne. Przeczytał napisy na ścianach i czuł się obrażony ich treścią. „Nie pluć!” To nie schody Kwiryny, ostatecznie tu się spotykają bezdomni zakochani.... Nagle zasłonił twarz kurierem. Szybko weszła aptekarzowa, Amelia, cała na czarno, z krótką woalką na małym kapelusiku. Podniecony, jakby sam przeżywał przygodę, śledził, jak usiadła przy panu z kurierem, w jaki sposób przywitani się, spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się. Gwałtownie zaczął robić przypominać, czemu właściwie wstał z łóżka, i opuścił dom, po co? Dlaczego? Miał przecież jakiś zamiar. Nagle stanęła mu w oczach blondynka z Mylnej i uspokoił się, bo już wiedział, co ma robić. Cicho, bokiem, aby nie żenować Amelii, wyniósł się i w pierwszym pokoju uregulował należność. Potem długo błądził ulicami, wstąpił nawet do kina, aby wreszcie koło jedenastej stawić się w restauracji

hotelu Saskiego. Zdziwił się, tak tu jakoś było inaczej niż wówczas, gdy pierwszy raz balowali z Kwiryną, Jakoś nędzniej i gwarniej – czy może on patrzył innymi oczyma. Zajął stolik w kącie i rozejrzał się po sali. Dwa czy trzy stoliki były zajęte, a w głębi wystrojone młode kobiety zdawały się oczekiwać. To na pewno fordanserki.

Ale nie było wśród nich blondynki z Mylnej. Zaniepokoił się, przecież to kawał czasu, gdy ją tu spotkał!

Zbliżył się kelner z kartą, Roman wybrał jakąś drogą potrawę i równie drogie wino. Nie chciało mu się zupełnie jeść, a nawet czuł niesmak na myśl o jedzeniu i pomyślał sobie. „Bawię się jak defraudant”. Był też jak defraudant, podniecony i smutny. Zanim przyniesiono zamówioną potrawę z kuchni, kelner troskliwie ustawił na stoliku koniak, wino, kieliszki i półmisek z przekąskami. W kącie wystrojone kobiety poruszyły się, przypudrowały twarze, poprawiły włosy. Muzyka zagrała nudnie i sennie. Nikt nie tańczył. Roman wypił kieliszek koniaku i choć blondynki nie było wciąż jeszcze na sali, nie tracił nadziei, że ją dziś spotka. Patrzył w głąb, na jej koleżanki, z sympatią, bo każda z nich mogła być po trosze blondynką z Mylnej, pracować ciężko „na życie”. Roman zastanowił się nad tą sprawą. Na życie pracuje się jakby podwójnie, zewnątrz i wewnątrz, Wychylił jeszcze jeden kieliszek i nagle błysnęło mu w głowie, że wewnątrz pracuje się na śmierć. W tej chwili zwątpił, czy spotka blondynkę, i pożałował tego jak ostatniej rzeczy, która mu się w życiu należała. Ale czyż przyszedł tu po to, aby się smucić? Otrząsnął się gwałtem z tego nastroju, wstał, przeszedł przez salę i skłonił się przed pierwszą z brzegu tancerką. Położyła mu tak dziwnie dłoń na karku, jakby go owinęła jednym ramieniem. Gdy już tańczyli, zapytała:

– Pan tu u nas pierwszy raz?

Odpowiedział szczerze, że szuka tu kogoś.

– Może pani wie? Tańczyła tu taka młodzianka blondynka, mieszkała z bratem na ulicy Mylnej?...

Dziewczyna spojrzała mu prosto w twarz czarnymi, wesołymi oczyma i zawołała.

– Ach, Tamara! fiu, fiu, ona tańczy teraz w eleganckim lokalu, mój panie.

Roman zwątpił, czy to ta sama, czyżby nazywała się Tamara?

– Nie – rzekła tancerka – powiem panu prawdę. Ona nazywa się Olesia, Aleksandra. No, ale wie pan, zmieniła imię, bo u nas...

Podczas, gdy opowiadała, jak to dziewczęta zmieniają imiona, Roman nabrał pewności siebie, wiedział już, co ma robić. Przeprósł swoją tancerkę, uczęstował winem przy stoliku i zdobywszy adres „eleganckiego” lokalu, uregulował rachunek i wyszedł.

Tu sala była całkiem okrągła, otoczona pierścieniami stolików, łozami,

nakryta krągłą kopułą sufitu. W dole widniała jakby arena, tańczono w przyciemnionym świetle ukrytych lamp. Roman zajął mały stolik przy samej barierze i nagle ujrzał w głębi, naprzeciw siebie, poszukiwaną. Jakże zmieniona! Siedziała sama, z obnażonymi ramionami, w wielkiej, wieczorowej, czarnej gali. Jej szczupła twarzyczka jakby wypełniała, żółtkła dawniej skóra nabrała świetnego połysku, blond włosy, szesane do tyłu, spływały krótkimi, gęstymi lokami na kark. Chude dawniej dłonie leżały na ciemnym drzewie stolika jak dwa piękne kwiaty. Roman pomyślał z goryczą, że w „porządnym” życiu nigdy by tak nie wypiękniała, nie rozkwitła, nie rozbłysła... Wyfraczony kelner stał za nim, więc pochylił się nad kartą i zamówił wino. Gdy podniósł głowę, blondynki już nie było na dawnym miejscu. Muzyka umilkła, goście wrócili do swych stolików. Nagle w górze rozbłysły światła, wrzasnął tusz jak w cyrku, na arenę wybiegł apasz z dziewczyną. Francuski dialog, poparty wymownymi gestami, tańcem, błyskiem ogromnego kuchennego noża i pocałunkami, stał się całkiem dla Romana zrozumiały. W tej parodii tańca chodziło także o *l'argent*¹⁸. Apasz, przeciąwszy cienki włos na głowie swej kochanki, zdobył sakiewkę ukrytą w jej pończosze. Nagle otrzymał potężny cios, padł, powstał, znów padł, zwinął się na chwiejnych nogach, sakiewka zaczęła wędrować z rąk da rąk. Wśród śmiechu i okrzyków widzów sypały się razy, kopniaki, mordercze piruety, dokumentowane wesołym słówkiem: *c'est l'amour, c'est l'amour*¹⁹. Tancerz dyszał niesamowicie, jego ubranie, wytyłane w kurzu, wisiało w strzępach.

– Ależ jego stąd zabierze pogotowie! – szepnął ktoś obok.

Ale jego mała partnerka była niezmordowana i grzmot oklasków okrył jej zwycięstwo. Roman był zdumiony. Dlaczego czuł taki wstyd w sobie, gdy wszyscy wokół wrócili już do jedzenia, picia, rozmowy? Powiódł wzrokiem po stolikach i odkrył kilka zaszepionych twarzy, niezadowolonych spojrzeń i zdawkowo uśmiechniętych ust.

– Boże, jaki człowiek jest samotny! – westchnął.

Odkrył blondynkę, stała tuż u wejścia na arenę i teraz widział, że nie była już ani świetna, ani młoda, ani błyszcząca. Patrzyła ze zmarszczką między brwiami w miejsce, gdzie przed chwilą tych dwoje waliło się z takim temperamentem i ochotą. Taka sama zmarszczka skrzywiła jej usta, nuda, wstręt i ciężki nad sobą namysł wyjrzały z jej twarzy. Jakiś mężczyzna we fraku dotknął ręką jej obnażonego ramienia. Rozległ się gardłowy głos zapowiadacza. Blondynka zeszła na arenę. Roman ujrzał ją teraz całą, w całej postaci, od drobnych stóp, wymykających się z szumiącego kielicha długiej sukni, aż po gołą pierś ozdobioną kwiatem. Te stopy sunęły lekko, wykwiłtnie, rysując nieposzlakowaną linię pospolitego tańca, któremu

¹⁸ *L'argent (fr.) – pieniądze.*

¹⁹ *C'est l'amour (fr.) – to jest miłość.*

tancerka dała swą szlachetność. „Ale, ona tu wcale nie pasuje do tego lokalu «eleganckiego» – pomyślał Roman i uczył w sobie jakieś wesele. Patrzył na nią zachłannie, nie odrywając oczu, może Kwiryra miała rację, że „się kochał w blondynce z Mylnej”? Nie, czuł do niej teraz, zupełnie coś innego, nie współczucie, jakie żywił dla tamtej, nie smutek, z jakim patrzył na młodzieńką, wymalowaną, różowo ubraną fordanserkę z restauracji hotelu Saskiego. Czuł w niej jakąś dojrzałość czy znużenie, jakieś poznanie, coś bardzo bliskiego z nim samym, jakby braterstwo. I cieszył się podle, że ona nawet nie może mieć powodzenia w tym lokalu, bo się nie umie bawić jak inne, śmiać, a cóż dopiero naciągać gości? I prawie z niedowierzaniem słuchał grzmotu oklasków, gdy taniec się skończył.

Jej tancerz usadowił ją znów na dawnym miejscu i odszedł. Roman powstał i szybko, zbliżył się do stolika.

– Czy pani mnie poznaje? – Uśmiechnęła ślę pojaśniała nagle.

– Tak, poznaje. Pan się bardzo zmienił, ale ja pana nigdy nie zapomnę... – Spojrzała w głąb, w stronę bufetu, i szepnęła. – Niech mnie pan zaprosi do swego stolika! Albo nie... Zatańczymy!

Objął ją i powiódł w koło tańczących. Serce mu biło gwałtownie.

– Niech pani posłucha... Przyszedłem tu... – Uczuł, jak lekko i miękko spoczywała w jego ramionach, i zrozumiał, że musi wzmocnić uścisk, jest mężczyzną, musi ją poprowadzić. Ach, ale Kwiryra wcale by na to nie czekała! I uczył się nagle ograbiony ze swojej siły, ze swoich zdolności, przez Kwirynę. Tańcząc przypomniał sobie, że miał coś załatwić, coś ważnego ostatecznie skończyć... Aha! Schylił się i przygarnął mocniej swą tancerkę.

– Będę musiał wyjechać na dłużej. Myślę nieraz, czy pani sobie da radę? Mam... Mam pieniądze... niedużo, ale jutro, pojutrze będę miał większą sumę...

Zawołała swym śpiewnym głosem.

– Co pan mówi? Nie trzeba tak, nie trzeba!

Oboje zmieszani, przetańczyli jeszcze jedno koło, Roman wyklinał w duchu swoje chamstwo i znów wspomniął Kwirynę. To ona nauczyła go patrzeć na wszystko od strony pieniądza. Zapytał jednak.

– Dlaczego?

Wtedy, bardzo zmieszana, odpowiedziała.

– To już za późno, za późno, bo teraz mi wszystko jedno, jak ja żyję.

Nagle i delikatnie zatrzymała go przy schodkach.

– Niech pan idzie za mną – rzekła z opuszczonymi powiekami. Poprowadziła go w głąb lokalu, za kotarę. Zatrzymała się w pustym korytarzyku, stanęła przed nim, zamyślona. Potem wspięła się na palcach, oburącz objęła jego twarz i pocałowała go, wprost w usta, długim

pocałunkiem, tak jakby piła czystą i zimną wodę. Może po raz pierwszy całowała bez przymusu, może nigdy nikogo przez całe swe krótkie życie nie całowała z chęci swego serca? Straszliwa słodycz spłynęła w ciało Romana, stał głęboko wstrząśnięty, bez ruchu, pełen olśniewającego światła.

Z sali dobiegał głuchy szum, tu było cicho. Nie wiadomo, jak długo tak stali, w milczeniu. Dziewczyzna szepnęła.

– Mam teraz taki numer, solo. Muszę już, iść, ale niech pan nie zostaje, niech pan wraca do domu...

Znalazł się w pustej ulicy, koło ogrodu Saskiego.. Stąd płynął ten mocny, upajający zapach, jaki Roman czuł w sobie, koło siebie. Nie widział już, czy to zapach ziemi, drzew i kwiatów, czy zapach życia? Noc była ciepła, głęboka, księżyc wisiał tuż nad ostrym mieczem sztacheta.

– Są chwile – szepnął do siebie są chwile...

Ale nie mógł znaleźć słów dla swego przeżycia, dla głębokiego zachwytu w sercu, i w tym zachwycie, jak we śnie, okrążył ogród, wszedł w Senatorską, Rymarską, Leszno i ciągle głęboko zadumany, ocknął się u siebie w domu, w bawialni. Nie pamiętał, kto mu otworzył drzwi – a może pozostawiono je nie zamknięte? „To niepodobne do Kwiryny” – pomyślał. Siedział w głębokim fotelu i patrzył uważnie na gipiurę bogatych firanek, na stolik z haftem pod szklanym blatem, na olbrzymie lustro i piękne fotele. Opuścił to mieszkanie wczoraj wieczorem – a zdawało mu się, że przeżył strasznie dużo, gwałtownie i gorąco. Nic się przecież nie stało, blondynka mogła zrobić wiele rzeczy, których nie zrobiła. Mogła wziąć pieniądze, mogła zabawić się z nim, pić, umówić się na drugą randkę, mogła... Kwiryna zaciągała więzły mocno, do samego końca, wiązała swe sprawy w supeł nierozzerwalny...

Niebo spłonęło różowo nad Nowolipiem, nad dachami. Roman, ciągle z swym bogactwem w piersi, przeszedł na palcach do sypialni i stanął nad uśpioną Kwiryną. Spała mocno, musiała zasnąć niedawno, mała lampka błyszcząca jeszcze nieważnym, mdłym światłem. Ta smągła, ciemna twarz Kwiryny, jej aksamitne czarne włosy, rozrzucone, zmyliły mu się w oczach z białą twarzą i, jasnymi lokami blondynki z Mylnej. Nagle zrozumiał, że tę kocha, nie tamtą, że w tamtej tylko znalazł to, czego Kwirynie nie staje. Uczuł wielkie znużenie i, tak jak stał, w ubraniu, zsunął się na łóżko.

XV

„*Don't interfere with me, little dog!* – Nie przeszkadzaj mi, mały psiaku. Czy nie widzisz, że ja jestem *a dog with a job?* pies z zajęciem?”

„*Who was he? I asked the lurcher at Nr 5.* – Kto to był? – zapytałem lerczera spod piątego”.

„*A, sheep dog – a collie – he answered.* – To owczarek – odpowiedział”.

Nie wiadomo, jak przetłumaczyć *lurcher*, jest to pewnie rasa psa, ale jaka? Niech sobie będzie tymczasem lerczer, można potem zapytać miss w szkole. Na razie Zuzannę interesują same losy pewnego angielskiego Tobiaszka, który jest własnością Mrs. Mournsher, praczki mieszkającej *in black North Country town* – w czarnym północnym okręgu. Mydliny ociekające z balii i pył węglowy nie pozostają bez wpływu na jego zewnętrzny wygląd. Siaduje on zwykle na schodach z sutereny na ulicę. Stąd widzi *the boots and shoes* = buty i trzewiki. Tobiasz czerpał swoje doświadczenia o człowieku z zapachu jego butów.

„*All the boots were hurrying boots* – wszystkie te buty były spieszące się buty, ponieważ podwórko leżało przy chodniku wiodącym na stację. Jedne buty szły w stronę stacji, drugie ze stacji, tak że Tobiasz nie mógł zrozumieć, *whether their owners thought the station nice or nasty* – czy ich właściciele myślą, że stacja jest ładna, czy brzydka. Kiedy ludzie się do czegoś śpieszą, to robią to przeważnie dlatego, że to „coś” jest ładne, a gdy od czegoś uciekają, przeważnie to jest brzydkie... *but when they do both, how is one to tell?* – gdy czynią i to, i to, co można o tym sądzić?”

– Paradny psiak! – rzekła Zuzanna.

Matka milczała, zasępiąca i pogrążona w swej pracy. Ona także robiła i to, i to i Zuzanna mogła pytać tak samo jak Tobiasz. Co o tym sądzić? Ze swego miejsca przy stole widziała kartony, na których ledwo naszkicowane suknie ustępowały miejsca wieczkom ozdobnych pudełek, deszczułkom kalendarzowym, garnkom, a przede wszystkim sprzętom. Stoły, krzeselka, szafki i półki wchodziły ciężko na zwiewne linie „wielkich” toalet, całkowicie je przekreślając. Gdybyż matka chciała dalej projektować piękne suknie! Ale zaprojektowała tylko trzy i „poupychała” wszystkie sprawunki i wydatki Zuzanny. Co dotyczy domu, to dom zyskał na tym tylko zasłonę z angielskiego kretonu, którą się zawieszało gospodarczą część pokoju. Owszem, to już coś znaczyło, przyjemnie jest, gdy w najmilsze chwile czytania wzrok, zamiast na kuchnię, garnki i rondle, pada na kretonowe róże i liliowe bzy. Ale o niczym innym, na przykład o zmianie mieszkania, nie było mowy. Raptem matka zaczęła odwiedzać bliski bazar wdając się w pogawędki z właścicielami drewnianych bud, gdzie straszne figury z gipsu, gotowe sukienki dzieciinne, sprzęty pociągnięte bejcem i politurą, oleodruki, ustawione rzędem pod murem na ulicy, straszły Zuzannę, niczym zmary.

– Trzymaj się ceny! – krzyczała ciotka Kwiryra. – Staniesz się modna i będziesz dużo zarabiać!

Ale matka najoczywiściej zwątpiła, czy projektowanie pięknych sukien może stać się celem życia człowieka, i, ciotka Kwiryra orzekła, że: „Twojej matce przewróciło się z tego wszystkiego w głowie”. Nagle ni stąd, ni zowąd

matka rzuca suknie i staje do konkursu na urządzenie mieszkania robotniczego. Jej „Jedna izba” wyszła bardzo pięknie, sprzęty z sosnowego drzewa wyglądały jak samo słońce, a gdy pewna kobieta, zwiedzająca wystawę, ułożyła w łóżeczku swoje uśpione dziecko, zdawało się, że pokój już jest zamieszkały na dobre, ludzie się z tego i śmieli, i cieszyli. Ale cóż? Zarobek matki był żaden, bo oznaczyła najtańszą cenę, o „Jednej izbie” nie zamieszczono w dziennikach, tyłu wzmianek, co o nagrodzonej sukni, a, co najśmieszniejsze, „Jedną izbę” robotniczą kupili jacyś bogaci państwo!

– No, dalej, na czym stanęłam? Aha.

„*But when they do both, how is one to tell?* – Gdy czynią i to, i to, co można o tym sądzić?”

Po niezliczonych perypetiach Tobiaszek nagle staje się tym, o czym marzył: psem z zajęciem. „*I was an actor now* – byłem teraz aktorem – *the chief actor in the drama* – głównym aktorem dramatu. – No, no, słyszysz, mamó? – *Without me* – beze mnie – *my master* – mój pan nie mógłby zarobkować w ten sposób. – *The play was «Punch and Judy»*. Sztuka nazywała się «Punch i Judy». Jedyne Tobiasz był żywy w zespole, reszta to marionetki. – *Poor things they did just what my master bade them* – biedne rzeczy! one robiły tylko to, co im kazał mój pan – *in a stupid puppetlike way* – w głupi, bezmyślny sposób! – *I shall never forget the day of my first performance* – nigdy nie zapomnę dnia pierwszego przedstawienia. Kiedy przechodziłem przez ulicę – *I drove away the cats and dogs* – pędzili za mną... co to może być?! Dosłownie: koty i psy. Anglicy używają także tego określenia na deszcz-kapuśniaczek, na złą pogodę. Mówią wtedy: co za grochowa zupa! śnieg z deszczem! koty z psami! Ale w tym wypadku może być: ciżba, tłum. Niech będzie tłum. – Słyszałem pochlebny szmer – *There goes Toby, the actor!* – To idzie Tobi, aktor! *The dog with a job!* – Pies z zajęciem! – *I was happy then* – byłem szczęśliwy!”

Matka odezwała się wreszcie głosem ironicznym i podniesionym.

– Miałam także chwilę takiego triumfu na konkursie mody. Szeptano za mną. „To ta pani Meyszor, autorka nagrodzonej sukni”. I dodawano: „Szkoda tylko, że sama jest tak źle ubrana.”

– Bo czemuś nie wzięła wieczorowej sukni?

– Ponieważ nie przyszłam tam jako gość, tylko jaka pracownica dwóch P.

– Ach, te, twoje skrupuły!

Następuje wyjazd do Londynu. Po raz pierwszy Tobi ujrzał tam inny zespół przedstawiający „jego” sztukę. Oni byli bardzo marni.

– To ma być przedstawienie? – rzekł z politowaniem jego pan. – *The strange Toby heard us* – konkurencyjny Tobi usłyszał nas. *Who's that country bumpkin?* – Kto jest ten wiejski facet? szczechnął swym głupim głosem. Byliśmy rozczarowani. W jego grze nie było owego wuff! w scenie z

dzieckiem ani tańca przez fajeczki, żadnego z tych drobnych szczegółików, które czyniły moje przedstawienie tak doskonałym!

Cechna śmiała się. Szczegółiki, szczegółiki! Zuzanna wobec tych objawów humoru mogła zaryzykować.

– Nic nie wiem, jak ja tłumaczę, bo nie mam słownika i wszystkiego muszę się domyślać!

To był atak na kieszeń matki i Cechna odpowiedziała.

– Ja się też wszystkiego w mojej pracy muszę domyślać, a zresztą, gdy byłaś małeńka, w ten sam sposób nauczyłaś się sama czytać.

– Ach, polskiego! – krzyknęła Zuzanna. – To się ma we krwi!

We krwi... We krwi miało się język ojczysty i wiarę, i miłość swojej ziemi i Zuzanna nie mogła zrozumieć, dlaczego starsi z takim zapalem starają się utwierdzić młodzież w tych uczuciach przyrodzonych i oczywistych. Jej praktyki religijne (chwila przed spoczynkiem spędzona w jej tylko wiadomej milczącej modlitwie) trwały bez względu na to, czy ksiądz prefekt kontrolował bytność dzieci w kościele, czy nie, i mimo że matka nigdy a nigdy nie zadawała owego klasycznego pytania babci Raczyńskiej.

– Czy przeżegnałaś się? czy zmówiłaś pacierz?

Tak samo jak miłość ojczyzny była w niej mimo stu akademii, na których słowo to powtarzało się nieskończoną ilość razy. Zuzanna i jej podobne „wyrodki” zdradzały jakąś surową wstydlivość w okazywaniu i mówieniu o tych swoich uczuciach. Idąc dalej po tej linii oporu i sprzeciwu, Zuzanna wykręcała się od noszenia znaczka. Cechna zdumiewała się: zaczęło się od błahych i śmiesznych rzeczy, od instynktownych odruchów kokieterii, od ratowania czapki, fryzury, kokardy, poprzez chęć uratowania swoich wolnych godzin, aż do uświadomienia sobie prawa do samotności i samodzielności. Zuzanna nie należała do żadnej z licznych organizacji szkolnych. stwierdziła, że dość ma siedmiu dzwonek szkolnych na dzień, które regulują jej godziny, czy reszta dnia ma też być sygnałem, gwizdkiem i rozkazem? Matka ostrzegła ją:

– Będiesz samotna! – Ale Zuzanna zdawała się już rozumieć, że w tym powszechnym organizacyjnym koleżeństwie nie było też miejsca na osobne, bliskie i do czegoś zobowiązujące przyjaźnie.

Cechna patrzyła na nią z obawą i smutkiem, posądzała ją o oschłość uczuć, egoizm. Ale potem, nieoczekiwanie, w chwili gdy sztandar wjeżdżał na maszt przy nowej, letniej siedzibie szkoły, serca „wyrodków” włączyły na oczy, które z natężoną uwagą śledziły jego bieg wzwyż, jego spoczynek u szczytu. Kiedy indziej wszystkie wyłączości i odosobnienia topniały wobec choroby surowej „Dyrki” lub wobec wypadku, gdy taż sama „Dyrcia”, przyszedłszy się pożegnać na przystań na chwilę przed wyruszeniem wycieczki szkolnej do Gdyni, wyrwała swe uczennice z ciasnego,

niewygodnego i zapchanego statku, stawiając czoło różnym kapitanom portu, zmieniając marszrutę i statek. „Hura” na cześć pani dyrektorki krzyczały wtedy zgodnie żywioly zorganizowane i nie zorganizowane. Dziesięć akademii było nieudanych, a potem coś się zmieniło wobec jednej wystawy urządzonej w szkole. Można było w cichej auli o każdej porze dnia spotkać najbardziej odosobnione osobistości, tkwiące przed drukami, listami, fotografiami, mapą plastyczną walk, aby nie z nakazu, lecz naprawdę w samotności usłyszeć i zrozumieć słowa. „Dźwignąć człowieka, uczynić go lepszym, wyższym, szlachetniejszym”.

To była chwila, która niosła w sobie wspólną miłość, wielką dumę i ufność. Zuzanna oprowadzała matkę. Cechna była zachwycona przejrzystością wystawy, pewnie rzeczy były dla niej zupełnie nowe. I nagle, gdy tak szła z Zuzanną ręką w rękę, zdumiała się skrycie, że wszystko nowe i cenne przychodzi do niej przez Zuzannę, choć obraca się teraz między tyłu ludźmi! I czuła się wynagrodzona za to, co ją ominęło, a jej braki wydawały się mniejsze, do odrobienia i do powetowania. W imię tej radości próbowała chytrze związać odznaki szkolne i karność, i potrzebę organizacji z wystawą, sztandarem, patriotyzmem. Ale Zuzanna z uporem nie chciała przyjąć tak powiązanych spraw. Nie chciała takiego utożsamiania. To było małe, to wielkie.

Cechna ongiś szukała upewnien, ale Zuzanna dawała je sobie sama. Gdy matka była zajęta gdy omijała ją któregoś dnia zwykła porcja matczynych czułości, spojrzeń i słów, mówiła z głośną stanowczością.

– Jesteś miła, Zuzanno, jesteś dobra, Zuzanno, jesteś całkiem do rzeczy, Zuzanno! a, jaka ty jesteś ładna! – Teraz mogła już znieść smutek osamotnienia, zając się lekcjami, sprzątaniami i nawet przygotować kolację, zasłać łóżka, aby godnie odpowiedzieć tym prawionym sobie komplementom. Matka nie kontrolowała jej lektury. Ale wszystkie książki, które Zuzanna fragmentami odczytywała matce, mówiąc: – Posłuchaj, jakie to piękne! – były książkami doskonałymi. Zuzanna sama przesiała książki przez swoje sito wysokich wymagań. Tak zwane książki niemoralne nie pozostały w niej i nie wyźłobiły śladów, ponieważ przeważnie były „marne”. Wbrew powszechnemu prądowi Zuzanna nie interesowała się sportem. Ale pewnego dnia, stanęła do zdobycia sportowej odznaki szkolnej bez specjalnych przygotowań i mimo, protestów matki przerobiła wszystkie przewidziane regulaminem wyczyny, otrzymała ową odznakę i spoczęła na laurach. To nie miało żadnych następstw. I Cechna zrozumiała, że to był egzamin dla samej siebie. Potrafię? No to wspanaile!

– *What is pink? a rose is pink, by the fountain's brink...* – Cechna nawet nie zauważyła, kiedy czytanki polskie stały się czytankami angielskimi. Niezrozumiałe słowa postawiły jakąś zaporę w godzinach, kiedy „obydwie

się uczyły” na facjatce w domu wstrząsanym hukiem ciężarowych aut i wozów tramwajowych, Wieczorem grzmiała muzyka w knajpie na rogu. Wszystkie głosy zdawały się lecieć w górę i huczeć pod niskim sklepieniem sufitu. Zuzanna mruczając wchodziła do nieznanego kraju. Jeśli pewne rzeczy tkwiły we krwi, jeśli się z nimi przychodziło na świat, to cóż znów miała znaczyć angielszczyzna Zuzanny? To już wcale nie było odrabianiem lekcji, wykuwaniem słówek. Zuzanna tłumaczyła posługując się gestem, improwizacją, okrzykiem. Od śmiesznej historii ambitnego Tobiaszka, poprzez wiersz o kolorach, zjawily się nagle słowa „*Home, sweet home*” i jęły się wić poprzez wszystkie opowiadania, wiersze i pieśni. Czemuż to Zuzanna, która „liznęła” trochę francuskiego, niemieckiego, utknęła tak ponad miarę szkolnych zainteresowań w angielskim? Wiersz Roberta Burnsa, wielokrotnie powtarzany, wrył się w pamięć następującej Cechny. „*My heart's in the Highlands, my heart is not here...*” Ołówek zatrzymywał się, ręce Cechny nieruchomiały. Gdzież to wędrowało serce Zuzanny, dokąd odchodziło z małego pokoiku na poddaszu nad gwarną ulicą? *Not here...* nie tutaj!... Odloty i powroty skrzyżowały się, nadszedł Longefellow z swym upewnieniem melodyjnym. „*Stay, stay at home, my heart, and rest*”, ale to nie uspokajało całkowicie. W brzmieniu głosu Zuzanny lśniło coś uparcie stęsknionego i wyłącznego, mimo że usta namawiały i przekonywały dziecinnie:

*Pozostań, pozostań w domu, moje serce,
I spoczywaj,
Serca, które trzymają się domu, są najszcześliwsze.
Albowiem ci, którzy błędzą, sami nie wiedzą dokąd,
Pełni są zamieszania i pełni troski,
Pozostać w domu jest najlepiej...*

„Co to ma znaczyć? – myślała Cechna puszczając w ruch swój ołówek. – Czego ona tak poszukuje na tej obczyźnie?” Zuzanna, siedząc po turecku na starej kanapie Kwiryny, kiwając się, splatała nieznaną słowa z tłumaczeniem, jak piękny wianek. Jej ciemne oczy zdawały się nic nie widzieć, nie spoglądały już ukradkiem w stron kartonów matki. I nagle Cechna zrozumiała, że Zuzanna ucieka w swoją Anglię, pełną starych domów, kominków, grzanek, do życia bezpiecznego i uregulowanego, a tak wolnego, od ciasnego pokoiku na poddaszu, od matki, ciągle jeszcze poszukującej, od przymusów młodego życia. Zdawała się wyczuwać, jeszcze niejasno, te wiązadła, które łączyły stare, nieprzemijające wartości, solidne oparcia, na których mogło wszystko rósć bujnie i po swojemu i które sprawiały, że dom stał się bezpieczny i dumny.

– *Weary and homesick and distressed*: – Znużeni, stęsknieni, przygnębieni – idą na wschód – na zachód – i oszukani – zbici – schłostani – powracają...

Cechna przeraziła się tych słów, przeraziła się upływającego czasu, swego niezdecydowania, poszukiwań i niezadowoleń.

– Moje życie już się skończyło! Nie już nie zrobię! Ale ona...

Ujrzała nagle, jak Zuzanna odchodzi ogromnymi i wspaniałymi krokami młodości od wszystkiego, w czym jej przecież wypadnie żyć, bo zawsze się wraca do miejsca, skąd się wyszło, zawsze się wraca! Nie było sposobu, aby to powiedzieć Zuzannie, jedyny sposób to poznanie. Cechna uczuła nagle w sobie jakąś ciszę i pustkę i w tej ciszy w pustce mogła już zacząć pracować, bez wahania, bez oglądania się. Ołówek przemknął strzelistą linią przez sztywny karton. Ciężki zwinął się koło stóp wyimaginowanej piękności, krągłe linie ramion opadły miękko. A teraz barwy...

– No, Zuza, jak ci się to podoba?...

– Oo!

Co za ulga w tym głosie. Szyderczy uśmiezek zjawił się na białych ustach Cechny. Ach, ona właśnie czekała na suknię, ten mały i poetyczny rachmistrz. Ale i Cechnie jest lekko, jak lekko bywa człowiekowi, który coś rozstrzygnie.

– Wyobrażam sobie jakąś piękną kobietę w tej sukni mamó!

– Piękną i... bogatą – mówi Cechna. – Bo to będzie droga suknia, bardzo droga suknia, moje dziecko. Szczegółiki, szczegółiki... jak powiada Toby, *the dog with a job*, pies z zajęciem.

XVI

Aptekarz zdjął okulary, przetarł je i starannie nałożył powrotem. Amelka przeszła przez popój, w szlafroku i domowych pantofelkach, niosąc czystą bieliznę do łazienki, ale nie oszukała go tym wszystkim. Starannie zaczesane włosy, przypudrowana twarz i nikły zapach perfum składały się na obraz kobiety, która czeka tylko okazji, aby wyjść z domu. Powiódł za nią oczyma i chrząknął. Odwróciła się. Czytał już gazetę, pochylony nad stołem. Wyglądało to zupełnie niewinnie.

– Mój drogi, na co ty czekasz? Dlaczego się nie kładziesz?

– Na rachunek. Katarzyna nie dała mi jeszcze rachunku. A co będzie jutro na obiad?

Nieśmiertelne pytanie! Amelka rozgniewała się nagle. Przy śniadaniu jest mowa o obiedzie, przy obiedzie o kolacji, i tak ciągle w kółko. Wpadła do kuchni i podniesionym głosem zażądała, aby Katarzyna natychmiast dała

panu rachunek. Katarzyna podjęła walkę i weszła do pokoju, aby osobiście zapytać swojego pana, czy ma zdawać rachunek akurat teraz, gdy zmywa naczynia po kolacji?

– Nie, nie! – rzekł aptekarz – mnie się nie śpiesz! I tak nie sypiam dobrze, nie chcę się tak wczesnie kłaść spać.

W tej chwili rozległ się zgrzyt żaluzji na dole, zamykano aptekę. Już dziesiąta! Jeszcze przez pół godziny Jan będzie załatwiał rachunki z kasjerką, a potem wyjdzie. Umówili się, że Amelia zejdzie z góry jednocześnie. Amelia ustąpiła z placu, niech sobie tu Filip z Katarzyną układają plany na jutro, to w sam raz dla nich zajęcie!

– Trudno. On mnie zmusza do ostateczności! – rzekła sobie. Miała już wszystko do wyjścia przygotowane w sypialni. Mały aksamitny toczek, płaszczyk, rękawiczki, torebkę. Ale aptekarz jak strażnik rozbił swój namiot w jadalni, dokąd uwiiodły wszystkie wyjścia z pokojów. Ubierając się, przez chwilę marzyła o tym, że podejdzie do niego, obejmie i jak człowiek człowiekowi powie, żeby jej pozwolił przeżyć to do końca, żeby jej nie stawał na drodze... Potrząsnęła głową. Tak, tak, teraz zaczynać z nim rozmowy, tego tylko brakuje! Jednak taka rozmowa czy prędzej, czy później była nieunikniona, Amelka czuła, jak w niej się wszystko rozprzęga, i były chwile, że już nie miała nic przeciwko temu, aby odejść stąd tak, jak stała. Przecież w końcu Jan się nią zajmie. Nagle ręce jej opadły i stanęła nieruchomo przed lustrem. Nie czuła już Jana za sobą, tu był jakiś ciemny punkt, jakieś złe przeczucie, jakiś strach. W szklistej powierzchni zobaczyła kobietę samą, strojną w jedwabną *combinaison*, o nagich ramionach, smukłych nogach, pobladłej twarzy i pociemniałych oczach. Znalazła, że jest prawie piękna, i śpiesznie sięgnęła po suknię. Przestraszyła się ogromnie, że podczas gdy tu rozmyślała tak głupio, Jan wyszedł i czeka na nią na ulicy. Drżącymi palcami chwyciła za kapelusz. W tej chwili drzwi skrzypnęły. Nie patrząc czuła, jak aptekarz stoi w progu, ale to jej nie powstrzymało od narzucenia płaszcza.

– Dokąd to?

Człapiącymi krokami przeszedł przez pokój i przysiadł na skraju łóżka. Stamtąd, odsunawszy okulary na czoło, spojrzał na nią wyblakłymi, mętными oczyma. Stała tuż przed nim, ale te oczy patrzyły jakby poza nią, przez nią, ponad jej głową nieruchomym spojrzeniem ślepeca. Jak to, stała tu żywa, objęta gorącym zniecierpliwieniem, stała tu żywa kobieta! – A on patrzył na nią jak na przedmiot, gorzej, jak na coś nie istniejącego! Odpowiedziała.

– Wychodzę.

To zabrzmiało głucho i dramatycznie. Filip stęknął i niespodziewanie ją narzekać. Czuł się źle, nie mógł sypiać, nie trzeba go zostawiać samego. Nie może liczyć nawet na panią Raczyńską, która pomaga starościnie w

urządzeniu się na nowym miejscu.

– Twoja siostra już zadatkowała trzy pokoje w nowym domu na kolonii Staszica, w najdroższym punkcie miasta, wiesz o tym?

Amelka poprawiła kapelusz.

– Tak, tak, wiem...

Oczywiście, próbuje ją zagadać, powstrzymać.

– Połóż się, Filipie, ja niedługo wrócę. Jeśli zaczniesz wmawiać w siebie, że nie możesz spać, to oczywiście nie będziesz mógł zasnąć. Poradź się wreszcie lekarza, zażyj jakie proszki, bo ja wiem wreszcie co! Nie jesteś dzieckiem!

– Jak to, i ty naprawdę chcesz wyjść?

– Tak, muszę.

– Żartujesz chyba! Musisz? Dlaczego musisz?... Co to jest? Wychodzisz z domu, w nocy, i nawet mi nie powiesz, o co chodzi. Czy się, co stało?...

Przez moment Amelia szukała jakiegoś kłamstwa, ale w tejże chwili serce jej, zabiło mocno, poczuła, że nadeszła chwila rozstrzygająca wszystko. Pobladła i spojrzała na męża z obawą i strachem. I nagle strach, obawa zmieniły się w uczucie ulgi. Byle prędzej, byle prędzej! Ale aptekarz ujął ją za rękę i jął się ślimaczyć.

– Czy tak się zostawia chorego męża? czy to moja staruszka tak robi? czy to moja mamusia? – Wzruszyła ramionami. Filipowi nie chodziło o wyjaśnienia, nic nie wiedział, niczego nie podejrzewał. Chciał ją tylko zagadać, ponieważ nudziło mu się samemu. I dlatego ona tu tkwi! I dlatego, tu tkwi, przy tym starym człowieku, który ją sobie kupił w najgorszym momencie jej życia! Szarpnęła rękę. Aptekarz, odtrącony, krzyknął nagle głosem nieswoim jakby gwałtem wyszarpiętym z głębi.

– Nie pójdziesz! Nie!

Amelia krzyknęła:

– Co? – krzyknęła tak samo cudzym głosem i, podniecona, odpowiedziała bezzwłocznie. – Pójdę! Pójdę! Wyjdę w tej chwili! A chcesz wiedzieć, gdzie idę? do kogo? to ci powiem! – Schyliła się nad siedzącym ciągle aptekarzem i szepnęła przez zacisnięte kurczowo zęby. – Do kochanka... do mojego kochanka... do człowieka, z którym żyję od dawna... – Nie widziała przed sobą twarzy męża, w oczach jej pociemniało, ręce zacisnęła na poręczy łóżka. – Teraz już wiesz, co? wiesz? puść mnie! puść! – Zaczęła krzyczeć, pochylona w stronę Filipa, w tej chwili Katarzyna, zwabiona tym krzykiem, otworzyła drzwi, ale nawet jej nie zauważyli, po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy, z bliska, twarzą przy twarzy, sięgnęli w jakąś mroczną głąb. Wiedział! Wiedział... I Amelia ujrzała nagle, jak mąż usunął się przed naporem jej twarzy, opadł na poduszki i zakrył uszy dłońmi, oczy jego stały się znów mętne i uciekły w bok, a usta zacisnęły się wyrazem oporu. Nie

mogła tego na razie zrozumieć, a potem zamarła ze zgrozy. Zrozumiała, że wiedział od dawna, ale nie chciał wiedzieć! że gdyby mu po sto razy wykrzyczała swoją prawdę, to ją przemilczy, zamknie oczy i uszy, że rzeczywiście chce przeczekać to wszystko! I mogła rozmawiać z Janem, i mógł ją całować, domagać się jej pieściot, mógł ją trzymać przy sobie! Nagle dotknęła tego miękkiego, wstrętnego dla niej człowieka i odpadła drżąc. Obydwoje dyszeli głośno, jak ludzie. śmiertelnie zmęczeni. Radio huczało w przyległym pokoju, ale tu panowała wielka, osobna cisza.

Jak długo to trwało? Amelia ocknęła się w swoim a obcym pokoju. Wszystko tu było nie jej, a najbardziej ten człowiek, bardziej obcy niż wszystkie martwe sprzęty. Czy zasnął?... Nie. Przywołał ją ruchem ręki. Nie patrzył na nią.

– Zejdź na dół i przynies mi weronal. Chcę spać. Jestem... jestem zmęczony tą bezsennością.

Ani słowa o tym, co między nimi zaszło. Amelia skinęła leniwie głową. Tak tak. Wszystko zostanie po dawnemu mimo tych słów, które rzuciła mu w oczy. „I cóż to za nowość – myślała na zimno – tak przecież zawsze postępowała matka. Osądziła, że jest pokonana. Pokonana, to mało! Czuli się jakby wzgardzona, powalona nie przez siłę, ale przez bezwład. Nie przez gniew, oburzenie, przemoc, lecz przez Nic. I tak ma już być do końca życia!

Skinęła jeszcze raz głową i zeszła na dół. Jan czytał coś, wsparty o kontuar.

– Nie czekaj już na mnie, Filip zachorował. Może przyjdę do ciebie później. Daj mi weronal. On chce weronalu.

Jan sięgnął do oszklonej szuflady, wyjął flakonik i sprawdził etykiетки. Po czym rzekł rzeczowo:

– Dwie pastylki, nie więcej. Na zimną wodę. – I dodał. – Do jedenastej mogę czekać w kawiarni.

Jednak pragnął ją widzieć! Gotów był, jak dawniej, godzinami wyczekiwać na nią w kawiarni! W sieni rozległy się kroki. To drugi pomocnik, który obejmował nocny dyżur. Amelka spytała głośno.

– Więc dwie? – i wyszła.

Drugi pomocnik, mijając ją z ukłonem, zapytał:

– Czy kto zasnął u państwa?

– Ach, nie, to tylko bezsenność.

Drugi pomocnik oświadczył, że aptekarz od dawna uskarżał się na różne dolegliwości i jego zdaniem trzeba w końcu poradzić się lekarza. Amelka bąknęła.

– Tak, oczywiście...

W kuchni świeciło się jeszcze. Katarzyna przyniosła wodę w szklance, jej oczy prędko obiegły cały pokój. Aptekarz leżał na łóżku, twarzą do ściany, i

nie poruszył się nawet, gdy kobiety weszły. Amelia odkręciła metalowy czopek i szpilką wyciągnęła mały kłaczek waty.

– Może Katarzyna kłaść się spać.

W ciemnej jadalni radio nastawiane na zagraniczne stacje wołało przyciszonymi głosami, wszystkie kraje, wszystkie niezrozumiałe języki, przemawiające dźwiękiem nagle zrozumiałym. Szorstkie głosy, aksamitne głosy, przeciągłe głosy.

– *Ich liebe dich...*

– *Ma chere.*

– *Yes, yes... Nein!...*

Wysoki trel przemknął jak ptak i otworzył zasłonięte storami okna. Amelia szła Nowolipkami, w jedwabnych pończoszkach, mężczyźni oglądali się za nią... Miała osiemnaście lat i marzyła jeszcze o miłości. Amelia siedziała w ogrodzie Saskim, na ławce, pod krzakiem bzu.

– *Viens, ma petite!*²⁰ – rzekł męski głos w oddali. Była wiosna... Dwie pastylki plusnęły w szklanekę, napełnioną wodą. Była noc. Świat wdychał miłością, gdziekolwiek to było, na drugiej półkuli, morzu, łądzie i niebie. Amelka odzyskała nagle swe usta, rozpęknięte i ogromne, uczuła je, odzyskiwała smukłe nogi, pełne westchnień piersi, wiotkie ramiona, szyję pulsującą. Biegła ulicą Długą koło magazynów mód, szła Freta, gdzie usługiwała bogatej staruszce. Nagle to wszystko zniknęło i przeobraziło się w wąski pokój kawiarniany, czarny napis „Nie płuć!” i zegar w starej szafce, z posuwającymi się wskazówkami. Spienione, goniące, przesywające głosy wypełniały cały świat, Amelia znalazła się w wirującym kręgu brzmień i dźwięków. Głowa jej huczała, jakby się wszystko w niej zbiegło. Przymknęła oczy i przechyliła ampulkę. Teraz zaśnie na pewno. Teraz nie będzie nasłuchiwał.

– Czy śpisz?

Głos jej zabrzmiał cicho. W następnej chwili aptekarz odchylił głowę i wyciągnął szyję ruchem człowieka spragnionego. Podała mu szklanekę. Wypił z zamkniętymi oczyma, z twarzą nieczułą i surową. Strach, rozpacz, litość i przerażenie wstrząsnęły nią przez moment. Ale aptekarz z pomrukiem zadowolenia osunął się na poduszki.

– Zgaś światło i usiądź tu trochę koło mnie.

Usłuchała, ciągle jeszcze w kapeluszu i w płaszczyku. Smuga światła z aparatu radiowego kładła się ciepłym błyskiem na podłogę jadalni. Wystąpiły ze ścian oświetlone okna, omglone tiulem firanek. Na dole szczerknęły drzwi. W jakiejś chwili Amelia uczuła, że jest sama mimo zwalistej postaci ludzkiej na łóżku. Jest sama, jest wolna... I powstała, aby bezszelestnie wysunąć się, lekkimi krokami przemierzyć pokój... Odejść stąd!

²⁰ *Viens, ma petite, (fr.) – Chodź, moja mała!*

XVII

Wracając z rannej mszy, pani Raczyńska wstąpiła do aptekarzyów na górę, aby coś przekąsić i podzielić się nowinami. Zastała córkę już kompletnie ubraną, co się rzadko zdarzało. Amelia siedziała właśnie przy śniadaniu.

– Niech będzie pochwalony – rzeka pani Raczyńska – a to się dobrze złożyło, bo jestem głodna jak wilk! Wczoraj się tyle nabiegałam za sprawami Cechny, że nóg nie czułam!

Amelka ściszym głosem odpowiedziała.

– Musi mama sobie sanna usłużyć, bo Katarzyna wyszła już do miasta.

– Dobrze, dobrze? Ale dlaczego mówisz tak cicho?

– Bo Filip jeszcze śpi.

– Śpi? O tej porze? Ty chyba żartujesz? Przecież powinien być od dawna w aptece?

Amelia wrzuciła za całą odpowiedź ramionami. Pani Raczyńska przeszła na palcach do sypialni i rzeczywiście ujrzała śpiącego Filipa odwróconego twarzą do ściany. Na stolczku stała jeszcze szklanka z wodą i szklana tubka, tubka i kłaczek waty. Aha, musiał brać jakieś lekarstwo. Pani Raczyńska miała zamiar zwrócić córce uwagę na stan zdrowia jej męża, ale w drodze do kuchni po kawę już o tym zapomniała. Tyle nowych spraw zaszło w ciągu ostatnich dni, i w dodatku spraw przyjemnych, że po prostu pani Raczyńska nie miała serca do chorób i smutków. A ten zapach kawy! a te chrupiące bułki! Gdy pani Raczyńska zasiadła na wprost córki, przy pięknym dębowym stole, gdy na nią spojrzała, przyszło jej na myśl, czy rzeczywiście Amelka nie jest nieszczęśliwa z tym Filipem, który robi sam rachunki, wiecznie siedzi w domu i w dodatku zaczyna kwękać, Amelka wyglądała kwitnąco.

– Czy ty gdzie wychodzisz?

– Tak do krawcowej.

– Niedługo już nie będziesz potrzebowała łamać sobie głowy nad fasonami sukien. Cechna otwiera pracownię – to jest... nawet nie pracownia... jak to ona nazywa... aha! *atelier!* – panią Raczyńską aż rozpierały nowiny i krzyknęła głośno w zdumieniu nad cudowną zmianą, jaka zaszła w Cechnie. – Jak, ona to wszystko potrafi! Jak ona umie się postawić! „Co to? – pyta klientki – pani ma na sobie gotowy komplet? Wygląda pani jak żołnierz. Nie rozumiem, dlaczego kobiety dobrowolnie przywdziały umundurowanie, rezygnują z wdzięku, z miękkości, z koronek, z kwiatów...” Nie, ja nie potrafię ci tego powtórzyć!... Ale był tam jeden rzeźbiarz i zrobił taką nieskromną uwagę, że dawniej było przynajmniej z czego kobiety rozbierać. Ach, uśmiełam się, że nie wiem!

– Ależ mama się zmieniła! – rzekła Amelia.

– Wszystkieśmy się zmieniły – odpowiedziała pani Raczyńska. – Kto by

to pomyślał, na przykład, że Cechna tak sobie da radę, porzucona przez męża, z dzieckiem. W dodatku ona zawsze była taka ślamazarna, nieboszczyk wasz ojciec bardzo się o nią martwił, że sobie nie da rady w życiu. A teraz! Ach, jak ona umie z ludźmi postępować! I od razu, z miejsca, wzięła trzy eleganckie pokoje, Zuzanna ma mieć swój pokój, meble sama narysowała i stolarz wszystko robi pod jej dyrekcją...

– Skąd ona ma pieniądze, mamó?

Pani Raczyńska krzyknęła.

– Skąd? Zarabia! zarabia! Czy ty masz pojęcie, ile ona bierze za model sukni? Malarka też jej pożyczyła! – Pani Raczyńska zniżyła głos i prawie szeptem przejmującym dodała. – Czy ty wiesz, że ona sama, dobrowolnie, ofiarowała się łożyć na wykształcenie Helci? Wczoraj się zgadały o tej szkole rolniczej, bo Helcia jest zupełnie zwariowana na tym punkcie, i Cechnie tak się to spodobało, że, powiada, - ja ci pomogę, powiada. Zdziwiłam się, bo skąd też Helci wziął się pociąg do wsi, ale Cechna od razu z góry na mnie. „Nic dziwnego, mamó, przecież my pochodzimy z chłopów. I mama, i ojciec przyszli do miasta prosto z chałupy wiejskiej”. No dobrze, ale po co o tym mówić?

Amelka zapaliła papierosa i rozparła się w fotelu.

– Dobrze, się stało, moja mamó, bo mnie coraz trudniej z Filipem, jeśli chodzi o pieniądze. Zresztą tyle lat pomagaliśmy wam, że teraz niech Cechna pomoże. Mnie się też coś wreszcie od życia należy!

Na te słowa pani Raczyńska powstała.

– Ja wiem, moje dziecko. Myślisz, że nie wiem, jak ci nieraz ciężko?... – Przyszło jej do głowy, że się zagalopowała z opowiadaniem o dostatkach Cechny, że Amelia gotowa skorzystać z okazji i pozbyć się wszelkich obowiązków rodzinnych. I z miejsca zmieniła temat rozmowy. – Czy nie należy obudzić wreszcie Filipa?

– Po co? Pan Jan zastąpił go w aptece. Filip brał wczoraj weronal i nic dziwnego, że śpi.

– No, to ja pójdę – rzekła pani Raczyńska. – Pójdę do Kwiryny. Chorych trzeba nawiedzać, spotkałam w kościele lokatorkę z domu Kwiryny i powiedziała mi, że Roman jest ciężko chory.

– Roman?!

Amelia nagle zbladła i załamała ręce. Panią Raczyńską zdumiało to. Cóż u Boga, przecież to obcy człowiek. Ale Amelka potrząsnęła głową.

– Czy mama pamięta, że on kiedyś do mnie chodził?

– Kiedy to było, moja droga!

No tak, ale Amelkę opadły nagle wspomnienia i strachy. Powiedziała matce, że zawsze czuła jakiś dziwny związek z losem Romana, i potem, gdy już chodził z Kwiryną, często zaglądała do nich z jakiejś tajemnej potrzeby.

Pani Raczyńska nic z tego nie rozumiała.

– No, ja już idę!

Amelka przestraszyła się.

– Nie, mam! Niech mama zostanie! Trzeba... może rzeczywiście obudzić Filipa? To dziwne, że jak się ułożył na jeden bok z wieczora, tak go zastałam rano!

– Już sobie wzięłaś do głowy! – rzekła pani Raczyńska i nagle spojrzała na córkę. – A w nocy? Czy budził się?...

Nie mogła się doczekać odpowiedzi i ruszyła do sypialni.. Idąc tuż za nią Amelia widziała, jak matka dotknęła ramienia męża, jak potrząsnęła nim i wreszcie odwróciła na wznak. Ukazała się nagle twarz aptekarza z tym samym poważnym i surowym wyrazem, jaki miał wczoraj, gdy mu podawała szklankę.

– Ach!

– Cicho! – krzyknęła pani Raczyńska. – Co to jest? Ani ciepły, ani zimny... Filipie, Filipie! niech się Filip ocknie! – Surowa twarz ani drgnęła i pani Raczyńska krzyknęła co sił. – Biegaj, Amelciu, do apteki, do doktora, wołaj ludzi! Jego trzeba obudzić, bo gotów zasnąć na wieki wieków...

Zastrzyk... tlen... tlen... zastrzyk... Jan, w białym fartuchu, asystował doktorowi niezmiernie i uparcie. Amelia, stojąc za skrzydłem łóżka, ujrzała na jego czole kropelki potu. To ją przeraziło. W pewnej chwili wyszedł do drugiego pokoju i skinął na nią.

– Ile pani włożyła tabletek do wody? – zapytał po raz setny.

Pani? Dlaczego pani? Jeszcze przed chwilą, w przerażeniu i pośpiechu, mówił jej: ty. Amelia skrzywiła się boleśnie, ale opanowała natychmiast ten skurcz twarzy.

– Dwie.

– Na pewno dwie?

– Na pewno.

Puścił jej rękę i otarł pot z czoła. Patem szybko zawrócił do sypialni.

– On się otruł, panie doktorze!

– Pss! – zasyczano.

Doktor, z ręką wzniesioną do góry, z uchem przywartym do nagiej piersi aptekarza, nasłuchiwał. Katarzyna z filiżanką czarnej kawy zamarła w progu. Amelii wydawało się, że to trwa wieki. Nagle doktor wyprostował się.

– Proszę otworzyć okna.

W ciszy skrzywnęły drzwi i ukazała się pani Raczyńska z gromnicą w ręku. Nikt się nie poruszył. Rozległy się kroki doktora śpiesznie zdążającego do przedpokoju. Amelia usłyszała jeszcze, że Jan coś cicho mówił zdążając za doktorem.

– No, tak. Ale ja nie mogę wystawić świadectwa zgonu! Trzeba dać znać

lekarzowi dzielnicy... Takie wypadki... komisariat... – Amelia poruszyła się wreszcie, aby podejść do okna i otworzyć je szeroko. Po czym powróciła i uklękła przy łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pani Raczyńska chlipnęła. Jan wyprawił doktora i bardzo błady stanął we drzwiach. Nagle rozległ się cichy i spokojny głos Katarzyny:

– Mój pan miałby się otruć? Taki religijny człowiek? Jeszcze przedwczoraj był u spowiedzi... A pan takie głupstwa mówi! Otruł się!

Pani Raczyńska przerwała modły.

– Nieumyślnie, Katarzyno, nieumyślnie! Ach, Boże, Boże, Boże – wypadek! I już! Gdyby ten doktor przybył wcześniej, gdybym ja tu wczoraj była, gdyby...

Amelka jęknęła. Pani Raczyńska ucichła. Jan zbliżył się i pochylił nad swą kochanką. Pani Raczyńska widziała, jak ją dźwignął pod łokcie i podniósł. Ten porządny człowiek, ten prawdziwy przyjaciel w nieszczęściu! Gdy wyprowadził Amelię z pokoju, pani Raczyńska, odmawiając wieczny odpoczynek, wyjęła prześcieradło z bielizniarki i zakryła nim nieboszczyka.

XVIII

– A, a, a! wspaniale, wspaniale! – Począwszy od progu przedpokoju Bronka złożyła szereg ukłonów w stronę szaf, stołków, obrazów i wszelkich luksusów nowego mieszkania Cechny. Nie zdejmując palta, przedelfowała przez trzy pokoje, nowoczesne, niskie, ale szerokie. – Czy zajęłyście cały parter?!

– Tak, tak, na górze mieszka tylko gospodarz! – Zuzanna w podskokach towarzyszyła jej trop w trop, pęczniąc z zadowolenia. Nie trzeba chyba dodawać, że ciotka Bronka ze wszystkich ciotek najbardziej imponowała Zuzannie, choć matka mówiła o niej zawsze z westchnieniem i zmarszczką na czole. Wraz z ciotką Bronką wchodziło do mieszkania tysiące możliwości, to się czuło.

– Gdzie matka?

Zuzanna odpowiedziała.

– Na mieście – i otworzyła duże balkonowe drzwi. – Słuchaj, czyś ty widziała kiedy taki taras i ogródek? Taras obsadzony różami! bez! prawdziwe winorośle! To wszystko należy do mieszkania, gospodarz to starszy facet, wcale nie interesuje się ogrodem!

– Zadzwoń i, każ niewolnicy podać herbatę! – rzekła wspaniale Bronka siadając na tapczanie. Zuzanna uczyniła to. Matka zawsze sama dreptała do kuchni po herbatę. Zuzanna nakryła i przysunęła mały stolik. – Ale dlaczego się nie rozbierzesz? – spytała. – Mama zaraz nadejdzie.

– Bo mi się nie chce, zresztą ja tylko na chwileczkę! – Wybuchnęły śmiechem, po czym zerwały się, ponieważ usłyszały pisk i trzask żelaznej furtki wejściowej.

– To matka!...

Cechna, obładowana paczkami, szła ścieżką w stronę domu. Bronkę uderzył jej niewyraźny uśmiech pod kapeluszem. Nagle Zuzanna krzyknęła.

– Co to? czekolada?!

– To dla ciebie od pani Piędzickiej – rzekła Cechna.

Aha, stąd pochodzi jej zakłopotanie. Bronka uczuła nowy przypływ humoru i nieomal zawyła.

– Co? Prezent od Magdaleny? Dawaj tu, Zuza, nie waż się zjadać sama! – Cechna odetchnęła i pomyślała z pewnym politowaniem. „Odgrywać się na czekoladkach!” Nagle wzrok jej zatrzymał się na Zuzannie, gdy tak, pochylona wraz z Bronką nad otwartym pudełkiem, wyszukiwała najlepsze kęski, i zadrżała.

– Co za podobieństwo! Jakże ta Zuza podobna do ciebie!

Sens tego okrzyku był tak jaskrawy, że Bronka splonęła obrazą. Lecz natychmiast podniosła głowę i rzekła.

– No, to wcale nie jest takie złe, jak ci się zdaje! – Sucho, dumnie i krótko. – One mnie biorą za coś w rodzaju Marii Prymas, to wspaniale! – Wobec tego mogła zsunąć z ramion płaszczyk i ukazać nieodpowiednią na tę porę dnia i roku suknię, przejrzystą, koloru dymu. Wstążki bielizny przebiegały przez nią bladym błyskiem atłasu.

– Co za cudo! Ile to kosztuje?

– Jesteś źle wychowana – rzekła Bronka. – Nie należy pytać o cenę. Ładne, co?

Cechna zacisnęła usta, po czym rzekła:

– Zuzanno, wyjdź, chcę porozmawiać z ciotką Bronką...

Bronka mruknęła:

– Tak, tak, idź pobiegać, moje dziecię, po ogródku...

Ledwie drzwi zamknęły się za Zuzanną, Cechna załamując ręce szepnęła:

– Co ty robisz, Broniu! stracisz go, stracisz!

Bronka zbladła. Trwało to tylko moment, po czym fala dymu przepłynęła przez jej twarz, a ochrypli głos rzekł.

– Przesada. Czy ja go kiedy miałam?

Cechna nie mogła zrozumieć tej gry, tego udawania, tej dumy zabraniającej uznać swój błąd. Przecież Piędzicka to ostatnia stawka Bronki, ostatni ratunek! W ciszy, jaka nastąpiła, Cechna usiłowała szukać jakiejś drogi dla swej szalonej przyjaciółki, ale nie znalazła jej. Ta leniwa, niedbała, nie umiejąca się z niczym liczyć Bronka! Co się z nią stanie?

– Był tam? – spytał głuchy głos.

– Tak, tak.

Wracała właśnie z wielkiego zebrania towarzyskiego u pani Magdaleny. I choć tyle jej zawdzięczała, nie mogła przez cały czas wyzbyć się przykrego

wspomnienia Bronki. Piędzicki był tam i nawet najwprawniejsze oko nie mogło w nim widzieć gościa, lecz tylko i wyłącznie gospodarza domu. Ci, co wiedzieli o istnieniu Bronki, szeptali coś o „przemijającym potknięciu”. A przecież jeszcze tak niedawno, a propos jakiejś jasnej toalety, Magdalena sama bąknęła Cechnie coś o mającym nastąpić rozwodzie. Teraz nie ma o tym mowy!

– Ignacy – rzekła Bronka rzeczowo a wymijająco ma bezterminowy urlop z ministerstwa... Wyjeżdża... „robi w terenie”, uprawia teraz politykę! – Usta jej wykrzywiły się cienkim, uroczym uśmiechem. – Coś mi się zdaje, że pan Piędzicki interesuje się teraz bardzo i wyłącznie... związkami zawodowymi...

Ku zdumieniu Cechny uderzyła lekko palcami w swe usta, jakby tknięta jakąś myślą, i wydała cały szereg pomruków. Czyżby? co? nie, nie! a jednak?! – Cechna krzyknęła z rozpazą.

– Słuchaj, ale co to ciebie obchodzi! Ty pilnuj go jako swego człowieka! – Pomyślałby kto, że te słowa wyszły z ust samej pani Raczyńskiej, nieodrodna córka pani Raczyńskiej, szybko ta Cechna jedzie!

– Ależ pozwól – rzekła wymownie Bronka – jakiego człowieka? czy mojego kochanka? czy pana Piędzickiego, który tak gorąco interesuje się... związkami zawodowymi? Powiedz mi lepiej, kto tam był? Towarzystwo zgrane czy mieszane?

– Bardzo mieszane...

– A, no widzisz. Chłopomani, apostołowie robotników?... O czym rzecz szła? – Cechna wymyślając sobie od domowych szpiegów, bąknęła. – Raczej robotników. Ale błagam cię, Broniu, jeśli jeszcze możesz, masz wpływ, to przyjdź do rozwodu.

Jak ona to powiedziała? „Przyj” do rozwodu! – Bronka wzruszyła ramionami i krzyknęła w stronę otwartego okna:

– Zuzanno, możesz wejść, dziecię moje! Pojedziesz z ciotką na czekoladę! dryndą!

Patrząc na nią spod oka, Cechna zrozumiała nagle, że Ignacy mógł dla niej odejść od pięknej Magdaleny i pięknego domu i mógł powracać, znużony. Tak samo jak i Zuzanna, która w mgnieniu oka ubrała się nie pytając o pozwolenie i w berecie, i granatowym płaszczyku stała już gotowa do drogi. A przecież nie widziała matki prawie cały dzień! I odchodzi tak łatwo!

– Czemu nie pójdziesz razem z nami, mamó?

Zanim odpowiedziała, rozległ się dźwięk dzwonka u furtki. Zuzanna wyjrzała.

– To Katarzyna od ciotki Amelii!

Cechna krzyknęła:

– Co się stało?! Mój Boże, mama! – Jej krzyk skierował Katarzynę,

zamiast do drzwi, pod okna.

– Pani starsza prosi, żeby pani zaraz przyjechała, pan umarł.

Jadąc taksówką, podczas tej szybkiej drogi na Leszno ani Cechna, ani Bronka nie zdawały sobie sprawy z tego, co się stało. Katarzyna zachowała się mruklawie. Pan położył się z wieczora jakby nigdy nic, a rano nie obudził się i już... Siedząc na przedniej ławeczce taksówki obok Zuzanny, skubała w zamyśleniu frędzle swego czarnego jedwabnego szala, z powiekami spuszczone, z twarzą bladą i surową. Dzięki tej dyskrecji przybyłe znalazły się przed domem na Lesznie wobec tajemniczo szepczących grup ludzi, bab w chustkach, panien sklepowych, służby kościelnej i pobożnych panius wychodzących właśnie z zebrania. Cechnę ogarnęło złe przecucie, pożałowała, że wzięła ze sobą Zuzannę.

– Uspokój się! – rzekła Bronka. – Pogrzeb to dla nich gratka.

Pani Raczyńska otworzyła drzwi, z twarzą rozczzerwioną od płaczu.

– Taki porządny człowiek, taki zacny!

– Ale co się stało talk nagle, mamó?

Pani Raczyńska zapomniała o łzach i odpowiedziała wprost.

– Ja sama nie wiem, moja droga, wziął na sen i zatrul się. Ciągłe narzekał na bezsenność i nawet prowizor zalecił mu kwiat pomarańczowy.

– Prowizor?

Cechna i Bronka spojrzały na siebie i odwróciły się gwałtownie. Pani Raczyńska dostrzegła ten ruch i przestraszyła się.

– Tylko nie odchodźcie, moje drogie, nie zostawiajcie nas samych!

Cechna szepnęła. – Gdzie on leży, mamó? – i ruszyła naprzód, Pani Raczyńska idąc za nią odpowiedziała.

– Gdzie leży? nie ma go, zabrali ciało i już. Biedaczysko, nawet po śmierci nie ma tego spokoju, co go tak lubił.

Oslupiała Cechna osunęła się na krzesło w jadalni, Zuzanna rozszerzonymi oczyma spoglądała wokół, jakby widząc wszystko tu po raz pierwszy. Bronka, wspominając pogrzeb Frani, jej samobójczą śmierć, szepnęła.

– Tak być musi, zrobią sekcję.

– Gdzie Amelia?

Okazało się, że Amelia wyszła zaraz po zabraniu zwłok, aby załatwić różne formalności związane z pogrzebem, Pani Raczyńska przyłożyła palec do policzka i twarz jej wyraziła głęboki namysł.

– Gdzie to może być?

– Co, mamó?

– Testament. Przecież to niemożliwe, żeby taki poważny i akuratny człowiek umarł bez testamentu.

– Ach, mamó!

– No, moja droga, już mi nikt nie może zarzucić, że nie kochałam nieboszczyka, że nie dbałam o niego. Ale przecież testament musi gdzieś być. Nieboszczyk nie miał bliższej rodziny... – Pani Raczyńska miała więc już teraz drugiego nieboszczyka i o nim tylko mówiła. – Siedzimy z założonymi rękoma i nic nie możemy dla nieboszczyka zrobić, póki nam go nie oddadzą i nie pozwolą zająć się pogrzebem. Siadaj, Zuzanno, nie stój tak koło mamusi, zaraz podam herbatkę.

Rozległ się cichy dźwięk dzwonka i weszła Amelia czarno ubrana, blada i milcząca.

– Ach, ci ludzie przed bramą! Jakie to okropne!

Przywitały się w milczeniu. Amelia rzekła:

– Dziękuję ci, Broniu, żeś i ty przyszła... – Musiała przejść przez chodnik, między grupkami ludzi, i cisza, jaka nastąpiła na jej widok, napęliła ją strachem i przerażeniem. – Wystarczyło, że zjawił się w domu policjant, i już mają sensację.

Cechna podniosła głowę.

– Jak to, była tu policja?...

Pani Raczyńska rzekła z ożywieniem.

– Ach, moja droga, całe popołudnie nas mordowali, przepytawali, taki sympatyczny nawet ten przodownik z naszej dzielnicy, ale trudno, musiał robić, co mu kazali...

Cechna opuściła głowę, zdawało jej się, że ta rozmowa kryje w sobie coraz gorsze niespodzianki. Amelia zerwała się z krzesła i szepnęła z nie skrywaną złością.

– Wszystko przez tę idiotkę – Katarzynę! Gdyby nie ona, stwierdziliby przypadkowe zatrucie. Ale jak wtrąciła swoje trzy grosze podczas bytności policjanta... no, trzeba było to widzieć! Jej pan, taki religijny, miałby się otruć! Jej pan, aptekarz, miałby się pomylić... nawet apetyt Filipa posłużył jej za dowód – jej pan, który się cieszył takim apetytem, miałby odejść od życia! – Amelia, nerwowo krążąc po pokoju, z furią poprawiała co chwila kołnierzyk, jakby ją dusił...

– Uspokój się, Amelciu, czy to człowiek w takim rozgardiaszu wie, co powiedzieć – rzekła pani Raczyńska. – Mnie się samej w głowie nie może pomieścić, doby nieboszczyk... żeby Filip mógł się tak zapomnieć...

Amelia krzyknęła:

– Ach! to nie do wytrzymania! – i wyszła z pokoju trzasnąwszy drzwiami. Bonka powstała.

– Chodźmy, Cechno, Amelii potrzeba spokoju... – I zwracając się do pani Raczyńskiej, dodała. – Niech jej pani tak często nie wspomina tego nieboszczyka, testamentu i tak dalej, bo to nic przyjemnego... Czy Amelia ma jakiego znajomego adwokata?

– Adwokata?! – krzyknęła pani Raczyńska. – Po co? Testament musi tu być gdzieś, w domu!

Bronka rozgniewała się i pociągnęła za sobą bezwolną Cechnę.

– Z twoją matką nie podobna rozmawiać! – Przed domem ludzie wystawali dalej, z niezwykłą cierpliwością. Zuzanna i Cechna, splótnięty ramiona, poszły przodem. Ich milczenie, ich przyłgnięcie do siebie uderzyło Bronkę. One już jakby nie należały do rodziny, należały do siebie. Mijając aptekę, z grupki ludzi usłyszała słowa. „Piękna aptekarzowa z Leszna”... I przeszedł ją dreszcz, bo w tych słowach mieścił się podzwiek piosenki o panu Wiśniewskim z ulicy Kościelnej numer domu trzeci, którą ongiś śpiewali terminatorzy w warsztacie ojca.

XIX

Pokój by miękki, obcy, inny, bez wspomnień. Przez ścianę, przez zamknięte drzwi, dobiegał głos Ignacego. Brzmiał dobitnie, mocno i pewnie. Bronka ocknęła się z krótkiego snu. Nad nią sufit snuł bokami ozdobne sztukaterie i uwypuklał w pośrodku wspaniały zbiór martwych gipsowych owoców. Czerwony dywan na podłodze, lustro, aksamitna kanapka i fotele przyciągnęły kolejno jej uwagę. To nie był jej pokój na dolnym Mokotowie i przez chwilę żyła przyjemnym złudzeniem, że ona sama jest też kimś innym. Natychmiast ogarnęła ją błogość. Głos znajomy umilkł, ktoś chrząknął i po tym znanym, tradycyjnym chrząknięciu mówców rozległ się głos nieznany, przyznający „zupełną słuszność szanownemu przedmówcy”, że do pracy w świadomym tworzeniu państwa powinna być wyciągnięta jak najszerza zbiorowość, że pewne warstwy nie mogą trwać wiecznie jak martwe części żywego organizmu, ale... Bronka obudziła się na dobre, a ponieważ końcowe „ale” ciągnęło się i powtarzało zbyt długo, przestała słuchać. Wiedziała już, że jest z Ignacym „w terenie”, w obcym mieście, w hotelu. Znow odezwał się jego głos. I znow wiedziała już swoim własnym domysłem, że ten głos opanowany, doskonały i jasny wciną się jak ostra klinga w spoistość związków zawodowych. Pomyślała. „Czy Ignacy ma wiarę w swoje słowa?” Jeśli miał wiarę, wszystko, co mówił i robił, mogło stać się sprawą najsluszniejszą, mogło uzyskać sens, cokolwiek by to było. Jeśli miał wiarę, wszystko było dobre. Czy miał wiarę?...

To monotonne upominanie się o czyjaś wiarę, powtarzanie tej samej myśli znow dało jej przyjemne złudzenie, uczucie oderwania. Gdyby to można żyć w oderwaniu od wszystkiego, co już było, co już się stało! Cóż było jej przeszłością?... Nowolipki, środowisko, jej miłość, jej rozbitcie, jej nędza?... Nagle pokój hotelowy stał się formą i kształtem wiadomym, odtworzyła w

pamięci wszystkie czerwone dywany, aksamitne kanapki, zamarłe lustra w złożonych ramach. Ogromne, tyśiączne ramiona objęły ją, gorące usta ucałowały. Wchodziła w nieznanne domy, dotykała niewiadomych istnień dłońmi bezwstydnymi i współczującymi, wchodziła w bezimienny tłum. Chłoneła słowa obrzydłe i wieczyste. Słyszała głos Ignacego zza ściany i tyśiące głosów innych, chór, który ją wzniósł, chór, który ją powalił, była wewnątrz, uległa i rozwarta, ślepa i czuła, żyła obok, żyła tuż, urabiana wielkimi dłońmi rzeczywistości, kształtowana rozmaitymi palcami rzeczywistości. Może dlatego tak bardzo obstaje przy rzeczywistości, tak bardzo ją czuje, tak się przy niej upiera? Zdawało się Bronce, że za chwilę zerwie się, puknie zgiętym palcem w ścianę i szepnie.

– Hej, wy tam, uwaga, człowieku obok, nie jesteś sam! Wszystko, co zrobisz, wszystko, czego się tkniesz, każdy twój ruch i słowo jest w pewnym sensie i moim...

Rumor odsuwanych krzesel postawił ją na nogi. Szybko umyła się, zaczesła włosy i wyjęła z szafy suknię, tę „przydymioną”, aby wreszcie po tyłu wysiłkach znów przycupnąć na brzegu fotela. Wszedł Ignacy z miną tygrysa, który tylko co rozszarpał nieprzyjaciela. Mięśnie twarzy jeszcze naprężone, brwi ściągnięte, oczy zimne, uprzejmy, zniewalający uśmiesz na wargach.

– Zmęczona, co? Każ sobie coś podać, bo niestety ja nie wiem, kiedy będę miał czas na obiad. Za to wieczorem... psiakrew, jeszcze to przemówienie... ale potem postaram się jak najwcześniej. – Mówił to wszystko przebijając się, ciągle z tym naprężonym wyrazem twarzy, aż stęknął od wewnętrznych emocji. – A to dranie!

– Ale uważaj, żeby oni nie powiedzieli tego samego o tobie.

– Niech sobie gadają, ja na nich *nul wnimanja*²¹ moja miła.

Bronka szepnęła:

– Po coś ty mnie właściwie ciągnął z sobą?...

Przewracając w walizce wszystko do góry nogami, Ignacy parsknął.

– Jak to po co? dobre sobie! – I wyłożył, że czyjaś obecność może być człowiekowi potrzebna nie dla gładzenia czy tkwienia przy sobie – Muszę cię czuć teraz blisko, i już. A ty zjedz, wyjedź, obejrzyj sobie miasto i czekaj tu na mnie.

– Do licha – rzekła Bronka – nie rób z siebie pępka świata, dam sobie radę.

– Naturalnie! – rzekł Ignacy – ona by wytrzymała, żeby coś takiego nie powiedzieć... – Znalazł chustkę, wetknął niedbale do kieszeni rynsztunek papierosów, cygarniczek, zapalek, po czym objął Bronkę.

– Niestety – stwierdził – ona wie, czemu się tak stawia – jestem ciągle jej

²¹ *Nul wnimanja (ros.) – nie zwracam uwagi.*

głodny, mimo wszystko... To mimo wszystko obejmowało i Magdalenę, i pewien przelotny flirt, i nawet... nawet ostatnie sukcesy w robocie, która go tak przecież pochłaniała. Mógł wytrzymać bez Bronki tygodni, dwa, nawet jej nie wspominając, aż nagle wyłaniała się tuż obok, w pamięci, natarczywie powracająca wciąż myśl o niej. Tu nie chodziło już o cielesne obcowanie, Ignacy trzymał ją teraz w objęciu, jakby trzymał oburącz swoją młodość, swoją prawdę, swoją słabość.

– No, żegnaj tymczasem.

Gdy wyszedł, długo stała przy oknie, za którym rysował się świat chmurny, z kominami bodącymi niebo, z niebem owianym smugami dymów, z połyskliwymi blachami dachów zjezonych kijami anten. Wiotkie druty kotływały się miękko, inne, sprężone boleśnie, biegły w omurowaną przestrzeń. W dole leżała błotnista i omglona ulica, rozdygotana, drżąca od świateł, z mlecznymi plamami okien tajemniczych, z grzmiącym przelotem wozów i kląskaniem taksówek. Lotny dech tego życia sunął ku górze niczym zjawą o cielesnych kształtach, rozwianych, szerokich ramionach, wyżej, wyżej, aż do kresu, gdzie tkwił oczyszczający oczy mały krąg nieba. Westchnienie, niczym spazm, wzniosło ciało Bronki. Nie patrząc namacała płaszcz, kapelusz, torebkę i zbiegła na dół. Padał drobny deszcz. To wszystko, miasto, sklepy, ludzie skuleni pod ścianami, było znane, nienowe, doskonale dające się przymierzyć do warszawskich dzielnic handlowych, fabrycznych peryferii, ubogich i zaszklanych po pierwsze piętro dzielnic. Skądże to osępienie, ten rozdrażniony a chciwy bieg stóp po twardym bruku?

Nic nie czeka za zakrętem, tego można być pewnym. Ale sam fakt, że za skupiskiem ludzkim jest inne, Warszawa pomnożona przez osady, miasta, osady, miasta, rozszerzający się w ten sposób świat, większy zasięg widzenia, wszystkie nieszczęścia i szczęścia pomnożone przez tylekroć, oto niespodzianka osępiająca dla kogoś, kto sądzi, że zdeptał wszystkie drogi nie wychodząc z swego kręgu. Oto te same krzyże rozpięte nad posłaniami ubogich, te same lampy, „chromowane” kitki nad stołami jadalnymi, te same warsztaty, świece szabasu, dziewczyny na rogach ulic, kobiety nad baliami lub „reperacją” odwiecznych łańców i kawiarnie, gdzie ludziska oszukują swą samotność. Błądząc tak, Bronka natknęła się na piękny gmach, rzęsiście oświetlony, założyła się, dom robotniczy, w którym wysokie komorne nie pozwoliło temu elementowi – jak mówiła przez nos pewna dama – wynająć mieszkań, i w pierwszym lustrzanym oknie ujrzała mówcę pochylonego nad stołem przydialnym. Ignacy. Ten znany tak dobrze obraz zgromadzeń zainteresował ją, wspiąwszy się na palce, ujrzała czubki głów bardziej wybujałych wzrostem słuchaczy i ogarnęła salę, wypełnioną „po wręby”. Wytarłszy nogi o drewniany drapacz u wejścia, przyglądziwszy kosmyki włosów, wśliznęła się nie bez wzruszenia w tłum, który wylewał się przez

drzwi na korytarz. Uczuła przyjemność, że Ignacy „ma tak pełno”, i jego głos, mówiący tak z daleka i bezosobiście, przyspieszył poruszenia jej serca. Owładnęły nią jakieś złożone i skomplikowane uczucia, obawy, jaka jest sala? czy przychylna mówcy? dumy – podczas potakujących szmerów, wstydu, że można tak wywyżżyć się i nauczać z góry i niezachwianie, że można czuć się powołanym do objaśniania i że to robi on, Ignacy. Była poruszona i szum w uszach, zamęt uczuć i myśli nie pozwoliły jej śledzić wyводу mówcy. Oczywiście, oswojone już, zagarniały twarze – i skąd tu tyle eleganckich, strojnych, młodych kobiet? Na chwilę skupiła uwagę i spostrzegła, że Ignacy, nawiązując do tradycji robotniczego ruchu niepodległościowego, mówi o dalszym ciągu tego nie starganego związku w pracy dla państwa, dla zbiorowości, od której nikt i nigdy nie może odstać. To samo, co w ścisłym gronie omawiano rano w hotelu, chodzi pewnie o przeforsowanie pewnych wpływów do władz związków zawodowych. Pamięć natychmiast nasunęła jej wspomnienie tych wszystkich posunięć na terenie stolicy, w kołach, gdzie nie mówiono wcale a wcale o wciągnięciu szerokich warstw, a przeciwnie: o stworzeniu elity, o stworzeniu kwiatu kwiatów i esencji. Nagle ziewnęła. I potem już, poziewając skrycie a bezustannie, oddała się bez reszty gapieniu na zagadki, śmieszności i uroki oblicz ludzkich, aż do chwili gdy grzmot oklasków oderwał ją od tego interesującego zajęcia. Ujrzała Ignacego otoczonego gronem winszujących, ściskających mu dłonie, uśmiechających się, proszących „o słówko”, „małe wyjaśnienie”, „parę chwil”. Ze zdziwieniem dostrzegła, że był naprawdę wzruszany, naprawdę wstydliwie zaskoczony i mile przejęty. O Boże, widziała takich winszujących słuchaczy po sto razy po każdym wiecu, przy każdym prelegencie, jest się czym wzruszać. „Jaki on jeszcze naiwny – pomyślała i: – Jaki on jeszcze młody”. I zachmurzyła się w sobie od świadomości, że ona nic nie jest w stanie odczuć, że stała się jak kaleka, ale dlaczego? Tu szerokie warstwy, tu elita, oto rzeczywistość, jaką tworzy Ignacy, nie wiedzący, że go słucha osoba żadna pokrycia dla słów. I rzuciła swego trupa wewnętrznego, którego przecież czuła, że nosi w sobie, na jego głowę, na jego rachunek, na jego konto. Czymże, w końcu, różnił się od kochanków, których miała? Piękne słowa i ten sam rezultat, koniec...

Gdy Ignacy wrócił do hotelu, spała.

XX

Kwiryna usiadła na łóżku, jeszcze nieprzytomna z krótkiego snu. Przypomniała sobie tę straszną noc, podczas której zdawało się, że Roman odchodzi na zawsze. Nie mogła sobie tylko uprzytomnić, jak to minęło, kiedy

Roman zasnął? Po nocach nie spanych z miłości przyszły noce groźne, bezsenne z trwogi, pełne śmiertelnej ciszy. Jak to się człowiekowi wszystko obraca na nice, jak to człowiek za wszystko musi płacić z procentem!

Każdy mógł zwątpić, ale ona nie. Zdawało się Kwirynie, że gdy ona zwątpi, Roman umrze. Jeśli ona dopuści złą myśl, wyda na niego wyrok. Oto minęła jeszcze i ta noc. Roman śpi. Kwiryna wstała po cichutku, bezszelestnie rozsunęła story, ale koronkowe firanki udrapowała w fałdy tak gęste, że dawały tylko światło, nie dawały widoku w perspektywę Nowolipia. Roman złościł się na zasłonięte okna, a ona bała się, gdy jego oczy uciekały w dal. Skupiła życie swoje i życie Romana tu, w sypialni, w cichym mieszkaniu, bo jej się wydało, że tak będzie najbezpieczniej. Od owego dnia, gdy wrócił do domu po nie przespanej nocy, nie odstąpiła go nawet na krok. Przystosowała pokój do takiego trybu życia, aby mieć wszystko pod ręką, wstawiono tu okrągły stolik z salonu i fotel, i mały kantorek z księgami rachunkowymi. Teraz byli tylko dla siebie. Stąd, z tej sypialni, Kwiryna zdążyła kupić jeszcze za pośrednictwem rejenta plac węglarza, z samej zapobiegliwej złości, aby ktoś jej pod łokieć nie wlaźł z budową. Z fabryki – nic. Po cóż jej, na miłość boską, fabryka?!

Z kuchni dobiegły czyjeś głosy i Kwiryna syknęła usłyszawszy cienki dyszkant ciotki.

– Ta idiotka! Wyrzucę ją! – postanowiła w tej chwili Kwiryna.

Stąpając ostrożnie, doszła do przedpokoju – i naturalnie! W kuchni w rozwartych drzwiach stała ciotka i toczyła gawędę z trzema lokatorkami. W głębi ujrzała Kwiryna inżyniera, który zatrzymał się w przejściu, dalej inżynierową w otwartych drzwiach swego mieszkania, w końcu szewca w fartuchu, z okularami zsuniętymi na czoło. Serce jej zabiło gwałtownie. Co się stało?

– Nic, nic. Ci państwo pytają się o zdrowie Romana.

Kwiryna podeszła bliżej i rzekła przez zaciśnięte zęby.

– Dziękuję, mąż ma się lepiej – po czym szybko zamknęła im drzwi przed nosem. To zainteresowanie zdrowiem Romana wydało jej się złowrogim. Niby to współczują, a w gruncie rzeczy czyhają na jego śmierć, oczekują katastrofy.

– Coraz to ktoś zapuka do drzwi i zapyta, czy lepiej? – rzekła ciotka. – Wczoraj przychodziła panna Ziemska, ta starsza, pani Bauman ze szpitala i nawet blacharz z baraków, koniecznie, żeby go wpuścić do Romana.

– Niech się ciotka nie waży! – rzekła Kwiryna. – Zwariowali! Dość od niego nawyciągał! Roman potrzebuje spokoju.

– Ja też to powiadam! – pisnęła ciotka. – Czy szykować rosół?

Kwiryna wróciła do sypialni, Roman obudził się i leżał ma wznak. Czy jej się zdaje, czy mrugnął znacząco powieką, z porozumieniem, ku niej?

Podeszła i pochyliła się.

– To ja jeszcze nie umarłem? – szepnął.

A to żartowniś!... Kwiryra tak samo znacząco mrugnęła powieką.

– A figa!

Chwilę leżał, jakby sobie coś przypominał, i nagle spytał:

– Kto przyszedł kuchnią? Czy pani Amelka?

– Amelka? Skądże znowu?!

– Śniła mi się w nocy – szepnął Roman.

Śniła mu się w nocy, przyszła taka błada, w podartej sukni i podartych trzewikach... Kwiryra, ocierając mu twarz z zimnego potu, rzekła urągliwie.

– Baj baj, będziesz w raj! Amelka w podartej sukni, akurat!

Roman odsunął delikatnie jej rękę i przymknąwszy powieki rozważał swój sen: drzwi otworzyły się i weszła Amelia, widział ją tak wyraźnie, gdy przechodziła przez pokój, mimo łóżka, koło toalety, dopiero u okien rozwiała się w bładę cień, jakby wsiąkała w firanki. Kwiryra rzekła głośno.

– Sny trzeba sobie tłumaczyć odwrotnie, na pewno Amelia szykuje się na wieczór, na jakiś dancing czy teatr, i zawczasu mizdrzy się przed lustrem...

Roman ożywił się.

– No, cóż! my też możemy urządzić sobie bibkę!

– Co masz na myśli? Chciałbyś wstać?

Wstać? Roman skrzywił się na taką naiwność... On chwilami nie czuł już własnego ciała i tylko w chwilach przytomności chciał odwrócić i zająć myśli Kwiryry. Wstać? Nie, ale gdyby tak ciotka upiekła ciasteczek, takich kruchych? Miał wielki apetyt na takie ciastka.

– Podacie herbatę, ciasteczka, a ciotka usiądzie z nami i opowie wszystkie nowinki.

– No, obejmij mnie – rzekła Kwiryra – to cię podciągnę wyżej na poduszki.

Weszła ciotka z rosółem, z twarzą tak przerażoną, że aż Kwirynę zatkało.

– Niech ciotka postawi ten rosół i zbije Romanowi poduszki, prędko!

Trzymając Romana w objęciach, zaniepokoiła się jego bezwładem, bezsilą, apatią. Ale właśnie szepnął.

– Jak ci ładnie w tym szlafroku!

– Mnie zawsze było do twarzy w czerwonym – rzekła Kwiryra. – No ciociu, już?

Ciotka dyszała ciężko z emocji, czyżby znalazła Romana tak zmienionego po tej męczącej nocy, że to wprawilo ją w przerażenie? Spokojną dłonią Kwiryra sięgnęła po talerz i poniosła łyżkę do ust Romana.

– Jedz, ciągnij, zaraz nabierzesz sił.

Ciotka wyszła z pośpiechem, a Roman po dwóch łyżkach miał dość. Kwiryra odniosła talerz do kuchni.

– Co się ciotce znów stało?

– Ach, Kwiryńciu – rzekła ciotka, z przejęcia aż parszając śliną – była tu zakrystianowa od Panny Marii... aptekarz zmarł!

– Jaki aptekarz? – zapytała Kwiryra. Nagle przypomniała sobie sen Romana i przestraszyła się. Co to ma jednak do rzeczy? Machnęła ręką. – To był stary człowiek, niech ciotka nie mówi nic Romanowi.

Ciotka nie powiedziała jeszcze wszystkiego, dopiero teraz nastąpiła największa sensacja.

– Mówią – szepnęła ciotka – mówią, że został otruty!

Kwiryra spojrzała na nią spode łba.

– No to co? O mnie też mówią, że zamordowałam Romana swą miłością, a czy to jest prawda? – Odetchnęła ciężko i rozkazała. – Niech ciotka zagniecie kawałek ciasta na ciasteczka dla Romana. – Zamyśliła się i dodała. – A do wyskrobków dodać trochę mąki i zrobić placuszki.

Te placuszki miały być dla ciotki i dziewczyny, Niech też użyją.

Szybko wróciła do sypialni. Roman znów zdrzemnął się. Czy to dobrze, czy źle, że tak ciągle zapada w sen? Pewnie, że dobrze, sen pokrzepia. Kwiryra wspomniła lekarzy, ilu ich przeszło przez ten dom, i wzruszyła ramionami.

– Odżywiać Romana i zapewnić mu spokój, o potrafię i bez nich.

Odkąd jakiś profesor zdecydował, że Romana trzeba wziąć do szpitala, Kwiryra rzekła sobie:

– Basta z lekarzami – a Roman jej przytwierdził. Wściekał się na projekt transfuzji krwi, nie chciał cudzej krwi, za nic! No i żyje...

Kwiryra pochyliła się nad nim i posłuchała oddechu. Oddech miał urwany, krótki i ciężki, ale spał. Uspokojona, zasiadła przy kantorku. Nic jej nie obchodziły interesy, ale pewne sprawy trzeba było jednak pozałatwiać.

Krzesło skrzywnęło, gdy siadała. Roman ocknął się.

– Co tu tak ciemno? – jęknął.

– Ciemno? – rzekła Kwiryra z przestachem. – Zdaje ci się! Chociaż dzień jest teraz krótszy.

Na te słowa Roman poruszył się niespokojnie, podniósł rękę i przywołał ją ruchem długiego, wychudłego palca. Z wewnętrznego pośpiechu i rozdrażnienia pot znów wystąpił mu na czoło. Tyle miał na raz do powiedzenia, śpieszył się tak, że pierwsze słowa powiedział zupełnie niezrozumiale.

– Plac... plac...

– Jaki plac? – zapytała Kwiryra ze zdziwieniem. Wstała od kantorka i pochyliła się nad mężem. Nie chciała, aby się męczył rozmową, i rzekła. – Aha, plac węglarza? Tego drugiego na fabrykę nie kupiłam, bo za dużo chcieli... tymczasem ruch budowlany znów zmalął i oni sami z tym placem

przyjdą się prosić o kupno. Poczekam!

– Posłuchaj, co zrobisz z tym placem węglarza?

Kwiryna nie zastanawiała się jeszcze nad tą sprawą. Ale ucieszyło ją zainteresowanie Romana, widać naprawdę mu lepiej! I rozwiódła się szeroko nad tym kupionym placem. Ile kosztował, jaki miał rozmiar, jaki był foremny, narożny, sięgał aż do Mylnej. Romanowi rozbłysły oczy.

– Buduj!

Kwiryna udała zdumioną.

– Budować?

Roman przytwierdził.

– Buduj! buduj! – przyciągnąwszy ją jak najbliżej, szeptał. – Buduj dom nie wysoki, ale szeroki, narożny, z ogródkiem w środku, niech będzie trochę zieleni – posadź ze trzy, cztery drzewa!

Od jego gorącego, przejętego głosu Kwirynie pomieszało się wszystko w głowie i spytała:

– Jakie drzewa? akacje?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nie, kasztany! Pamiętasz? koło drewniaka Mossakowskich rósł kasztan.

– Dobrze, dobrze.

Krzyż bolał ją, bo ciągle jeszcze stała tak, pochylona nad leżącym Romanem, i nagle jakby wyzbyta z sił usunęła się na klęczki. Roman z wysiłkiem zsunął się na brzeg poduszki, twarze ich znalazły się koło siebie, tuż-tuż.

– Czy pamiętasz tę zabawę u Raczyńskich i jak wybrałem ciebie, bawiliśmy się w pocztyliona?

Kwiryna, wstydząc się głęboko takiego dzieciennego udawania, przemogła się i rzekła łykając łzy, z uśmiechem na ustach.

– Puk-puk... kto tam? Pocztylion z listem... do panny Kwiryny, z czerwonymi pieczęciami... mam nie pamiętać?

Nagle ogarnął ją okropny strach, poczuła, że ciało Romana sztywnieje pod jej gorącymi palcami, z krzykiem zerwała się i biegła ku drzwiom. W oczach jej pociemniało, huknęła głową o futrynę. To ją otrzeźwiło.

– Prędeż, doktora! doktora!

Ciotka wpadła do pokoju i pochyliła się nad Romanem. Kwiryna, nagle wyzbyta z sił, osunęła się na łóżko w kuchni. Czy nie chciał ciasteczek, czy nie rozmawiał o placu, czy nie chwalił szlafroka? W pokoju zapadła śmiertelna cisza, ciotka wbiegła drobnym kroczeniem, z twarzą zbieła, ale spokojną.

– On prosi księdza.

Kwiryna chwyciła się za głowę i krzyknęła ochryplym głosem.

– Niech się ciotka nie waży! po doktora!... – ale ciotka z zaciętymi ustami krzątała się koło szafy z ubraniem, głucha na jej gniew. Kwiryra poczuła się nagle w mocy czegoś nieubłaganego, wielkiego, uświęconego, zemdłała. Straciła przytomność, zapadła się w ciemność, a jednak czuła, że powinna teraz zachować siły, stać przy Romanie, bo go zakraczą, pokropią, wyniosą! Ta straszna świadomość podrywała ją kilkakroć. Ale nogi gięły się jak wiotkie trzciny, ręce fajtały się koło ciała. Kwiryra ujrzała szewcową szperającą w bieliźniarce, gospodarującą jak w swoim własnym domu i słyszała słowa.

– Koszula, prześcieradło, macie krzyż, nie?

Nagle gdzieś w dole, na schodach, rozległ się cichy dźwięk dzwonka, drzwi otworzyły się bezszelestnie, Kwiryra ujrzała ludzi klęczących na schodach. I drżąc, sama osunęła się na klęczki, ugięła się i znów zapadła w ciemność.

Ocknęła się u drzwi do sypialni, klęczała z czołem wspartym o ścianę i nasłuchiwała głosów idących stamtąd. Były łagodne, ciche, wokół panował wielki spokój. Znów rozległ się cichy dźwięk dzwonka, drzwi otworzyły się szeroko. Ktoś dzwignął ją z wielką siłą, Kwiryra odwróciła głowę w bok i ujrzała Bronkę z twarzą wykrzywioną boleśnie. Pomyślała. „Skąd tu się wzięła Bronka?” – i nagle odzyskała świadomość siebie. Prowadzona, weszła do pokoju i poczuła raczej, niż zobaczyła, płonące świece. Roman leżał spokojny, wyciągnięty, jakby zadowolony, na skraju łóżka siedział siwiutki ksiądz, już bez komży, w czarnej sutannie, i głaszcząc wyciągnięte ręce Romana mówił wesoło i łagodnie.

– Bracie, mój bracie, braciszku...

Twarcz Romana rozbłysła uśmiechem, ksiądz pochylił się i przyłgnął czołem do jego czoła.

– Co to znaczy? – zapytała siebie Kwiryra. – Co to jest?

Szept księdza umilkł i teraz usłyszała głos Romana, czysty i spokojny. Rozmawiali sobie jak najlepiej! Usłyszała głos księdza.

– Wyjdiesz mi naprzeciw, pamiętaj! – ale nie zrozumiała sensu tych słów, rozumiała, tylko, że Romanowi jest lepiej śmieje się, rozmawia, patrzy...

Ksiądz powstał i uczyniwszy dłonią wielki krzyż, wyszedł do przyległego pokoju. Kwiryra podążyła za nim. Odwrócił się.

– Piękna dusza! – rzekł patrząc na nią. – On jest w stanie łaski.

Tak, wszyscy ujrzeli ten cud. Romanowi było lepiej. W kuchni szewcowa opowiadała piąty wypadek z swego doświadczenia, kiedy to śmiertelnie chorym po Ostatnim Namaszczeniu zrobiło się lepiej. Ciotka, nalewając herbatę, powtarzała w kółko.,

– On tak tego pragnął, biedaczek, tak prosił!

Dziewczyna, sługa, złożonymi jak do modlitwy rękoma wielbiła księdza. Gdy wychodził, pogłaskał ją po głowie. Istny święty!

– Skąd go ciocia wzięła?

– Od augustianów – odpowiedziała ciotka zakasując rękawy.

Roman zdrzemnął się. Bronka pociągnęła Kwirynę do bawialni. Teraz dopiero Kwiryna zapytała.

– Czy ci ktoś dał znać? – Bronka potrząsnęła głową szepnęła:

– Czy wiesz o aptekarzu?

Kwiryna, przez pamięć tego, co przeżyła przed chwilą, uczuła wielkie współczucie dla Amelii i powiedziała:

– Przeprós Amelię, że mnie tam przy niej nie ma, ale widzisz sama, co się dzieje!

Bronka, która przyszła naradzić się właśnie z Kwiryną nad sprawą Amelii, dała temu spokój.

– Może potrzeba im pieniędzy?

– Nie, nie.

Gdy wyszła, Kwiryna udała się do kuchni, aby jednak posłać po lekarza. Ciotka zagniała ciasto, pod kuchnią buzował się wielki ogień. To wszystko uspokoiło Kwirynę.

– Więc ciocia robi te ciastka?

Ciotka z namaszczeniem odpowiedziała.

– Trzeba Romanowi dawać teraz wszystko, czego zapragnie!

Kwiryna nie zwróciła uwagi na te słowa, wydała polecenie służącej i stojąc wypila herbatę. Nie mogła sobie znaleźć miejsca, wróciła do sypialni. Roman spał, spał snem głębokim. Teraz wreszcie mogła odpocząć. Usiadła w fotelu, ale niepokój nie pozwolił jej nawet przymknąć bolących oczu. Czuła taką straszną pustkę w głowie, nie mogła usiedzieć. Znów wyszła do bawialni, aby na widok pięknych mebli pomyśleć bezwiednie: „Na co mi to wszystko?”

Dziewczyna uchyliła drzwi i szepnęła:

– Proszę pani! Doktor wychodził właśnie do drugiego chorego i powiedział, żeby panu dać na noc proszek, a rano, raniutko przyjdzie sam.

Teraz Kwirynę uspokoiło to na dobre. Skoro doktor tak mówi, to widać, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa! Ciotka wyjęła akurat blachę pełną malutkich ciasteczek i Kwiryna własnoręcznie, dmuchając na palce, ułożyła je, gorące, na tacy, co do jednego.

– A tamto będzie dla was – rzekła.

Ustawiła ciasteczka w sypialni na stoliku, z którego sprzątnięto już krucyfiks i świece. Ze strasznego i uroczystego aktu nie pozostało nic prócz wypogodzonej twarzy Romana i zapachu świec. Kwiryna czuwała. Z początku myślała tylko o Romanie, o jego chorobie i lekarzach, ale potem

myśli jej zaczęły błędzić po sklepie, po pracowni, drugim sklepie, szperać w szufladach, na półkach, ważyć towar, nasłuchiwać słów i nade wszystko patrzeć na ręce personelu. Tam się musi dziać, Chryste Panie! Tam sobie używają za wszystkie czasy, istny pogrom jej majątku! Miała w jednym sklepie skaptowaną pannę, w drugim młodziutkiego subiekta, ale i im nie wierzyła. Siedząc w fotelu nad łóżem męża, układała przemysłne posunięcia, mające zaszachować „tamtych”, ale zmęczenie zmogło ją. Zdrzemnęła się na chwilę, a zdawało jej się, że śpi wieki całe. Obudził ją jakiś szelest. Ciotka stała w nogach łóżka. Ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie.

– Co ciotka tak patrzy?

Spoglądali na siebie z Romanem, bo już nie spał i uśmiechał się słabo. Poruszył nozdrzami, poczuł zapach świeżego pieczywa i wargi jego zdrząły. Ciotka przysunęła się z chustką, by mu otrzeć pot z czoła. Szeptał z uśmiechem.

– No, co, ciociu, dobre były ciasteczka?

I wtedy – okropność! – ciotka zatrajkotała.

– Nie wiem, Romciu, bo jadłam z dziewczyną zupełnie inne ciastka, po prostu były! – Nie wiadomo, czy ciotka chciała go rozbawić, czy z głupoty, ze złości, dość, że powiedziała to... Roman dźwignął się na posłaniu, spojrział na Kwirynę z nieopisanym smutkiem i rzekł wyraźnie i surowo.

– Ja umieram! a ty...

Opadł na posłanie i przymknął oczy. Kwiryna, zdrętwiała, przysunęła się, poprawiła koldrę, po czym wzięła tacę z ciastkami, podała ciotce i wypchnęła ją za drzwi. Czowała w sobie coś strasznego i przełamała to ze zgrzytem zębów, niczym żelazo, niczym kamień. Wszystko obracało się przeciw niej, czy chciała, czy nie! Czy robiła coś w złej myśli, czy bezmyślnie! Pochyliła się z jękiem nad zmienioną twarzą Romana.

– Słuchaj, Roman, słuchaj! Ta kamienica... ten plac... masz krewnych... powiedz, jaka jest twoja wola... połowę... ja dotrzymam! posłę po rejenta, chcesz?

Roman spojrział przytomniej, ujrzała błysk uwagi, w jego oczach, oczy te stały się nagle ciężkie, kamienne, obce. Z wysiłkiem podniósł dłoń i dotknął jej piersi bez słowa. Jednym palcem godził w nią, zanim rzekł złośliwie, ostro i sucho.

– Nie, nie! ty sama... sama!

Obydwoma rozcapierzonymi rękami zwał na nią dziedzictwo po tułubach, brzemię, które ich przygniotło, które przygniecie i ją. Masz, syć się tym, paraj się tym, zmagaj się, do końca! Nie rzekł ani słowa więcej, przymknął powieki i leżał bez ruchu, i ostupiała Kwiryna poznała po ruchu jego zaciętych warg, że nic więcej nie powie.

W, nocy obudził ją jakiś straszny głos, zerwała się i usiadła na łóżku. Co

to?! Ujrzała, jak wielkie błyski i wielkie drżenia przepływały przez twarz Romana, wyciągniętego w ogromnej długości. Nie krzyknęła o pomoc, nie chciała już ludzi z ich gadaniem, niech go ma dla siebie. Z jękiem układała się obok i objęła go ramionami. Ciało jej krwawiło, czuła jak krwawi, krew z niej uchodziła tak samo, jak z niego uchodziło życie. Jęczała i wzdychała jednym z nim jękiem, wzdrygała się od światła i ciemności, konała z nim razem, umierała w swej śmiertelnej miłości. Uczucia odpływały jak wielkie fale, nieustannie bijące w przestrzeń, cichły, aż usłyszała w tej ogromnej ciszy szczebiot poranny wróbla na akacjach skweru. Wzniósła oczy. Okno było już szare od świtu, brzask wschodzącego dnia stał nad dachami Nowolipia... Roman zmarł w jej objęciach.

XXI

Pani Raczyńska przeniosła się na górę, żeby Amelia nie była tak osamotniana w tych pierwszych dniach wdowieństwa. Nie wzięła nic z oficyнки, ulegając głosowi tajemnemu, który ją ostrzegał przed burzeniem starego gniazda, kiedy nowe było tak niepewne! Pani Raczyńska nie mogła się opędzić przeczuciom i wrażeniom, że dach lada chwila spłonie nad jej głową, a podłoga ugnie się pod stopami. Bo cóż? Któregoś dnia otworzą się drzwi i zjawi się nieznaną rodziną nieboszczyka z testamentem. Tyle przykrości! śledztwo! plotki, gadania! I w końcu się okaże, że człowiek na stare lata nie ma się gdzie przytulić, a Amelia zmarnowała swą młodość. Zapragnęła wiedzieć, jakie jest prawo dziedziczenia po mężu?

Pan Cichocki, prowizor, starał się o uruchomienie zamkniętej apteki w zastępstwie zmarłego szefa i uzyskał je.

– W panu teraz cała nasza nadzieja! – rzekła pani Raczyńska. Pan Jan skłonił się i zapewnił, że jeśli chodzi o jego pracę, wszystko będzie w porządku. Ale ponieważ musiał pilnować apteki, zamówień, interesu i baczyć na personel, nie mógł tak często wpadać na górę i wymówił się od obiadów i przekąsek. Pani Raczyńska chodziła z mnóstwem różnych pytań i wątpliwości nie rozstrzygniętych. Wracała z kościoła i, pokrzepiona modlitwą, roztrząsała szczegółowo charakter Filipa, jego akuratność i hojność, mówiła:

– Nie, nie! to niemożliwe! Filip by tego nie zrobił!...

Tego szczęśliwego ranka Amelia została wezwana do sędziego śledczego i strasznie guzdrała się z ubieraniem, szukając w bielizniarce jakiejś ulubionej swojej koszuli. Znalazła ją pod stosem jedwabnych fatalaszków, a obok grubą kopertę przewiązaną różową wstążką. Pani Raczyńska, popijająca właśnie w jadalni poranną kawę, usłyszała nagle przeraźliwy krzyk córki i chwyciwszy się za serce, wbiegła do pokoju. Amelka stała wyprostowana, trupio blada,

szeroko otwartymi oczyma patrząc na swe znaleźne.

– Co to jest?! Mamo, co to?...

Poznała pismo męża i to niespodziewane posłanie wydało jej się posłaniem z za grobu. Ale pani Raczyńska natychmiast zrozumiała: testament...

– Skąd to masz?! Gdzie był?

Amelka wyszeptwała.

– W bieliźniarce, w bieliźniarce!...

Pani Raczyńskiej łzy trysnęły z oczu na wspomnienie aptekarza chowającego domownikom jabłka pod poduszki, małe upominki pod serwetkami przy nakryciach... Jakie to do niego podobne!

– Że też ja się od razu nie domyśliłam!

Gdzież, jak nie w bieliźniarce, gdzie Amelka zgromadziła wszystkie swe rzeczy najbardziej osobiste, aż się nieraz wszyscy śmieli, że dusza Amelii siedzi w bieliźniarce, razem z jej bielizną!

Pani Raczyńska otarła łzy i chwyciła za kopertę.

– Co tu napisane na wierzchu?

Amelia drżącym głosem przeczytała:

– „Mojej ukochanej żonie, Amelii!”

Nagle usta wykrzywiły się jak od trucizny i rzuciła pakiet na łóżko. Pani Raczyńska odetchnęła, ten napis wróżył – wszystko najlepsze. Rozumiała wzruszenie Amelii, ale przecież.

– Nie odrzucaj tego, Amelciu, żal żalem, ale tu jest twoja przyszłość, twój los!

Córka ubierała się pośpiesznie, z twarzą rozszrobaną.

– Co to? Znow od rana wychodzisz z domu? Przecież trzeba to przeczytać! zastanowić się!

– Mama zapomina, że mam wezwanie do sądziego.

Pani Raczyńska spojrzała na kopertę i uroczyście oznajmiła.

– Co, tam sędzia śledczy, widzisz, jak Opatrzność wynagradza cię za wszelkie przykrości. Nie pójdziesz chyba na czczo? Zjedz coś, posil się! Powiem Katarzynie, żeby zaraz podała śniadanie...

Wyszła pośpiesznie, zajrzała do kuchni i zasapana zbiegła do apteki, aby sprowadzić pana Jana. On przeczytał testament i uspokoi Amelcie, on tak umie z nią postępować! Na górze Katarzyna nakryła stół i podała śniadanie, po czym, otworzywszy bez pukania drzwi do sypialni, poprosiła panią do stołu. Amelka wzdrygnęła się.

– Dobrze, dobrze!

Tysiąc razy zbierała się na odwagę, aby wymówić Katarzynie miejsce. Ta jej małomówność, ta oskarżycielska mina, te spojrzenia! Ręce Amelii drżały ze wzburzenia tak mocno, że łyżeczka z brzękiem padła na talerz. Nie, nie,

nie trzeba tego robić! Czują się wyodrębniona od wszystkich i od wszystkiego swą tajemnicą (jaką tajemnicą? – zapytała siebie natychmiast), zależna tylko od siebie, od swojej woli i opanowania. Rzeka sucho, ale grzecznie, nie patrząc na usługującą.

– Dziękuję. Nic mi już nie potrzeba.

Wszedł Jan z panią Raczyńską i natychmiast zajął się testamentem. Pani Raczyńska przyniosła z sypialni ów akt, związany jeszcze różową wstążką niczym list miłosny od sentymentalnego kochanka. Jan spojrział ze zdumieniem.

– Gdzie pani to znalazła?

– W bieliźniarce.

Skrzywił wargi i Amelia drgnęła pod jego podejrzliwym wzrokiem. Czy to możliwe? O co on ją podejrzewał? W końcu rozwiązał wstążki. To był wyciąg z aktu rejentalnego, zupełnie w porządku. I zaczął czytać, a pani Raczyńska i Amelia słuchały oszołomione. Aptekarz zapisywał żonie cały swój majątek ruchomy i nieruchomy, meble, aptekę, gotowiznę w banku, posiadłość w miasteczku Pyzy, składającą się z ogrodu, pola i domu mieszkalnego, obecnie wydzierżawioną – pani Raczyńska nie słuchając dalszego ciągu pokrzykiwała co chwila.

– Dom! jaki dom! nic o tym nie wiedziałam! gotówka! w banku! co ten Filip wyrabia!

Ale Jan podniósł rękę.

– Niechże pani uważa! – Znalazł legat na rzecz „teściowej mojej, Felicji Raczyńskiej, wdowie po Wiktorze Raczyńskim, w sumie piętnastu tysięcy złotych, i długoletniej gospodyni, Katarzynie Skorupskiej, w sumie dziesięciu tysięcy”.

Pani Raczyńska krzyknęła i dostała ataku serdecznego płaczu. Amelia, z szklanką wody w ręku, z twarzą wykrzywioną ze współczucia, głaskała ją po ramionach i plecach, powtarzając:

– No, no, już dobrze, dobrze, niech się mama uspokoi, wszystko będzie dobrze!

Akcent jej głosu zdumiał Jana, wyglądało to tak, jakby uspokajała i upewniała sama siebie. I czy to nie dziwne i zastanawiające, że pani Raczyńska, która całe życie wisiała przy kimś, żyła okruciami czyjejs łaski i niełaski, i miłosierdzia, nagle, pod starość, stała się osobą niezależną i zamożną?! Uspokoiwszy się, wypowiedziała swą myśl w słowach podniosłych. Nieboszczyk Filip przewidział, czym ją uszczęśliwić i jak obdarzyć, patrzył na jej życie, znał je!

– Ja wiem, że Amelka nie zostawiłaby mnie bez niczego, ale tak, to zupełnie inaczej.

W końcu przywołano Katarzynę, aby wśród uroczystej i żałobnej już

ciszy odczytać ustęp aktu dotyczący jej osoby. Ale łzy nie wybiegły z jej wyblakłych i poważnych oczu, Katarzyna wysłuchiwała bez drgnienia, bez ruchu, tych kilku słów swego dawnego pana. Nagle odezwała się Amelka:

– Co Katarzyna zamierza teraz robić?

Ku zdziwieniu wszystkich Katarzyna poprosiła, żeby pani zatrzymała ją dalej na służbie. Przywykła do tych kątów, do kościoła, do ludzi, ale najbardziej do kościoła. Amelka ze zmarszczonymi brwiami skinęła głową. „Na co ona czeka?” – pomyślała. I zdawało jej się, że Katarzyna pozostała tu na straży czegoś nieokreślonego, przez moment zdjął ją strach, chciała krzyknąć. „nie!”, ale Katarzyna rzekła głosem nagle wzruszonym i ciepłym.

– Dwadzieścia lat tu służę, proszę pani, przysłałam młodą dziewczyną...

Pani Raczyńska krzyknęła:

– Co tu gadać, Katarzyna zostanie i już! ja wiem, co to znaczy przeprowadzka! Sama nieraz chodzę na Nowolipki i do augustianów.

Amelia powstała, patrząc na zegarek. W zamyśleniu oczekiwała wyjścia Katarzyny, a potem skinęła na Jana. Pani Raczyńska, nie tylko że nie podążyła za nimi do sypialni, ale w ogóle wyszła za Katarzyną do kuchni. Już nie potrzebowała pilnować Amelii, uważać na nią i przestrzegać. Tam, w sypialni, Amelia w swej prostej a wykwintnej czerni, z połyskiem złotych włosów pod kapeluszem, z oczyma aż ciemnymi z natężonego błękitu, istna bohaterka dramatu, spytała, myśląc o czekającym ją przesłuchaniu.

– Co ja mam powiedzieć? Co ja mam mówić?

Jan zdziwił się.

– Prawdę! tylko prawdę!

Spodziewała się tego, Jan nie mógł powiedzieć inaczej. I wzruszyła ramionami nad swoją naiwnością. Prawdę? Ruch ręki przechylającej szklaną rurkę z pastylkami był zbyt nikły wobec uczuć, jakie opadły ją owego wieczora. Zginął w wzburzeniu, zatarł się. utonął. Czy naprawdę chciała śmierci Filipa? Nie, chciała, żeby zasnął, żeby jej nie męczył. Chciała wyjść! To tylko pamięta. Chciała wyjść, by spotkać się z Janem! Oto jej prawda. Gdy wróciła, aptekarz spał, odwrócony tak samo twarzą do ściany. Wówczas, pamięta to dobrze, że pomyślała: „Śpi, ponieważ dałam mu za dużą dozę weronału”. Ale zabrała swą pościel i spędziła tę noc w saloniku, wspominając czułość Jana dla niej i oburzenie na aptekarza, gdy się dowiedział szczegółów sceny, jaka zaszła między nią a mężem. Tej nocy rozstali się w kawiarni.

Ocknęła się i wzdrygnęła. Jan, oparty plecami o framugę drzwi, patrzył na nią badawczo. Powtórzyła bezmyślnie:

– Co ja mam powiedzieć? – i widząc, że Jan otwiera usta, zniecierpliwiła się nagle. – Wiem, .. wiem, ale nie o to chodzi! Jeśli będą pytać, gdzie byłam, gdy on zasnął?... dozorca otwierał mi bramę.

– Powie pani tak, jak było, że oczekiwałam pani w kawiarni... aby..., aby

omówić stan zdrowia i postępowania zmarłego, które dawało nam do myślenia.

Jakie to proste! Trzeba mówić tak, jak było. Spojrzała na Jana uspokojona. Uśmiechnęła się swobodnie, po czym dodał:

– O tym, co nas łączyło, nie trzeba mówić bez potrzeby. To nie ma nic do rzeczy.

Zresztą, on sam złożył w tym sensie swe zeznania. Przyjaźnił się z domem i rodziną zmarłego szefa... Amelia, z jakimś spragnionym wyrazem twarzy, nie patrząc, wyciągnęła ku niemu rękę. Oczekiwała, że ją przyciągnie ku sobie, obejmie i uspokoi, ale pochylił się i ucałował jej dłoń z powściągliwością, po czym krzyknął:

– Ależ to najwyższy czas! Spóźni się pani!

Sprowadzając ją po schodach, rzekł z żalem:

– Czemuż nie dałem pani tylko dwu pastylek, będę miał z tego powodu całe dochodzenie, nie mówiąc już o wyrzutach sumienia.

Amelka szepnęła:

– Czy pan myśli, że jeśli on chciał odejść... – poprawia się. – zasnąć, nie znalazłby weronału? – Spojrzeli na siebie i spuścili zaraz oczy. Stali już przed tylnym wejściem do apteki, w owym ciemnym i cichym kącie koło schodów, gdzie w pierwszych dniach miłości nieraz ją całował, namiętnie i rozpaczliwie, kradzionymi pocałunkami zdrady.

– Do widzenia! Panuj nad sobą... – szepnął.

Te słowa, to „ty” po tylu dniach gładkiej życzliwości, nagle znów ich zbliżyło i związało. Idąc ulicą Amelka myślała. „Wszystko to się skończy, minie, uspokoi...” I widziała siebie i Jana, wolnych i niczym nie skrępowanych, układających sobie życie po swojemu... Ten obraz opanował jej wyobraźnię, zapomniała o wszystkim innym. Miała też jakieś poczucie wolności i swobody, po przesłuchaniu nie potrzebowała się spieszyć do domu, pilnować godziny obiadu, podwieczorku. Nagle postanowiła: „Zjem obiad na mieście”. Jej wdowi welon nie osłaniał twarzy i wystawiła z rozkoszą twarz na ciepłe jeszcze promienie jesiennego słońca. Po dwu pogrzebach, aptekarza i Romana, po otarciu się o cmentarze, modlitwy, łzy i strach, nagle odczuła z wielką, straszną siłą radość życia, radość, że żyje. Łagodne powietrze, ruch, zieleń drzew ulicznych koło Rymarskiej wydały jej się nieopisanie piękne. Znalazła się nagle na Długiej, sprawdziła godzinę i przyspieszyła kroku, aby zobaczyć, skoro już tu jest, dawny magazyn kapeluszy z złotym napisem „Modes”, na czarnym tle. Ciągnęło ją nieprzeparcie, nawet gdyby miała się spóźnić, a zresztą w urzędach nigdy nie są punktualni. Przebiegła na drugą stronę – minęła jakiś sklep spożywczy, kwiaciarnię, stołówkę – i dopiero teraz spostrzegła, że na całej tej stronie nie ma ani jednego magazynu mód. A przecież to była wtedy dzielnica

kapeluszniczek, klientki wędrowały od sklepu do sklepu, dobierając „twarzowe” fasony. Usłyszała śmiech pańienek podręcznych, śpiewy ulatujące z każdego przepierzenia za sklepem, chłopców oczekujących pod sklepami, pod bramą, na rogu ulicy. Godzina zamknięcia, zasunięcia żaluzji i sztab żelaznych! Tumany pudru przed lustrem, łabędzi puszek wędrujący z rąk do rąk, podniecająca, ostra nadzieja w sercu... ach! podbiegła aż do odwiecznej cukierni Borytko, aż do rzeźnika, gdzie kupowała serdelki dla starszych pańien i gdzie dawano jej dokładki, aż utknęła przed fotografem. Mnóstwo par, mnóstwo welonów i wieńców, bukietów i białych rękawiczek, i fryzur. Wydało jej się, że jest wśród znajomych dawno nie widzianych. I wyobraziła sobie życie po ślubie, z takim chłopcem wysztywnionym od uroczystego stroju, w tych domach na rogu Freta, między kościołem a kościołem, w małych pokoikach, gdzie łóżka zawałały i tarasowały przejścia, a balia królowała w kuchni. Skrzywiła się. Nie potrafiłaby już tak żyć, za nie! W jakiejś szybkiej wystawowej ujrzała swą sylwetkę, ciemną i cienką, strojną w puszyste futro u szyi. Przyśpieszyła kroku, wyjęła z torebki wezwanie i zmęczona, ze stukaniem serca wbiegła na schody.

Tego dnia pani Raczyńska nie mogła doczekać się Amelii. Obiad wystygł, musiała zjeść sama, pan Jan, prowizor, kilkakrotnie dzwonił na górę, pytając się czy Amelka wróciła. Dopiero koło piątej zjawił się policjant z zawiadomieniem, że zatrzymano ją w areszcie wskutek zarządzenia sędziego śledczego. Pani Raczyńska w osłupieniu przeżegnała się krzyżem świętym i z płaczem wpadła do kuchni, do Katarzyny.

XXII

Obserwowała Ignacego spod oka, jak dręczył długimi palcami wysuniętą brodę, tarł czoło i policzki. Jeśli wewnątrz ludzkie ma wpływ na kształtowanie się twarzy, oto twarz człowieka nastawionego na zadawanie i szybkie parowanie ciosów. W lekko wciągniętych policzkach, pod upartym czołem, tkwił wychudły, złośliwy, ostro godzący w przeciwnika nos, bystre, podstępne oko, rozczarowane i okrutne usta. Zstąpiwszy do piekiel Ignacy zyskał wyraz bezwzględności w zachowaniu się i zdradził temperament bojowego mówcy. Pisma rozbrzmiewały jego nazwiskiem i echem walki o związki zawodowe, które Ignacy szerokimi i szybkimi posunięciami wiązał z stronnictwem rządowym. Zajęto się jego osobą, jego przeszłością, od niepodległościowych związków. młodzieży, od chwały legionów poprzez ministerstwo, inspektorat pracy, aż do ostatniej godności „rozbijacza jedności robotniczej”. Tak wytknięta droga miała swoistą i żalostną wymowę, zważywszy, że w walce nie przebierano w środkach i uciekano się aż do

redukcji, wymówień pracy i drobniejszych, acz dokuczliwych, represji, o czym Ignacy zdawał się nie wiedzieć, tak bardzo nie chciał wiedzieć. Tak samo zdawał się nie wiedzieć, że podczas gdy on i jego przeciwnik, poseł lewicy, wymieniali słowo za słowo i obelgę za obelgę – inaczej zainteresowani robotnicy jęli wymieniać między sobą argumenty kamieni, noży i strzałów rewolwerowych. Pisma donosiły i o tych wypadkach drobnymi literkami na ostatniej stronie z etykietą: porachunki partyjne.

Rozbijacz!... W owych dniach bytowanie kochanków odznaczało się wybitną małomównością, ale Bronka nie poziewała już ani nie stawiała sobie śmiesznych pytań: "Czy Ignacy ma wiarę?" Pod jej milczeniem czuło się pełne zainteresowanie. Tak, Ignacy miał wiarę i rzucił ją jej zawartą w krótkich słowach: interes państwa. „Ale dlaczego – myślała Bronka – nie odwracało się nigdy sensu tych słów, a łączyło się zawsze a zawsze z interesem klas posiadaczy, z wielkim przemyślem, z wielką własnością rolną, z wielkim handlem, aż to nieomal stało się jednoznaczne?” Dla Bronki najoczywiściej interes państwa leżał właśnie w tych najszerszych, pracowniczych masach narodu, tu tkwiła zarówno jego obronność, jego rozkwit jak i największy, nie wygadany i nie związany z zyskami kapitał miłości. Rozbijacz... to mogło nawet już nie boleć, nie chodziło już, pod którym wpływem będą związki zawodowe – a jakie stronnictwo wreszcie odwróci sens słów: interes państwa? Kto zacznie pod tym kątem mówić o poziomie płac i poziomie życia, o skróceniu dnia pracy w górnictwie i reformie rolnej? Ignacy rzucił niecierpliwie.

– Komunizowali. Trzeba było zrobić coś natychmiast, na gwałt!

Tak, to było łatwiejsze, efektywne, natychmiastowe, szły wybory. Bronka otworzyła usta, aby coś jeszcze powiedzieć, aby powiedzieć: „Ignacy, rób rzeczy trudne, nie bój się rzeczy trudnych, rób na długą metę, na długi zasięg, na wielki zysk...”, ale zachnęła się na swoją naiwność. W stronnictwie Ignacego szedł kurs na grube ryby ziemi i grube ryby kapitału i tam to powiódł on swych pupilów, związanych niczym barany.

Wówczas wzdrygnęła się od niespodzianek wewnątrz siebie, sądziła, że o nic już nie dba, że życie wypruło z niej doszczętnie zdolność wzruszania się – a oto cierpiała. Jej ironia, jej obojętność, jej poczucie samotności człowieka rozpadły się jak kruchy pagórek popiołu, pod którym tli się niewygasły, niewzruszony płomień ludzkiej miłości. Biedni ludziska, ci, dla których „przekonana” stanowiły nieraz całą godność życia – okazało się, że jak świat długi i szeroki nie mają komu zaufać! Rozbijacz... co za okropny skok od owego burzliwego wieczoru maja, kiedy to huk armat stał się pragnieniem oczyszczenia i odkupienia, tęsknotą do doskonałości? Cóż to on wtedy powiedział?...

– „Tak nie wolno żyć!”

Tłumaczyła sobie z grymasem, że nie miała znów tak wielkich co do Ignacego złudzeń, że to wszystko było do przewidzenia. A jednak nosiła w sobie jakąś podświadomą nadzieję, raz jeszcze zgaszoną, jeszcze jedno zmartwychwstanie i jeszcze jedną śmierć.

Tego właśnie dnia Ignacy wpadł na chwilę między jedną a drugą konferencją i, siedząc przy malutkim stoliku przy kawie, dostrzegł wreszcie naprzeciw siebie tę kobietę zmienioną i złamaną, z bolesnymi bruzdami koło ust. Lewe ramię miała nieco wzniesione dawnym dziewczęcym gestem i na tym wzniesieniu spoczywała pochylona w bok głowa. Stamtąd bieгло skośne i upoczywe spojrzenie, oczu skrytych pod powiekami.

– Co ci jest? – zapytał z niepokojem.

Wyglądała po prostu na chorą. Przypomnił sobie, że ona pracuje jeszcze na na wpół wrogim mu terenie, w tych swoich biurach, że pewnie ma z jego powodu duże przykrości, że niejedno tam o nim słyszy... Nie odpowiedziała, wstała i wyszła. Ignacy czekał przez chwilę, a potem stanowczym gestem odsunął stolik i rzekł żartobliwie w ciemność drugiego pokoju.

– Widzę, że muszę tu zrobić jakiś porządek! – Znalazł ją przy oknie, za którym mdłe i skąpe światła mokotowskich uliczek wydobywały lśniące plamy z czarnych, ponurych dachów z papy. – No, cóż to się stało?... – Milczała. Dotknął lekko jej pleców i uczył, że drżą, wzdrygają się w męczącym, ukrytym spazmie płaczu. I nie dowierzając sobie, nie dowierzając jej, przeciągnął dłonie po pochylonej twarzy. Była mokra. – Co za bogactwo – mruknął bezmyślnie. Nagle zrozumiał i umilkł na długo, przejęty tymi łzami, których nie wycisnęła miłosna udręka ani zazdrość, ani gniew. Od dawna kobiety nie obdarowywały go łzami, kobiety nie płakały już, jakby na amen wyszło czułe źródło łez. Nawet Magdalena, jego żona, nie płakała przy rozstaniu. A, tu w dodatku łzy – z powodu linii jego życia! Nie mógł nawet ironizować, poczuł nagle, że ten cichy wybuch ma głąb i charakter, który należy uszanować.

– Nie płacz! nie wart jestem twego płaczu! – mruknął.

Musiał iść. I pozostawił ją tak, stojącą bez ruchu przy oknie, bez pożegnania.

Nazajutrz – ani śladu poprzedniego nastroju, leniwa i zgodna cisza. Było mu to na rękę, ponieważ już zaczęto zerkać w stronę prywatnego życia przyszłego lidera. Ignacy uznał potrzebę jakiegoś neutralnego gruntu poza dolnym Mokotowem. Tu w sam raz przydawała się Magdalena, ale nagle, zgorzkniały i chmurny, strząsnął z siebie obydwie kobiety prostym obejrzeniem apartamentu w śródmieściu, składającego się z gabinetu i małej sypialni z łazienką. Po czym oddał wspaniałomyślnie Bronce, co jej się należało, powierzając jej właśnie protektorat nad tą „oficjalną” stroną swojego życia.

– Idź tam, obejrzyj, zarządz, co trzeba, i zgódź mi jakiegoś dryblasa dość rozgarniętego w dziedzinie przyjmowania telefonów, spławiania interesantów i oddawania posług starszemu panu na stanowisku...

Bronka spojrzała na niego ubawiona. O co mu jeszcze chodzi? Czego on jeszcze ode mnie oczekuje?... I przecięła grę, poddając się temu niejasnemu impulsowi, który rządzi człowiekiem w chwilach zmęczenia, zniechęcenia i wzgardy.

– Nie rób tego, mój drogi. Ja? Ależ ja nie potrafię! Wszystkiego będzie ci brak!. Posłuchaj mojej rady: poproś panią Magdalенę, ona ma wybitny talent organizacji. – Dawała mu wolną rękę, bezbolesne i bardzo zwyczajne wyjście z sytuacji, ale nerwy Ignacego nagle odmówiły posłuszeństwa. Przestraszył się tego gładkiego i wzgardliwego zerwania, gdy druga strona nie żąda nawet wyjaśnień, nie chciał tego... Nieludzko przemęczony potrzebą ciągłego opanowania zarówno w kole politycznych przyjaciół jak i wrogów, grzmotnął krzesłem w kąt pokoju i oznajmił że „ma dość tego wszystkiego” i wyjeżdża na parę, dni, na wieś gdzie go ani oko, ani ucho...

– Pakuj się!

Zerwała się oszołomiona.

– Jak to, to i ja mam jechać?

Ignacy krzyknął:

– Tak, do diabła! może choć trochę przyjdziemy do siebie!

Bronka, trzymając już kapelusz, który machinalnie chwyciła ze stolika, jakby gotowa do natychmiastowej drogi, zawahała się.

– Przecież muszę się zająć sprawą Amelii.

Ignacy omal się nie roześmiał z wrażenia, jaki energia jego odniosła skutek. Mimo wszystko Bronka była bezwolna jak dawniej, gotowa ulec, nim zaczęła myśleć. Jechać? Już... Jeszcze raz się namarszczył.

– Ani mi się waż wtrącać! Wszystko tyko nie to! Adwokata – proszę! Dam adwokata! Ale ty masz się trzymać z daleka... jeszcze tego brakuje!

I nagle, jak oszaleli, rzucili się do szaf, do walizek i wieszadeł, z uczuciem, że uchodzą przed czymś nieuchronnym, ale oddalonym jeszcze o dzień – dwa – trzy?..

XXIII

Widziano panią Raczyńską, jak kilka razy dziennie przemierzała drogę do kościoła, niosąc kwiaty lub świece przed ołtarz. Rozdawała też jałmużnę dziadom i babom, a kolportera Gończyka sama zagadnęła, czy nie dokuca mu reumatyzm i czy nie potrzebuje maści? Nikt tu nic nie miał przeciwko pani Raczyńskiej, była to kobieta pobożna, ale dzieci to jej się nie udały, o

nie! Przypominano sobie Amelię, aptekarżową, gdy wychodziła z bramy czy z apteki, pachnąca i wypiękniona, nie patrząc nawet na ludzi z wyżyn swego grzechu. I nie było człowieka, który by głowy nie dał, że to ona otruła aptekarza, umyślnie, ponieważ miała kochanka. Co do prowizora, to on nie wchodził tu w oczach ludzkich w rachubę. Cóż on temu winien? Kobieta szalała za nim, po sto razy schodziła do apteki, ale w jego zachowaniu się nie było nic podejrzanego. Tak samo odnosił się do aptekarżowej jak i do innych kobiet, do żony fabrykanta powozów, do kasjerki, a nawet do zakrystianowej. Radził im po ludzku w chorobach, które nie wymagały porady lekarzy, w proszkach, maściach i plasterkach, pytał, co słyhać? i jak tam zdrowie? Pod tymi względami był kubek w kubek podobny do zmarłego aptekarza! Żyli po przyjacielsku, ale kobieta się między nich wplątała.

– Czy pan pamięta, panie Łapko – rzekł kolporter, Gończyk – jak ona zalatywała koło pana Andrzeja, bratanka księdza? Od razu mówiłem, że coś z tego będzie! Ale pan Andrzej wyjechał, a ten był pod ręką...

Gospodyni księdza też to musiało przyjść na myśl, bo rzekła:

– Zdaje mi się, proszę, księdza, że nasz pan Andrzej uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

I przypomniała sobie aptekarżową w ów dzień pierwszego spotkania, całą rudą od koloru ubrania i włosów, bladą i niby niewinną, a palącą jak ogień. Amelka w różnych strojach, w różnych pozach i sytuacjach zdawała się snuć tu jeszcze po korytarzach przykościelnych, ogródku, plebanii i ulicy, niczym widmo piękne i złowieszcze.

Katarzyna uspokoiła panią Raczyńską:

– Niech pani się modli, proszę pani, Bóg rozstrzygnie tę sprawę, bo bez woli Boga włos nikomu z głowy nie spadnie. Wszystko się wyda, jak byto naprawdę, i będziemy wszyscy spokojni.

Pani Raczyńska pomyślała sobie. „Może to i lepiej, że się tak stało? Jeśli ludzie mieli gadać i podejrzewać do samej śmierci? Cóż mówić o obcych, kiedy Helcia nie chciała zamieszkać teraz u aptekarżowej, lecz przeniosła, się do bursy? Kiedy, Cechna dopomogła jej do tego?”

– Niedobre dziecko! – rzekła pani Raczyńska – to ty opuszczasz matkę w takim nieszczęściu?

– Ale Helcia mruknęła:

– Mama sobie doskonale daje radę sama, mamy nigdy nie ma w domu, a ja mam i szkołę, i lekcje w drugim końcu miasta!

Pewnie, że pani Raczyńska nie mogła założyć rąk i czekać, co będzie dalej. Musiała być i u sędziego, i pogadać o interesach z panem Janem, prowizorem, i zajrzeć na cmentarz, i być u reagenta, i w końcu – adwokat!

Do końca życia będę błogosławić tego Ignasia Piędzickiego. Dał mi takiego adwokata! Najsławniejszego w Warszawie! Ja tu się kłopotę, pan Jan

mówi, że lepiej będzie, jak on się nie złączy z tą sprawą, Cechna pieniądze, owszem, da, ale poradzić nic nie umie a tu masz! Dzwoni najslawniejszy adwokat i powiada, że jego klient, pan Piędzicki, prosi go o obronę Amelci! – Pani Raczyńska poprawiła zabocik, czarny z białym, pod brodą i zamyśliła się. Stanął jej w pamięci salon sławnego adwokata z czerwonymi pluszowymi meblami, pelen pięknych obrazów i posągów, gdzie oczekiwała, przejęta ważnością chwili, przyglądając się innym klientom i usiłując odgadnąć, co ich tu sprowadza? Jakie są ich sprawy? Zaczęła lubić te chwile oczekiwania i szykowała się do rozmowy jak do wielkiej uroczystości. Ażeby bronić Amelii, adwokat musiał poznać dokładnie ich życie, a Amelia mówi tak mało! Obraża się! Krępuje! Pani Raczyńska mówi wszystko, jak było, i o nieboszczyku mężu, i o nieboszczyku Filipie, a adwokat bardzo się tym interesował.

Pani Raczyńska podejrzewała nawet, że może to i do sprawy niepotrzebne, ale ten adwokat był po prostu ciekaw ludzkiego życia. I doświadczała dziwnych uczuć, gdy siedziała w pięknym gabinecie, naprzeciw tego eleganckiego i wykształconego człowieka, i opowiadała mu dzień po dniu, jak sobie dawała radę z czworgiem dzieci, samotna wdowa bez żadnego zabezpieczenia ani fachu, tam na Nowolipkach. Spojrzała z roztargnieniem na córkę. Rzeczywiście! Na cóż jej potrzebna teraz ta Helcia, z miną grobową i krytyczną.

– No, idź już, moje dziecko! zrób, jak chcesz! ja cię nie zatrzymuję, bo tyle mam na głowie, a ty wiesz najlepiej co dla ciebie będzie dobre.

Helcia otworzyła szeroko oczy i nie mogła się powstrzymać od tej uwagi:

– Szkoda, że mama dawniej tak nie myślała! Przedtem tylko mama wiedziała, co jest dla nas dobre.

– Ach, dawniej! – rzekła pani Raczyńska – gdzie te czasy!

Powiedziała to lekko, bez smutku, przeciwnie, z jakimś lekceważeniem, ale gdy Helcia wyszła, a pani Raczyńska znalazła się w ciemnej, trochę ponurej jadalni aptekarzystwa, ogarnął ją niepokój. Odkąd pamiętała, przy jej stołach zawsze było pełno – choćby i na tych Nowolipkach – głodnych, zasiadali do stołu w pięcioro! Przychodziła Mossakowska, wpadały dziewczęta, Mietek, a później – chłopcy Amelci. Także i tu, w pierwszych miesiącach małżeństwa, dzień w dzień stół był zajęty. Ileż ich było? – Zaczęła liczyć na palcach, samych swoich, domowników, znów pięcioro z aptekarzem, potem Cechna z Zuzanną, nieraz pan Andrzej, ksiądz, panie z komitetu parafialnego, a wreszcie na ostatku – pan Jan! Gdzie się to wszystko popodziewało, te wieczory, obiady, kawy i podwieczorki, ci ludzie, niby przecież przyjaciele? Zdjął ją dreszcz, gdy spojrzała na sześć pustych dębowych krzeseł, na prosty fotel Filipa koło aparatu radiowego, którego się teraz bała jak diabła. Z kuchni dolatywało chrapanie Katarzyna zasnęła po

obiedzie. Panią Raczyńską ogarnął po prostu strach w tym opuszczonym mieszkaniu, prędko poszła do sypialni, włożyła kapelusz przed lustrem przypudrowała się nawet i wzięła cieplejsze okrycie, bo wieczory były już chłodne. Tak, Kwiryna! Ona też pogrążona w żalobie, będą miały o czym pogadać, a przy tym to swój człowiek... I zmów się zdziwiła nad różnicą między na przykład, taką Kwiryną a Cechną. Cechna była jak obca! Może dlatego, że tak wcześniej wyszła w świat z domu – po prostu uciekła?!

Garbata ciotka otworzyła jej drzwi z palcem na ustach.

– Sia! – Kwiryna przed chwilą wpadła ze sklepu i zamknęła się w pokoju. Pani Raczyńska, wystraszona, chciała pukać, ale ciotka powstrzymana ją. – Potem wszystko skrupi się na mnie! Kwiryna ma teraz takie swoje napady, niby to schodzi do sklepu i zajmuje się interesami, i siedzi za kasą, aż tu nagle trach-trach, zamyka szufladkę z pieniędzmi i pędzi na górę. Ja nie wiem, czy ona myśli, że tu jeszcze Roman leży na łóżku, czy co?

– Jak ona to wszystko zniosła, biedaczka? – spytała pani Raczyńska siadając w kuchni na taborecie.

– Najgorzej, że nie może płakać – rzekła ciotka - Gdyby mogła zapłakać, zaraz by jej było lepiej. Dusi w sobie.

– Albo pomodlić się! Ja po śmierci Filipa i w tych wszystkich nieszczęściach znajduję ulgę w modlitwie.

Ale ból Kwiryny był widać jakiegoś innego gatunku, bo nie płakała nawet na pogrzebie, gdy grudy ziemi stuknęły o trumnę Romana. Zemdląła, a ani jednej łzy! Gdyby mogła zapłakać!

– Tak, tak – rzekła pani Raczyńska – to by było dla niej, zbawienie.

Ponieważ ciotka pilnowała właśnie obiadu, a dziewczyna pomagała w pracowni na dole z powodu nawału roboty, przystawiono czajnik z herbatą do ognia, a ciotka nakryła sosnowy kuchenny stół serwetą.

– Przepraszam, że przyjmuję panią w kuchni, ale to ze względu na Kwirynę, nie zakłócajmy jej spokoju!

Pani Raczyńska rzuciła:

– Nic nie szkodzi – i zdjęła okrycie. Nie mogła pogadać z Kwiryną, ale mogła pogadać z ciotką. I rzekła: – Żeby nie ten deszcz, to by Roman miał piękny pogrzeb.

Ciotka ożywiła się.

– A czy widziała pani te tłumy? Wszyscy poszli! Przepraszam: masło czy smalec do chleba? Mam tu akurat taki smalec, że palce lizać, delicje. Bo nie wiem, czy pani wie, żeśmy z Kwiryną przed śmiercią Romana zaczęły produkować różne takie specjalności i mnie się udało zrobić smalec – coś nadzwyczajnego!

– Co pani dokłada? – spytała ciekawie pani Raczyńska. Ale ciotka zaśmiała się cichutko.

– To sekret?

Pani Raczyńska poprosiła o sól i pieprz, przyprawiła posmarowaną kromkę chleba i jedząc zachwycała się:

– Rzeczywiście nadzwyczajny!

Ciotka ciągnęła dalej:

– Nawet w gazetach pisali! Mówię o pogrzebie. Więc nawet w gazetach pisali, inżynier mi tu przyniósł, wycięłam sobie na pamiątkę. Tłumy ludzi! Wszyscy lokatorzy, chyba cała ulica, a nawet ci dawniejsi, co mieszkali w starej oficynie, zwlekli się tyli świat drogi, z baraków, z Mokotowa, z drugich końców miasta. Czy pani wie, że nawet Żydzi poszli?! na sam cmentarz! Jakem zobaczyła ten ogromny składkowy wieniec, z napisem na szarfach. „Zacnemu gospodarzowi – lokatorzy”, to zapomniałam, że Roman umarł, i myślę sobie. „Że też on tego, biedaczysko, nie widzi!” – Ciotka rzuciła nagle chleb na stół i rozplakała się cienkim, pochlipującym płaczem. – Chociaż po śmierci go ocenili, chociaż po śmierci, bo tak to Kwiryra mówiła o nim: wariat!

Pani Raczyńska aż sapnęła.

– To oni źle ze sobą żyli?

Ciotka machnęła ręką.

– Gdzie tam! aż za dobrze! tylko byli do siebie nie dopasowani charakterami... – Pochyliła się i w samo ucho pani Raczyńskiej szepnęła tajemnicę. – Czy pani wie, że on przed samą śmiercią, w chorobie, pozniżał niektórym lokatorom komorne, a od inżyniera wcale nie wziął, bo tamtego akurat w fabryce mieli licytować?

– Co to był za człowiek!

– Kwiryra o niczym jeszcze nie wie – pisnęła ciotka – ale jak się dowie! nie chce wtedy być w domu!

Pani Raczyńska aż otworzyła usta aby powiedzieć, że te darowizny Romana bez wiedzy żony są nieważne, gdy wtem drzwi od mieszkania stuknęły i Kwiryra zawołała:

– Kto tam? Kto tam jest?

Ciotka zerwała się na równe nogi, pani Raczyńska chwyciła za swoje okrycie. W otwartych drzwiach stanęła Kwiryra.

– A, to pani?... Co słyhać u Amelci?

Szła w głąb mieszkania i pani Raczyńska, podążyła za nią, struchlała na widok tej szerniałej twarzy, wychudłej postaci, na której czarna suknia zwisała luźno. Co za spustoszenie!... Czarne, ogromne i piękne oczy Kwiryry tak zwykle żywe i błyszczące, wyglądały teraz jak pociągnięte bielmem. Włosy, skręcane w krótkie loki, rozrzucone, leżały na czole, na policzkach, niczym czarna chmura. „Ona odmłodziła!” – pomyślała w głębi duszy pani Raczyńska, lecz głośno rzekła z akcentem współczucia i nagany.

– Jak można tak do siebie dopuścić! jak można!

Rozejrzała się szybko po pokoju, jakby szukając przyczyny samotnego przebywania tu Kwiryny, ale dostrzegła tylko okno, zawieszone prześcieradłem, naprzeciw zasłanego łóżka Romana. „Co za sens!” – pomyślała pani Raczyńska, ale przypomniała sobie nagle opustoszały hotel Filipa koło radia i chcąc poruszyć Kwirynę, wyrwać ją z tego zamyślenia, rzekła.

– Czy ty wiesz, co opowiadają o moim dziecku, o Amelci?!

Kwiryna podniosła powieki, spojrzała na nią i odpowiedziała z wolna.

– Ona go nie kochała.

– Co za słowa!... czy to znaczy, że mogła otruć Filipa?! Czy to znaczy, że chciała jego śmierci?!

Wzdrygnęła się z oburzenia, ale Kwiryna powtórzyła jeszcze raz z naciskiem.

– Ona go nie kochała!... – jakby to był wyrok, usprawiedliwienie i rozgrzeszenie. Oczy jej nagle ożyły i błysnęły.

– Czy można ją odwiedzić?

– Nie, nie!

Pani Raczyńska sama rzadko otrzymywała widzenie, zresztą Amelcia mówi tak mało!... Jedyne jej życzenia dotyczą jedzenia, mydła, gazet. Kwiryna usiadła w fotelu, tym samym, na którym czuwała przy Romanie, tak samo odwróconym w stronę łóżka i wysłuchiwała w milczeniu opowiadania o adwokacie, staraniach przyspieszenia procesu, o kaucji i wszystkich ludziach świeżo przy tych okazjach poznanych przez panią Raczyńską. Zrozumiała, że pani Raczyńska musi się wygadać, że ma tyle wahań i pytań... Ale ona! Ona nie miała komu zadawać pytań, jej sprawy były zupełnie inne, musiała to w sobie nosić sama i powolutku rozwijać je, rozpatrywać i sama roztrząsać, i sobie odpowiedzieć. Cóż ta pani Raczyńska wie? Nic nie wie!... Mogła tylko zapytać...

– Ludzie mówią – rzekła zwyczajnie i spokojnie, jakby powodowana tylko ciekawością – że gdy tak łóżka stawia się nogami do okna, to człowiek wychodzi z domu na tamten świat... czy to prawda?

Owszem, pani Raczyńska wierzyła w te rzeczy i miała pod ręką setki przykładów, ale czy należy tej biednej Kwirynie jeszcze dokładać wyrzutów? Nie. Pani Raczyńska oznajmiła, że:

– Mało to ludzie gadają, aby wynaleźć przyczyny nieszczęść!

– Powiem ci, że on był wprost nie do życia.

I Kwiryna podniosła głowę. Nie do życia? Dlaczegoż to?

– On był taki, delikatny, taki ciepły, tak się wszystkim przejmował... – pani Raczyńska nie mogła jaśniej się wytłumaczyć, więc jeszcze raz powtórzyła. – Nie do życia!

Kwiryna szepnęła przez zaciśnięte zęby.

– To drań może żyć, a delikatny człowiek – nie?!

Pani Raczyńska, dotknięta, powstała.

– Moja Kwiryno, Bóg wie, co robi, kiedy ludzi zabiera...

Ale oczy Kwiryny już rozpały się ogniem życia i gniewu, krzyknęła:

– Niech mi pani da spokój z swoim Bogiem! Bóg! Ludzie mu nie dali żyć, świat mu nie dał żyć!...

Pani Raczyńska wycofywała się ku drzwiom z twarzą zbieła, Kwiryna następowała na nią:

– Czy to Bóg winien, że Amelcia siedzi teraz w areszcie? Czy to pani – pani – pani?!

Garbata ciotka stanęła w progu, wstrząśnięta tą sceną i odkryciem, że w Kwirynie nie wygasła złość, mimo śmierci Romana.

– Co pani jej takiego powiedziała, co?...

Pani Raczyńska zbiełałymi wargami zarzekała się.

– Nic, nic – z okiem utkwionym w tę mściwą zjawę, w Kwirynę, której ból odebrał rozum. Wreszcie znalazła się przy drzwiach, otworzyła je i zbiegła na dół. Nogi pod nią drżały, świat kręcił się w oczach dookoła. Przeszła parę kroków i przystanęła przy sztachetach skwerku. Co ta Kwiryna powiedziała? Za co ta napaść? Ona jest winna, że Amelka siedzi w areszcie? Czysta głupota! To po prostu omyłka, która się wyjaśni.

– Proces poszlakowy – powiedział sławny adwokat. Ruszyła z miejsca i w szybie wystawowej na Karmelickiej spostrzegła, że ma przekreślony na głowie kapelusz. Poprawiła go i sama jakoś przyszła do równowagi.

Ale o kilka kroków dalej, przy koszykowej etażerze z gazetami wytrzeszczyła oczy.

– Ależ to nasza apteka! Okno w pokoju Amelci! okno sypialni!

Ujrzała to wszystko wyraźnie na fotografii, naznaczone krzyżykami. Oszołomiona, kupiła gazetę, serce jej waliło mocno. Dopiero co to przejście z Kwiryną, a teraz znów jakaś niespodzianka! „Ja jeszcze kiedy trupem padnę z tego wszystkiego – pomyślała sobie. – I czy nie lepiej siedzieć w domu?...” – Nie była biegła w czytaniu, ale znalazłszy się w mieszkaniu i wydobywszy z torebki okulary, odczytała tytuł: „Tajemnica śmierci aptekarza...” „Piękna aptekarzowa...” „Kolporter Gończyk mówi...” W oczach jej się ćmiło. Co może mówić pan Gończyk? Ach, ci ludzie! Czyż Filip nie dawał mu maści bez pieniędzy? Czy nie świadczyli mu różnych dobrodziejstw?... Co za niewdzięczność!...

Ale co on może wiedzieć, ten marny Gończyk, ten półgłupek! Pani Raczyńska potoczyła wzrokiem po pięknej sypialni Amelii, w której sama teraz sypiała, i zdjął ją po prostu śmiech i politowanie nad Gończykiem. Jutro, idąc do kościoła, nawet nie spojrzę w jego stronę. Nie będzie się od

niego brać gazet! Ach prawda, odkąd Filip umarł, gazet się nie kupuje! Musi iść dzisiaj do adwokata i pomówić z nim, czy nie można zrobić, żeby gazety nie rozpisywały się o sprawie Amelii?

I podniesiona tą myślą, rada, że ma znów powód do wizyty u adwokata, do przebywania w jego pięknym, poważnym salonie, wyszła do kuchni prawie z uśmiechem.

– Niech Katarzyna da mi herbaty, tylko świeżej i mocnej. A co mamy na kolację?...

Można powiedzieć, że los wynagrodził ją pod koniec przykrości tego dnia. Właśnie Katarzyna nakryła mały stolik serwetką, gdy dzwonek zabrzączał u drzwi. Zuzanna!... Sama!... Co za dorosła osoba, w kapelusiku zamiast beretu, z bukietkiem fiołków w ręku. Amelia tak lubiła fiołki!...

– Mama jest zajęta, ale ja mam czas, więc przyszłam babcię odwiedzić.

– Złote dziecko!...

XXIV

Rozdarta między niecierpliwym pragnieniem odwiedzenia grobu Romana a koniecznością tkwienia przy kasie, Kwiryna przywołała garbatą ciotkę z góry. Przeliczyła gotówkę i uroczyście przy wszystkich wręczyła jej klucz.

– Niech ciocia (powiedziała. „ciocia!”) mnie zastąpi, tak jak gdybym tu sama była!...

Ciotka wystraszyła się nieco tym ceremoniałem, wyglądało to tak, jakby Kwiryna odchodziła stąd na zawsze.

– Kiedy Kwiryńcia wróci? – spytała drżącym głosem.

– Koło czwartej. Obiad może być później.

Garbata ciotka ujęła klucz, wciągnęła sweter na ramiona, zapięła go pod szyję i zasiadła przy kasie. Ręce jej się trzęsły. Patrzyła na personel spłoszonym wzrokiem kury, która nie wie, czy może dziobnąć to coś, czy nie? Kwiryna pomyślała, że robi szaleństwo zostawiając tu ciotkę. Niech tylko ludzie spostrzegą mizdrzenie się ciotki, jej przypochlebne miny i grzeczność zabiegliwą, zaraz jej wliżą na głowę, będą ją mieć za psi pazur. Stało się. Kwiryna wyszła. Gdy jednak, ubrana w swą grubą żałobę, schodziła z mieszkania na dół, usłyszała głos ciotki, jak w składziku za sklepem gromiła subiekta, że bierze ogórki palcami. Głos ten był już całkiem inny, zwięzły i rozkazujący – co za cuda sprawia klucz od kasy!... Uspokojona trochę, Kwiryna ruszyła w swą drogę. Musiała zboczyć na Leszno, do ogrodnika, gdzie zamówiła wieniec. Chciała, aby kwiaty były jak najświeższe.

Był piękny, prawie gorący dzień jesienny i zgrzała się zaraz w swej

czerni. Ten kawałek drogi przez Karmelicką zmęczył ją tak, jakby zesłał pół świata. Co krok – to wspomnienia. Gdy człowiek mieszka w jednym miejscu całe swoje życie, każdy kamień, każdy dom, sklep coś mu przypomina. Tu szła z Romanem, tu kupiła mu chusteczkę jedwabną do kieszonki marynarki, tu znów zamawiała monogram do palta... Nie lubił monogramów, w pierwszej chwili coś mruknął o znaczeniu swojej własności i że jak mu palto ściągną, to i monogram nie pomoże, ale zaraz opamiętał się i tak jej dziękował, tak dziękował!... Na wspomnienie wdzięczności Romana zrobiło jej się całkiem słabo i ze zbieła twarzą dopadła drzwi kwaciarni. Wieniec już był gotów, leżał na ladzie, nieduży, ale bardzo piękny, z ciemnych sztywnych liści i z wielką wiązką białych róż. Kwiryra zapłakała.

– Biedna pani! – rzekła ogrodnikowa. – Czy mam go zapakować?

– Tak. Żeby się tylko nie zgniótł!... – szepnęła Kwiryra głosem zdławionym przez łzy. Potem dodała. – Muszę wziąć dorożkę.

Usadowiona w dorożce, z wieńcem na kolanach, znalazła się nagle w dzielnicy handlowej i przez długą chwilę nie mogła zrozumieć, co to się dzieje, na co ten gwałt, czego ci ludzie tak się strasznie śpieszą?... Potem, rzuciwszy okiem na wielkie handlowe składy, pomyślała. „No, ci to wiedzą, jak chodzić koło swoich interesów!” – i ogarnął ją niepokój – o sklep, o pracownię, dręczący wyrzut, że czegoś zaniedbuje... Poruszyła się na siedzeniu i zawołała na dorożkarza:

– Niech się pan trochę pospieszy... – Chciała dodać: „Nie jedziemy za pogrzebem!” Zacięła usta i opadła na siedzenie.

Nagle zwałił jej się na głowę cały ten pogrzeb Romana, ze śpiewami księży, z tłumem obcych ludzi, z wieńcami a wraz z tym powstały nierozstrzygnięte pytania. Co on miał na myśli, godząc w nią palcem i wołając:

– Nie, nie! ty sama...

To były ostatnie słowa męża do żony, nie powiedział nic więcej, nie pożegnał się z nią. Czy tak się robi? Gdy się ocknęła w nocy, był nieprzytomny. Nie, nieprawda, był przytomny, tylko już zajęty swoją sprawą: umierał. Trzymała go przecież w ramionach i mogła widzieć śmierć jako straszną pracę ciała. Te wielkie drżenia, blask i mrok, i głosy w piersi, i rozdzierające westchnienia... Odłączony od domu, od niej, od całego świata, Roman umierał, samotny. „Głupia ze mnie baba, wiele rzeczy nie rozumiem, ale tę straszną samotność rozumiałam” – przypominała sobie. I już nic nie mogła dla niego zrobić, jak tylko pomóc mu przejść próg między życiem a śmiercią, podtrzymać go ramionami i wejść razem z nim.

– Czemu wtedy nie umarłam!

Dorożkarz sądząc, że znów go przynagła, zaciął konia i Kwiryra, w żalobnym rozwianym welonie, z wieńcem kurczowo podtrzymywanym na

kolanach, klusem zajechała przed bramę cmentarną, aż baby podnosiły głowy znad doniczek kwiatów, darni i świerkowych wianuszków. To ją znów rozgniewało, ale w miarę jak szła w głąb cmentarza, wszystkie uczucia opadały z niej jak strzępy, a rosło wspomnienie niedawnego pogrzebu. Pojękiwała z cicha, zraniona dotkliwie, snując się po zawitych ścieżkach, kwaterach i drogach, z głową pochyloną i szyją wyciągniętą jak wierny pies, który zdąża śladami pana. Dyszała. Wśród niewzruszonych kamiennych krzyży, nieruchomych drzew, cichych plam słonecznych, gipsowych i marmurowych figur, zastygłych gestów – ona jedna wносиła tu wyraz życia: pośpiechu, bólu i tęsknoty. I wreszcie osunęła się na kolana u grobu Romana z uczuciem tępego zdumienia. To już! to wszystko!

Gdzie był owej nocy, po której tak śmiertelnie się rozchorował? Tego już się nie dowie. Co znaczyły te słowa: – Nie, nie! ty sama! Tego już się nie dowie. Dlaczego odrzucił połowę majątku, a pozniżał komorne, przecież mógł żądać, aby tę jego połowę rozdać biednym!... O tym nic już nie będzie wiedziała. Wie teraz tylko, że razem z Romanem odszedł od niej cały sens życia, i nagle skinęła głową nad płytą kamienną, pod którą leżał, wyprostowany, twarzą zwrócony ku niej. Zabiegała, męczyła się i trudziła, ale śmierć przeszła jej drogę i teraz powinna stać w miejscu. Po cóż jej piękne meble, dom, fabryka, zysk? Nic już nie zrobi. Będzie żyć cicho.

I drgnęła, olśniona. Roman to przewidział! Roman przewidział i ostrzegał ją, mówił z naciskiem, że nie warto robić z życia pogoni za majątkiem. Roman też pracował, ale jakoś inaczej, weselej, zyczliwiej i nieraz zarażał ją tym swoim nastrojem, udzielał jej swojej bez troski. Ależ on nie liczył się z groszem! Tak żyjąc, można zejść na dziady. Zejść na dziady! Ale cóż jej teraz po tym wszystkim? Co mi teraz z tego dostatku przyjdzie?! Co mi po tym?!

Liść oderwał się od drzewa i bezszelestnie spłynął na kamienną płytę.

Kwiryna podjęła go i odrzuciła. Gdyby można żyć od nowa, bez żalu oddałaby cały majątek, żeby mieć Romana.

– Mówisz tak, bo wiesz dobrze, że śmierci odrobić nie można... – szepnęła samej sobie.

Śmierć? Co to jest śmierć? Gdzie jest teraz Roman? Ludzie mówią „na tamtym świecie”, w „niebie”, ale nie mogła sobie wyobrazić skrzywionego i smutnego Romana w niebie, w błogości, z aniołami. Cóż by on tan robił ze swoim przyzwyczajeniem do marzeń? Dla Kwiryny leżał tu, pod kamienną płytą, na wieki wieczne. Nagle przypomniała sobie staruszka księdza, jak siedział na skraju łóżka, trzymając ręce Romana, i mówił:

– Bracie, wyjdź mi naprzeciw...

Co to miało z być? Czyżby ten staruszek ksiądz wiedział, że spotka Romana kiedyś, gdy też umrze?... Czyżby Roman był tu i był gdzie indziej?...

Ostłupiała wpatrzyła się w wielkie litery napisu, w niezłomne świadectwo, że tu spoczywa. Ze zmarszczonymi brwiami, machinalnie jęła szeptać słowa codziennej modlitwy, aż doszła do „żywot wieczny, amen”. Ogarnął ją niepokój, Roman rozdwoił się, leżał tu martwy, to prawda. Ale czuła, że jest jeszcze inny, drugi Roman, jakby żywy i czujący, a ten unosił się w nieznaną krainę w najpiękniejszym, młodzieńczym swym kształcie. Uchodził jej, jeszcze raz! Teraz nic jej już nie pozostawało!

Zgromadziła tu swe bogactwa, marmurową płytę i czarny marmurowy krzyż, złożone litery. Obok leżał porzucony piękny wianek z róż. Przychodziła tu z swym jękiem, z swymi pretensjami i pytaniami. O, głupia! Roman uszedł jej, przebywał gdzie indziej. Nigdy go dobrze za życia nie rozumiała, nigdy nie wiedziała, jaki on właściwie jest, a teraz stawał się wprost niepojęty, tajemniczy i mglisty... Nie ma tu po co przychodzić. Na nic jej żaloba, chciała kiedyś tu spocząć przy nim, zakupiła grób dwuosobowy, dla niego i dla siebie, dwa miejsca. Po co? Jego tu nie ma. Drgnienie wściekłości uniosło ją na nogi. Obrabowana, obrabowana że wszystkiego! Pochyliła się i prawie nie patrząc ułożyła wieniec. Potem przeżegnała się. I poszła ścieżką wzdłuż szeregu grobów, na skrócie odwróciła się raz jeszcze i zobaczyła, że na jej miejscu klęczy jakaś kobieta w czarnym okryciu i kapeluszu. Aha, pani Raczyńska. Przyszła wdać odwiedzić swoich i zaszła do grobu Romana. Kwiryna zawróciła i stanęła obok, czekając, aż tamta skończy swoje modlitwy. Czuła teraz coś pokrewnego z panią Raczyńską – czyżby pani Raczyńska zdawała sobie sprawę, co robi, wydając młodziutką Amelię za mąż za nie kochanego, starego aptekarza? Czy Kwiryna wiedziała, co robi użerając się o każde głupstwo z Romanem? Obydwie ulegały tylko swojej naturze. Życie jest ciemną sprawą, litość nad sobą i nad klęczącą kazała jej powiedzieć, gdy stanęły obok siebie:

– Pani Raczyńska, niech mi pani nie pamięta przykrych słów.

Pani Raczyńska skinęła głową i odsunęła od siebie te wszystkie urazy tak marne, gdy się jest na cmentarzu, w obliczu grobu, i w obliczu śmierci. Przyciszonym głosem szepnęła:

– Nie chciałam cię rozżalać, Kwiryno, i dlatego nie powiedziałam ci nic o tym, jak Amelia strasznie przejęła się chorobą twojego męża. Gdy się dowiedziała, że jest umierający, zbladła tak, że myślałam, że zemdleje...

Kwiryna nadstawiła uszu, po czym zamyśliła się głęboko.

– To dziwne! – szepnęła – ale i Romanowi wieczorem przed śmiercią zdawało się, że Amelka przyszła. Śniła mu się nawet... To strasznie dziwne.

– Mieli przeczucie – odpowiedziała pani Raczyńska – jedno drugiemu udzieliło swoich myśli. Lubili się.

Oszołomiona, Kwiryna patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma. Myśl jej pracowała szybko. A jeśli jest jakiś inny, tajemniczy świat, gdzie ludzie

mogą w taki sposób obcować ze sobą, używać się sobie w życiu i po śmierci? Co jest potem? Co jest po śmierci? To przecież niemożliwe, żeby życie było nie wiadomo po co i na co, żeby człowiek męczył się bez celu i ginął bez śladu?

– Piękny marmur! – rzekła pani Raczyńska patrząc na pomnik. – Ile też kosztował?

Kwiryna nie pamiętała ceny, wybrała tylko marmur, a kupna dokonał rejent, ona wtedy nie miała głowy do takich spraw. Przyklekły jeszcze raz przeżegnały się. I poszły razem szeroką aleją ku bramie cmentarnej.

Pani Raczyńska robiła rozmaite uwagi o pomnikach, grobach i dekoracjach kwiatowych. Na wiosnę weźmie się do porządków, obsadzi boki swoich grobów bratkami, a w głowach, przy krzyżach, trzeba posadzić jakieś krzewy – może bluszcz?

– To podobno niszczy kamień – rzekła Kwiryna.

Zdawała się słuchać uważnie, ale jej dusza podobna była teraz do twarzy Romana w ów ranek śmierci. Drgnienia i światła przepływały przez nią jak wielkie fale. Przypominała sobie katechizm i nauki księdza w kościele, i kazania, wszystko to, co złożyło się na jej wiarę i w czym odnajdywała ślady istnienia pozagrobowego, obietnicę obcowania nawet po śmierci w tym jakimś innym „tamnym świecie”. Nie mogła sobie wyobrazić nieba, ale doskonale mogła sobie wyobrazić spotkanie Romana ze starszym księdzem, to jej utkwiło w pamięci, rysowało się jak obraz. Roman wychodzi naprzeciw z wyciągniętą ręką z jakichś zaświatów, z mgieł, z powietrza...

– Tramwaj! prędeży, Kwiryno!

Dopadły tramwaju, znalazły jeszcze miejsca i zapłaciły za bilety. Kwiryna zauważyła, że pani Raczyńska ma nową czarną torebkę, czarne nowe rękawiczki, obsprawiła się.

– On jest w stanie łaski – rzekł starszek ksiądz.

A ona! Nie, Roman może nie wyjść z wyciągniętą ręką naprzeciw niej, swojej żony, może ich rozdzielić ta sama przepaść co w życiu. A żeby go spotkać, trzeba mu dorównać. Przeszły ją dreszcze na myśl, że musiałyby postępować tak głupio jak Roman, mizdrzyć się do ludzi, wysłuchiwać ich zdechłych smutków i boleści, pochwalać ich próżniactwo, niedołęstwo i głupotę. Wszystko się w niej wzburzyło na samą myśl o tym, aż szepnęła półgłosem.

– Nie, nie, to niemożliwe!

– Co mówisz, Kwiryno?

– Nie, nic.

Zazdrościła pani Raczyńskiej, której twarz po tylu przejściach miała w sobie tyle spokoju, a nawet jakby odcień – zadowolenia. Przez chwilę marzyła o starości jak o błogim stanie, w którym nic już nie jest takie ważne,

gdy się ma co jeść, dach nad głową i nic nie boli. Czy to znaczy, że ma wyrzec się Romana, teraz i na wieki?

Głęboko zamyślona żegnała się z panią Raczyńską i skręciła na skwerek. Sklep, jak zwykle o tej porze, był pełen klientów, z daleka usłyszała podniesiony głos ciotki, komenderujący personelem. Nawet tam nie wstąpiła, poszła wprost na górę, ale doznała jakiejś ulgi, jak gdyby połowę ciężaru złożyła na czyjeś barki. A przy tym bezpieczna o swoje: ciotka, obdarzona władzą, wyróżniona i zaszczycona jej zaufaniem, będzie pilnować jej dobra jak pies. A ona musi przecież dojść da ładu sama z sobą.

Wieczorem przyszedł rejent. Zastał Kwirynę w szlafroku, tym czerwonym, z włosami ciągle jeszcze wzburzonymi. Wychudła i ciemna wyglądała jak drzewa boleśnie osmalone przez ogień. Rejent pochwalił sobie ten czerwony szlafrok, świadczyło to, że Kwiryna nie przywiązuje wagi do żałoby. Poczęstowany herbatą i smakołykami w bawialni, zapytał czule i delikatnie, czy można z nią już mówić o interesach?

Spojrzała z roztargnieniem.

– O jakich interesach?

– Czyżby pani zaniechała myśli o kupnie placu i budowie fabryki?

– A pewnie!... Co mi po tym?

Rejent poprawił szkła, przyjrzał się jej i rzekł poważnie.

– Niech pani tego nie robi, pani Kwiryno, pani potrzebne jest zajęcie, dużo pracy, i to pracy efektownej...

Kwiryna pomyślała sobie: „Może rejent mógłby odpowiedzieć jej na wszystkie nie rozstrzygnięte pytania? Przecież to człowiek wykształcony i inteligentny?”

– Panie rejencie, czy pan wierzy w życie pozagrobowe?

Niestety rejent potrząsnął tylko głową. Jego zdaniem wszystko kończyło się z śmiercią człowieka.

– Jeśli panią to interesuje, to mogę pani przysłać jakieś dzieła naukowe – rzekł, choć nie mógł sobie wyobrazić Kwiryny czytającej dzieło naukowe. W tej chwili spostrzegł na jej twarzy uśmiech politowania. Rzeczywiście! Miała się też kogo pytać o życie pozagrobowe. Tego lamparta, który na tamtym świecie może co najwyżej spotkać swoje maszynistki!... Już lepiej mówić z nim o interesach.

– Ja nie wiem, panie rejencie, czy nie zlikwiduję tego, co mam?... Tej pracowni, pakowni czy przetwórni?...

Ale rejent nagle zorientował się w sytuacji i sięgnął po najcięższy argument.

– Niewątpliwie nie byłoby to zgodne z życzeniem zmarłego Romana. Przecież pani pamięta, jak on się interesował pani planami, a mnie sam mówił, że taka praca da pani dużo zadowolenia. A czy nie mówił na przykład

o budowie domu?...

Kwiryna zasłoniła oczy ręką. Prawda! Nawet nie spojrziała na rejenta, tylko w rozstaniu odsunęła szklankę z nie wypitą herbatą, wstała i wyszła do sypialni.

XXV

Po nie przespanej nocy w wagonie podróży przesiedli się na małą wąskotorówkę, gorliwie pykającą i sapiącą, i pojechali w głąb kraju niczym w głąb łądu dziewiczego. Kolejka biegła przez środek potężnego lasu, gdzie ogromne drzewa zdawały się sięgać niebios i zastępować drogę wątlm szynom i śmiesznym, drżącym wagonikom. Dla kogoś takiego jak Bronka, kto całe życie spędził w mieście i podwarszawskich okolicach, było to wszystko wielkim objawieniem. Usadowiona przy oknie, przez cały czas tej podróży nie pisnęła ani słowa, a jej oczy stały się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej okrągłe. Ignacy drzemał, budził się, na dźwięk rozmów, zapalał papierosa i znów drzemał. Wagonik drugiej klasy był prawie pełny, ludzie wracali z miasta, jak się można było przekonać – z zebrzań przedwyborczych. Urzędnicy, administracja i ziemianie. Szeleściły odezwy, cyrkularze i inne papierzyska, padały te same co w stolicy słowa i „chytre” omówienia miejscowych kandydatów. W pewnej chwili Bronka spojrziała na Ignacego z zabawnym ubolewaniem. W przyległym przedziale padło i jego nazwisko i mógł usłyszeć na własne uszy, że to nazwisko otoczone jest już, legendą pochlebną i w pewnym sensie złowrogą. Wzruszył ramionami. Gaduły!

– Czy daleko jeszcze? – zapytała Bronka.

Ignacy zerknął na zegarek i nakazał powolutku „zbierać się”. To wcale jednak nie wróżyło końca podróży. Pociąg wlokł się i wlokł, przystając na -jakichś głuchych przystankach, przy tartakach czy wyrębach. W tym stanie rzeczy Ignacy zaniepokoił się losem nadanej depeszy. Po pierwsze – mogła nie dojść na czas, po drugie – mogła nie zastać adresata.

– Wszystko mi jedno – rzekła Bronka.

– Mamy jeszcze bagatelną podróż końmi, nie myśl sobie jednak, że to podróż na Mokotów.

Rzeczywiście, gdy przystanęli wśród rozległej łąki, nic nie zdawało się świadczyć, że depesza doszła i adresat był w domu. Jakiś wysoki człek w szarych samodziłach stał co prawda nie opodal, ale, odwrócony tyłem do stojącego właśnie pociągu, zdawał się interesować tylko pobliską kępą drzew, za którymi trajkotał młyn, ciągnęły się chałupy i murowane zabudowania dworskie. Ignacy z rozmachem rzucił walizkę w bujną tratwę i pomógł Bronce zeskoczyć z wysokiego stopnia. Po czym krzyknął bez przekonania,

półgłosem i raczej dla próby.

– Te, Wojtek!

Wysoki człek w samodziałach odwrócił się i odkrzyknął.

– Jak się masz, Ignaś!... Konie są, nie bój się!

Bronka, trzymając się w rezerwie, obserwowwała spod oka, jak obaj panowie zetknęli się, objęli i poszturchali po plecach, pokrzykując.

– He, he, chłopie!... no człowieku!... – i dopiero potem ogarnęli się oczyma, Ignacy rzekł „wykwintnie”.

– Pozwól no, Broniu? – I przedstawił swego towarzysza, Wojciechowskiego, obywatela „Wojtka” lub „Dyplomate”, która to ostatnia nazwa bynajmniej nie świadczyła o zdolnościach dyplomatycznych tegoż, a raczej o braku ich. Ignacy, w doskonałym humorze, perorował. – Podejrzewam nawet, że to się stało ową tajemniczą przyczyną, dla której obywatel Wojtek zarwał z cywilizacją i zaszył się „w głusz leśną” w randze podleśnego.

– No, no, dobra, synu, dobra! – rzekł tamten. I pochwalił się zaraz. – A ja panią znam!

– Skąd?!

– Z listów, jakie ten bohater smarował do pani „dniamy i nocamy” z wojska.

Ignacy szepnął szydereco:

– A co, nie mówiłem?... – Po czym krzyknął. – Wio, jazda! jedziemy? – i podsadził Bronkę na wysoki stopień bryczuszki.

– Zostałem je tutaj – rzeki zakłopotany Wojtek – bo się szelmy płoszą od tych kolejowych samowarków.

Skoro tylko znaleźli się w bryczce, „wszystko poszło jak po maśle”, według oświadczenia Ignacego, wyjąwszy tylko tego woreczka mąki z młyna i produktów od Berka, i raportu do dworu, z którym to raportem skoczył nie sam pan leśniczy, ale jakieś chłopię. Pijana ostrym powietrzem, Bronka uprzedziła, aby na nią nie liczono, bo będzie spać. Istotnie, kiwała się tak bardzo i tak bardzo leciała w bok, że Ignacy ogarnął ją ramieniem i dla pewności obetkał ze wszech stron pledem. Ukołysana ruchem bryczki głosami pokrzykujących przyjaciół, drzemiąc, wzdrygnęła się nagie od wielkiej ciszy i bezruchu. Bryczka stała w ogromnym lesie przed chatą, wokół której wykarczowano drzewa na rozległy sad. Na chwiejnych nogach dobrnęła do ganku i znalazła się w malutkim pokoiku, prawie ciemnym od krzewów, które pchały się na gwałt do wnętrza przez otwarte okno. W uszach jej szumiało, nieliczne sprzęty wirowały w kółko. Starła się zatrzymać i umiejscowić jeden z nich, najbardziej upragniony: łóżko – i ułożyła się ostrożnie, z zamkniętymi oczyma. Ignacy parsknął już w przyległej izbie lodowatą wodą i rażno pokrzykiwał:

– No, jakże ci tam? żyjesz?!

Nie wiadomo, co ją obudziło, że wstała o szarzejącym świetle i narzuciwszy obszerny, miękki sweter Ignacego, wymknęła się przed dom. Lekkie owale mgieł sunęły z ziemi ku górze, otulały drzewa i wznosiły się wyżej, powoli a wyżej, jak czarodziejska kurtyna w teatrze. Było jeszcze tak wcześnie, że ptaki spały w swych gniazdach, wiatr spał, słońce nie wzeszło, liście nie drgały od podmuchów. W tej wielkiej ciszy słychać było tylko szelest opadającej rosy, dźwięczny głos, jaki dawały obmyte dopiero co, rosiste drzewa. Rosiste drzewa! To tak wyglądało!... Rosa srebrnymi kroplami pada z drzew... Bronka długo stała nieruchoma, zanim w gęstwinie, w głębi, rozległ się nieśmiały a przeciągły gwizd pierwszego ptaka. Nagle jak strzała przemknął między rude pnie sosen błysk słońca. Coraz więcej głosów, poświsztów, brzęczeń... Bronka pośpiesznie wróciła o do chaty. W pierwszej izbie spał Ignacy z dramatycznie rozkrzyżowanymi ramionami, z głuchą twarzą, zupełnie inną. Dotknęła jego czoła i zaszeptała gwałtownie.

– Wstawaj, Ignas, wstawaj!

Naprzeciw – otwarte drzwi ukazywały wnętrze kuchni. Ogień płonął już na kominie i mocny zapach smolistych drzazg uderzał w nozdrza. Pod pewnymi względami było tu tak jak w kuchni na Nowolipiu. Odsunięte garnki z przegotowanym mlekiem i kawą stały na blasze, czajnik szumiął, a bochen chleba leżał na stole. Bronka znalazła kubki i łyżki w brązowo pomalowanej, niskiej szafce z szufladami na noże i widelce, sznurki, gwoździe i korki. Polewana, gliniana miska służy pewnie do mycia?... Doskonale dawała sobie radę w tym nowym i obcym domu i Ignacy rzekł:

– Tak jakbyś się tu urodziła!

Poza tym wszystko stawało się jakby samo, gdy szli w głąb lasu, Ignacy przodem a ona za nim, w głębokiej ciszy. Za jakąś tajemną i wzajemną zgodą nie wszczynali rozmowy o swoich sprawach, o żadnych sprawach. Po długim marszu, gdy odpoczywali, ziemia zdawała się kołysać lekko, a niebo nisko zasklepiało swe błękitne skrzydła. Leżąc, tak z dołu, jakimś przyziemnym a bliskim pojrzeniem można było odczuć i zobaczyć, i ogarnąć świat i ziemię, która rozchyłała się, rozstępowała po to tylko, aby rodzić olbrzymy i źdźbła. Jej twórczość była namiętna i prosta, pełna niezachwianego ładu i harmonii. O swej porze powstawała, wzburzona do głębi, rodziła, aby wreszcie jęknąć krwią i blaskiem jesieni. Niezliczone głosy ptaków unosiły się nad nią, chyże stopy zwierząt przemierzały ją lekko... Różowy świt zmieniał się w złote południe, nadchodził krwawy zachód. Zjawiał się błądy księżyc na ciemniejącym niebie, była pełnia, psy na leśniczówce biegały niespokojnie

wokół domu lub obsiadłszy ganek, z łbami wzniesionymi w górę, wyły w ostatniej rozpacz. U rzeźbionych okapów chat, nad okienkami, lśniły złote gwiazdy. Tu, jak ornament jedyny i niechybny, wisiały wieńce pachnących grzybów i małe snopki lnu, i pęki makówek. Ludzie mówili śpiewnymi głosami, a niezachwiana harmonia otoczenia używała się ich ciałom, ramionom, zdawali się wiedzieć, czemu żyją. Ale pieśń nadbiegająca od pracy, z pól, niosła w sobie długie zawrodożenie nad ciemną dolą życia, nad nieuniknionym jego biegiem. Tu, gdzieś między ich wytężoną pracą, między trudem w pocie czoła a tą pieśnią poddania, leżała tajemnica. Bronka nasłuchiwała. Bo już dawno przestała szukać różnorodnych wyjść za pomocą zewnętrznych posunięć i, zmian! Zerwać z Ignacym czy żyć z nim, zwinąć mieszkanie na dolnym Mokotowie i przenieść się do miasta, odszukać Tiessa, żyć po dawnemu?... To już nie miało znaczenia. Tu gdzieś leżała tajemnica i próbowała ją osiągnąć, nasłuchując, milcząc, tropiąc, z ramionami uległe opuszczonymi, z ciałem podatnym do przyjęcia jeszcze jednego kształtu, podobna nowicjuszcze, która chce podchwycić nieznany a prosty rytm. Ignacy rzekł:

– Ach, kobieto, ty masz tyle jeszcze przed sobą. Wszystko dla ciebie ciągle jest nowe!

Polował. Huk strzałów wiódł Bronkę w jego stronę. Szła w głąb lasu, zwracała, szła na przełaj. W jakimś miejscu ziemia rozstępowała się łagodnie i rozległa. W tym uroczym wgłębieniu, wśród pierścienia falujących zboczy, lśniła krągła kropla, wody. Tam bieżyły w dół niskie, kosmate sosny i wybujałe, fioletowe dzikie floksy, niby drogocenne kamienie wprawione w zielen. Białe obłoki, rozkochane w tym widoku, zawisły nieruchomo na niebie. Bronka przestała myśleć. Jej serce biło wielkimi, bolesnymi uderzeniami, lzy szybko podplnęły pod powieki. Poszła wyniosłym lesistym grzbietem, nad leśnymi jeziorami w dole, stromymi w różnorodną oprawę. Tu bieżyły w krąg białe brzozy o czerwonych, jesiennych splotach gałęzi, tu wierzby weszły w wodę, a jeszcze dalej głuche, opustoszałe jezioro z wyciętymi wokół drzewami. Szare, obumarłe już pnie sterczały w bagnistej ziemi, woda miała nieprzenikniony połysk i rozstępowała się wąsko jak materia pod dziobem łodzi Ignacego...

Przed gankiem leżał pęk ubitego ptactwa. Ignacy, w rozchełstanej koszuli, kroił kozikiem pajdy chleba i plastry brązowej wędzonki. Śpiewnie mówiąca dziewczyna, Anastazja, nie była gotowa z wieczerzą. Okna leśniczówki płonęły od zachodu, Bronka przycupnęła na stopniach, przebierając przyniesione rydze. Psy, zadyszane gonitwą, pokładły się plackiem, nieruchome, wodziły wzrokiem za ludźmi. Od czasu do czasu któryś tam sapnął głębokim, psim westchnieniem.

– Ignaś, dlaczego pies wzdycha?... co mu się wtedy wydaje?

– Kto go tam wie. Ale myślę, że wdycha tak samo jak człowiek.

Nagle wszystko zgasło, jakby ktoś zdmuchnął wielką lampę. Wszystko szszarzało. Ale czuło się za plecami ciepły dech domu, zaciszne wnętrza pod niskim belkowaniem pułapów. Bronka powstała, strzepnęła suknię i z sitem pełnym rydzów poszła pomagać Anastazji. Przez otwarte drzwi kuchni Ignacy widział jej twarz świeżo obmytą, niedbale zwinięte za uszami włosy i lekko odęte wargi. W ściśniętych palcach trzymała szczyptę soli i pochylona nad kuchnią, soliła grzyby, podrzucała je zreżniętym ogromnym nożem kuchennym. Mrok izby i ogień pod blachą wydobywał małe fragmenty jej twarzy, ramię i celebрующие dłonie. Ukazał jego oczom łagodny owal policzka i trochę zapadłą skróż, którą tak lubił czuć pod wargami. Zdawało się Ignacemu, że dobił do portu, że wygasły w nim nienasycone pragnienia i aspiracje, oddał się złudzie, że to rozległe domisko w lesie i ta kobieta będą mu służyć pod koniec dni. Taki wieczór, z czułością dla świata w sercu, to nieomal apoteoza! Huk siekiery od strony obórki umilkł. Zbliżał się Wojtek z stosem własnoręcznie porąbanych drewn na ramieniu. A jednak to chłopisko wybrało od razu!

Jego karabin, szabla i krzyż walecznych zdobiły ścianę nad łóżem przykrytym kocem, nie jak zamierzchnia przeszłość pełna chwały, ale jak dopiero co odwalona robota, której przed innymi i przede wszystkim należało dokonać. Gdy zdjął mundur, przywdział samodziół, taką samą bluzę i portki. Dlaczego nie miejską marynarczynę? Czemu nie wahał się, nie szukał i nie rzucał na oślep? Ponieważ jego instynkt kazał mu wybrać warunki, w których będzie mógł żyć i wyżyć się zgodnie z sobą, w harmonii i w rytmie, co znowu tworzy coś ostatecznego, ową pełnię, co sprawia, że człowiek jest wewnętrznie zadowolony. Te sprawy dla większości ludzi współczesnych były wprost nieosiągalne!... Można by powiedzieć bez przesady, że zadowolenie stało się obrazem głupca, pyszałka i ślepeca, ale nie człowieka serio. Ktoś, kto nie umie się krytycznie odnieść do swojej roboty, przepadł. Są jednak sprawy, do których trzeba się odnieść z żarliwością, nie podobna ich robić bez przekonania, ponieważ wtedy rozlążą się, z góry idą na przegrane. Ignacy miał to uczucie zabierając się do swej publicznej działalności. Tak. Miał je. Osiągnął je w sobie. Ale jego sprawy osobiste! Tu było to pęknięcie złowieszcze, ten zgrzyt.

No, przypuśćmy, że rozwidzie się z Magdaleną i ożeni się z Bronką. Czyż można ją sobie wyobrazić w współżyciu z tym nowym światem?... (Bronka akurat odwróciła się od ognia z patelnią dymiącą wonią ostrą grzybów, szła w stronę izby, blask z kuchni oświetlał ją z tyłu, sunęła: kształt ciemny i zwięzły, w obcisłej spódnicy, z twarzą niewidzialną, zatartą). Przypuśćmy, że rozstanie się z Bronką i zostanie przy Magdalenie, która tak świetnie umie celebrować, która zadowala jego pychę posiadacza, ale która

jest mu tak obca? Taki drobiazg jak jej bezpośrednie zwroty: rzadko nazywała go jego właściwym imieniem, zawsze je przybierała w jakiś akcent, skrót lub po prostu ochrzciła go inaczej, prawdopodobnie to, które nosił, wydało jej się zbyt pospolite. Drobiazg!... Ale to ją dobrze charakteryzowało, to mówiło o niej wręcz wszystko! Gotowa zawsze poświęcić istotę rzeczy dla formy. Nie żyje się z kobietą dla reprezentacji, dla świata, dla czegoś. Żyje się dla siebie.

– Ignasiu, prędko, bo wystygnie!

– Hej, Ignacy, do żłobu!

Przywołany, stanął nad stołem przykrytym płótnem, zastawionym glinianymi misami z jadłem, i objął Bronkę ramieniem. Była ciepła i miękka. „Nie, ja jej nie opuszczę – pomyślał Ignacy – nie po to po raz drugi wchodzę w jej życie, aby robić taką grandę...” I pełen uroczystego nastroju usiadł za stołem, nad którym płonęła lampa naftowa. Choćby dla tej lampy warto było tu przyjechać!... Oczy jego wypoczywały. Świat obrócił się nagle jakby koło osi i, widziany z innego miejsca, z wnętrza izby, stał się inny, ale niemniej piękny. Księżyc wisiał nad płotkiem, w całej swej pełni. Drżały gwiazdy. Za oknem rozciągały się pędy dzikiego wina, misterna i zawila sieć przyciągająca spojrzenia...

Nazajutrz wstał dziwny dzień. Ciepły, ale bezsłoneczny, z siwym niebem, nisko nawisłym. Ani drgnienia. Ptaki snuły się tuż nad ziemią, kryły pod okopami ganku. Nad rżyskiem płynęły gęsto smugi babiego lata. Czerwony las stał osępiały.

Ignacy zwiózł siano wespół z Wojtkiem. Za trzecim obrotem ujrzał Bronkę na stopniach ganku, uzbrojoną w igłę, nici i ogromny naparstek Anastazji. Naprawiała rękaw bluzy Wojtkowej, którą wczoraj Ignacy „pożyczył sobie” i rozdarł o sęk drzewa.

– Rzuć to i chodź ze mną!

Krzyknęła.

– Anastazjo! – rzuciła robotę tamtej w wyciągnięte ręce i chyżo podbiegła ku niemu. Ignacy był czemuś niespokojny, jakimś bezimiennym niepokojem o nic i o nikogo. Rzekł:

– No, powiedz, co za dzień!

Poszli naprzód, nad stawy, na groblę, która zawsze była tak wesoła, obrośnięta bujnie, strojna w szczawie i rumianki. Ale – czy zmylili drogę? Znaleźli się w nieznanym kręgu lasu wysokopiennego, bez poszycia, jakby pustego i schorzałego. Biegła tu wygodna, choć wąska droga, wyłożona okrągłakami, wyrównana nalotem szpilek sosnowych i ziemią. Ignacy gwizdnął.

– To mi pachnie wojną i Niemcem. Okupacją i rekwizycją.

Natykali się na miejsca zupełnie opustoszałe, pełne żalonych sosnowych

pni sterczących nago spod pożółkłego igliwia. Reszta, która potem szła, niedobitki, krzepkie na oko i niebotyczne, nie miały gałęzi. Schorzałe, żalosalne kikuty, niczym okaleczone ramiona, z rzadka dźwigały się w górę. Co u diabła! to przecie nie pogorzeliśko! Ignacy przyjrzał im się uważnie i twarz skurczyła mu się jakimś grymasem. Na pniach drzew, wokół, jak okiem sięgnąć, z jednej strony na wysokości człowieka bielily się głębokie, skośne, zdradliwe cięcia. Były już jakby nieżywe, zasklepione i nie bolące rany, ale widziane tak z bliska, dotykane drżącymi palcami sprawiały przejmujące wrażenie.

– Toczyli żywicę – szepnął Ignacy – o dranie, dranie, dranie!...

Nacinali uważnie i systematycznie, i chytrze w miejsca umiejętnie wybrane, obfite i toczyli żywicę jak krew z żywego organizmu. Pobity, obumarły las, który już nigdy nie powstanie. Okaleczone drzewa, jak okaleczali ludzie, rany nie zagojone. Ignacy spojrział na Bronkę. Błada, o zbiegłych wargach, uśmiechała się żałośnie rozdzierającym, prawdomównym uśmiechem. Zobaczył ją przy tych drzewach tak samo okaleczała w tajemnym, najgłębszym sensie, w swej istocie. Ujrzał ją, dziecko jeszcze, na Nowolipkach, bytującą w jakiejś smudze miłości, która wiodła ją od powaśnionych matki i ojca do zrozpaczonej Marii, przycichłego Mietka, tragicznej Frani i zaplutego, cuchnącego potworka bawiącego się pod kasztanem – aby wreszcie palący bukiet tych uczuć złożyć jemu. Była miłością... I nic już nie czuł w tej chwili prócz straszliwego współczucia i bólu, tak jakby i on został dosięgnięty i zraniony. Objął ją. Ich serca biły głośnymi stukami, a skurcz ścisnął gardła. Było w tym wszystkim jakieś. przebacz mi! przebacz sobie! przebacz życiu! i zrozumienie przesywająco bliskie.

To cmentarzysko, skazane już na zagładę, ulegało powolnemu wyrębowi. Oto znaleźli się na skraju lasu ogołoconego a pełnego ułożonych równo sążni. Pobite olbrzymy staczały się po pochyłości i nie osiągnąwszy dna, zatrzymane przez krzewy i pnie, tworzyły bezładne pobojowisko, to miejsce było całe rdzawe, rude, czerwone, tylko wióry i odpadki od obróbki pni tworzyły siwe plamy. Te resztki poddane działaniu słońca, deszczu i powietrza, spłowiwały, zszarzały, aż do połyskliwych odcieni błękitu. Wrzosa bujnie kwitnące, nalot pożółkłych liści, poczerwieniałe krzaczki jagód, tony coraz głębsze, znieruchomiałe, jakby już ostateczne. Ignacy schylił się, zdjął ostrożnie spod liścia napęczniałą z soków poziomkę i podał ją Bronce.

– Jaka słodka!

– Ostatnia.

Głosy ich padły, stłumione, nie naruszając martwej ciszy. Od stawu podniósł się ostry, przesywający krzyk rybitw. Ignacy szepnął:

– Wracajmy!

Suche gałęzie trzaskały pod ich krokami. Musieli wejść z powrotem pod górę i słycać było urywany, przyspieszony oddech Bronki. Nagle jakby machnęła nad sobą ręką, jakby przestała udawać, jakby opadła z sił, doszedłszy do siebie tylko wiadomego końca. Lecz uśmiechała się łagodnie i przeprasząc, gdy odpoczywali na szczycie. Mieli przed sobą, nisko, ową rudą i spłowiłą dolinę, piękną i melancholijną, i patrzyli, jakby chcąc zapamiętać ten widok na zawsze. Ignacy, z głową złożoną na kolanach Bronki, rozmyślał, czyby nie udało się zostać tu jeszcze parę dni?...

Ale to był ostatni ich wieczór na leśniczówce. Z daleka przed gankiem ujrzeli powóz z parą koni, a na ich spotkanie wyszedł z izby w towarzystwie Wojciechowskiego młody człowiek w sztylpach, pięknym garniturze sportowo-ziemiańskim i z całym tym nieuchwytnym wzięciem pana na swych śmieciach. „Okazał się być” synem dziedzica, a niski pan w czarnych uroczystościach – miejscowym starostą powiatu.

– Od wczoraj alarmuje nas telefonicznie Warszawa!... Gdybyśmy wiedzieli!... Ależ państwu musiało tu być bardzo niewygodnie!...

Ignacy, w starych drelichach Wojciechowskiego, nagle i nieuchwytnie zmieniony, podziękował, a potem spytał kwaśno:

– Kto, u licha, mógł wiedzieć?...

I urwał w połowie zdania. Starosta podchwycił.

– O ile mogłem wywnioskować, informacji zasięgnięto u małżonki pana, moja żona miała ją zaszczyt poznać przy wspólnej pracy społecznej.

Magdalena!... Bronka z błyskiem humoru w oczach spojrzała na Ignacego. Ale od czasów pamiętnego spotkania na kweście w cukierni Ignacy zmienił się tak dalece, że ta sytuacja nie zakłopotwała go. Sposób, w jaki dokonał ceremoniału przedstawienia, zmusił zmieszanych panów do namaszczonego pochylenia się do jej ręki. Spłoszona Anastazja nakrywała pośpiesznie do stołu. „Niedyplomatyczny” Wojciechowski milczał jak grób. Starosta znacząco spoglądał co chwila na zegarek.

– Obawiam się, że nie dość jasno poinformowałem pana. Punkt ósma mamy mieć połączenie starostwa z stolicą i prezydium. Jeśli się pośpieszymy...

– Konie do dyspozycji – rzekł młody dziedzic. Wyglądało to raczej na uprowadzenie z eskortą niż na usługę oddaną „interesom publicznym”. W powietrzu unosiły się tytuły. Nie mówiono „panie pośle” nie dlatego, iż to było przedczesne, ale ponieważ okazywało się już za małe w połączeniu z nazwiskami rozmówców telefonicznie tropiących Ignacego. Jeśli nie przyjechał tu sam wojewoda, lecz starosta, to tylko dlatego, że był akurat na urlopie. Starosta rozumiał w jednej chwili atmosferę tego nie tylko bliskiego posłowania, ale przodownictwa politycznego Piędzickiego. Jednakże brak tytułów okropnie utrudniał mu rozmowę. Przy słowie „pan” namaszczał głos

tak, jakby już, z góry kładł w nie wszystkie przypuszczalne godności oczekujące tego dziwnego gościa. Ignacy przerwał tę sytuację dość sucho, przepraszając, że musi się przebrać i przygotować do drogi. Wojciechowski zaprosił panów tymczasem „na małą przekąskę”.

W małym pokoiku Bronka już pakowała walizę.

XXVI

Niedziela, można nie patrzeć na kalendarz. Od wczesnego ranka cicha uliczka przed drewniakami rozbrzmiewa muzyką. Ludzie z brzękiem otwierają lufciki, dzieciaki tworzą ściste koło, przechodnie zatrzymują się. Niedzielny ranek, jest wesoło, po sobotniej wypłacie szykują się lepsze obiady, człowiek jest pełen otuchy, a przez to i dobroci. Muzykanci o tym wiedzą. Gdzież masz szukać hojniejszej ręki, jak nie tu, wśród swoich? Gdzież cię tak od razu poznają? Bezrobocie i redukcje wyгнаły niejednego z warsztatu, fabryki czy nawet urzędu... na ulicę z instrumentem w ręku.

Drewniak z lewej strony opustoszał. Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim wprowadzą się tu nowi ludzie. Tu, gdzie popełniono morderstwo. Którejś nocy huk strzału przerwał zwykłą sobotnią kłótnię. Rozległ się przerażający krzyk dzieci. Bronka zerwała się z pierwszego snu i przysiadła na tapczanie. W ciemności oczy jej doskonale widziały wszystko, co się tam działo, można to było sobie wyobrazić z przerażającą jasnością. Ale nie czuła ani bólu, ani współczucia, tylko wielką ulgę. W ciszy, jaka potem zapadła, słychać było trzask odmykanych drzwi i okien, szybkie kroki sąsiadów i wreszcie gwizdek policjanta. Ta nieszczęsna nie będzie już cierpieć przez żadną sobotnią noc, wieczny jej pokój, wieczne odpoczywanie. To był jeden z tych związków nędzy, których nie rozwiąże nikt i nic – prócz śmierci. Tak, ale ona pewnie wolałaby żyć, żyć życiem najmarniejszym, ale żyć!...

A teraz piszczy klarnet między drewniakami a ozdobnymi kratami will. Do diabła, to się wwierca człowiekowi we wnętrzości! Bronka powstała, zawinęła drobniaki i rzuciła je z rozmachem. Dało to skutek. Klarnet nie zaczął drugiego popisowego numeru, którym był. „Ty, ty moje marzenie!”

W pokoju czuć było wczorajsze papierosy, stos gazet rósł koło tapczanu, jednym słowem, wszystko nieomal jak „przed Ignasiem”. Ten epokowy powrót i romans nie stał się, niestety, nową epoką jej życia... Po daremnym oczekiwaniu pies Dżek przeniósł się pod inne okno, wystawia czuły nos pod inne, lepsze kąski. Nie trzeba wiele, aby świat o tobie zapomniął.

Telefon zaterkotał, raz, drugi i trzeci. Zanim się namyśliła, żeby wstać, umilkł. Kto też to mógł dzwonić? Przez chwilę interesowało ją to pytanie, bardzo żałowała, że nie podeszła. Ignacy!... Ignacy spędza niedzielę na łonie

rodziny, kto wie, może nawet wyjechał na wieś do wciąż „ciężko chorej” teściowej... Ostatecznie, kawalerkę urządziła mu Cechna Meysztor, fachman od takich rzeczy. Bronka poszła tam pewnego wieczoru w odwiedziny, z bukietem fiołków, starannie tym razem ubrana, i siedząc w pięknym i zacisznym wnętrzu, przy stoliczku, który usługujący dryblas zastawił prędko i zęcznie, doznała dziwnego uczucia. Jakże to byłoby przyjemne, żeby jej z tym interesującym pod pewnymi względami Ignacym nic nie łączyło, żadne przeżycia, prócz takiej randki przygodnej! Nastrój robił się sam, patrzyli na siebie nowym, ciekawym spojrzeniem, nie poruszali żadnych przykrych tematów i zapadały chwile milczeń, w których trudno było oczy od siebie oderwać. Ignacy rzekł.

– Parę razy dałaś mi przeżyć coś, czego się nie zapomina.

To brzmiało nieomal jak podzwonne.

Tak, czas już, wysnuło się samo. Uczuła to bardzo silnie w czasie powrotu ze wsi, w czasie krótkiego postoju w miasteczku i starostwie. Ignacy – oficjalny, zwarty w sobie, niby uprzejmy, a trzymający każde słowo na wodzy, wytwarzający nieuchwytny dystans między sobą a ludźmi, Ignacy z „kurierków”, Ignacy przed mikrofonem, Ignacy przemawiający na wiecu, Ignacy przemawiający na komisji, w sejmie, przecinający wstęgę na wystawie, goszczący w swoim macierzystym pułku... (Wojciechowski nie przyjechał.) Ignacy pchany już teraz tylko niewidzialną a potężną ręką, wśród nadarzających się spraw i okoliczności. Gdy się dobrze nad tą sprawą namyślić, to jego pierwszy krok – ach, pierwszy krok szczęśliwy i decydujący to była owa zamierzchła sprawa zmiany czapek, z progimnazjum na Chrzanowskiego, granatową na błękitną. Mietek także bardzo a bardzo chciał zmienić czapkę, ale „nie mieli na to środków”. Można by powiedzieć, że przez te „środki” miłość ojczyzny stała się u Ignacego bardziej aktywna i realna i pozwoliła mu włożyć czapkę legionów akurat wtedy, gdy Mietek stanął przy warsztacie, „obarczony rodziną”. Jedynym czynem patriotycznym Mietka był strajk szkolny i cios kolbą karabinu w twarz, po którym to ciosie ostała mu się biała blizna na twarzy. Z tą blizną zginęli Mossakowscy w odmgocie Rosji.

Ignacy zmienił sferę, zmienił partię, zmienił organizację. Nie mówił już o udziale jak najszerzych warstw w pracy dla państwa. Przez kilka tygodni Bronka przerzucała gazety, ale nie było mowy ani o reformie rolnej, ani o domenie pracy²², ani o... Była mowa o zmianie ordynacji wyborczej. Na samym wierzchu stosu leżała gazeta odwrócona akurat na stronie, gdzie poseł Piędzicki na uroczystej inauguracji roku w szkole rzemieślniczej. Ależ to nieomal męska Magdalena.

– *Nie otchadi, ostań sa mnoju!*... – zanuciła nagle niskim, głębokim

²²*Domena pracy – dziedzina pracy.*

głosem.

Przerwał jej, jakby do wtóru, dźwięk gitary, pierwszy akord, jakim grajek próbuje instrument, wstęp dla słuchaczy, coś znanego. Takimi oderwanymi tonami buczał pokój na Nowolipkach w dzień prób zespołu Mietka. Odezwały się krótko i płócho skrzypce, sapnęła harmonia, poważnie przytaknęła wiolonczela. Wreszcie brzęknęły miedziane talerze, huknął bęben i fala dźwięków runęła na świat. Od tego wstrząsu kilka ostatnich, zeschłych liści jabłoni przemknęło za oknem, uniesione wiatrem. Bronka z ramionami pod głową, z oczyma przymkniętymi, wyciągnięta, nasłuchiwała. Musiał to być duży i doskonały zespół, zgrany i czujny, bo zawrotne kręgi muzyczne opadały nagle i miękko, tak czule i zwinnie a szumnie, zwracały tak misternie jak zakochane ramiona, którymi tancerz wiedzie swą dziewczynę. Było w tym coś znanego, coś odurzającego! Bronka zerwała się na równe nogi i zaciskając szlafrok na piersiach, podbiegła do okna. Walc „Piękne róże!”... Zespół! I osuwając się na kolana, z głową na parapecie okna, szepnęła z osłupieniem.

– Zeszli na ulicę!...

Przyjrzała im się, jak stali w krąg, otoczeni tłumem ludzi, na wprost otwartych okien, ci sami i inni. Z dawnego zespołu została pani Eugenia i ona to zdawała się dzierżyć pałeczkę kapelmistrza. Jej głowa i ręce prowadziły chór małymi, niewidocznymi prawie gestami, tak jak to robił Mietek. Obok niej – ten mały zgarbiony pan w wytartym palcie. Kto to? Pan Kocio, pan Michał, pan Karol z dawnego zespołu? Bronka jęknęła. Twarz pani Eugenii była pracowicie zrobiona, ale wędrówki po podwórzach zdmuchnęły puder, rozpuściły róż. Włosy ufarbowane. Zrudziały берет kokietyrjnie przechylony na ucho, jaskrawa bluzka pod czarnym żakiecikiem. Tęgie, jakby spuchnięte dłonie trzymały skrzypce i smyczek, drząc. Pani Eugenia kołysała biodrami, wybijała takt nogą, nawet jakby podśpiewywała. Spod zmarszczonych, grubych powiek oczy skrytym spojrzeniem śledziły zbawcze okna, pełne zasłuchanych. Bronka uczuła mdłości, gorzka ślina wypełniła jej usta, a oczy zsunęły się w ciemność. Powtarzała.

– Mój Boże, zeszli na ulicę... na ulicę!

Ale tony płynęły swoim czarującym nurtem, nic nie roniąc z swego wesela i piękności. I usłyszała plusk wody, ujrzała karłowate, skręcone wierzybnadwiślańskie, brzeg, po którym biegła z Ignasiem, trzymając się za ręce, ujrzała siebie w błękitnej sukni z bufiastymi rękawkami i tamtą chwilę, gdy zdjęta wstydem, pragnieniem i miłością padła twarzą na jego pierś. Oczy jej, pamięć, drzące dłonie wypełniły się nagle tłumem zmarłych, ludzi i uczuć, drzew i pieśni. Tony upadały, cichły, aż zgasły w końcowym akordzie. Ktoś dał brawo, skąpe miedzianki brzęknęły o bruk. Młodzieniec od bębna zebrał je i oddał starszemu panu ze skrzypcami. Oczy tamtego, wybladłe, stare,

stroskane oczy, przesunęły się po oknach, wzwyż, w górę, aż dosięgły skrytym spojrzeniem jesiennego nieba. Pani Eugenia lekkim gestem podrzuciła głowę i musiała powiedzieć jakiś żart, jej towarzysze roześmieli się. Poprawiła beret i stuknęła smyczkiem w deskę skrzypiec. Zabrzęczał cichy akompaniament mandolin. Wysunęła się naprzód młoda dziewczyna w płaszczu zapiętym pod szyję, podniosła głowę, jej sąsiad kaszlnął i chrząknął. Zaśpiewali czystymi, dobrze postawionymi głosami.

*Już nie kocham cię
miłością pierwszą,
już nie kocham cię
myślą najszerszą.*

Jeszcze jeden głos męski dołączył się i poderwał chór. Pani Eugenia w rozmarzeniu kołysała głową. Nagle schwyciła skrzypce wyżej, pod brodę, aby dodać i ich głos strzelistej tęsknoty do żalosej pieśni podwórza.

*Wiosna młodych lat
minęła wcześniej.
I już – nie wskrzesźnie
ten dawny świat!*

– To w sam raz dla nas – zamruczała Bronka. Oczy jej zgasły. – Jakby ktoś specjalnie napisał...

Ścisnęła portmonetkę w dłoniach, zaczerwieniła się i wysypała pieniądze w oddartą gazetę. Zaczerwieniła się na myśl, że oto im rzuci pieniądze z góry, skryta za parapetem okna, ona – im. Może jutro, za dzień, dwa, już nie potrafi zaczerwienić się i odczuwać przykrości.

*Jak żyć mi trudno
z miłością białą...*

Patrzyła z zimną uwagą na pooraną, zmarszczoną i pofałdowaną twarz pani Eugenii. Ujrzała upływający czas, po raz pierwszy jako coś cielesnego, dotykającego, na twarzy tamtej i na swojej twarzy, i w sobie. To obojętne, mądre spojrzenie spod nawisłych, uczernionych powiek, opuszczone kąty ust, drżące palce... Oto dystans czasu dzielący ich wszystkich od owej majówki na Bielanych! Uczuła straszne znużenie, jak to dobrze, że dziś nie potrzebuje się ubierać, wychodzić, że na nikogo nie czeka!...

Muzykanci ociągając się i rozglądając zawijali instrumenty w czarne pokrowce. Nadchodziła pora południa. Czy ta liczna kompania zarobi na

obiad? Bronka podniosła ramię i rzuciła swój dar, tak jak się rzuca kamień w wodę. Oto, co już tylko mogła dać swym wspomnieniom młodości.

W tym samym czasie Ignacy wyszedł z jakiejś porannej fety ratuszowej i wchodząc do pięknej, nowej maszyny rzucił:

– Na Mokotów!

Pytające spojrzenie szofera przypomniało mu, że ten nie zna bliższego adresu, że jedzie tam po raz pierwszy. Udzielił mu wskazówek głosem z miejsca zniecierpliwionym i tak samo niecierpliwie mościł się i szukał dogodnego miejsca na poduszkach. Auto poderwało się lekko, niemal bez szmeru.

Znów nawiedził go kompleks Bronki! Przeszkadzało mu to myśleć i pracować i najłatwiejsze było pojechać tam. Pojechać tam, aby spędzić jakąś godzinę niewypowiedzianych pretensji i zaprzeczeń i uspokoić się samym stwierdzeniem, że wszystko jest bez zmiany. Gdyby Bronka chciała okazać choć trochę dobrej woli, ostatecznie mogliby się jakoś urządzić. Wysiadł przed furtką i bez jednego spojrzenia minął swój ulubiony dziedziniec. Od stróżówki kłaniał mu się uniżenie dozorca.

Bronka zerwała się na dźwięk dzwonka, podbiegła, podniosła nawet rękę do zatrasku. Ale w tej chwili podniecenie opadło z niej niczym łachman. Ostrożnie odsunęła judasza i spojrzała jednym okiem. Na tej wysokości widziało się tylko, mały, błyszczący guzik i kawałek ciemnego odzienia. To nie był Ignas, gonila za urojeniem. Wyciągała ręce do kogoś nie istniejącego już, a może nie istniejącego naprawdę nigdy? To nie był Ignas z lat młodości. Obcy człowiek, zupełnie obcy, pan poseł Piędzicki, przyszła persona grata²³, krocząca swoją niezrozumiałą drogą. Szeptęła w głębi siebie.

– Idź sam!

Stali w milczeniu, po obu stronach progu, oddzieleni czerwonymi drzwiami, nic już o sobie nie wiedząc. Usłyszała niecierpliwie uderzenie stopą. Kroki na kamiennych schodach, kroki na chodniku wzdłuż trawnika. Łoskot furtki. Nasłuchiwała z natężeniem.

Potem wróciła na tapczan.

XXVII

Rozległ się pośpieszny stuk obcasów, ciotka wpadła do pokoju z pogrzebaczem w ręku, ciężko dysząc, z twarzą zbiełałą. Kwiryna z niechęcią podniosła głowę znad stolika, na którym teczki i rachunki leżały nie tknięte, tak samo jak przed godziną, jak wczoraj i jak tydzień temu. Znów ciotka zaczyna swoje sztuczki!...

²³Persona grata (lac.) – ważna osoba.

– Co się ciotce stało?

– Ach, Boże, Boże, widziałam Romana! Roman mi się ukazał!

Kwiryna spojrzała na nią drwiąco, podeszła do okna nawet jej się spojrzeć na tę wariatkę nie chciało. Gdyby nie te ciągłe alarmy i awantury ciotki, dawno by doszła z sobą do ładu i znalazła jakieś wyjście z swego okropnego położenia.

– Idę akurat tutaj żeby przegarnąć popiół i rozpalić w piecu, a tu ktoś w ciemnym korytarzu wzdycha. Myślałam, że to Kwiryna, pchnęłam drzwi do saloniku i wtedy jakby ktoś trącił mnie w ramię, aż się otarł o mnie! Ale czy to pierwszy raz! – Ciotka opadła na stół koło pieca i szepnęła. – Nic Kwirynie nie mówiłam, bo myślę sobie: po co ją mam straszyć? nieraz wieczorem w domu wytrzymać nie można! Już wolałam siedzieć w sklepie.

Kwiryna, wpatrzona w wirujące płatki śniegowe za oknem, odpowiedziała powoli:

– Wolała ciotka siedzieć w sklepie? Nie trzeba było wyprawiać takich awantur z personelem. Ludzie wytrzymać nie mogli.

Ciotka zdumiała się.

– Jak to, czy Kwiryńcia nie nakazywała mi, aby pilnować „tych złodziei”?

Kwiryna, w swojej własnej pułapce, rozgniewała się.

– Tak nie powiedziałam! Zresztą, ja ciocię o coś poproszę: dam cioci trochę pieniędzy i niech się ciotka inaczej urządzi. Nie mam do ciotki głowy!

Ciotka otworzyła usta i spojrzała na nią, po czym rzekła stanowczo.

– Ale, Kwiryńciu, ja nie mogę tego zrobić!

– Nie może ciotka? – spytała oszołomiona Kwiryna.

– Nie! choćbym chciała, Bóg świadkiem, nie mogę! – Podniosła w górę rękę uzbrojoną pogrzebaczem i szepnęła z wysiłkiem. – Przysięgam Romanowi na śmiertelnym łożu, że Kwiryny nie zostawię samej!

Kwiryna zbladła.

– Ciociu, jak to było? Co on mówił?

Dopytywała się z takim głodem i pragnieniem w głosie, że ciotka, układając drwa w piecu, bała się na nią spojrzeć i starała się opowiadać najzwyczajniej w świecie.

– Jak Kwiryna wyszła do kuchni, skinął na mnie i mówi: Niech mi ciocia przyrzeknie, że gdyby się coś stało ze mną, nie opuści ciocia Kwiryny, Kwiryna, powiada, jest nieraz dokuczliwa – ale w gruncie rzeczy dobra! Więc ma się rozumieć, ja obróciłam wszystko w żart. Co się Romanowi troi! – powiedziałam – co się ma stać!

Kwiryna znów stała przy oknie. Śnieg padał coraz gęstszy. Na ulicy było prawie pusto. Ciotka głądziła coś dalej, ale Kwiryna nie słuchała jej wcale. Z niecierpliwością oczekiwała, aż tamta rozpali w piecu i pójdzie sobie. Skrycie

załamywała ręce. Ach, mój Boże! Ciągłe natykała się teraz na jakąś troskę Romana o nią, ludzie spotykani ciągle powtarzali jej jakieś słowa, które świadczyły, jak on o niej myślał, jak zapobiegał, jak ją inaczej osądzał i szczydził przed ludźmi! Jej ból nie mógł usnąć, ciągle go rozdrapywali na nowo! Im więcej czasu upływało od jego śmierci, tym było z nią gorzej. Przypominała sobie każdą sprzeczkę, każde słowo, gniew i zrywała się szepcząc.

– Gdybym wiedziała to, co teraz wiem, gdybym wiedziała!

Oczy jej się otworzyły. Roman umarł, aby jej otworzyć oczy. To stało się ich sprawą, sprawą między nimi. Przecież sama kiedyś krzyknęła. „To jest sprawa między mną a Romanem, na śmierć i życie!” Przeklęte słowa. Jak ona tak mogła w złą chwilę powiedzieć!

Ciotka, wystraszona jej milczeniem, zbliżyła się i w świetle latarni ulicznej ujrzała jej twarz wzburzoną, skurczoną, z zagryzionymi do krwi wargami. Na to się nie można było patrzeć i ciotka jęła błagać.

– Kwiryńciu, niech Kwiryńcia zapłacz, na miłość boską, niech zapłacz!...

Kwiryna z wysiłkiem przelknęła ślinę i rzekła przez ściśnięte gardło.

– Żebym teraz oczy wyplakała, to i tak nic nie pomoże.

Ale współczucie ciotki przyniosło jej ulgę. Ogień już trzeszczał w piecu. Uspokoila się i poprosiła o herbatę, przysiadła na małym stołeczku koło otwartych drzwiczek i pogrążyła się w swych myślach. Ciotka wyszła na palcach. Wolala już siedzieć z dziewczyną w kuchni niż w tej wspaniałej sypialni, która wyglądała teraz jak grób.

– O ironio losu! – westchnęła ciotka. – Na cóż Kwiryńcie teraz ta koronkowa pościel?

Stukając długo łyżeczką o kostkę cukru Kwiryńca patrzyła bezmyślnie w ogień. Roman powiedział szewcowej.

– Nie mogę pani sam zniżyć komornego, ale pomówię z żoną. – Roman powiedział inżynierowi. – Żona mówiła mi, żeby się pan nie śpieszył z komornym, jeśli panu teraz ciężko, możemy poczekać!...

Pani Bauman ze szpitala wspomniała, że kiedyś opowiedziała mu o jakiejś poparzonej dziewczynie przywiezionej przez pogotowie. Dzień w dzień się o nią dopytywał!...

– Czy pani myśli, pani Bauman, że ją uratują? – A gdy już było lepiej, zawinął torbę pomarańcz („Były tej zimy drogie” – pomyślała Kwiryńca) i szepnęła mrugając okiem. – To od mojej żony.

Kwiryna obejrzała się po pokoju. Jak tu pusto, a przecież wszystko stoi na swoim miejscu. Roman wszedł do szewcowej i zapytał.

– Co tu u pani tak ciemno? Czy elektryczność zepsuta? – Szewcowa nawet nie podniosła się ze swego stoika, tylko odpowiedziała.

– Ee, nie, nic nie zepsute! – Roman wyszedł i wrócił z żarówką, wkręcił ją i pstryknął kontaktem. („Na co ludziom te nowoczesne wygodny, jak nie stać ich na żarówkę?” – pomyślała Kwiryna. – Na co się tu porywać? – szepnęła z niechęcią). Ale gdy jej to szewcowa opowiadała wspominając Romana, Kwiryna widziała go jak żywego, gdy wchodził na stół i wkręcał żarówkę. Serce jej biło. Ta szewcowa doskonale umiała naśladować głos Romana i jego ruchy. Pstryknął kontaktem jak magik.

No, dobrze. Tu żarówka, tu pomarańcze, tu komorne. Ale przecież lokatorom z nowej oficyny nic nie potrzebował dawać, tym bogaczom. A jednak dentystka przysłała tu z kondolencją i powiedziała.

– Mąż pani miał tyle serca dla ludzi, że został w ich sercach.

Został w ich sercach!... Tułuby padły na swym złocie i ludzie wcale o nich nie mówili, tylko ze zgrozą o morderstwie. Ona, rodzona ich córka, w pierwszej zaraz chwili rzuciła się do blaszank z landrynkami, gdzie chowali swoje złoto. Takie z niej było ciemne bydłatko, ręce jej się trzęsły, nie z przestrachu ani żalu nad pomordowanymi, tylko z obawy, żeby ludzie nie odkryli i nie dowiedzieli się o jej majątku. Ale Roman coś zrobił ze swego życia, niczego nie potrzebuje żałować, gdziekolwiek jest, może ręce założyć spokojnie i odpoczywać w pokoju. Ona się tylko męczy i nie wie, jak żyć, z jej naturą to nie takie proste.

Drzwi skrzypnęły, ciotka weszła do pokoju, znów z czymś nowym.

– Ach, Kwiryno, co się dzieje u inżynierów!... Poszłam tam po klucz od góry...

– Niech ciotka mówi krótko, zresztą co mnie to obchodzi? Dość mam swoich zmartwień.

– Właśnie, po co ja to mówię? Pojutrze mają licytować fabrykę. Już i tak maszyny sprzedali. Inżynierowa mówiła mi, że jej mąż płakał jak dziecko, gdy maszyny wynosili.

– Wiedziałam, że tak będzie! – szepnęła Kwiryna – pamięta ciocia? Wtedy gdy się oficynka zarysowała, a on przyszedł z komisją i dał się ludziom strajlować. Od razu powiedziałam sobie, że on do niczego w życiu nie dojdzie i nic w życiu nie osiągnie.

– Tak, ale kto by to wytrzymał – rzekła ciotka machając pogrzebaczem. – Te podatki, te kasy chorych! Dostał trochę roboty, to znów nie tak wiele, bo domu nawet nie wykończył.

– A widzi ciotka! – szepnęła gorzko Kwiryna. – A wam się zdaje, że to tak łatwo. Ale auto sobie kupili, co? – Nagle drgnęła i zawołała. – Przecież on ma tę fabrykę na Mokotowie!

Ciotka osłupiała.

– No to co?

Kwiryna zerwała się i popchnęła ją ku drzwiom.

– Prędko, niech ciotka go tu poprosi! Jak to co? Jaka ciotka jest głupia, to pojęcie przechodzi! Przecież ja mogę nie dopuścić do licytacji, odkupić i założyć tam swoją fabryczkę! Niech mu ciotka powie, że ważny interes! Albo – niech mu ciotka nic nie mówi.

Popychała ją, szła trop w trop, zawróciła od drzwi, przyczesала włosy i spięła je szpilką, bo odrosły. Robiąc to wszystko mówiła sobie samej z uniesieniem:

– Ja mu pokażę! Ja mu jeszcze pokażę!

– Komu, komu, komu?... Romanowi.

– Ja mu pokażę, że można to wszystko zrobić inaczej!

Nie umie trząść się nad ludźmi, litować się i załamywać rąk, i czekać końca. Ale potrafi pokierować sprawami, umie zakasać rękawy i ma pieniądze. Nagle jakby się w niej jakaś luka otworzyła, a w głowie pojaśniało. Ma pieniądze! Komu je zostawi? Garbatej ciotce, która sobie sprawi pięćdziesiąt kokard do biustu, podwyższy jeszcze obcasiki i będzie się darła z ludźmi jak pies z kotem?...

– Zaryzykuj!... – krzyknęła nieomal głośno Kwiryna. Ręce jej się trzęsły, twarz płonęła, myśli rodziły się błyskawicznie. Robić, robić, robić na gwałt! W tej chwili uniesienia miała cały plan gotowy, od razu. Nigdy jeszcze nie przeżywała takich emocji, bo na kogoż to stawia całą swoją stawkę, cały swój majątek? Na kupę niedołęgów, na zbankrutowanego inżyniera, na nie douczoną nauczycielkę, na tego blacharza, który nie umiał zreparować przeciekającego dachu nad swoją własną głową. Jęknęła. och, och!... bo ten blacharz, ta mała Antośka, ta blacharzowa płacziwa najdotkliwiej zaszyli się pod jej skórę. To ci sami, którym Roman dał pieniądze, ściągnięte z domu, na kupno mieszkania, a oni te pieniądze przetrwonili. Dawać pieniądze – to nie sztuka! Ale zrobić tak, żeby blacharz zaczął znów pracować, żeby Antośka chodziła do szkoły, a blacharzowa zamiast cudzych brudów prała swoje własne! Żeby blacharz sam wyniósł się z baraków, sam zapragnął pokoju z kuchnią i porządnego życia – to jest sztuka!

Inżynier jakoś nie nadchodził. Kwiryna usiadła w fotelu, ale z uczuciem, że ziemia pali się pod jej stopami. Śnieg padał coraz gęściej, suche i lekkie a ogromne, płatki wirowały za szybą. Czarne dachy Nowolipia pokryły się bielą, a ruch uliczny na Karmelickiej przycichł, przytłumiony, jakby zgaszony. W tej bieli światła latarń i wystaw jęły błyskać pozłociście. Kiedyś już przeżyła taką chwilę, stała tu przy oknie i patrzyła w Nowolipie... To było zaraz jakoś po kupnie domu od Majewskich. Usiłowała sobie przypomnieć, o czym wówczas myślała – ach! posprzeczała się wtedy z Romanem o cukier dla blondynki i stojąc tu z swym dramatem doznała mocy, pociechy i triumfu, że ten dom jest jej, że panuje nad Romanem, że go pokona i zgniecie, jak będzie chciała. Ściągnęła brwi, uczuła w sobie te dawne niepokoje, wstręt

Romana, zastrachany głos ciotki, swoje rozdarcie między miłością a skąpstwem, swój bunt i wściekłość. Wszystkie obliczenia ją zawiodły, nic nie pozostało z tych uczuć, przetrwała tylko miłość jej i Romana! I nagle ogarnął ją taki spokój, po tylu dniach męczarni, taki niewysłowny spokój, że aż ręce złożyła jak do modlitwy. Teraz już wie, co ma zrobić, i zgadza się na to w głębi swojej duszy. Jest jakiś inny świat i spotka się tam kiedyś z Romanem bez strachu, i znów się obejmą w swojej wielkiej miłości. Nagle stały się jej zrozumiałe wszystkie błędy i samo życie. Miało to być jak przedśmiatek do innego, długa próba, długie chłostanie i walka, aż człowiek stanie się człowiekiem. Póki życia człowieczego, póty tej nauki.

Drzwi skrzypnęły, wszedł inżynier. Podniosła oszołomione oczy i ujrzała, jak na znękanej twarzy tego człowieka ukazywały się kolejno wstyd i strach, i skrępowanie, i nieśmiała nadzieja. Myślał pewnie, że będzie mowa o komornym, o mieszkaniu, o eksmisji – czy może o rozłożeniu tej zaległości na raty?... Ale Kwiryna po raz pierwszy zdawała się widzieć tyle uczuć na raz, tyle rozdzierających wyrazów twarzy, że nie mogła zeń zdjąć oczu i zacząć rozmowy. Myślała jeszcze. „Ile też płaci się takiemu inżynierowi, ile mam mu dać pensji na pierwszy raz, czy może jakąś sumę za przebudowę fabryki, wykończenie domu?...” Ten człowiek był jej teraz bardzo potrzebny, a ona mu też. Wszyscy i wszystko jęło się nagle łączyć, zazębiać w jej oczach i tworzyć jeden łańcuch, każdy człowiek był jak ogniwo w pewien sposób konieczny. Podniosła głowę, zorientowała się, że inżynier ciągle jeszcze stoi przy drzwiach i rzekła:

– Niech pan siada, porozmawiamy...

Kiedy nazajutrz Kwiryna ubrała się od samego rana do wyjścia, garbata ciotka zastąpiła jej drogę. Dzień był mroźny, ziąb taki, że aż strach! Bała się Kwiryny po dawnemu, ale udała zucha, stanęła we drzwiach z rozkrzyżowanymi ramionami i rzekła:

– A ja Kwiryny nie puszcę na Powązki, niech się co chce dzieje! Klęczeć na gołej ziemi w taki czas to pewna śmierć...

Kwiryna, zajęta układaniem żałobnego welonu, który sphywał z jej kapelusza, spojrziała na ciotkę z roztargnieniem.

– Na Powązki? Wcale nie jadę na Powązki, tylko do baraków.

– Do baraków?!

Kwiryna dała dowód świętej cierpliwości, zmuszona w tych dniach gorączkowego pośpiechu do głupawych rozmówek z ciotką.

– Co Kwiryna ma tam do roboty?...

Najkrótszą drogą porozumienia były proste i jasne odpowiedzi i Kwiryna

odpowiedziała, ciągle jeszcze mocując się z welonem.

– Szukam blacharzów. – Po czym krzyknęła zniecierpliwiona. – Ach, jak ten welon mi przeszkadza!

Do blacharzów! I welon jej już przeszkadza! Ciotka zmartwiała od zgrozy. Tylko patrzeć, jak Kwiryra w ogóle zdejmie żałobę i zapomni o Romanie!... Kwiryra, idąc ku drzwiom, rzekła jeszcze:

– Jak tu przyjdzie nauczycielka, wie ciocia, to proszę jej powiedzieć, że będę w domu koło szóstej...

Wyszła i ciotka, stojąc na środku pokoju, powiedziała głośno.

– Zostawiła mnie tak samo głupią jak przedtem... Nic nie wiem!...

Musiała jednak pofolgować sobie w jakiś sposób, otworzyła drzwi do kuchni i rzekła dziewczynie zmywającej garnki po obiedzie.

– Co ty? Tłuste garnki myjesz zimną wodą? Gdzie soda? Gdzie zmywak? Co za fletuch! A nasza pani – dodała ni stąd, ni zowąd – wczoraj jeszcze rozpaczala, a dziś tylko do baletu ją oddaj! Welon jej już przeszkadza!

Jadąc tramwajem Kwiryra układała sobie całą rozmowę z blacharzami i cały plan działania. Da mu robotę naprzód przy przeróbce swojej fabryki, a potem, jeśli nie znajdzie się u niej coś odpowiedniego na stałe, to zaproteguje go na Wolę, do fabryki blaszanek. Bierze tam od nich towar i musi go wręcić. Najważniejsze jest, żeby pracował w swoim fachu. Mieszkanie?... Tramwaj włócił się bez końca, doprawdy, szkoda było czasu, mogła posłać ciotkę! Im dłużej jechała, tym bardziej jej plany bładły – ależ to cała podróż! Co ona sobie bierze na kark! Wysiadła na końcowym przystanku i jeszcze musiała iść kawał piechotą, w czyste pole, gdzie rozsiadły się baraki między cmentarzem a przedmieściem. Odnalazła kancelarię i wywiedziała się o mieszkanie blacharzów.

– Czy pani jest może z Opieki? – zapytał urzędnik.

Kwiryra obraziła się.

– Z jakiej Opieki?! Jestem ich znajomą! – Wyszła i w drodze do wskazanego baraku rozmyślała. „Co ja sobie biorę na kark!... jeśli magistrat... jeśli rząd... jeśli państwo... i wszyscy ci mądrzy ludzie nie znaleźli innej rady, tylko wyrzucić ich tu w pole, to co ja poradzę?” Dął zimny, przenikliwy wiatr, musiała omotać welon koło szyi i trzymać go zmartwiałymi palcami na piersi. Zdawało jej się, że już zmierzcha, przyśpieszyła kroku, twarz jej płonęła osmagana przez wiatr, w tej krótkiej drodze zimno przejęło ją aż do szpiku kości. Wreszcie dopadła tych drzwi. Chłód wygonił widać ludzi ze dworu, nie było się kogo nawet zapytać, pchnęła cienkie deski i weszła. W bardzo maleńkiej izdebce, prawie pustej, tarmażyły się dzieciaki. Kwiryra nie mogła poznać, czy to są akurat dzieci blacharzów? I co oni zrobili ze sprzętami? Mieli przecież jakie takie graty?!

– Gdzie mama? Gdzie tatko?

Na podłodze uspokoiło się i głos dziecinny odpowiedział.

– A bo ja wiem?...

Cieńszy głos pisał.

– Poszła do miasta, a tatko musi tu gdzieś być!

Kwiryna poznała rezolutną Antosię, tę samą, którą, być może, ocaliła od śmierci, znosząc po drabinie z zawalonej oficynki. Tę samą, którą Roman trzymał czule w objęciach, a potem kazał ciotce umyć i przebrać. Patrzyła na małą uważnie, podczas gdy chłopiec i starsza dziewczynka, bezustannie poruszając całym ciałem, wzdrygali się lub wprost ocierali o ścianę, zagapieni przy tym na gościa.

– Antośka! Czy ty mnie nie poznajesz?

Dziecko podniosło oczy i szepnęło.

– Poznają, pani jest panią gospodynią z Mylnej!

Kwirynie zdawało się, że nie wytrzyma i zapłacze. Co się z tymi dziećmi stało! Wszystko by można zarzucić blacharzowej, ale o dzieci swoje zawsze bardzo dbała, zawsze były obreperowane, czyste i przyzwoicie się zachowywały. A teraz! Istne dzikusy! i czego one tak się czochrają? Musi ich coś gryźć! Na tę myśl, uczuła swędzenie swego własnego ciała, poruszyła się nerwowo i zapytała, czy prędko mama wróci z tych posług, czy prania?

– Ee, gdzie tam, mama nie ma roboty. A kiedy , wróci, to nawet nie wiemy!...

Kwiryna nie wiedziała, jak się ruszyć z tego miejsca, jak tu wstać i wyjść. Przecież nie była chowana w dostatkach, ale czegoś podobnego nie pamiętała ani ze swego dzieciństwa, ani z dzieciństwa koleżanek. Żeby wykwalifikowany rzemieślnik nie mógł zarobić na jakie takie utrzymanie swojej rodziny! Już nie myślała o blacharzach, że to niedołęgi, pomyślała, że im się krzywda dzieje. Po co ich było wyrzucać tak daleko od miasta, gdzie nie mają o co rąk zaczepić, zostawiają dzieci na łasce boskiej i wędrują po świecie. Na Mylnej pożywiłaby je jakaś sąsiadka, a czy Roman im nie pomagał? Zapytała prędko:

– A jest tu jaki sklepik?...

Cała trójka podniosła głowy i spojrzała na nią pilnie, z uwagą i nadzieją. Wstała i skinęła na chłopca.

– Zaprowadź mnie.

Kupiła im trochę żywności w sklepiku, gdzie wszystko było w najgorszym gatunku i o grosz, dwa droższe niż w mieście, jak na urągowisko. Kwiryna kupująca spojrzała złym okiem na Kwirynę sprzedającą. „Poczekaj, jeszcze ty za ten grosz drogo kiedyś zapłacisz!” pomyślała w głębi duszy, ale zaraz wzruszyła ramionami. Może to jej się tylko przytrafiło, może innym ludziom wszystko się dobrze w życiu układa?

W drodze do tramwaju natknęła się na blacharżową. W pierwszej chwili

nawet jej nie poznała w tej babinie okutanej szmatami. Szła chyłkiem, zgarbiona, z jakimś papierowym zawiniątkiem pod pachą, nogi też miała okręcone szmatami zamiast pończoch, a na stopach jasne, sportowe płócienne pantofle, zesznutowane sznurkiem. Cienka, gumowa podeszwa tych pantofli ślizgała się po zimowej grudzie drogi. A to się ktoś wypuczył z takim darem! Twarz blacharzowej, czerwona z mrozu, była surowa w wyrazie, sroga nawet od zaciśniętych ust i nisko obwisłych powiek, ale w tej srogości błyszczwały gorączkowo niebieskie, nieszczęsne, zbolące oczy, wydając na jaw całe jej umęczenie. Nie patrzyła na przechodniów, szyję i całą drobną postać miała wyciągniętą w tym marszu w stronę baraków. Gdy się zrównały, Kwiryne jakby ktoś w piersi trzasnął od przelotnego spojrzenia jej oczu. Wiedziała już, że blacharzowa nie chodzi do miasta ani na posługi, ani do prania, ale po prostu na zebry. I mignęła jej myśl. „A może oni już są nawet nieprzydatni do żadnej roboty?...” Patrzyła ze zgrozą na blacharzową, zanim upewniła swój głos, aby swobodnie wyłożyć „interes”, jaki do nich ma. Postanowiła właśnie w jednej chwili, że będzie całą sprawę traktować jak wzajemny interes i nic więcej. Ani pary z ust o mieszkaniu, o stałej robocie i tak dalej. Blacharz znajdzie robotę przy przebudowie fabryki, a blacharzowa może pomagać parę godzin w przetwórni, na zmianę z drugą kobietą, żeby jej całkowicie nie odrywać od domu.

– Pracując we dwoje, chyba dacie sobie jakoś radę?

Blacharzowa słowa wybąkać nie mogła, długi czas patrzyła na Kwiryne, aż nagle rzuciła się do jej rąk. Kwiryna krzyknęła.

– Co też pani robi!... – i z miejsca ruszyła w stronę tramwaju. Tamta dreptała za nią, postępując od radosnych szlochów.

– Niech pani wraca do dzieci i powie mężowi, żeby się zaraz jutro zgłosił do inżyniera. Znacie go przecież, stary znajomy, co?

Wzajemny interes. „Żeby to tylko chcieli zrozumieć!” – myślała Kwiryna w ciągu tych dni, przesiadując w kantorku na Mokotowie. Przez okno widać było dziedziniec otoczony z trzech stron czerwonymi, jednopiętrowymi budynkami fabryki, a z czwartej, od ulicy – parkanem. Można tu było postawić jeszcze okazały front. Dom mieszkalny, na lewo, pod dachem już, ale zupełnie nie wykończony wewnątrz, raz w szybkim tempie szykowano do stanu używalności. Z powodu zimy można było dokonać przeróbek tylko wewnątrz budynków fabrycznych, ale już z końcem miesiąca miała się tu przenieść i rozłożyć szeroko mała wytwórnia z Mylnej.

Od czasu do czasu słychać było na ulicy okrzyk tubalny.

– Brama! – Dozorca wyłaził ze stróżówki i otwierał wrota, na podwórze wjeżdżał wóz, na ziemną wagę, czasem to był wóz z materiałem budowlanym dla fabryki, a czasem wóz z sąsiednich fabryczek czy składów, które korzystały za małą opłatą z tej wagi. Konie okrążały obszerny plac, z

drzewem pośrodku. Kwiryra z okna kantorku z roztargnieniem patrzyła na to gołe, zmarznięte drzewo, zanim rozpoznała w nim kasztan. Na wiosnę każe wokół skopać ziemię, zasieje trochę trawy i zafunduje parę drewnianych ław. Można by też coś posadzić koło stróżówki, jakąś fasolę, żeby się pięła aż pod daszek, nad którym widniał gołębnik. Oto kasztan Romana, o którym mówił przed śmiercią. Oto drzewo, na które podnosić będzie oczy Antośka blacharzów, tak jak dzieci na Nowolipkach przed drewniakiem Mossakowskich. Co chciał powiedzieć Roman w swym przedśmiertnym życzeniu? Czuła jeszcze jego głowę przy sobie, spocone i zimne czoło, oparte o jej czoło, oczy zatopione w jej oczach. „Posadzisz tam dwa kasztany... Pamiętasz?” Chciał zapewne wyrazić to poszukiwanie koło siebie czegoś pięknego i tajemniczego, gdy byli narzeczonymi, oczy ich tak często spoglądały na kasztany Mossakowskich!... Spojrzenia całego domu, z wszystkich okien, od sutereny Frani po piętro Rubinrotów... Kasztan puścił liście. Kasztan zakwitł. Kasztan rzuca owoce. Kasztan poczerwieńiał. Kto wie, jaką rolę odegrał kasztan w ćwiczeniach stylistycznych Frani, tęsknocie Bronki, ucieczce Cechny?

W drugim kącie pokoju, pod oknem, zredukowana nauczycielka wystukiwała powoli na maszynie zaległą korespondencję z dostawcami i umowy na warzywa i owoce. Szło jej to jeszcze ciężko i opornie, raz po raz sięgała po gumkę. Prawdę mówiąc, Kwiryne niecierpliwiły te zahamowania, nieraz w ogóle wydało jej się to wszystko śmieszną zabawą, że nie wzięła wykwalifikowanych sił, tylko ludzi „potrzebujących jakiegokolwiek pracy”. Ale oto zajechał wóz, nauczycielka zerwała się bez żadnej prośby ani wskazówki od stolika i tak jak stała, w sweterku, wybiegła na dwór sprawdzić wagę. Kwiryra chrząknęła z zadowolenia. Gdy nauczycielka wróciła, jej szefowa rzekła sucho:

– Niech pani nie wybiega bez okrycia, bo zaziębi się pani i matka będzie mieć pretensję...

Co robi blacharz? Co robi inżynier?... Kwiryra wyszła z kantorka i obeszła sale fabryczne, gdzie montowano stoły i ogniska pod kotły. Nie wiadomo, czy inżynier naopowiadał coś tym ludziom, że witali ją skwapliwie i z uszanowaniem. Jakiś młody technik w roboczej bluzie, wysoki, szczupły i rozgadany, pucnął ją w rękę z rozmachem, aż kosmyk włosów opadł mu na twarz, po czym otoczył ją takimi grzecznościami, że się wymknęła pośpiesznie, niepewna, czy z niej nie podżartowuje?

Ażeby znaleźć blacharza, wlaźła aż na strych i ukazała się zdumionym robotnikom w otworze okienka na duchu. Stamtąd patrzyła zmrużonymi oczyma na blacharza przykucniętego koło rynien. Płomień, rozżarzony w małym kociołku, buchnął czadem węglowym i niósł się prosto na nią. Ale nie cofnęła się, wytrzymała swoją chwilę, wpajając się widokiem człowieka,

który myślał, że mu życie przejdzie w nędzy, że tra, la, la wymiga się od całej odpowiedzialności za swą kobietę, Antoškę i resztę. Ach, pomylił się! „Już ja cię dopilnuję” – myślała Kwiryra.

Z dołu wołano ją. To inżynier. Chciał, by rzuciła okiem na przeróbkę mieszkań. Z jego słów domyśliła się, że szykował pierwsze piętro tak, jakby tu ona miała zamieszkać. Potrząsnęła głową, wreszcie musiała wyłożyć swe plany. Porzucić Młyną?... To nie tak łatwo, jak się tam przeżyło całe życie i szczęście z Romanem.

Krótko objaśniła: – Na dole kantor i jej gabinet. Z drugiej strony – pokój z kuchnią dla blacharzów. Blacharzowa będzie sprzątać biuro. Na górze mieszkanie dla administracji i jeden pokój kawalerski dla panny Marii, zredukowanej nauczycielki, a teraz urzędniczki, tej od szewców. Niech się wreszcie wyprowadzi od rodziców i zacznie życie na swoją rękę. Będzie pan musiał, panie inżynierze, wziąć też ich chłopaka z wiosną na budowę za robociarza. Bo on skończył szkołę i musi odbyć praktykę, inaczej nie dostanie roboty.

Załatwiła się wreszcie z tym wszystkim i odetchnęła. Wieczorem w domu ciotka pozwoliła sobie na gderanie.

– Cały dzień siedzę tu jak głupia, bez żadnej wiadomości, ludzie mi znoszą różne plotki...

Rzeczywiście, trzeba jej było coś powiedzieć, tak jak się zwierzało swe projekty Romanowi. Kwiryra zapięła szlafroczek, przyglądała włosy, zasiadła przy stole, odetchnęła swobodnie i rzekła:

– Przede wszystkim należy się coś ciotce za tyle lat pracy i ja ciotkę przypuszczę do udziału w fabryce. Niech dziewczyna prędko podaje, ja nie mam czasu na gawędę. Czy rejent dzwonił?

Ciotka szybko podreptała do kuchni. Jak tak, to tak. Po co, rzeczywiście, dużo gadać? U panien Ziemskich aż wrzało od domysłów, pani Bauman ze szpitala zachodziła tu już aż dwa razy, szewcowa wylała w kuchni wszystkie łzy wdzięczności za przyjętą do biura córkę, ciotka jest stara i mało jej zależy, czy umrze z udziałem, czy bez, ale, Boże święty, wszystko to coś znaczy!

– Na co ty czekasz? – rzekła do zagapionej i zdumionej dziewczyny. – Czy nie dyszałaś, że pani już wróciła? Podawaj!

Stuknęła drzwiami, weszła do pokoju i zobaczyła, że Kwiryra siedzi z łokciami na stole, z twarzą ukrytą w dłoniach, a ramiona jej drżą.

– Z czego Kwiryra tak się śmieje? – Kwiryra odsłoniła twarz zalaną łzami i rzekła słabym głosem:

– Z cioci.

Te łzy to były dla Romana, ale ten śmiech może rzeczywiście z powodu ciotki? Ciotka zesnurowała usta i powiedziała komicznie.

– Bardzo proszę.

XXVIII

W dniu procesu pani Raczyńska zakupiła najwcześniejszą mszę ranną. Katarzyna, jakby się domyśliła powodu tego wczesnego wyjścia, poprosiła, aby jej wolno było iść z panią. Tak więc klęczały razem na stopniach ołtarza, świadek obrony i świadek oskarżenia, i modliły się w skupieniu o jedno i to samo, o pomyślnie zakończenie sprawy. Dla Katarzyny było to wypłynięcie oliwy na wierzch, dla pani Raczyńskiej, uniewinnienie córki. Zresztą, jeszcze wczoraj sławny adwokat upewnił ją o tym. Nawet gazety nie pisały już o sprawie Amelii, „pięknej aptekarzowej z Leszna”...

Razem z Katarzyną wróciły do domu, razem zjadły śniadanie – jedna w kuchni, druga w stołowym, i udały się razem do sądu.

W pamięci Katarzyny tkwił wyraźnie ów późny wieczór, gdy państwo się klócili, gdy usłyszała podniesione głosy i weszła do sypialni. Ujrzała, jak jej pan wpół leżąc na łóżku uchylał się przed żoną, która wyglądała jak furia i zdawała się go dusić. A potem widziała niemniej wyraźnie, jak aptekarzowa, wzięwszy z jej rąk szklankę z wodą, odkorkowała rurkę z pastylkami. Kazano jej wyjść z pokoju. Pan wtedy leżał odwrócony do ściany, wcale nie patrzył na pokój ani na lekarstwa. Dla Katarzyny było jasne, że aptekarzowa dała mężowi napój w chwilę po jej wyjściu, a on wypił, tak samo nie patrząc, co mu to dają. Wróciła do kuchni i położyła się nie rozbierając, myśląc, że może być jeszcze potrzebna. Zgasiła tylko światło. Zdrzemnęła się, ale nie tak mocno, aby się nie obudzić, gdy pani wychodziła. Jeszcze chwilę leżała nasłuchując, a potem wstała i poszła zobaczyć, jak tam z panem? W pokoju panowała taka cisza, że się przelęknęła i zapaliła małą lampkę. Pan spał na boku, nie słyszała oddechu, choć nieraz chrapał, aż dobiegało do kuchni. Szklanka, kłaczek waty i rurka leżały na stoliku nocnym. Potem dopiero przypomniała sobie, u sędziego śledczego, że ta rurka już wtedy była pusta. Pusta? Pusta. A pani twierdziła, że dała tylko dwie pastylki, a prowizor mówił, że dał jej do rąk pełną rurkę, jeszcze nie napoczętą. Katarzyna pragnęła jednego, aby prawda jak oliwa wypłynęła na wierzch. Inaczej, urągałoby to Bogu. Miała pani do zarzucania wiele rzeczy, ale zeznając nie zeznawała w złości, tylko mówiła prawdę, jak było.

Pani Raczyńska przypominała sobie ranek przed śmiercią Filipa. Jak się wtedy Amelka zachowywała? Zupełnie spokojnie. Była głęboko przeświadczona, że Filip śpi. Wybierała się nawet do krawcowej. Dla pani Raczyńskiej tylko to było niespodzianką, że w nocy Amelka spotkała się z Janem, dla matki to był cios. Podejrzewała, ale nie do tego stopnia? Potem

powiedziała sobie.

– No dobrze, ale gdzie się spotkali?

W cukierni. Amelka w zdenerwowaniu chciała zasięgnąć jego rady, zeszła do apteki i umówiła się, byli z sobą w przyjaźni. O niczym więcej ani mówić, ani myśleć nie trzeba.

Na korytarzach sądu panował taki ruch, tyle się odbywało spraw i przewijało ludzi, że sprawa Amelii zupełnie zmalęła w oczach pani Raczyńskiej. Mijały ją twarze jakby znajome. Katarzyna szeptała:

– Proszę pani, jest sklepiczarka... Jest ten Gończyk... zakrystianowa.

W drodze do pokoju świadków pani Raczyńska zetknęła się z Cechną. Ubrana bardzo dystyngowanie, ale z twarzą chmurną, z oczyma niby obojętnymi, ale pełnymi na wszystko potępienia. Katarzyna usunęła się na bok, pani Raczyńska rozłościła się na córkę. Po co ta mina? Mogła wcale nie przychodzić.

– Czy widziałas Amelię?

– Tak, pozwolono mi, na chwilę. Czuje się dobrze, jest spokojna.

Musiały się rozstać, Cechna nie stawiała do sprawy jako świadek. Nigdy też nie wypowiedziała się przed matką. „Nic nie może powiedzieć o pożyciu małżeńskim siostry, nie widziała się z rodziną od wielu lat, nie było jej krytycznego dnia u aptekarzystwa itd.” Jednak na pierwszą wiadomość o śmierci aptekarza powiedziała sobie: wiedziałam, że tak się skończy. Ona, która potrafiła wyrzec się męża, domu, stanowiska i odejść, osądziła już Amelię. Dla niej Amelia, czy otruła, czy tylko doprowadziła aptekarza do samobójstwa, była winna. Była winna już od chwili, gdy zawiązując stosunek z prowizorem została w domu męża i oszukiwała go. Wszystkie dawne przewiny nie liczyły się, były typowymi błędami i grzechami młodości. Ale od pewnej granicy wieku zaczynała się wreszcie jakaś odpowiedzialność i niewątpliwie Amelka to, co robiła, robiła świadomie i z całkowitą wiedzą. Nie jest się wiecznie starym dzieckiem. Cechna nie znalazła w swym sercu pobłażliwości dla siostry, tak jak nie znalazła ongiś dla męża. Ale na krótko przed rozprawą, po rozmowie z matką, adwokatem i przeczytaniu kilku omówień sprawy w gazetach, zbudziło się w niej dziwne uczucie, coś, co można by nazwać solidarnością klanu, a co w wysokim stopniu posiadała pani Raczyńska. Cechna schwyciła się na tym, gdy po zręcznych manewrach w szkole spowodowała wyjazd młodszej siostry, Heli, na prowincję przed samym procesem, obstarwiła Zuzannę lekcjami i na dzień przed procesem pośpiesznie skroiła i uszyła Amelii czarną, nową suknię o liniach wykwintnej prostoty. Miała wówczas posmak oddawania komuś bliskiemu ostatniej usługi. Łzy wolno spływały po jej twarzy i wsiąkły w czerń materiału.

Weszła do zapełnionej już sali i zajęła jedno z ostatnich miejsc, w ostatniej ławce. Wbrew wszystkim postanowieniom ogarnęło ją takie

wzruszenie, iż nic nie widziała wokół siebie. Czuła tylko, iż sala jest zapełniona, a z bezustannych szeptów, poruszeń, okrzyków i cichych sprzeczek wniosowała o charakterze zainteresowania. Potem podniosła oczy. Obok niej, przed nią, za nią, siedziały kobiety, które w myśli nazwała „stałymi mieszkankami Leszna”. Kilka panie z parafialnego komitetu dobroczynności, dawnych towarzyszek Amelii, fabrykantowa powozów, ogrodnik, gospodyni księdza. Wliczywszy w to oczekujących za salą świadków, Cechna osądziła, że poruszenie procesem jest czysto lokalne, i pomyślała. „Amelka wyprowadzi się z Leszna i to wystarczy, aby zapomniano”.

I powinszowała sobie, że usunęła od tej sprawy młodsze siostry, ich pamięć nie będzie obciążona tym wszystkim.

Nagle zapadła cisza. Z bocznych drzwi wysunęła się Amelia, za nią policjant. Dziennikarze ruszyli do swych miejsc. W pomieszczeniu, lecz z zadowoleniem chwyciła Cechna płynny krok siostry, łagodnie opuszczone ramiona i ładnie ustawioną, nie pochyloną głowę. Amelia schudła i zbladła w więzieniu, ale jej twarz bez szminki na pierwszy rzut oka wydała się młodsza, czystsza, spokojniejsza. Jej proste, ciężkie włosy skręcone w węzeł, opuszczony nisko na kark, i owa troskliwie obmyślona suknia nadawały Amelii odcień romantycznej szlachetności, czyniły ją jaskrawym wyjątkiem wśród kobiet z ław publiczności w pełnym rynsztunku miejskiego przedpołudnia. Toteż ktoś rzekł.

– Kto by to pomyślał, patrząc!...

Gdy zajęła swe miejsce, w tej samej chwili rozległ się suchy trzask aparatów fotograficznych. Za późno podniosła rękę gestem instynktownym, aby się osłonić. Cechna zadrżała. Sprawa zapowiadała się nieefektywnie, ale można ją było rozdmuchać. Teraz rozpoznała wśród sprawozdawców sądowych kilka tuzów i niepokój jej wzrósł.

Otworzono środkowe drzwi w głębi, ukazał się komplet sędziowski. Wszyscy powstali i usiedli z powrotem. Obraz sali sądowej, z oskarżoną, obrońcą w todzie, publicznością, woźnym przy drzwiach i stołem dziennikarskim, stał się w tej chwili pełny i skończony, jak dobrze rozłożona kompozycja. Nawet policjant za Amelią nie strzegł jej, lecz był fragmentem i uzupełnieniem. Wysłuchano bez uwagi personaliów oskarżonej, tylko fabrykantowa powozów szepnęła do swej sąsiadki.

– Myślałam, że czterdzieści...

Dotyczyło to wieku Amelii. Tamta odpowiedziała:

– Niewiele jej brakowało.

W środkowym rzędzie panny Ziemskie, w czerni, z dobrodusznymi podbródkami, wlepiły oczy w oskarżoną. Nie poznawały jej, tak samo jak i ona nie poznałaby tych dwóch otyłości z wyglądem kapitalistek.

– Więc która to z Raczyńskich, nic nie rozumiem! – niecierpliwiła się jedna, podczas gdy druga przecierając szkła szepnęła:

– Najstarsza, najstarsza, nie wiesz?

Pod oknem, w kapeluszu zsuniętym z czoła, z ustami lekko uszmińkowanymi, w szarym rozpiętym płaszczyku, Bronka wyglądała jak roztargniona osoba, która tu weszła przypadkowo. Cechna przyjrzała jej się z niedowierzaniem. Przez szereg tygodni Bronka była nieuchwytna, jej telefon nie odpowiadał. Porzuciła czy straciła swe posadki „trzy godziny dziennie, trzy razy w tygodniu”, wyprowadziła się z dolnego Mokotowa i przepadła, aby się zjawić nieoczekiwanie na procesie. Z czego żyła, czym żyła, co jej jeszcze pozostało po zerwaniu z Piędzickim? Jej twarz, jej los, jej dłonie złożone na kolanach jakimś ostatecznym gestem wstrząsnęły Cechną. Nagle uprzytomniła sobie, że jej siostra, Amelia, jest oskarżona o otrucie męża po uzyskaniu korzystnego zapisu, oderwała oczy od Bronki i skupiła uwagę na odczytywanym właśnie akcie oskarżenia.

Sławny adwokat, siedząc nieruchomo, patrzył w okno na skrawek nieba, który rysował się nad kominami. Amelka słuchała bez żadnego na twarzy wrażenia. Za drzwiami ktoś głośnie domagał się wpuszczenia na salę. Woźny uchylił drzwi i wyszedł. Przez mgnienie ukazał się korytarz natłoczony ciekawymi. Jednak ci, co byli wewnątrz, nie znajdowali, aby byli świadkami „czegoś nadzwyczajnego”. Ich nadzieje na wzruszenia, sensacje i emocje zostały zawiedzione.

Słuchając historii tragicznego wieczoru, Bronka zdumiewała się: życie Amelii i jej czyn, widziane poprzez akt oskarżenia, sprowadzały się do bardzo prymitywnych, skąpych i nieprawdziwych linii. A przecież wystarczyło iść tam raz do aptekarzy w jeden z tych momentów, gdy drzwi kokociej, pachnącej sypialni zamykały się za tą parą małżeńską, aby wiedzieć, na jakim terenie rozegrał się ów dramat, dramat ciał. To było bagno, można było w tym utonąć po uszy, to było do gruntu zgniłe. Trzeba było tam być, w tej ciemnej jadalni, którą oświetlano suto, gdzie gadano głośnie i wesoło, nastawiano radio od rana do wieczora, co za straszliwe przemilczenia pod tymi głosami kochającej rodziny, scementowanej pieniędzmi aptekarza!... Lecz ta prostota aktu oskarżenia miała swój sens, ostawał nagi szkielet winy i kary. Bo w końcu ta kobieta, przerzucająca się od chwilowych buntów do pochwały wygody, kłamstwa i bezpieczeństwa, zabiła. Zabiła „powodowana chęcią zysku i zdobycia swobody, gdy mąż jej stanął na przeszkodzie”. To wszystko.

Słuchacze byli przekonani o jej winie, pod wpływem dopiero co usłyszanych słów.

– Tak, ona zabiła – rzekła jejmość w kapelusiku z piórkiem i staroświeckim żabociku pod brodą.

Ten proces to był proces dystyngowany, prawie bezbarwny, oskarżona zeznawała miłym, umiarkowanie cichym, lecz wyraźnym głosem. Obrońca milczał, jakby chciał przez to zaznaczyć, że fakty powiedzą same za siebie. Czy oskarżona wychodziła późnym wieczorem z domu, po zaśnieściu męża?

Tak. Wychodziła na krótko do pobliskiej cukierni, aby pomówić z współpracownikiem i przyjacielem męża, panem Cichockim. Mąż tego dnia swoim dziwnym zachowaniem się w aptece i w domu zaniepokoił ich. Nie umawiała się, wiedziała, że pan Cichocki po zamknięciu apteki idzie do tej cukierni na gazety, na bilard czy pogawędkę... Zeznania świadków wniosły nieco ożywienia. Lecz w miarę jak zeznawali i czy te zeznania przemawiały na korzyść, czy niekorzyść oskarżonej, przekonania obecnych zaczęły się wahać. Być sędzią – co to za straszna rzecz – władza nieomal boska. Dozorca, Katarzyna, pani Raczyńska, kelner z cukierni, dwaj prowizorzy z apteki kolejno oświetlili zdarzenia owego tragicznego wieczoru, nocy i ranka. Wszystkie ich słowa pokrywały się, podpierały i wiązały, tworząc obraz wiarogodny, o ile chodzi o czas, przyście oskarżonej, wyjście, jej słowa i ruchy. Pozostawała tylko ta mała chwila między wyjściem Amelii z domu a wejściem Katarzyny do sypialni, gdy zobaczyła flakon po lekarstwie pusty, szklanek pustą i swego pana śpiącego, jak sądziła. Syfon z wodą znajdował się w jadalni na kredensie.

Amelka siedziała nieporuszona. Myślała. „Czy zabiłam aptekarza? Nie, chciałam tylko wyjść”. Lecz jednocześnie pamięć jej nasuwała uczucia wszystkich tych momentów, w których wyobrażała sobie, że aptekarza nie ma między Janem a nią. I chwilę, gdy przechyliła szklaną rurkę z lekarstwem i potrząsnęła nią. I gdy poczuła pustkę wokół siebie, zupełną. Wtedy czuła, że został otruty. Ale rankiem, po nocnej rozmowie z Janem, ta pewność rozwiła się mgliście jak niewyraźny sen. To jej pomogło być spokojną. On po prostu śpi.

Gdy wprowadzono świadka, Jana Cichockiego, doznała silnego wzruszenia. Jej wargi rozchyliły się spazmatycznie, gdy zeznawał swą „prawdę i tylko prawdę”. Potem, zacisnąwszy palce pod ławką, nakazała sobie spokój. Ta chwila, ciemna w akcie oskarżenia, pozostawała między nią a Filipem, mężem, aptekarzem. Należy przetrwać, znieść to wszystko i zacząć życie od początku. Czuła to życie jako wielkie wyswobodzenie, wielką ulgę, wielkie, szerokie odetchnięcie.

A więc ta chwila, ten moment. Obrońca zajął się świadkiem, Katarzyną. Czy to prawda, że jej pan na kilka dni przed śmiercią był u spowiedzi? Potwierdziła skwapliwie. Nie dawała tego dnia panu śniadania, poszedł na czczo do kościoła. A czy często tak było, czy często spowiadał się? Nie, na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, w rocznicę ślubu. Tak, ale tym razem nie było żadnej z tych okazji, czy więc nie sądzi, że jej pan był chory,

wyspowiadał się, zrobił testament, myślał o śmierci? Katarzyna, myśląc o oliwie, o prawdzie, zaprzeczyła z siłą. Nigdy! Jej pan był taki religijny! Pewnego razu musieli w aptecce udzielić pomocy jakiejś pannie, która otruła się w bramie jodyną. Katarzyna przypomniła sobie ten wypadek jak w natchnieniu. Aptekarz przyszedł wtedy na górę i omawiając zdarzenie powiedział, że to jest grzech śmiertelny, życie jest po to dane człowiekowi, aby je przeżył do końca.

– Jeśli cierpiała – powiedział – to jej cierpienia nie skończyły się w chwili śmierci.

Amelię zdjął dreszcz. Jej zęby szczęknęły i musiała zawrzeć mocno usta. To wyglądało, jakby sceptycznie i urągliwie przyjęła zeznania Katarzyny. Prokurator zapytał świadka, czy jej pani często wychodziła nocy, czy często służąca słyszała jej kroki w korytarzu?

– Zdarzało się to kilka razy, budziłam się.

– Czy zmarły o tym wiedział?

– Tego nie wiem, pan nigdy o „takich” rzeczach’ ze mną nie rozmawiał.

W tym procesie krył się romans, miłość, to leżało na dnie wszelkich zresztą konfliktów ludzkich. Miłości głód w swej rozciąglej skali. Prokurator zmierzał w tamtą stronę i nie mógł się wydziwić tej luce w akcie oskarżenia, tej oschłości i ścisłości sędziego śledczego. Zmierzał w tamtą stronę i zażądał przesłuchania świadka Alojzego Gończyka, kolportera pism. Ten świadek widział oskarżoną w nocy, w aptecce lub powracającą o późnej porze z miasta, w towarzystwie męskim. Zjawił się przed sądem w starannie wyczyszczonym palcie, które mimo to zachowało na sobie ślady murów kościelnych, wilgoci i płwociny, parszającej w złym kierunku z powodu brody. Z tą brodą, nerwowymi ruchami głowy i rąk, rozbrajającym uśmiechem i rozwichrzoną czupryną nad wysokim czołem wyglądał na artystę, cygana, badacza, wszystko, tylko nie kolporter, uliczny sprzedawca. Opowiedział ową pierwszą scenę nocną w aptecce, podglądaną przez nie dość dobrze spuszczoną roletę.

– Ależ, u licha, co pan robił o tej porze pod kościołem? – spytał obrońca, jak go tylko dopuszczono do głosu. – Przecież nie liczył pan już na klientów?

Pan Gończyk poważnie potwierdził i dodał, że. właśnie dlatego, o spokojnej głowie, uczył się czytać.

– Czytać?!

– Tak, z nekrologów.

– Co świadek chce przez to powiedzieć?

Czując żywe zainteresowanie sądu, obrońcy, adwokata i publiczności pan Gończyk wyłożył swój system nauki. Pamięciowe opanowanie tekstu pozwoliło mu poznać litery, połączyć sylaby, wreszcie odkryć całe zdanie. To mu musiało dawać wiele przyjemności, wprost rozkoszy, gdy po pokonaniu trudności zjawiał się cały sens zdania, ukryty w tajemniczych dotąd literach.

Musiałoby go to wprost rozpierać, ta cudowna sztuka, bo błysk załśnił w jego oczach, a policzki pokryły się cieniem rumieńca z podniecenia. Ale dlaczego nie uczył się czytać z pism, które sprzedawał? – zapytał obrońca. Potrząsnął głową.

– Bo nie znalazłem ich treści – rzekł – a wtedy to niełatwe.

Na sali roześmiano się. Jan, który po przesłuchaniu pozostał na sali, wyjął binokle, przetarł je i przyjrzał się świadkowi jak niebywałemu okazowi. Amelia oddychała lekko, jak zawsze w obecności Jana. On nosił w sobie wielką pobłażliwość, wszystko stawało się łatwe i zrozumiałe, i wybacalne, gdy on to wytłumaczył i oświetlił swoim słowem. Od początku znajomości tym ją ujął, tą prawdą i prostotą, może dlatego, że jej życie było pełne krętałów? Oddychała lekko.

Obrońca wzruszył ramionami i wyznał, że świadek Gończyk jest zbyt wielkim fantastą, aby można go brać serio. Bronka śmiała się. Cechna, wspominając podobne metody Zuzanny, współczuła kolporterowi. Panny Ziemskie zgadzały się ze sobą, że przecież ten Gończyk to półgłówek, i gorszyły się, że takich „wzywa się do sądu i słucha ich bajdurzenia”. Obrońca ciągnął:

– Przychodzę do przekonania, Wysoki Sądzie, że gdyby świadka w młodości nauczono czytać, gdyby światło druku i wiedzy było dlań dostępne, nie mielibyśmy dziś tej sprawy. Ta sprawa zrodziła się z podglądania przez dziurkę od klucza, przez roletę, której moja klientka nie miała powodów uszczelniać i pilnować, z plotek, domysłów i wreszcie zazdrości. Z wszystkich świadków. – Obrońca urwał, bo w tej chwili błysnął mu świetny pomysł mowy obrończej, począwszy od dzieciństwa i młodości podsądnej, domu, matki, środowiska, całego tego mieszczaństwa, Leszna i Nowolipek, aż do jej małżeństwa, a potem duchowego wyjścia wymaganiami charakteru i uczuć poza tę sferę i poza sferę męża. Na tym tle powstał konflikt i zaostrzał się z każdym dniem, aż doprowadził do zdenerwowania, przygnębienia, choroby i śmierci aptekarza... Ale pan Gończyk, zachwycony słowem „fantasta” i urażony lekceważeniem, chciał jeszcze coś dodać do swych zeznań. Gdy zobaczył aptekarzową w nocy, w aptece, w bieliźnie i okryciu na ramionach, w domowych pantoflach z pomponami na bosych stopach, i prowizora, leżącego swobodnie na skórzanej kanapce, wcale się nawet tak bardzo nie zdziwił. Wiedział, co ma o tym myśleć, bo pewnej wiosny aptekarzowa na oczach wszystkich zawiązywała romans z panem Andrzejem z plebanii i doszło do tego, że gospodyni księdza zamknęła jej drzwi przed nosem, a rodzina wysłała prędko młodzieńca za granicę.

Fabrykantowa powozów po trzykroć skinęła kapeluszem. Ach, przypomniała sobie doskonale tę wizytę u aptekarzó! Prokurator ją zadawać oskarżonej pytania, dotyczące jej wyjścia z domu i pobytu w

kawiarni.

– Czy oskarżona wprost z kawiarni wróciła do domu?

– Tak!

– Nigdzie pani nie wstępowała?

Zaprzeczyła. Poszła od razu do domu, dozorca otwierał jej bramę. Była godzina – między jedenastą i pół – a dwunastą.

Obrońca rzekł:

– Ja wiem, do czego zmierzają pytania pana prokuratora, i ażeby przeciąć tę sprawę i nie wychodzić z ram aktu oskarżenia, ofiaruję się przeprowadzić dowód prawdy, zeznanie świadka, które w zupełnie innym świetle ukaże moją klientkę, niż ją chcą widzieć świadkowie oskarżenia...

Sąd po krótkiej między sobą naradzie wydał polecenie sprowadzenia Klary Stein, rozwódki, właścicielki mieszkania, w którym jako sublokator zajmował pokój pan Jan Cichocki. Amelka zupełnie spokojnie spojrzała na drzwi. Pani Raczyńska zbladła i nerwowo otworzyła torebkę. Prowizor poruszył się, jakby chciał wstać, otworzył usta i z nagłą determinacją poprawił się na krześle i skrzyżował ręce. Katarzyna zwątpiła, czy oliwa wypłynie na wierzch.

Pani Stein, lat pięćdziesiąt, o starannym *maquillage'u* i solidnym wyglądzie rentierki, stanęła przed sądem, aby oświadczyć, że jej sublokator wrócił tego wieczoru koło dwunastej, miał swoje klucze. Udał się zaraz do łazienki i, w czasie gdy tam przebywał, ona sama otwierała drzwi pani, która nadeszła zaraz za nim i która odwiedzała go dość często w ostatnich tygodniach. Służąca wtedy spała.

– Czy to była ta pani? – rzekł prokurator wskazując na Amelię. – Niech pani dobrze się przyjrzy.

Obrońca zaprotestował przeciwko tak sformułowanemu pytaniu. Ale pani Stein, wśród naprężonej ogólnej ciszy, spojrzawszy uważnie na oskarżoną, rzekła stanowczo.

– Nie! tamta była niska, brunetka, bardzo młoda, energiczna osoba. Raz zamieniłam z nią nawet kilka słów, mówiła mi, że jest kasjerką w tej samej aptece...

Wśród poruszeń, szeptów, lekkich okrzyków i spojrzeń w stronę bohatera tej sytuacji nawet nie zauważono, jak Amelka osunęła się bezszelestnie z ławki na podłogę. Policjant schylił się, aby ją dźwignąć. obrońca, kilka osób siedzących w pierwszych rzędach, Bronka – zerwali się ze swych miejsc. Amelka była zimna, sztywna, śmiertelnie blada.

Proces przerwano i odroczone do dnia następnego.

Popołudniowe i wieczorne wydania dzienników przyniosły sprawozdania z procesu, a niektóre pisma poświęcały mu całe szpalty z fotografiami, z czerwonymi literami tytułów brzmiących bardziej sensacyjnie niż sam tekst.

Nazajutrz korytarze sądu od rana tak były wypełnione publicznością, że ustawiono warte przy drzwiach sali rozpraw, a kancelaria jęła wydawać karty wejścia. Mimo tej beznadziejnej sytuacji publiczność dalej tkwiła przed drzwiami i wypełniała poczekalnię rozsiadłszy się na ławkach, parapetach okien, wreszcie podpierając ściany. Co chwilę któraś z oczekujących kobiet powstawała z miną poważną i wtajemniczoną, aby przypuścić szturm do woźnego. Odmawiał nie kryjąc wzgardy. A to maniaczki! W końcu tak go zmęczyły, że tylko patrzył nie mówiąc ani słowa i potrząsając przecząco głową. Policjant, pełniący służbę w gmachu, był bardziej wyrozumiały na słabości ludzkie i zachęcał.

– Czy koniecznie tu? Są jeszcze inne procesy, też ciekawe. W sali numer pięć, w sali numer osiem... I, jak dobry *manager*²⁴ Sprawiedliwości, tego pouczającego widowiska rozpraw, które poruszają w człowieku bezgraniczne zwątpienia, dodał z gestem w kierunku drzwi.

– Proszę, proszę!

To były procesy: polityczny i prasowy. Starsze damy wyszły i wróciły, i znów zajęły ławki. Nic nie rozumiały. Częstowały się cukierkami orzeźwiającymi lub papierosami. Jedna z nich poruszała wargami tak, jakby odmawiała zdrowaśki. Inna opowiadała z ożywieniem, że kupując pewnego razu w aptece olejek kamforowy widziała na własne oczy oskarżoną, aptekarzową. Stąd jej zainteresowanie tą sprawą.

– Była tak wystrojona! uperfumowana!

Tam na sali obrońca wygłaszał swoją świetną mowę. Pani Raczyńska popłakiwała. Publiczność, odmienna niż dnia poprzedniego, strojne kobiety, starsi panowie, prawnicy, aplikanci – przyszli tu dla usłyszenia tej właśnie mowy. Było prawie gorąco, uchylono górne części okien i wiosenne powietrze ciągnęło stamtąd orzeźwiająca smugą. Panny Ziemskie nie przyszły. Bronka spóźniła się i nie weszła na salę. Siedząc w pobliskiej kawiarni zaczęła od przeliczania kapitałów w torebce. Wystarczyło na kawę i papierosy, odetchnęła.

Nie było Jana Cichockiego, który „musiał” pozostać w aptece, Katarzyny, zajętej gotowaniem lepszego obiadu, pana Gończyka, sprzedającego swe pisma. Kwiryna, która od kilku dni przebywała za interesami w Gdyni, z nieslychanym rozdrażnieniem przeczytała sensacje procesowe w gazetach. Skoro świt wyszła z hotelu i zadepeszowała do rejenta, nie licząc się z ilością słów. Niech się zajmie tą sprawą bez względu na koszty, w razie skazującego wyroku – apelować, wziąć drugiego jeszcze obrońcę. Apelować!

Osoby najbliższe, siostra i matka, siedziały razem. Amelia, z twarzą zapadłą i skurczoną, z założonymi rękami, zdawała się wcale nie uczestniczyć w tym, co się działo dookoła.

²⁴ *Manager* – kierownik, organizator.

Wyrok uniewinniający przyjęła bez wrażenia. Gdy ją przewieziono do domu, osłabła tak, że nie mogła o własnych siłach wejść na piętro. Cechna, nie znalazłszy w sobie nic z wczorajszych swych uczuć potępiających, uczuła przez mgnienie, jakby sprawa winy czy niewinności siostry przeniosła się z sali sądowej na inną płaszczyznę, głębiej, z złowrogą siłą kamienia, rzuconego z góry. Gdy Amelię prawie niosła na górę z pomocą dozorczy, Katarzyna wyszła naprzeciw, w czarnej odświętnej bluzce i błękitnym fartuchu, z twarzą tak samo surową i spojrzeniem oczekującym.

Pani Raczyńska, przewidując powrót córki, kazała usunąć łóżko aptekarza. Lecz w tym miejscu powstała jaskrawa luka, pustka, przemawiająca stokroć silniej niż usunięty sprzęt. Na toalecie ustawiono wazon z pierwszymi narcyzami wiosny. Amelia, osłabła, z ogromnymi łzami na policzkach, zdruzgotana tym powrotem, drżąca z zimna, natychmiast legła na łóżku. Wszyscy wyszli z pokoju, myśląc, że zaśnie. Po godzinie Katarzyna, na własną rękę, odważyła się zajrzeć tam.

– Czy pani czego nie potrzebuje?

Amelka leżała na wznak, z twarzą natężoną, jakby nasłuchując głosów biegnących z dołu, z apteki. Przesunęła głowę w bok i spojrzała na służącą. Już nie bała się jej, już nie czuła się w jej mocy, nie bała się niczego i nikogo, uniezależniona od tych wszystkich następujących na nią, podpatrujących ludzi. Skinęła na Katarzynę. Zdawała się budzić z jakiegoś wielkiego osłupienia i wielkich zamyśleń, oczy jej błysnęły, gdy szeptała:

– Niech tu przyjdzie pani starsza.

Katarzyna pochyliła się i podtrzymała, aby poprawić poduszkę. Ciało Amelii ciągle jeszcze było zimne, mimo grubego szala, którym ją okryto. Katarzyna szła ku drzwiom, w piersi jej coś drgnęło i uniosło w górę. Oliwa wypłynęła na wierzch. Oliwa wypłynęła na wierzch. Boga się nie oszuka.

Pani Raczyńska, z twarzą zarumienioną od płomienia kuchni, pełna smakowitych zapachów, zawołała od progu.

– Cechna zostaje na obiedzie, a dla ciebie szykuje się kurczak. Drogie jeszcze, ale musisz się posilić... – I, wracając do procesu, jęknęła z zachwytem. – Ach, jak on pięknie mówił, ten adwokat, co za mówca! Spłakałam się, nie mogłam leż powstrzymać!...

Te słowa, ten znany akcent dźwignął Amelię. Usiadła i przywołała matkę. Pani Raczyńska odsunęła kołdrę, aby przysiąść na brzeżku łóżka.

– No, jak się czujesz?

Amelka szepnęła.

– Mamo, ja otruję Filipa. Wrzuciłam do szklanki wszystkie pastylki, wszystkie pastylki!

Mówiła to głosem tak cichym i spokojnym, że pani Raczyńska osłupiała, z wytrzeszczonymi oczyma, siedziała bez ruchu. W tej chwili Amelia myślała o

wieczorze, gdy Andrzej, bratanek księdza, wyjeżdżał za granicę i przyszedł, aby się pożegnać. Wtedy walczyła z sobą, aby milczeć, aby nie zdradzić się gestem, słowem i spojrzeniem. Teraz walczyła, by mówić, poganiana straszliwym musem wewnętrznym, niezwalczoną chęcią, aby odejść stąd.

– Niech mama poprosi adwokata, aby mnie dziś przyjął, ja muszę mu wszystko powiedzieć, on mi ułatwi, powie, co zrobić, abym mogła, abym mogła...

– Co? odpokutować?... – zabrakło jej tchu, zaczęła szeptać, ale skończyła nieomal krzykiem.

Pani Raczyńska zerwała się nagle i cichymi kroczkami podbiegła ku drzwiom. Katarzyna bez dźwięku, ostrożnie, nakrywała do stołu. Czy ona co słyszała?... Cechna, na szczęście, rozmawiała w przedpokojku przez telefon. Pani Raczyńska przyjrzała się uważnie służącej, rzekła:

– Nie trzeba jeszcze podawać! – i przymknęła drzwi.

– O czym ty mówisz, moje dziecko? – szepnęła z podziwem, stojąc nad Amelią. – Tobie się chyba w głowie pokręciło przez ten proces i te wszystkie przejścia!...

Oczy Amelii z dołu, z poduszki, patrzyły z przerażeniem na matkę, ale pani Raczyńska ciągnęła dalej.

– Ja myślę!... jak człowiekowi przez kilka miesięcy wmawiają, że otrul, to w końcu sam gotów w to uwierzyć!...

Amelia przerwała ze zgrozą.

– Niech mama przestanie. To prawda. Mówię mamie, to prawda. Tej sprawy już mama nie zagada. Otrułam Filipa i teraz chcę się do tego przyznać, muszę się przyznać!...

Panią Raczyńską ogarnął taki strach i taka straszna złość na córkę, że wyciągnęła rękę, jakby chcąc jej zamknąć usta na wieki. Nie tylko więc zabiła aptekarza – niechący! O, niechący! Ale i chce dobić własną matkę?...

– Ty tylko o sobie myślisz! Tylko o sobie myślisz, jak ci będzie lepiej! Jak ci będzie źlej! Dobrze! Ale za co ja mam cierpieć? Dlaczego przed śmiercią ma mnie spotkać taki wstyd, taka hańba? Że miałam córkę trucicielkę! W więzieniu! A Cechna? A małe, które wchodzi między ludzi? A Zuzanna?... – Pani Raczyńska chwyciła się za serce i ciężko dysząc wyjąkała.

– Ty mnie zabijesz tym wszystkim! Ty mnie zabijesz!

Amelia, załamując ręce, zbieleńszymi wargami powtarzała:

– Mój Boże, mój Boże, mój Boże!

Pani Raczyńska ochłonęła i rzekła surowo.

– Właśnie. Módl się i pros Boga o przebaczenie. Bóg rozsądzi twoją sprawę, jak to tam było. – Po czym chlipnęła i dodała chytrze. – Mów sobie co chcesz., ale ja w to uwierzyć tak od razu nie mogę! Potrzeba mi czasu, aby oprzytomnieć.

Amelka odwróciła głowę i zamknęła oczy. Szepnęła z osłupieniem i rozpaczą:

– I co ja teraz zrobię, co ja zrobię ze sobą?

Pani Raczyńska pomyślała. „Jak to dobrze, że ona taka słaba, trudno jej się ruszyć”. Wysłała do stołowego i zadzwoniła, żeby podawać, Amelka nie wstanie do obiadu. Ale gdy Cechna chciała zanieść siostrze przygotowaną tacę, pani Raczyńska nerwowo krzyknęła.

– Nie, nie! Ja sama zaniosę! A ty siadaj tu i jedz.

Nie wpuści nikogo do Amelii. Póki jej to nie przejdzie.

– Ona jest zupełnie rozbita i chora, biedaczka! – rzekła przy stole. – Nic dziwnego! Po tylu przejściach! Trzeba ją zostawić w zupełnym spokoju!

Nie wątpiła, że te napady Amelii miną, jak tylko trochę odżyje, podkarmi się, ubierze. Ale Amelia kurczowo trzymała się swego grubego szala, nawet gdy wieczór zapadł i trzeba było rozebrać się do snu. Pani Raczyńska ulokowała się z cerowaniem, modlitewnikiem i herbatą w jej pokoju. Z ulicy dobiegał coraz mniejszy pod wieczór ruch uliczny, zgrzyt kół tramwajowych na zakręcie, dźwięczny odgłos kopyt końskich i głuchy huk ciężkich wozów. Amelka słyszała także brzęk otwieranych drzwi w aptecze, ilekroć tam ktoś wchodził. Potem wyławiała kroki, stanowcze stąpania Jana koło oszklonych szaf, w laboratorium, wzdłuż sklepu, w stronę kasy. Drętwiała. Niskie jej, szerokie łoże stało się podłogą, na której leżała wyciągnięta, z uchem przywartym czujnie, rozkrzyżowana, martwa, zmieniona w jakiś czuły mechanizm, gdzie kruchy stuk serca odmierzał uczucia i czas. Zapadała cisza. Zgrzytały żaluzje. Trzaskały drzwi. Chodnik uliczny dźwięczał krokami uchodzących. Teraz nadszedł mrok. Wystąpiły blade okna, omglone tiulem firanek, granatowe niebo wiosennej nocy z świetlistymi pąkami kasztanów w ogrodzie przyklasztornym. Czerwony brzask padał z dołu: to lampa przed posągami u wstępu do kościoła.

Pani Raczyńska spała tuż przy drzwiach, na kanapie. Rano nie poszła na mszę. Katarzyna, sprzątając, wtargnęła wreszcie do sypialni i ujrzała swą panią, w tej samej czarnej sukni co wczoraj, wymiętej, otuloną szalem, z niemą i trupią twarzą, wśród której widniały zgasłe oczy. Oliwa wypływała powoli na wierzch, wolno, ale to był dopiero pierwszy dzień po wyroku. Pani Raczyńska śledziła sprzątającą Katarzynę i przynaglała ją.

– Prędej, Katarzyno, prędzej, bo to panią męczy. – Próbowała też mówić cośkolwiek przy służącej, ale aptekarzowa nie odpowiedziała ani słówkiem, jak gdyby to nie do niej mówiono.

„Może to i lepiej? – pomyślała pani Raczyńska jeśli ma gadać talie rzeczy?”

Na ulicy kolporter Gończyk wykrzykiwał tytuły pobożnych broszur i pism. Poprzez mury huczały uroczyście organy. Pani Raczyńska uczyła się

jak więzień, przykuta do tego pokoju, do tej wyrodnej córki, która i sobie, i wszystkim dookoła życie popsowała. To musiało się wreszcie jakoś skończyć! Po porannych porządkach, gdy Katarzyna wyszła do miasta, pani Raczyńska siedząc przy łóżku córki uzbrojona w igłę, nożyczki i pończochy do cerowania zaczęła lekko a nieubłaganie:

– Wszystko się odkładało na ten twój powrót, tyle spraw, tyle interesów, że aż głowa pęka. Myślałam, że pošlesz kwiaty swojemu obrońcy, a jakie honorarium? Pojęcia nie mam! Piędzicki go umówił, no dobrze, ale przecież kosztów ponosić nie będzie?... Tym bardziej że zerwał z Bronką i ona znów jest na lodzie. Przewłoczyła swoją młodość, będzie jej coraz ciężej. Kwiryna dowiadywała się o ciebie. Dzwonił rejent. Koncesja na aptekę jeszcze należy do nas, ale trzeba tak zrobić, aby komuś poddzierzać. Właśnie rozmawiałam z prowizorem, on chce właśnie wydzierzać. Skąd ma pieniądze?... Kasjerka wnosi mu posag, żeni się. Mieszkanie zostaje przy nas, bo cóż? Człowiek przyzwyczajają się do swoich stron, a po drugie mieszkania teraz drogie, za byle jaką dziurę płaci się odstępne, i to cud, jak się coś znajdzie.

Amelka siadła na łóżku i, objąwszy kolana ramionami, kiwała potakująco głową. Twarz jej, skrzywiona okropnym grymasem uśmiechu, zdawała się szczerzyć ku matce lśniąca zęby. Komu ona chciała się przyznawać? Za co pokutować? Kogo żałować? Płacić?... Ten plugawy testament, związany różową wstążką, ta ostatnia wola człowieka złożona między jej koronkowymi majtkami i koszulami to była w sam raz zapłata dla niej. Wszystko, co było i jest koło niej, uczciwy i wspaniałomyślny mąż, porządny i prawdomówny Jan, spokojna w swym sumieniu matka, i ten podwójny sens, podskórny, drugie życie, wśród którego została powalona. Teraz gdy zaczynała je rozumieć.

Tu pozostać. Tu żyć. Tu istnieć, aż do niewiadomego końca... Ślina wypełniła jej gardło, aż napęczniało od gorzkiego, cuchnącego posmaku, wytrzeszczone oczy godziły w matkę, podczas gdy jej głowa zdawała się potakiwać. Na jej zbrodni i wstręcie wzrośnie małżeństwo Jana, może będą mieć dzieci?... Na jej zbrodni i milczeniu ugruntuje się spokojna i bezpieczna starość matki. Ci ludzie będą istnieć, żyć, tworzyć nieubłagany ład porządku rzeczy. Jeszcze przez mgnienie wśród tych wszystkich zdarzeń i ludzi błysnął jej uśmiech Andrzeja, dźwięk fisharmonii, pękające obrzmienia gałęzi drzew, poruszająca się ziemia, ta wiosna w swym niewzruszonym kształcie czystości, jedyna wartość i jedyna miłość, przewyciężona. Ale ten błysk zgasł zaraz w napływającym, czarnym mroku innych wspomnień. Ręce zmarłego aptekarza zabiegliwie oplątywały jej ciało. Jan udzielał jej swego „męskiego współczucia”, objawiał swój ludzki punkt widzenia. Matka przymykała oczy, szeptała modlitwy i poszukiwała testamentu. Oczy Katarzyny. Krzyk

kolportera Gończyka na ulicy. Aż do niewiadomego końca...

Huk organów drzał wśród murów, przedzierał się przez grzmot jezdni. Nikły ich dźwięk błądził po pokoju.

Czy może być większa pokuta? Czy może być cięższa kara? Czy może być sroższe więzienie, gdzie człowiek na poły już pozbawiony brzemienia swej winy wie dzie swe dni w nowym kształcie, oczekując wyzwolenia?...

XXIX

Gdy w przedpokoju brzęknął dzwonek, Kwiryra zerwała się i dopadła do drzwi.

– Byłam pewna, że to ty albo Bronka – rzekła wpuszczając Cechnę. Była wzruszona. Przed chwilą skończyła pracowity dzień wyplat od wczesnego ranka w fabryce na Mokotowie, w sklepach, na nowej budowie domu, na placu dawnej węglarni. Ponieważ buchalteria wykazała znaczne zyski, Kwiryra zarządziła wypłatę małych gratyfikacji świątecznych i miała tę słabość, że własnoręcznie je wypłacała. Ludziska popłakali się życząc jej Wesołych Świąt i Wesołych Świąt!... Odpowiadała: „Wzajemnie, wszystkiego dobrego!...” Ręce miała pełne pieniędzy, głowę pełną cyfr, uszy nabrzmiałe podziękowaniami. Z tego rozgwaru cudzych spraw, cudzego życia i radości wpadła nagle w swoje zaciszne pokoje, uroczyście wysprzątane przez ciotkę, która kupiła nawet dwa różowe hiacenty. Uroczyście wyglądające, ale puste. To ją wykoleiło.

Nie łatwo wypowiedzieć, co się czuje. Czy jednak Cechna, wychodząc z domu w to wielkosobotnie popołudnie, sama bez Zuzanny, nie odczuwała też jakiegoś braku?

– Byłam u mamy! – rzekła – i wpadłam tu tylko na chwilę!

Uśmiechała się stojąc w przedpokoju w nowym, wiosennym kostiumie, z kwiatem u kłapy żakietu. Ale oczy jej ciemniały od jakiegoś smutku. Ciotka wytknęła głowę przez drzwi kuchenne i krzyknęła:

– Ach! u ludzi już święto, a u nas nic nie gotowe! Wszystko na ostatnią minutę!

– Wcale bym się nie śmiała – szepnęła z namysłem Kwiryra – żeby i Bronkę tu przyniosło...

I pociągnęła gościa do pokoju pod okno, gdzie dwa fotele stały obok siebie. Cechnie zdawało się, że jak usiądzie i utonie w tych miękkościach, nieprędko wstanie. Była bardzo zmęczona.

Idąc ze swej kolonii, wpadła w ów płynny szereg ludzki, ciągnący od kościoła Zbawiciela aż po kościół Panny Marii.

W mrocznych nawach obok bolesnych krzyży leżeli rozkrzyżowani ludzie

z czołem wspartym o zimną posadzkę, z zatajonym oddechem, niczym martwi oczekujący na swą łaskę zmartwychwstania.

– Zawsze mnie to przejmuje dreszczem – rzekła. Myślę: o co oni tak gorąco Boga proszą czy za co przepraszają?

– O, gdyby to można odkupić się przez samo leżenie krzyżem! – szepnęła Kwiryra z akcentem takiej goryczy, że Cechna spojrziała na nią zdumiona. Ale szybko odwróciły głowy, zmieszały się i poniknęły spojrzzeniami pod ciemną kopułę nieba. W kuchni ciotka śpiewała żałośnie:

*Trzy niewiasty poszły,
Maście drogie niosły.*

Akacje na skwerze pokryły się drobnymi i obfitymi liśćmi. Zielona ich koronka przysłańiała czeluść Nowolipia. Pod sztachetami nie było dziś zwykłej galerii gapiów i wypoczywających. Świąteczny nastrój w domach i wędrowni po grobach opróżniły to ulubione miejsce okolicznych mieszkańców. Nawet przecznicą Karmelickiej opustoszała. Tramwaje stanęły.

Ciotka przyniosła herbatę i ustawiła szklanki na parapecie okna.

– Niech się nasz gość nie obrazi, ale tyle mam roboty! Ten szturpak dziewczyna jak poszła do kościoła ze święconym, tak i przepadła! – Ciotka, zaafierowana, wróciła do kuchni i znów stamtąd dobiegł jej śpiew triumfalny.

*Czegoście pożąдали
Tegoście do-cze-kali! Alleluja!*

Kwiryra rzekła:

– Wielka Sobota, Wielka Obietnica... – Cechna wspominając swoje odwiedziny na Lesznie, Amelię, obezwładnioną, postarzałą, uparcie milczącą, uczuła bolesny skurcz serca i pomyślała. „Czy też ona się kiedy odrodzi, czy dane jej będzie inne życie? ulga i zapomnienie?...” Kwiryra zapytała.

– Co z Amelią?... – i wysłuchawszy wzniosła na Cechnę swe poważne, omglone oczy.

– Zostawcie ją tylko. Zostawcie ją w spokoju.

Popijając herbatę, patrzyły na skwer opustoszały. Jakaś kobieta w szarym płaszczyku i czarnym kapeluszu, z łókciami ulokowanymi wygodnie w ażurowych zgięciach sztachet, z głową odchylną i stopami lekko wpartymi w chodnik, oddawała się usilnej obserwacji mydlarni panien Ziemińskich, nad którą nieprzeniknionym błyskiem lśniły okna dawnej szkoły. Było coś w tym geście, w tej postawie patrzącej, że Cechna i Kwiryra spojrzwały na siebie.

– Czy nie mówiłam?! To ona! – szepnęła Kwiryra. Roześmiały się z cicha

i oczy ich zaszyły łzami na myśl o uczuciach, które je tu sprowadziły. Cechna rzekła:

– Przychodzi taki czas, że człowiek właściwie nic już nie robi, tylko stoi w miejscu i ogląda się poza siebie. Wraca do najwcześniejszej młodości, dzieciństwa, do...

Ale Kwiryra przerwała jej, przestraszona, że Bronka może odejść, po niej wszystkiego się można spodziewać! I pchnąwszy okno, zrobiła tubę z dłoni, by krzyknąć.

– Bronka! Bronka!

Tamta odwróciła się wolno i podniosła ramię w górę gestem powitania. Twarz jej jaśniała biało pod ciemnym rondem kapelusza. Kwiryra nagle rozgniewała się.

– Ma też na co patrzeć! – krzyknęła. – Przecież tam już nie ma szkoły, tylko hotel!

Odetchnęły, gdy Bronka ruszyła z miejsca. Kwiryra zatroszczyła się nagle, czy jest co jeść w domu?

– Czy ciocia ma coś gorącego na poczekaniu?!

Ciotka odpowiedziała z głębi kuchni.

– Po rezurekcji, po rezurekcji!... teraz mam tylko kartofle w mundurkach...

Kwiryra otworzyła szeroko drzwi, z pompą. Bronka weszła w milczeniu i w milczeniu nadstawiła policzek do pocałunków. Musiała być głodna czy zziębnięta, bo zaraz zmierzyla w stronę kuchni, gdzie ciotka akurat przechylała garnek, wyrzucając na miskę dymiące kartofle.

– W takim dniu! naprawdę! czy może być mowa o przyzwoitym poczęstunku!

Nikt tego widać nie pragnął, bo ulokowawszy się rzędem i boczkiem na łóżku służącej, trzy kobiety, chuchając, zaczęły jeść czerpiąc sól koniuszkami palców. Ciotka odkryła pokrywę z kotła, wymacywała widelcem miękkość szynki, aby znów pośpiesznie dopaść piecyka, gdzie blachy z ciastem „już dochodziły”. Kwiryra zajęczała, jakby dopiero teraz czując gwałtowny bieg tego dnia, który zszarzał za oknem.

– Ach, moje nogi, moje nogi!...

Ciotka pisnęła cienko.

– Wszystko na ostatnią chwilę! Wszystko na raz! Na gwałt! Czy panie nie znają Kwiryńci?...

Kwiryra, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, na wpeł leżąc oddychała z ulgą. Pani Meysztor, w swym wykwinnym kostiumie, wsparta o żelazną poręcz łóżka, uznała głośno, że chyba po to błędziła cały dzień, aby znaleźć się wreszcie z przyjaciółkami w takiej kuchni. Bronka milcząc przenosiła swe wymowne oczy z jednej na drugą. Jej palce zmięły brunatną skórę z kartofla i

niecierpliwie odrzuciły zlepioną kulkę. Ciotka, wydobywszy ciasta, odsunęła kocioł z ognia i odpasła fartuch.

– Czy nakryć stół pod święcone, Kwiryńciu?

– Tak, tak.

W tej chwili zastanowiła się i spytała głośno.

– Po co? – patrząc na towarzyszki.

Myślała o Romanie, o jego kręceniu się wesołym koło wielkanocnego stołu. Siadał w pokoju i patrzył, po prostu jak dziecko. Ożywał się, zabiegał, aby wytworzyć dobry nastrój, lawirował między nią a ciotką, bo kobiety zawsze są wtedy złe, zmęczone... Twarz jej wykrzywiła się z nagłego i dojmującego bólu, łzy prędko przebiegły przez ściemniałą twarz. Cechna, chcąc ją oderwać od wspomnień, zapytała prędko, czy nie uważa, żeby dla Amelii był dobry wyjazd?... Ale Kwiryna znów zapytała.

– Po co? – i powtórzyła, ciągle z tym bolesnym skrzywieniem. – zostawcie ją, zostawcie... ja wiem, co mówię!

Tedy Bronka, aby dołożyć też swoje do tej stypy szczególnej, biesiady wiosennego, granatowego wieczoru, wśród dymiącego ciasta, szynki, porzrzuconych na stole korzeni i przypraw, zapytała swoim niskim i pełnym głosem:

– Czy też Cechna nic nie wie o prywatnym życiu Ignacego?... Jak mu też się ono ułożyło?...

Kwiryna, która nic nie wiedziała o tym rozstaniu, spojrzała zdumiona. Cechna zawahała się, a potem, jak chirurg, zatopiła nóż w ranę, która widać nie zagoiła się, nie! A więc ona o nim myśli, mimo zerwania, mimo tej szyderczej rozłąki?...

– Tak – rzekła – proszono mnie o pewne uzupełnienie jego kawalerskiego umebłowania. Przeniósł się do żony na kolonię. To niedaleko nas, nieraz... nieraz ich spotykam.

Bronka podniosła się i przeciągnęła.

– No, więc macie! – mruknęła patrząc na siedzące z góry.

Co to miało znaczyć?... No, więc macie!

Zdruzgotana Amelia, zmarły Roman, opuszczona Cechna, straszna, skurczona twarz Kwiryny, i ona sama, dokładnie wyleczona z wszelkich chęci, nawet z chęci do życia!... Wzruszyła ramionami. A jednak w tych wszystkich klęskach, w tym gromadnym pogromie tkwiły jakieś utajone zwycięstwa, jakieś niełatwe przezwyciężenia, coś, co sprawia, że człowiek boleje, ale nie czuje w sobie zaskorupiałej, zarosłej podłości.

Kwiryna nastawiła uszy i twarz jej przybrała wyraz napięcia. Skądś, jakby spod podłogi, dochodziły podniesione głosy. To najmłodsza szewców znów awanturowała się z matką. Kwiryna zerwała się.

– Chwileczkę!

Pozostawiła je zdumione, słyszały jej szybkie kroki po schodach. Na dole zapadła cisza. Kwiryra powróciła, zadyszana, z twarzą rozjaśnioną.

– Powiedziałam jej tak, że popamięta do sądnego dnia! – I wyjaśniła. – Zachciało jej się białego beretu i o ten beret wyciąga flaki z swojej rodzonej matki.

Bronka roześmiała się.

– Ja wiedziałam, Kwiryno, jaka jest twoja nowa życzliwość dla ludzi. Jedną ręką dajesz, a drugą walisz w kark!

Lecz Kwiryra, ta sama Kwiryra, zamiast rozgniewać się zapytała stropiona i niepewna:

– A czy to źle?...

– Ach, nie! – szepnęła Bronka. – Ty zawsze miałaś w sobie instynkt opiekunki...

Zawahała się, spojrzenie jej szybko i mocno jak uścisk objęło przyjaciółki.

– Czy nie uważacie, że wszystko to musiało być, musiało się stać?

– Co?!

– Wszystko, wszystko. Mus życia. Przymus życia. Konieczność przeżycia, jak w raj, pod drzewem wiadomości dobrego i złego.

Zdawała się trzymać w ręku ogromne jabłko, patrzyły jak zahipnotyzowane na jej gorzkie usta i brązowe, rozszerzone zdumieniem oczy. W wejściowe drzwi ktoś zapukał. To wróciła dziewczyna ze święconym, z kościoła. Drobnie krocзки ciotki przerwały ciszę.

– Nareszcie! teraz możemy jeść, podzielić się jajkiem. Stół zastawiony. Proszę do pokoju, do pokoju!

Bronka pochylała się nad małym węzełkiem serwety, gdzie talerz z bochenkiem chleba, solą i jajami, strojny w liście borowiny, tchnął świątecznym zapachem. Kwiryra jęknęła powstając. Cechna zaniepokoiła się o Zuzannę. Lecz zanim się zdecydowały przejść do pokoju, zanim się obejrzały, Bronka stanęła w progu sieni.

– *Adieu!* – rzekła głosem ochrypłym i sztucznym od wzruszenia. – Ja muszę już iść!

Kwiryra krzyknęła:

– Bronka! wariatka! zostań, bo się śmiertelnie obrażę!

Cechna dopadła okna.

I zobaczyły ją jeszcze, jak przeszła szybko koło skweru i znikła za rogiem Karmelickiej. Kwiryne przeszła ochota na święcone. Cechna zafrasowała się.

– Zuzanna tam czeka na mnie z niecierpliwością.

Wyrzucała sobie, że na tak długo opuściła dom. Czowała jeszcze ciężar i smutek tych odwiedzin, słów, spotkania, spojrzenia wstecz, ale czuła też nikły blask i ciepło pociechy. Miała do kogo wracać. Wyjawszy z torebki

puderniczkę, przypudrowała twarz, iżby znikły ostatnie ślady wzruszeń. Po czym uściśnęła Kwirynę.

Było już ciemno. Zgrzytały żaluzje pośpiesznie zamykanych sklepów. Białe światła drżały nad wyszczerbionym brukiem Nowolipia. Cechna odetchnęła pełną piersią i przywołała taksówkę.

XXX

– Stój! – zawołał rozdrażniony, gniewny głos męski. Nieliczni przechodnie zatrzymali się i obejrzel. Szereg lekkich wozów z cegłą utknął na skrawku ulicy, z pierwszego zeskoczył młody chłopak i tłumaczył się przestraszony. – Dobrze. Dlaczego nie? Ja mogę stanąć, ale mówię panu, że nawet nie otarła się o wóz! Ja nie najechałem! Krzyknąłem tylko: Na bok!

Kobieta leżała na środku jezdni, nieruchoma. Dała dwa, trzy kroki z chodnika i padła, tuż obok wysepki na środku placu. Przeniesiono ją tam, najbliżej, pod żelazny czarny słup z siatką drutów.

– Wody!

Babina z rogu ulicy, od straganu z kwiatami, przyskoczyła dzierząc w drżących rękach butelkę z wodą. Dziewczyna w białym fartuchu, sklepowa z wędliniarni, przyklękła i wsunawszy czerwoną a czułą dłoń pod głowę leżącej, usiłowała wlać trochę wody w rozchylone jej usta. Woda spłynęła w bok, potem wypełniła usta i znów spłynęła strumieniem.

– Ach, mój Boże!

Chłopiec z gazetami, papierosiarz, jakiś goniec z rowerem i człowiek dźwigający oburącz paczkę tworzyli grupę zaskoczoną, z otwartymi ustami. Potem ozwały się przyciszone głosy. Rozpiąć ubranie, rozpiąć ubranie. Dziewczyna, w białym fartuchu, czerwonymi i tłustymi palcami rozsunała szary płaszczyk i usiłowała odpiąć bluzkę. Ręce jej dygotały, a twarz krzywiła się od współczucia i przerażenia.

– Ona nie żyje, nie żyje...

– Przysięgam, ja nie najechałem – powtarzał woźnica. – Krzyknąłem tylko: na bok.

Okrągłe, bure oczy leżącej, szeroko rozwarte i nieruchome, patrzyły niemo i szklście wprost w niebo, ponad czarnym słupem i wyciągniętymi drutami. Rudy brzask ni to słońca, ni to dziwnej poświaty kładł się smugami na dachach domów. Kamienny ich krąg zamykał placyk ponurym i nieustępliwym pierścieniem. Tylko z boku, ze skweru, ogromne kasztany dyszały w skwarze miejskiego lata odrobiną wilgoci.

Babina od kwiatów przeżegnała się i usiłowała złożyć na krzyż ręce zmarłej. Ktoś szepnął:

– Nie ruszać...

Stara kobieta nie mogła tego zrozumieć i jeszcze raz skrzyżowała sztywne ramiona. Lecz opadły na bok, rozwarłe dłonie i zaróżowione lekko palce, puste. Dziewczyna w białym fartuchu płakała ocierając oczy rękawem.

– A tam może na nią w domu czekają?...

– A może i nie?...

Ktoś wzdrygnął się.

– Śmierć na ulicy...

Ktoś westchnął:

– Oto twoje życie, człowieku!

Pan, który zatrzymał wozy z cegłą, biegł teraz z głębi ulicy, od apteki. Starowina od kwiatów machnęła ręką.

– Nie potrzeba już, ech, nie potrzeba!...

Z oddali zabrzmiał sygnał pogotowia.

KONIEC

OD WYDAWNICTWA

Wielkim wydarzeniem w życiu kulturalnym lat międzywojennych było ukazanie się najpierw w odcinkach na łamach „Gazety Polskiej”, a potem w wydaniu książkowym „Dziewcząt z Nowolipek” Poli Gojawiczyńskiej. Ta z wielkim talentem napisana książka wkrótce zdobyła sobie serca czytelników, którzy w Literaturze szukali odbicia otaczającej ich rzeczywistości. W roku 1935 ukazuje się niecierpliwie oczekiwana druga część „Dziewcząt” – dwutomowa „Rajska jabłoń”.

„Dziewczęta z Nowolipek” sięgają czasów dawniejszych, czasów poprzedzających bezpośrednio pierwszą wojnę światową, „Rajska jabłoń” zaś jest historią zamkniętą granicami dwóch wojen, obie powieści są jak najściślej związane z życiem, dają właściwy obraz przemian zachodzących w łonie drobnomieszczaństwa w tym okresie, są opowieściami o zwykłych ludziach, o ich miłości, walce, wzlotach i upadkach. Dzisiaj czyta się je już jak powieść historyczną, powieść o młodych sentymentalnych dziewczętach, które chciały się uczyć, chciały pracować, kochać, mieć własne domy i dzieci. Walczyły o prawo do normalnego życia i ginęły w tej nierównej walce.

Oprócz tych dwóch bezsprzecznie najlepszych i najbardziej znanych powieści, wydawanych już wielokrotnie w Polsce i tłumaczonych za granicą, jest Gojawiczyńska autorką wielu innych.

Pola Gojawiczyńska zaczęła swą twórczość pisarską w roku 1932 od tomu nowel „Powszedni dzień”. Tematem opowiadań zawartych w tym tomie jak i wydanej w rok później powieści pt. „Ziemia Elżbiety” są sprawy i ludzie Górnego Śląska.

W roku 1938 wychodzi powieść „Słupy ogniste”. Okres przedwojennej twórczości Gojawiczyńskiej zamyka cykl opowiadań „Dwoje ludzi” i zbiór krótkich impresji „Rozmowy z milczeniem”.

W roku 1935 za „Dziewczęta z Nowolipek” Pola Gojawiczyńska otrzymała nagrodę m. st. Warszawy, a w 1939 r. przyznano jej takąż nagrodę za całokształt twórczości.

Wojna i okupacja zastały autorkę „Rajskiej jabłoni” w Warszawie. Gojawiczyńska została aresztowana i osadzona na Pawiaku, a książki jej wycofano z bibliotek i księgarń.

Zaraz w pierwszych latach po wojnie autorka wydaje trzy powieści. W roku 1945 wychodzi „Krata” – powieść-reportaż z tragicznego okresu Pawiaka, w roku 1946 „Stolica” – powieść o odbudowującej się z gruzów Warszawie, w roku 1947 „Dom na Skarpie” (powieść dla młodzieży drukowana w 1938 r., w Płomyku).

W roku 1949 w uznaniu jej zasług pisarskich zostaje odznaczona dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi oraz orderem Sztandar Pracy I klasy, w roku 1955 dostaje Medal Dziesięciolecia i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Ze wszystkich utworów Gojawiczyńskiej przemawia mądra i głęboka życzliwość dla człowieka, która każe jej występować zawsze w obronie słabych i krzywdzonych.
